



KSIĘGA
KRYWI

PEWNYCH
KSIĄG
NIE NALEŻY
OTWIERAĆ

powieść

EMMA TÖRZS

EMMA TÖRZS

KSIĘGI
KRWI

przełożyła
EWA SKÓRSKA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *Ink Blood Sister Scribe*

Projekt okładki: *Jim Tierney*

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Barbara Milanowska (Lingventa), Lilianna Mieszczkańska*

Fotografia wykorzystana na okładce

© Magazines and books Marcus Harrison – botanicals/Alamy
Stock Photo

© 2023 by Emma Törzs. All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2024

© for the Polish translation by Ewa Skórska

ISBN 978-83-287-2798-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2024

Jesse, mojej magicznej siostrze

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA: MAGIA LUSTER

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

CZĘŚĆ DRUGA: SKRYBA

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

CZĘŚĆ TRZECIA: LINIA KRWI

28

29

30

31

32

33

34

35

36

Podziękowania

Abe Kalotay zmarł na własnym podwórku pod koniec lutego. Niebo było chorobliwie blade. W nieruchomym powietrzu czuło się szczypiącą wilgoć śniegu. Kartki otwartej książki u jego boku zdążyły zawilgotnieć, zanim Joanna wróciła do domu i znalazła ojca na trawie przy ich długim gruntowym podjeździe.

Abe leżał na plecach. Lekko przymknięte oczy patrzyły w jasnoszare niebo, z uchylonych ust wystawał siny język. Jedna dłoń z obgryzionymi paznokciami spoczywała na brzuchu, druga trzymała książkę – kciuk wciąż przywierał do strony, jakby zaznaczał jakiś fragment. Ostatnia smuga żywej czerwieni powoli wsiąkała w papier, a nienaturalnie białe policzki zmarłego wydawały się dziwnie pomarszczone. Joanna zobaczyła to wszystko i wiedziała: już zawsze będzie walczyła, aby ten obraz nie wyparł dwudziestu czterech lat żywych wspomnień, które w ciągu ostatnich kilku sekund stały się najcenniejsze na świecie. Nie wydając z siebie żadnego dźwięku, roztrzęsiona dziewczyna osunęła się na kolana.

Później pomyśli, że ojciec prawdopodobnie wyszedł na zewnątrz, bo zrozumiał, co robi książka, i próbował dotrzeć do drogi, zanim się wykrwawił. Chciał zatrzymać przejeżdżającego kierowcę, wezwać karetkę, oszczędzić córce dźwigania jego ciała, wciągania na pakę samochodu, wywożenia poza granice ich posiadłości. Ale wtedy nie zastanawiała się nad tym, czemu leżał na podjeździe.

Zdumiewało ją tylko, dlaczego zabrał ze sobą książkę.

Nie docierało do niej, że to właśnie książka go zabiła; wiedziała tylko, że obecność tomu łamie jedną z kardynalnych zasad Abego, której ona sama nie ośmieliłaby się złamać – choć w końcu to zrobi. Ale jeszcze bardziej niepojęty niż to, że ojciec wypuścił książkę poza bezpieczny teren domu, był fakt, że Joanna książki nie znała. Przez całe swoje życie zajmowała się domową kolekcją i znała każdą książkę tak, jak zna się członków rodziny. A ta leżąca obok ojca była zupełnie obca, zarówno z brzmienia, jak i z wyglądu. Inne pozycje brzęczały niczym letnie pszczoły, ta dudniła jak niewygasły grzmot. Gdy dziewczyna otworzyła okładkę, odręcznie napisane słowa rozplływały się przed jej oczami, zmieniając układ za każdym razem, gdy jakaś litera stawiała się niemal wyraźna. Treść dopiero powstawała, teraz nieczytelna.

Jednak notatka, którą Abe wcisnął pomiędzy strony, dała się odczytać, choć napisał ją drżącą lewą ręką – prawa została unieruchomiona, gdy książka piła.

Joanno, tak mi przykro. Nie wpuszczaj matki. Trzymaj tę książkę w niedostępnym miejscu, z dala od swojej krwi. Kocham Cię przeogromnie. Powiedz Esther

Na tym zapisek się kończył. Ostatnie zdanie nie miało kropki i Joanna nie wiedziała, czy ojciec chciał napisać coś więcej, czy tylko przekazać ostatnie wyznanie miłości drugiej córce, niewidzianej od lat. Klęcząc na zimnej ziemi, z książką w rękach, dziewczyna nie miała siły się nad tym zastanawiać.

Wpatrywała się w ciało Abego, usiłowała oddychać i szykowałą się na kolejne kroki.

CZĘŚĆ PIERWSZA



MAGIA
LUSTER

Esther nie mogła się napatrzeć na niebieskość rozświetlonego nieba.

Kolor nie tylko intensywny, ale i niejednorodny, wydawał się prawie biały na styku ze śnieżnym horyzontem, a nasycił się barwą, gdy wzrok Esther podążał w górę: od turkusu skorupki jajka rudzika, poprzez modrość, do spokojnego, świetlistego lazuru. Lód Antarktyki w dole stawał się oślepiająco jasny, a rozrzucone budynki gospodarcze, które Esther widziała z wąskiego okna małej sypialni, rysowały pasy indygo na białych koleinach drogi. Wszystko się jarzyło. O ósmej wieczorem było prawie tak jasno jak o ósmej rano.

– Przepraszam. – Pearl odsunęła Esther biodrem, chciała wstawić w okno specjalnie przycięty karton.

Esther położyła się na swoim niepościelonym łóżku i podparta na łokciach patrzyła, jak Pearl pochyla się nad małym zastawionym biurkiem, próbując dosięgnąć szyby.

– Gdybyś dwa tygodnie temu powiedziała, że zasłonię słońce, jak tylko wzejdzie, wyśmiałabym cię na całą stację – stwierdziła Esther.

Pearl oderwała taśmę zębami.

– Dwa tygodnie temu spałaś całą noc. Nigdy nie mów, że nie masz za co podziękować ciemności. – Przykleiła ostatni pasek i dodała: – Albo mnie.

– Dziękuję ci, o, ciemności. Dziękuję, Pearl.

Esther rzeczywiście źle spała, odkąd słońce wróciło po sześciu miesiącach zimy. Kiedy jednak światło i odległe góry znikwały za kartonem, pojawiało się przygnębienie. Pokój przypominał celę: łóżko z pomietą fioletową pościelą, oświetloną przez jasną gołą żarówkę; porysowana terakota; biurko ze sklejki zawalone stosami papierów, głównie notatek o meksykańskiej powieści, którą Esther tłumaczyła dla przyjemności. Sama powieść leżała bezpieczna na komodzie, poza zasięgiem szklanek z wodą zostawiających mokre kółka na papierze.

Pearl usiadła naprzeciwko Esther w nogach łóżka.

– To jak: gotowa stawić czoła niemytym masom? – spytała.

Esther zasłoniła oczy ramieniem i jęknęła.

Obie spędziły ostatnią zimę na małej stacji bieguna południowego, utrzymywanej przez ich trzydziestoosobowy zespół. Ale listopad zapoczątkował sezon letni i w ciągu ostatnich kilku dni nieduże warczące samoloty wyrzuciły tu prawie setkę nowych ludzi. Naukowcy i astronomowie wypełnili sypialnie, kambuz, siłownię i pokoje robocze na górze. Wyjadali nocą ciasteczka, wybudzali z długiego snu komputery i ciągle zadawali podszyte niepokojem pytania, o której włącza się internet satelitarny.

Esther wyobrażała sobie, że będzie szczęśliwa, kiedy zobaczy te wszystkie nowe twarze. Urodzona ekstrawertyczka nie należała do typowych kandydatów izolacji w zaspach ośrodka badawczego wielkości wiejskiego liceum. Zanim przyjechała na Antarktykę, dziewczyna mieszkała rok w Minneapolis – wiadomość, że ma być elektrykiem na biegunie, w dodatku zimą, znajomi przyjęli ze szczerym przerażeniem. Każdy znał kogoś, kto znał kogoś, kto spróbował, spękał i przed

wygaśnięciem kontraktu wrócił do domu, aby uciec od miażdżącej izolacji. Jednak Esther wcale się nie martwiła.

Antarktyka nie mogła być dużo gorsza niż odizolowane, ekstremalne warunki, w których dorastała. Zarobi dobre pieniądze, przeżyje przygodę – a przede wszystkim będzie zupełnie niedostępna dla większości ludzi na tej planecie.

Jednak podczas tej długiej zimy ekstrawersja Esther zaczęła zanikać, a z nią kruszała maska dobrego humoru, którą dziewczyna nakładała co rano razem ze strojem roboczym. Teraz zapatrzyła się w sufit – równie biały jak industrialnie białe ściany, korytarze oraz industrialnie biali współpracownicy – i spytała:

– Czy cały czas byłam introwertyczką? Czy przez te wszystkie lata oszukiwałam samą siebie? Prawdziwi ekstrawertycy są teraz tam, niezła jazda, świeże mięso, non stop party, Bangtown Stanów Zjednoczonych!

– Bangtown Międzynarodowego Terytorium Układu Antarktycznego – poprawiła Pearl, Australijka z podwójnym obywatelstwem.

– Jasne. O, to to.

Pearl na czworakach przemieściła się w stronę Esther.

– Wyobrażam sobie – powiedziała – że sześć miesięcy niechcianego celibatu plus mnóstwo nowych twarzy z każdego zrobiłoby ekstrawertyka.

– Aha. Czyli stałam się introwertyczką dzięki samej mocy...

– Mojego niesamowitego ciała? Tak, to właśnie miałam na myśli – wymruczała Pearl, muskając ustami ucho Esther.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń i ścisnęła garść jasnych włosów Pearl, jakimś cudem zawsze ze słonecznymi refleksami, nawet przy kompletnym braku słońca. Australijczycy.

Niezmordowani, niezmiennie chętni, naładowani plażą. Wplotła palce w splątane kosmyki i przyciągnęła Pearl do pocałunku, już czując uśmiech na jej ustach.

Przez ostatnią dekadę, odkąd skończyła osiemnaście lat, Esther przeprowadzała się co listopad, zmieniając miasta, stany i kraje. Błyskawicznie zdobywała przyjaciół i kochanków. Wybierała ich tak, jak inni wybierają jedzenie na wynos. Równie szybko z nimi kończyła. Powszechnie lubiana obawiała się – podobnie jak wiele powszechnie lubianych osób – że jeśli ludzie na prawdę ją poznają, jeśli przenikną tę lśniąca tarczę lubialności, od razu stracą do niej sympatię. Dlatego przenosiła się z miejsca na miejsce.

I jeszcze dla czegoś, znacznie ważniejszego: żeby nie dać się znaleźć.

Esther wsunęła dłoń pod sweter przyjaciółki, palce odnalazły gładkie wcięcie talii. Ale chociaż Pearl wcisnęła długą nogę między uda Esther, a ta odruchowo poruszyła biodrami, i tak słyszała w głowie słowa ojca. Podświadomość chlusnęła jej w twarz szklanką zimnej wody.

„Drugiego listopada do dwudziestej trzeciej czasu wschodniego”, powiedział Abe, gdy widzieli się po raz ostatni, dziesięć lat temu w ich domu w Vermont. „Gdziekolwiek jesteś, musisz wyjechać drugiego listopada i przemieszczać się przez dwadzieścia cztery godziny. W przeciwnym razie ludzie, którzy zabili twoją matkę, przyjdą także po ciebie”.

Sezon letni oficjalnie rozpoczął się parę dni wcześniej, piątego listopada. Trzy dni po tym, jak Esther, zgodnie z nakazem ojca, powinna była wyjechać.

Nie wyjechała. Nadal siedziała w stacji.

Abe zmarł przed dwoma laty, a ona, po raz pierwszy, odkąd zaczęła uciekać dekadę temu, miała powód, aby zostać. Powód,

który był ciepły i materialny, i właśnie pocałował ją w szyję.

Tak właściwie poznała Pearl na lotnisku w Christchurch.

Obie stały w grupie pracowników czekających na lot na Antarktykę i obie miały na sobie kilka warstw ubrań wymaganych przed wejściem do samolotu. Wełniana czapka, wielka pomarańczowa kurtka, rękawiczki, ciepłe buty i wciśnięte na głowę ciemne gogle – Esther tylko przelotnie dostrzegła błyszczące oczy, usłyszała głęboki gardłowy śmiech, zanim grupę wprowadzono na pokład, zanim ją i Pearl posadzono w przeciwległych końcach luku bagażowego.

Różne obowiązki i różne harmonogramy sprawiły, że ich ścieżki skrzyżowały się dopiero pod koniec pierwszego miesiąca, kiedy to Esther wywiesiła w siłowni ogłoszenie, że szuka kogoś chętnego do sparingów. *Boks, muay thai, BJJ, MMA, krav maga – chodźcie na fajty! :) :) :)* Smajlikami chciała podkreślić pozytywność fajtów, ale szybko tego pożałowała, kiedy inny elektryk, wielki biały gość z Waszyngtonu, który upierał się, żeby nazywać go J-Dog, zobaczył ogłoszenie i zaczął z niej żartować.

„Pogromca smajłów!”, wołał, gdy wchodziła na spotkanie zmianowe. Jeśli wpadali na siebie w kambuzie na lunchu, udawał, że się kuli. „Przywalisz mi w łeb jakimś uśmiechem?” Ale kroplą, która przepełniła czarę, były jego przechwałki o czarnym pasie w karate i o tym, jak bardzo chciałby znaleźć kogoś, kto naprawdę poważnie podchodzi do tego sportu.

Serio, nie dał jej wyboru. Po tygodniu głędzenia zastąpił jej drogę w kambuzie, żeby nie mogła dosięgnąć pizzy. Szczerzył się przy tym tak, że widziała jego trzonowce.

– Co ty robisz? – spytała.

– Walczymy!

– Nie. – Esther odłożyła tacę. – Teraz walczymy.

Dwie minuty później J-Dog leżał na podłodze: jedną ręką blokowała drabowi głowę, drugą wykręciła mu ramię. Wolną dłonią próbował sięgnąć do jej twarzy, dziko wierzgał i kopał w podłogę, a widzowie zagrzewali ich do walki.

– Puszczę cię, dopiero jak się uśmiechniesz – powiedziała.

Jęknął i spróbował rozciągnąć usta w wymuszonym uśmiechu.

Kiedy go puściła, zerwał się od razu, otrzepał i rzucił wściekle:

– To nie było fajne, stara! Wcale nefajne!

Esther odwróciła się do odstawionej tacy, powstrzymując własny naturalny uśmiech, i znalazła się twarzą w twarz z Pearl. Uwolniona z grubych ubrań Pearl okazała się wysoka i mocna, z szopą włosów z jaśniejszymi pasemkami – niepewny węzeł wyglądał, jakby zaraz miał się zsunąć z jej głowy. Brązowe oczy błyszczały tak samo, jak wtedy na lotnisku, a nawet bardziej, bo patrzyły prosto na Esther.

– Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak magicznego – przemówiła Pearl i położyła smukłą dłoń na ramieniu Esther. – Nie dajesz lekcji?

Pearl była beznadziejna w samoobronie. Pozbawiona instynktu zabójcy, wygaszała ciosy, odpuszczała kopnięcia, a w chwytach przeciwniczki śmiała się do rozpuku. Po trzech zajęciach sesje treningowe przemieniły się w sesje całowania i przeniosły z siłowni do sypialni. Gdy dziewczyny znalazły się ze sobą w łóżku pierwszy raz i Esther zaczęła zsuwać z Pearl dzinsy, ta uniosła biodra i spytała:

– Spałaś już z kobietą?

Esther popatrzyła na nią urażona.

– Oczywiście, niejedną! Czemu pytasz?

– Spokojnie, Don Juanie! – roześmiała się Pearl. – Nie kwestionuję twojej techniki. Po prostu wydajesz się trochę spięta.

Wtedy Esther zdała sobie sprawę, że może mieć kłopoty. Bo nie tylko faktycznie była spięta i czuła motyle w brzuchu – co jej się nie zdarzyło od lat – ale w dodatku Pearl to zauważyła. Wyczytała to z wyćwiczonej twarzy albo wyćwiczonego ciała Esther, a ona nie przywykła, żeby ludzie dostrzegali jej sekrety. To, jak ta dziewczyna na nią patrzyła, jak ją widziała, rodziło niepokój. Esther posłała Pearl swój najbardziej pewny siebie, najbardziej uspokajający uśmiech i bardzo delikatnie skubnęła zębami wewnętrzną stronę uda kochanki – na tym rozmowa się zakończyła. Ale nawet wtedy, już na początku, Esther przeczuwała, że będzie jej trudno zostawić Pearl.

Teraz, cały sezon później, sama myśl o tym – o odejściu, pozostaniu, ostrzeżeniu ojca – wybiła ją z nastroju. Obróciła Pearl na bok i powoli kończyła pocałunek. Opadła na poduszki, Pearl położyła głowę na jej ramieniu.

– Ale się upiję dzisiaj wieczorem – zakomunikowała.

– Przed tym czy po tym, jak zagramy?

– Przed, po i w trakcie.

– Ja też – zdecydowała Esther.

Ich zespół, wykonujący covery Pat Benatar, miał grać na imprezie dzisiaj wieczorem. Przez całą długą zimę ćwiczyły i koncertowały dla tych samych trzydziestu pięciu osób, co przypominało grę na flecie przed rodzicami, bardziej pękającymi z dumy niż zmęczonymi słuchaniem *Hot Cross Buns* po raz enty. Występowanie dla nowych uszu i oczu było równie stresujące, jak wejście na scenę Madison Square Garden.

– To w ramach przygotowań napijmy się wody – zarządziła Pearl. – Bo inaczej będziemy rzygać dalej, niż widzieć.

Przyniosła im dwie szklanki, Esther oparła się na łokciu, żeby się nie zalać. W bazie, gdzie było nieprawdopodobnie sucho, bo nawet odrobinę wilgoci w powietrzu ścinało w lód, człowiek mógł się łatwo odwodnić.

– Myślisz, że naukowcy tyle piją, bo nadrabiają wszystkie te lata spędzone na badaniach? – zainteresowała się Esther.

– Nie – odparła bez wahania Pearl, która pracowała ze stolarzami. – Nerdom zawsze odwała na imprezach. Chodziłam na przyjęcia w Sydney, gdzie byli sami chirurdzy, inżynierowie, ortodonci. Wiesz, że ludzie, którzy lubią BDSM, mają zauważalnie wyższy iloraz inteligencji niż ci od zwykłego seksu?

– Nie przypuszczam, żeby dało się tego dowieść.

Pearl się uśmiechnęła. Miała ostre kły i pulchne usta – kombinacja, która zwykle kręciła Esther.

– Wyobrażasz sobie te zmienne?

– Wyobrażę sobie, ale nie teraz. Musimy wstawać.

Pearl spojrzała na zegarek i podskoczyła.

– Cholera! Faktycznie.

Siedziały tutaj od kolacji parę godzin temu. Esther wstała, przeciągnęła się.

– Boże, tak się cieszę, że jednak zostałam – wyznała Pearl. – Nie chciałabym się z tym mierzyć bez ciebie.

Esther miała jej odpowiedzieć, ale odkryła, że nawet trudno jej patrzeć na stojącą przed nią kobietę. Od bardzo dawna nikogo aż tak nie lubiła. Od razu poczuła ucisk w piersi – nie pożądanie, ale coś innego, równie znajomego, co towarzyszyło jej od

początku. Tęsknota za Pearl, nawet gdy dziewczyna stoi tuż obok. Przewidywanie tęsknoty, jakby emocje nie oswoiły się jeszcze z myślą, że tym razem jest inaczej, że zostaje.

Paranoja ojca znów zaczęła sączyć się jej do ucha, kazała odejść, mówiła, że popełnia karygodny błąd, że egoistycznie naraża Pearl na niebezpieczeństwo. A Pearl wciąż patrzyła otwarcie i z czułością, która właśnie zaczęła znikać na skutek braku odpowiedzi.

– I ja się cieszę – zapewniła więc szybko Esther. Miała już wprawę, wiedziała, jak obchodzić się z przyjaciółką. Ukryła melancholię pod uśmiechem, Pearl się odprężyła. – Przyjdź po mnie, jak się ubierzesz – dodała. – Wzmocnimy się szotem.

Australijka uniosła dłoń, w długich palcach ściskając na niby kieliszek.

– Za tłum. Niech nas pokochają.

Pokochali. Członkowie zespołu, cała czwórka, traktowali próby bardzo poważnie. Stworzyli nawet kreacje sceniczne w stylu lat osiemdziesiątych: czarne dżinsy i skórzane kurtki. Esther i Pearl natapirowały włosy – trochę brakowało lakieru, którego nikt w bazie nie miał. Dobrze grali i dobrze wyglądali, a dodatkowo sprzyjały im okoliczności: zanim jeszcze podłączyli wzmacniacze i zaczęli grać, widzowie byli na dobrej drodze do zalania się w pestkę i nie szczędzili zachęty.

Esther – basistkę i drugą wokalistkę – bolały już i gardło, i palce przy *Hell Is for Children*, którym kończyli występ. Imprezowali w kambuzie. Za dnia przypominał licealną stołówkę. Teraz długie stoły z szarego plastiku były przysunięte do ścian, dzięki czemu zrobiło się miejsce na parkiecie. Nawet bez fluorescencyjnych świateł i czerwono-fioletowych migaczy panował klimat liceum: Esther czuła się młoda i niedojrzała

w przyjemnie beztroski sposób. Zespół grał w przedniej części sali pod pajęczyną białych świateł; po skończonym występie z nowych głośników – Esther osobiście je montowała w rogach kilka miesięcy temu – popłynęła muzyka pop.

Sporo ludzi, obcych zarówno dla siebie, jak i dla Esther, stało i rozmawiało, jeszcze więcej siedziało na krzesłach ustawionych za ladą z przekąskami i odcinających bar od kuchni, gdzie mrok skrywał stalowe wyposażenie. Letni przybysze, nowa ekipa bazy, wyglądali na rumianych i opalonych w porównaniu do swoich białych jak Antarktyka kolegów. Pojawiły się nowe, różnorodne zapachy. Kiedy mieszka się z tymi samymi ludźmi, je te same potrawy, oddycha tym samym recyklingowanym powietrzem, wszystko zaczyna pachnieć tak samo, nawet dla wrażliwego węchu Esther. Ci ludzie byli – dosłownie – powiewem świeżości.

I czegoś jeszcze.

Rozmawiała właśnie z nowym stolarzem z Kolorado (miał na imię Trev, a Pearl uznała go za chętnego do rozrywki), kiedy nagle podniosła głowę i zaczęła węszyć jak pies myśliwski.

– Woda kolońska? – zapytała. Wyczuła coś pod plastikiem i alkoholem imprezy. Coś, co kazało jej pomyśleć o domu.

– Nie. – Trev uśmiechnął się z rozbawieniem, gdy nachyliła się bezwstydnie i powąchała jego szyję.

– Hmm...

– Może dezodorant? – podsunął. – Cedrowy?

– Ładnie pachnie – przyznała. – Ale to nie to, myślałam...
Nieważne.

Kiedy znaleźli się bliżej siebie, w przyjaznym spojrzeniu Treva błysnęła ochota na flirt: wyraźnie odebrał tę sytuację jako sygnał świadczący o zainteresowaniu. Esther cofnęła się o krok.

Nawet gdyby nie była zajęta, wyglądał jej na mężczyznę, który miał dużo sprzętu do spędzania czasu pod gołym niebem i pewnie chciałby ją nauczyć, jak z niego korzystać. Podobało jej się jednak to, jak panował nad swoim ciałem; zupełnie jak trenerzy sztuk walki na kursach, na które chodziła od lat.

Już zamierzała powiedzieć coś zalotnego – bo w sumie dlaczego nie – gdy jej wrażliwy nos wychwycił ten inny zapach, ten, który pojawił się przed chwilą. Boże, co to jest? Przeniosła się do kuchni z czasów dzieciństwa. Zobaczyła pękatą, zieloną, niewydajną lodówkę, wgniecenia i zadrapania drewnianych szafek, poczuła pod stopami wypaczone linoleum. To coś pachniało jak warzywo. Nie, bardziej jak przyprawa, jakieś zioło? W dodatku świeże, a nie cierpieli tutaj na nadmiar świeżych produktów. Rozmaryn? Chryzantema? Kapusta?

Krwawnik.

Odpowiedź przyszła do niej nagle, słowa wpadły do gardła, po czym zostały na czubku języka. Krwawnik, czyli tysiąclist, złocień, żeniszek.

– Przepraszam – powiedziała i odwróciła się od zdumionego stolarza.

Przepchnęła się obok grupki ludzi porównujących tatuaże przy kąciku z musli, zanurkowała pod niebieskimi serpentynami, które ktoś na chybił trafił przymocował do sufitu. Wciągała powietrze nosem i szukała tego charakterystycznego ziołowego zapachu z dzieciństwa, ale choć starała się, jak mogła, wszystko na nic. Aromat – wyparty przez ciężkie wonie pizzy, piwa i ludzkich ciał – stał się tylko wspomnieniem.

Tkwiła pośrodku sali, otoczona muzyką i gwarem rozmów nieznanym, i czuła się oszołomiona tym, jak mocno ten zapach przeniknął do jej serca. Ktoś używał go jako perfum?

W takim razie chciałyby objąć tę osobę i wtulić twarz w jej skórę. Zwykle Esther nie dopuszczała do siebie poczucia straty. Nie myślała o tych wszystkich ludziach, których porzucała przez lata. Nie myślała o żadnym z miejsc, które nazywała domem. Nie myślała o rodzinie, jeśli nie liczyć pocztówek wysyłanych siostrze i macosze raz w miesiącu. To było ciągle, uporczywe niemyślenie, męczące jak utrzymywanie mięśni w napięciu i gotowości. Teraz krwawnik rozluźnił te obolałe mięśnie, a z rozluźnieniem zjawił się kuzyn tamtego smutku, który ogarnął ją wcześniej, przy Pearl.

Australijka znajdowała się po drugiej stronie sali. Z zarumienioną twarzą i potarganymi włosami wyglądała tak, jakby właśnie zsiadła z czyjegoś motocykla lub wyszła z łóżka. Usta pomalowała na ciemnofioletowo, przez co oczy wydawały się świetlicie jagodowe. Rozmawiała z kobietą, która była prawie tak wysoka jak ona. Esther ruszyła w ich stronę, chciała jak najszybciej wyrwać się z tej nagłej nostalgii.

– Tequila – powiedziała do przyjaciółki.

– To Esther – przedstawiła ją Pearl. – Elektryczka. Esther, to Abby z obsługi technicznej. W zeszłym roku mieszkała w Australii!

Abby i Pearl chichotały do siebie, radośnie pijane. Pearl naląła wszystkim kolejnego szota, a gdy Esther od razu wychyliła swojego, naląła znowu. Dziewczyna poczuła się lepiej, otrząsnęła się z tamtego nastroju, który chwycił ją za gardło. Była stworzona do życia tu i teraz, nie w przeszłości. I lepiej, żeby o tym nie zapominała.

Przyjęcie zrobiło swoje, zmywało ochronny izolacjonizm zimy. Wkrótce pojawiły się tańce, polało się więcej alkoholu, ktoś zainicjował dziwną grę, w której krzyczało się nazwy ptaków, jeszcze więcej alkoholu. Jak było do przewidzenia,

wszyscy mocno się wstawili. Pearl i Abby rozmawiały głośno i wesoło o kimś, kogo znały z Sydney i kto miał naprawdę złego psa. A potem Pearl zaciągnęła Esther na parkiet i owinęła swoje długie, zgrabne ciało wokół niższej Esther. Wciągnęła je mocna, pulsująca muzyka i już wkrótce tańczyły jak w prawdziwym klubie, a nie w małym ogrzewanym pudełku na białej pościeli lodu, wiele tysięcy kilometrów od tego, co można by nazwać cywilizacją.

Esther odgarnęła Pearl włosy ze spoconej twarzy, usiłując nie myśleć o swojej rodzinie, ostrzeżeniach ojca ani dniach, które minęły od drugiego listopada. Skupiła się na teraźniejszości, na dudnieniu basu i ciele Pearl. Chciałabym, żeby to trwało wiecznie, pomyślała.

Ale ludzkich ciał wieczność nie dotyczy, Esther w końcu musiała pójść się wysikać.

Po głośnym zgiełku imprezy w łazience na końcu korytarza panowała niemal upiorna cisza. Dziewczyna z impetem pchnęła drzwi kabiny i zsunęła dżinsy, mocny strumień moczu uderzył w misę ze stali nierdzewnej. Esther słyszała własny pijacki oddech, była zdyszana od tańca, ochrypła od krzyku. Spuszczona woda spłynęła z hukiem.

Przy umywalce spojrzała w lustro. Wygładziła ciemną brew, zatrzepotała rzęsami, nawinęła na palec kilka loków, żeby je podkreślić. Potem zmrużyła oczy. Znieruchomiła.

Na obwodzie lustra widniały niewielkie plamki, brązowo-czerwone smugi na szkle. Symetryczne, lecz nie jednakowe, po jednej w każdym rogu. Wyglądały jak naniesione pędzlem albo kciukiem. Nachyliła się, zmoczyła papierowy ręcznik, chciała je zetrzeć. Nic to nie dało, nawet z mydłem. Serce podeszło jej do gardła. Próbowwała zdrapać te ślady. Pozostały.

Cofnęła się tak szybko, że prawie upadła.

Pamiętała ten widok zaschniętej krwi, ten wzór, którego nie da się usunąć. Wiedziała, co te brunatne ślady mogą oznaczać. Wrócił zapach krwawnika, choć nie była pewna, czy tylko w jej głowie, czy faktycznie w łazience.

Krew. Ziola.

Ktoś tutaj miał księgę.

Ktoś tutaj uprawiał magię.

– Nie – powiedziała na głos. Uznała, że po prostu jest pijana i dostała ataku paranoi. Przesiedziała pół roku zamknięta w cementowym pudełku i teraz ma zwidy.

Odsuwała się coraz dalej, wpatrzona w swoją przerażoną twarz. Bała się odwrócić od lustra. Kiedy uderzyła plecami w drzwi, obróciła się, wyskoczyła z łazienki, trzasnęła nimi i pobiegła wąskim korytarzem do siłowni.

Sala cardio była tak jasna, że niemal tą jasnością blyzczała, sprzęt stał rzędami na szarej podłodze, na tle zielonych ścian wszystko wydawało się przeraźliwie blade. Na ławce do ćwiczeń obściskiwali się jakaś para, krzyknęli zaskoczeni. Esther przebiegła obok nich i wpadła do białej pojedynczej łazienki.

Na lustrze zobaczyła identyczne brunatne ślady. Ten sam wzór.

Na lustrze w łazience przy pomieszczeniu rekreacyjnym też były. I w laboratorium, i w kuchni. Esther wbiegła do swojego pokoju z sercem w gardle, ale dzięki Bogu jej lustro pozostało nietknięte. Widocznie oznaczono tylko te publiczne. Słaba pociecha. Jeśli zacznie rozbijać kolejne lustra na stacji, ściągnie na siebie uwagę i kłopoty.

Zamknęła za sobą drzwi i stanęła przed lustrem. Oparła dłonie na blacie niskiej komody, spróbowała zebrać myśli. To musiał być jakiś rodzaj lustrzanej magii, ale Esther była zbyt

przerażona i pijana, aby przypomnieć sobie, co mógł oznaczać. Jedna z rodzinnych ksiązek potrafiła przemienić lustro w pierścień nastroju: szkło odbijało prawdziwe emocje danej osoby przez mniej więcej godzinę. Było jeszcze to lustro w *Królewnie Śnieżce*, to, które powiedziało złej królowej o najpiękniejszej w krainie... Czy taka magia mogła istnieć naprawdę, czy była jedynie baśniowym kitem?

Musiła wytrzeźwieć i rozumować jasno. Zwiesiła głowę i uspokoiła oddech. Na komodzie, między jej dłońmi, leżała powieść, którą tłumaczyła z hiszpańskiego na angielski. Esther patrzyła na znajomą zieloną okładkę, ozdobne obramowanie i stylizowany rysunek ciemnych drzwi poniżej tytułu. *La Ruta Nos Aportó Otro Paso Natural* Alejandry Gil, wydana w 1937 roku. Z tego, co Esther udało się ustalić, powieść była jedyną publikacją Gil – a także jedyną rzeczą, którą Esther miała po Isabel, swojej matce.

Na wewnętrznej stronie okładki, starannie nakreślone perfekcyjnym pochyłym pismem mamy, widniało tłumaczenie tytułu. „Pamiętaj”, dopisała Isabel do siebie po angielsku: „każdy kolejny krok na ścieżce przychodzi naturalnie”.

Cecily, macocha, podarowała Esther tę powieść, gdy dziewczyna kończyła osiemnaście lat, a następnego dnia miała opuścić dom na zawsze. Wtedy jeszcze Esther potrzebowała tłumaczenia. Hiszpański powinien stać się jej językiem, lecz Isabel zmarła, kiedy Esther była bardzo mała, więc pozostał językiem jej matki. Kilka miesięcy później wytatuowała sobie ten hiszpański tytuł nad obojczykami: *la ruta nos aportó* po prawej, *otro paso natural* po lewej. Palindrom czytelny w lustrze.

Miała wrażenie, że wyszła z imprezy kilka godzin temu, a jednak pot na skórze jeszcze nie zdążył wyschnąć. Rozebrała

się do czarnej podkoszulki i zadrżała. W lustrze widziała słowa tatuażu przy ramiączkach. Kiedy po raz pierwszy wprowadziła tusz pod swoją skórę, właśnie uciekła z domu i od rodziny, czuła się samotna i przerażona w świecie, w którym nagle zabrakło jakiegokolwiek struktury. Wtedy sama sugestia istnienia ścieżki, a zwłaszcza następnego kroku, który przychodzi naturalnie, brzmiała jak ukojenie. Teraz, gdy zbliżała się do trzydziestki, gdy płynnie mówiła po hiszpańsku i przeczytała tę powieść, wiedziała, że tytuł Gil nie miał w sobie nic z ukojenia. Mówił raczej o ruchu narzuconym z góry, ścieżce stanowiącej konstrukt społeczny, który zmusza ludzi, szczególnie kobiety, do zrobienia konkretnych kroków z fałszywą wiarą, że oto właśnie sami wybrali to, czego chcieli.

W dzisiejszych czasach słowa te brzmiały jak okrzyk bojowy: nie podążaj ścieżką, zejź z niej! Właśnie to zdanie pomogło jej zignorować dawny nakaz ojca i podjąć decyzję, aby zostać na Antarktyce dłużej, na lato.

Decyzję, której nie chciałyby żałować.

„Wyjeżdżaj co roku drugiego listopada”, mówił ojciec. „Albo ludzie, którzy zabili twoją matkę, przyjdą także po ciebie. I nie tylko po ciebie, Esther. Przyjdą po twoją siostrę”.

Przez ostatnie dziesięć lat była posłuszna. Każdego roku pakowała się pierwszego listopada i wyjeżdżała drugiego. Podróżowała cały dzień i całą noc kolejnymi autobusami, samolotami, pociągami, bez snu. Z Vancouver do Meksyku. Z Paryża do Berlina. Z Minneapolis na Antarktykę. Punktualnie jak w zegarku, z wyjątkiem tego listopada. W tym roku zignorowała ostrzeżenie. Została.

A teraz przyszedł już piąty listopada, stację wypełniali obcy ludzie i któryś z nich przywiózł ze sobą książkę.

Kot wrócił.

Joanna słyszała jego drapanie w drzwi wejściowe, żaloszny odgłos zbliżony do chrobotania gałęzi po dachu. Była piąta po południu i już się ściemniało. Skrawek nieba za kuchennym oknem zmieniał kolor z białego na rozmazaną grafitową szarość. Tego ranka meteorolog w radiu powiedział, że może padać śnieg, i miała na to nadzieję przez cały dzień; uwielbiała pierwszy śnieg w sezonie, kiedy wyblakłe brązy śpiącej ziemi budziły się do nowej żywotności; wszystko, co szorstkie, stawało się nagle delikatne; wszystko, co twarde, zmieniało się w koronkowe i nietrwałe.

Magia, która nie potrzebowała słów, żeby odgrywać się rok po roku.

Jednak nie mogła zająć się kotem w tej właśnie chwili: kuchenka była rozgrzana, zioła zwęglały się w garnku, a dłonie Joanny spływały krwią.

Nie bez powodu. Za głęboko nacięła grzbiet lewej dłoni i zamiast cienkiej strużki miała powódź. Dostała już potrzebne pół uncji, a jednak nacięcie, zaskakująco bolesne, nadal krwawiło przez opatrunek. Może warto byłoby cierpieć, gdyby w końcu się udało – to była trzydziesta siódma próba, odkąd Joanna zaczęła eksperymentować półtora roku temu, i jak na razie jedyną nagrodą za jej starania była kolekcja cienkich białych blizn. Dziewczyna nie przypuszczała, żeby teraz miało być inaczej.

Mimo to musiała – chciała – spróbować.

Tego wieczoru eksperymentowała z księżycem w nowiu – po tym, jak kilka ostatnich pełni nie przyniosło żadnych rezultatów. I to nawet wtedy, gdy w przebłysku czegoś, co uznała za geniusz, zebrała pół kubka krwi menstruacyjnej. Liczyła, że może właśnie to rozwiąże całą zagadkę! Jak wynikało z jej badań (raczej pobieżnych), z kryminalistycznego punktu widzenia krwi obwodowej w zasadzie nie da się odróżnić od krwi menstruacyjnej. Joanna poddała analizie zaledwie trzy z posiadanych książek, a więc bardzo możliwe, że testy wskazujące krew jako główny składnik atramentu myliły się co do tego, skąd owa krew miałaby pochodzić.

Niestety. Książka napisana krwią miesięczkową okazała się równie nieskuteczna, jak wszystkie poprzednie.

I najprawdopodobniej równie nieskuteczna, jak będzie ta dzisiejsza.

A jednak nadzieja i ciekawość trzymały Joannę przy kuchence, gdy mieliła w młynku zwęglone zioła, a następnie mieszała je z krwią, upuszczoną z dłoni, żółtkiem jajka, szczyptą gumy arabskiej i miodem. Otrzymała gęstą, ciemną pastę, którą po zmieszaniu z wodą dało się pięknie pisać – i zapewne to by było na tyle. Dziewczyna czekała na jakikolwiek dźwięk, który by oznaczał, że atrament był czymś więcej niżli tylko domowej roboty mieszaniną, czekała na brzęczenie, które płynęło, gęste i słodkie, w jej żyłach, ilekroć znalazła się w pobliżu książki... Lecz atrament pozostał czarny i niemy.

Planowała napisać książkę dzisiaj wieczorem, kopiując tekst jednego z krótszych zaklęć swojej kolekcji. Dziesięć stron perskiej inkantacji z szesnastego wieku, która teraz wyblakła, lecz kiedyś powoływała do życia ogień. Płonął równym płomieniem mniej więcej przez dziesięć minut – ojciec

żartobliwie nazywał to zaklęcie „jajowarem”. Kiedy jednak Joanna patrzyła na bezgłośną mieszanekę (dłoń wciąż bolała), intuicyjnie czuła, że pisanie nie miałyby sensu.

Powstrzymując łzy frustracji, zostawiła bałagan na kuchence i poszła do lodówki. Zielono-białe linoleum z lat siedemdziesiątych ugięło się pod jej stopami, przywołując głęboki i pogodny głos ojca, za którym tak okropnie tęskniła. „Trzeba je wymienić”. Powtarzał to zdanie tak często, że stało się rytuałem, a jednak nie wymienił linoleum i już nigdy tego nie zrobi.

Otworzyła puszkę i nałożyła tuńczyka do miseczki, kiedy jednak wyszła na ganek, wzdrygając się w pachnącym śniegiem powietrzu, kota nigdzie nie było.

Zapadła noc. Księżyc nie oświetlał co prawda nieba, lecz pokrywa chmur dawała rozproszoną, srebrzystą poświatę, kładącą się na cienkich gałązkach brzoź, które rosły na obrzeżach podwórka. Przy ich perłowym połysku sosny i świerki stawały się zaledwie szemrzącymi cieniami, wtapiającymi się w ciemność lasu. Joanna wyteńczyła wzrok, wypatrując kota, lecz poza słabym powiewem wiatru noc pozostała nieruchoma.

Ogarnęło ją rozczarowanie, czarne jak stygnący atrament; otrząsnęła się z niego, roześmiała. Co w ogóle chciała zrobić? Zwabić dzikie zwierzątko pod swoje drzwi – i co potem, zaprosić je do środka? Przygotować posłanie przy kominku, pogłodzić miękkie futerko? Chciała z nim rozmawiać, może nawet się zaprzyjaźnić?

Tak właśnie.

Postawiła miskę z tuńczykiem na najwyższym schodku i wróciła do domu.

Joanna urodziła się w tym domu i spędziła tu swoje życie; najpierw z całą rodziną, potem, po ucieczce siostry

i wyprowadzce matki, jedynie z ojcem. Przez osiem lat mieszkali tutaj we dwoje, ona i Abe, a od jego śmierci dwa lata temu była sama. Stary wiktoriański dom okazał się o wiele za duży dla jednej osoby. Biała niegdyś farba poszarzała, lukrowana elegancja drewnianych wykończeń utraciła świeżość. Nawet ostre łuki dachu i okien stępiły się niczym noże. Drzwi skrzypnęły, gdy Joanna je zamknęła.

Wewnątrz panowało milczenie głębi lasu. Zawsze tak było. Ciemne drewno korytarza ustąpiło miejsca jasności kuchni zabarwionej bursztynowym odcieniem szklanego klosza wiszącej lampy. Okno nad zlewem, za dnia ukazujące ziołowy ogródek, wydawało się teraz czarnym lustrem. Zwolniła kroku, jakby dopasowując kroki do istniejącej wokół łagodnej ciszy. Nie chciała zakłócać spokoju własnego pustego domu.

Coraz bardziej ta wszechobecna cisza wydawała się kolejną osłoną, warstwą niewidzialnej bańki, która odcinała dziewczynę od reszty świata, chroniła – i dławiała. W pierwszym roku po śmierci ojca Joanna wyczuwała go za każdym rogiem, słyszała jego głos, gdy gotowała obiad („Znowu spaghetti? Zmienisz się w makaron!”), gdy ćwiczyła piosenki na pianinie („Fiona Apple, to dopiero jest głos”), siedziała na werandzie z akwarelami, które jej kupił („Masz talent po matce, ja nie namalowałbym nawet misia polarnego w środku zamieci”). W końcu jednak głos Abego zaczął zanikać, przywołanie go teraz wymagało wysiłku.

Czasami Joanna wyobrażała sobie w tym domu kogoś innego – różne postacie mężczyzny ze swoich marzeń, wysokiego, silnego, serdecznego. Karmiona powieściami romantycznymi wyobrażenia nie miała żadnych problemów z wyczarowaniem kolejnych wizji: jego usta całują jej szyję, mocna dłoń przyciska ją do ściany, zadziera sukienkę czy spódnicę. Nieważne, że nie

nosiła spódnic, szafa seksualnej podświadomości była pełna halek. Ta część fantazji nie sprawiała kłopotu, gorzej było z innymi. Nie umiała umieścić w tym domu nikogo poza rodziną. Nawet mały pręgowany kot na kolanach stanowił potężne wyzwanie, choć robiła postępy. Prawie widziała, jak zwierzątko skacze na biały kafelkowy blat, trąca łapką pęczek suszonych ziół, powieszonych w oknie. Ojciec był uczulony na sierść, a ona nawet teraz nie umiałaby przygarnąć zwierzaka. Jako dziecko niczego innego nie pragnęła – starsza siostra łapała dla niej żaby i węże, urządzała w słoikach domki dla ślimaków, ale to nie to samo. Joanna potrzebowała czegoś miękkiego, co przyjąłoby i odwzajemniło jej miłość. Teraz sama myśl o wpuszczeniu kota za próg sprawiała ból, jakby próbowała wyprzeć stąd Abego czy raczej to, co jeszcze zostało z jego ducha.

Pod warunkiem, że ktoś wierzył w duchy. Joanna nie wierzyła.

Ojciec zebrał setki odręcznie napisanych książek. Czytane na głos, mogły zdziałać wszystko: od nastrojenia fortepianu po przywołanie deszczu w czasie suszy. Żadna jednak nie zawierała zaklęć, które pozwalałyby rozmawiać z duchami czy dotrzeć do świata zmarłych. A pewnie właśnie tego od początku próbowali pierwsi piszący, kimkolwiek byli i cokolwiek napisali.

„Nie do nas należy pytanie, jak to robić”, powtarzał w kółko ojciec. „Jesteśmy tutaj, żeby opiekować się książkami, dać im dom i traktować je z szacunkiem, a nie badać czy testować”. Ale jak mogłaby się nad czymś takim nie zastanawiać? Zwłaszcza gdy jedna z książek, o które Abe dbał całe życie, zwróciła się przeciwko niemu?

Dopiero sześć miesięcy po śmierci ojca Joanna złamała jedną z jego najsurowszych zasad i wyniosła trzy książki (co prawda

z wyblakłym atramentem i wyczerpanymi zaklęciami) poza ochronę domu, do laboratorium konserwatorskiego w Bostonie. I chociaż konserwatorzy nie mieli pojęcia, co tak naprawdę oglądają, rzadkie, pradawne tomy ich zafascynowały. Joanna przekazała im wszystkie trzy w zamian za dostęp do raportów i analizy próbek białka oraz DNA.

Jeśli w końcu się dowie, jak je napisano, może zrozumie, w jaki sposób i dlaczego jeden z woluminów zamordował Abego. I czy nie brzmiało to logicznie, że wtedy i ona mogłaby pisać książki z zaklęciami?

Jak na razie wyglądało na to, że nie może.

Wyniki z laboratorium na przemian oszałamiały ją i wywoływały strach, choć z perspektywy czasu uznała, że właśnie czegoś takiego powinna się spodziewać. Skoro magia zawarta w księgach wymagała do aktywacji krwi i ziół, to nic dziwnego, że także atrament zawierał te same elementy. Ta wiedza rzucała jednak przerażające światło na grubsze tomy: ile krwi znalazło się na tych stronach? I czyjej?

Okryła folią miseczkę z pastą atramentową, a potem jeszcze raz opatrzyła dłoń. Rana w końcu przestała krwawić. W kuchni zrobiło się chłodno, więc zaparzyła sobie filiżankę herbaty i poszła z nią do salonu.

Świeciła się tylko jedna lampa, ta wysoka, z zielonym kloszem i frędzlami. W słabym świetle pokój wydawał się jeszcze bardziej przytulnie zagracony niż zwykle. Wełniane koce na spłowiełej czerwonej kanapie; kubki z niedopitą herbatą na regałach od podłogi do sufitu, pełnych książek; swetry owijające czarne nogi fortepianu w rogu, z rękawami wyciągniętymi na wytarty perski dywan. Piec – Abe zainstalował go w ceglanej obudowie, gdzie kiedyś był kominek – dawał przyjemne ciepło.

Joanna poczuła się jak mysz, która wróciła do swojej przytulnej norki.

Od połowy października spała tutaj, przy piecu, próbując zaoszczędzić na ogrzewaniu. Wysokie wąskie okna z wypaczonymi szybami uszczelniła, do sufitu i ścian klatki schodowej przybiła grube wojskowe koce, aby odciąć dół od chłodu na górze – tamta część domu miała pozostać nieogrzewana i nieużywana aż do marca. Świat Joanny ograniczał się teraz do czterech pomieszczeń: kuchni, jadalni, salonu i łazienki. No i oczywiście piwnicy.

Na pomysł zrobienia dwóch stref w domu wpadła tamtej zimy, kiedy zmarł jej ojciec. Uznała to rozwiązanie za ergonomiczne nie tylko z uwagi na koszty ogrzewania, ale też komfort. Jedna osoba nie potrzebowała całego ciemnego domu.

Dołożyła drewna do pieca i sprawdziła zakurzony dziadkowy zegar, tykający przy skórzanym fotelu. Za piętnaście szósta, czyli kwadrans do ustawiania osłon. Joanna usiadła przy stoliku z notesem i długopisem, żeby spisać to, co miała załatwić następnego dnia w mieście. Lista była krótka.

Wstąpić na pocztę.

Kupić chleb i zobaczyć się z mamą w sklepie.

Sprawdzić mail w bibliotece.

Powitałaby w domu internet równie chętnie jak psa czy kota, ale osłony rozstrajały niemal całą technologię komunikacyjną: telefony się zepsuły, sieci nie było. Mieli jedynie działające radio i krótkofalówki – te służyły do łączności całej rodzinie, zanim Esther, a potem Cecily wyjechały. Ścieżką dźwiękową dzieciństwa był entuzjastyczny głos siostry w uchu: „Esther do Joanny! Zrozumiałam! Przyjęłam! Bez odbioru!”.

Znów spojrzała na zegar. Szósta.

Wróciła do kuchni, wzięła srebrny nożyk z suszarki. Nie spojrzała na lodówkę mijaną w drodze do piwnicy, ale kątem oka widziała jej drzwi, całkowicie pokryte barwnymi pocztówkami. Jedna na każdy miesiąc nieobecności siostry. Od dziesięciu lat. Wkrótce przyjdzie kolejna.

Za każdym razem, gdy Joanna odbierała z poczty kartkę od Esther, powtarzała sobie, że teraz już jej nie powiesi, i potem dodawała ją do lodówkowej kolekcji. Nie rozmawiała z siostrą od śmierci ojca.

Esther rzadko sprawdzała mail, więc gdy Joanna znalazła Abego martwego na trawniku, wysłała pięć różnych wariantów komunikatu „musimy porozmawiać”, zanim w końcu dostała numer telefonu.

Joanna pojechała za miasto, do matki, i stamtąd zadzwoniła. Stała w kuchni, jedną dłoń przyciskając do zimnych kafelków ściany, drugą trzymając telefon komórkowy Cecily. Kiedy powiedziała Esther, co się stało, dziewczyna się rozplakała. Urywany szloch i chrapliwy oddech brzmiały tak samo, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy Esther była mała, dlatego Joanna przez chwilę czuła, że znowu są blisko, razem.

Poprosiła siostrę, aby wróciła do domu.

Tak naprawdę błagała. Krzyczała, szalała z żalu, a Esther zanosila się płaczem, powtarzając „nie mogę, nie mogę”. Wreszcie Cecily wyjęła telefon z ręki Joanny i zaczęła rozmawiać z Esther niskim, kojącym głosem.

Joanna mogła wybaczyć siostrze, że w ogóle wyjechała, że zniknęła bez wyjaśnienia, ale nie umiała wybaczyć, że nie wróciła, gdy najbardziej jej potrzebowała. Przecież z żyjących osób tylko ona mogła przeczytać książkę zabójczynię ich ojca. Tylko ona mogła dać Joannie odpowiedzi.

Mogłaby ją pocieszyć.

Joanna nigdy więcej się do niej nie odezwała.

Mimo to pocztówki przychodziły, jedna dla Cecily, jedna dla Joanny, nieuchronnie niczym pełnia księżyca.

Krzykliwa panorama ze starym neonem Gold Medal Flour:

Droga Jo! Tu w Minnesocie każdy ma na podwórku saunę. Myślę, że w Vermont powinno być tak samo, Twoja północna krew byłaby Ci wdzięczna.

Kochająca, spocona jak mysz siostra Esther.

Reprodukcja *Dwóch Frid*, podwójnych serc malarki, połączonych delikatną czerwoną żyłką:

Querida Jo, si quieres entender este postal en total, tendrés que aprender español[1]. Jestem w Meksyku, gubię się w odmianie czasownika i nie znajduję żadnych informacji o rodzinie mojej matki.

Un beso muy fuerte de tu hermana errante[2], Esther.

Na ostatniej były pingwiny.

Droga Jo, czy wiesz, że nazwa „Arktyka” pochodzi od greckiego słowa oznaczającego niedźwiedzia? Tak więc Antarktyka to brak niedźwiedzi. Dlatego pamiętaj, żeby nie wyobrażać sobie mojej postaci wśród misiów polarnych, jeśli w ogóle mnie sobie wyobrażasz.

Kocham, Twoja zmarznięta siostra Esther.

Przez tyle bezsennych nocy Joanna wpatrywała się w te pocztówki, czytając słowa, których zdążyła się już nauczyć na pamięć. Tyle godzin spędziła w bibliotece i przy komputerze matki, oglądając wszystkie te odległe zakątki, których nigdy nie zobaczy. Stała się ekspertem od każdego miejsca odwiedzanego

przez siostrę. Znaczący góry, na które nigdy się nie wspięła; morze, w których nigdy nie pływała; miasta, których ulicami nigdy się nie przeszła.

Otworzyła drzwi do piwnicy, ale nie zapaliła światła. Jeśli nie lata pamięci zmysłów, to narastające złote brzęczenie prowadziłyby jej stopy. Po ciemku zeszła po skrzypiących drewnianych schodach, prosto w zapleśniałą wilgoć.

Minęła bielejącą w mroku pralkę, aż dotarła do rozciągniętej na podłodze planki, przyciśniętej cementowymi blokami. Pod planką czekała kłapa. Podniosła ją, stare drewno cicho ziewnęło i zeszła po drugich schodach.

Szum wypełnił jej głowę.

Zatrzymała się na najniższym schodku, znalazła włącznik na cementowej ścianie, oświetliła krótki korytarz. Drzwi prowadzące do zbiorów wykonano ze stali, miały gumową uszczelkę na dole i zasuwę. Na gwoździu po lewej stronie wisiał klucz z czerwoną wstążeczką, Joanna przekręciła go w zamku.

Jak zawsze chwilę trwało, zanim oswoiła się z brzęczeniem w uszach. Nieraz próbowała opisać siostrze i matce ten dźwięk, lecz nie potrafiła. Tak jakby nagle kogoś wypełniły złote pszczoły, które tak naprawdę są jedną pszczołą, która tak naprawdę jest polem rozjarzonej pszenicy, rozkołysanej pod palącym słońcem. Dźwięk, ale nie dźwięk. W uszach, ale w głowie. Uczucie mające smak i będące potęgą samo w sobie.

„Trochę irytujące”, stwierdziła kiedyś Esther.

Takie właśnie było.

Irytujące i zarazem cudowne.

Drzwi zamknęły się za nią, oparła się o nie i stała z zamkniętymi oczami. Czekala, aż brzęczenie przestanie być fizycznie przytłaczające. A potem włączyła górne światło.

Na dole zawsze było ciepło, 19 stopni Celsjusza, 45 procent wilgotności – tutaj szedł cały prąd i gaz. W przedniej części kwadratowego pokoju – którą Abe nazywał częścią biznesową, choć nigdy nie prowadzono tam żadnych interesów – umieszczono mały stalowy zlew, kilka wielkich szaf na dokumenty, wysokie dębowe regały, zastawione słoikami z ziołami, oraz wielgachne biurko z orzecha włoskiego, znalezione na wyprzedaży nieruchomości w Burlington wiele lat temu.

Resztę pomieszczenia zajmowały książki.

Stało tu pięć drewnianych regałów, szerokich niemal na dwa metry i wyższych od Joanny, z hermetycznie zamykanymi szklanymi drzwiczkami. Zostały umieszczone w rzędach na starym dywanie z czerwonej wełny, który zastąpił inny czerwony dywan, spalony przez matkę dziesięć lat temu (Joanna nie lubiła myśleć o tamtym dniu). Na końcu każdej półki, niczym w systemie klasyfikacji bibliotecznej Deweya, znajdowała się lista: jakie książki i w jakiej kolejności można znaleźć na danej półce. Niektóre z wyższych tomów położono, ale większość stała pionowo. Codziennie rano Joanna odkurzała je miotełką i sprawdzała, czy nie ma na nich śladów uszkodzeń poczynionych przez mole, pławiki albo myszy, choć piwnica była szczelnie zamknięta i szkodników nie widziano tutaj od lat. Robiła to, odkąd ojciec po raz pierwszy odkrył jej talent, kiedy miała pięć lat.

Książki z grubsza uszeregowano według daty powstania; najstarsza pochodziła z około 1100 roku, najnowsza – z 1730. Joanna nie wiedziała, co właściwie utracono w ciągu tych ostatnich stuleci: wiedzę o tym, jak pisać takie księgi, czy magię, która je wypełniała? Dręczyło ją to od dziecka, ale Abe zawsze miał jedną odpowiedź, która trąciła ignorancją

i niewiedzą: „Nie do nas należy pytanie, jak to robić”. Wydawałoby się zatem, że według niego wiedza kłóci się z ochroną, że nie mogliby dobrze chronić ksiązek, gdyby dowiedzieli się o nich czegoś więcej.

Ta wiara – w milczenie, w ignorancję – rozciągała się również na inne aspekty życia, zwłaszcza te dotyczące córek. Uważał, że trzymanie dzieci w nieświadomości jest równoznaczne z zapewnieniem im bezpieczeństwa.

„To reakcja na traumę”, stwierdziła kiedyś Esther z irytującą wyższością, której nabyła w okresie dojrzewania. „Myśli, że jeśli będzie mówił o tych złych rzeczach, które się wydarzyły, to wydarzy się jeszcze więcej złych rzeczy”.

Ta optymistyczna diagnoza pojawiła się po wielu niezbyt optymistycznych latach, kiedy Esther zebrała o jakiegokolwiek szczegóły dotyczące Isabel, swojej matki. O jej śmierci Abe mówił bardzo niewiele: pewnego dnia wrócił do ich mieszkania w Meksyku i zastał Esther zapłakaną w łóżeczku. Wszystkie księgi zniknęły, a Isabel leżała martwa na podłodze. Mówił, że dla zabójców książki były towarem, jak diamenty czy produkty naftowe, które można kupić, sprzedać albo zniszczyć. Nie traktowali ich jako zjawiska, którego należy strzec. Tacy ludzie istnieli tak długo, jak istniały księgi, i podobnie jak wielu innych handlarzy często czerpali zyski z zamieszek i niepokoju. Abe wiedział o tym najlepiej: jego dziadkowie ze strony ojca posiadali tę samą zdolność słyszenia magii, którą Abe przekazał Joannie. Mieli też mały teatr w Budapeszcie, słynący z niesamowitych efektów scenicznych – aktorzy potrafili przechodzić przez meble i ściany, elementy scenografii wisiały w powietrzu, a kurtyny stawały w ogniu bez dymu... W 1939 roku wtargnięto tam pod auspicjami prawa wskazującego, ilu żydowskich aktorów może występować na scenie.

Właściciele teatru zniknęli, tak samo jak wszystkie księgi odpowiedzialne za niezwykle efekty. Przetrwało ledwie kilka tomów, te Kalotayowie ukryli w domu. W 1940 roku dotarli kontenerowcem do Stanów Zjednoczonych wraz z dziadkiem Joanny.

Trzy książki, ukryte wtedy w fałszywym dniu kufra, widniały teraz za szkłem w piwnicy Joanny jako bezcenne pamiątki rodzinne i dowód na to, jak groźne może być jawne stosowanie magii.

W każdym razie zdaniem Abego. Cecily uważała, że to nie magia, lecz faszyzm stanowił największe zagrożenie. Skradzione książki były, jej zdaniem, po prostu kolejnym łupem wojennym nazistów, tak samo jak dzieła sztuki, biżuteria, złote plomby czy ludzkie życie. Abe rzeczywiście miał frustrującą tendencję do tego, żeby wszystkie historyczne okrucieństwa zrzucić na łowców książek. Gdy w ósmej klasie Esther przyniosła do domu *Czarownice z Salem*, próbował sugerować, że za tamtymi stosami i procesami stali właśnie łowcy magicznych ksiąg. Cecily nie posiadała się z oburzenia.

„To ten rodzaj logiki, którą karmią się bigoci”, powiedziała. „Wtedy uznajemy, że oskarżenia faktycznie miały podstawy, a ludzie zamordowani za czary rzeczywiście praktykowali magię. Ale tu chodzi o to, co zawsze: o strach i nienawiść. Pomyśl o kłamstwach na temat narodu żydowskiego, rzekomym rytuale krwi, składaniu ludzkich ofiar... Za tym wszystkim stoi nienawiść, strach i pragnienie kontroli. Nazywaj rzeczy po imieniu, Abe”.

Biorąc jednak pod uwagę zarówno historię rodziny, jak i to, co się stało z matką Esther, Joanna nie winiła ojca za paranoję. Po śmierci Isabel nadal gromadził książki, rozbudowując

bibliotekę, aż na półkach stanęło dwieście dwadzieścia osiem magicznych tomów.

Dwieście dwadzieścia dziewięć, jeśli liczyć brązową skórzaną księgę, którą ojciec trzymał, gdy umarł.

Joanna nie liczyła.

Tę księgę uznawała za wyjątkową pod niemal każdym względem. Wszystkie wymagały krwi do aktywacji, ale ta nie tyle przyjęła krew Abego, ile ją wypła. Była najgrubsza, wypełniona tekstem – na samą myśl o tym, ile musiało pójść na to krwi, Joannie własna krew stygła w żyłach. Wyglądało też na to, że strony zszyto ludzkimi włosami. I zaklęcie tej księgi – jednej z dwóch takich w ich kolekcji – wciąż trwało. Ojciec nazywał je książkami w toku.

Joanna nie wiedziała, do czego ten tom służy – nie mogła go przeczytać. Jedynym wyraźnym obrazem było małe złote tłoczenie na tylnej okładce, same słowa umykały oczom, rozpływały się i zmieniały jak kolory w kalejdoskopie. Tak wyglądały książki w toku dla każdego poza czytającym. Esther mogłaby je przeczytać, ale nie chciała. Książki w toku nie dało się również zniszczyć ani podrzeć, ani spalić, ani utopić. Tylko osoba, która pierwsza zaczęła czytać zaklęcie, mogła je zakończyć. Z własnego wyboru... lub przez śmierć.

Książki niedokończone miały również inny, subtelniejszy dźwięk niż te w stanie spoczynku, bo w tych huczał rój. Ta księga, którą ojciec ukrywał przez lata i która doprowadziła do jego śmierci, brzmiała wyjątkowo dziwnie, głęboko, dojmująco.

To nowy nabytek. Tak założyła Joanna po śmierci ojca. Wychowana w cieniu jego paranoi, uznała też, że śmierć była nieprzypadkowa. Miała prawie pewność, że ktoś celowo podarował mu książkę, że ktoś go zabił, aby zawłaszczyć całą kolekcję – taki los spotkał przecież Isabel i pradziadków Joanny.

Abe zebrał swój zbiór, wynajdując tomy w antykwariatach i na wyprzedazach, jeżdżąc na konwenty białych kruków, regularnie zamawiając wielkie paki starych tomów na eBayu w nadziei, że usłyszy w nich znajome brzęczenie. Czasem kupował bezpośrednio od ludzi, którzy wiedzieli, co sprzedają. Prowadził szczegółową dokumentację każdej transakcji i po jego śmierci Joanna przeanalizowała każdy zapis, szukając czegoś podejrzanego – a potem znalazła inny rejestr. Nigdy wcześniej nie widziała tego notesu, leżał ukryty pod skarpetami w górnej szufladzie komody.

Stary brulion miał pożółkłe kartki, a pierwszy zapis zrobiono dwadzieścia siedem lat wcześniej – Abe zaczął notować jeszcze przed jej narodzinami. Nie robił w nim wielu wpisów, może jeden czy dwa rocznie, lecz stawało się jasne, że niedokończona książka nie była nabytkiem nowym.

Miał ją przez całe życie Joanny i przez cały ten czas chciał ją zniszczyć. Namoczył w terpentynie i podpalił, sięgał po piłę łańcuchową, polał wybielaczem. Jego ostatni wpis, zrobiony dzień przed śmiercią, brzmiał: *Ciekawe, co się stanie, jeśli dodam do mieszanki swoją krew. Zlikwiduje, przerwie zaklęcie? Jutro chcę spróbować.*

Próbował zakończyć zaklęcie trwające na stronach książki. A jednak to książka wykończyła jego.

Teraz leżała na biurku w przedniej części piwnicy, a Joanna bardzo uważała, żeby nie dotknąć jej gołymi rękami. Trzymała ją też z daleka od księgi czarów, zbyt cennej, by narazić ją na zniszczenie. Głos Abego w głowie zadał jej to samo pytanie, które zadawał, gdy była mała:

„Teoretycznie to nie jest książka. Jak nazywamy te wczesne manuskrypty? Kodeksem”.

„To semantyka, tato”.

„Precyzja sformułowań, Jo”.

Księgę... kodeks zaklęć napisano po łacinie i mimo niewielkich rozmiarów był najpotężniejszą i najrzadszą pozycją w ich kolekcji. Nie tylko ze względu na to, co mógł zrobić, ale dlatego, że w przeciwieństwie do innych, w których magia blakła wraz z atramentem, zapiski w kodeksie dało się naładować. Należał do Isabel i w chwili jej śmierci znajdował się w magazynie z setką innych ksiąg, nietkniętych przez tego, kto ją zabił. Trzy dni po śmierci żony Abe spakował córkę i nie zatrzymując się nigdzie, przekroczył granicę i jechał przez kontynent, aż do starego domu swojej rodziny w Vermont. Tej nocy pierwszy raz użył czarów i nie pozwolił im zblaknąć do końca swojego życia. Tak samo robiła Joanna.

Podeszła do zlewu i dokładnie umyła ręce, a potem trzymała je pod gorącym powietrzem suszarki elektrycznej, aż poczuła, jak znikają resztki wilgoci. Z szafki z ziołami wzięła szczyptę suszonego krwawnika i werbeny, wsypała do miseczki, wróciła do biurka.

Zioła i rośliny nie były absolutnie niezbędne do odczytania zaklęć, wystarczyłaby krew, ale wzmacniały wszelkie magiczne efekty, wydłużały czas działania. Nigdy nie było jednej „poprawnej odpowiedzi”, raczej wiele opcji. Joanna wykorzystywała wszystko. Uwzględniała naturalne właściwości: werbena dla ochrony, bieluń dla wiedzy i komunikacji, belladonna dla halucynacji. Brała pod uwagę zgodność fizyczną: delikatne zioła dla delikatnej magii. A także geografię: rumianek dla polskich zaklęć, chincho dla peruwiańskich. Z geografii mogła korzystać tylko wtedy, gdy z grubsza wiedziała, skąd pochodzi książka, dlatego najczęściej używała właśnie krwawnika: był cyrkumborealny i rósł swobodnie na całym świecie.

Odstawiła miseczkę, wzięła mały, oprawny w skórę piętnastostronicowy kodeks, otworzyła ostrożnie i położyła go na odchylanej klapie biurka, którą zrobił Abe. Trzymając w ręku srebrny nożyk, zastanowiła się, czy nie otworzyć dzisiejszej rany. Uznała, że to by niepotrzebnie bolało, więc ukłuła się ostrym czubkiem w palec. Kropla krwi posłusznie wypłynęła na powierzchnię. Była najżywszym kolorem w tym pomieszczeniu, bardziej żywym niż ciało, które właśnie opuściła. Joanna trzymała skrwawiony palec nad ziołami, czekając, aż jasna czerwień spłynie po jej skórze. Potem zanurzyła palec w ziołowej mieszance i przycisnęła nacięcie do kodeksu.

W przeciwieństwie do większości ksiąg, które po prostu wchłaniały kroplę krwi, kodeks pił. Dotknięta strona zaczynała łapczywie połykać ożywczy napój, Joanna czuła szczypanie i delikatne ssanie, jakby do opuszki palca przywarły maleńkie usta. Atrament nabierał głębi i połysku, stawał się bardziej wyrazisty. Zasilała kodeks przez całe życie i to ssanie zawsze ją cieszyło, jednak po śmierci Abego przeraziła się, że zaklęcia zwrócą się przeciwko niej, tak jak tamta księga zwróciła się przeciwko ojcu. Nie zrobiły tego i z czasem strach ustąpił. W miarę karmienia słów łacina, którą znała słabo, zmieniała się pod jej wzrokiem w zrozumiałe zdania. Joanna wzięła głęboki, spokojny oddech i zaczęła czytać.

„Niechaj wszechmocne Słowo obdarzy ten dom ciszą zrodzoną z ciszy i niech tą ciszą wzniesieni wzleczą w niebiosa aniołowie. A tych nikt o złych zamiarach nie zobaczy, bo jak niebo okrywa się szczelnie płaszczem chmur, tak aniołowie zasłonią ten dom przed szukającym wzrokiem niegodziwego świata. Niechaj życie uczerni zioła i niech uczerni te słowa, które czynią Słowo...”

Czytała dalej i dalej, piętnaście stron o aniołach, skrzydłach i niegodziwych spojrzaniach, aż wybrzmiało ostatnie zdanie. Wtedy przy szeleście miliona piór Joanna poczuła, że osłony ponownie się uaktywniają. Usłyszała cichy trzask, jakby pieczęcie wokół domu stały się hermetyczne, tak z punktu widzenia nauki, jak też etymologii czy magii. Dom znów był nie do przeniknięcia i nie do odnalezienia. Jak zawsze. Nikt o złych zamiarach nie mógł jej znaleźć.

Tak właściwie w ogóle nikt nie mógł jej znaleźć. Dbały o to osłony, stawiane każdego wieczoru o tej samej godzinie. Otaczały cały teren, podjazd i były niewidoczne dla ludzi, których krwi nie było w księdze. Nie wyczuwały ich również żadne zmysły, nie dało się nawet pomyśleć o lokalizacji posiadłości ani tym bardziej próbować jej szukać i odkryć.

Ludzie w miasteczku znali Abego i Joannę od dawna, ale gdyby zapytać ich, gdzie tych dwoje mieszka, zareagowałiby roztargnionym wyrazem twarzy, zaskoczonym uśmiechem, wzruszeniem ramionami. „Na górze?”, odpowiadali. A czasem: „W dole góry?”.

Nawet matka nie mogła zlokalizować domu – od czasu, kiedy się wyprowadziła i przestała co wieczór dodawać swoją krew do księgi osłon. Gdyby Cecily chciała ją odwiedzić, Joanna musiałaby po nią pojechać – jednak Abe kazał córce przysiąc, że nigdy tego nie zrobi.

Przynajmniej tej obietnicy nie złamała.

Tylko Esther, od zawsze niewrażliwa na magię, mogłaby znaleźć dom. Tylko Esther mogłaby podejść do frontowych drzwi, pchnąć je i zawołać imię Joanny.

Ale Esther nie chciała.

Joanna wsunęła kodeks do ochronnego etui, wstała od biurka, ułożyła rzeczy, a potem zgasiła światło i zamknęła drzwi. Za nią

słodko i dźwięcznie brzęczały książki, bezpieczne w swoim podziemnym domu.

Rano odkryła, że miseczka z tuńczykiem na werandzie jest wylizana do czysta. Joanna wybierała się dziś na zakupy. Okryta czerwoną wełnianą kurtką, wypita kawę na schodkach, wzdrygając się od chłodu i wypatrując między drzewami błysku ciemnego futra.

Było rześko, ale wilgoć przydawała powietrzu ciepła. Taka pogoda zawsze przypominała dzień, w którym dziewczyna znalazła ojca martwego na podjeździe. Joanna miała jednak już wprawę w odsuwaniu tego wspomnienia. Skupiła się na krajobrazie. Zaparkowana przed domem czerwona półciężarówka była jaskrawą plamą, zielone zbocza dalekich gór wspinały się ku chmurom i stawały niebieskie. Pachniało metalem i rozkładem, sosnowymi igłami i nadchodzącą zimą.

Jej uwagę zwrócił szybki ruch przy drzewach, ale to jedynie wiewiórka przeskoczyła na drewniany szczyt starych huśtawek. Gdy Joanna i Esther były małe, rodzice skrupulatnie kosili trawę i dbali o podwórko, lecz z biegiem czasu las zapuszczał się coraz głębiej i teraz żółty plastik huśtawkowych siedzeń przesłaniały krzaki i zarośla.

Powróciło nagłe, żywe, odczuwalne zmysłami wspomnienie: jak siedzi na tym żółtym plastiku, jak się huśta, angażując w to całe ciało. Pęd powietrza szarpie włosami, a ona ściska liny, odchyła się, z całej siły prostuje nogi, wyciąga palce, a Esther na huśtawce obok krzyczy: „Kopnij niebo!”.

W ramach prezentu na siódme urodziny ojciec pozwolił jej przeczytać zaklęcie, dzięki któremu mogła bezpiecznie zlatywać

z niedużych wysokości. Przez całą godzinę trwania czarów Joanna huśtała się najwyżej, jak mogła, a potem zeskakiwała i opadała na ziemię lekko, powoli niczym pyłek dmuchawca. Cecily i Abe przyglądali się temu z werandy, śmiejąc się i jedząc tort urodzinowy. Dziesięcioletnia Esther cały czas huśtała się obok niej i dopingowała ją. Jeśli była zazdrosna, absolutnie tego nie okazała.

Zwykle rodzice udostępniali im tylko taką magię, z której Esther również mogła skorzystać, magię otaczającego ich świata, magię przedmiotów; zaklęcie unoszenia się w powietrzu było czymś nietypowym. Może chcieli to jakoś zrekompensować, bo gdy dziewczynki obudziły się kilka dni później w swoim pokoju, matka siedziała na krześle przy łóżku Esther, a obok ojciec ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku. W rękach trzymał książkę oprawioną w niebieskie płótno.

Joanna od razu ją poznała. To właśnie ten tomik połączył jej rodziców: Cecily sprzedała go przyszłemu mężowi na targach antykwarycznych w Bostonie mniej więcej rok po tym, jak Abe i Esther przeprowadzili się do Vermont.

Oboje często opowiadali tę historię: jak to uwagę Abego przykuła zarówno ładna Belgijka na stoisku z używanymi książkami, jak i mały niebieski tomik, który wyceniła na zaledwie siedem dolarów, nie mając pojęcia o dzwoniącej w nim magii. Cecily z kolei przyciągnęły krzaczaste brwi Abego, jego swobodny, głośny śmiech oraz dwuletni brzdąc. Abe trzymał córeczkę na biodrze, a ona wtórowała śmiechowi ojca, odchylając ciemną kędzierzawą główkę, i naśladowała gest dorosłych.

„Najpierw zakochałam się w tobie”, mówiła nieodmiennie Cecily do Esther. „Twój ojciec był dodatkiem”.

Gdy siostry obudziły się tamtego ranka po siódmym urodzinach Joanny, Abe dotarł już do ostatniej strony zaklęcia, powietrze rozbrzmiewało jego dźwięcznym głosem. Słyszały opowieści o tym, co potrafi wyczarować niebieski tomik, ale nigdy nie widziały, żeby ojciec go czytał. Esther krzyknęła z zachwytem, gdy pierwsze zielone pnącza zaczęły wíć się po ścianach, wypuszczały nabrzmiące pąki, wybuchały aksamitnymi płatkami.

Kwiaty były różowe jak chmury o zachodzie słońca, duże jak głowa Joanny i pachniały tak słodko, że dziewczynka miała łzy w oczach. Cecily pochylila się i objęła Abego ramionami. Esther stanęła na łóżku, a Joanna siedziała nieruchoma i patrzyła, jak pnącza i wielkie kwiaty pokrywają sufit, wypełniają pokój słodyczą karmelizowanych płatków róż i cierpkości skórki pomarańczy. Nawet gdy już płatki dawno zwiędły i opadły, a winorośl uschła, dom na wiele dni zachował tamten aromat.

Wspomnienie było tak silne, że Joanna niemal czuła ten zapach, mocną głęboką nutę, płynącą od zimnej, hibernującej ziemi. Książki, których zaklęcia służyły wyłącznie pięknu, stanowiły rzadkość. Kiedy odchodziła od Abego wiele lat później, Cecily zabrała tę niebieską. Wzięła też kilka innych z różnymi zaklęciami: mogły one naprawiać zepsute przedmioty, skłaniać każdą roślinę do rodzenia soczystych czerwonych pomidorów, izolować intruza za niewidzialną barierą.

Joanna widziała w tym hipokryzję, biorąc pod uwagę, z jaką niechęcią, wręcz wrogością Cecily ostatecznie potraktowała te tomy. Świadomość jednak, że mimo wszystko kiedyś darzyła je miłością i że ten sentyment w niej pozostał, niosła pewne pocieszenie.

Postawiła kubek po kawie na schodku i poszła do starej półciężarówki ojca.

Pojechała do miasta dłuższą trasą, nie autostradą, lecz tą wysadzoną sosnami, wijącą się wzdłuż zielonej rzeki. Gdy Esther zrobiła już prawo jazdy, w weekendy zabierała Joannę na wypady: jechały, słuchały muzyki, rozmawiały – łatwiej przychodziło im się zwierzać, gdy patrzyły w drogę przed sobą. Gdy Esther się wyprowadziła, a ojciec wciąż żył i dzielili się wieczornym stawianiem osłon, Joanna często robiła sobie długie samotne przejażdżki: szukała tomów, które mogłyby dołączyć do ich kolekcji. Węszyła na wiejskich wyprzedazach, przeglądała zapchane regały księgarenek w małych miastach, wypatrywała książek odręcznie zapisanych, które błędnie zaklasyfikowano jako stare pamiętniki czy księgi rachunkowe. Szukała, nasłuchując rzadkiego odgłosu magii. Zgodnie z wielką amerykańską tradycją łączyła samochód z upajającym poczuciem wolności w ruchu. Gdy siadała za kierownicą, ogarniała ją dzika radość, czuła, że jej życie jednak należy do niej i w każdej chwili może wykonać nagły, niespodziewany zwrot.

Ale kiedy wyobrażała sobie mapę, widziała siateczkę żył wychodzących z domu, który był sercem. Mogła dać się porwać, mogła odnosić wrażenie, że się uwalnia, ale coś nieuchronnie ciągnęło ją z powrotem. Obieg zamknięty, nie otwarta ścieżka.

Zastanowiła się, zresztą nie po raz pierwszy, jak Esther postrzega świat. Co myśli o tym małym skrawku ziemi, na którym żyła, chyba szczęśliwa, przez osiemnaście lat? Dopóki nie wyjechała nagle, nie było między nimi wielu tajemnic, zwłaszcza w trasie, a jednak Joanna nie miała pojęcia, że jej siostra chce opuścić gniazdo, tak samo jak nie wiedziała, czemu to zrobiła. Nie mogła sobie wyobrazić, jak czuje się Esther, gdy

myśli o domu. Jeśli w ogóle tak postrzega Vermont. Jeśli w ogóle o nim myśli.

W broszurach turystycznych opisywano miasteczko jako urocze. W tym przypadku oznaczało to: kruszącą się cegłę, pomalowane na biało deski starych budynków i ręcznie wymalowane drewniane szyldy, kołyszące się na wietrze. Była też nieduża rzeka, której wody płynęły po księżycowych kamieniach, teraz przy brzegach ścięte lodem. Jednopasmowy most nad nią dzielił centrum miasta na dwie części, nazywane potocznie starym i nowym miastem.

W starym mieście znajdowały się sklep z narzędziami, poczta z dużą witryną i grillowy bar z wejściem w stylu westernowego saloonu. Ta część mogła się poszczycić również terenem zieleni – kwadratem trawiastego brzegu rzeki z kamienną ławką i amerykańską flagą. Nowe miasto z kolei uwzględniało potrzeby przybywających na narty turystów: kawiarnia z motywem łośi i motyli oraz sklep ze sprzętem outdoorowym po jednej stronie ulicy, po drugiej sklep ogólny, prowadzony przez Cecily, i księgarnia książek używanych.

Joanna zaparkowała przed pocztą na starym mieście, za subaru tak zardzewiałym, że przez podwozie pewnie mogłaby zobaczyć silnik. Mała frontowa sala z rzędami metalowych skrzynek pocztowych była pusta. W skrzynce Joanny leżały dwie pocztówki. Serce od razu dziewczynie przyspieszyło, ale nie, jeszcze nie czytała, wyszła na zewnątrz, usiadła na zimnej ławce skweru i dopiero wtedy spojrzała na odręczne pismo. Znała je równie dobrze, jak kiedyś głos siostry.

Zaadresowana do niej kartka przedstawiała nocne niebo, poprzecinane smugami zielonego światła, podpisane na dole *Aurora Australis*.

Kochana Jo!

Postanowiłam zostać na stacji na kolejny sezon. Mamy teraz lato, co oznacza, że słońce nigdy nie zachodzi. Nie ma tutaj kwitnących drzew. Tęsknię za nimi i za Tobą.

Całuję, Twoja ciężko pracująca siostra Esther.

Jak to często bywało, pocztówka do Cecily była podobna. Jeszcze jedna odsłona zorzy z bieguna południowego, tylko niebo intensywniej różowe, a czcionka podpisu bardziej kwadratowa.

Kochana mamo!

Zamierzam posiedzieć w tych śniegach jeszcze jeden sezon. Lubię tu ludzi i pracę, choć jedzenie pozostawia wiele do życzenia. Tęsknię za syropem klonowym. I za Tobą.

Całuję, Esther.

Wpatrywała się w pismo siostry, aż zaczęło się rozmazywać. „Tęsknię za Tobą”. Od tego cukrowego kłamstwa skręcił jej się żołądek. Gdyby Esther rzeczywiście pałała taką tęsknotą, wróciłaby do domu, żeby się z nimi spotkać. A jednak nigdy tego nie zrobi... i nie zrobiła.

Joanna wstała. Szkoda, że zabrakło jej odwagi, aby wrzucić kartki do kosza. Włożyła je starannie do kieszeni i ruszyła przez wąski most, płosząc stadko wron przycupniętych na metalowej barierce. Odleciały z chórem pretensji, czarne jak smoła pióro spłynęło na beton.

Białe deski domów starego miasta ustąpiły miejsca ceglanym budynkom w nowym mieście. Joanna odruchowo weszła do księgarni. Najpierw nasłuchiwała potencjalnego brzęczenia magii – cisza. Potem przejrzała stos romansów historycznych, które Madge, właścicielka, odłożyła dla niej. Madge miała

siedemdziesiąt trzy lata, była szczupła i energiczna. Choć przez większość młodości działała w lesbijskim ruchu separatystycznym, była zdeklarowaną pozeraczką heteroseksualnych romansów, w których lodowe serca małomównych książąt topił ogień anachronicznych feministek.

– Ta była świetna. – Madge postukała w okładkę: rozpięta prawie do pępka biała koszula odsłaniała mocno owłosioną pierś mężczyzny na koniu. – I naprawdę sporo się dowiedziałam o żółtej febrze.

Joanna ją kupiła. Próbowwała współczesnych romansów, ale nie ruszało jej nic, co działałoby się w dwudziestym wieku, może dlatego, że sama żyła w dziewiętnastym, choć z dobrodziejstwami kanalizacji. Nie umiała wyobrazić sobie koronkowej bielizny i sekstingu, ale już noszenie wielu skomplikowanych warstw halek i tarzanie się przed kominkiem – z łatwością.

Nie żeby kiedykolwiek do tego doszło. Dotychczasowe doświadczenia seksualne ograniczały się do zbliżeń z chłopakami na imprezach, na które zabierała ją Esther na początku liceum. Tamte obściskiwanki z udziałem niewprawnych palców wymagały jedynie chęci, a szukanie prawdziwej bliskości wydawało się bezcelowe. Żeby opowiedzieć coś szczerego o sobie, żeby naprawdę dać się poznać albo poznać inną osobę, musiałaby mówić o książkach. A tego zrobić nie mogła.

Sklep matki mieścił się w tym samym długim ceglany budynku, co księgarnia. Joanna spojrzała na markizę, stanęła przy zaparkowanym vanie i zerknęła w boczne lustro. Cecily zwykle mniej się martwiła, jeśli córka dobrze wyglądała, lecz jedyne, co Joanna mogła teraz zmienić, to rozpleść długi warkocz i rozrzucić włosy na ramionach. Gęste i lekko falujące,

w kolorze gryczanego miodu, od razu zelektryzowały się na wełnie kurtki. Może powinna włożyć zielony kapelusz, który zdaniem Cecily podkreśla jej piwne oczy? Jednak nie.

Uśmiechnęła się do lusterka i od razu spoważniała. Dołeczki w policzkach bardzo ją drażniły. Wyglądała jak Esther.

Weszła do sklepu, zabręczały dzwonki. Jak zawsze pachniało tutaj kadzidełkiem i witaminami. Joanna niekoniecznie lubiła ten suchy, duszący aromat, ale wzbudzał w niej pewną tęsknotę. Był to zapach samej Cecily, mocny, ciepły i zdrowy. Matka pracowała tu od dzieciństwa Joanny. Dostała awans na kierowniczkę kilka lat po odejściu od Abego. Sklep, choć zaczynał jako spółdzielnia ze zdrową żywnością, z czasem zaczął przypominać njejdżowe sklepiki z bibelotami, częste w bogatszych miastach turystycznych Nowej Anglii. Krysztály i karty do tarota na pojemnikach z ekologicznym owsem, warsztaty astrologiczne obok zajęć z fermentacji; duchowe mieszanki ziołowe panoszące się w dziale z herbatą.

Jedyny klient oglądał rękawiczki z alpaki. Joanna nie znała go, pewnie turysta, choć nie zaczął się jeszcze sezon narciarski. Cecily stała przy chłodziarce z warzywami, delikatnie zraszając pietruszkę i kolendrę. Podobnie jak Joanna była wysoka, jednak w przeciwieństwie do córki zachowywała nienaganną postawę i nie kryła swojego wzrostu. Miała płaskie kości policzkowe i wciąż mówiła z akcentem, choć nie mieszkała w Belgii już ponad czterdzieści lat.

– Moje malutkie dziecko! – zawołała na widok córki, upuściła spryskiwacz obok brokułów i rzuciła się uściskać Joannę.

Klient podniósł wzrok znad rękawiczek i spojrzał pytająco na dziewczynę, która w najmniejszym stopniu nie wyglądała na dziecko, zwłaszcza małe. Joanna nie przejmowała się jego uniesionymi brwiami, zakłopotanie odpuściła sobie jakieś

dziesięć tysięcy przytuleń temu. Odwzajemniła uścisk i odsunęła się odrobinę, żeby Cecily mogła dotknąć jej pasma włosów i przyjrzeć się rozdwojonym końcówkom.

– Podciąłabym je w pięć sekund – oznajmiła. – W cztery! – poprawiła się i krzyknęła: – Skarbie, co z twoją ręką?

– Nic takiego... skaleczyłam się, otwierając puszkę.

– Przemyślaś to?

– Tak, nic mi nie jest. Odebrałam kartki od Esther.

Cecily nie zmieniła wyrazu twarzy, ale wzięła spryskiwacz i wróciła do warzyw.

– Gdzie ona teraz się podziewa? – rzuciła w stronę brokułów.

– Leży w słońcu pod palmami? Zajada w Barcelonie orzechy włoskie?

– Czy to właśnie robi się w Barcelonie?

– Ja to robiłam – odparła Cecily. – Ale to były lata osiemdziesiąte.

Joanna dała sobie spokój z orzechami.

– Nie, nie ma jej w Barcelonie. Została na stacji.

Cecily obróciła się gwałtownie, mgiełka ze spryskiwacza zrosiła kurtkę córki.

– Co? Jakiej stacji?

– Na tej samej, na której spędziła ostatni rok – odparła Joanna zaskoczona reakcją matki.

– Na Antarktyce?

– A gdzie indziej?

– Niemożliwe, musiałaś coś źle zrozumieć – stwierdziła Cecily. – Daj mi kartkę.

– To jak, mogę kupić? – przypomniał o sobie klient.

Cecily zawahała się, wcisnęła spryskiwacz w ręce dziewczyny i ruszyła do przodu, prawie wpadając na obrotowy stojak z olejkami eterycznymi. Joanna podążyła za nią, znacznie wolniej.

Matka zwykle emanowała urokiem sprzedawcy: „Znalazł pan to, czego szukał?”, „Widziała pani nasz nowy krem nawilżający z kozim mlekiem?”. Tym razem jednak zapakowała rękawiczki i przyjęła pieniądze bez uśmiechu, jakby zniecierpliwiona obecnością kupującego. Gdy dzwoneczki nad drzwiami obwieściły, że wyszedł, wyciągnęła rękę.

– Pocztówki, skarbie.

Joanna dała jej obie. Cecily położyła je na ladzie i mruczając pod nosem, przeczytała bardzo uważnie najpierw jedną, potem drugą. Założyła gładkie włosy za uszy, potrząsnęła głową i przeczytała ponownie, jak gdyby obawiała się, że coś przegapiła.

– Co jest? – zaniepokoiła się Joanna. Od lat nie widziała matki tak poruszonej i od razu poczuła strach, nawet jeśli nie rozumiała, czym się tu przejmować. – Coś złego?

– Przecież wie – mamrotała do siebie kobieta. – Przecież wie, że nie może tam zostać, że musi... – Urwała i zakasłała.

Joanna stała bez ruchu, gdy Cecily odwróciła głowę, kaszląc mocno w ramię. Ten kaszel dręczył ją od dawna, co z początku niepokoiło dziewczynę, w końcu jednak zaczęła podejrzewać, o co tu chodzi: matka dostawała napadu tylko wtedy, gdy pojawiał się niewygodny temat. Wreszcie odetchnęła i stała chwilę z zamkniętymi oczami, opierając dłonie na pocztówkach.

– Co cię tak wzburzyło? – zapytała Joanna, lecz matka nie odpowiedziała. – Że jest daleko? Zawsze jest daleko, co za różnica: Barcelona czy Antarktyka?

– To na końcu świata. – Cecily położyła dłoń na szyi. – Może to dobrze? Może to rzeczywiście dobrze. – Chyba się już opanowała, bo wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do Joanny. – Co powiesz na to, że wpadłabym dzisiaj na kolację? Przyniosłabym lazanie i butelkę wina, a potem podciąłabym ci włosy na werandzie, jak wtedy, kiedy byłaś małą dziewczynką...

Joanna poczuła bolesną kulę w gardle.

– Mamo. Nie.

– Joanno, patrzysz na mnie tak, jakbym chciała poderżnąć ci gardło, a nie proponowała, że odwiedzę cię w domu. Który kiedyś, nawiasem mówiąc, był moim domem. To niemądre, nie widzisz tego?

Widziała: polecenie, które ojciec nabazgrał w ostatnich chwilach życia. „Nie wpuszczaj matki”. Była to najtrudniejsza prośba i spełnienie jej najwięcej Joannę kosztowało. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach po jego śmierci, kiedy siedziała sama w wielkim, pustym domu i płakała we własne ramiona zamiast w ramiona matki. A ta mieszkała ledwie kilka kilometrów dalej i przyjechałaby w ciągu kilku minut, gdyby tylko Joanna ją zaprosiła.

Ona jednak nigdy tego nie robi. Nie po tym, co stało się dziesięć lat temu, tydzień po wyjeździe Esther. Joannę obudziły wtedy odgłosy stłumionych krzyków. Dudniący baryton ojca podniósł się do tonu, którego nigdy wcześniej nie słyszała, wściekłość mieszała się w nim z przerażeniem. Dziewczyna wyskoczyła z łóżka i podążyła za krzykami aż do korytarza na tyłach, gdzie zatrzymała się z walącym sercem. Rodzice byli w piwnicy z książkami – od drzwi płynął wyraźny zapach dymu.

Zbiegła na sam dół: Cecily z mokrą twarzą stała nad Abem, który klęczał przed osłonami, w pośpiechu zalewając ogień, który trawił dywan przy regałach. Ognisko zostało starannie

zbudowane: kilka kawałków drewna i trójkąt rozpałki umieszczono nad kodeksem i polano benzyną. Choć jednak dywan i podłoga pod nim były spalone, księga pozostała nietknięta, uratowała ją własna niedokończona struktura bycia w toku. Kilka pobliskich książek miało mniej szczęścia, niektóre utracili na zawsze. Choć było jasne, że głównym celem Cecily stał się kodeks, wyraźnie cieszyła się z każdego zniszczenia, jakie udało jej się spowodować. Gdy odwróciła się do stojącej w drzwiach przerażonej Joanny, na jej obliczu nie było żalu.

„Twój ojciec dał jasno do zrozumienia, że bardziej zależy mu na książkach niż na rodzinie”, oznajmiła. „Nie potrafię tak dłużej. Odchodzę. Proszę cię, idź ze mną, Joanno. Za progiem czeka na ciebie cały świat”.

Abe podniósł wzrok znad ognia, który właśnie zdołał ugasić. W dłoniach, jak postrzelonego ptaka, trzymał zniszczoną książkę.

Z ostrością wywołaną szokiem Joanna wpatrywała się w poczerniałe krawędzie stron, w pomarszczoną i pokrytą pęcherzami skórę okładki, w stopiony klej na grzbiecie. Znała tę książkę, właśnie ten tomik posłał ją z żółtej huśtawki prosto w błękitne niebo. Spojrzała na pobladłego ojca i poczuła w sobie ten sam szok, to samo osłupienie.

Przeniosła wzrok na matkę – zobaczyła świeże łzy. Kobieta już wiedziała, którego z rodziców wybierze Joanna.

Teraz, w sklepie, oczy Cecily pozostały suche.

– Nie mogę cię wpuścić – oznajmiła twardo dziewczyna. – Wiesz, że nie mogę. Nie.

Cecily odsunęła się od lady, zamrugła.

– Jesteś więźniem, Joanno. Więźniem własnej paranoi, tak jak twój ojciec. Widzę to na twojej twarzy. I od tego pęka mi

serce – dodała. Joanna odwróciła wzrok. Nie miała siły na tę rozmowę. – Książki rządziły Abem – Cecily wyciągnęła rękę – ale nie muszą rządzić tobą. Możesz je zostawić, wyjść do świata, mieć prawdziwe życie!

– To jest moje prawdziwe życie – powiedziała Joanna. – I nie jestem więźniem. Tak wybrałam. Podobnie jak ty wybrałaś, że zostaniesz w mieście, choć mogłaś zrobić wszystko, wyjechać dokądkolwiek, choć mówiłam ci milion razy, że nie będę miała pretensji, jeśli opuścisz te strony. Jeżeli ja jestem przykuta do książek, to ty jesteś przykuta do mnie i każda z nas dokonała wyboru. Skoro ja szanuję twój, czemu ty nie możesz uszanować mojego?

Zaciętość na twarzy Cecily osłabła, matka potarła policzki, rozmazała czerwoną szminkę, którą zawsze malowała usta przed wyjściem z domu.

– Masz rację, Joanno – odezwała się niemal oficjalnie. – Przepraszam. To twoje życie.

– Zgadza się. – Dziewczyna chciała już tylko, żeby ta wymiana zdań się skończyła. – Dziękuję.

– Kocham cię. – Matka uścisnęła jej dłoń.

– Ja też cię kocham – powiedziała szczerze Joanna. Słowa wywołały smutek i zmęczenie.

Cecily szybko poprawiła szminkę, usunęła z podbródka czerwone smugi.

– Przyjdiesz jutro na lunch, skarbie? Upiekę chleb na zakwasie i zrobię twoją ulubioną zupę marchewkową.

Kompromis.

– Przyjdę.

– O pierwszej? O drugiej?

Ostony ustawiała codziennie przed dziewiętnastą, zostawało jeszcze mnóstwo czasu.

– O drugiej. Może nawet podetniesz mi włosy.

Cecily przyglądała się, jak córka zabiera z lady swoją pocztówkę i wsuwa ją do kieszeni. Ostatni uścisk i Joanna była wolna.

W domu zeszła do piwnicy, zrobiła rożek z folii aluminiowej, po czym wypełniła go kocimiętką, tojadem i gwiazdnicą. Wzięła z regału książkę. Tekst pochodził z 1600 roku i napisano go po francusku. Joanna pamiętała, kiedy Abe przyniósł ten tom do domu, miała wtedy dziesięć lat. Przeglądała go ze słownikiem, żeby zrozumieć, co robi zakłęcie, zanim wypróbują je na głos. Atrament wyblakł, ale czar wciąż mógł działać. Joanna zabrała księgę na górę, wzięła srebrny nożyk, który zawsze leżał przy zlewie, i wyszła na dwór.

Ruszyła pomiędzy drzewa, kilka metrów dalej znajdowała się płaska skała, usiadła na niej; poczuła zimny kamień. Rozwinęła folię, ukłuła się w palec, zanurzyła skrwawioną opuszkę w ziołach, a potem otworzyła książkę na kolanach. Przycisnęła palec do strony, poczekała, aż francuski ułoży się w zrozumiały dla niej język, i zaczęła recytować.

– „Niech mój głos poniesie się tam, gdzie wieje wiatr. Niech mnie usłyszają i przybędą spokojnie...”

Formuła była długa i potężna, przeczytanie jej zajęło prawie pół godziny. Gdy dziewczyna wypowiadała słowa, energia wokół zaczynała się zmieniać, podnosząc jej włoski na rękach i nogach. Ogarnęło ją brzęczenie, rojność zaklęcia, dźwięki lasu wzmagaly się w reakcji na głos; wrony krakały głośniejsze, wiatr nucił w drzewach, jej własne serce wybijało rytm jak metronom.

Przez trzydzieści minut nie odrywała oczu od kartek, zmysły odbierały zmieniające się odgłosy, ale wzrok skupiał się wyłącznie na słowach. Słyszała szmery liści i trzaskanie gałązek, gdy łapy zmierzały do niej przez las; słyszała świst gałęzi i powolny ciepły oddech, ale nie podnosiła wzroku – wówczas musiałaby zaczynać od nowa. Jej głos rozbrzmiewał silny i niespieszny, aż dotarła do ostatniej strony. Pozwoliła wtedy słowom spaść z języka i zadzwonić w zimnym powietrzu jak trącone szkło.

Zamknęła książkę. Spojrzała.

Wokół niej stały zwierzęta, nieruchome jak figury na szachownicy, czekające na ruch jej dłoni. Jelenie, długonogie, w przepychu zimowej sierści, zamarły niczym posągi, z pulsem bijącym na szyi pod aksamitną skórą. Niedźwiedzica siedziała na ogromnym, futrzastym czarnym zadzie, wilgotne nozdrza falowały, wielkie łapy trzymała na liściach. Rdzawy łoś – tak duży, że aż przerażający, i tak bliski, że Joanna widziała meszek na porożu – oblizał wargi różowym językiem. Wyleniały kojot drapał się beztrąsko za poszarpanym uchem, milczące ptaki obsiadły gałęzie drzew, przyszedł lis, przytruchtało mnóstwo wiewiórek.

Ale ani jednego pręgowanego kota.

Joanna stłumiła rozczarowanie, podniosła się i zeszła między zwierzęta.

To była pierwsza książka, którą ojciec pozwolił jej przeczytać na głos, kiedy miała dziesięć lat. Teraz znów ogarnął ją ten sam dziecinny zachwyty i podziw. Abe tłumaczył, że to zakłęcie myśliwskie. Stanowiło łatwy sposób na szybkie zdobycie mięsa, ale nigdy go do tego nie używali.

Niedźwiedź poruszył uchem, gdy dziewczyna pogładziła jego pysk i pierś. Futro było tak gęste i miękkie, że niemal lepkie.

Joanna odwinęła wargę zwierzęcia i przejechała palcami po żółtych zębach, czując zapach piżma i kwaśnych jabłek. Niedźwiedź patrzył na nią błyszczącymi oczkami z ciekawością, ale bez drapieżności czy niepokoju. Położyła dłoń na czubku łba, głęboko zatopiła palce w mocnym futrze. Wsunęła obie dłonie w kryzę na szyi.

Przebywanie tuż obok tego ogromnego zwierzęcia zelektryzowało ją całą, świerzbiły opuszki palców, serce przyspieszyło, w głowie wirowało z radości.

Jelenie pozwoliły się objąć i wtulić policzek w ciepłą sierść. Łoś nie odsunął się, gdy stanęła na palcach, żeby dotknąć jego łopat, tylko dmuchnął gorącym oddechem na jej twarz. Malutki królik w dłoniach Joanny poruszał noskiem, jego ciało wibrowało mocno bijącym sercem.

W domu, otoczona wspomnieniami po ojcu, z książkami brzęczącymi pod stopami, czasem czuła się straszliwie samotna i bała się, że pewnego dnia zniknie jak atrament w często używanej książce. Ale tutaj, pośród dzikich zwierząt, pijąc powietrze niczym dobry słodki cydr, odniosła wrażenie, że jej linie i kolory wracają, krawędzie ciemnieją, a rdzeń się wypełnia.

Objęła dłońmi pyszczek kojota i wpatrywała się w jego piękne oczy, jasnozielone jak ostatni przedjesienny liść, a kojot patrzył na nią. Ilu ludzi kiedykolwiek doświadczyło czegoś takiego? Ilu władało podobną mocą? Jak śmiała kiedykolwiek tęsknić za innym życiem?

Może na to nie wyglądało, ale Esther potrzebowała rutyny: pod tym względem była nieodrodną córką ojca. Przez lata nauczyła się, że zdolność adaptacji sama w sobie stanowi rutynę i że można się jej nauczyć. Nawyki wyrabiała automatycznie i tu na stacji żyła w trybie, który zdumiałby jej przyjaciół oraz kolegów, gdyby tylko zwrócili na to uwagę. Każdego ranka działało się to samo: budziła się dokładnie o tej samej porze, zakładała ubrania w tej samej kolejności, we wspólnej łazience korzystała z tej samej kabiny – jeśli ta była zajęta, stawała przy umywalkach, udając, że układa włosy. Co rano jadła na śniadanie płatki owsiane, do których dodawała łyżkę brązowego cukru, i co rano porównywała tę owsiankę do owsianki z dzieciństwa, skąpanej w kałużach gęstego syropu klonowego.

Ten ranek nie różniłby się od innych, gdyby nie lęk, który nadawał jedzeniu smak kleju. Patrzenie w lustro z krwawymi śladami było jak patrzenie w oko cholernego Saurona. A do tego wszystkiego miała kaca.

Nowi i starzy koledzy wokół niej rozmawiali lub wpatrywali się w ekrany laptopów sfrustrowani, na próżno czekając, aż sieć pozwoli im zadzwonić do rodziny lub wysłać mail.

Esther z własną rodziną rozmawiała dwa lata temu: kiedy nie wróciła do domu po śmierci ojca, Joanna przysięgła, że więcej się do niej nie odezwie. I nawet jeśli macocha wciąż chciała się z nią skontaktować, dziewczyna wolała myśleć, że jej rodzina jest niedostępna.

Najważniejsze, że Joanna żyła bezpiecznie za osłonami.

Stolarz z Kolorado, który próbował flirtu zeszłej nocy, wsunął się na miejsce naprzeciwko. Nałożył sobie na talerz tyle, że gdyby Esther była w nastroju do żartów, trochę by się z nim podrażniła. Uśmiechnął się do niej z ustami pełnymi jedzenia.

– Cześć – wyfaflunił. – Esther, prawda?

– Cześć. A ty jesteś... Trevor.

– Trev – poprawił. – Co masz dzisiaj w planach?

Jak by ci to powiedzieć, Trev? Zamierzam poddać się kacowi, mdłościom i panice, dopóki nie przejmie kontroli moja niezłomna determinacja. Wtedy zacznę się zastanawiać, kto – do ciężkiej cholery – przywiózł tu książkę i czy chce mnie zabić, czy nie.

– Jeszcze nie wiem – odparła, opuszczając łyżkę w owsiankę.

– Na początek pójdę wziąć zadanie. W sumie to teraz.

– Och. – Spojrzał rozczarowany, potem zdobył się na uśmiech. – Spoko. Jasne. Widzimy się?

Zdołała posłać mu serdeczny (miała nadzieję) uśmiech i poszła odstawić naczynia na taśmociąg zjeżdżający do kuchni. W kolejce po jedzenie zobaczyła Pearl. Od razu się rozpromieniła. Australijka też ją spostrzegła i ruszyła w jej stronę.

– Tu jesteś! Martwiłam się o ciebie. Gdzie wczoraj zniknęłaś?

– Przeholowałam – skłamała Esther. – Kręciło mi się w głowie i poszłam do łóżka.

– Dlaczego nie powiedziałaś? Zajęłabym się tobą.

– Widok nie był miły.

– A ten jest? – Pearl wskazała ich identyczne kombinezony.

– Na tobie? No ba!

Pearl pokręciła głową.

– A jak dzisiaj? Lepiej?

– O wiele. Serdecznie polecam wodę... wiadrami.

– Zapamiętam. – Pearl nachyliła się, żeby ją pocałować.

Esther, świadoma brzęku sztuców na talerzach, rozmów, wszechobecnych oczu, odsunęła się odruchowo. I od razu wiedziała, że popełniła błąd: na twarzy przyjaciółki rozlał się ból.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – Naprawdę wybac, ciągle mam wstręt do siebie po zeszłej nocy.

Nawet w najlepszych chwilach nie lubiła obnosić się z uczuciami. Nie dlatego, że się wstydziła – przerażała ją otwarta deklaracja. Byłaby obnażaniem się, słabością, którą ktoś mógłby wykorzystać. Nawet teraz mogli ją obserwować, planować.

– Jasne – rzuciła Pearl obojętnie i cofnęła się; Esther natychmiast pożałowała tej odległości. – No to co, widzimy się na kolacji?

– Widzimy – potwierdziła Esther z ukłuciem w piersi. Zatrzymała się w drzwiach, patrzyła, jak Pearl idzie przez stołówkę, jak przystaje, żeby zamienić z kimś dwa słowa.

Abby, mechaniczka, usiadła na miejscu Esther naprzeciwko Treva i pomachała Pearl. Osilek skinął jej głową.

Esther wyszła z kambuza.

Tego ranka było minus dwadzieścia trzy, wiatr ciął ostro, gdy szła z części mieszkalnej do warsztatu elektryków. Suchy śnieg skrzypiał pod butami. Mrużyła oczy przed mocnym blaskiem – słońce odbijało się od białych połaci i ścian budynków gospodarczych. Pearl pewnie włoży swoje wielkie różowe zajebiste ray-bany i będzie wyglądać jak połączenie supermodelki z lat siedemdziesiątych z mechanikiem

samochodowym. Jeśli istniało coś bardziej pociągającego, Esther jeszcze się z tym nie spotkała.

Należało przyjąć ten pocałunek.

Warsztat mieścił się w budynku nakrytym kopułą i przypominał lepszy magazyn. Był tak oszłamiająco wyposażony, że Esther opadła szczęka, gdy go zobaczyła po raz pierwszy. Przewody i kable we wszystkich barwach i o każdej grubości wisiały zwinięte na szpulach zamontowanych na ścianach. Same ściany zastawiono wysokimi szafkami ze złączami koncentrycznymi, opaskami, złączkami, a do tego obwieszane tablicami z każdym rodzajem znanych człowiekowi szczypiec.

Dzisiaj znajdowało się tu również mnóstwo ludzi. Na porannej odprawie zauważyła pełno obcych twarzy, którym w normalnej sytuacji chętnie by się przyjrzała. Dziś była tak rozkojarzona, że wszystko rozgrywało się poza nią: odprawa zleciała nie wiadomo kiedy i znów Esther wyszła na mroźny wiatr, do jednego z laboratoriów, gdzie polecono jej wymienić okablowanie.

Praca łatwa, lecz niewygodna. Kilka godzin tkwienia pod podłogą, na plecach albo na brzuchu, wiercenie otworów powyżej i poniżej; marzła, bo zdjęła kombinezon dla większej swobody ruchów. Nie miała klaustrofobii, a jednak dziś męczyła ją ta niewielka przestrzeń i świadomość, że w razie czego nie zdołałaby uciec. Wykonanie zadania zajęło jej więcej czasu niż zwykle, bo co rusz wychodziła do laboratorium, żeby ogrzać ręce, wziąć poziomice albo zmienić wiertło. Czy po prostu posiedzieć, żeby ochłonąć.

Żałowała, że nie robi nic bardziej złożonego, co oderwałoby ją od myśli o tajemniczych księgach i magii, od rozważań o rodzinie – zwłaszcza o siostrze, która mieszka samotnie

w pustym domu, gdzie towarzystwa dotrzymują jej tylko książki.

Za każdym razem, gdy umysł Esther dryfował, podążał w jednym z dwóch kierunków: strachu albo Joanny. Często te dwie ścieżki łączyły się ze sobą.

Pierwszym wspomnieniem był dzień, w którym siostra się urodziła – Esther miała wtedy trzy latka. Tego samego dnia dowiedziała się – albo jakoś tak to sobie przyswoiła – prawdy, że Cecily nie jest jej biologiczną matką, że kobieta, która ją urodziła, już nie żyje. Nie miała pewności, czy faktycznie pamiętała ten dzień, czy jedynie opowieść o nim, ale niezależnie od tego, czy wspomnienia były prawdziwe czy zmyślane, Esther je miała.

Jo urodziła się w domu, w łazience na parterze, w wielkiej żeliwnej wannie, ponieważ Cecily powiedziała, że Ryby powinny przyjść na świat w wodzie. Abe przez dziewięć miesięcy studiował położnictwo i sam przyjął poród. Nie tylko dlatego, że Cecily chciała rodzić w domu: on przez swoją paranoję wykluczał podróż do szpitala. Tego Esther wtedy jeszcze nie wiedziała.

Z tamtego dnia zapamiętała smak maślanych ciasteczek, które Abe upiekł, aby ją rozerwać. Widok czerwonej chmury między nogami Cecily w wodzie i krzyk matki – Esther nie przypuszczała, że człowiek w ogóle może tak głośno krzyczeć. I jeszcze głos ojca, gdy odpowiedział na jedno pytanie i wywołał całą masę innych: „Nie, kochanie, twoja mama urodziła cię w szpitalu”. I wreszcie Joanna, pomarszczona i różowa jak zerwany dziecięcy plaster, ale z idealnymi, malutkimi ludzkimi dłońmi i idealnymi, świetlistymi ludzkimi oczami.

Później, gdy podraszały, Esther skupiła się na różnicach, ale w dzieciństwie najbardziej fascynowały ją podobieństwa. Obie

uwielbiały żuć skórkę z cytryny i łupiny arbuza, kochały zdjęcia kóz, lecz nie same kozy, uwielbiały sypać piasek na włosy, żeby go potem wytrząsać, i oglądać swoich rodziców, jak tańczą powoli w salonie przy muzyce z płyt Motown. Uwielbiały szum wiatru, trzask pękającego lodu i jeszcze głosy kojotów nawołujących się w górach.

Nie cierpiały za to suwaków, smaku szynki, słowa „mleko”, muzyki fletu, bulgotania lodówki, weekendów, kiedy Cecily wyjeżdżała, upierania się ojca przy regularnych partiach szachów i dni bez chmur. Nie lubiły pudeł z książkami, które codziennie zjawiały się przed drzwiami lub które ojciec przynosił skądś do domu. Nie znosiły ich zapachu kurzu i samotności ani tego, jak pochłaniają uwagę Abego. Nie lubiły, gdy rodzice zamykali drzwi do sypialni i kłócili się szeptem. Nienawidziły archaicznego określenia „pólsiostra”. Między nimi nie było nic połowicznego.

Aż do dnia, w którym Esther skończyła dziewięć lat, a Joanna miała sześć. Abe posadził Joannę w salonie, a Cecily stała za nim z krzepiącym uśmiechem i widocznym pod nim niepokojem. Joanna siedziała na kanapie przed ławą, na której leżało siedem książek. Wszystkie wyglądały na bardzo stare.

– Tylko coś wypróbujemy – oznajmił Abe i nie było w tym nic dziwnego, bo on wiecznie czegoś próbował.

Ledwie parę dni temu włożył w ręce Esther bardzo starą książkę – w miękkiej skórzanej okładce, ze stronami jak zasuszone liście – po czym zapytał: „Możesz ją podrzeć?”. Spojrzała na niego podejrzliwie, czując w tym podstęp. Tyle razy powtarzał, żeby uważała na książki, a teraz miałyby jakąś zniszczyć?

– Śmiało – zachęcił. Zrobiła, co się dało, ale chociaż papier wydawał się kruchy, nie zdołała rozerwać żadnej kartki, nie

zrobiła nawet zagniecenia. Pod czujnym okiem ojca próbowała książkę podpalić, potem namoczyć w wodzie... papier pozostał jakby nietknięty. Abe wydawał się zawiedziony, ale nie córką, ona cieszyła się z jego uwagi. Zapytała więc: – Czy ja też będę mogła spróbować?

– Nie tym razem, kochanie – odparł. – Poznałaś już moje ważne książki, te, które są aktywne, i wiesz, że na ciebie nie działają, prawda?

Tak, Esther wiedziała.

– Mhm – mruknęła tylko.

– To niezwykle; jesteś wyjątkowa. Chcę sprawdzić, czy Joanna też jest wyjątkowa.

– Już i tak jesteś wyjątkowa – zapewniła Cecily młodszą córeczkę, bo dziewczynka wydawała się zaniepokojona.

– Oczywiście – zgodził się Abe. – Oczywiście. Obie jesteście wspaniałymi małymi Ziemiakami (mieli wtedy totalną obsesję na punkcie kosmitów). – Dobrze, Jo. – Przykucnął przed nią z brodą najeżoną wzburzeniem. – Widzisz te książki? Chcę, żebyś mi powiedziała, czy w którejś z nich jest coś specjalnego.

Joanna przyjęła to zadanie z właściwą sobie powagą i chwilę później powiedziała:

– Ta jest bardzo brzydka.

Abe spojrział na książkę, znacznie grubszą niż pozostałe i oprawioną w sztywne, poplamione brązowe płótno. Wydawał się rozczarowany, choć sama Esther poczuła dreszcz radości. Nie rozumiała, co za test był tu przeprowadzany, lecz zależało jej, aby siostra go oblała. Nigdy wcześniej nie czuła czegoś takiego i wcale jej się to nie podobało.

– Dobrze – odezwał się ojciec po chwili. – Przyznaję ci słuszność. Coś jeszcze?

Mała pokręciła głową. Abe odchylił się na oparcie i westchnął. Cecily chyba spadł kamień z serca, a sekundę później Joanna powiedziała:

– Tylko jedna z nich tak śmiesznie dźwięczy.

Energia w pokoju zmieniła się natychmiast: Abe wyprostował się, nad wyraz czujny, Cecily gwałtownie wciągnęła powietrze. Oboje całkowicie skupili się na młodszej córce.

– Jaki to dźwięk, kochanie? – spytał Abe.

– Głośny – odparła Joanna i wzruszyła ramionami. Nauczyła się tego gestu niedawno i powtarzała go przy każdej okazji. – Takie brzęczenie z brokatem w środku. I smakuje jak... naleśniki.

– Która tak brzęczy? – drażył Abe. Mówił bardzo głośno, czyli był podekscytowany. Rzadko krzyczał w gniewie.

– Ta. – Joanna szturchnęła najcieńszą, oprawioną w podniszczoną czerwoną skórę. – Mogę dostać ciasteczka?

– Nie! – zawołał Abe zelektryzowany. – Ciasteczka jemy po kolacji! Wiedziałem! Wiedziałem!

Chwytał Jo w ramiona i całował ją raz po raz w czubek głowy. Esther nigdy nie widziała ojca tak szczęśliwego. Spojrzała na Cecily, próbując zrozumieć, o co chodzi, ale matka wpatrywała się w Joannę z dłonią przyciśniętą do szyi i ze łzami w oczach. Wyglądała na tak smutną, że Esther się przestraszyła.

– Mamusiu, co się stało?

Cokolwiek to było, nie dotyczyło Esther. Cecily patrzyła na Abego i Joannę, Jo była zachwycona uwagą, choć zdezorientowana przyczyną, Abe promieniał szczęściem.

Od tamtego dnia Esther przestała wychwytywać podobieństwa i zaczęła zauważać różnice.

Oczywiście wtedy jeszcze tego nie rozumiała. Nie wiedziała, że właśnie przeżyła w swoim życiu punkt zwrotny, że pojawia się granica między Jo, która potrafi nie tylko czytać magię, lecz także ją słyszeć, a samą Esther, która tej umiejętności nie ma. Ta granica z czasem stała się ścianą, kamiennym murem, takim jak te, które bieły w lasach wokół ich domu, zanim jeszcze drzewa przejęły pola, oddzielając rodziny i posiadłości.

W sumie to idiotyczne, że nigdy nie połączyła kropek. Osłony powstawały za sprawą magii, więc skoro Esther była na tę magię odporna, nie działały na nią również osłony. Wynikające z tego konsekwencje zrozumiała dopiero po wyjaśnieniach ojca, gdy skończyła osiemnaście lat.

Dopóki mieszkała w tym domu, osłona nie mogła nikogo chronić: ani Abego, ani Cecily... ani Joanny. Żeby znaleźć rodzinę Esther, wystarczyło znaleźć samą Esther.

Westchnęła. Nie miała skłonności do nostalgii czy introspekcji – a raczej jakąkolwiek wrodzoną skłonność do takich rzeczy stłumiła lata temu. Nie służyły życiu, które prowadziła. Jednak dzisiaj zanurzała się we wspomnieniach.

Zazwyczaj leczyła zły nastrój spotkaniami z ludźmi albo seksem, lecz ślady krwi na wszystkich publicznych lustrach zniechęcały do szukania towarzystwa, a nigdzie nie widziała Pearl. Po pracy siedziała w swoim pokoju i przypominała sobie wszystko, co wiedziała o magii luster.

Istniały dwa jej rodzaje, w każdym razie tyle jej rodzina miała w swojej kolekcji: magia oddziałująca na jedno lustro i magia łącząca dwa. Magia pojedynczego lustra mogła zmienić czyjeś odbicie i robić rzeczy, o których Esther nic nie wiedziała. W tym przypadku wystarczyła tylko jedna osoba do odczytania zaklęcia i aktywowania go własną krwią. Zaklęcie łączące wymagało już dwóch osób, po jednej przy każdym lustrze. Można było w ten

sposób nawiązać ezoteryczne połączenie wideo, komunikować się i przesyłać jakieś przedmioty.

Lecz nie żywe istoty. Przypomniała sobie – i od razu tego pożałowała – tamto popołudnie, kiedy ojciec i siostra eksperymentowali ze świstakami. Joanna się rozpląkała, a Esther słyszała, jak Abe, również straumatyzowany, mówi do Cecily: „Nawet jeśli zniszczyły wszystkie ogórki, żadne stworzenie nie powinno doświadczyć czegoś takiego”.

Nic więcej nie wiedziała. Przecież była odporna na magię.

Jej krew miała zerową użyteczność w aktywacji zaklęć, więc żadne czary nie miały na Esther wpływu. We wczesnej młodości fascynowała się pracą swojej rodziny – które dziecko by się tym nie fascynowało? – lecz z biegiem czasu porzuciła manuskrypty, krew i zaklęcia na rzecz spraw bardziej namacalnych: tego, czego może dotknąć, co może zobaczyć czy naprawić. Magia wydawała się ponurym przedłużeniem świata ludzi, którzy szukają, posiadają lub tracą tajemną moc – zawsze dla niej niedostępną.

Wyciągnęła się na łóżku i podrzuciła długopis pod sufit, potem złapała. Zostawił małą czarną kropkę, która dołączyła do innych małych kropek powstałych, gdy dziewczyna podrzucała różne długopisy wiele razy wcześniej. Kolejne przyzwyczajenie.

Jedna osoba z magiczną książką na tym końcu świata byłaby czymś niezwykłym, ale niekoniecznie alarmującym. Jednak dwie osoby w dwóch różnych miejscach, posługujące się dwoma połączonymi lustrami, działające w tandemie...

To sugerowało intencję. Powód. Plan.

Skoro nie udało jej się zetrzeć krwi, to należało wnioskować, że zaklęcie, czymkolwiek było, wciąż trwa. A to z kolei znaczyło,

że jeśli ktoś obserwował ją z drugiej strony, to zrozumiał, że Esther już je zauważyła.

Wiedział, że ona wie.

Nagle ktoś załomotał do drzwi, Esther usiadła tak szybko, że jej serce dudniło w uszach. Uderzona fluorescencyjnym blaskiem własnej sypialni – jakby do tej pory zapadała się w mroku – zerwała się z łóżka. Odruchowo przyjęła postawę wypracowaną latami trenowania sztuk walki.

– Tak? – zawołała.

– To ja – usłyszała znajomy głos i jej puls od razu się uspokoił. Otworzyła, Pearl uśmiechnęła się do niej. – Idziemy na kolację?

Zupełnie straciła poczucie czasu.

– Jasne, tylko wezmę sweter.

Australijka kręciła się po maleńkim pokoju; w tym czasie Esther włożyła czerwony wełniany sweter, poprawiła splątane, nastroszone włosy.

Nie wiedziała zbyt wiele o swojej matce, ale z jedyne go zdjęcia, które znała, wynikało, że Isabel miała piękne proste, lśniące włosy. Raczej niesprawiedliwe, że ze wszystkich cech, które Esther mogła odziedziczyć po ojcu – dajmy na to: zdolność słyszenia magii – odziedziczyła nietolerancję laktozy i puszczające się loki.

– Jak tłumaczenie? – Pearl wzięła powieść z szafki nocnej i spojrzała na jedną z kolorowych samoprzylepnych karteczek.

– Jak zawsze, amatorszczyzna.

Pearl padła na łóżko.

– Szukałam tej książki w necie – powiedziała. – Wiesz, że jest warta tysiące dolarów?

– Wiem. Opłaciłaby mi studia, gdybym na nie poszła.

Od razu chciała cofnąć swoje słowa: studia były czułym punktem przyjaciółki, nawet jeśli ta nie chciała się do tego przyznać. Pearl rzuciła tylko beztrąsko:

– Och, wyższe wykształcenie jest przereklamowane.

Esther nachyliła się i ścisnęła jej stopę.

Rodzice Pearl rozstali się, gdy była dzieckiem, i oboje pili. Jeśli jednak jej amerykańskiego ojca nigdy nie było, australijska matka z determinacją trzymała wszystko w kupie, na tyle, na ile potrafiła. Przez dwadzieścia lat pracowała jako recepcjonistka w tym samym gabinecie dentystycznym w Sydney, odkładała pieniądze, żeby córka mogła pójść na studia, i piła wyłącznie wieczorami. Dziewczyna niejedną poranek chodziła na palcach wokół nieprzytomnej matki, czasem leżącej na kanapie, czasem na podłodze. Nierzadko sprzątała butelki i rozlany alkohol, zanim kobieta się obudziła, zanim zaczęła płakać ze wstydu na widok swojego bałaganu.

Były bardzo zżyte, więc gdy Pearl wyjechała, żeby studiować w Kalifornii, matka strasznie tęskniła. Bez osoby, którą mogła się opiekować, której zapewniała stabilność, szybko przestała panować nad swoim uzależnieniem. Gdy córka przyjechała do domu na wakacje po pierwszym roku studiów, zastała matkę w tak złym stanie, że nie wróciła na uczelnię nawet po jej śmierci sześć lat później.

Dla Pearl studia były synonimem głębokiego poczucia winy, dla Esther – jedynie kolejnym gorzkim paciorkiem w różańcu szans niewykorzystanych.

– Gdzie ją w ogóle znalazłaś? – spytała Pearl, delikatnie przewracając strony.

Mogłaby powiedzieć prawdę – tę jedną, nie ujawniając nic innego. Prezent od macochy, książka znaleziona na strychu; nic nadzwyczajnego. Jednak nigdy nie mówiła o swojej rodzinie, choćby nie wiem jak tego chciała. Pearl bez skrupowania opowiadała o blaskach i brzydocie swojej przeszłości, Esther za to kłamała, choć przy tym nieraz zbierało się jej na wymioty.

– W antykwariacie. W Meksyku – rzuciła.

– Przeczytasz mi jakiś fragment? – poprosiła Pearl. – Wiesz, po angielsku. Twoje tłumaczenie.

Esther się zarumieniła.

– Nie jest dobre.

– Oj, przecież nie o to chodzi. – Australijka wyciągnęła rękę i pogłaskała tę część ciała Esther, której mogła dosięgnąć: jej kolano. Nieczyste zagranie. Zdawała sobie sprawę, że Esther prędkiej się na coś zgodzi pod wpływem kontaktu fizycznego. – Proszę. Tylko jeden akapit.

– Jeśli ci naprawdę zależy... – powiedziała Esther. Tylko tyle mogła dać Pearl. Przyjaciółka podciągnęła się na łóżku i usiadła pod ścianą, Esther podeszła do starego laptopa, wybudziła go, usiadła przy biurku i przewinęła dokument. – To jest słabe – ostrzegła ponownie. – Nie znam aż tak dobrze hiszpańskiego i nie jestem pisarką.

– Za to ja jestem twoją wielbicieleką. Będę dumna, żeby nie wiem co.

Esther odchrząknęła niepewnie i zaczęła:

„Kiedy pękło lustro, które mi dałeś, doña Marcela zażądała, by je zasłonić. Nikt nie pamiętał, skąd wzięły się rysy, lecz ona upierała się, że patrzenie w rozbite lustro przynosi pecha. Jaka byłaby przerażona, gdyby wiedziała, że powodowana impulsem odsłoniłam je zeszłej nocy. Leżałam w łóżku, nie mogłam spać

i wpatrywałam się w lustro – wisiało na ścianie zakryte białym szalem. Nagle nie mogłam już dłużej tego znieść: wstałam i na palcach przeszłam przez pokój. Lecz kiedy odsunęłam materiał, pojęłam, że lustro znów jest całe – a może tylko pęknięcia były niewidoczne w słabym świetle świec? Kiedy patrzyłam, poczułam ten sam dreszcz, który przeszył mnie tamtego dnia w pawilonie – zupełnie jakbyś spoglądał na mnie przez szybę. A kiedy dotknęłam szkła, to przysięgam, że zafalowało i ugięło się pod moimi palcami niczym tafla jeziora”.

Zamilkła, Pearl biła brawo, a Esther wpatrywała się w dokument i dopiero chwilę później zamknęła laptopa. Czytała tę książkę setki razy, ale dopiero teraz, gdy wypowiadała te słowa na głos, zalała ją fala niepokoju.

To było to: magia lustra.

– Wciągnęłam się – powiedziała Pearl. – Kto dał jej to lustro? Na pewno jakiś kochanek.

– Tak. Woła ją w nocy, a ona próbuje przejść do niego przez szkło.

Pearl się uśmiechnęła.

– A więc to romans.

– Niezupełnie. Lustro nie przenosi jej do tego mężczyzny; przenosi ją do innego świata, gdzie kochanek nie może za nią podążać.

– Och. – Pearl chyba poczuła się rozczarowana.

Esther chciała wyjaśnić, że dobrze się stało, że narratorka w ogóle nie pasowała do świata swojego wybranka, że to opowieść o wyzwoleniu. Ale pomimo godzin spędzonych nad tłumaczeniem i szukaniem adekwatnych angielskich słów, żadne z nich nie przychodziło jej teraz do głowy.

Późną nocą, kilka godzin po północnym posiłku dla trzeciej zmiany, kiedy stacja w końcu weszła w fazę snu, Esther wyplątała się z ciepła Pearl i ostrożnie zeszła z łóżka. Przyjaciółka obudziła się i patrzyła w ciemności, lecz gdy Esther mruknęła coś uspokajającego, tamta już znowu spała.

Esther wsunęła buty, bez sznurowania, po omacku przeszukała biurko, aż znalazła notes i długopis. Trzymała je w dłoniach, konfrontując się z tym, co planowała zrobić.

Często podejmowała decyzje bez mierzenia się z realiami, żeby potem mogła sobie powiedzieć: „W sumie nie miałam wyboru, prawda? Tak się po prostu stało. Nie moja wina”. Niestety, świadomość, że ma taką tendencję, i rozpoznanie jej, gdy się pojawiała, to dwie różne rzeczy. Teraz jednak spozrzała prawdzie w oczy.

Tak, robię to celowo.

Łazienka na końcu korytarza była, jak większość łazienek, wspólna dla sześciu osób, które tutaj mieszkały. Esther weszła do toalety, cicho zawołała, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nikogo nie ma, a potem dla pewności otworzyła każdą z trzech kabin. W końcu zamknęła drzwi i stanęła przed umywalką, nad którą wisiało lustro. W odbiciu widziała głowę i ramiona. Na jasnobrązową skórę padało ostre światło, oczy wydawały się czarne. Strach. Zwilżyła palec i dotknęła nim krwawego wzoru po prawej stronie. Zakłęcie nie pozwoliło się zmyć, odporne jak zaschnięty lakier ani drgnęło, nawet gdy poskrobała paznokciem. Czy ktoś już zauważył te wzory? Jak je sobie wyjaśnił? Lakier do paznokci, skaza srebrzonej powłoki, zaszyfrowana wiadomość dla ekipy sprzątającej?

– Cześć – powiedziała Esther do lustra, obserwując ruch własnych ust. Ostrożnie dotknęła powierzchni, zimnej i gładkiej. – Jeśli tam jesteś, chciałabym porozmawiać.

Minęły długie, dudniące minuty, ale nic, żadnego błysku czy dźwięku. Idealne odbicie Esther i łazienki, na odwrót.

Dziewczyna wyjęła notes i długopis. Dużymi drukowanymi literami, tak starannie, jak tylko pozwalał na to jej niechlujny charakter pisma, nakreśliła (normalnie i w drugą stronę, niepewna logiki odbicia magicznego lustra):

KIM JESTEŚ?

KIW ŁEŻŁEŻ;

Przyłożyła notatnik do piersi, jak numer na zdjęciu policyjnym, i znów czekała. Puls tłukł się w niej wszędzie: w gardle, w skroniach, w nadgarstkach, w brzuchu. To było niczym nocowanka w dzieciństwie, kiedy wołasz: „Krwawa Mary, Krwawa Mary, Krwawa Mary” i boisz się, że zaraz zobaczysz w lusterku straszną twarz. I choć z jednej strony wiadomo, że żadna Krwawa Mary nie przyjdzie, bo nie może, to z drugiej – myślisz, że oczywiście jak najbardziej może się pojawić.

Lecz mijały minuty... i znowu nic.

Esther westchnęła głośno. Ulżyło jej. Ale też była rozczarowana. Wściekła. Jej knykcie krwawiłyby właśnie od rozbitego lustra, gdyby w ten sposób wyładowywała złość. Ona jednak tylko uderzyła w taflę notesem: głośne plaśnięcie odbiło się od kafelkowych ścian, lecz nie wyrządziła żadnej szkody.

Waliła w lustro niczym ptak, który szybę pomylił z niebem.

KIM JESTEŚ? KIM JESTEŚ? KIM JESTEŚ?

I nic, nic, nic.

– Bardzo dobrze – warknęła i złapała notes. Tak naprawdę nie spodziewała się odpowiedzi, lecz ta nieprzenikliwość ją rozwścieczyła.

Już miała odejść, kiedy to zobaczyła.

Zniekształcenie. Lekkie drżenie, tak jak rozchodzące się fale, kiedy wrzuci się kamyczek do stawu. Jej odbicie, nadal idealne, lecz rozchwiane. Wstrzymała oddech.

Z tafla lustra wysuwało się coś płaskiego i kremowego.

Papier. Bardzo ładny, gruby, ząbkowany na brzegach, drogi. Przeszedł przez lustro i spadł do umywalki, jego boki od razu zaczęły się zawijać pod wpływem kropel wody. Esther pochwyciła arkusz, zanim atrament zdążył się rozmazać. Kilka zdań napisanych piękną, staromodną kursywą, choć litery były nierówne i przerywane. Na dole widniał odcisk skrwawionego palca. Trzymała kartkę w drżących rękach i czytała:

Esther, zaufaj mi, błagam. Ty i osoby, na których Ci zależy, jesteście w niebezpieczeństwie. Wracaj do domu, do siostry, natychmiast, za trzy dni odlatuje samolot transportowy, musisz do niego wsiąść. Weź to i nie kontaktuj się więcej przez lustro. Nie tylko ja obserwuję.

Zanim przekaz zdołał do niej dotrzeć, z lustra wypadło jeszcze coś: zwykła beżowa koperta, również skrwawiona w rogu. Esther otworzyła ją, słysząc w łazience echo własnego szybkiego oddechu; wyjęła małą granatową książeczkę i kilka kawałków błyszczącego zadrukowanego papieru.

Odwróciła książeczkę, zamrugała. Paszport. Amerykański paszport, a do tego bilety lotnicze. Również delikatnie splamione krwią, która pozwoliła im przejść przez lustro.

Odwróciła pierwszą stronę paszportu i zobaczyła własną twarz – tę, która pojawiła się zeszłej nocy, zaciekawiona, wpatrująca się w lustro, tylko nałożona na szare tło. Ktoś pstryknął jej zdjęcie w lustrze. Ktoś wyrobił jej paszport na dane Emily Madison, typowe amerykańskie imię i nazwisko, żadna

tam Esther Kalotay. Bilety, również na Emily, były na trzy dni od teraz. Z Antarktyki przez Nową Zelandię do Los Angeles, Bostonu i wreszcie – do Burlington.

Małe lotnisko najbliżej jej rodzinnego domu.

Osunęła się na podłogę, z biletami w trzęsących się dłoniach. W głowie jej wirowało.

Była tak oszołomiona, że prawie przegapiła ostatnią przesyłkę, na szczęście zaalarmowało ją stuknięcie plastiku o porcelanę. Plastikowa fiolka, szczelnie zamknięta. W środku trzy mililitry czerwonego płynu.

Krew.

Na fiolce znajdowała się etykieta, pochylone litery wpadały na siebie. Ten sam charakter pisma w miniaturze.

Ścieżka zapewni naturalny następny krok.

Woda w kieliszku Nicholasa zabulgotała.

Goście wokół niego, z identycznymi kieliszkami w dłoniach, zamruczeli zafascynowani, a Nicholas przez chwilę widział tę dziwną scenę z lotu ptaka. Dwadzieścia osób w garniturach i sukniach koktajlowych w salonie penthouse'u. Białe skórzane sofy i czarne lakierowane stoliki, czerwone adamaszkowe ściany z obrazami Rothko i Auerbacha. Okno ze wspaniałym widokiem na rozjarzoną londyńską noc – a jednak wszyscy, zamiast podziwiać obrazy, widoki czy też stroje, wpatrywali się w szkło.

Wszyscy z wyjątkiem Nicholasa.

Z przodu sali, dramatycznie upozowany przed paleniskiem z czarnego marmuru, stał gospodarz wieczoru sir Edward Deacon. Trzymał przed sobą książkę i recytował flegmatycznym głosem. Pomruki gości przeszły w okrzyki zachwyty, gdy bąbelki w wodzie zrobiły się najpierw mętne, potem lekko brązowe. Ciemniały w trakcie recytacji. Goście wachali kieliszki, wdychając wyraźną teraz nutę taniny i szepcząc głupstwa w rodzaju: „Czerwone! Robi się naprawdę czerwone! Dobry Boże, pachnie jak wino!”.

Ktoś z tyłu parsknął nieelegancko, Nicholas się obejrzał: jego ochroniarz też wachał drogocenną i niezwykłą ciecz, ewidentnie – i bez powodzenia – naśladując innych gości. Po pierwsze, Collins jako jedyny w tym salonie trzymał kieliszek za czaszę zamiast za nóżkę. Po drugie, pomimo przyzwoitego garnituru, który wybrał mu Nicholas, wciąż wyglądał jak zatrudniony

w ostatniej chwili statysta w filmie o bostońskiej irlandzkiej mafii, na przykład pięściarz-narzeczoną czyjejś córki. Całkowicie odstawał od tego eleganckiego towarzystwa.

Sir Edward wreszcie dobrnął do końca, wypowiadając ostatnie słowo w skrzekliwym triumfie, a goście oderwali wzrok od ciemnego, prawie fioletowego burgundu i spojrzeli na gospodarza. Sir Edward niespiesznie zamknął książkę, wyraźnie delektując się tym powszechnym oczekiwaniem. Obok niego stał kamerdyner. Na tacy trzymał miseczkę suszonych ziół i pełny kieliszek wina. Zrobił krok do przodu. Arystokrata ujął kieliszek, odłożył książkę i lokaj znów się cofnął.

– Drodzy przyjaciele! – rzekł sir Edward. – Trzymacie oto pierwszy rocznik jednego z najlepszych winiarzy na świecie: wino, o którym nikt żyjący nie mógłby powiedzieć, że go próbował. – Potoczył wzrokiem po zebranych. – Nikt z wyjątkiem nas. Z ogromną przyjemnością dzielę się oto z wami Domaine de la Romanée-Conti z tysiąc osiemset sześćdziesiątego dziewiątego roku. – Zawiesił głos, a towarzystwo zaczęło ostrożnie bić brawo, uważając na kieliszki. – Jak wielu z was wie, projekt ten powstawał latami, odkąd po raz pierwszy wymyśliłem go w wapiennych winnicach Burgundii. I nigdy nie mógłbym zrealizować tego marzenia, gdyby nie współpraca i współdziałanie, gdyby nie Richard Maxwell i doktor Maram Ebla.

Richard stał na drugim końcu pomieszczenia, ale Nicholas dobrze go widział – odruchowo zacisnął zęby, gdy stryj lekko skłonił głowę, z uśmiechem przyjmując subtelny aplauz. Stojąca u jego boku Maram zapewne robiła to samo, choć tego Nicholas już nie mógł dostrzec, zasłaniał ją barczysty mężczyzna w kurtce Toma Forda z poprzedniego sezonu.

– A teraz toast!

Wokół Nicholasa uniosły się eleganckie ramiona, lecz on nie potrafił się do tego zmusić. „Współpraca i współdziałanie”, co za bzdety. W porządku, niech będzie, że sir Edward wpadł na ten pomysł, Richard pośredniczył w zawieraniu umowy, a Maram wysłała ludzi do Francji, by zebrali liście winogron i ziemię z winnic, ale to Nicholas spędził prawie pół roku na pisaniu właściwej książki. To on miał ledwo zagojoną ranę, która nadal ciągnęła w zgięciu łokcia. To on oddał prawie litr krwi.

Gdy słowa toastu wybrzmiały, wszyscy kręcili kieliszkami i podnosili je do ust. Pili, zachwycając się i gratulując. Klepali Richarda po plecach i ściskali dłoń sir Edwardowi – i żadnego z gości nie byłoby w tym salonie, gdyby nie Nicholas, i żaden z nich o tym nie wiedział.

Odwrócił się do Collinsa, który miał usta pełne wina i nie wyglądał na zadowolonego z tego powodu.

– Idę trochę odetchnąć – poinformował. – Nie idź za mną.

Ochroniarz wypluł wino do kieliszka.

– To obrzydliwe – zauważył Nicholas.

– Zgadzam się – przyznał Collins. – Ma smak skarpetek – uściślił. Kobieta stojąca najbliżej usłyszała tę uwagę. Przechyliła głowę na długiej, owiniętej perłami szyi i spojrzała na barbarzyńcę z czystą grozą. Ten wykrztusił przeprosiny i powiedział do Nicholasa, już znacznie ciszej: – Ale wiesz, że cała moja praca polega prawie wyłącznie na chodzeniu za tobą?

Nicholas przewrócił oczami i odszedł; po drodze ominął najeżoną metalową rzeźbę i kilku siorbiących wino gości. Szedł w stronę przesuwanych szklanych drzwi, prowadzących na balkon. Słyszał za sobą ciężkie kroki Collinsa, gdy otworzył drzwi i wy dostał się na chłodne i wilgotne listopadowe powietrze; ochroniarz na szczęście został w salonie. Przez szybę Nicholas widział, jak tamten zajmuje niewygodną pozycję przed

drzwiami, jak włożył dużą dłoń do kieszeni, potem ją wyjął, jak oparł się o ścianę z wystudiowaną swobodą i ponownie spróbował wina.

Nicholas odwrócił się plecami do Collinsa, do przyjęcia i do tych wszystkich kieliszków migoczącego granatowego wina. Drobne kropelki deszczu osiadały mu na twarzy i zraszały włosy, wzdrygnął się w cienkiej marynarce, jednak dobrze było odetchnąć chłodnym powietrzem po zaduchu salonu.

Na balkonie stały dwie sofy i szklany stoliczek z dwoma krzesłami, lecz Nicholas nie usiadł, oparł się o metalową barierkę i patrzył na jasne światła nocnego miasta. Widział oświetloną kopułę i kolumny katedry Świętego Pawła, w oddali koło obserwacyjne London Eye jarzyło się niebieskim światłem na tle grafitowego nieba.

Podniósł kieliszek do ust, przecież nie spróbował jeszcze własnego dzieła. Mimo że irytował go stryj, sir Edward i – właściwie – wszystko, musiał przyznać, że to konkretne zlecenie było zajmujące. Podobały mu się badania, które zakładały korespondencję z historykiem botaniki w Cambridge: jakież to rośliny mogły rosnać w winnicy Côte de Nuits w 1869 roku i jakie zjawiska pogodowe mogły oddziaływać na winogrona (szczególnie ciepła wiosna, jak się okazało). W dodatku sam tekst był rzadkim wyzwaniem, wymyślną manipulacją językiem, pozwalającą odtworzyć nie tylko smak trunku, ale też odurzające efekty oraz kolor. Był ciekaw, jak to się połączyło.

Najpierw przyszedł zapach: ciemna, mocna eksplozja owoców. Potem poczuł smak długi i jedwabisty, z echem zakurzonych minerałów i dojrzałych czerwonych winogron. I wreszcie akcent końca leniwego letniego dnia, subtelny jak

wieczorny śpiew ptaków. Korzenna, drzewna nuta doprowadziła do długiego, pięknie skonstruowanego finiszu.

– Ja pierdolę – powiedział na głos. Upił kolejny łyk, potem jeszcze jeden.

W głębi duszy spodziewał się, że wino smakować będzie jak krew, lecz tak nie było. Miało smak wina, wykwintnego, słodkiego i ziemistego (żadne tam skarpety, Collins). Przebłysk dumy na chwilę przyćmił gorzkość. Nie mieli jak się dowiedzieć, czy powstała idealna kopia rocznika, o który prosił sir Edward, lecz Nicholas odnosił wrażenie, że iluzja prawie dorównała oryginałowi.

Bo tym właśnie było to wino: iluzją.

Po wypiciu połowy kieliszka Nicholas czuł, jak łagodne ciepło alkoholu stępia ostre krawędzie złego nastroju, ale nawet to było iluzją. Gdy zakłęcie przestanie działać, czyli mniej więcej za godzinę, wino w jego ciele znów zmieni się w wodę.

Dawno temu, kiedy dopiero zaczął uczyć się historii i pozyskiwać wiedzę na temat bieżących wydarzeń, Nicholas wyobrażał sobie, że będzie pisał książki, które przemienią kamienie w chleb, a błoto w jabłka. Ujrzał całą bohaterką przyszłość, na zawsze kładącą kres głodowi. Maram szybko straciła go z tych obłoków. Magiczne bochenki chleba i owoce, najbardziej nawet aromatyczne, wrócą do pierwotnej postaci, gdy zakłęcie przestanie działać. Równie dobrze ludzie mogliby jeść ziemię.

Odsuwane szklane drzwi wpuściły na balkon szum rozmów i znów je stłumiły. Głos Maram dobiegł z lewej strony.

– Kosztujesz efekty swojej ciężkiej pracy?

Nicholas nie lubił, gdy ludzie zachodzili go od tyłu. Odpowiedział, nie odwracając się; nadal patrzył na miasto.

– Wolę podłe prawdziwe wino niż najdoskonalszą podróbkę.

Maram weszła w jego pole widzenia, spojrzała, uniosła ciemną brew. Była niska, mocno zbudowana, miała złotobrazową skórę i czarne włosy, już gdzieśgdzie poprzątkane srebrnymi nitkami. Często dobierała podobne odcienie – brązowe jedwabne bluzki, długie beżowe płaszcze, onyksowe kolczyki w srebrze. Dziś miała na sobie ciemnobrazową migoczącą suknię i czarną jedwabną narzutkę. W takiej paletce barw wyglądała niczym na zdjęciu w sepii, wiecznie upozowana. Jej twarz ułożyła się teraz w dobrze znaną migawkę: zmarszczka nad uniesionymi brwiami, lekki uśmiech, spokojne spojrzenie.

– „Podróbka” nie wydaje się najlepszym słowem – zauważyła, nieodmiennie skupiona na semantyce.

– Dobrze więc: ulotna kopia.

– Wszystko w życiu jest ulotne – rzuciła z nutką autoironii. Wiedziała, jak Nicholas gardzi takimi banałami.

– Co słyhać w środku? – spytał. – Sir Edward nadal w roli Jezusa wśród wielbiących go tłumów? Już całują mu stopy?

– Wolałbyś, żeby całowali twoje? – zripostowała.

To go trochę dotknęło. Chciał uznania, nie czołobitności.

– I żeby zniszczyli mi buty szminką? Nie.

– W każdym razie Richard dobrze się bawi – zauważyła Maram.

Nicholas spojrzał na szklane drzwi. Przez rozmazane odbicie światła miasta i własnej podobizny widział większość zebranych, a wśród nich przystojną, młodą twarz stryja, który, wyższy od prawie wszystkich o głowę, śmiał się właśnie. Podobno ojciec Nicholasa, młodszy brat Richarda, także był wysoki, więc w dzieciństwie Nicholas spodziewał się, że on sam

też kiedyś osiągnie słuszny wzrost. Wypadł jednak z tej rodzinnej loterii, kiedy zatrzymał się na przyzwoitym metrze siedemdziesięciu pięciu.

– Jest w swoim żywiole – dodała Maram.

Miała rację. Lista gości składała się z ludzi bogatych, uważających się za mecenasów sztuki, a Richard postrzegał siebie tak samo. Bardziej kolekcjoner niż mecenas, gromadził rzeczy wielokroć cenniejsze niż dzieła sztuki i cieszył się każdą okazją obcowania z innymi entuzjastami.

Nicholas spróbował unieść brew w zdziwieniu, choć wiedział, że to będzie katastrofa. Po latach ćwiczenia przed lustrem firmowej miny doktor Elby osiągał co najwyżej komiczne zaskoczenie.

– Wolałbym, żeby mnie zabrał na tamto przyjęcie na West Endzie w zeszłym tygodniu – stwierdził. – Lubię aktorów. – Jego matka, Szkotka, grała w teatrze; Nicholas wciąż trzymał w szafce nocnej programy z jej spektakli.

– Jasne, że lubisz aktorów – odparła Maram, owijając się szalem. Jej włosy połyskiwały kropelkami mgły. – Narcyz w stawie.

Zignorował przytyk.

– Nie to miałem na myśli, mówiąc, że chciałbym wyjść gdzieś indziej, i dobrze o tym wiesz.

Znów uniesiona brew.

– A gdzie? Do klubu? Chciałbyś muzyki tak głośnej, że nikt nie usłyszałby twojego wołania o pomoc? Tłoku na parkiecie, żeby Collins nie zdołał dotrzeć na czas?

– Nie, nie do klubu. Wystarczyłby pub. Z ludźmi poniżej trzydziestki, chociaż raz.

– Collins nie skończył jeszcze trzydziestu lat.

– Mówiłem o kimś, komu nie płacą za stanie obok mnie.

Ugryzł się w język. Twarz Maram, zwykle nienagannie opanowana, nagle złagodniała z litości. Poczuł, że się rumieni, odwrócił wzrok. Znowu zapomniał, że ona też pobiera wynagrodzenie.

Pracowała dla Richarda i Biblioteki, odkąd sięgał pamięcią, najpierw jako sekretarka odpowiedzialna za porządkowanie notatek jego zmarłego ojca, potem jako główna wychowawczyni Nicholasa, teraz jako szefowa Biblioteki i... Nazwijmy to: dziewczyna Richarda. Nie, brzmiało dziecinnie. Raczej partnerka, w każdym znaczeniu tego słowa. Od początku dawała do zrozumienia, że nie zamierza być zastępczą matką chłopaka ani nawet ciotką, ale wciąż była najbliżej ich obu. Teraz, mniej więcej dorosły, Nicholas czasami traktował ją jak przyjaciółkę.

Którą nie była. Pozostawała pracownikiem Biblioteki, tak samo jak Collins, tak samo jak lekarz, kucharz i ludzie, którzy podawali śniadanie czy robili pranie. Tak samo jak wszyscy inni w jego życiu, z wyjątkiem stryja: Richard był Biblioteką. Teoretycznie nawet Nicholas był jego pracownikiem, a także bratankiem i spadkobiercą Biblioteki.

– Wiem, że czujesz się samotny... – zaczęła Maram.

Odsunął się, gdy położyła mu rękę na ramieniu, w kieliszku zachlupotały resztki ulotnego wina.

– Znudzony – poprawił Maram. – Nie samotny.

Chwyliła go za nadgarstek, czerwone paznokcie wbiły mu się w skórę nawet przez wełnę marynarki. Zrozumiał, że jej dotyk nie jest pocieszeniem, lecz ostrzeżeniem: jakiś mężczyzna dołączył do nich na balkonie, Nicholas go nie znał. Collins wyłonił się z cienia przy drzwiach, zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy powinien iść za nim, czy nie.

Maram dyskretnie pokręciła głową. Wycofał się.

– Brrr. – Mężczyzna zamknął drzwi. – Zimno tu jak w psiarni.

Był biały, w średnim wieku, mówił z silnym amerykańskim akcentem i ukazywał w uśmiechu zestaw idealnych zębów. Na pewno miały go odmłodzić, jednak przyniosły efekt odwrotny do zamierzonego – postarzyły twarz.

– Pan Welch! – Maram obdarzyła go uśmiechem zarezerwowanym dla ludzi, których nie lubiła, angażującym policzki, ale nie oczy. – Dawno się nie widzieliśmy, prawda?

– Pięć lat. – Welch ścisnął jej dłoń, przytrzymując chwilę za długo. – Mogłem się spodziewać, że cię tutaj zobaczę. Bóg widzi, że w tym tłumie nie brakuje osób, które mogłyby sobie pozwolić na twój... – Zakrztusił się, zakasłał, odchrząknął i wreszcie wybrnął: – Twój produkt.

Maram z wdziękiem zabrała dłoń.

– Wydawało mi się, że Amerykanie uważają za niegrzeczne rozmawianie o finansach na przyjęciu.

Mężczyzna zaśmiał się w sposób w zamyśle serdeczny.

– Jak to mówią: możesz wyciągnąć Teksasńczyka z Teksasu, ale... Nawet po tych paru latach spędzonych w starej dobrej Anglii lubię mówić szczerze – wyznał. Nicholas zastanawiał się, kim jest ten człowiek, i być może przyglądał mu się zbyt intensywnie, bo Welch spojrzał w jego stronę. – Bratanek Richarda, prawda? Należysz do... – Znowu kaszel, tym razem szorstki i bolesny. – Do...

Nawet gdyby Welch nie ujawnił się jako dawny klient, po wymuszonych pauzach w jego wypowiedzi Nicholas poznałby, że facet znajduje się pod zaklęciem Biblioteki o nieujawnianiu informacji.

– Rodzinnego biznesu? – dokończył za niego. – Na miły Bóg, w żadnym razie. Nie mam do tego głowy. – Wyciągnął rękę, całkiem teraz mokrą od deszczu, ujął dłoń Welcha i uścisnął ją zbyt energicznie. – Studiuję teologię na Oksfordzie, w St. John's.

Faktycznie zarejestrowano go na uczelni – w każdym razie nazwisko widniało na wszystkich listach, gdyby ktoś śledził losy młodzieńca.

– Teologię – powtórzył Welch.

– Nakłoniłem nawet doktor Eblę, żeby zaoferowała mi niezależne doradztwo w pracy magisterskiej: uzyskałem dostęp do szat liturgicznych arcybiskupa Lauda. Naprawdę wyjątkowa robota, miał pan może okazję je zobaczyć?

– Nie wydaje mi się. – Zgodnie z oczekiwaniami Nicholasa Welcha znużyła ta opowieść; znów spojrzał na Maram. – Dobrze pamiętam, że to właśnie w Oksfordzie zdobyłaś tytuł doktora przed nazwiskiem?

– Dobrze – przyznała Maram.

– Ale nie jesteś Angielką? – drażył Welch i być może Nicholas nadstawiłby ucha, gdyby nie słyszał już z tysiąc razy, jak kobieta wykręca się od tego pytania.

– Nie, nie jestem – odparła. Uśmiech, nadal szeroki, nie zmienił się o jotę.

– Nigdy bym tego nie zgadł – ciągnął Welch. – Masz akcent jak sama królowa.

– A jednak zgadłeś – zauważyła uprzejmie i dodała: – Przypuszczam, że mój akcent można by przyrównać do... udanego fałszerstwa.

Młodzieniec patrzył z ciekawością, jak rumiana twarz Welcha blednie.

– No to cóż... – Zrobił krok w stronę drzwi. – Lepiej stąd czmychnę, zanim żona zacznie mnie szukać. Miło było poznać, młody człowieku. Pani doktor, jak zawsze cała przyjemność po mojej stronie.

Wrócił na przyjęcie.

– My też powinniśmy wejść do środka – powiedziała Maram.
– Trzęsiesz się z zimna.

– Wcale nie – zaprotestował Nicholas i aż się skrzywił od tego szczeniackiego tonu. – No dobrze, masz rację – przyznał.
– Ale wolę trząść się tutaj, niż tam krzywić się w uśmiechu do...
Och, na litość boską.

Richard właśnie minął Welcha – mężczyźni skinęli sobie głowami – i podszedł do balkonu. To było na tyle, jeśli chodzi o chwilę samotności.

– Czego chciał Welch? – spytał od razu Richard, z troską pochylony nad bratankiem. – Porozmawiać z tobą?

– Interesował się bardziej Maram niż mną – odparł Nicholas.
– I odnoszę wrażenie, że ściganie mnie tutaj nie było najsprytniejszym sposobem na to, żeby nie zwracać na mnie uwagi. A to najwyraźniej cię zaniepokoiło. Collins przynajmniej miał na tyle rozsądku, żeby zostać w środku.

Richard wydawał się zaskoczony, potem zmieszany, odprężenie się wymagało wysiłku. Spojrzał na Maram, ta uspokajająco skinęła głową.

– Wszystko dobrze, kochanie – powiedziała.

– Jak się czujesz? – Richard położył dłoń na ramieniu Nicholasa, przyjrzał się jego twarzy. – Zimno tu, a ty wyglądasz...

– Fantastycznie – przerwał mu chłopak. – Dzięki, że to zauważyłeś. Krawat w stylu vintage, ładny?

Richard uśmiechnął się, ale nie potrafił ukryć troski. Zawsze, zawsze, zawsze, myślał Nicholas. Stryj przezawsze się martwił. Rola obiektu tej wiecznej troski bardzo Nicholasa wyczerpywała. Sam Richard nigdy nie chorował, więc tym bardziej nie miał pojęcia, jak podchodzić do zdrowia bratanka – czy raczej braku zdrowia.

– Może lepiej będzie zabrać cię z tego przyjęcia – stwierdził.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

– Pan Welch wyraził zainteresowanie... Co z tego?

– Po pierwsze – włączyła się Maram – to on zlecił tamto fałszerstwo glamour, które cię tak poruszyło, żeby sprzedać podróbkę de Kooninga...

– Och, tamto zlecenie było niegodne.

– I bardzo możliwe, a nawet wielce prawdopodobne, że niektóre z uzyskanych w ten sposób magicznych podróbek sprzedano ludziom na tym właśnie przyjęciu – zauważyła. Nicholas nie zdołał powstrzymać się od śmiechu. Uwaga Maram o akcencie i pospieszna rejterada mężczyzny nabierała innego znaczenia. – Po drugie – kontynuowała – źle się tu bawisz, sam przyznałeś.

– Na pewno lepiej niż zamknięty w Bibliotece z Sir Kiwi! – skomentował kwaśno.

Ale ona wzięła go za łokieć i pokierowała do drzwi – pozwolił na to tylko dlatego, że naprawdę zmarzł. Wrócili do ciepłego salonu, gdzie pachniało wodą kolońską i winem, a także okropnymi kanapeczkami, które podano przed recytacją, a teraz roznosił je ubrany na czarno personel. Collins jadł właśnie miniquiche z taką miną, jakby go zaatakował.

– Collins – odezwała się Maram. – Samochód.

Ochroniarz skinął głową i wymknął się przez kuchnię.

– To niedorzeczne – protestował Nicholas. – Jeśli będziecie odsyłać mnie do domu za każdym razem, gdy ktoś mnie o coś spyta, nigdy nie opuszczę Biblioteki. Ach, chwila... przecież prawie nigdy jej nie opuszczam.

– Sprowadzenie cię tutaj i tak było ryzykiem – stwierdził Richard. – Kilka osób już o ciebie dopytywało.

– Ludzie interesują się mną tylko dlatego, że interesują się wami w Bibliotece – bronił się chłopak.

– Nieprawda. – Maram stanowczo pokręciła głową. – Niezależnie od nas zwracasz uwagę.

Nicholas wzruszył ramionami. Obiektywnie rzecz biorąc, nie różnił się od żadnego innego przeciętnego białego mężczyzny w wieku dwudziestu kilku lat; może był trochę przystojniejszy i nieco lepiej ubrany, ale nawet on, ponoć narcyz, wiedział, że chodziło głównie o pieniądze. Zauważył jednak już dawno, że ludzie zupełnie obcy spoglądają na niego raz, potem drugi, mrużąc lekko oczy, jakby myśleli, że przecież skądś go znają.

Jedyne, co go mogło wyróżniać, to liczne małe blizny, zazwyczaj ukryte pod ubraniem, i proteza lewego oka, idealnie pasująca do zdrowego prawego, w każdym razie z wyglądu. Ciężko było to wszystko dojrzeć, chyba że ktoś szukał, lecz mało kto to robił. I choć z pozoru Richard oraz Maram bardziej przyciągali uwagę, ludzie skupiali się na Nicholasie, jakby w jakiś sposób wyczuwali moc jego krwi.

– Nie moja wina – obruszył się.

– Oczywiście – przyznał Richard. – To ja niepotrzebnie cię tu dzisiaj ściągnąłem.

Nicholas wziął długi, powolny oddech, próbując ostudzić kipiący w nim gniew. Nie zdołał.

– Decyzje mojego ojca z każdym dniem nabierają coraz większego sensu.

Stali na obrzeżach zgromadzenia, zwróceniu w stronę salonu niczym aktorzy przed widownią, ale przy tych słowach stryj się odwrócił, z trudem hamując emocje. Wydawał się jednak bardziej udręczony niż zły, przez co Nicholas poczuł ukłucie winy.

– Decyzje twojego ojca doprowadziły do śmierci jego i twojej matki – odparł mężczyzna bardzo cicho. – A ja całe swoje życie dbam, żeby to samo nie przytrafiło się tobie.

– Chciałeś powiedzieć: całe moje życie.

– I zamierzam tak robić aż do końca.

Chłopak zamilkł.

Stara kłótnia. Pojawiała się wiele razy od lat. Do niedawna Nicholas spierał się na pół gwizdka, bardziej trenując swój mięsień niezależności, niż faktycznie go używając. Jednak ostatnio każda myśl o tym „aż do końca” przynosiła przejmującą frustrację i beznadzieję, której nie potrafił wyartykułować.

Problem w tym, że dokładnie wiedział, jak miałyby to wyglądać: wieczna monotonia marmurowych korytarzy, igieł, kotłów z gotującą się krwią, cuchnących ziół, sztywności nowego papieru, skurczów palców, wizyt lekarza, suplementów żelaza, tych samych twarzy dzień w dzień. Czasami, tak jak dziś wieczorem, wyprowadzano by go na krótkiej smyczy i pozwalano obwąchać kilka kostek, potem ktoś holowałaby go z powrotem do domu.

Ostatni raz czuł taką dławiącą rozpacz i potrzebę zmiany dziesięć lat temu w San Francisco. Trzynastoletni Nicholas wściekał się na stryja od tygodni, to błagając o więcej wolności,

to jej żądając. I co? Wszystkie obawy Richarda się spełniły. Nicholas stracił oko i nieomal życie, jak kiedyś jego rodzice.

Przeszył go dreszcz tamtej paniki, a gniew znikł nagle, jakby odcięto zasilanie.

– Rozumiem, jak się czujesz – przemówił Richard z taką litością, że Nicholas nie potrafił na niego spojrzeć. – Ale stałe zagrożenie to też swego rodzaju niewola. W bezpieczeństwie jest wolność, Nicholasie. Pamiętaj.

– Richardzie! – zawołał sir Edward z drugiego końca salonu, pomachał ręką. – Chcę, żebyś kogoś poznał!

Pewnie potencjalnego klienta. Bez wątpienia dlatego Richard zgodził się wziąć udział w tej farsie i dlatego miał zostać. Aby promować produkt – Nicholasa, którego właśnie zbył współczującym klepinięciem w ramię, a potem dołączył do tłumu.

– Chodźmy – odezwała się Maram. – Już pewnie czeka samochód.

Ktoś z personelu przyniósł im okrycia, gniew Nicholasa zgasł ostatecznie, przyduszony ciężarem płaszczka. Ostatnio ciągle tego doświadczał, nagłe wybuchy złości, po których przychodziło wyczerpanie, jedno napędzające drugie w pętli sprzężenia zwrotnego. Być może potrzebował więcej snu. Albo ćwiczeń. „Więcej żelaza”, usłyszał w głowie głos medyka.

Zamiast tego długo w milczeniu jechał windą w dół, na mokrą, czarną londyńską ulicę i listopadową mżawkę. Collins już tam stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Jeden z wozów Biblioteki – elegancki, anonimowy czarny lexus – zatrzymał się przed nimi, wysiadł lokaj i patrząc z niedowierzaniem, położył kluczyki na wyciągniętej dłoni doktor Ebly. Z całą pewnością spodziewał się profesjonalnego szofera, a nie kobiety w sukni do ziemi.

Korzystanie z usług szoferów nie wchodziło w grę: starożytne osłony Biblioteki zawierały krew Richarda i Maram, więc tylko Richard i Maram mogli znaleźć to miejsce – oraz Nicholas, oczywiście, ponieważ magia nie działała na niego tak, jak na innych ludzi. Tyle tylko, że on nie umiał prowadzić.

Usiadł na nieskazitelnym skórzanym siedzeniu z tyłu, obok niego zajął miejsce barczysty Collins i od razu zrobiło się ciasnawo.

– Dobrze się bawiłeś? – Ochroniarz posłał mu krzywy uśmiech.

– Gorzej niż ty – odparł Nicholas. – Skoro strzegłeś najcenniejszego skarbu na imprezie.

– Znaczy, niańczyłem niemowlaka – stwierdził Collins.

Zatrudniono go pół roku temu i choć na pewno nie on pierwszy gardził ochranianym obiektem, był pierwszym, który to okazywał – i z jakiegoś powodu Nicholasa to odprężyło. Poprzedni, Tretheway, również Amerykanin, traktował swojego podopiecznego z uwagą i szacunkiem, lecz do innych członków personelu odnosił się okrutnie. Nicholas, zdenerwowany tą dwulicowością, poprosił w końcu stryja, żeby go zwolnił.

Collins miał tylko jedno oblicze: wykrzywione. Nie podobało mu się, że dyryguje nim gość w jego wieku, którego uważa za rozpuszczonego mięczaka. To jedynie wzmagało w Nicholasię chęć dyrygowania.

– Zapnij pasy – polecił.

Collins zignorował to, zajęty rozluźnianiem krawata i rozpinaniem guzika przy kołnierzyku.

– Fortynbras – spróbował młodzieniec.

To wywołało reakcję. Collins prawie się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Blisko, blisko – powiedział. – Lada dzień.

– Szkoda. Fortynbras Collins by ci pasowało.

Opony zaszurały na mokrej nawierzchni i Nicholas patrzył przez ciemną szybę, jak budynek rozmywa się i zostaje jeszcze jednym błyskiem w mieście świateł. Pomyślał o niesmacznym zleceniu Welcha i o tym, że większość jego zleceń była niesmaczna, ślad artyzmu w tępych żądaniach. Nawet ostatnia książka, mimo niosących w sobie wyzwania, okazała się ostatecznie niczym innym jak nonsensownym kaprysem, w którym chodziło o hedonizm i status.

Czy to zawsze było takie męczące? A może po prostu z wiekiem jego to bardziej wyczerpywało? Ostatnio trudniej dochodził do siebie po napisaniu książki, krew wolniej się regenerowała, przez co czuł się słaby, roztrzęsiony i ślamazarny znacznie dłużej. I po co? Dla pieniędzy? Nie potrzebował więcej pieniędzy. Nie potrzebował też, żeby ludzie całowali go po stopach, wystarczyłoby zwykłe „dziękuję” czy nawet skinienie głową od kogoś innego niż Maram albo stryj. Pragnął, żeby choć raz ktoś go zauważył, dostrzegł, na co go stać. Zobaczył, jak wiele go to kosztowało.

Maram podchwyciła jego wzrok w lusterku wstecznym, posłała mu krzepiący uśmiech.

– Co powiesz na to, żebyśmy wybrali się jutro na kolację? – zaproponowała. – Moglibyśmy pojechać wcześniej do miasta, zajrzeć do tego sklepu z butami, który lubisz. Pogapilibyśmy się na ludzi. A jeśli wybierzesz restaurację, ja zarezerwuję nam stolik. Tylko żadnego czerwonego makaronu.

Ich szef kuchni pochodził z Włoch, co dało się odczuć, choć posiłki Nicholasa różniły się od tego, co serwowano innym.

– Tylko żadnego krwistego steku – odparł.

Maram zatrzymała się na czerwonym świetle.

– A wysmażony?

Nicholas chciał odpowiedzieć, gdy nagle otworzyły się drzwi z przodu od strony pasażera: mężczyzna wskoczył do środka, trzasnął drzwiami i obrócił się jednym płynnym ruchem: klęczał na siedzeniu obok Maram, z ręką wyciągniętą przed siebie. Nicholas najpierw zobaczył bladą skórę na grubej szyi, szerokie bary i obcą twarz, a dopiero potem pistolet wycelowany prosto w swoją głowę.

Chwila absolutnej ciszy, potem:

– Rzuć to – zażądał Collins.

– Jeśli strzelisz do mnie, ja strzelę do niego – zagroził nieznajomy. Collins wyciągnął już pistolet, lecz nie na tyle szybko, aby wymierzyć; broń leżała teraz na jego kolanach. Przez mokrą przednią szybę Nicholas zobaczył zieloną plamę, gdy zmieniło się światło. – Jedź – polecił napastnik.

– O mój Boże – jęknęła Maram głosem tak kompletnie obcym, że sparaliżowany mózg Nicholasa ocknął się z przerażenia. – O mój Boże...

– Powiedziałem: jedź.

Nicholasowi pociemniało w oczach, w uszach słyszał dudnienie własnego pulsu.

– Proszę. – Tylko to jedno słowo zdołał wykrztusić. Już raz musiał błagać o życie i wtedy też powiedział to samo: „Proszę”. „Proszę”, a później „nie”. – Nie – spróbował.

Maram ruszyła, patrząc przerażona na obcego, na drogę, na Nicholasa z tyłu.

– Czego chcesz? – zapytała.

– A jak myślisz? – odpowiedział intruz. Był Walińczykiem i miał głęboki, grzmiący głos, jakby stworzony do zastraszania.
– Chcę, żebyś mnie zawiozła do Biblioteki.

Maram, zawsze taka spokojna, opanowana, teraz drżała.

– I co potem?

– Wyluzuj, nie chodzi mi o ciebie, tylko o niego. – Nie odrywał wzroku od Nicholasa. – Trochę źeśmy się naszukali, chłopaku. Co pocznie Biblioteka bez swojego małego Skryby?

Młodzieńcowi zrobiło się najpierw gorąco, a za chwilę zimno. To się nie działo. Przecież nikomu nie było wiadomo, co właściwie potrafi i kim jest. Zamierzał zaprzeczyć, ale wróciło to, co czuł w San Francisco, przerażenie, niedowierzanie, i głos uwiązał mu w gardle.

– Potrzebujesz go żywego – odezwał się Collins. – Nie skrzywdzisz chłopaka.

– Zobaczymy – prychnął mężczyzna.

Wtedy nastąpiła eksplozja.

W każdym razie tak to wyglądało: ogłuszający huk i ból, który wybuchł w głowie, krzyk z przedniego siedzenia. Nicholas miał niemal pewność, że został postrzelony, że umarł. Chwilę później zobaczył, że Collins podniósł broń, a mężczyznę rzuciło w tył, na deskę rozdzielczą. Twarz napastnika zasłaniał teraz zagłówek.

Ochroniarz wyskoczył z samochodu – drzwi zostawił szeroko otwarte, w środku zapaliło się światło. Sekundę później już wyciągał ciało Walińczyka i zajmował jego miejsce.

– Nicholas, zamknij drzwi – poleciła Maram.

Z głosu zniknął strach, zastąpiła go zimna determinacja. Kobieta wcisnęła pedał gazu, a Nicholas przechylił się, żeby wykonać polecenie. I zanim światło zgasło, zobaczył, że

w siedzeniu obok jego głowy jest dziura – strzał chybił o centymetr. W uszach chłopakowi dzwoniło, nie mógł skupić wzroku. Wydawało mu się, że w środku fruują maleńkie kształty, zamrugał oszołomiony.

– Pszczoły? – spytał.

– Co? – rzuciła ostro Maram. – Oberwałeś? Collins, sprawdź, czy...

– Nic mu nie jest – rzucił ochroniarz.

– Świeże powietrze. – Kobieta opuściła szybę, kilka drobinek wyleciało na zewnątrz.

– Strzeliłeś do niego? – chciał wiedzieć Nicholas. Nie potrafił poskładać w całość tego, co się wydarzyło. Chyba nie było nigdzie żadnej krwi?

– Tak.

– Zabiłeś go?

Zwykle Collins mówił z ledwie ukrywaną wyższością, jakby był jedynym dorosłym w tym świecie dzieci. Ale teraz jego łamiący się głos brzmiał dokładnie tak, jak powinien: młodo.

– Mhm, raczej.

– Dziękuję – odparł Nicholas, ponieważ wydawało mu się to właściwą odpowiedzią.

A potem otworzył swoje okno, wychylił się i zwymiotował na wiatr; w gardle palił go kwas iluzorycznego wina. Mógłby przysiąc, że pszczoła, okrągła i rozmyta, śmignęła obok niego w noc.

Kiedy skończył, Collins rozmawiał przez telefon. „Przyjąłem”, powtarzał swoim zwykłym tonem. „Przyjąłem”. Nicholas słyszał z telefonu brzęczący głos Richarda.

– Pyta, czy znasz tego faceta – zwrócił się ochroniarz do Maram.

– Nie – odparła. – Daj mi telefon.

Rozmawiała z nim w napięciu, lecz Nicholas nie potrafił się skupić na tym, co mówili. Wciąż się trząsał, ręce drżały mu na kolanach jak schwytane myszy. Za ciemnymi szybami migał Londyn, rozmyta akwarelowa plama.

Minęło dziesięć lat, odkąd obudził się w szpitalu w San Francisco z twarzą pokrytą bandażami. Dziesięć lat, odkąd jego stryj przykucnął przy jego łóżku i ze łzami spływającymi po twarzy, trzymając wiotką dłoń bratanka, mówił: „Przysięgam, że nigdy więcej nie pozwolę, aby coś ci się stało”. Dziesięć lat, odkąd Nicholas mu uwierzył.

Richard miał rację. Bezpieczeństwo jest swojego rodzaju wolnością, a Nicholas tak długo był bezpieczny, aż uznał tę wolność za coś oczywistego. Zgiął się wpół, z głową między nogami, pozwolił się wieźć, tak jak zawsze – nigdy za kierownicą, niezmiennie przypięty pasami na tylnym siedzeniu własnego życia.

– I pomyśleć, że właśnie uznałem, że nie spotka mnie już nic gorszego od kanapek na tej jebanej imprezie – wyburczał do swoich kolan.

A Collins, pewnie dlatego, że sam był w szoku, zapomniał, że poprzysiągł sobie nigdy się nie śmiać z żadnych słów Nicholasa, i właśnie się zaśmiał.

Wylot z bieguna południowego to poważna sprawa, spory wyczyn. Zimą samolotów w ogóle nie było, latem chętny musiałby włądować się do tyciego samolotu, który zrzucał zaopatrzenie. Jego wagę często kalibrowano co do grama – Esther miałaby dużo szczęścia, gdyby znaleźli miejsce dla sześćdziesięciu kilogramów spanikowanej elektryczki.

Choć i tak nie zamierzała stąd odlatywać.

Prawda?

Kolejne śniadanie w kambuzie, kolejna miska pozbawionej smaku owsianki. Pearl siedziała naprzeciwko, rozmawiając z Trevem, ale zerknęła na Esther tyle razy, że stawało się jasne: coś podejrzewa.

Powierzchowny risercz potwierdził, że list z lustra mówił prawdę: rzeczywiście przylatywał samolot towarowy. Jeśli odleci o czasie, pasażerka zdąży na kolejne połączenia, widniejące na biletach na jej fałszywe nazwisko. Jednak użycie tych biletów, tego paszportu zakrawało na szaleństwo. To wszystko musiało być pułapką.

Zorientowała się, że Pearl coś do niej mówi. Podniosła wzrok znad owsianki.

– Przepraszam?

– Pytałam, czy chcesz jutro pojeździć na nartach. Ma być ładnie.

Jutro. Narty. Nie mogła się skupić.

– Jeszcze nie wiem.

– Daj mi znać, to zarezerwuję dwie pary. – Przyjaciółka spojrzała na nią. – Wszystko w porządku?

– Chyba coś mnie rozkłada. – Esther w końcu się poddała i postanowiła dziś nie pracować. – Pójdę się położyć.

Ku jej przerażeniu Pearl wstała i wyszła za nią. Na korytarzu chwyciła ją za nadgarstek.

– Nie jesteś chora – oznajmiła, wpatrując się w Esther, choć ta była pewna, że na jej twarzy nie widać nic poza neutralnym zainteresowaniem. – Coś cię dręczy.

Delikatnie uwolniła się z uścisku, usiłując nie widzieć bólu w oczach Australijki.

– Owszem – mruknęła. – Żołądek.

Niezrażona Pearl przycisnęła ją do ściany i oparła dłonie przy jej głowie, Esther w końcu musiała na nią spojrzeć. Choć Pearl użyła siły, w jej głosie brzmiała niepewność.

– Coś nie tak zrobiłam?

– Co? Nie, naprawdę.

– Od czasu imprezy zachowujesz się inaczej. Jesteś jakaś dziwna, odległa. Jakbyś się oddalała.

Chociaż stały w miejscu publicznym, to korytarz był pusty, bez wścibskich luster – Esther pozwoliła sobie położyć kciuk na lekko drżącej dolnej wardze Pearl.

– Cokolwiek we mnie wyczuwasz, nie ma związku z tobą – wyjaśniła. – Przysięgam.

– To z czym?

Ktoś pojawił się na korytarzu, Esther cofnęła dłoń.

– Może po prostu walczę ze świadomością, że zdecydowałyśmy się na kolejne sześć miesięcy bez drzew.

– Nie... nie żal ci, że zostałam, prawda?

– Nie żal. – W głosie pojawiła się fałszywa pewność, zmarszczka niepokoju na czole Pearl się wygładziła. – Ale naprawdę trochę kiepsko się czuję – dodała Esther. – Proszę, nie martw się.

Na pięknej twarzy przyjaciółki wciąż jednak malowała się troska i w porywie chwili Esther wyobraziła sobie, jak opowiada jej o wszystkim: o książkach, o magii, o lustrach, o zabójstwie matki, zasadach ojca, ale wtedy gdzieś na korytarzu trzasnęły drzwi – wizja zniknęła. I dobrze, całe to wyjaśnienie byłoby śmieszne. Niespodziewanie poczuła gniew: na ojca, że nie znalazł sposobu, aby ją chronić, na osobę w lustrze, bo też kazała jej uciekać, a nawet na swoją biedną matkę, która umarła dla książek, zamiast żyć dla córki. Z wysiłkiem zdusiła płomień wściekłości, opanowała się. Gwałtowne emocje nie pomogą podjąć dobrej decyzji.

– Dasz mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować? – spytała jeszcze Pearl.

– Tak. Słowo.

Wysłała przełożonemu wiadomość, że jest chora, po czym wgramoliła się do łóżka, żeby pomyśleć.

Lustro powiedziało, żeby więcej się nie kontaktowała, ale pewnie nie miało na uwadze jej dobra. Może powinna stanąć przed innym oznaczonym szkłem i jeszcze raz żądać odpowiedzi?

„Nie tylko ja patrzę”.

To by znaczyło, że po drugiej stronie kryje się więcej niż jedna osoba i zaufanie lustru oznaczałoby zaufanie tym wszystkim postaciom. Na pewno ktoś działał tutaj, z księgą, aktywował lustro od tej strony. Komunikowali się, przekazywali sobie informacje...

W takim razie Esther powinna zacząć od szukania na stacji.

Nagle zapragnęła mieć siostrę przy sobie. Nie tylko dlatego, że Joanna niczym pies tropiący wywęszyłaby magię w parę minut, ale dlatego, że w tych sprawach uchodziła za eksperta – a właśnie kogoś takiego Esther teraz bardzo potrzebowała.

Zakłęcie mogło zostawić po sobie ślady, ale skaleczenia i zadrapania nie były tutaj rzadkością, sama Esther niedawno skaleczyła się śrubokrętem. Poza tym większość książek wymagała jedynie ukłucia i kropli krwi. Czyli szukanie obrażeń nie pomoże. Otworzyła laptopa i poczekała, aż załaduje się poczta służbowa. Wyświetliła listę nowych pracowników, którą rozesłano kilka tygodni temu. Tylko czego na niej szukała? Sfrustrowana zamknęła klapkę.

Wyglądało na to, że może zrobić już tylko jedno: podjąć decyzję.

Skorzystać z tych biletów lotniczych i zaufać osobie w lustrze – lub nie. Nieznajomy cytował Gil, czyli musiał coś wiedzieć o Esther. „Ale wróg też może cię znać”. Albo po prostu dostrzegł jej tatuaż i wykorzystał przeciwko niej.

To wydawało się takie niesprawiedliwe, że właśnie teraz, gdy postanowiła zostać, ktoś kazał jej odejść. Nie mogła dłużej udawać, że lustra nie mają z nią nic wspólnego. A zatem paranoja ojca była od początku uzasadniona.

O czym już i tak wiedziała w głębi duszy.

Sprawdziła to tylko raz, w wieku dwudziestu dwóch lat, po trzech latach żmudnego gromadzenia licencji elektryka z czterech różnych placówek. Ostatnia szkoła znajdowała się w Spokane w stanie Waszyngton. Wtedy Esther spotykała się z mężczyzną, którego lubiła, choć nie tak bardzo jak Pearl: studentem dziennikarstwa. Reggie, tak miał na imię,

przeprowadził się do Spokane tylko dlatego, że miasto, podobnie jak on, kochało koszykówkę.

Pod koniec października zerwała miesięczną umowę najmu i jak co roku spakowała kilka rzeczy do zabrania. Tym razem do małej hondy, którą planowała przekroczyć granicę do Vancouver. Reggie płakał, gdy powiedziała mu, że wyjeżdża. Niespodziewanie ona też płakała – dała się namówić na ostatnią kolację w dniu, kiedy miała wyjechać o jedenastej. Postanowiła zostać do dziesiątej trzydzieści, a potem ruszyć.

Jednak zmęczona i spełniona po seksie o dziesiątej zasnęła. Nie zdecydowała się zostać wbrew ostrzeżeniom ojca, po prostu – nie wyjechała. Nie-wybór, działanie w stronie biernej, decyzja, ale taka, o której nie musiała rozmyślać, nie musiała się z nią mierzyć.

Obudził ją czyjś wrzask.

Dopiero po sekundzie paniki zdała sobie sprawę, że to dzikie brzęczenie systemu przeciwpożarowego, a po drugiej sekundzie – że ktoś stoi przy łóżku. Nadal nieprzytomna spojrzała na materac: Reggie leżał tuż obok niej i mrugał oszołomiony. Intruz był wysokim blondynem i trzymał broń.

Miała za sobą cztery lata przeprowadzek, w międzyczasie zdobyła kilka umiejętności, na przykład: potrafiła czytać ludzi. Zawsze była w tym dobra, a zaczęła doskonalić się w tej sztuce, gdy zrozumiała, że musi zdobywać przyjaciół szybko albo wcale. Teraz na twarzy tego mężczyzny widziała, że alarm zaskoczył go tak samo jak ją. Przez szeroko otwarte okno wpadało do środka zimne powietrze. Było tuż przed świtem.

– Co się dzieje? – przemówił Reggie, potężny facet o niskim głosie. Nieznajomy chyba się denerwował. Alarm nie przestawał szaleć, Reggie leżał kompletnie nieruchomo. – Szukasz forsy, człowieku? Czego chcesz?

Mężczyzna uniósł broń.

– Wyjdź z łóżka. – Machnął pistoletem w stronę Reggiego. – Nie szukam pieniędzy, tylko twojej dziewczyny. Jeśli zaraz stąd wyjdiesz, nic ci się nie stanie.

– Znasz go? – zwrócił się do Esther Reggie.

Pokręciła głową, jej głos, wciąż niedostępny, nie wydostał się jeszcze z krainy snów. Widziała tego gościa pierwszy raz w życiu – zapamiętałaby taki rozszczepiony podbródek i bardzo jasne, prawie niewidoczne brwi. Odniosła wrażenie, że w przedniej kieszeni czarnej bluzy miał schowaną kwadratową książkę, ale może – na pewno – tylko jej się zdawało.

– Wstawaj – powtórzył blondyn, a gdy żadne z nich się nie poruszyło, walnął studenta pistoletem w głowę. Esther krzyknęła, Reggie zalał się krwią. Kiedy z trudem usiadł, napastnik uderzył go ponownie. Tym razem chłopak już się nie podniósł, leżał nieprzytomny. Esther, cała rozdygotana, uniosła obie ręce.

– Bardzo dobrze. – Mężczyzna chwycił ją za nadgarstek, poczuła się jak w okowach. – Teraz pójdiesz ze mną.

Wtedy ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

– Straż pożarna! – zawołał męski głos. – Otwierać! Jest tam kto?

Dziewczyna spojrzała w oczy nieznanego.

– Siedź cicho – polecił, ścisnął ją mocniej i wymierzył do nieprzytomnego kochanka. – Albo go zastrzelę.

– Wchodzimy! – krzyknął znów strażak. – Odsunąć się od drzwi!

Sekundę później rozległ się potężny trzask. Nieznajomy syknął „kurwa mać” i się zawahał. Ale gdy ciężkie kroki zbliżyły się do sypialni, zaklął znowu, puścił Esther, wsunął pistolet za

pasek spodni i wyskoczył przez otwarte okno. Chwilę później do sypialni wpadli strażacy. Spodziewali się płomieni, a zastali krwawiącego młodego mężczyznę i kobietę krzyczącą jego imię.

Okazało się, że ktoś zadzwonił pod 911 i zgłosił, że w mieszkaniu Reggiego się pali. Może to był żart, może pomyłka, tak czy inaczej, uratowało im to życie. Przybyli na miejsce ratownicy medyczni zapewnili Esther, że Reggie odzyska przytomność i siły. Do końca życia nie zapomni widoku jego zszokowanej, skrwawionej twarzy, kiedy ładowali go do karetki.

Później prawie zdołała sobie wmówić, że wszystko stało się przypadkiem – ot, taki zbieg okoliczności. Blondynowi na pewno chodziło o pieniądze, o adrenalinę, no bo przecież nie o nią. Minęło jednak wiele miesięcy, zanim otrząsnęła się z tego szoku. Zamieszkała na ekologicznej farmie w północnej części Kolumbii Brytyjskiej, tak daleko od cywilizacji, że załatwiała potrzeby do wiadra z trocinami. Co kilka dni pokonywała ponad pięćdziesiąt kilometrów do najbliższego większego miasta, gdzie chodziła na samoobronę dla kobiet – nigdy więcej nie chciała się czuć bezradna w chwili zagrożenia.

Zajęcia trwały osiem tygodni. Potem zapisała się na kolejne, a później na boks. Gdy przeprowadziła się z Vancouver do Meksyku, przerzuciła się na ju-jitsu, w Oaxace trenowała muay thai, w Los Angeles – MMA, które najbardziej jej pasowało. Czuła, że ma kontrolę, że jest silna i brutalna, więc trzymała się tego sportu przez kilka lat, aż wróciła do boksu. Wspomnienie zalanego krwią Reggiego i stalowego uścisku na jej nadgarstku zbladło przez lata, ale wciąż było na tyle silne, że niezmiennie wybierała worki treningowe, nie maty do jogi.

Teraz, na stacji, poczuła się jak w Spokane, tyle że tym razem z rozmysłem została dłużej, myśląc cel z rozwagą, a rozwagę z logiką. Zresztą ten wybór od początku nie miał nic wspólnego z racjonalnym myśleniem, opierał się na tym, jak się czuła, gdy Pearl jej dotykała, na tym, że wystarczyła obecność słonecznej dziewczyny, a Esther czuła ciepło między nogami. Pożądanie, namiętność, słabość – nazw mogło być wiele. Masa innych przypadkowych doznań... No cóż, umysł i serce Esther zawsze były podporządkowane jej ciału.

Jak w ogóle śmiała pomyśleć, że mogłaby mieć coś, co jest prawdziwe. Jeśli nie ona położy temu kres, skończy się tak, jak w przypadku Reggiego: rozlewem krwi. Nie wolno jej narażać Pearl na niebezpieczeństwo.

Wstała z łóżka i zasznurowała buty. Ciało już podjęło decyzję – choć mózg zostawał w tyle. I już szła znajomymi korytarzami tego mrowiska, mijała stołówkę, siłownię, przychodnię. Dotarła aż do biura, gdzie ktoś zwykle siedział przy metalowym pulpicie przed wielkim monitorem, wykonywał tak zwaną papierkową robotę i zatwierdzał wnioski.

Dzisiaj był to Harry, starszy mężczyzna o uprzejmej twarzy. Słuchał z przerażeniem, gdy Esther wykladała swoją sytuację: zmarł jej ojciec i powinna natychmiast wrócić do rodziny, do domu. Łzy w oczach pojawiły się jak na zawołanie.

To jedynie środek bezpieczeństwa, mówiła sobie, gdy już zabukowała miejsce w najbliższym samolocie dostawczym wracającym do Auckland. Miała dwa dni, żeby wszystko poukładać w głowie, ocenić faktyczny poziom zagrożenia, ogarnąć sprawę. Harry wysłał jej mailem papiery z wypowiedzeniem kontraktu, ale dopóki nie były podpisane, nadal pracowała.

Wciąż jeszcze miała trochę czasu. Wciąż mogła zostać.

Później, głównie dlatego, że nie bardzo wiedziała, co zrobić, poszła do szklarni. Spędziła tutaj wiele przerw na lunch, czytając na starej, zawsze wilgotnej kanapie, którą ktoś ustawił między doniczkami z papryką a pomidorami. Szklarnia była mała, kwadratowa i zawsze pachniało w niej żyzną ziemią oraz obietnicą samoregulującego się świata, chociaż akurat kanapa cuchnęła piwniczną pleśnią. Te zapachy przynosiły otuchę. Jeśli ludzie kiedykolwiek polecą w kosmos, szklane pudełka – podobne do tych – utrzymają ich przy życiu, tak jak utrzymywały ją przez ostatnie miesiące. Włożyła do ust kawałek maleńkiej, przypominającej klejnot sałaty i opadła na kanapę. Spojrzała na sufit. Światła wydawały się konstelacją udawanych słońc.

To Esther odpowiadała za konserwację tych lamp, zapewnienie stacji choćby okazjonalnego dostępu do smaku życia. Pamiętała swoje pierwsze tygodnie na biegunie, gdy ciągnęła kabel setki metrów od generatora do głównego budynku, ślizgając się na lodzie, potykając o kamienie, niezgrabna w kombinezonie termicznym, jak dziecko w pękatej kurtce. Pamiętała dni w opresyjnym beżu podziemnych korytarzy, sieci kabli w ścianach, z których część pociągnięto tydzień wcześniej, a część w roku sześćdziesiątym ósmym ubiegłego wieku. Gdy leżała w swojej miniaturowej sypialni, patrzyła, jak światła migają na suficie, i wiedziała, że to ona musi je naprawić. Pamiętała poczucie izolacji tak całkowitej, że niemal emitującej dźwięk, posępne brzęczenie. Wyobrażała sobie, że podobnie brzmi magia.

Porażało ją, jak otoczenie – kiedyś obce – stawało się dobrze znane i jak nie dało się już tego odwrócić. Jak to było nie znać zasysającego wycia podczas otwierania drzwi, gdy na zewnątrz szalała burza śnieżna? Faktury zamarznętej gumy? Rybiego odoru pingwiniej kupy? Jak to było nie rozumieć tego

szczególnego dreszczyku emocji, kiedy jedziesz po drogach pokrytych śniegiem i wiesz, że jeśli czujnik radarowy zawiedzie, wpadniesz pod lód? Jeśli stąd odleci – gdy stąd odleci – Antarktyka stanie się wspomnieniem, potem wspomnieniem wspomnienia, aż w końcu jedynie opowieścią. Pearl byłaby jedynie historią, splotem zapamiętanych uczuć. Opowiadałaby o niej w barach nieznanym – takim osobom, z którymi zbliżasz się na chwilę, żeby potem znów się od nich oddalić.

Co tworzyły te wszystkie historie i opowieści?

Życie?

Została w szklarni aż do lunchu. Czekwała.

Na co? Nie udzieliła sobie, tak do końca, odpowiedzi; nie dokonała, tak do końca, wyboru, bo wtedy musiałaby się z nim zmierzyć i być może stwierdzić, że był zły. Siedziała tu, ponieważ potrzebowała spokoju, tłumaczyła sobie. Ponieważ w szklarni panowała cisza. O tej porze nie kręciły się tutaj tłumy.

Gdyby ktoś chciał z nią porozmawiać, skonfrontować się – zaatakować? – okazja była idealna. Świetny moment, żeby zagrożenie się ujawniło, żeby ona mogła stawić mu czoło, rozprawić się z nim, pójść dalej...

Nikt się nie zjawiał.

W końcu wstała, rozciągnęła napięte mięśnie i wróciła do głównego budynku stacji. Szła korytarzami, przesuając dłonią po beżowych panelach. Zamknięty system niezbędnych ludzkich potrzeb. Każda praca wspierała inną pracę, każde działanie podtrzymywało życie. Reszta świata funkcjonowała znacznie bardziej chaotycznie.

Ale to jej nie przeszkadzało. Radziła sobie z bałaganem.

Zagubiona w myślach, spięta przez niewykorzystaną adrenalinę, skręciła za róg korytarza – i ujrzała Pearl powoli

wychodzącą ze swojego pokoju. Chciała zawołać „cześć”, lecz coś ją powstrzymało. Przyjaciółka spoglądała w głąb korytarza jakoś tak dziwnie – ukradkiem? – co wzmogło niepokój Esther. „Nie, opanuj się”, nakazała sobie. To już paranoja, żyjesz w stresie, Pearl nie ma z tym nic wspólnego.

Dziewczyna odwróciła się, na jej twarzy dało się zauważyć zaskoczenie i ulgę.

– Tu jesteś – powiedziała.

– Hej. – Esther uśmiechnęła się szczerze, wbrew wszystkiemu, wbrew sobie. Zwykle ufała własnej mimice, tak jak dłoniom, miała nad twarzą całkowitą kontrolę. Pearl jednak musiała być jakoś połączona z mięśniami policzków Esther, które unosiły kąciki ust przyjaciółki niezależnie od jej woli.

– Nie przyszedł na lunch – odezwała się Pearl – więc przyniosłam ci zupę. Ale nie wzięłam łyżki. Trudno, będziesz musiała siorbać. Przepraszam.

– Dzięki, że o tym pomyślałaś.

Stały przed zamkniętymi drzwiami. Pearl miała na sobie kombinezon i luźną bluzę, upięte włosy odsłaniały szyję – długą, smukłą i wyrazistą jak reszta ciała. Esther pohamowała się, żeby jej nie dotknąć.

– Znasz mnie – odparła Pearl. – Wiecznie o czymś myślę. Gdzie byłaś?

– W łazience – padła odpowiedź, a gdy Australijka spojrzała zaskoczona w stronę toalety, która znajdowała się w przeciwnym kierunku, Esther dodała: – Tam było zajęte. – Udała ziewnięcie. – Zamierzam spać dalej. Dzięki za zupę.

Pearl objęła przyjaciółkę za szyję i przyciągnęła ją bliżej.

– Myślisz, że zarazasz?

Do gardła napłynęła gorycz. Tak, można by to tak ująć.

– Nie wiadomo, zawsze lepiej zachować ostrożność. – Splotła swoje palce z palcami dziewczyny, chciała złagodzić gest odsunięcia dłoni od swojego gardła. Nie zadziało.

Pearl cofnęła się, skinęła głową.

– Jasne – mruknęła. – W takim razie lepiej cię zostawię.

Wszystko krzyczało w Esther: „Powiedz, zrób coś, żeby Pearl przestała zaciskać usta. Zdobądź się na miłe słowo, gest, pocałunek..”. Skoro jednak nie wiedziała, czy zostanie, musiała stłumić takie odruchy. Jeśli ma odejść, niech proces rozstania zacznie się teraz.

– Jeszcze raz dzięki za zupę – powiedziała.

Do pokoju weszła dopiero wtedy, gdy Pearl zniknęła na korytarzu.

Miska zupy rzeczywiście parowała na szafce nocnej. Esther była głodna, jednak tylko usiadła na łóżku i patrzyła. Nie mogła jeść. Tam, w biurze, zmusiła się do płaczu, a teraz oczy i pierś domagały się powtórki tego występu. I może naprawdę by płakała, gdyby coś nie zwróciło jej uwagi.

Coś w układzie rzeczy na szafce nocnej – stercie książek, balsamów, gumek do włosów – wydawało się inne. Tak jakby coś przestawiono.

Albo jakby czegoś brakowało.

Natychmiast się zorientowała, o co chodzi. Zerwała się tak gwałtownie, że trąciła miskę. Rosół chlupnął przez krawędź, rozlał się na białej powierzchni. Uklękła i zajrzała pod łóżko, a potem, coraz bardziej spanikowana, zaczęła grzebać w stercie ubrań przy biurku. Mogła być bałaganiarą, ale nie była nieodpowiedzialna czy zapominalska, a już na pewno nie w przypadku czegoś tak cennego jak powieść Alejandry Gil.

Wartość rynkowa stanowiła zaledwie ułamek tego, co ta książka znaczyła dla Esther.

Ale chociaż szukała wszędzie i przejrzała każdy zakamarek, miękkiej zielonej okładki nigdzie nie znalazła. Esther piekły policzki, zrobiło jej się gorąco, pociła się, włosy wysmyknęły się z kucyka i fruwały wokół twarzy. Jak szalona grzebała w rzeczach. Przeryła już i tak zryty pokój, tłumione wcześniej łzy napłynęły do oczu. Gdzieś tutaj była, na pewno gdzieś tutaj była, musiała gdzieś tutaj być...

Ale nie.

W końcu odpuściła. Usiadła na piętach i poddała się czystej, niepohamowanej rozpacz. Schowała twarz w dłoniach. A potem otarła policzki i zmierzyła się z faktem: powieść zniknęła. Nie, nie zniknęła. Ktoś ją zabrał. Ktoś tutaj wszedł i ją zabrał.

To mogła być tylko jedna osoba, bo tylko ona wiedziała o istnieniu książki, znała jej wartość. Tylko jedna osoba, która tu przyszła pod nieobecność Esther.

Pearl.

Nicholas obudził się, walcząc o łyk powietrza. Właśnie wydostawał się ze splątanych gąszczy koszmaru. Włosy miał mokre i skleione, zmysły przytępione, serce tłukło się jak ptak. Leżał nieruchomo i mrugał, wydobywając się z oparów snu. Próbował dojrzeć zarysy własnej sypialni. Światło wpadające przez szczelinę w lnianych zasłonach było rozmazaną szarością, pnącza na tapecie falowały, jednak szczekanie Sir Kiwi było głośne, wyraźne i kotwiczące. Wyciągnął rękę – poczuł jej futro, potem mały język na dłoni, aż wreszcie próżnia paniki odpuściła.

– Dobrze... – Nicholas ujął w dłonie łepkę uparcie szczekającego psa. – Dobrze już, dobrze. Nie śpię.

Sir Kiwi również się uspokoiła, położyła mu łapki na ramieniu, przechyliła głowę i patrzyła w oczy. Obrócił się na bok i poszukał na szafce nocnej powieści, którą zawsze tam trzymał. *Trzej muszkietierowie* z 1978 roku. Otworzył ją na chybił trafił, spojrzął na środek strony.

– „Tak, lecz chcąc się mścić, trzeba być wolną; więzień, chcący się wydostać na swobodę, musi przebić mury, wyłamać kraty, wyrywać podłogi. Wszystko to dobre dla mężczyzny silnego i cierpliwego, lecz nie dla kobiety nerwowej i słabej fizycznie”[3].

Przeczytał kilka akapitów, uspokajając oddech w rytmie znajomego gniewu Milady, aż resztki koszmaru rozwiały się zupełnie.

W dzieciństwie często miewał złe sny. W jednym z jego najwcześniejszych wspomnień pojawiała się ponura, zniecierpliwiona twarz guwernantki pochylająca się nad nim w ciemności i rozbrzmiewał jej skrzeczący głos: „Obudź się, obudź”. W całości przesypiał tylko te noce, w których Richard czytał mu do snu. Przeszli razem różne powieści, ale Nicholas najbardziej polubił *Trzech muszkieterów* Aleksandra Dumasa. Miał osiem lat, gdy stryj przeczytał mu ją po raz pierwszy, i od tamtej pory powtórzył lekturę pewnie z tuzin razy. Książka jakby dorastała z Nicholasem, z każdym nowym rokiem ujawniając nowe żarty i podteksty, jej świat ciągle się wzbogacał, a przyjaźnie stawały się głębsze. Jak bardzo chciałby żyć w takim świecie! Namówił nawet stryja, aby zatrudnił nauczyciela szermierki. Niestety niekończące się ćwiczenia i wypadki w niczym nie przypominały pojedynków z powieści. Jaki sens walczyć, jeśli nie masz o co?

Ostatnio koszmary stały się częstsze, więc zaczął trzymać Dumasa przy łóżku. Czytał kilka akapitów, gdy się obudził, w ramach lekarstwa na uspokojenie.

Odłożył powieść na szafkę i spojrzał na mały mosiężny zegar, stojący obok. Dziewiąta rano, czyli spał dłużej niż zwykle. Kiedy ziewnął, Sir Kiwi rzuciła się do przodu, żeby polizać wnętrze jego ust. Odrażający nawyk. Odparł atak w ostatniej chwili.

– Dobrze, wiem, czego chcesz. Daj mi sekundę, zaraz pójdziemy.

Przesunął psa na bok i usiadł, żeby zabrać się za coś niezwykle satysfakcjonującego: odklejenie tandetnych rzęs od protezy oka. Ze względu na tę poranną rutynę rzęsy po lewej stronie były rzadsze niż po prawej, ale zbyt podobał mu się proces odczepiania zadziorków, aby zlecić go ciepłej ściereczce do twarzy, która mogła uratować linię rzęs.

W końcu odrzucił warstwy koców i wstał. Drżąc w jedwabnej piżamie, czekał na falę zawrotów głowy. Zawroty głowy i wieczne zimno: rozkoszne skutki uboczne regularnej utraty krwi. Ubrał się szybko i zasznurował czarne buty na solidnej podeszwie. Przynajmniej stopy były stabilne.

Z uwagi na specjalne osłony Biblioteka była jedynym miejscem na świecie, w którym ochroniarz nie musiał stać przed drzwiami i pilnować jego snu – Nicholas zdumiał się więc, widząc Collinsa wyprężonego na warcie tuż za progiem. Wczorajszy elegancki garnitur zniknął. Wysoki, masywny ochroniarz miał na sobie standardowy nieuniformowy uniform: czarne bojówki z licznymi kieszeniami, biały T-shirt, brzydkie wysokie amerykańskie trampki i czarną bomberkę ze skóry i filcu od Gucciego. Nicholas kupił mu ją miesiąc temu, kiedy nie mógł już znieść oglądania powtarzającej się kolekcji tanich dresów.

– Co ty tu robisz? – spytał.

– Bodyguarduję – odparł Collins z mocnym bostońskim akcentem. Pochylił się, wyciągnął dłoń do Sir Kiwi. – Co tam słyhać, zły psie? Przybij piątkę.

Sir Kiwi pacnęła łapą w jego dłoń i dostała smakołyk.

– Ale jesteśmy w domu – upierał się Nicholas.

Olbrzym wyprostował się, Sir Kiwi chrupała sobie ciasteczko.

– Nie pamiętasz, co stało się wczoraj? – Nacisnął latarkę na breloczku, zaświecił w prawe oko podopiecznego. – Pokaż no źrenicę.

– Pamiętam. – Młodzieniec się uchylił. – Richard uznał, że tu nie jest bezpiecznie? – Bardzo się starał nie zdradzić w głosie zdenerwowania.

– Lepiej dmuchać na zimne. – Collins przyłożył dłoń do słuchawki w uchu. – Chcesz śniadanie?

– Kawę.

– Jak dam ci kofeinę, będę miał kłopoty.

– Zostałeś bohaterem, więc... jakie kłopoty? Poza tym, kiedy ostatnio sprawdzałem, moja dieta nie podlegała twojej jurysdykcji.

– Body – Collins wskazał na niego – guard – wskazał siebie. Zmrużył oczy i rzucił: – Dobra, wyglądasz, jakby mogła ci się przydać.

Osłonek połączył się z kuchnią i zamówił dwie kawy, po czym bez słowa ruszył korytarzem.

Pokój Nicholasa znajdował się na drugim piętrze rezydencji, w zachodnim skrzydle, w długim korytarzu. Przy oknach sięgających od sufitu do podłogi stały niskie, obite aksamitem ławy i wysokie ozdobne wazony bez kwiatów. W nocy padał deszcz, więc teraz po szybach spływały strużki wody. Perłowy kolor nieba zalewał korytarz dziwnym, sennym światłem, które podkreślało żywą czerwień dywanu, wygaszając wszystkie inne barwy.

Dom zbudowano na początku XVII wieku dla jednego z książęcych przodków Nicholasa i odnowiono pod koniec wieku XVIII, dlatego choć na zewnątrz ściany były kamienne, w środku nie brakowało neoklasycystycznych doryckich kolumn i złożonych pilastrów, wymyślnych stiukowych kominków i sufitów z gipsowymi rzeźbieniami. Rezydencję otaczały rozległe tereny, które Richard nazywał parkiem jeleni, mimo że nikt nie polował tutaj od lat.

Wystrój stanowił świadectwo mijających stuleci: granatowe i czerwone dywany Savonnerie z czasu Stuartów, XIX-wieczne

biurka Boule inkrustowane mosiądzem i szylkretem, jedwabne chińskie tapety, rokokowe lustra w złożonych ramach... Kolejne pokłady precyzyjnie dobranego luksusu.

Nicholas schodził po ogromnych schodach, Sir Kiwi biegła przodem. Była to suczka rasy pomeranian, a jej ruda sierść miała niemal identyczny kolor jak włosy Nicholasa, jakby pochodzili z tego samego miotu. Kończyła dziewięć lat, wyglądała jak kłaczek waty i mniej więcej tyle ważyła. Dostał ją od stryja po tym, gdy stracił oko – nagroda pocieszenia i kapitulacja po latach jęczenia o psa. Zawsze widział się z eleganckim owczarkiem niemieckim, wielkogłowym pitbullem albo innym psem ostrym i lojalnym, a dostał Sir Kiwi. Być może Richard chciał w ten sposób zażartować, ale żart obrócił się przeciwko darczyńcy, ponieważ pod względem charakteru Sir Kiwi okazała się pełnokrwistym psem. Może nie groźnym, ale zaciekłym, oddanym, mądrym, o niewyczerpanych pokładach dobrego humoru. Była najlepszym przyjacielem, jakiego Nicholas kiedykolwiek miał. Jedynym.

Wielkie schody i hol na dole obwieszono olejnymi portretami nieżyjących ludzi, przodków Nicholasa – niektórych w sposób bardzo oczywisty. Był tam kuzyn z długim nosem, brat cioteczny z mocnym podbródkiem i ojciec chłopaka – John, uwieczniony jako mężczyzna z wesołymi brązowymi oczami. Kiedyś miał się tam pojawić również portret Nicholasa.

Podobizny Richarda tutaj nie było. Zapytany wykręcał się skromnością, lecz gdy ośmioletniego Nicholasa zaproszono do prywatnego gabinetu z okazji ukończenia pierwszej książki, chłopiec odkrył, że na honorowym miejscu stryj powiesił portret pradziadka swojego dziadka – prapraprapradziadka Nicholasa, założyciela Biblioteki. Człowiek ten tak bardzo

przypominał Richarda, że w pierwszej chwili mały pomyślał, że to stryj we własnej osobie. Obraz wyglądał przerażająco: chirurg słynący z szybkich amputacji został namalowany w zakrwawionym fartuchu lekarskim i z nożem w rękę. W dodatku rama z kości słoniowej była z kości słoniowej tylko z trzech stron: dolną podporę wykonano z kości ludzkiej nogi. Oglądanie kogoś, kto wyglądał jak miły stryjasek Richard, unurzanego w posoce i obłożonego piszczelami mocno niepokoiło kilkulatka.

W dzieciństwie Nicholasowi pozwalano niekiedy na zabawę (pod ścisłym nadzorem) z dziećmi współpracowników Biblioteki, ale nigdy u niego w domu. Czas po lekcjach płynął mu samotnie. Przyjacielem, z którym spędzał niekończące się godziny, stał się dom: ścigał się z dudniącym echem własnych kroków na marmurowej szachownicy podłóg w pustej sali bankietowej; leżał pod białym fortepianem Steinwaya w nigdy nieużywanym saloniku zielonym, wpatrywał się od dołu w milczące drewniane żebra instrumentu; bawił się w chowanego z własnym cieniem. Mali bohaterowie powieści, które Richard znosił mu całymi stosami, zawsze trafiali do tajemniczych starych rezydencji w poszukiwaniu magii. A Nicholas miał to szczęście, że urodził się w takiej rezydencji, żył z magią, został z niej stworzony. Kiedyś było to dla niego źródłem nieustającego zachwyty.

Jednak w ostatnich latach te bezkresne korytarze, wymyślne antyczne meble oraz zawiłe zdobienia ścian i sufitów przestały być cudowne. Postrzegał je bardziej jako opresyjne i ponure. Czasem tylko, tak jak teraz, znów wydawały się piękne. A przebywanie w tych znajomych kamiennych murach, za bezpiecznymi osłonami pokrzepiało.

Na dole schodów Collins zatrzymał się, słuchał czegoś w słuchawce.

- Richard i Maram czekają na ciebie w salonie zimowym.
- Najpierw muszę wyjść z Sir Kiwi.

Ochroniarz przewrócił oczami, ale przekazał tę wiadomość przez radio.

- Richard mówi: „Maks dziesięć minut”.
- Teraz nie mogę wychodzić z rezydencji bez pozwolenia?
- Powtarzam tylko to, co usłyszałem – zakomunikował Collins i dodał: – Jeśli chcesz wiedzieć, reszta personelu musi pozostać dziś na swoich stanowiskach. Tylko ja mogę się tu kręcić.

Nicholas odwrócił się szybko.

- Dlaczego?
- Środki ostrożności do czasu, aż twój stryj będzie mógł wszystkich przesłuchać przy użyciu zaklęcia prawdy. Chce sprawdzić, czy nie ma tutaj żadnych... nie wiem... informatorów, kretów, czegokolwiek.

Nicholas jęknął.

- Czyli pewnie to będę robił dzisiaj do końca dnia: pisał zaklęcia prawdy. – Chociaż dopiero doszedł do siebie po zeszłej książce. – Ty jesteś wyjątkiem z powodu tego, co zrobiłeś wczoraj?

Collins zmarszczył brwi.

- Chyba tak.

Ochroniarz wyglądał na równie zmęczonego jak Nicholas. Zwykle jasne, niebieskie oczy przygasiło wyczerpanie. Młodzieniec przypomniał sobie tamto niespodziewane

załamaniem w głosie bodyguarda i chciał zapytać, czy wszystko już w porządku, jak on się czuje, ale się zawstydził.

– Doug – rzucił tylko, wracając do swojej starej gry i próbując zgadnąć imię Collinsa.

Wielkolud znów przewrócił oczami i ruszył do głównego wejścia.

– Idź już lepiej wyprowadź tego psa.

– Czyli Dougie? Douglas?

Tylko Nicholas, Richard i Maram mogli spacerować po parku. Teren Biblioteki również był zabezpieczany osłonami, więc Collins – zbyt oszołomiony działaniem magii, aby utrzymać się na nogach – stałby się tam bezużyteczny. I chociaż zagrożenie wynosiło niewiele ponad zero, ochroniarz stał w otwartych drzwiach ze złożonymi rękami i patrzył, jak Sir Kiwi biegnie przez mokrą trawę, a pan podąża za nią.

Nicholasowi sporo czasu zajęło zrozumienie, jak inni ludzie widzą ten dom i tereny wokół, a raczej jak tego nie widzą. Nawet ci, którzy zdawali sobie sprawę z istnienia gdzieś tutaj wielkiego budynku, nie mogli sobie przypomnieć, jak go zobaczyć. Próbowali wyteńczyć wzrok i spierali się ze swoimi zmysłami, dopóki nie odpuścili. To dlatego cały – nieliczny i starannie dobrany – personel Biblioteki mieszkał na miejscu: gdyby wyszli poza teren rezydencji, nie zdołaliby wrócić.

Jednak dla Nicholasa, odpornego na magię, dla Maram i Richarda, których krew była częścią zaklęcia wznoszonego co wieczór, dom wydawał się tak materialny i oczywisty jak wszystko inne: gigantyczny kamienny dwór osadzony na zielonych wzgórzach West Berkshire. Podstawę domu oplatały pnącza i to, co teraz wyglądało jak czarne szczeliny w kamiennych ścianach, było zielonym bluszczem,

wspinającym się w górę; jego nagie gałęzie obsypywały kwiaty żółtych, różowych i głęboko czerwonych róż.

Ponieważ nie dało się zatrudnić ogrodników (jak mieliby zapamiętać ziemię, na której pracowali?), dziki trawnik strzygło małe stado kóz z kocimi oczami. Kilka z nich pasło się właśnie nieopodal i żuło, nie zwracając uwagi na Sir Kiwi, która podbiegała i oddalała się z radosnym szczekaniem.

Nicholas doszedł do sztucznego stawu; usiadł na mokrej kamiennej ławce i głęboko oddychał wilgotnym powietrzem. Udawał sam przed sobą, że po prostu cieszy się tym świeżym, zdrowym zapachem, że wcale nie dyszy po żalośnie krótkim spacerze, ale nie mógł zignorować tego, że zrobiło mu się ciemno przed oczami. Przymknął powieki, wsłuchał się w szum wody poruszanej wiatrem. Zakłęcie prawdy zapewne położy go do łóżka na kilka dni, ale nie musiał teraz o tym myśleć. Mógł skupić się na tym, jak dobrze posiedzieć na zewnątrz. Klaustrofobiczne napięcie dostrzegł dopiero teraz, gdy odpuściło.

Gdy otworzył oczy, jego wzrok padł na pokryty mżawką zwirowy podjazd, biegnący przez pofałdowaną ziemię, a dalej – na odległe zamglone wzgórza. Najbliższa droga znajdowała się niecały kilometr od posiadłości. Nicholasem zawładnęła na chwilę wyćwiczona wyobraźnia: zobaczył, jak idzie podjazdem, dociera do gładkiego czarnego chodnika, łapie samochód i tyle go widzieli.

Po tym, jak obcy mężczyzna mierzył do niego z broni, wizja wydawała się znacznie mniej atrakcyjna. A zresztą i tak nie miał dokąd pójść.

Wstał, gwizdnął na Sir Kiwi, po czym pozwolił jej się zaprowadzić do domu i dusznego ciepła bezpieczeństwa.

W salonie zimowym Richard i Maram siedzieli razem na kremowo-złotej sofie, przed nimi na niskim stoliku piętrzyły się jakieś papiery, a przy nich leżało ciekawie wyglądające zawiniątko w woskowanym płótnie. Ciężkie aksamitne zasłony odsunięto na tyle, aby Nicholas mógł zobaczyć zamglony pejzaż; w białym kominku palił się ogień. Richard miał na sobie gruby zapinany sweter, Maram ubrała się w brązową bluzkę, po domowemu i wygodnie. Na tacy stał zestaw kawowy: filiżanka, dzbanuszek ze śmietanką i srebrny dzbanek z wygiętym dzióbkiem. Nicholas łapczywie wyciągnął do niego rękę.

– Jedna filiżanka – zastrzegł Richard.

Bratanek usiadł po drugiej stronie niskiego stolika na różowym fotelu i powąchał kawę w filiżance. Richard rozsiadł się na sofie i położył nogę na kolanie drugiej. Mimo swobodnej pozy widać było, że się martwi, brwi miał zmarszczone.

– Jak ci minęła noc? – zapytała Maram.

– Spałem jak zabity – odrzekł Nicholas. – Przepraszam: prawie zabity.

– Skoro próbujesz z tego żartować, to nie rozumiesz, w jakim niebezpieczeństwie znalazłeś się zeszłej nocy – stwierdził Richard.

– Miałem pistolet przy twarzy. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że rozumiem.

– Gdyby nie Collins...

– Tak, dziękuję, jestem tego w pełni świadomy.

– Jak się czujesz? – spytał stryj.

Prawdę powiedziawszy, chłopak czuł się słabo. Wciąż widział przed sobą wylot lufy, słyszał ostry huk wystrzału i łomotanie serca, i jeszcze te złote pszczoły, najprawdopodobniej wywołane halucynacjami.

Uchylił się od pytania, zadając własne.

– To się jakoś wiąże z San Francisco?

– Nie wiemy – odparł Richard ostrożnie. – Próbujemy się rozeznąć. Niezależnie jednak od sprawców motyw był najpewniej ten sam.

To znaczy doprowadzić do ciężkich uszkodzeń ciała. Super.

– Wiecie, co się stało z tym mężczyzną?

Richard skrzywił się, Maram powiedziała wprost:

– Nie żyje.

– A jego ciało?

– Jest u naszych ludzi w Met. Pracują nad identyfikacją, jak dotąd bez powodzenia.

– Byłoby miło – zauważył Richard – gdyby Collins nie był taki narwany i przed strzałem pomyślał, że chętnie zadalibyśmy temu człowiekowi kilka pytań.

– Raczej nie miał czasu do namysłu – zauważyła Maram.

Richard potarł oczy elegancką dłonią.

– Niemniej jednak...

Nicholas znalazł się w niecodziennej sytuacji: pragnął bronić człowieka, który miał bronić jego.

– Collins uratował mi życie.

– To nie ulega kwestii – przyznał stryj. – Dlatego dostanie premię.

– Znakomicie. I jaki jest aktualny kurs takiej premii?

Mężczyzna zacisnął szczęki.

– Twoje życie jest dla nas bezcenne.

Nicholas może by się nawet wzruszył tą deklaracją, gdyby nie był dogłębnie świadom jej finansowych podwalin. Miał zaledwie

dwa lata, gdy zmarł jego ojciec, i był ostatnim żyjącym Skrybą. Na to w każdym razie wskazywało zaklęcie, które odziedziczył Richard. Krążyło ono po ziemi w poszukiwaniu osób takich jak Nicholas, wędrowało rok po roku i nigdy nikogo nie znajdowało. Zbiory Biblioteki były największą kolekcją książek na świecie, a ogromne zasoby udostępniano osobom zaufanym, za wysoką opłatą i w ścisłej tajemnicy. Richard utrzymywał kontakty kulturalne i współpracował z uniwersytetami oraz muzeami całej Europy.

Jednak z finansowego punktu widzenia wypożyczanie starych książek znacznie mniej się opłacało niż oferowanie nowych. Tak długo, jak Nicholas żył, pisał i przebywał w tych murach, Biblioteka była bogata; a tak długo, jak pozostawała bogata, miała potęgę. To, co wydarzyło się zeszłej nocy, stało się dlatego, że ktoś wytropił źródło tej potęgi i dotarł do Nicholasa.

– Tajemnica rodzi intrygę, która rodzi pożądanie, które tworzy towar – zauważył Nicholas. – Może gdybyś nie trzymał mnie w tajemnicy, nie stałbym się celem.

– Naprawdę nie mam dzisiaj sił na tę kłótnię – westchnął Richard; mimo wszystko dodał: – Poza tym ta logika jest absurdalna. Nikt nie spróbuje kraść klejnotów koronnych, jeśli nie wie o ich istnieniu.

– Proszę – włączyła się Maram. – Trzymajmy się tematu, dobrze?

– Brakuje którejś z naszych książek? – zapytał bratanek.

Jeśli napastnik był nie tylko niedoszłym mordercą, ale też złodziejem, mogliby go łatwo znaleźć. Wszystkie książki w Bibliotece miały swoją datę ważności: do każdego tytułu dołączano odnawialne zaklęcie zapoczątkowane pod koniec XX wieku, które należało naładować. Taki mały wytłoczony symbol na tylnej stronie dodawano też do kolejnych nowych pozycji

autorstwa Nicholasa. Zakłęcie śledzące – bo tym naprawdę było – automatycznie aktywowano w przypadku, gdy ktoś nie zwrócił temu do Biblioteki po upływie czterdziestu ośmiu godzin od wypożyczenia. Informowało o dokładnej lokalizacji książki i uratowało nie tylko niejedyn tytuł na przestrzeni lat, ale również życie Nicholasa.

Maram pokręciła głową, dotknięta samą sugestią, że ktoś mógłby wykraść książkę spod jej troskliwej opieki.

– Nic nie zginęło – zapewniła.

– To byłoby za łatwe – stwierdził Richard. – Nie, w tej chwili nie mamy żadnego tropu, więc w najbliższej przyszłości musisz zostać w domu. W każdym razie dopóki nie uzyskamy kilku odpowiedzi: jakim cudem ten człowiek się orientował, kim jesteś? Jak dowiedział się, co potrafisz?

– Ile to potrwa? – Nicholasowi zrobiło się słabo.

– Tyle, ile będzie trzeba.

– A wy? Też zostanieiecie w zamknięciu?

– My nie możemy. Za dużo spraw, którymi trzeba się zająć.

– À propos – podjęła Maram – mam na piątek umówione spotkanie z działem konserwacji i badań naukowych w Muzeum Brytyjskim. Chcieli, żebym spojrzała na jedenastowieczne emaki-mono, ale...

– Zamierzacie mnie tu trzymać... ile? Kilka dni? Tygodni? – zapytał Nicholas tak spokojnie, jak tylko zdołał. Nawet groźba śmierci nie mogła zdławić paniki, która narastała w nim na myśl o uwięzieniu tutaj na czas nieokreślony, siedzeniu całą zimę w tym ogromnym, pustym domu na angielskiej wsi. – Miesiące?

W tym momencie w drzwiach salonu pojawił się Collins z kolejną tacą, teraz stały na niej dwie parujące filiżanki.

– Herbata – oznajmił, po czym z brzękiem zaserwował ją Richardowi i Maram. Chyba nie bawiło go bycie pokojówką.

Nicholas wypił ostatni łyk swojej kawy. Może nie delectował się smakiem, ale już czuł kofeinę we krwi.

– Nawet nie zauważysz, kiedy to zleci. – Richard skinął głową ochroniarzowi i wziął herbatę. – W ciągu najbliższych dni chcemy przesłuchać wszystkich pracowników Biblioteki, a twoje ostatnie zakłęcie prawdy wystarczy na jedno albo dwa czytania. Musisz jak najszybciej napisać nowe. Najlepiej jutro.

– Już rozumiem: będę zbyt otępiały z powodu utraty krwi, żeby się nudzić.

– Lepsze bezpieczne otępienie niż czujność i niebezpieczeństwo.

– Richardzie, on nie da rady – odezwała się Maram, zanim Nicholas zdążył odpowiedzieć. – Lekarz ostrzegął, że musimy poczekać co najmniej cztery miesiące. Twój bratanek dopiero co ukończył zlecenie sir Edwarda.

– Mała anemia go nie zabije – zbył ją stryj. – A zdrajca może być wśród nas.

– Nic mi się nie stanie – zwrócił się Nicholas do kobiety, próbując nie złościć się na to, jak go broniła. – Mam się dobrze. Zresztą to prawda, co mówi stryj. Po co mi energia, skoro będę tu uwięziony?

Patrzyła na niego, a on nie mógł odczytać wyrazu jej dużych brązowych oczu. Przeniosła wzrok na Richarda.

– Przesłuchania nie uciekną – spróbowała jeszcze. – Zdrowie Nicholasa...

– Chyba nie sugerujesz, że nie mam na uwadze wyłącznie jego dobra? – przerwał jej pan domu.

To był rozkaz; zarówno Nicholas, jak i Maram o tym wiedzieli. Nicholas podziwiał kiedyś subtelność poleceń stryja, chociaż nigdy nie lubił, gdy kierował je do Maram. Nie lubił przypominania, że jej uważność wobec Nicholasa jest opłacana, a także nie lubił świadomości, że jego uważność wobec niej jest niepłatna i nieuregulowana, i nigdy nie był pewien, ile może czuć. Zwłaszcza gdy znalazł się między nią a stryjem, całą swoją rodziną, nieważne, czy opłacaną, czy nie.

– Oczywiście, że nie sugeruję – powiedziała w końcu Maram.

Richard znów zwrócił się do bratanka:

– Niemniej zanim usiądziesz do zaklęć prawdy, mam dla ciebie zadanie, które z pewnością ci się spodoba. – Poklepał okręcone w płótno zawiniątko.

Nicholas już wcześniej je zauważył.

– Wampir? – ożywił się.

– Przygotowałem wszystko! – Gospodarz wyjął z kieszeni swetra srebrny nóż ze skórzaną rękojeścią.

Nicholas nie mógł powstrzymać śmiechu. Nóż był zupełnie niepotrzebny, ale doceniał dramatyzm tego rekwizytu.

„Wampir” w slangu Biblioteki oznaczał bardzo specyficzny podzbiór zaklęcia ochronnego, pochodzącego z XV-wiecznej Rumunii, z czasów panowania Vlada III, zwanego potocznie Palownikiem, pierwowzoru Drakuli. Zaklęcie wampiryczne dołączano do ksiąg, których własne zaklęcia już zostały aktywowane, jako rodzaj sadystycznej kary za próbę manipulacji. Każdy, kto dodał własną krew do jednego z tak potraktowanych tomów, zostawał do cna wysuszony – i umierał. Paskudna sprawa. Tak paskudna, że wampiry były jedynymi księgami, jakie Biblioteka kiedykolwiek zniszczyła.

To znaczy, zajmował się tym Nicholas – tylko Skryba mógł unicestwić księgę z zaklęciem w toku. Młodzieńcowi taka destrukcja sprawiała dojmującą satysfakcję. Tak wiele życia poświęcił tworzeniu książek, że robienie czegoś dokładnie odwrotnego postrzegał jako niegodziwie luksusowe.

Odwinął wampira z płótna i przewrócił strony, jak zawsze ciekaw wciąż aktywnego zaklęcia znajdującego się w środku. Richard i Maram obserwowali go zaintrygowani.

– Gdzieś leży wełniany koc – oznajmił po kilku minutach – do którego nie zbliży się żaden mól.

– Zaklęcie odstrasza mole? – zdumiał się Richard. – Mój Boże, tyle wysiłku dla jakiegoś tam koca.

– Być może to bardzo ładna rzecz – zasugerowała Maram i nawet wyciągnęła rękę do książki. Zapanowała nad sobą, ale wciąż patrzyła na okładkę z tęsknotą. Mieć tom przed sobą i nie móc go zbadać? Było w tym coś nienaturalnego.

Nicholas wyjął z pochwy srebrny nóż i położył go na wytartej skórze okładki. Poczuł żal. Jak tylko zaklęcie zostanie zniszczone, zlecą się mole. Ktoś zadał sobie tyle trudu, aby chronić ten nieznany im koc, a gdziekolwiek leżał, ulegnie ruinie czasu. Nóż wszedł w okładkę jak w masło; po tym pierwszym ceremonialnym ciosie Nicholas działał już gołymi rękami, wyrywał strony i rozdzierał grzbiet z chorą przyjemnością. Stryj przyglądał się, czerpiąc radość z rozkoszy bratanka. Maram zrobiło się niedobrze, odwróciła wzrok. Nie lubiła patrzeć na przemoc wobec książek, nawet wampirów.

Gdy tomik został już wypatroszony, Nicholas wstał i wrzucił jego szczątki do ognia, gdzie zaczęły drugie życie, żaru i popiołu.

– Brawo – rzekł Richard. – Wampir pokonany.

Młodzieniec skłonił się, powoli, żeby nie dostać zawrotów głowy.

– W takim razie chyba pójdę pisać – oznajmił.

Collins mógłby mu wytykać słabość do luksusu, ale nawet on nie zarzuciłby Nicholasowi lenistwa... chociaż jakie to mogło mieć znaczenie, co on, pracownik, o swoim podopiecznym myśli. Nicholas cieszył się luksusem z tego samego powodu, dla którego radość przynosiły mu praca i nauka – nic innego nie miał.

– Dobry chłopak. – Gospodarz wstał. – Collinsie, z radością dałbym ci dzień wolnego, wiemy, że na to zasługujesz. Ale dopóki nie porozmawiamy ze wszystkimi w domu, musisz pozostać na posterunku. Ty jeden dowiodłeś swojej lojalności.

– Tak jest, sir – odparł osiłek swojemu przełożonemu, ale patrzył na Nicholasa.

Młodzieniec nie znał tego wyrazu twarzy, łagodniejsze skrzywienie ust, cofnięty podbródek. A gdy ochroniarz spostrzegł, że Nicholas na niego patrzy, uciekł wzrokiem, jakby przyłapany na gorącym uczynku. W jego oczach nie było irytacji, rozbawienia ani litości.

Było tam poczucie winy.

Ale z jakiego powodu Collins czułby się winny?

– Maram, kochanie – zadysponował Richard. – Mój gabinet.

Kobieta dotknęła ramienia chłopaka i wyszła za głowę rodu. Dwaj młodzi mężczyźni zostali sami w salonie.

– Co...? – zaczął Nicholas, ale Collins już zmienił minę i patrzył w podłogę. Wyglądał na znudzonego, zmęczonego zrzedę. Czyli jak zawsze.

– Co z czym? – odbił.

– Nic. – Nicholas odwrócił się i też opuścił salon.

Joanna lubiła odkurzać książki. Przesuwanie miękkim, drogim pędzlem po okładkach i grzbietach dawało satysfakcję. Przypominało czesanie włosów Esther, o które ta, spragniona dotyku, zawsze ją prosiła, jak były małe. Tomy należące do kolekcji Joanna traktowała niczym starych przyjaciół. Wszystkie ich pęknięcia i skazy były dobrze znane i wybaczone, pamiętała historię każdej pozycji, poza tą, z którą umarł Abe. O, tę – luźno zszytą jedwabną nicią i oprawioną w czerwoną bawełnę – znalazła w latach sześćdziesiątych jej babcia ze strony ojca na targu w Montrealu. Tę ze sztywną skórzaną okładką zdobył ojciec za pośrednictwem ogłoszenia na początku lat dziewięćdziesiątych. Arabski zwój z Palestyny należał do matki Esther, do Isabel, jeszcze zanim poznała Abego. Niektóre zaklęcia w kolekcji już się zużyły, ale książki brzmiały tak, jak te z wciąż ciemnym atramentem, jakby dawna moc wciąż w nich tkwiła.

Dziewczyna nie wytarła kurzu z księgi, która zabiła jej ojca.

Wiele razy pytała o nią matkę, Cecily jednak milczała, odmawiając odpowiedzi, albo napadał ją ten irytujący kaszel, w który uciekała zawsze, gdy nie chciała o czymś rozmawiać. Może Joanna spróbuje jeszcze raz dzisiaj, na wspólnym lunchu. Prawdopodobnie znowu się pokłóca, ale przynajmniej chociaż raz o coś innego. Zawsze to odmiana.

Zapisek zostawiony przez ojca wciąż leżał obok książki. Zerknęła na niego i przeszła do kodeksu osłon, choć on prawie

nie potrzebował sprzątanina – za często go używała, żeby zdążyć się na nim zebrać kurz.

Wyszła z piwnicy do kuchni i już w holu usłyszała drapanie. Serce przyspieszyło w nadziei. Szybko nałożyła tuńczyka do miseczki, bardzo ostrożnie podeszła do drzwi frontowych i otworzyła je delikatnie, bezgłośnie. Na ganku, niczym gość, na którego tutaj czekają, siedział kot. Jedną łapę miał wyciągniętą, jakby chciał zapukać, lecz na widok Joanny ją cofnął, odsunął się.

Powoli, bardzo powoli przykucnęła i postawiła miskę z tuńczykiem w połowie drogi między sobą a kotem. I czekała ze wstrzymanym oddechem, aż zwierzę wyciągnie głowę i powącha powietrze. Kocurek odwrócił się w stronę schodów – serce w niej zamarło; zawrócił – podskoczyło. A potem zanurzył pyszczek w miseczce i zaczął mlaskać głośno. Joanna na klęczkach patrzyła, jak on je. Cały w barwach jesieni, srebrne pręgi i wirujące brązy; jego oczy, zmrużone z przyjemności, miały bursztynowy kolor soku jabłkowego.

Ranek był zimny. W nocy temperatura spadła. Joannę obudziły dreszcze, żar w piecu prawie pokrył się popiołem. Gdzie spał ten mały kot? Futerko wyglądało na gęste, ale czy dość ciepłe na zbliżającą się zimę? Bardzo chciała go pogłaskać. Gdy skończył jeść, zaczął oblizywać pyszczek i przyglądać się Joannie.

Niespiesznie wyciągnęła palec w jego stronę. Czytała kiedyś, że koty nie mają nic przeciwko temu, bo czubek ludzkiego palca wygląda jak koci nos. Jesienny zwierzak wysunął nosek, żeby ją powąchać, i poruszył ogonem. A potem, jakby podjął jakąś decyzję, zrobił szybki krok do przodu i trącił łepkiem jej dłoń.

Rozkosz, jaką sprawił jej ten niespodziewany dotyk, była niemal bolesna. Dziewczyna głaskała jego łeppek, drapała go za

uszami. Wspaniałe zwierzątko – takie ciepłe i miękkie, takie obecne, miało tak dociekliwe oczy... Mimowolnie uśmiechnęła się, kiedy podszedł bliżej i przesunął ogonem po jej nogach. Poczowała wibracje pod palcami. Przez chwilę myślała, że to książki, ten sam zwielokrotniony tembr, a potem zdała sobie sprawę, że to on mruczy, i łzy napłynęły jej do oczu.

Głaskała futrzaka tak długo, jak na to pozwalał, a gdy się odsunął, wstała z miską niedojedzonego tuńczyka. Trzymała ją przed sobą i cofała się do domu.

– No chodź, kici, kici. Chodź do środka, tam jest ciepło...

Ale on gwałtownie odwrócił głowę na dźwięk, którego ona nie słyszała, zeskoczył ze schodków i przez błotnisty ogród pobiegł w stronę lasu.

Patrzyła, jak znika, i ogarniała ją niepojęta, radosna duma, że pozwolił się dotknąć. I zaraz potem zaczęła się martwić. Że złapie go kojot, potrąci samochód albo że w nocy spadnie śnieg, a on utknie w nim i zamarznie, i umrze, zanim zdążyli się poznać, zanim pozwolił się sobą zaopiekować.

W starej sypialni Esther leżała podniszczona kołdra – może gdyby położyła ją na werandzie, miałyby tam legowisko, miejsce, gdzie mógłby się ogrzać. Ganek będzie mu się kojarzył z jedzeniem, ciepłem i Joanną, więc niewykluczone, że wkrótce zechce wejść do środka.

Zostawiła drzwi lekko uchylone, na wypadek gdyby zmienił zdanie, po czym wróciła do domu. W salonie odsunęła na bok ciężki wełniany koc, którym odcięła klatkę schodową, i po skrzypiących schodach weszła na piętro – tam było o wiele ciemniej i zimniej. W sypialni Esther przepaliła się żarówka, ale to nie miało znaczenia, przez duże okno wpadało mleczne światło poranka, więc chyba uda się znaleźć drogę do szafy. Łóżko siostry stało nietknięte od czasu, gdy tu mieszkała,

przykryte pierwszym i ostatnim patchworkiem, jaki Cecily w życiu zrobiła, zanim uznała, że to nie jest jej hobby. Na ścianie wisiał plakat Nirvany. Poza tym wewnątrz wyglądało na to, czym się stało: graciarnią.

Czasem nie umiała sobie przypomnieć, jak to było, kiedy całą rodziną mieszkali pod jednym dachem, świetnie dogadywały się z siostrą, a rodzice dobrze ze sobą żyli. Zanim Esther wyjechała bez uprzedzenia, Abe i Cecily kłócili się prawie codziennie, dlatego przez jakiś czas Joanna uważała, że to właśnie dlatego siostra uciekła. Próbowali utrzymać kłótnie z dala od córek, niekiedy nawet szli z tym do lasu, jednak napięcie między nimi było tak lepkie i gęste, że niemal widoczne jak pajęczyny.

Z tego, co Joanna i Esther zdołały podsłuchać, sedno konfliktu wyglądało następująco: Cecily była zmęczona życiem za kratami i miała dość zależności od ksiązek Abego. Chciała porzucić osłony, sprzedać książki, wyjść do świata i ludzi. Abe uważał to za oczywiste szaleństwo.

Siostry omawiały kłótnie rodziców, ale starannie unikały wyrażania własnej opinii, trochę dlatego, że i tak każda wiedziała, czyją stronę trzyma ta druga. Choć osłony mogłyby uratować Isabel, Esther zawsze jasno dawała do zrozumienia, że nie planuje zostać w Vermont na zawsze.

Zanim wyjechała, mówiła głośno o złożeniu podania do college'u, w Massachusetts lub w Nowym Jorku – gdzieś w pobliżu, jak obiecywała Joannie. Kupiłaby samochód i przyjeżdżała w odwiedziny albo zabierała siostrę na dłuższy weekend.

– Na pewno dasz radę zawiesić na chwilę powołanie – mówiła. – Wtedy wyskoczmy sobie na imprezę lub dwie.

Na początku listopada, kilka tygodni po tym, jak skończyła osiemnaście lat, przyszła do sypialni Joanny. Była późna noc,

więc Jo zdziwiła się, że siostra ma na sobie czarne dżinsy i glany, włosy spięte w kucyk. Joanna leżała już otulona kołdrą i czytała powieść o dalekich mglistych wyspach oraz magii, której żadna z ksiązek ojca nie mogłaby przywołać.

– Co wchodzi bez pukania? – powiedziała wtedy i to było takie szczeniackie, że krzywiła się na samo wspomnienie. Siostra weszła i usiadła na brzegu łóżka. Twarz miała nieruchomą. Joanna położyła powieść na kołdrze, Esther otaczała dziwna energia. – Co się stało?

– Nic – odparła Esther. – Chciałam tylko powiedzieć dobranoc.

– Dobranoc – trochę powtórzyła, trochę zapytała Joanna.

Esther pochyliła się i przytuliła siostrę, wbijając jej w ramię ostry podbródek.

– Kocham cię, Jo.

– Ja ciebie też. – Stropiona Joanna poklepała ją po plecach. – Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko bardzo dobrze.

Następnego ranka już jej nie było, zniknęła z ukochanymi ciuchami i nowym kombiakiem Abego. Żadnego listu, żadnego wyjaśnienia.

Po jej wyjeździe dom przemienił się w pole bitwy. Abe chodził z czerwonymi oczami i zaciśniętymi zębami, Cecily krążyła wokół niego, ciągnąc starą kłótnię, która mogła się różnić tonem i natężeniem, ale nigdy nie zbaczała z tematu opuszczenia osłon.

– To nie jest życie! – wołała Cecily ochrypła od krzyku, płaczu i błagań. – Jedno dziecko błąka się bezdomne po świecie, drugie pogrzebane w tym lochu na zawsze. To nie życie, Abe!

Niech przyjdą, niech przyjdą i wezmą, co chcą, wszystko lepsze niż to piekło!

W tym czasie Joanna porzuciła liceum. Zaczęła drugą klasę, ale nie była w stanie ani się uczyć, ani w ogóle wyjść z domu. Czuła się tak, jakby w miejsce serca wstawiono jej bryłę zimnego cementu. Coś ciężkiego przygniatało płuca, nie mogła złapać oddechu. Męczyło ją nawet chodzenie po schodach, więc leżała w swojej sypialni, patrzyła w sufit i odtwarzała ostatnią rozmowę z siostrą, na próżno usiłując znaleźć w niej jakieś wskazówki.

W chaosie, który zapanował po odejściu starszej córki, żadne z rodziców nie dostrzegło, co się dzieje z młodszą – aż zrobiło się za późno, żeby nadrobić zaległości. Zresztą postanowiła już, że nie wraca do szkoły, i nikt nie zdołałby jej przekonać do zmiany decyzji. Kilka miesięcy później namówiła ojca, aby zrzekł się praw rodzicielskich – dzięki temu mogła zdać GED[4] w Burlington. Ale w pierwszych długich tygodniach po odejściu Esther zarówno szkoła, jak i w ogóle przyszłość, była ostatnią rzeczą, o jakiej myślała.

Ogarnięta tymi wspomnieniami otworzyła szafę... i odskoczyła gwałtownie, gdy coś poruszyło się w środku. Chwilę później wybuchnęła śmiechem – zobaczyła własne odbicie. Zapomniała, że wstawiła tu stare lustro, ogromne, sięgające do podłogi, z ciężką drewnianą ramą, z rzeźbieniem winorośli.

Cecily uwielbiała to lustro, regularnie polerowała szkło i oliwiła drewno. Teraz, zapomniane i nieużywane, zmatowiało. Joanna starła kurz i zobaczyła, że uśmiech wywołany przez kota wciąż jest obecny, że dołeczki wyszły z ukrycia. Choć ją odmładzały, zwykle też irytowały. Dziś nie miała nic przeciwko dołeczkom. Pozwoliła im pozostać.

Z kołdrą w rękach stanęła na półpiętrze. Jej sypialnia mieściła się w jednym końcu korytarza, pokój ojca w drugim. Po śmierci Abego była w jego sypialni tylko raz, gdy szukała dzienników. Rzadko tam wchodziła, gdy żył, choć często przystawała przed drzwiami, żeby powiedzieć mu dobranoc. Zapamiętała to, jak siedział w łóżku ze swoim masywnym laptopem lub stosem dokumentów, a niekiedy powieścią – książką o zupełnie innej mocy. Joanna otwierała drzwi, nachylała się, przesyłała buziaka.

– Idź spać, tato.

– Już, zaraz, Jo.

Jeśli kot wejdzie do środka, jej ojciec zniknie stąd na zawsze.

Takie myślenie było bez sensu, ale nic nie mogła na to poradzić.

Gdy mościła kołdrę na werandzie, czuła się tak, jakby dokonywała wyboru. Wprowadzała zmiany.

Przed domem matki zaparkowała parę minut po czternastej. Po wyprowadzce dziesięć lat temu Cecily zamieszkała w piętrowym domu na parterze, gdzie było ciemno bez względu na porę dnia i bez przerwy cuchnęło octem. Teraz zajmowała mały, przytulny domek ma niecałym hektarze terenu, który komponował się tak idealnie, że wydawał się dziełem miejscowego biura turystycznego: zielone pola ciągnące się aż do gór, cukrowo biały domek z frontowym gankiem i dachówką, mała czerwona obora.

Dziś jednak wiszące nisko ołowiane chmury sprawiały, że dom wydawał się pusty i samotny, a obora stanowiła czerwoną plamę dryfującą po achromatycznym morzu. Na pastwisku stała jedna alpaka, żując brązową trawę; reszta stada pewnie przebywała w oborze.

Nie należały do Cecily, ogrodzone pastwisko i budynek gospodarczy wynajęła wydziałowi hodowli zwierząt małego college'u dwa miasta dalej. Od czasu do czasu kręcili się tu studenci, młodzi ludzie o jasnych oczach i donośnych, władczych głosach. Bezustannie paplali o szczepieniach wielbłądów, trymowaniu kopyt i tym podobnych rzeczach, kompletnie niezrozumiałych. Do alpак i do siebie nawzajem odnosili się z kompetencją, zażyłością i sympatią, ciągle się śmiejąc, choć Joanna nie potrafiła zrozumieć, z czego. W czasie wizyt córki Cecily zapraszała studentów do środka, zwłaszcza kudłatych młodzieńców, którzy byli równie nieatrakcyjni jak dziewczyny. Wydawali się dużo młodszy i dużo starsi zarazem, a na Joannę patrzyli tak, jakby ją taksonomizowali.

Dziś nie stały tu żadne samochody.

Na spotkanie wybiegła Gretchen, zanosząc się szczekaniem. Dziewczyna podrapała ją za brązowymi uszami, uśmiechając się do tej psiej ekscytacji. Cecily przygarnęła psa od razu, jak tylko się wyprowadziła. Gretchen – w jakiejś części border collie – miała już swoje lata, mimo to wciąż poruszała się jak szczeniak, bawiąc się i skacząc z radości. Od podjazdu kręciła się przy gościu. Joanna zastukała do drzwi i weszła z psem.

– Tutaj! – zawołała Cecily. Dziewczyna podążyła za jej głosem do kuchni, gdzie matka zaglądała właśnie do piekarnika. W całym pomieszczeniu było ciepło i rozkosznie pachniało chlebem; miła odmiana po przejmującym chłodzie na zewnątrz. – Prawie gotowe. – Kobieta podeszła do Joanny, ucałowała ją i wytarła szminkę z jej policzka. – Zdejmij płaszcz, kochanie.

Jo zdjęła płaszcz i szalik, powiesiła na oparciu krzesła. Jak zawsze wyczuwała na obrzeżach świadomości brzęczenie książek Cecily, dziś znacznie głośniejsze. Może nie stały już tam

gdzie zwykle, czyli w sypialni na górze, może matka zniosła je na parter?

– Kawy? – spytała gospodyni i już podsuwała kubek córce, a sobie dolewała, choć wszystko wskazywało na to, że wypija dość kofeiny. Wydawała się zdenerwowana, co chwila oglądała się przez ramię. Za mocno postawiła na stole dzbanuszek z mlekiem, filiżanka zagrzechotała na spodku. Pies również wydawał się niespokojny; kręcił się po kuchni, zanim zwinął się w kłębek u stóp Joanny. Nadal jednak czujnie unosił łeb.

Ta dziwna energia była zaraźliwa, Joanna poczuła nagły niepokój. Wzięła łyk kawy i próbowała się zrelaksować.

Kiedyś ją szokowało, gdy widziała tu swoją matkę, w takim zwyczajnym, otwartym życiu, a teraz ledwo mogła sobie przypomnieć, jak Cecily wyglądała w kuchni ich wspólnego domu. Pamięć o życiu z matką zdawała się przyćmiona – może właśnie z powodu samego życia? Obecnie Cecily miała pracę, przyjaciół, słodkiego psa, spotykała się z ogrodnikiem z uniwersytetu. Joanna czuła się jak relikw z przeszłości matki, jak ruchomy, rozmawiający fragment domu, który Cecily tak chętnie opuściła.

– Co dziś robiłaś? – Usiadła naprzeciwko Joanny. Patrzyła córce w oczy, ale jakby jej nie widziała.

Jo pomyślała o swoim całkiem miłym poranku. Na tyle miłym, że właściwie nie chciała dzielić się nim z matką. Wiedziała jednak, że coś takiego ucieszy Cecily, więc opowiedziała o kocie; matka bardzo wierzyła, że zwierzęta mają duszę.

– Chyba sam nie wiedział, jak bardzo lubi być głaskany – dokończyła Joanna. – Może wieczorem wejdzie ze mną do środka.

Kobieta uśmiechnęła się, ale wyglądała na rozkojarzoną. Wstała, żeby sprawdzić chleb.

– Jak go nazwiesz?

– Nie wiem. To kocur, brązowy i pręgowany, z pięknymi bursztynowymi oczami. Masz jakiś pomysł?

– Musiałabym go poznać – rzuciła lekko Cecily, ale dostrzegła, że córka już zaczęła podnosić gardę. Nałożyła im zupy marchewkowej, dołąła Joannie kawy i obie w milczeniu wzięły się do jedzenia.

– Pyszna – odezwała się w końcu dziewczyna, próbując wyciągnąć matkę z jej zdenerwowania. – Zrobiłam kiedyś taką w domu, ale wyszła wodnista.

– Ja dodaję purée ziemniaczane – poinformowała Cecily.

– Czytałam w internecie, że kucharze na Antarktyce mają dostawę świeżych warzyw tylko raz na sezon – powiedziała Joanna. – Zimą jest tak lodowato, że paliwo zastyga i samoloty nie latają. Skoro sezon letni właśnie się tam zaczął, Esther po raz pierwszy od miesięcy je świeże warzywa.

Łyżka Cecily zamarła w pół drogi do ust.

– Tak – wyrzuciła z siebie matka. Jedna jedyna sylaba miała w sobie taki ładunek niepokoju, że Joanna przestała jeść.

– O co chodzi? – spytała, usiłując mówić łagodnie. Nie lubiła, gdy matka się denerwowała, zwłaszcza gdy nie było wiadomo dlaczego. – Ciągłe powtarzasz, jakie to smutne, że Esther tak często się przeprowadza, nie zapuszcza korzeni. Nie cieszysz się, że raz wreszcie zostaje dłużej w jednym miejscu?

Cecily położyła łyżkę obok miski. Czerwone usta miała tak mocno zaciśnięte, że skóra wokół nich stała się biała, uwydatniły się drobne zmarszczki. Matka pokręciła głową; Joanna poczuła ukłucie niepokoju.

– Powiedz mi, o co chodzi.

– Chcę przyjść do ciebie, do domu. – To była zwykła śpiewka Cecily, ale w tej chwili Joanna zupełnie się tego nie spodziewała.

– Tylko na wieczór.

– Co to ma wspólnego z Esther?

Kobieta zaczęła mówić i znów zaniosała się tym samym ostrym kaszlem. Joanna poderwała się, lecz matka powstrzymała ją gestem, pokręciła głową.

– Nic mi nie jest – wysapała wreszcie. – Przepraszam. – Przez chwilę siedziała w milczeniu, jakby zbierała się w sobie. – Jedna z moich córeczek zniknęła dawno temu; nie widziałam jej już dziesięć lat i Bóg jeden wie, kiedy ją zobaczę. A druga... Czasem mam wrażenie, że przebywa tak daleko, jak Esther.

– Jestem tutaj.

– Ciałem tak. Przyjeżdżasz, siedzisz w mojej kuchni, rozmawiamy, zaglądasz do miasta, chodzimy na spacer... I za każdym razem tak samo cieszę się, że cię widzę. Bez względu na porę dnia, nieważne, co robimy. Ale jesteś moim dzieckiem, a ja nie byłam u ciebie, odkąd skończyłaś szesnaście lat. – Głos jej zadrżał. – Tak naprawdę nie wiem, jak żyjesz. Nie wiem, jak wygląda twoje życie i jak się w nim czujesz. I nawet kiedy jesteś tutaj, gdy mogę cię zobaczyć, dotknąć, wiem, że nie mam cię całej. Część ciebie siedzi tam, w piwnicy z książkami, zamknięta w domu, do którego nigdy mnie nie wpuścisz. Nigdy.

Joanna usiadła, ścisnęła palcami filiżankę z kawą. To nie brzmiało jak zwykłe pretensje Cecily. Słowa, pozbawione wyrzutów i oskarżeń, pełne były autentycznej udręki. W oczach kobiety lśniły łzy.

– Mamo... Podpaliłaś osłony.

– Podpaliłam.

– Tata powiedział mi, że zrobiłabyś to znowu. Zrobiłabyś, prawda? Gdyby tylko nadarzyła się okazja? – pytała. Milczenie wystarczyło za odpowiedź. – Nie mogę na to pozwolić – powiedziała wreszcie. – Przysięgłam tacie.

– On nie żyje – przypomniała Cecily. – On zmarł, a ja wciąż chodzę po tym świecie.

Joanna pomyślała o wyschniętym języku Abego. O znalezionym przy ojcu tomie.

– Jeśli opowiesz mi o książce, którą trzymał w ręku – zaryzykowała. – Może wtedy cię wpuszczę – zachęciła. Niczym dziecko, które zaraz urządzi scenę, Cecily cisnęła pogniecioną serwetkę na podłogę, ale tak jak zawsze przy tym temacie nic nie powiedziała. W jej oczach paliły się wściekłość i frustracja. Joanna przymknęła powieki, przełknęła gorącą kulę w gardle. –

Nie zaproszę cię do siebie, skoro nie mogę ci zaufać – powiedziała. – Sama przyznajesz, że chcesz zniszczyć osłony, i nic nie mówisz o książce, która zabiła tatę. Wiem, że coś przede mną ukrywasz, od lat. Może nawet przez całe moje życie.

– To dlatego ty kryjesz coś przede mną? Chcesz mnie ukarać?

– Przykro mi, jeśli tak to odbierasz.

– Kiedy stałaś się taka zimna? – wycedziła Cecily, Joanna drgnęła.

Przez długą bolesną chwilę żadna z nich się nie poruszyła, matka wpatrywała się nieruchomo w stół, Joanna zacisnęła dłonie na kolanach. A potem Cecily wyrwało się długie, ciężkie westchnienie, prawie jak szloch. Jednak kiedy popatrzyła na córkę, oczy miała suche, a twarz opanowaną.

– Dobrze. Chcesz dowiedzieć się czegoś o tej książce?

Jo wyprostowała się, serce jej podskoczyło.

– Tak!

– Idź do salonu. – Głos kobiety był pozbawiony barw, bez życia. – Usiądź na kanapie i zaczekaj tam na mnie. Zaraz przyjdę.

Zostawiły niedokończony lunch. Dziewczyna wstała, wyrrywając Gretchen z drzemki na ciepłych kafelkach. I choć za chwilę miała w końcu uzyskać odpowiedzi, których tyle czasu bezskutecznie szukała, ogarnęła ją niepewność. Cecily stała z opuszczonymi ramionami, pochylona. Jej twarz straciła wyraz, zmieniała się w maskę. Po raz pierwszy Joanna pomyślała, że może nie trzeba znać wszystkich odpowiedzi.

Ale na wątpliwości było już za późno, a ciekawość nie odpuszczała, więc Jo odwróciła się i przeszła korytarzem do przytulnego salonu, usiadła na skórzanej kanapie, krzyżując nogi pod sobą. Z kuchni dobiegały stłumione odgłosy: szuranie krzesła o podłogę, stukot drzwi. A na obrzeżach tego wszystkiego rozbrzmiewało brzęczenie księżek gospodyni, powlekając krawędzie świadomości słodkim syropem.

Wtedy zauważyła, że dźwięk się nasila.

Otwarte miejsca w jej umyśle, wyczulone na to właśnie doznanie, powoli się wypełniały. Brzęczenie narastało, sączyło się niczym miód do komórek uła. Odwróciła się w jego stronę – do szerokich drzwi salonu – i zobaczyła, jak matka, przykucnięta na progu, jedną ręką dotyka podłogi.

W pierwszej chwili dziewczyna nie rozumiała, co właśnie widzi.

Cecily przesuwiała palcami po nadprożu, a kiedy wstała, Joanna zobaczyła łzy na jej twarzy, smugę jaskrawej czerwieni na dłoni i ślad płynnej jeszcze krwi na podłodze. Matka trzymała teraz książkę pod pachą, brzęczenie wzrosło, rój pszczoł był aktywny, leciał nad kwietną łąką.

Zakłęcie w toku.

Gdy w dzieciństwie Joanna spała z siostrą w jednym pokoju, czasem budziła się z koszmaru. Przerażona chciała wołać rodziców i nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Nie miała powietrza, nie miała siły, syczała tylko. A jednak Esther zawsze wiedziała – zawsze budziła się i krzyczała za nią, podrywając rodziców z łóżka. Teraz czuła się tak samo sparaliżowana, głos uwiązał jej w gardle, tylko Esther nie było tu, żeby pomóc.

– Kochanie, błagam, wybacz mi – szeptała Cecily.

Joanna wstała z kanapy i szła do niej, ale na linii krwi matki mocno uderzyła w coś twardego jak ściana. Cofnęła się, wyciągnęła ręce przed siebie, bo wiedziała już, co napotka: zaschniętą krew na parapetach i drzwiach, niewidzialny odpór ze wszystkich stron, krąg krwi i magii – nie pozwolił jej wyjść tak, jak płot nie pozwala uciec owcy.

Cecily użyła tego zaklęcia wiele lat temu, uwięziła wściekłego kojota, który wpadł na ich posesję. Dzięki tej blokadzie Abe mógł go zastrzelić.

– Tylko na kilka godzin – powtarzała matka, a łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy. – Musiałam. Sama nigdy byś tego nie zrobiła. Nigdy byś nie zrozumiała.

Słowa dudniły w uszach jak bicie serca, równomierny, bezsensowny hałas. „Musiałam. Nie rozumiałabyś. Kilka godzin”. W końcu ją olśniło.

– Osłony – powiedziała. – Zamknęłaś mnie tutaj, żebym nie mogła ich podnieść.

– Przepraszam – powtórzyła Cecily, a Joanna usiadła na podłodze i wrzasnęła.

Apartament Nicholasa był w pierwotnym zamyśle mieszkaniem prywatnego sekretarza, z holu dało się przejść zarówno do gabinetu, jak i do sypialni. Identyczny układ stworzono we wschodnim skrzydle, gdzie mieszkała Maram. Jej pokój z kolei został stworzony z myślą o towarzyszącej damie, a więc obecny gabinet pełnił niegdyś funkcję garderoby. O dawnym przeznaczeniu pomieszczenia przypominały orzechowa szafa i połączane lustro Ludwika Filipa, z tym że szafa wypchana była teraz dokumentami.

Nicholas gestem wyciągnął Collinsa do małego holu, po czym wskazał niską aksamitną sofę i fotele.

– Nie musisz stać na korytarzu – powiedział. – Równie dobrze możesz siedzieć tutaj i grać w pasjansa czy porobić cokolwiek innego.

Z tacą przyniesioną z kuchni ochroniarz czekał, aż jego podopieczny otworzy drzwi gabinetu. Zaciekawiony strzelił oczami w głąb ciemnego pokoju. Nicholas przyjął lunch i zamknął za sobą drzwi.

Minione lata nauczyły go, że prywatność to najrzadszy z luksusów w jego życiu, i za przykładem stryja nikogo nie wpuszczał do gabinetu. Jednak w przeciwieństwie do Richarda, który chronił się skomplikowanym systemem zakłęk i blokad, drzwi Nicholasa zamykał prosty klucz – zapasowe egzemplarze mieli i stryj, i Maram, jak mówili: tak na wszelki wypadek. Postawił tacę na biurku i przekręcił klucz. Sir Kiwi plątała się pod nogami, choć w tej chwili była bardziej zajęta lunchem.

Dzbanek herbaty pokrzywowej, miseczka szpinaku i talerz zimnej pieczeni z porcją musztardy. Wszystko bogate w żelazo i jakże mało atrakcyjne teraz, gdy – biorąc pod uwagę jego nastrój – preferowałby węglowodany, najlepiej słodkie.

Rozpalił ogień w marmurowym kominku, żeby chłodne, wilgotne powietrze trochę się ogrzało, a następnie usiadł przy biurku. Krzesło ustawił tak, żeby widzieć drzwi.

Gdy był mały, w tym pokoju spała pani Dampett, guwernantka. Przejął to miejsce, kiedy odeszła, a pisanie zakłęb zajmowało mu coraz więcej czasu. Na regałach ustawiono całkowicie bezsensowne powieści bez krzty magii, mahoniowe biurko z blatem obitym skórą znajdowało się między trzema oknami wykuszowymi, wychodzącymi na staw.

Patrzył właśnie na ciemną, pomarszczoną wiatrem wodę, a Sir Kiwi zajęła swoją ulubioną pozycję przy jego stopach. Uśmiechnął się do niej, niechętnie spróbował szpinaku, a następnie uruchomił laptopa i rozłożył notatki. Laptop – jak wszystko, z czego młodzieniec korzystał – był z najwyższej półki, chociaż wiele jego zaawansowanych funkcji marnowało się w domu bez połączenia z internetem. Nicholas używał tego sprzętu wyłącznie jako brudnopisu do zakłęb, później przelewanych na papier, i do oglądania filmów akcji – ściągał je masowo, jak tylko znalazł się w zasięgu wi-fi, poza osłonami.

W swoim życiu napisał mnóstwo zakłęb prawdy, więc teraz musiał jedynie przejrzeć poprzednie wersje i sprawdzić, czy coś nie wymaga poprawy. Zakłęb prawdy było w sumie pierwszym zadaniem, jakie zlecił mu Richard, i pierwszą książką napisaną całkiem samodzielnie. Stworzył ją w wieku ośmiu lat. Stryj przechowywał tamten gotowy egzemplarz na końcu jednego z wąskich korytarzy Biblioteki, za szkłem i na cokole, opisany datą ukończenia. Jak wspominał Richard, pierwsza książka ojca

Nicholasa również była zaklęciem prawdy. Chłopak nigdy przedtem – i w sumie nigdy potem – nie czuł się tak dumny.

Rodziców stracił jako malutkie dziecko, więc ich nie pamiętał. Według opowieści Richarda po narodzinach synka postanowili opuścić bezpieczną Bibliotekę i udawać niezależność w Edynburgu. To właśnie tam ich zamordowano. Stryj wciąż był zły na młodszego brata za ten wyjazd, Nicholas w jakimś stopniu przejął od niego ten gniew. Gdyby rodzice po prostu zrobili to, co on zrobił, i pogodzili się z zamknięciem w Bibliotece, wciąż by żyli.

Jego ojciec był Skrybą, a matka – podobnie jak Richard i Maram – potrafiła wyczuwać magię, lecz w przeciwieństwie do swoich rodziców jej nie tworzyła. Należeli do grona tych magicznych rodzin, które powstały, gdy prapra-i tak dalej-dziadek Nicholasa założył Bibliotekę pod koniec XVIII wieku i zlecił zaklęcie, które ograniczyło całą magię do linii krwi.

Nicholas nie umiał sobie wyobrazić, jak wyglądał świat ksiązek wcześniej, kiedy talent magiczny objawiał się w człowieku niezależnie od tego, czy członkowie rodu mieli podobne uzdolnienia. Widział księgę zawierającą zaklęcie linii krwi tylko raz, prawie piętnaście lat temu, w gabinecie Richarda. Była tak gruba i skomplikowana, że od razu zrozumiał: napisanie jej pochłonęło życie niejednego Skryby. Trzech, jak wyjawiał mu później stryj.

Jeszcze trudniej przychodziło mu wyobrazić sobie świat, w którym żyło tak wielu Skrybów, że trzech mogło wykrwawić się na śmierć, by czwarty mógł dokończyć zaklęcie.

Richard utrzymywał, że przodek Nicholasa zlecił zaklęcie linii krwi, aby wiedza magiczna przechodziła z pokolenia na pokolenie, nie ginęła wśród rozproszonej populacji, niepołączonej pokrewieństwem. Maram jednak powiedziała

kiedyś w tajemnicy, że tak naprawdę antenatowi chodziło o coś innego. Planował ograniczyć wszelkie magiczne zdolności do własnego rodu, dzieci swoich dzieci i ich dzieci, lecz zaklęcie wypaczyło i uogólniło te zamierzenia.

Nicholas uważał pierwotny cel za skończenie brutalny – jeśli Maram mówiła prawdę, a tak mu się wydawało. Każda kolejna informacja o pradziadku budziła coraz większy niesmak, zaś zakrwawiony fartuch na portrecie, wytrawiony w nadpobudliwej wyobraźni, nie pomagał.

Tak czy inaczej, przodek Nicholasa ostatecznie dostał właśnie to, na czym mu zależało, czyż nie? Na świecie istniał już tylko jeden Skryba i był nim jego prapraprapraprawnuk.

Wielka szkoda tylko, że pisanie zaklęć Nicholas musiał się uczyć ze stert notatek, których Biblioteka szukała przez ostatnie stulecia, słono płacąc tak prywatnym handlarzom, jak instytucjom.

To właśnie do zestawiania i przechowywania tych notatek zatrudniono Maram, doktora teologii, która ukończyła Oksford kilka lat wcześniej. Równolegle opracowała cały plan edukacji ostatniego Skryby, zatrudniła wszystkich koniecznych nauczycieli i stała się niezbędną częścią Biblioteki, tak jak Richard. O specyfice pracy Skrybów prawdopodobnie wiedziała więcej niż ktokolwiek inny.

Ziewając nad własnymi notatkami, Nicholas zastanawiał się – zresztą nie po raz pierwszy – kto uporządkuje te zapiski, gdy on sam umrze. Może jego dziecko? Choć nie potrafił w ogóle wyobrazić sobie, jak miałyby przyjść na świat, skoro prawie nie widywał ludzi spoza domu. Najlepszym dowodem, jak żałosne życie towarzyskie prowadził, było to, że jak dotąd fascynowały go jedynie postacie fikcyjne, a mianowicie muszkietierowie oraz ich ukochane.

Ziewnął znowu. Przysypiał nad laptopem mimo kawy; w końcu wstał, żeby otrząsnąć się z tego popołudniowego letargu. Rozciągał się właśnie, gdy Sir Kiwi poderwała się i zaczęła szczekać. Ktoś zastukał do drzwi.

– Nicholas? – odezwała się Maram.

Uchylił drzwi.

– Tak?

Uśmiechnęła się, potrząsnęła buteleczką.

– Przyniosłam paracetamol. Mogę wejść?

Wiedziała, jak cenił sobie prywatność, więc nie wpraszałaby się bez powodu. Odsunął się ostrożnie. Kobieta pogłaskała suczkę po głowie i stanęła przy drukarce. Przez chwilę w milczeniu obserwowała, jak kartki bezgłośnie wysuwają się z paszczy urządzenia. Nicholas, którego rzeczywiście bolała głowa, wysypał na dłoń dwie tabletki, popił resztką pokrzywy. Podniósł oczy i napotkał wzrok Maram.

Patrzyła na niego bardzo intensywnie, podczas gdy jej ekspresyjna twarz była nieruchoma. Białe światło z okna oświetliło bruzdy na czole, zmarszczki przy ustach. Wyglądała na starą i nieszczęśliwą.

– O co chodzi? – spytał. – Coś się stało?

– Nic się nie stało – odparła. – Przyszłam tylko powiedzieć, że oboje z Richardem będziemy w zimowym saloniku mniej więcej od dwudziestej do północy. Zamierzamy planować sprawy na nadchodzące tygodnie i nie chcemy, żeby nam przeszkadzano.

– Zrozumiałem.

Podniosła mosiężnego wróbla, przycisk do papieru, przyjrzała mu się bacznie.

– Do północy – powtórzyła. – Możesz wcześniej się położyć, Richard pomoże ci z atramentem jutro o siódmej.

– O siódmej? – jęknął młodzieniec.

– O dziesiątej ma spotkanie w Londynie.

– Z całą pewnością zdołam sam przygotować atrament, zwłaszcza jeśli dzięki temu nie będę musiał zrywać się o świcie.

– Stryj chce, żebyście zrobili to razem. – Spoglądała na niego z miną, w której ktoś obcy mógłby dopatrzeć się irytacji. Nicholas wiedział, że to troska. – Próbowałam go przekonać, żebyś jeszcze nie siadał do zaklęć, ale chyba obaj myślicie, że będzie dobrze.

– I będzie – potwierdził Nicholas. – W każdym razie to bardzo miłe...

Maram westchnęła niezadowolona, a chłopak uważniej przyjrzał się jej ściągniętym brwiom i zmęczonej skórze. Ostatnia noc wstrząsnęła nią równie mocno, jak Nicholasem.

– Chcę, żebyś trochę odpoczął – oznajmiła, odsuwając się. – Potrzebujesz dużo energii.

– Do czego? Chodzenia z psem nad jezioro i z powrotem? Wylegiwania się z książkami szpiegowskimi? Ty też potrzebujesz odpoczynku. Nie trać sił na martwienie się o mnie.

Pokręciła głową.

– W każdym razie Richard i ja będziemy w zimowym salonie do północy.

– Pamiętam.

– Na te cztery godziny zostaniecie z Collinsem sami. Twój stryj i ja będziemy zajęci. Bardzo zajęci. – Mówiła dobitnie i powoli, jakby przekazywała coś znacznie ważniejszego niż zwykła logistyka.

– Dorośli potrzebują czasu dla siebie. – Nicholas podniósł ręce z nieskrywaną irytacją. – Dotarło.

Odstawiła wróbla z głośnym brzękiem, posłała Nicholasowi szybki, nerwowy uśmiech i wyszła.

– Ale to dziwne. – Nicholas nachylił się i podrapał Sir Kiwi między postawionymi uszami. – Było dziwne, co nie? Było czy nie było? Było. Prawie takie dziwne jak ty, dziwny mały...

Zanim dał się ponieść dziecięcej paplaninie, zobaczył coś, co oderwało go od psa.

Wcześniej wróbel do papieru stał bezpośrednio na blacie biurka – teraz coś pod nim leżało. Skrawek kartki. Nicholas wyjął go i zagapił się zdezorientowany.

Staranne pismo Maram, zestaw liter i cyfr, które nie miały żadnego sensu – dopóki nie zrozumiał, że to numer tomu Biblioteki, nadawany z wykorzystaniem jej własnej, specjalistycznej klasyfikacji dziesiętnej, niekoniecznie Deweya.

PR1500tt.

Lokalizacja książki w zbiorach domu.

Przeczytał numer dwa razy i nie wypuszczając karteczki z rąk, spojrział w okno, na mgłę osiadającą w dolinach wzgórz. Maram chciała, żeby poszedł do Biblioteki i znalazł tę właśnie pozycję, i żeby zrobił to, kiedy ona z Richardem będą zajęci. Ale w tym nie widział jeszcze nic niezwykłego, często dostawał od niej polecenie, aby wrócił do pewnych zakłęb, a później go z nich przepytowała. Dlaczego nie powiedziała mu tego wprost? Czemu akurat to zadanie wymagało takiej tajemnicy?

Spojrzął na zegarek, minęła piąta. Zakłęb prawdy mógł pisać, dopiero jak przygotuje atrament, co najwyraźniej miało nastąpić nie wcześniej niż rano. Jeśli zacznie szukać o dwudziestą, wystarczy mu czasu, żeby znaleźć książkę

i zrozumieć nietypowe zachowanie Maram. Na razie skończy tworzyć szkic, potem nawet utnie sobie drzemkę.

Usiadł przy biurku, odłożył karteluszek, ale nie mógł się skupić. Szare niebo za oknem miało gładkość muszli, a tam, gdzie pokrywa chmur przerzedzała się na zachodzącym słońcu, połyskiwało niczym masa perłowa. Przemknął jakiś ptak. Czyste piękno, tak właśnie Nicholas dawniej myślał o magii.

Kiedy ostatnio napisał książkę wyłącznie dla samego jej napisania, a nie w służbie Biblioteki, nie dla kaprysu jakiegoś miliardera? Lata temu, zanim jeszcze zaczął otrzymywać zlecenia, robił to często. Nawet go zachęcano, żeby wpadał na najdziwniejsze pomysły i sprawdzał, czy zdoła je wpisać w życie. Jak większość dzieci Nicholas uwielbiał mity i bajki, ale w przeciwieństwie do większości rówieśników nigdy nie widział siebie w dzielnych bohaterach i bohaterkach, którzy z ust wypluwali klejnoty, obracali pszenicę w złoto albo natrafiali na magiczną fasolę, czarodziejskie lampy lub gęsi. Jego miejsce było poza opowieściami, tam, gdzie ktoś – jak sobie to wyobrażał – pisze wszystkie zaklęcia, dzięki którym istnieje magia. Wiele wczesnych, eksperymentalnych książek opierał na opowieściach: zaklęcie dla harfy, żeby słuchacze jej dźwięków płakali; zaklęcie pozwalające skraść czyjś głos i skryć go w muszli...

Nie mógł sam czytać napisanych przez siebie książek, prosił o to opiekunów albo nauczycieli i patrzył z zapartym tchem, czy jego magia działa. Miał na swoim koncie kilka porażek. Jak przypuszczał, właśnie o to chodziło w tym ćwiczeniu. Nauczył się na przykład, że magia nie może bezpośrednio przekształcić żywego ciała, choćby nie wiem jak się starał napisać parę skrzydeł albo zmusić zwierzę do mówienia. Ogólnie jednak jego

sukcesy były oszałamiające. Przez chwilę miał wrażenie, że może wszystko.

Po latach to uczucie zanikło, razem z zachwytem, jaki czerpał z własnych umiejętności. Niekończące się zlecenia pozbawiły pisanie elementu zabawy, a z biegiem czasu coraz trudniej było przekonać nauczycieli do czytania zaklęć, które pisał dla przyjemności. Odnosił wrażenie, że niektórzy nawet się go bali, choć najgorsze, co kiedykolwiek zrobił, to było zmuszenie do szaleńczego walca swojej nauczycielki – siedemdziesiąt dwa lata – w nie najlepszej formie, gdy niechętnie przeczytała zaklęcie dla pary butów.

Pamiętał jeden szczególnie przygnębiający dzień. Miał jakieś dziesięć lat i po miesiącu obsesyjnej pracy zakończył książkę o prawdziwym latającym dywanie. Napisał ją bardzo starannie: magia miała działać na sam przedmiot, nie na czytającego, więc przynajmniej raz mógłby doświadczyć własnej książki, usiąść na takim dywanie i polecieć – nad polami, nad stawem, z dala od Biblioteki.

Gdyby tylko ktoś mu to przeczytał.

Wiedział, że nawet jeśli Maram czy Richard wygłosiliby te magiczne zdania, to na pewno nie pozwolą mu latać na dywanie. Ale akurat wyjeżdżali na kilka dni w sprawach kolekcjonerskich do Chile, więc miał nadzieję, że uda mu się kogoś namówić. Kogoś, kto byłby mniej drakoński w unikaniu tego, co stryj nazywał zachowaniem wysokiego ryzyka, a co obejmowało pływanie, wspinaczkę, bardzo szybki bieg, zjeżdżanie po poręczach, jazdę samochodem (jeśli nie Richard albo Maram siedzieli za kierownicą) i spędzanie czasu z jakimiś dziećmi, innymi niż ograniczeni synowie pracowników Biblioteki – bo tylko tym małodatom czasami pozwalano na odwiedziny.

Jego wychowawcą był wtedy pan Oxley, który niedawno przeszedł na emeryturę w Eton i dobitnie dał do zrozumienia, że przyjął posadę w Bibliotece nie ze względu na radość nauczania, ale na pokaźne wynagrodzenie. Gdy Nicholas poprosił o przeczytanie zaklęcia, belfer najpierw roześmiał się głośno.

– Co, żebyś mógł polecieć i skrócić sobie kark? – prychnął po chwili, po czym dodał: – Kark wart kilka razy więcej niż moje życie, przynajmniej dla niektórych, bo moi bliscy: żona, dzieci i wnuki, mogliby uważać inaczej. Więc ze względu na nich powiem: „Dziękuję, nie skorzystam”.

Nicholas udał się do kuchni, gdzie kucharz siekał pory, a dwie pokojówki piły kawę przy stole. Na widok chłopca od razu wstały, wygładziły fartuchy i się uśmiechnęły. Kiedyś podobało mu się, że wszyscy prężą się na baczność, gdy wchodzi do pomieszczenia, ale ostatnio zauważył, co dzieje się z ich twarzami. Naturalna mimika zniknęła, pojawiał się ten sam, nijaki, niby życzliwy uśmiech. Jak by to było, rozmyślał, gdyby ludzie posyłali mu uśmiech tylko dlatego, że mają na to ochotę?

– Potrzebuję kogoś, żeby przeczytał moje zaklęcie – usiłował naśladować głęboki, naturalnie władczy głos stryja, ale zabrzmiało to jękliwie. Chrząknął. – Nie musicie wiedzieć, co ono robi. Wystarczy je odczytać.

– Bardzo chętnie – odparł kucharz. – Jak tylko wrócą twój stryj i doktor Ebla i dadzą nam pozwolenie.

– Ja dam ci pozwolenie!

Kucharz był szczupłym ciemnoskórym mężczyzną z głową łąsą jak pestka awokado; pracował w Bibliotece dłużej niż obie pokojówki. Odłożył nóż i spojrzał na chłopca bardzo poważnie.

– Czy wiesz, czym jest hierarchia służbowa, Nicholasie?

– Wiem – odparł chłopiec, już żałując, że się do tego przyznał. Było jasne, do czego kucharz zmierza.

– Sir Richard i doktor Ebla są na szczycie hierarchii, a ja, podobnie jak ty, nie mogę zrobić niczego bez ich zgody.

– W takim razie gdzie ja jestem w tej hierarchii? – spytał Nicholas.

– O, to akurat skomplikowane. – Kucharz podniósł nóż. – Jest kilka rzeczy, które możesz mi nakazać. Na przykład gdybyś przyszedł tutaj i zażądał, żebym dał ci jedno z czekoladowych ciastek, takie duże, które właśnie upiekłem i stygnie, wtedy, no cóż...

Nicholas rozpoznał to zagranie, ale nie chciał tracić słodkiej przekąski. Zażądał, dostał i poszedł zjeść przy biurku na górze. Chrupał, wpatrując się w książkę, nad którą ciężko pracował, wypełnioną tygodniami badań, dniami pisania i wieloma kroplami krwi. Żuł i myślał, że ciastka są przepyszne, kiedy je gryziesz, ale z ostatnim kawałkiem przyjemność się kończy. Prawdopodobnie z lotem na magicznym dywanie byłoby to samo: cudowny w trakcie, kiedyś by się skończył. Czyli do bani. Magia jest głupia i bez sensu, stwierdził. Mój talent jest głupi i bez sensu. I pewnie ja sam jestem głupi i bez sensu.

Teraz, znacznie starszy, siedział przy tym samym biurku, tylko bez ciastka.

Spojrzał na szkic swojego zaklęcia prawdy – niemal takiego samego, jakie pisał do znudzenia wiele razy – a potem przeniósł wzrok na dziwny zapisek Maram. PR1500tt. Książka po angielsku, magia transformacyjna.

Ciekawe...

O dwudziestej Nicholas wstał po drzemce i ruszył do Biblioteki. Z Collinsem za plecami zszedł po ogromnych schodach i przeciął Wielką Salę.

Kiedyś kolekcja znajdowała się tylko w oryginalnej bibliotece domu, która była skromną przestrzenią przylegającą do kaplicy i oficjalnej jadalni. Jednak pod koniec XIX wieku pradziadek Nicka wyburzył ściany i rozszerzył bibliotekę na pozostałe dwa pokoje. Teraz zajmowała ona całą połowę parteru, a temperatura i wilgotność były precyzyjnie ustawione, zgodnie ze specyfikacjami archiwalnymi. Wnętrza strzegły metalowe drzwi. Wejście wymagało zarówno skanu siatkówki oka, jak i odcisku kciuka. Dostęp do zbiorów mieli tylko Richard, Maram i Nicholas, choć nadzorowany personel regularnie przychodził tu sprzątać.

Collins stał z boku, z rękami skrzyżowanymi na piersi, kiedy młodzieniec przysuwał oko do skanera.

– Co my tutaj robimy?

– Szukam czegoś – odparł Nick. – Nie musisz ze mną wchodzić.

Ochroniarz skinął głową i wyraźnie się rozluźnił. Nicholas dopiero teraz zrozumiał, jak spięty był jego towarzysz.

– Dlaczego tak nienawidzisz książek? – zwrócił się do niego zaciekawiony. Zawsze uważał rażącą niechęć Collinsa do magii za nieodłączną część jego osobowości. Teraz przyszło mu do głowy, że mogło być w tym coś więcej niż zwykła gburowatość.

Ositek chrząknął. Wyglądało na to, że chciałby coś powiedzieć, jego usta poruszały się bezdźwięcznie, przestał mówić, znów oczyścił gardło, przełknął ślinę. W końcu rozkastał się chrapliwie, pokręcił głową.

Chłopak patrzył na niego zaskoczony. Wiedział oczywiście, że Collins został objęty UZP, umową o zachowaniu poufności, i rozpoznał próby obejścia magicznego knebla. Nie rozumiał jednak, dlaczego UZP miałyby powstrzymać Collinsa przed wygłoszeniem opinii. Sam napisał wszystkie te umowy, nawet jeśli to Richard i Maram je wygłaszali. Stanowiły podstępna magię, która pozwalała czytającemu ustalić dokładne warunki wymuszanego milczenia. Z tego, co wiedział, pracownicy mogli mieć zakaz wypowiedzania słowa „dziwak”, bo Maram go nie cierpiała.

W końcu Collins wydobył z siebie głos:

– Wszystkie te książki napisano krwią.

Tak, to z całą pewnością prawda. Nicholas czasami zapominał, że nie wszyscy są tak obyci z krwią we wszelkich jej formach jak on.

– Rozumiem. – Przycisnął kciuk do touchpada; metalowe drzwi otworzyły się z szumem. Wszedł, zamknął je kciukiem, a następnie wziął białe bawełniane rękawiczki z wysokiego okrągłego stołu. Założył je na szczupłe dłonie.

W ostatniej sekundzie zerknął na Collinsa i zobaczył jego niezadowoloną minę. Od ochroniarza dzieliła go teraz gruba warstwa metalu.

Światła w Bibliotece reagowały na ruch. Zamigotały, gdy ruszył w głąb pomieszczenia. Rzuciły światło na półki z książkami jedna po drugiej. Klasnął głośno i trzy ogromne kryształowe żyrandole rozświetliły zalegającą ciemność. Ściany miały wiele kątów, łączyły się tam, gdzie była oryginalna

biblioteka, biegły prosto przez starą jadalnię, a potem znów załamywały się i tworzyły szczyt w części, która kiedyś pełniła funkcję kaplicy. Każdy centymetr powierzchni zajmowały ciemne regały.

Niektóre miały szklane drzwiczki, inne pozostawały otwarte, ale wszystkie wykonano z angielskiego dębu, w tym bogate rzeźbienia. Misterne linie kwiatów i bluszczu połyskiwały pod mosiężnymi lampami, które zamocowano w górnej części każdego regału. Były tu również dwustronne, wolnostojące regały, równie wysokie i tak samo pokryte rzeźbieniami. Tworzyły długie ciągi albo spirale. W ten sposób Biblioteka nabierała charakteru ciasnego labiryntu. Tu i tam widniały spiralne mahoniowe stopnie z mosiężnymi zwieńczeniami. Spód każdego stopnia pomalowano na lśniący karmin, więc gdy szło się między półkami, odnosiło się wrażenie, że bokiem przemyka kardynał.

Woluminy ustawiono według systemu klasyfikacji opracowanego przez pradziadka Nicholasa, który dzielił je według wieku, pochodzenia i funkcji. Zgromadzono ich ponad dziesięć tysięcy, choć nie wszystkie były książkami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Część przeszklonych regałów zawierała zwoje, inne kryły foliały, a najstarszym dziełem były fragmenty papirusu sprzed trzech tysięcy lat w języku aramejskim: litery wyblakły do tego stopnia, że do czytania używano specjalistycznego mikroskopu. Zamieszczone w papirusie zaklęcie kiedyś sprawiało, że osioł mógł pracować dwa razy intensywniej przez cały dzień.

– Po co go trzymamy? – spytał mały Nicholas, przyglądając się przechowywanym za szkłem wątlym, pożółkłym fragmentom. Miał może dziewięć lat. – Przecież już nic nie robi

i nie można go pożyczyć. Dlaczego zachowujemy książki, które do niczego się nie nadają?

– Bezценne jest nie tylko to, co dana książka potrafi, ale wszystko, czego możemy się o niej dowiedzieć – wyjaśniła Maram. – Rodzaj atramentu. Metody oprawiania. Skład papieru. Biblioteka to unikalny nośnik starożytnej wiedzy: jak zrobić ten specjalny atrament, jak stworzyć te wyjątkowe tomy. Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność za przechowywanie tej wiedzy i zapewnienie jej bezpieczeństwa. W niewłaściwych rękach...

– Ale tylko ja mogę stworzyć atrament – przerwał jej Nicholas.

– No właśnie. – Maram spojrzała na niego ciemnymi, świetlistymi oczami. – Więc ty też nie możesz wpaść w niewłaściwe ręce.

A jednak wpadł.

W ostatni dzień października, gdy miał trzynaście lat i był w San Francisco... Wtedy jeszcze często opuszczał Wielką Brytanię. Szli ulicą z Richardem i się kłócili.

Chyba nigdy wcześniej nie czuł takiej wściekłości jak tamtego roku. Żył w czerwonej mgle dojrzewania, pragnąc innego życia – nieważne jakiego, byle nie takiego jak to, które mu przygotowano. Tamtego dnia wciąż doskwierały mu skutki uboczne trudnego zlecenia. Zakłęcie wywoływało dwudniową burzę gradową z piorunami. Miliarder z hrabstwa Sonoma zamówił je wyłącznie w jednym celu: żeby zrujnować wesele byłej żony. Oczywiście odbywało się na świeżym powietrzu.

Nicholas chciał tej kłótni i specjalnie ją sprowokował. Książkę z gradobiciem wcisnął tak mocno do kieszeni, że Richard musiał go skarcić. Na reprimendę stryja chłopiec zareagował krzykiem. Kłócili się zażarcie, nie zwrócili więc uwagi, że obok nich jedzie

powoli furgonetka z pstrokatą reklamą miejscowej firmy hydraulicznej.

W końcu Richard powiedział: „Jadą równo z nami”, tonem, którego Nicholas nigdy wcześniej nie słyszał, a sekundę później chwycił chłopca za ramię i odciągnął od ulicy – za późno. Z otwartych drzwi samochodu wyskoczyło kilka zamaskowanych osób, z czymś metalowym w dłoniach. Z tydzień później Nicholas odkrył na ramieniu siniaki w miejscu, gdzie stryj ścisnął mu rękę – i były to najmniejsze z jego obrażeń. Przewrócili Richarda, chwycili Nicholasa i wrzucili do auta. Zawiązali mu oczy i wieźli przerażonego chłopca całe wieki, a potem, już na miejscu, przywiązali do krzesła i zostawili. Siedział tam, nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jak długo, ale długo, bo się posikał. W końcu porywacze wrócili. Nicholas słyszał kroki wielu osób. Zapytał, czy to oni zabili jego rodziców. Ktoś się roześmiał i powiedział, że tak.

Zasypywali go pytaniami, a chodziło im o najpilniej strzeżony sekret Biblioteki, tajemnicę samych Skrybów: kto i w jaki sposób pisze magiczne księgi? Nie rozumieli, że on sam jest odpowiedzią... Niczego im jednak nie powiedział. W końcu, po godzinach przesłuchań i dwóch złamanych palcach, przyszedł człowiek, który pachniał jak mydło lawendowe, i wbił chłopcu igłę w ramię. Nic więcej Nicholas nie pamiętał.

Ocknął się w szpitalu. Otworzył jedyne ocalałe oko (czego wtedy jeszcze nie wiedział) i zobaczył Maram na krześle obok siebie. Nigdy wcześniej i nigdy potem nie widział jej tak potwornie wyczerpanej. Za nią tam i z powrotem chodził Richard.

Gdy już lekarze opowiedzieli Nicholasowi o zakresie jego obrażeń, gdy Richard i Maram wyjaśnili, że to wciśnięta

w kieszeń książka z gradobiciem (czy raczej aktywowana w niej data) pozwoliła go odnaleźć i uratować, i gdy on przekazał im wszystko, czego dowiedział się od porywaczy, czyli nic kompletnie, Richard uklęknął przy łóżku i wziął chłopca za rękę.

– Gdybyśmy przyjechali piętnaście minut później... – Głos mu zadrzał; nie mógł dokończyć zdania. – Nigdy więcej do tego nie dopuszczę – oznajmił już pewnie i mocno. Nicholas schylił głowę zawstydzony emocjami stryja, ale też wdzięczny. Mężczyzna ścisnął mu dłoń. – Nie, mój drogi, chcę, żebyś na mnie patrzył, kiedy to mówię. Chcę, żebyś mi uwierzył. Nic podobnego już nigdy więcej ci się nie przydarzy. Zapewnimy ci bezpieczeństwo: ja, Maram i Biblioteka. Obiecuję.

Dotrzymał tej obietnicy. Od tamtej pory potomek rodu był bezpieczny – och, jakże bezpieczny. Wdzięczny za ochronę. Niekwestionujący jej konieczności. Koniec z jakimś tam odmiennym życiem i marzeniami.

A skoro już prawie zaakceptował fakt, że to jego jedyne życie i innego nie będzie miał, postanowił być z niego dumny. Poświęcił się studiowaniu książek i notatek ojca, skupił się na nauce pisania, zapamiętał cały układ Biblioteki.

Wiedział więc dokładnie, gdzie szukać pozycji, której numer dostał od Maram: na jednej z łukowatych półek w starej Bibliotece, bardzo wysoko. Musiał odsunąć duży XVII-wieczny globus i przeciągnąć spiralne schody, żeby do niej dotrzeć. Tom – oprawiony w surową, niebarwioną skórę – był szorstki w dotyku. Wyjął go i przeczytał kartę informacyjną w plastikowej okładce.

Kraj pochodzenia: Anglia

Szacowany rok napisania: 1702

Dołączono do zbiorów: 1817

Efekt: Powoduje, że każda domieszka chemicznego materiału miotającego, tj. prochu strzelniczego, w trakcie eksplozji zamienia metal w Bombus terrestris.

Próbka atramentu: Grupa krwi o ujemny, ślady koniczyny oraz niecierpka.

Pamiętał teraz tę książkę: zgłębiał jej treść, gdy uczył się magii transformacji. Poprawił rękawiczki i zaczął ją przeglądać. Nie miał pojęcia, czego szukać, więc planował przerzucać strony, aż znajdzie trop. Jak się szybko okazało, nie było to konieczne.

Od razu między okładką a pierwszą stroną znalazł notatkę.

Również napisana ręką Maram, wywołała bolesne pulsowanie w głowie.

Kolejna sygnatura.

Co to, podchody? Książkę, która kule zmieniała w pszczoły, odstawił na półkę i przeszedł na drugą stronę Biblioteki, gdzie kiedyś znajdowała się kaplica. Skupiony na drodze, uderzył lewym bokiem o kant regału. Zaklął z bólu. Jego głos połączył się z odległym szumem odwilżacza i wniknął w warstwy papieru.

Książka stała pod witrażowymi oknami dawnej kaplicy, na podwyższeniu do kazań, tuż za jednym z dwóch czerwonych skórzanych foteli, przy szklanej gablocie sięgającej piersi. Za szkłem znajdował się fragment liczącej cztery tysiące lat wapiennej płaskorzeźby. Przedstawiała ona egipską boginię pisma Seszat, panią domu książek. Jej imię oznaczało „Ta, która jest skrybą”.

Nie był to jednak po prostu relikw. Po drugiej stronie wapiennej płyty znajdowały się skrupulatnie wykute hieroglify. Zajmowały prawie cały kamień, a pod mikroskopem w rowkach

dało się zobaczyć ciemne ślady krwi. Zmarły przed wiekami Skryba, który stworzył to zaklęcie, zmieszał swoją krew z ziołami i gliną, po czym zapieczętował je w rzeźbie. Maram nazywała to zaklęciem towarzyszącym – napisane, aby wzmocnić siłę innej magii, nie czyniło niczego samodzielnie.

To konkretne zaklęcie przedłużało działanie dowolnej księgi do trzech godzin, a rzeźba była bezcenna nie tylko ze względu na wiek, ale także dlatego, że magia wciąż jeszcze w niej żyła. Krwi wystarczyłoby na ostatnie odczytanie, co graniczyło z cudem, skoro wyryte lub wyrzeźbione zaklęcia można było recytować dwa razy. Dopóki Szesat znajdowała się pod ochroną Maram, ślady krwi pozostawały w znakach, a licząca cztery tysiące lat magia miała trwać, nieodczytana, na zawsze.

Jak mówiła Maram, dziadek Nicholasa zdobył tę relikwię w 1964 roku na spotkaniu kuratorów nowojorskiego muzeum. Użył potężnego zaklęcia perswazyjnego, które sprawiało, że na trzydzieści minut wydawał się każdemu rozmówcy absolutnie godny zaufania. Podobno pierwotnie powstało dla Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, a konkretnie – na zamówienie handlarzy niewolników.

Nicholas miał trzynaście lat, a pusty oczodół wciąż goił się pod opaską na oku, gdy Maram mu to opowiedziała. Siedzieli na czerwonych fotelach. Chłopiec wpatrywał się w starożytną rzeźbę, opuszkami palców muskając szkło gabloty. Przy tej ostatniej rewelacji cofnął rękę.

– To potworne – niemal krzyknął.

– Zgadza się. Napisano je w tysiąc sześćset osiemdziesiątym piątym roku.

W tym samym roku powstała Biblioteka. W każdym razie wtedy właśnie przodek Nicholasa postanowił stworzyć z osobistej kolekcji książek podwaliny organizacji, zatrudnił

pierwszych pracowników Biblioteki i mianował pierwszego oficjalnego Skrybę – swoją siostrę.

Nicholasowi ścisnął się żołądek.

– To biblioteczny Skryba napisał tę książkę?

– Owszem. Było to właściwie pierwsze zlecenie i dochód przeznaczono na renowację tej właśnie kaplicy.

Nick spojrział na kolorowy wzór witraży, który słońce wyświetlało na dywanie.

– Myślałem... – To, co chciał powiedzieć, wydało mu się dziecinne, ale nie mógł się powstrzymać. – Myślałem, że pradziadek założył Bibliotekę, żeby pomagać ludziom.

Taką historię mu przedstawiono: przodek chirurg naoglądał się w życiu tyle cierpienia, że w połowie życia przeszedł z medycyny na magię; miał nadzieję na cudowne uzdrowienie ludzkiego ciała. Ale zaklęcia nie mogły zmieniać biologii, w każdym razie trwale, a z czasem auspicje Biblioteki się rozszerzyły. Już nie tylko studiowano księgi, ale też je gromadzono, przechowywano oraz wykonywano zlecenia. Pisania zaklęć dla handlarzy niewolnikami w tej opowieści nie uwzględniono.

– Biblioteka jest potęgą – wyjaśniła Maram. – A potęga zawsze odzwierciedla świat, który ją stworzył, niezależnie od intencji.

– Magia mogłaby naprawiać świat – nie poddawał się Nicholas.

– Lecz tego nie robi – odparła oschle kobieta. – Twój stryj to rozumie i ty musisz zrozumieć. Dlatego zlecenia są prywatne i nieduże, dlatego nigdy nie będziesz pisał dla rządów, korporacji czy przywódców przewrotów politycznych, nieważne, jak porywająco brzmią ich idee ani ile pieniędzy

oferują. Nie jesteśmy tu po to, aby zmieniać świat za pomocą książek, moje dziecko. Gromadzimy je między innymi po to, żeby trzymać je z daleka od świata. On nadużywa władzy, a Biblioteka uczestniczyła w tych nadużyciach przez wieki. Rozumiesz, o czym mówię?

Rozumiał. Ale nawet teraz wołał nie spoglądać na rzeźbę, nie lubił patrzeć na spokojne linie starożytnego profilu Szesat i unikał go wzrokiem, wchodząc po stopniach podium.

Z zewnątrz tomy w tej części kaplicy wyglądały równie żywo i barwnie jak wszędzie indziej, grzbiety miały pokryte jasną skórą, matową tkaniną czy nawet młotkowanym metalem; w środku jednak były niczym duchy. Tutaj przechowywano tomy z wyblakłym atramentem i wyschniętą magią. Książka, której kazała mu szukać Maram w drugiej notatce, okazała się smukłym, podłużnym tomem w czerwonej skórzanej okładce, a jej karta głosiła:

Kraj pochodzenia: Węgry

Szacowany rok wydania: 1842

Wpisanie do księgozbioru: 1939

Efekt: Materialne obiekty nieożywione stają się transparentne, można przez nie przechodzić.

Czas trwania: Maksymalnie sześć minut dla jednego odczytu.

Na pierwszy rzut oka nic nadzwyczajnego, książka jak książka: zakłęcie z ledwie czterdziestoma stronami i atramentem wyblakłym niemal do bezsilności...

Lecz nie do końca.

Nicholas przysunął plik kartek do oka, obejrzał pierwszą stronę. Atrament wyblakł, owszem, ale w przeciwieństwie do innych tytułów w tej sekcji nie był do końca zużyty, tliła się

w nim magia. Młodzieniec przejrzał ją ponownie i na końcu spostrzegł coś intrygującego.

Ostatnią stronę nadpisano, matowy, niemal bezużyteczny atrament znów wyglądał na mocny. Inny charakter pisma zmienił ostatnie słowa zaklęcia: księgę można było ponownie naładować.

Serce Nicholasa zabiło mocniej. To dopiero coś! Odnawialne zaklęcie wymagało więcej krwi niż zazwyczaj, ba! – wymagało całej krwi, jaką człowiek mógł oddać.

To znaczy, że ktoś kiedyś zginął, przepisując tę książkę.

Przycisnął palec w bawełnianej rękawiczce do brązowej plamy tam, gdzie strona przyjęła krew czytającego, i ponownie przebiegł wzrokiem po tekście.

„Materialne przedmioty nieożywione stają się transparentne i można przez nie przechodzić”.

Spojrzał na regał wykonany z solidnego dębu i metalowych gwoździ, na półki z księgami ze skóry i papieru. Materialne nieożywione przedmioty. W miejscu, skąd Nicholas wyjął książkę, na drewnie wyryto drobny symbol, nie większy niż paznokieć małego palca Nicholasa: wyraźny, nieprzypadkowy X.

Zrobił krok do tyłu, przyjrzał się dywanowi pod stopami. Podobnie jak wszystkie w Bibliotece również ten utkano z wełny, teraz podniszczonej upływem czasu. Czy Nicholas miał przywidzenia, czy wytarta ścieżka wyglądała tutaj inaczej? Uklęknął przy podstawie regału, zdjął rękawiczki i przesunął palcami po włóknach. Nic mu się nie przywidziało: dywan był cieńszy nie tylko na środku alejki między regałami, ale także po bokach – ledwo wyczuwalny zakręt na ścieżce prowadzącej do tej książki i tego regału. Wytarcie docierało aż do samego

brzegu regału – jakby ścieżka prowadziła nie do książek, lecz przez nie, gdzieś dalej.

Nicholas wstał. Spojrzał na cienki tomik w dłoni, potem znów na dywan.

„Można przez nie przechodzić”.

Za regałem coś było. Coś, do czego dało się dotrzeć dzięki tomowi wskazanemu przez Maram. Każdy mógł go przeczytać, przycisnąć palec do strony, pozwolić, żeby papier pił jego krew. Każdy mógł wygłosić magiczne słowa i sprawić, że regał stanie się przepuszczalny. Odczytując zaklęcie, mógł znieść barierę półek i dostać się do czegoś, co kryło się za nimi.

Każdy – z wyjątkiem kogoś, kto nie był w stanie dotknąć magii, a magia nie była w stanie dotknąć jego.

Z wyjątkiem Nicholasa.

To, co znajdowało się za regałem, pozostawało dla niego – i jedynie dla niego – niedostępne.

Drżącą ręką odłożył książkę na miejsce, zasłonił delikatnie wycięte X. Nagle poczuł się tak, jakby regały z tomami pochylały się nad nim, jakby się naśmiewały. Czemu Ebla po prostu mu o tym nie powiedziała? Postanowiła dziecięcą grą zająć czas znudzonemu Skrybie?

Collins siedział na podłodze w holu przed Biblioteką, z brodą wspartą na dłoni – zerwał się na widok otwieranych stalowych drzwi. I odsunął się o krok, gdy Nicholas nie zamknął ich za sobą.

– Znalazłeś to, czego szukałeś? – spytał.

Nick myślał intensywnie. On sam nie mógł odczytać magii, ale ktoś mógł to zrobić za niego...

– Wiem, że to ci się nie spodoba – zaczął. – Ale musisz tam ze mną wejść. Wyświadczysz mi przysługę.

– Zrobiłem to zeszłej nocy: nie pozwoliłem cię zamordować.

– Chcę, żebyś przeczytał zaklęcie.

– Nie – sprzeciwił się stanowczo Collins. – Wykluczone. Nie zrobię tego. Nie mam takiej pozycji w zakresie swoich obowiązków.

– Słucham? Dam ci... – Nicholas urwał. Nie dysponował gotówką, jedynie kartami kredytowymi, więc prawie nieograniczone zasoby na koncie były bezużyteczne w przypadku tajnych wydatków. – Mój zegarek – dokończył. – Kosztował jedenaście tysięcy funtów. Prawdopodobnie dostałbyś za niego...

– Dałeś jedenaście kawałków za zegarek? – zdumiał się ochroniarz.

– To właściwie była okazja, normalnie takie zegarki kosztują...

– Mój kosztował trzydzieści dolców i chodzi. Po co mi nowy?

– To czego chcesz? – syknął Nicholas i rozejrzał się po pustym korytarzu. – Mogę zaproponować spinki do mankietów, do krawatów, kilka sygnetów albo złotą obrożę Sir Kiwi, nigdy nie...

– Nie interesuje mnie twoja kasa. – Poirytowany Collins zmrużył oczy.

Nicholas przypomniał sobie wcześniejszą reakcję ochroniarza.

– Napiszę dla ciebie zaklęcie, które odwróci UZP – zaproponował zniżonym głosem. Wyraz twarzy bodyguarda zmienił się tak szybko, że Nicholas prawie parsknął śmiechem. – Napiszę – powtórzył. – A jeśli myślisz, że tylko ty na tym

skorzystasz, to nieprawda: chcę, żeby mój ochroniarz odpowiadał mi na pytania, a wygląda na to, że nie możesz tego zrobić.

Collins zacisnął pięść i bardzo ostrożnie przyłożył ją do ściany.

– I kto mi je przeczyta? – zapytał. – Ty? – prychnął kpiąco.

– Sam sobie przeczytasz.

– Co? To tak nie działa.

Nicholas pokręcił głową.

– Słuchałeś w ogóle, co ci mówili, jak cię zatrudniali? Właśnie tak to działa, ludzie bez przerwy czytają własne zaklęcia.

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

Młodzieniec podniósł rękę.

– Bo uratowałeś mi życie i jestem twoim dłużnikiem?

Collins odwrócił wzrok.

– Najpierw napisz zaklęcie, potem ci pomogę.

– Nie da rady – sapnął Nicholas sfrustrowany. – Wiesz o tym. Jutro będę pisał zaklęcie prawdy, potem kilka tygodni odpoczynku. I tak straciłem ostatnio dużo krwi. A tę książkę trzeba przeczytać już, dziś wieczorem.

– Czyli muszę wierzyć ci na słowo.

Nicholas nagle bardzo zapragnął, żeby mu zaufano.

– Tak.

Collins zmarszczył brwi w zamyśleniu, Nick wstrzymał oddech. Nie przywykł do przeszkód w otrzymaniu czegoś, na czym mu zależy, zwłaszcza od kogoś, kto rzekomo mu podlega. A przynajmniej podlega Richardowi, w sumie na to samo wychodzi.

– Dobra – zgodził się Collins. – Szlag.

Może powinien zajrzeć do herbarium? Znaleźć coś, z czym dałoby się mieszać krew Collinsa? Zakłęcie było węgierskie, a więc papryka i wiązówka narzucały się same. Karta informacyjna mówiła o sześciu minutach aktywności, czyli bez ziół potrwa najwyżej trzy... Z drugiej strony, jeśli Nicholas będzie przeciągał cały proces, ochroniarz może zmienić zdanie, a trzy minuty to mnóstwo czasu, żeby sprawdzić, co kryje się za regałem. Zrezygnował z ziół i wprowadził Collinsa do Biblioteki.

Zaczekał, aż elektroniczne drzwi szczelnie się za nimi zamkną, po czym się odwrócił: wielkolud jedną ręką opierał się o ścianę, drugą przyciskał do oczu, jakby oślepiiony światłem. Nicholas zmarszczył brwi. No dobrze, światła może nie brakowało, ale też nie raziło: mosiężne lampy na regałach dawały ciepłą, bursztynową poświatę, żyrandole zaś świeciły nieco stłumionym blaskiem. W końcu Collins opuścił rękę; oglądał pomieszczenie lekko oszołomiony.

– Nigdy wcześniej tutaj nie byłeś – przypomniał sobie Nick; popatrzył na otoczenie jego oczami: tysiące książek ustawionych w rzędach, rzeźbione półki na każdej ścianie, rozjarzone żyrandole, zmieniające się sufity, cała paleta kolorów i tekstury, stuleci i magii. Nic dziwnego, że Collins poczuł się przytłoczony. – I co myślisz?

– Jak widziałeś jedną bibliotekę, widziałeś wszystkie – mruknął ochroniarz. – Nic takiego. – Lecz podziw na jego twarzy świadczył, że jest inaczej.

– Kłamca – zaśmiał się Nicholas. – Weź rękawiczki.

Młody mężczyzna wcisnął swoje duże dłonie w przyciasną bawełnę i wciąż się rozglądał.

– I to wszystko... te wszystkie książki...?

– Tak, głównie zaklęcia. – Nicholas zaczął iść między regałami. – Jak widzisz, większość z nich jest dość stara. Te napisane przez Skrybów Biblioteki znajdują się za najbliższym rogiem.

– Kiedyś było was znacznie więcej, co? Skrybów?

– Podobno.

– Dziwne, że nie hodują cię jak kucyka rozplodowego.

– Jakoś nie marzę o tym, żeby płodzić. Poza tym nie ma żadnej gwarancji, że któreś z dzieci zostałoby Skrybą. Mój ojciec był pierwszym Skrybą urodzonym w naszej rodzinie od czasu założenia Biblioteki, a to, że ja też mam takie umiejętności, to wyłącznie przypadek. – Spojrzał za siebie. – Przy okazji, co wiesz o kucykach rozplodowych?

– Możliwe, że bardzo dużo. Możliwe, że dorastałem na farmie.

Wizja dorastającego Collinsa wyglądała uroczo. Nicholas wyobraził sobie małego, kwadratowego chłopca z błękitnymi oczami, marszczącego brwi po dorosłemu.

– Wychowywałeś się na farmie?

Nie odpowiedział, wizja zniknęła. Wiadomo było przecież, że nie odpowie, zakres obowiązków nie obejmował rozmów. Nicholas usłyszał chrypiący kaszel. Nie odwrócił się, nie chciał widzieć, jak jego bodyguard walczy z UZP. Nie chciał się zastanawiać, dlaczego zabroniono mu ujawniać te z pozoru niewinne informacje. A może to tylko kaszel, całkiem naturalny? Zresztą Nicholas zamierzał dotrzymać obietnicy i odwrócić zaklęcie, więc niewykluczone, że w końcu Collins odpowie.

– Tutaj. – Szli przejściem między witrażowymi oknami, do podwyższenia. Ochroniarz z niepokojem patrzył, jak jego

podopieczny bierze z półki węgierską książkę. – To właśnie musisz przeczytać. – Podał mu tomik. – Przejrzyj ją, nie zadziała, jeśli się potkniesz.

Collins spojrział na kartę informacyjną.

– Po węgiersku?

– Język nie będzie miał znaczenia, jeśli książka poczuje twoją krew i zrozumie, że chcesz ją przeczytać. Gdy zaczniesz, pójdzie ci tak, jakby była po angielsku.

– Wiem – mruknął osiłek.

– Nie wziąłem ze sobą igły ani noża, ani niczego ostrego – uświadomił sobie Nicholas. – Znajdziesz coś, żeby ukłuć się w palec?

Collins poszperał w kieszeniach i wyjął breloczek z małym szwajcarskim scyzorykiem.

– Masz zapalniczkę? Do sterylizacji?

– Zapalniczkę? – zdumiał się Nick. – W tym pomieszczeniu jest jakieś tysiąc kilogramów unikatowego papieru.

– Czyli nie masz.

– Nie dostaniesz sepsy od ukłucia w palec, zaufaj mi, stary.

Collins poruszył ramionami jak człowiek, który szykuje się do walki, zdjął rękawiczki.

– Dobra. Jedziemy.

I chociaż Nicholas był zmęczony, zły na Maram i w ogóle nie chciał używać tego zaklęcia, czuł podekscytowanie. Biblioteka kryła mnóstwo tajemnic, ale dawno już nie wpadł na żadną nową. Collins przycisnął nożyk do palca, poczekał na krew, przytknął opuszkę do kartki i zaczął czytać. Początkowo

nieporadnie, z biegiem słów bardziej naturalnie, a jego akcent nadawał słowom hipnotyczną kadencję.

Trwało to dwadzieścia pięć minut, aż w końcu regał z książkami zaczął się rozmywać. Na początku wydawał się jedynie nieostry, potem jego krawędzie rozplynęły się jak chmura burzowa, z której leje deszcz. Gdy wybrzmiało ostatnie słowo, dłoń Nicholasa bez żadnego oporu przeszła przez książki. Regał i ustawione na nim woluminy stały się ciemną mgłą, a za nią Nicholas ujrzał ścianę.

Nie ścianę.

– Drzwi – odezwał się Collins.

Tak. Regał z książkami zanikał, ukazując mosiężną gałkę, gładkie drewno, zawiasy przymocowane do kamiennej ściany – drzwi jak każde inne, tylko ukryte. Młodzieniec wyciągnął rękę, otworzył je i zobaczył ciemne schody prowadzące w górę.

Na pewno nic nie chcesz? Może jednak kawy? Herbatę?

Joanna pokręciła głową, nawet nie zerknęła na matkę. Leżała na kanapie wpatrzona w okno, rejestrując, jak światło gaśnie powoli, gdy słońce się opuszcza. Lśniaca moneta wrzucona do ciemnego basenu. Z każdym znikającym promieniem coraz mniej szans, żeby w porę dotrzeć do domu i ustawić osłony.

– Nie dokończyłaś lunchu – upierała się Cecily. – Odgrzać zupę?

– Myślisz, że jak mnie nakarmisz, to ci wybaczę? – Głos Joanny był schrypnięty od krzyku.

– Wiem, że nie. – Ton matki sugerował jednak, że ta się nie podda.

Joanna siedziała tu uwięziona zaklęciem ponad godzinę. Całą energię zużyła w ciągu pierwszego kwadransa, wrzeszcząc, szlochając i błagając o wyjaśnienia, a zrozpaczona Cecily w kółko powtarzała: „Nie mogę ci powiedzieć, przepraszam, nie mogę ci powiedzieć”. Teraz już nie płakały, Joanna czuła się niemal spokojna, jakby wykorzystowała roczny zasób negatywnych emocji. Matka postawiła krzesło tuż przed progiem salonu i patrzyła na córkę smutna i zdeterminowana. Pies drzemał u jej stóp.

– Chcesz wykraść kolekcję i sprzedać ją temu, kto da najwięcej – rzuciła Joanna kolejny domysł, choć Cecily nie reagowała. – Wyjedziesz do Paryża, żeby codziennie rano zjadać croissanta na śniadanie.

- Nie – odparła tym razem. – Za dużo gołębi.
- Spalisz dom, żebym nie miała zajęcia ani dachu nad głową i w ten sposób uzależnisz mnie od siebie – próbowała dalej Jo.

Cecily odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

- Chyba nie wyobrażasz sobie, że mogłabym zrobić coś takiego.

Joanna oparła się na podłokietniku kanapy.

- Nie wyobrażałam sobie również, że będę siedziała uwięziona przez ciebie w salonie.

- Nie musi tak być. Zakończę zakłęcie i zdążysz postawić osłony, jeśli tylko zabierzesz mnie ze sobą i wpuścisz do środka.

- Jeśli nie o książki ci chodzi, to o co? – spytała. Kobieta rozchyliła usta i pokręciła głową. Joanna znowu się położyła i znów spojrzała na popołudniowe niebo za oknem. – Oczywiście – mruknęła.

Co się stanie, gdy osłony znikną? Była w niej ciekawość – pogrzebana tak głęboko w strachu, że do odkopania trzeba by łopaty. Pojawiło się jednak to niesamowite, rosnące zaintrygowanie. Graniczyło niemal z euforią. Osłony stanowiły więzy i zabezpieczenie: co, gdy znikną? Dom nie przeżył ani jednej nocy bez ochrony, odkąd Abe po raz pierwszy postawił w nim stopę prawie trzydzieści lat temu, z malutką córeczką na rękach i pamięcią o jej zamordowanej matce setki kilometrów dalej. Co by się stało, gdyby zabezpieczenia, które on i Joanna tak pieczołowicie podtrzymywali, nagle przestały funkcjonować?

Istnieli, w każdym razie kiedyś, ludzie, którzy byli gotowi iść po trupach, żeby dostać się do zbiorów Abego, ale to było ze trzy dekady temu. Zniesienie zabezpieczeń oznaczałoby jedynie, że dom byłby jak każdy inny: widoczny i dostępny. Jeśli ktoś

miał adres, a z tego, co wiedziała Joanna, nikt go nie miał. Całkiem możliwe, że do katastrofy, której się obawiała (zastępy uzbrojonych mężczyzn wpadających przez okna?; złowrogie siły wykradające wszystkie książki?) w ogóle nie dojdzie, a przynajmniej nie w najbliższym czasie.

Na czym więc polegał plan Cecily, jeśli nie chodziło o narażenie domu? W tygodniach po wyjeździe Esther zachowywała się jak obłąkana, nieustannie namawiała Abego, żeby nie podnosić osłon, zostawić zbiory, porzucić dzieło życia. Ale dla kogo? Po co?

Tylko Cecily mogła odpowiedzieć – i właśnie tego nie robiła.

– Zabiorę cię do domu. – Jo podjęła ostatnią próbę. Matka od razu się wyprostowała. – Jeśli odpowiesz na trzy pytania pod zaklęciem prawdy.

Widoczna nadzieja Cecily od razu zgasła.

– Nie zdołam.

– To niemożliwe – zirytowała się dziewczyna. Abe poddał ją takiemu zaklęciu, żeby dowiedziała się, jak to jest. Miała wtedy dwanaście lat, a on zadawał jej proste, nieistotne pytania, na które i tak znał odpowiedzi: „Jak się robi jajko sadzone? Jaką piosenkę Allman Brothers lubię najbardziej? Dlaczego Esther wczoraj się wkurzyła?”. Poprosił ją, żeby próbowała skłamać.

Nie mogła. Czuła się tak, jakby prawda była wstążką, która rozwija się na języku za każdym razem, gdy otwierała usta. Gdy próbowała skłamać, nie czuła wysiłku czy dyskomfortu, po prostu mówiła prawdę i tylko prawdę; słowa wypływały z niej same bez udziału woli.

– Nie chodzi o to, że nie chcę ci odpowiedzieć – tłumaczyła Cecily. – Rzecz w tym, że nie mogę. Wiem, że nie rozumiesz,

i bardzo mi przykro. Gdybym mogła ci wyjaśnić, uwierz mi, zrobiłabym to na pewno.

Joanna poczuła, jak wzbiera w niej fala bezradnego gniewu, zacisnęła powieki i oddychała, aż przyptyw ustał. Przecież ani błagania, ani groźby nie zadziałały. I jeśli nawet gdzieś w środku była ciekawa, to przecież pozostała córką swojego ojca. Nie mogła pozwolić, aby osłony przestały istnieć.

Cecily nie chciała się poddać zakłęciu prawdy, ale miała wyraźną nadzieję, że jednak dobiją targu, co z kolei Jo dawało nadzieję na osłony. Ona zdąży na czas, a matce może uda się odzyskać relację, którą zniszczyła, przelewając krew przed tymi drzwiami.

Podniosła się z kanapy, podeszła do progu i ze skrzyżowanymi rękami stanęła przed matką oraz niewidzialną barierą. Cecily poruszyła się na krześle, jak gdyby zamierzała wstać, ale tylko spojrzała na Joannę przerażonymi oczami.

– Czyli nie zrobiłaś tego, żeby zniszczyć osłony?

– Nie. Chcę tylko wejść do środka. Jutro możesz podnieść je na nowo, przysięgam.

– I nie powiesz mi, co planujesz.

– Nie mogę.

Joanna sapnęła sfrustrowana. Cecily w kółko powtarzała „nie mogę”, jakby milczenie stanowiło przymus, nie wybór. Dziewczyna postanowiła przyjąć to za dobrą monetę.

– Czy to jest coś, czemu bym zapobiegła?

– Nie. Nie widzę, dlaczego miałabyś chcieć temu zapobiec.

– Pozwoliłabyś mi patrzeć, jak to robisz? Gdybym zabrała cię do domu?

Cecily zastygła niczym pies na widok królika. Zastanawiała się, strzelając oczami.

– Tak – odparła w końcu.

Joanna zatriumfowała w duchu. Czyli mogłaby ustawić osłony i uzyskać wgląd w motywy matki.

– Oto moja propozycja – oznajmiła. – Mamy jakieś dwie godziny do postawienia osłon. W tym czasie zakończysz to zaklęcie, pozwolisz, żebym zawiązała ci oczy, a ja zabiorę cię do domu i wpuszczę do środka. Tam zrobisz to, na czym ci zależy, a potem odwiozę cię z powrotem. Jeśli spróbujesz majstrować przy osłonach albo w ogóle dostać się do piwnicy, jeśli powiem ci, żebyś czegoś nie robiła, a ty i tak to zrobisz, nigdy więcej ze sobą nie zamienimy słowa.

Cecily chciała coś odpowiedzieć, Jo jej przerwała.

– Mówię serio, mamó. Jeśli odmówisz, jeśli zostawisz mnie tu w zamknięciu i wtargniesz do mojego domu, stanie się to samo: stracisz mnie tak, jak straciłaś Esther, i już nigdy mnie nie odzyskasz.

Cuchnąca groźba przykleiła się do języka, Joanna wyciągnęła najgłębszy i najstarszy lęk matki. Oczy Cecily lśniły łzami, a twarz Joanny pewnie odzwierciedliła część tego żalu, który dziewczyna wbiła jak lancę w brzuch matki. Nie umiała ukrywać uczuć tak, jak kiedyś Esther, ale nieważne. Zależało jej, żeby matka widziała.

– Dobrze, skarbie – przemówiła Cecily. – Zgadzam się.

Oblizwała kciuk, pochyliła się i wytarła barierę krwi.

Esther nie miała pojęcia, jak – i czy w ogóle – konfrontować się z Pearl. Okazało się jednak, że decyzję podjęto za nią.

Po odkryciu zniknięcia książki nie wyszła już z pokoju ani nie spała. Zamknęła drzwi na klucz, zabarykadowała je komodą i usiadła na łóżku. Była pobudzona, prawie jak w transie. Dotychczas okradziono ją dwa razy: raz w Buenos Aires – grupa jedenastoletków groziła jej potłuczonymi butelkami; a raz w Cleveland – wtedy napastnik odkrył, że jedyne, co ofiara ma, to tani telefon z klapką. „Kobieto”, powiedział, „to ty powinnaś okraść mnie!”. I niespodziewanie oboje się roześmiali. W obu przypadkach była wystraszona i zła, ale nie czuła się zgwałcona, jak teraz.

Nieważne, czy Pearl wzięła tę książkę, żeby opchnąć ją w internecie, czy jest powiązana z ludźmi, którzy ścigali Esther przez te wszystkie lata. Tak czy inaczej dopuściła się zdrady. Może, rozmyślała tępo dziewczyna o czwartej nad ranem, zdołam unikać Pearl przez te dwa dni, wsiąść do samolotu i po prostu odlecieć? Bez przymusu konfrontacji, bez mierzenia się z faktem, że jeden z nielicznych prawdziwych związków w jej życiu okazał się kłamstwem.

O ósmej rano, mimo nieprzespanej nocy, była tak rozbudzona i nabuzowana, że gdy ktoś załomotał do drzwi, zareagowała tak, jakby ktoś odpalił jej w pierś czterdzieści woltów. Zastygła, ściskając mocno kolana i modląc się, żeby ten ktoś odszedł, ale walenie powtórzyło się, a do tego dołączył głos Pearl.

– Esther, wiem, że tam jesteś! Otwieraj te cholerne drzwi!

Podniosła się i wzięła głęboki oddech. Zamknęła oczy, poczuła, jak oddech przepływa przez ciało, poczuła podłogę pod stopami. Uchyliła drzwi.

Nie wpuściła Pearl do środka, sama wyszła na korytarz. Nie chciała znaleźć się w maleńkiej przestrzeni z osobą, co do której aż tak się pomyliła. Pearl patrzyła z furią, jakiej Esther nigdy wcześniej nie widziała. Nigdy nie widziała wesołej i luzackiej Australijki aż tak wściekłej.

– Możemy wejść do twojego pokoju? – spytała natarczywie Pearl.

– Nie.

Nozdrza Pearl zafalowały, zadrżała broda. To niemożliwe, pomyślała dziewczyna, chyba się nie rozpłacze?

– Nie przyszedł na śniadanie – podjęła z wysiłkiem Pearl.

– Nie jestem głodna.

Znów drzenie brody i w końcu słowa:

– Miałaś w ogóle zamiar mi powiedzieć?

– Powiedzieć? O czym?

– Przestań! Harry z biura zapytał mnie, co sądzę o tym, że odchodzisz. Roześmiałam się i powiedziałam, że nie odchodzisz, że zdecydowałyśmy się zostać razem na kolejny sezon, a on spojrzał na mnie jak na żalospną idiotkę. I tak się czuję: jak mała, żalospna idiotka.

Inaczej wyobrażała sobie tę konfrontację.

– Nie odchodzę, po prostu...

– Nie? – Rzęsy Pearl już były mokre. – Czyli Harry kłamał? Bo któreś z was musi kłamać: albo on, albo ty.

Esther skupiła się na sobie, nasłuchiwała wdechów i wydechów. Płacz w niczym tu nie pomoże.

– To dlatego zabrałaś książkę? – zapytała. Tak, niech Pearl w końcu zrozumie, że ona, Esther, już wie.

– O czym ty gadasz?

– Dobrze wiesz o czym. *La Ruta*, powieść, którą tłumaczę. Ta, której wartość tak cię zainteresowała.

Gromy w oczach Pearl zniknęły, teraz wyglądała na wystraszoną. Odwróciła wzrok. Zmusiła się, żeby znowu spojrzeć na Esther.

– Nie wzięłam twojej książki.

– Powiedzieli ci, że jeśli to zrobisz, to nie wyjadę? – spytała Esther bardzo cicho i spokojnie. – Dlatego ją wzięłaś? Żeby mnie powstrzymać?

– Nie... Co? – Pearl podniosła głos, kilkoro ciekawskich przystanęło na końcu korytarza. – Nie próbuję cię powstrzymać, nie rozumiem tylko, co się dzieje. Ustaliliśmy wspólnie, że zostajemy, że jesteśmy razem, a teraz nagle wyjeżdżasz bez słowa? Nie rozumiem dlaczego! Nie rozumiem twojej reakcji!

– Dla kogo pracujesz? – wyszeptała Esther.

Oczy Pearl się rozszerzyły.

– Co ty bredzisz?

Esther już wiedziała, że do niczego nie dojdzie. Rozmowa wymknęła się spod kontroli, genialne posunięcie ze strony Pearl: zaskoczyć Esther i zmusić do defensywy. Tylko ona nie zamierzała się w to bawić. W takich sytuacjach ludzie mówią rzeczy, których potem żałują.

– Dobra, skończmy tę rozmowę – powiedziała.

Pearl płakała już otwarcie, łzy płynęły jej strumieniem. Esther nie przypuszczała, że to okaże się dla niej aż tak trudne.

Wcale nie chcesz, żeby Pearl płakała!, krzychało jej głupie, miękkie serce. Przepróś!

– Dobrze – odezwała się Pearl. – Idę na narty z Trevem, więc masz parę godzin: pomyśl, czy chcesz ze mną normalnie porozmawiać. Jeśli tak, dam ci szansę, żebyś wyjaśniła... bo cię kocham. Ale tylko jedną, ponieważ nie zasługuję na takie traktowanie.

„Bo cię kocham”.

Dlaczego to powiedziała?! Esther cofnęła się do swojego pokoju i zamknęła drzwi przed zapłakaną twarzą przyjaciółki.

– Pierdol się! – zawołała Pearl i rozległ się huk, jakby kopnęła w ścianę.

Esther stała napięta, wyprężona, centymetry od drzwi. Po długiej minucie usłyszała, jak przyjaciółka odchodzi, jak jej kroki cichną w pustym korytarzu. Nie ruszała się dłuższą chwilę, aż w końcu się odwróciła i usiadła na łóżku. Znow zapatrzyła się w drzwi.

Pearl specjalnie powiedziała, że idzie na narty z Trevem, jakby chciała wzbudzić w Esther zazdrość. Bez sensu. Tak zachowywałyby się odrzucona kochanka, którą Pearl przecież nie była. Na pewno podejrzewała, że Esther chętnie przetrząsnęłaby jej pokój, aby znaleźć tam Gil. I oznajmiła, że wychodzi na pół dnia. To jakby wręcz zapraszała do siebie.

Czyli gdyby Esther tam weszła, wpadłaby w zastawioną pułapkę.

Tam też nad umywalką wisiało lutro. Wszłaby do sypialni Pearl, a człowiek po drugiej stronie zorientowałby się, że już o nim wie.

Ścisnęła pękającą głowę. Wpadała w paranoję, w natręctwo myśli, pewnie tak właśnie czuł się ojciec przez większość życia.

Wciąż była na niego wściekła, ale rozumiała strach, w którym żył. Wierzyła w ten jego strach, a teraz, kiedy po raz pierwszy przestała wierzyć, ściągnęła na siebie chaos.

Przepraszam, powiedziała do ojca i się rozpląkała.

Oddałaaby wszystko, żeby móc do niego zadzwonić, usłyszeć jego głęboki, uważny głos. Zwykle jeździł do miasta i na komputerze w bibliotece rozmawiał z nią przez Skype'a. Czasem dzwoniły tak do siebie z Joanną. Cecily, która kupiła smartfona od razu po odejściu od Abego, często do niej dzwoniła i pisała wiadomości. Dwa razy nawet pokonała pół kraju, żeby zobaczyć się z nią w weekend – wbrew nerwowej reakcji Abego. Miała kontakt z rodziną, dopóki nie uznała go za zbyt trudny. Łatwiej było celowo zerwać więzi niż walczyć o podtrzymanie coraz cieńszych nici, które pewnego dnia mogłyby pęknąć, tak jak jej serce.

Wstała. Naprawdę musiała zalewać się łzami akurat teraz, kiedy w niczym nie mogło jej to pomóc? Może popadła w paranoję tak jak ojciec i – podobnie jak w jego przypadku – może stało się tak nie bez powodu. Ale nie była nim. Nie mogła opierać się na przeczuciach i przypuszczeniach. Musiała wiedzieć.

Odczekała pół godziny, żeby Pearl i Trev zdążyli się zebrać, po czym poszła do pokoju ze sprzętem. Wyglądało na to, że Pearl wzięła już narty i krótkofalówki, czyli powinni opuścić stację.

Znała układ pokoju przyjaciółki jak własną dłoń. Wiedziała więc, że jeśli pochyli się przy wchodzeniu, to nie odbije się w lustrze na komodzie, a jeżeli stanie pod pewnym kątem, zdoła sprawdzić, czy na szkle jest wzór krwi. Ona zobaczy ślady, a lustro nie zobaczy jej.

Na czworakach, niemal bezszelestnie, weszła do pokoju i zamknęła drzwi z cichym kliknięciem. Klęczała na podłodze w ciemności. Okna nie było, światła nie chciała włączyć. Widziała zarys komody i połysk lustra. Nie miała jednak pojęcia, czy coś jest na szklanej gładzi. Wyciągnęła rękę i uchyliła drzwi, tylko na centymetr, żeby wpuścić odrobinę światła. Nie wystarczyło.

Wstała więc, otrzepała kolana, zamknęła drzwi i pstryknęła włącznik. Dobrze, niech ją zobaczą, w końcu co za różnica. Skoro chcieli jej coś zrobić, i tak zrobią.

Stojąc tak, zrozumiała, że pomimo dowodów, całej paranoi, podejrzeń w głębi duszy nadal ufa Pearl i wierzy, że na lustrze nie znajdzie nic poza czystą taflą rozgrzeszenia. Bezwiednie wstrzymała oddech i patrzyła na szkło. Puste, puste, puste... Słodka, gorąca ulga zaczęła rozlewać się po jej ciele – i wtedy je zobaczyła. Smugi rdzawej krwi w czterech rogach.

Wykrzyczała przekleństwo, cofnęła się i upadła na łóżko Pearl, w którym leżała tyle razy. I jeszcze niedawno była w nim szczęśliwa. Nie wierzyła w zdradę przyjaciółki, nie chciała wierzyć – póki nie zobaczyła krwi. Teraz zyskała dowody.

Jeśli jacyś dranie się gapili, niech mają widowisko. Nie kryjąc się już, bez żadnej ostrożności, zaczęła szperać po pokoju, szukając nie tylko swojej powieści, ale też książki, której Pearl użyła do aktywacji lustra. Przetrzęsła kołdrę, szukała w poszewkach, pod materacem, wywróciła do góry dnem wszystkie szuflady. Odsunęła meble od ścian, zajrzała za lustro, sprawdziła każdy centymetr białej powierzchni i... nic nie znalazła.

Czerwona, roztrzęsiona siadła na podłodze wśród swetrów i bielizny. Skąd jej przyszło do głowy, że Pearl zostawiłaby tutaj książki? Przecież wtedy nie wysyłałaby Esther do pokoju

podczas swojej nieobecności. Wiedziała, że to pułapka, i dała się w nią zwabić, wmawiając sobie, że to jej decyzja i ona kontroluje sytuację.

Wygrzebała się z bałaganu, zasadziła potężnego kopa w komodę, a potem chwyciła ciężki but Pearl... i rozbiła lustro. Brzęk tłuczonego szkła nie przyniósł satysfakcji, srebrzyste odłamki wystawały z ramy jak zęby w zmasakrowanej szczęce. Wychodząc, trzasnęła drzwiami.

Przez ostatnią dobę nic nie jadła, dlatego poszła do kuchni. Dostała talerz tego, co zostało, od niezadowolonego kucharza. Wciąż roztrzęsiona siedziała sama przy stole w pustym kambuzie i jadła, prawie nie czując smaku. Nie umiała na niczym skupić spojrzenia. Ściany stacji rozpływały się, mróz wpełzał do środka.

Przeżuwała właśnie ostatni kęs, gdy podwójne drzwi otworzyły się z hukiem i wpadł Trev. Wełnianą czapkę ścisnął w rękę, gogle miał na szyi, góra rozpiętego kombinezonu wisiała w pasie. Rozglądał się z niepokojem i chyba odetchnął na widok Esther. Zaczął do niej iść, wstała.

– Co jest? – spytała szybko.

– Lekarz mówi, że nic jej nie będzie – zaznaczył na początku, co ją tylko jeszcze bardziej zdenerwowało. – Przewróciła się na nartach, uderzyła głową w lód i mocno uszkodziła rękę. Złamała nadgarstek.

– O Boże! – krzyknęła Esther, zapominając na chwilę, że po pierwsze to już nie jej sprawa, a po drugie może nawet powinna poczuć ulgę. – Jak ona...? Powiedziałeś, że nic jej nie będzie?

Trev, bardzo blady, przejechał dłonią przez włosy.

– Tak, to znaczy, na pewno straciła przytomność, więc na początku trochę spanikowałem, ale potem pamiętała, kiedy się

urodziła, jak się nazywa i tak dalej. Bałem się ją przenieść sam, więc wezwałem pomoc przez radio, przyjechali ludzie i przetransportowali ją do ambulatorium.

– W takim razie całe szczęście, że tam z nią byłeś – skwitowała rozdierana sprzecznymi emocjami.

– Tak, też się cieszę... Ciągle o ciebie pyta i jest jakby... mocno poruszona? Trochę przerażające. Powiedziałem w ambulatorium, że cię znajdę i przyprowadzę. Wtedy pewnie się uspokoi.

Zawahała się. Jeśli to nowa sztuczka Pearl, Esther nie umiała jej rozszyfrować.

– Widziałeś ten upadek?

– Nie, jechała za mną. Ale z całą pewnością go słyszałem.

Może udawała? Ale dlaczego?

– Co z jej nadgarstkiem? Lekarze powiedzieli, że złamany, czy Pearl...?

– Już go nastawili, więc...

Trev ruszył w stronę drzwi, wyraźnie spodziewał się, że Esther pójdzie za nim, a ona nie wiedziała, jak odmówić, żeby nie wyjść na skończoną sukę. Śniadanie pomogło jej się uspokoić i ciekawość znów była silniejsza niż instynkt samozachowawczy. Zła na siebie poszła za stolarzem.

Rany i urazy odniesione przy pracy nieraz sprowadzały ją do ambulatorium. Zawsze mocno oświetlone, tętniło życiem. Dziś było ciemniej i ciszej, górne światła zgaszone, lampki na biurkach odbijały się w wysokim lustrze przymocowanym do ściany naprzeciwko. Wszędzie pusto. Pearl, jedyna pacjentka, leżała na ostatnim z pięciu łóżek. Jasne włosy rozsypane na poduszce, głęboki oddech, jakby przez sen.

Esther podeszła do nieruchomej postaci. Dziewczyna oczy miała zamknięte, twarz zwiotczała. Spała albo udawała, że śpi. Zdradzieckie serce Esther ścisnęło się boleśnie.

– Wygląda na to, że uspokoila się beze mnie – stwierdziła, ale Trev nie odpowiedział. Spojrzała w jego stronę: stał przy drzwiach i pochylał się nad klamką. Zamykał drzwi na klucz. Od środka. – Co...? – wykrztusiła i wtedy on się odwrócił. Wolny od przejęcia i troski, uśmiechał się do niej, spokojny i rozluźniony.

– Miejmy to za sobą. – Zabrzęczał pierścieniem kluczy w lewej ręce.

W prawej trzymał pistolet.

Czy to wszystko musi być takie odrażające? – spytał Collins, a jego głos odbijał się niesamowitym echem w ciemnej klatce schodowej.

Wchodził pierwszy, pewnie z przyzwyczajenia, choć i on, i Nicholas poczuli narastającą panikę, kiedy regał, przez który przeszli, zaczął krzepnąć. Gdyby chcieli tędy wrócić, Collins musiałby jeszcze raz przeczytać zaklęcie na głos. W ścianie u stóp schodów znajdowała się półeczka, idealna na zostawienie tam książki, więc postawili ją tam i weszli po drewnianych stopniach. Prowadziła ich kieszonkowa latarka Collinsa, dając jedynie wąski snop światła.

Wokół wciąż panowały egipskie ciemności, a Nicholas nie lubił ciemności. Spędził w niej kilka dni po porwaniu, potem przebywał w półmroku, boleśnie świadom, że od ciemności o znacznie trwalszej naturze dzieli go może jedna infekcja oka. Mrok, strome schody i cała ta niezwykła sytuacja sprawiły, że serce biło mu jak u królika, gdy dotarli do podestu biegnącego w lewo. Schody zygzakowały trzy razy, prowadząc ich w górę domu.

– Jesteśmy na jakimś strychu? – Collins zajrzał w głąb czarnego korytarza.

– Tak jakby. – Nicholas miał nadzieję, że nie słychać, jak bardzo brakuje mu tchu. Rozłożył ręce, żeby mniej więcej zmierzyć szerokość wąskiego korytarza. – Wyrażając się precyzyjniej: znaleźliśmy się w ścianie strychu.

Collins prychnął.

– I co, Richard ukrywa tutaj szaloną żonę?

– Nie sądziłem, że jesteś fanem Brontë.

– Zawsze miałem słabość do Jane. Była słodka, seksowna i odjechana. No, to co tutaj mamy?

– Nic, z tego, co wiem. Gołe deski, mysie odchody.

Collins zaczął iść, Nicholas ruszył za nim. Szli południową ścianą i skręcili w lewo, czyli na wschód, równoległe do korytarza, który prowadził do apartamentu Richarda na trzecim piętrze i Maram na drugim.

Po kilku minutach Collins stanął gwałtownie: koniec drogi. Nie było drzwi ani żadnego otworu, więc Nicholas założył, że to ślepy zaułek. Ale wtedy Collins powiedział „och” i przykucnął, poświecił na podłogę: pod stopami błysnęło kółko kłapy. Podniósł ją ze stęknieniem i zobaczyli kolejne strome schody – tym razem prowadziły w dół.

– „Coraz dziwniej i dziwniej” – zacytował młodzieniec *Alicję w Krainie Czarów*.

– Coraz obrzydliwiej – poprawił ochroniarz.

Co fakt, to fakt. Nicholas nie bał się duchów ani krwi, ale ciemność, ukryte schody i tajne korytarze były niesamowitością nawet dla niego. Collins jednak już schodził po schodach, więc młody Skryba podążył za nim. Ta klatka schodowa była mniej mroczna niż korytarz nad nią – pod drzwiami na dole rozciągała się słaba linia światła. Obiecujące.

– Jak myślisz, gdzie teraz jesteśmy? – syknął Collins przez ramię; jego kroki tłumiała zamknięta drewniana przestrzeń.

– W zachodnim skrzydle.

– Tam, gdzie mieszka twój stryj.

– Tak.

– Psiakrew – mruknął osiłek. – Może serio ukrywa tu jakąś żonę. A może on i Maram używają tych przejść do nocnych schadzek i...

Urwał, bo właśnie otworzył drzwi, znalazł włącznik światła i mrużył oczy w nagłej jasności. Stał nieruchomo, stał i patrzył. Nicholas właśnie miał go popchnąć, żeby wszedł dalej, gdy ten ruszył z własnej woli. Po chwili obaj się zatrzymali, jeden obok drugiego.

– Lustra – mruknął ochroniarz.

Tak. Znaleźli się w pokoju pełnym luster.

Inaczej: małe pomieszczenie świeciło pustką – ot, jedynie dwa ciężkie drewniane krzesła przy okrągłym stole. Ściany za to obwieszono lustrami. Były wielkie, pełnowymiarowe, identyczne. Nicholas je policzył: dziesięć.

Szersze niż standardowe, mogły pomieścić dwie osoby stojące obok siebie. Oprawione w zwykłe ciemne drewno. Zawieszono na białych ścianach. I w każdym z czterdziestu rogów znajdowała się zaschnięta rdzawa smuga krwi.

Każde lustro miało etykietkę, Nicholas rozpoznał na tych karteczkach pismo Richarda. *Kuchnia, Siłownia, Łazienka Północna, Łazienka Zachodnia, Klinika*, czytał odruchowo, a potem spojrzął na szkło i cała jego uwaga skupiła się niczym wiązka lasera.

– Tam są jeszcze jedne drzwi – zakomunikował ochroniarz, ale chłopak nie słuchał.

Lustra nie odbijały tego pokoju, nie odbijały nawet Collinsa i Nicholasa. To było jak pochylanie się nad stawem z czystą wodą: Nicholas widział na powierzchni sugestię własnego odbicia, załamane światła, a jednocześnie zaglądał do zupełnie

innych pomieszczeń. Na przykład do łazienki, i to niejednej. Z kolei lustro opisane jako *Kuchnia* pokazywało, tak jest: kuchnię, duże wnętrze ze stalowymi zlewami i wielkimi kotłami. Był tam także mężczyzna, włosy miał odsunięte do tyłu barwioną bandanką; właśnie pochylał się nad bardzo dużą patelnię. Lustro siłowni pokazywało kilka ławek do ćwiczeń, a w tle coś, co wyglądało jak rząd bieżni. Brodaty facet robił przysiady, pot ściekał mu z czoła.

To Nicholas napisał zaklęcie, które połączyło te lustra. Czy dlatego Maram go tu przysłała? Żeby zobaczył efekty swojej ciężkiej pracy?

– Chodź, zobacz. Tutaj jest całkiem inny pokój – zawołał Collins. Nicholas spojrzał w jego stronę: ochroniarz wychylał się zza drzwi.

Zerknął znowu na lustra i niechętnie podszedł do ochroniarza. Niechęć została jednak szybko zastąpiona przez osłupienie: stali w gabinecie Richarda.

Był w tym miejscu tylko raz, w nagrodę za swoją pierwszą skuteczną książkę, ale starał się zapamiętać wszystko, bo wiedział, że prędko tam nie wróci. Teraz miał wrażenie, że niewiele się zmieniło.

Podobnie jak większość pomieszczeń w domu gabinet miał duże okna i wysokie sufity, a także marmurowy kominek, imponująco zdobiony, jak również funkcjonalny. Większość ścian zajmowały wielkie regały, wieże z połyskliwego drewna, na których pyszniły się artefakty. Nicholas dobrze pamiętał, jak go hipnotyzowały, kiedy był dzieckiem: pies wielkości pięści, z czerwonej gliny; cypryjska amfora z wymyślnym wzorem, wypchana małka kapucynka ze szklistymi obsydianowymi oczami, ogromny srebrny dzwon. Wyglądało to jak zaplecze

muzeum. Większość z tych przedmiotów pewnie wiązała się z jakimś zaklęciem.

– Niczego nie dotykaj – uprzedził Collinsa.

– Nie planowałem.

– Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo nie powinno nas tutaj być – dodał.

– Chcesz wyjść?

Oczywiście, że nie chciał. Rozumiał teraz, dlaczego Maram bawiła się w podchody: miałyby nie lada kłopoty, gdyby Richard się dowiedział, że wyjawiała Nicholasowi, jak się tu dostać. A jednak wyjawiała. Wiedziała, jak bardzo ciekawy jest tego miejsca, jedyne pomieszczenia w domu, do którego dostępu uparcie mu broniono. Może takim prezentem chciała osłodzić chłopakowi ten straszny tydzień? Nicholas nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak jawnie sprzeciwiła się zakazom, i ten gest go wzruszył. Nawet jeśli nadal się martwił, że stryj ich tu przyłapie.

Collins stanął przed wielgachnym orzechowym biurkiem i popatrzył na oprawiony w kość portret. Surowy prapraprapradziadek w zakrwawionym fartuchu patrzył na nich z góry, farba olejna lśniła ciemną czerwienią. Nawet pod paznokciami chirurga namalowano krew. Nicholas pomyślał o malarzu z pewną dozą szacunku.

– To piszczel? – spytał bodyguard, wskazując dolną część ramy.

– Tak.

– Czy to jakaś brytolska perwersja dawać ludzkie kości w ramach obrazów?

– Był chirurgiem – wyjaśnił młodzieniec. – Słyszał z szybkich amputacji, więc zapewne nie brakowało tam obciętych nóg.

– I co, zatrzymywał je sobie po odcięciu? Na meble? Jak seryjny morderca?

– Jedną w każdym razie zachował. – Nicholas nie chciał, żeby Collins miał satysfakcję z jego zakłopotania, ale nie podobała mu się wizja pacjenta przywiązanego do stołu w starym teatrze chirurgicznym i przodka piłującego kości oraz ścięgni pod okiem pilnie notujących studentów medycyny.

Odwrócił się, kręcąc głową, i obejrzał resztę apartamentu. Na ścianie wisiało kilka innych ram, miejsce płócien zajmowały kolejne artefakty: zmumifikowany nietoperz, przyszpilony za szkłem; wiktoriańska brosza z ludzkich włosów; wełniany koc, ozdobiony szarymi ćmami...

Uwagę chłopaka przyciągnęły dwa przedmioty na biurku.

Pierwszym z nich był skórzany segregator, wypełniony pożółkłymi kartkami. Staranna laminacja każdej z nich miała opóźnić proces starzenia. Przejrzał kilka stron i zrozumiał, że to szkic zaklęcia, którego Nicholas ani nie widział, ani nie napisał. Początkowe wersy brzmiały tak dramatycznie, że Nick chciał poznać całość. „Ciało z mego ciała”, brzmiały słowa. „Kość z mojej kości. Tylko własna krew może mnie uśmiercić”.

Drugim fascynującym przedmiotem była oprawiona w płótno książka, gruba niczym powieść. Dotknął jej, mimo strachu i obrzydzenia, jakie wywołała jej głębokość. Odczytanie na głos tak opasłego tomu zajęłoby co najmniej godzinę. A zatem już po raz drugi tego dnia patrzył na książkę, za którą jakiś Skryba oddał życie – poświęcił całą swoją krew, aby zapewnić atrament do tego tekstu. Nicholas otworzył okładkę, popatrzył na staranne, drobne pismo.

Zaklęcie dało się ładować, ale nie bez końca, jak w przypadku osłon czy czarów rozmywających regał. Można je było zasilić raz w roku, w rocznicę pierwszego odczytania... Już rozumiał,

z jakimi czarami ma do czynienia. Po lekturze kilku stron tylko nabrał pewności, że się nie mylił. Zaklęcie lokalizujące Skrybów. To samo, które Richard odczytywał co roku – i za każdym razem mówił Nicholasowi, że wciąż jest tym jedynym.

Tekst był trudny, lecz – pomimo niepokoju wiążącego się z tak dużą ilością czyjejś krwi – czytał kolejne wersy mocno zaintrygowany. Ten rodzaj zaklęcia ojciec nazywał w swoich notatkach „magią kryształowej kuli”, a Maram „intuicyjną wróżbą”: zaklęcie połączone z przedmiotem, dostarczające konkretną informację wprost do umysłu czytelnika. Biblioteczna data wygaśnięcia była jedynym takim zaklęciem, jakie Nicholas kiedykolwiek napotkał, połączonym z książkami i umysłem stryja.

Nicholas już wcześniej tworzył zaklęcia związane z przedmiotami, takie jak to, które łączyło lustro w poprzednim pokoju, ale nigdy nie napisał tego rodzaju zaklęcia kryształowej kuli. I nigdy by tego nie zrobił. Intuicyjne wróżenie wymagało więcej krwi, niż mogło dostarczyć jedno ciało. Mimo to fascynujące były wybory dokonane przez anonimowego Skrybę, zwłaszcza struktura akapitów przypominająca zegar i sposób, w jaki używał rymów, aby podwoić połączenie poznawcze. Mógł się wiele nauczyć z tak specyficznego zaklęcia. Ciekawe, dlaczego stryj nigdy wcześniej mu go nie pokazał. Zaciekawiony naturą połączonego obiektu, ostrożnie przewrócił strony, szukając tego, do czego zaklęcie zostało przymocowane.

Znalazł to w środku tekstu: dyrektywę, aby połączyć postrzeganie czytającego „z widokiem z ciała, które nadaje życie mocy”.

Co to, u licha, miało znaczyć?

Wiedział, że ten fragment zostanie powtórzony gdzieś w innych słowach jeszcze co najmniej trzy razy, więc pochylił

się niżej nad stronami, żeby poszukać. Znalazł „Widok serca, które pulsuje siłą”, co nie wyjaśniło sprawy, więc skanował dalej. Był tak skupiony, że aż podskoczył, gdy Collins odezwał się do niego:

– Myślę, że musisz to zobaczyć. – Ochroniarz stał po drugiej stronie pokoju, przed regałem.

– Za chwilę. – Chłopak próbował znaleźć miejsce, w którym skończył.

– Nicholas. Musisz to zobaczyć – powtórzył Collins. Wtedy młodzieniec podniósł na niego wzrok. Bardzo, bardzo uważnie odłożył książkę na biurko, po czym podszedł do swojego towarzysza. Ten stał jak zahipnotyzowany przed dużym szklanym słojem z czymś w środku. – Przyjrzyj się uważnie – powiedział. – Może jestem szalony, ale...

Dla świętego spokoju Nicholas spojrzał na słoik. Naczynie miało mniej więcej wielkość jego głowy i kilka krwawych śladów, pewnie część zaklęcia zapobiegającego pękaniu szkła. Pokrywkę również opatrzono zaklęciem.

Trudno było powiedzieć, co znajduje się w środku. Nicholas próbował zrozumieć, na co patrzy. Nieduża kulka w jakiejś cieczy – nie w wodzie, raczej w półprzezroczystej gęstej mazi – nie pływała i nie unosiła się... Wyglądała jak zawieszona.

Oko.

A dokładniej gałka oczna wyjęta z czaszki z chirurgiczną precyzją.

Spoglądała na nich. Nicholas też się jej przyglądał. Czerwona pajęczynka żył i więzadeł ciągnęła się za okiem jak ogon za kometą. Nie był oczywiście ekspertem, ale tęczęwka tak bardzo przypominała malowaną wersję jego protezy, że musiała chyba pochodzić od człowieka... Collins poruszył się nerwowo,

wyraźnie wzburzony tym widokiem, Nicholas czuł się nie lepiej. Lewy oczodół zaczął mrowić, żołądek chciał się wyrzucić na drugą stronę. Niesamowite uczucie, gdy stajesz dosłownie oko w oko z czymś tak upiornym, a jednocześnie takim... znajomym.

Aż za bardzo znajomym.

– Collins – zaczął chrapliwie i odwrócił się do ochroniarza. Osilek wpatrywał się w niego z zaciśniętymi zębami, Nicholas zadrżał. – Wygląda zupełnie jak moje – wymamrotał.

Ochroniarz przełknął ślinę, ale się nie odezwał. Przytaknął.

Nick wrócił do słoika. Niewiele osób spędziło tyle czasu przed lustrem, oglądając własne oczy, porównując je, sprawdzając, czy można odróżnić sztuczne od prawdziwego. I jeszcze mniej ludzi trzymało w dłoni dokładną replikę swojego oka, obracało w tę i w tę, badając kunszt i podziwiając jakże realistyczne zróżnicowanie barw. Plamki zielonkawego złota pośród brązu, pierścień jaśniejszego bursztynu wokół tęczówki, naczyń krwionośne złożone z drobnych czerwonych włókien. Poznawał własne oko, gdy na nie patrzył – a właśnie patrzył na nie teraz.

– Hej! – zawołał Collins. – Przestań, wstawaj.

Nicholas, wiecznie bliski omdlenia, nagle znalazł się jeszcze bliżej utraty przytomności – siedział na podłodze. Zupełnie jakby jego organizm zdecydował, że Nicholas lepiej użyje mózgu, jeśli odetnie mu się inne źródła poboru energii.

Collins trącił go czubkiem buta, ale nie kopnął.

– Co robi moje oko w słoju na regale, w gabinecie stryja? – wybełkotał młodzieniec.

– Ja go tam nie włożyłem.

– Richard musiał je dostać od... od tych ludzi, którzy mnie porwali. No nie? Ale dlaczego je zatrzymał? I dlaczego nic mi nie powiedział? Wygląda idealnie, czyli co, nie mogli tej gałki tam

po prostu włożyć, no, na miejsce? Nie wiem, jak działają oczy, ale skoro da się przyszyć palce i dłonie, jeśli cięcie jest czyste, to dlaczego...? – Potarł mocno twarz, usiłując się skupić i zrozumieć.

– Nick – przemówił Collins. – Myślę, że ten sam człowiek, który usunął ci oko, włożył je do słoika.

Umysł Nicholasa ominął te słowa, nie mógł ich przyjąć.

Młodzieniec wstał i chwiejnym krokiem wrócił do biurka. Mrużąc oczy, wertował grubą księgę zaklęć. Już wiedział, co w niej znajdzie.

Widok z ciała, które nadaje życie mocy.

Widok serca, które pulsuje siłą.

Oko Skryby.

Nicholas pomyślał o tamtym pomieszczeniu w San Francisco dawno temu. O szemrzącym odgłosie własnego moczu ściekającego z krzesła. Opaskach zaciskowych wrzynających się w nadgarstki. Niekończącej się ciemności. I nie mógł zignorować tego, co wynikało ze słów Collinsa.

Biblioteka go porwała. Biblioteka tak pieczołowicie usunęła jego oko i przechowywała je w szklanym słoju – specjalnie do tego zaklęcia.

A Biblioteką był Richard. Richard i Maram.

Zainscenizowali porwanie, polecili wydłubać mu oko i zorganizowali całą akcję ratunkową. Jakże sprawdziły się ich wszystkie ostrzeżenia, jakże usprawiedliwiły ścisłą całkowitą obserwację, jakże wzmocniły jego, Nicholasa, zaufanie. Do nich. Jego wiarę. Och, twarz stryja, gdy chłopiec ocknął się w szpitalu. Łzy. Stres Maram. Wszystko było tylko przedstawieniem, teatrem?

Nicholas nie chciał w to wierzyć, wolał myśleć, że jest spanikowany, dziecinny, popadł w paranoję. Ale oto stał w sekretnym pokoju, do którego broniono mu dostępu. Widział rzeczy, o których miał się nigdy nie dowiedzieć.

Przez cały ten czas słyszał, że musi bać się tego, co czyha na niego za osłoną znajomych murów. Cały ten czas wierzył, że zagrożenie przychodzi z zewnątrz.

A może największe zagrożenie od zawsze znajdowało się tu, w środku.

Bezwiednie zacisnął palce na stronach zaklęcia, któremu oddał własne oko. Było powiązane z obiektem, czyli teoretycznie aktywne – tylko Skryba mógł zniszczyć działające zaklęcie. Jeśli teraz podąży za instynktem i rozerwie księgę na strzępy, Richard od razu się domyśli, kto to zrobił. Nicholas jednak – ogarnięty wściekłością – miał to gdzieś: chwycił stronę i ciągnął z całej siły, czekając na trzask papieru, gdy wydrze ją z oprawy.

Nic się nie stało.

Strona nawet się nie pogmiotła. Spróbował z jeszcze jedną stroną, następną, kolejną... Żadnej nie udało mu się nawet pomiąć, a co dopiero rozedrzeć. W złości i rozpaczyc zaczął drapać okładkę, chciał wyszarpać sploty oprawy. Może nawet użyłby zębów, gdyby Collins nie złapał go za rękę.

– Hej, hej, hej – zawołał. – Nic nie wskórasz. Poodychaj przez chwilę, no dalej... – Chwycił chłopaka za ramiona i odwrócił do siebie, jego duże dłonie były ciepłe i ciężkie. – Oddychaj – nakazał znowu. – Napędziłeś mi stracha.

Nicholas odetchnął, w każdym razie spróbował. Później pewnie spali się ze wstydu, że Collins widział tę utratę kontroli, ale teraz był mu zbyt wdzięczny za obecność, żeby się tym przejmować. Po kilku długich chwilach ochłonął i zaczął myśleć.

Już wiedział, czemu księga pozostała nienaruszona. Napisało ją dwóch Skrybów i tylko dwóch mogło te strony zniszczyć.

- Musimy się stąd wydostać – rzucił.
- Zgadzam się. – Collins cofnął ręce.

Nicholas odsunął się, znowu spojrzął na księgę. Skórzany segregator wyglądał przy niej tak normalnie, niewinnie.

Czy w ogóle chciał wiedzieć, jakie jeszcze sekrety ukrywa stryj? Czy doświadczy czegoś gorszego niż to, że przygląda mu się własne oko? Cały dygotał, ale chora ciekawość już odepchnęła furię. Znow otworzył okładkę segregatora i spojrzął na pożółkły papier w środku.

Przeczytał pierwsze dziesięć stron, potem zaczął od początku. Nie mógł, nie chciał zrozumieć sugerowanego zaklęcia.

- Co to jest? – spytał Collins.
- Właśnie usiłuję to rozgryźć.
- Serio, lepiej spadajmy.

– Mhm. – Czytał dalej. Zgodnie z przewidywaniami przyszłe zaklęcie również wymagało dwóch Skrybów. Ale nie chodziło wyłącznie o krew. „Oprawiona w ciało. Zszyta ścięgna. Wzmocniona kośćmi”. Księga sama w sobie miała być wykonana z pechowego Skryby, który odda krew... i skórę. Ścięga. Włosy. Wszystko. – To niemożliwe – szepnął.

Collins, który chodził tam i z powrotem, od biurka do drzwi, wrócił do biurka. Jak na kogoś, kto twierdził, że nienawidzi ksiązek oraz magii, wyglądał na zaintrygowanego.

- Co jest niemożliwe?

Dla pewności Nicholas przeczytał jeszcze kilka zdań.

– To zarys innego zaklęcia, które wykorzystuje elementy ciała Skryby jako kotwicę... i wtedy obiekt łączy się z życiem. Możesz więc połączyć swoje życie z, no nie wiem, zębem Skryby, i tak długo, jak ten ząb istnieje, ty żyjesz również.

Ochroniarz zmarszczył brwi, ale kiedy jego podopieczny przygotował się na dłuższy wykład, powiedział:

– Nieśmiertelność, prawda? O tym mówisz.

– W gruncie rzeczy... tak.

– Ale to nie jest książka. Znaczący, nie została jeszcze napisana.

– Zgadza się. – Młodzieniec popatrzył na pierwszą stronę. „Ciało z mojego ciała”. – To zarys.

– I potrzeba was dwóch – dodał Collins.

– Właśnie.

Głos Collinsa brzmiał teraz twardo.

– To dlatego twój stryj szuka drugiego Skryby?

Drugi Skryba. Żeby Richard mógł przetopić jego kości na klej, zgolić włosy na nici, oskórować go na okładkę. Wyrzeźbić pióro z palców. Spuścić z niego krew. A potem zmusić bratanka, żeby napisał zaklęcie, które zapewni komuś życie wieczne.

Przez kilka tygodni po napisaniu zakłęcie o latającym dywanie kisiło się w najniższej szufladzie biurka. Nicholas przykrył je jakimś kartkami, nawet starą koszulką, i nie chciał o nim myśleć, ale w miarę upływu czasu czuł się tak, jakby na dnie tej szuflady pogrzebał siebie pod warstwami papierzysk. Miał wrażenie, że ktoś przyciszył, przygasił cały świat, wszystko było stłumione i beżowe, nudne i męczące. Nie ucieszył się, gdy Maram zaproponowała wyjazd do Londynu po nowe adidas, o które ciągle błagał. Zaniepokojona zmarszczyła brwi i przyłożyła mu dłoń do głowy.

Jak zawsze nie mógł się powstrzymać i wtulił czoło w ten niespodziewany dotyk. Szybko zabrała rękę.

– W każdym razie nie ma gorączki – poinformowała Richarda.

Jedli obiad, mocno różową jagnięcinę w rozmarynie. Zapach ziół i krwi budził mdłości; za bardzo przypominał robienie atramentu, aby pobudzić apetyt.

– Zachowujesz się ostatnio inaczej – stwierdził Richard. –

A pan Oxley powiedział mi, że wczoraj na sprawdzianie uzyskałeś osiemdziesiąt procent. Dziwnie niedużo jak na tak pilnego ucznia. Coś się stało?

– Nie – mruknął mały Nick, przesuwając pačkę smażonego szpinaku po wielkim porcelanowym talerzu. – Wszystko jest nudne.

– Moglibyśmy wybrać się jutro do kina – podsunął stryj. – Albo obejrzeć sztukę?

– Nie.

– Do sklepu z nagraniami?

– Nie.

– Madame Tussauds? – proponował dalej. Nicholas podniósł wzrok znad talerza, jednak zaciekawiony. Od dawna chciał pójść do muzeum figur woskowych. Richard się uśmiechnął. –

W takim razie zadzwonię jutro i je wynajmę na jakieś popołudnie w przyszłym tygodniu. Będziemy mieli całą wystawę na wyłączność.

Nicholas oklapł. Nie chciał snuć się po pustym muzeum i pod nadzorem oglądać nieruchome figury.

– Nie.

Maram, wyraźnie zniecierpliwiona całą sytuacją, powiedziała:

– Och, dajże mu spokój. Nie przekupisz go przecież, żeby się nie dąsał.

Urażony Nicholas odsunął talerz.

– Skończyłem. Mogę odejść?

– Jak najbardziej. – Stryj zmarszczył czoło.

Nick wymknął się z jadalni, czując na sobie zatroskane spojrzenie. Już zrobiło mu się żal, że zrezygnował z wycieczki do Tussauds, ale godność wymagała, aby odczekał kilka dni, zanim ogłosi, że zmienił zdanie.

Jednak następnego ranka Richard zapukał do jego drzwi i polecił:

– Załóż coś wygodnego. Przygotowałem małą niespodziankę.

Na ramieniu trzymał torbę, poza tym ubrał się w dzinsy – tyle wystarczyło, żeby zaciekawić bratanka. Richard zamknął za sobą drzwi, a chłopiec wstał z łóżka i przygotował się do wyjścia. Stryj siedział w przedsionku na niskiej sofie i wyraźnie nie mógł się już doczekać wyjawienia tej niespodzianki. Nicholas o nic nie pytał, dopóki nie przeszedł za głową rodu po schodach i korytarzach, aż do holu głównego.

Wkroczyli prosto w piękny poranek późnej wiosny. Niebo było błękitne, a park jeleni pokrywała bujna szmaragdowa trawa ze stokrotkami, koniczyną i jaskrami. Brzęczały owady, ćwierkały ptaki, cały świat pachniał słodką świeżością. Ogrodnicze kozy przeżuwały wielkie hapsy mięciutkiej trawy; zastrzygły uszami, gdy dwie dobrze im znane osoby przechodziły obok.

– Co będziemy robić? – spytał w końcu chłopiec.

– Powiedz mi, gdzie przebiegają granice naszych ziem.

Nie po raz pierwszy pytano Nicholasa o tę kwestię, nie po raz pierwszy Richard odpowiadał pytaniem na pytanie.

– Droga na północy. Biały płot na wschodzie. Zagajnik drzew na południu. Stodoła na zachodzie.

– Bardzo dobrze.

Znaleźli się nad stawem, Richard zatrzymał się i postawił torbę na kamiennej ławce, a potem zaczął wyciągać jakiś szorstki, jasny rulon. Nicholas omal się nie zakrztusił, kiedy dotarło do niego, na co patrzy: tkany dywan. Stryj rozwinął go i położył na trawie obok wody, a potem wyjął z torby coś jeszcze.

Książkę Nicholasa o latającym dywanie.

– Słyszałem, że próbowałaś działać za moimi plecami. – Bez pośpiechu kartkował strony. – Prosiłeś, żeby ktoś ci ją

przeczytał. Najwyraźniej czułeś, że się na to nie zgodzę.

Mały Skryba milczał, próbując ocenić nastrój Richarda. Nie wiedział, czy powinien się bronić, protestować czy przeprosić. W końcu wyznał:

– Ciężko nad nią pracowałem.

– Tak. – Stryj zamknął książkę. – Widzę. Wspaniałe dzieło, mój drogi. Jestem pod wrażeniem.

Nagle jakby ciemny pokój rozświetliło słońce. Chłopiec próbował udawać nonszalancję, ale nie mógł. Poczuł, że promienieje.

– Aha – wykrztusił, prawie zażenowany tym jawnym szczęściem. – To dobrze.

– A teraz powiem ci, co zrobimy – rzekł mężczyzna. – Przeczytam zakłęcie i wypróbuję dywan. Jeśli uznam to za bezpieczne, pozwolę ci usiąść ze mną.

– Naprawdę? – wypalił Nicholas. – Obiecujesz?

– Pod warunkiem, że to będzie bezpieczne – powtórzył Richard. – I że zostaniemy pod osłonami.

– Nic złego się nie stanie! – Dzika ekscytacja niemal odebrała mu głos. – Wpisałem to w zakłęcie, będziesz jak przyklejony, nie pozwoli ci spaść.

– Ale ty nie będziesz.

– Ja przytrzymam się ciebie z całej siły! Obiecuję!

– W takim razie zobaczmy, co my tu mamy. – Richard wyjął z kieszeni nóż i woreczek ze sproszkowaną mieszanką szaleju, ruty i suszonych płatków perskiego cyklamenu. – Siadaj – polecił. Nicholas przycupnął na krawędzi kamiennej ławki, drżąc z niecierpliwości. Stryj nakłuł palec, dotknął mieszanki ziół i przycisnął opuszkę do kartki.

Zakłęcie było trudne, a książka długa, wymagała dwóch sesji puszczenia krwi w odstępie przeszło miesięcznym, Richard zaś recytował ją powoli. Tak jak wtedy, gdy czytał Nicholasowi na dobranoc, głos miał dźwięczny i wciągający. Chłopiec słuchał własnych słów, czytanych tym mocnym głosem, i puchł z dumy. Stworzył wspaniałe dzieło. Zaimponował bratu swojego ojca. A teraz mieli polecieć.

Gdy Richard skończył czytać, słońce stało już wysoko na niebie, a dywan uniósł się na metr i wisiał ponad trawą. Leciutki wiatr poruszał frędzlami na brzegach. Richard parę razy na próbę nacisnął dłonią gęsto tkany kobierzec, a potem usiadł na nim ostrożnie i oderwał stopy od ziemi. Dywan nie ugiął się pod jego ciężarem. Mężczyzna skrzyżował nogi po turecku, chwycił dwa przednie frędzle i pociągnął w górę – podniósł się o kolejny metr. Pociągnął za lewy frędzel – skręcił w lewo.

– Cudownie – zawołał. – Na jak długo wystarczy?

– Mniej więcej na pół godziny – odparł rozentuzjasmowany Nicholas. – I nie spadnie od razu, zacznie się powoli opuszczać, a następnie wyląduje na ziemi. Wtedy będziesz mógł z niego zejść.

Bez ostrzeżenia Richard pociągnął za frędzle tak mocno, że dywan ostro wystrzelił w górę, niczym latawiec szarpnięty wiatrem. Stryj, zupełnie niewystraszony, nadal na nim siedział, przyklejony magią do grzbietu tkanego wierzchowca. Nicholas o mało nie skręcił sobie karku, obserwując Richarda, który leciał w górę, w górę i w górę, po czym pomknął w lewo i zatoczył szybki krąg nad stawem, na wysokości dwudziestu metrów, niewidoczny od spodu. Zmienił się w mały punkt, po czym zaczął rosnąć i pikować tak szybko, aż Nicholas myślał, że się rozbije, ale w porę wyrównał.

Gęste włosy, z lekką siwizną tylko na skroni, rozwiały wiatr, a senior uśmiechał się szeroko jak psotny uczeń.

– To dopiero jazda! – krzyknął. – Dobrze, chłopcze, wsiadaj. Najlepiej zajmij miejsce za mną. Obiecujesz, że będziesz się trzymał?

Nicholas już wdrapał się na dywan, ukląkł za stryjem i po chwili wahania objął go w pasie, jakby jechał za nim na motocyklu. Richard nie był zbyt skłonny do uścisków, a chłopiec nie inicjował żadnych czułości, odkąd przestał być bardzo małym dzieckiem. Oparł się o szerokie plecy i spojrzał na stryja przez ramię, gdy ten podciągnął dywan do góry, znacznie wolniej, niż zrobił to chwilę wcześniej.

W miarę jak kobierzec się podnosił, serce Nicholasa rosnęło, aż poczuł, że zaraz wybuchnie w nim ze szczęścia. Kiedy znaleźli się z pięć metrów nad stawem, Richard polecił:

– Wyżej!

Wzbili się hen, w górę. Tak wysoko, że Nicholasowi kręciło się w głowie. Ścisnął stryja, aż temu żebra trzeszczały, ale Richard nie protestował. Z góry staw wyglądał jak błękitna kałuża, a kozy zrobiły się małe jak myszki. Wielkie kamienne ściany domu – tak chłodne i nieprzeniknione, gdy Nicholas patrzył na nie z ziemi – teraz wydawały się kruche, idealny domek dla lalek. Unosili się przez chwilę, nie lecąc dalej, i pokazywali sobie różne rzeczy: zabawkowy samochód sunący drogą, róże jak plamy farby strząśniętej z pędzla, stadko ptaków, które zrywały się z jednego drzewa i siadały na innym. Zeszli niżej z tej zawrotnej wysokości, popłynęli do przodu.

Przemykali nad polem, lawirując między wierzchołkami drzew, a gdy bratanek poprosił Richarda, żeby przyspieszył, spikowali tak nisko, że dywan zostawiał za sobą szum pochylonej trawy. Mknęli tuż ponad ziemią, potem okrążali

dom, wznosząc się coraz wyżej, aż zrównali się z iglicami miedzianych wieżyczek. Chłopiec śmiał się głośno z czystej radości, z emocji wywołanych niebezpieczeństwem i samym lotem.

– Ty to zrobisz, Nicholasie! – zawołał do niego Richard. – Twoje słowa i twoja krew! Jak ci z tym jest? Czujesz się potężny?

– Tak! – wykrzyknął Nick zupełnie szczerze. Ale bardziej niż potężny czuł się całkowicie, absolutnie szczęśliwy.

W końcu dywan zaczął opadać, zgodnie z tym, co miał zapisane: w dół, w dół, w dół, aż położył się na trawie niczym zmęczone dziecko i znieruchomiał.

Nicholas zeskoczył na ziemię, nadal z uczuciem wznoszenia się i wiatrem we włosach.

Richard uśmiechnął się do niego.

– Jak tam chandra?

Nick musiał przyznać, że tak wspaniałego nastroju nie miał od tygodni.

– Zniknęła – przyznał. – To było niesamowite.

– Gdybyś od razu przyszedł do mnie ze swoją książką, zamiast ją ukrywać, przeczytalibyśmy zaklęcie razem wiele dni temu – rzekł Richard, ale łagodnie, nie z pretensją. – Mam nadzieję, że następnym razem mi zaufasz. Robienie tajemnic nie jest dobrym pomysłem, mój drogi. Przez to poczujesz się tylko gorzej.

W tamtym momencie Nickowi nie przyszło nawet do głowy, żeby się zastanawiać, jak stryj w ogóle znalazł książkę. Zapewne musiał przeszukać gabinet bratanka, może nawet sypialnię, żeby znaleźć miejsce, w którym chłopiec ją ukrył. Nicholas jednak – oszołomiony, przepełniony satysfakcją i wdzięcznością – o nic nie pytał.

Dopiero później, gdy już podziękował Richardowi i obiecał, że nie będzie niczego przed nim ukrywał, gdy w nocy leżał w łóżku, wspominając ten dzień, poczuł się urażony. Mimo młodego wieku rozgryzł logikę stryja. Ukrywanie tajemnic przed Richardem było złe, ale już to, że Richard miał jakieś tajemnice? No cóż.

Teraz, wiele lat później, stojąc w gabinecie seniora rodu, z furią myślał o tamtych słowach.

„Robienie tajemnic nie jest dobrym pomysłem, mój drogi. Przez to poczujesz się tylko gorzej”.

Wpatrywał się w brudnopis odrażającego zaklęcia, a Collins, który przeszedł do sąsiedniego pokoju, wychylił głowę zza drzwi.

– Chodź tutaj – rzucił. – Szybko.

– Słucham?

Głowa ochroniarza zniknęła.

Chwila, żeby ułożyć przedmioty na biurku idealnie tak samo, i druga, żeby ostatni raz rozejrzeć się po gabinecie. Nie pominąć wielkiego słoja i jego groteskowego mieszkańca. Trzeba o nim pamiętać.

W drugim pomieszczeniu Collins stał przed jednym z luster ze skrzyżowanymi na piersi rękami i patrzył intensywnie. Nicholas dołączył do niego. Lustro z etykietką *Klinika* pokazywało coś w rodzaju gabinetu pielęgniarki w filmie o amerykańskim liceum. Duże biurko, przy którym nikt nie siedział, i kilka łóżek oddzielonych zasłonami – żadna nie była zasunięta.

Na jednym łóżku spała jednak kobieta, Nicholas widział szopę jasnych włosów i bladą twarz. W nogach stała inna, ciemnowłosa, miała złociście brązową cerę i wyjątkowo

paskudny sweter. Nick chciał odejść, kiedy Collins powiedziała: „Czekaj” i jakiś mężczyzna wszedł w kadr, odwrócił się, spojrzał prosto w lustro.

– Powiedz mi, czy to Tretheway? – Wskazał go osiłek. Nicholas patrzył ze zdumieniem: faktycznie. Tretheway, poprzedni ochroniarz. – Myślałem, że tego palanta dawno zwolniono – zauważył Collins.

– Też tak myślałem – przyznał Nicholas.

– Widzi nas przez lustro?

– Jeśli to zaklęcie, które napisałem w maju, a nie może być inaczej, to nie, nie widzi. Możesz przekazywać przedmioty w jedną i drugą stronę, ale patrzeć można tylko stąd. Chodźmy, mam gdzieś, co knuje Tretheway.

– Czekaj. Dziewczyna.

Ciemnowłosa młoda kobieta też spojrzała prosto w lustro. Nicholas prawie się cofnął przed jej świadomym, świdrującym wzrokiem. Oczy błyszczały pod mocnymi, wyrazistymi brwiami. Przyglądała mu się badawczo, w końcu odwróciła spojrzenie. Tretheway zniknął z kadru. Dziewczyna w paskudnym swetrze powiedziała coś, zwrócona w jego stronę.

– Kojarzysz ją? – spytał Nicholas. Chyba było w niej coś znajomego. – Jedna z naszych?

Collins nie odpowiedział. Wpatrywał się w szkło jak zaczarowany. Nicholas już podniósł rękę, żeby go odciągnąć, gdy dziewczyna znowu spojrzała w lustro, a w kadrze pojawił się Tretheway. Tyłem do szkła, przesłaniając czarnowłosą, jedną rękę trzymał sztywno u boku. Miał broń.

– O cholera – mruknął obecny bodyguard.

Dziewczyna znowu coś powiedziała, ręce miała uniesione, jakby uspokajała psa. Tretheway niemal od niechcienia uniósł

pistolet, wymierzył do niej. Przez sekundę oboje stali nieruchomo, jakby zaciął się obraz na ekranie, a potem, tak nagle, że wystraszony Nicholas chwycił Collinsa za rękę, kobieta skoczyła do przodu i posłała Trethewaya na ziemię. Collins krzyknął głośno, jakby kibicował na meczu piłki nożnej, a walczący prawie wypadli z kadru. Widać było tylko nogi, splątane w desperackiej walce.

– Za kim jesteśmy? – dopytywał Nicholas. – Oboje pracują dla Biblioteki?

– Gównu mnie obchodzi Biblioteka. Mam nadzieję, że dziewczyna go załatwi.

Nicholas nie liczył na to. Tretheway był silny i wyszkolony.

Zdażył to pomyśleć, a młoda kobieta znowu się pojawiła: teraz miała Trethewaya pod sobą. Z jej wargi płynęła krew, eksochroniarz pociągnął ją do przodu – znowu zniknęli.

– Kurwa – warknął Collins.

Ktoś wrócił – Tretheway, obity i zakrwawiony, lecz uśmiechnięty. Z postawy i ułożenia rąk jasno wynikało, że dusił leżącą pod nim ofiarę.

– Wstawaj! – błagał Collins. – Wstawaj, załatw drania!

Dopiero wtedy Nicholas zauważył, że blondynka podniosła się z łóżka. Była w koszuli nocnej i chwiała się na nogach. Jedną rękę miała na temblaku, w drugiej ręce trzymała wazon z czymś, co wyglądało na pojedynczy plastikowy kwiat przyklejony do środka. Podkradała się do mężczyzny przerażona i zdeterminowana.

Zauważalnie drząc, uniosła wazon, najwyraźniej jedyną broń, jaką udało jej się znaleźć. Wyglądało to żałośnie i biednie.

Za to zamachnęła się bardzo solidnie i walnęła napastnika w głowę z taką siłą, że się obalił; do połowy wyszedł z kadru.

Blondynka nachyliła się szybko, wzięła pistolet.

Spojrzała na broń. Spojrzała na Trethewaya. Ten wstał, szerokimi plecami kompletnie zasłonił widok. Teraz mogli obserwować tylko jego jasny sweter.

Scena, która nastąpiła chwilę później, rozegrała się w całkowitej ciszy i była przez to jeszcze bardziej przerażająca. Ciałem Trethewaya szarpnęło, wełniany sweter zrobił się czerwony poniżej jednej łopatki. Były ochroniarz osunął się na ziemię, zniknął z kadru. Widzieli teraz blondynkę z wyciągniętym pistoletem i otwartymi ustami. Dygotała.

Nicholas ciągle ścisnął ramię Collinsa, nie odrywał wzroku od lustra. Zdawało się, że jasnowłosa z temblakiem krzyczy w kółko jedno słowo, może imię przyjaciółki. Padła na kolana. Za późno, myślał odrętwiały Nicholas. Tretheway zginął, ale zdążył udusić brunetkę, a Nicholas i Collins na to patrzyli.

Ale wtedy ujrzeli ciemnowłosą: z czerwoną twarzą, zapadniętymi policzkami próbowała chwycić powietrze. Nick dopiero teraz odetchnął, Collins tak samo. Blondynka upuściła pistolet i zdrową ręką chwyciła swoją znajomą. Obie mówiły coś szybko, gorączkowo. Nicholas nie umiał zgadnąć co, ale blondynka przestała krzyczeć, szlochała teraz, trzęsła się jak w febrze. Spojrzała w stronę, gdzie pewnie leżał niewidoczny Tretheway.

– Myślisz, że on nie żyje? – spytał Nicholas.

Collins był przeraźliwie blady.

– Nie wiem – wybełkotał.

Nagle obie kobiety odwróciły się w stronę lustra.

Blondynka z temblakiem nadal płakała, ale kiwała głową. Obie podeszły bliżej ramy, przykucnęły tam, gdzie zapewne leżał Tretheway. Czarnowłosa najwyraźniej grzebała w jego

kieszeniach, znalazła cienką książeczkę. Nicholas w jednej chwili rozpoznał, co to jest. Proste wymazanie pamięci, jedno z wielu, jakie pisał przez lata. Doświadczył totalnej transcendencji, gdy patrzył, jak nieznajoma trzyma przedmiot, w który wsączył krew, nad którym się napracował.

Przedmiot zaprojektowany tak, aby zaintrygować każdego, kto miał pecha spojrzeć na pierwszą stronę.

– Nie – powiedział na głos. – Nie, nie patrz, nie czytaj!

Niestety – już zajrzała na pierwszą stronę. Potem na kolejną i kolejną, ale zaklęcie nie spowodowało żadnej reakcji.

Magia jej nie dotknęła.

– Niemożliwe – wykrztusił Nicholas.

Sekundę później wcisnęła książkę za pasek dżinsów i wzięła Trethewaya pod pachy, blondynka chwyciła nogawkę kombinezonu zdrową ręką. Podciągały go coraz bliżej, aż we troje znaleźli się tuż przy tafli lustra – czarnowłosa tak blisko, że Nicholas widział ślady krwi denata na jej twarzy. Podniosła jego bezwolną rękę – szkło po stronie Collinsa i Nicholasa zafalowało. Niczym robak przez mokrą ziemię palec eksochroniarza przeszedł do ostatniego knykcia – paznokieć zrobił się czarny, kości skręciła podróż przez lustro. Palec cofnął się, gdy dziewczyny zaczęły zмагаć się z ciałem.

Nicholas już wiedział, co zamierzają.

– Przeciskają go – wyjaśnił Collinsowi. Palec był testem.

Po ich stronie pojawiły się włosy Trethewaya; przypominały żdźbła kielkującej trawy. Potem przedostały się kolejne fragmenty: posiniaczone czoło i twarz makabrycznie powykęciana – spłaszczony nos, przesunięta żuchwa, puste oczodoły, jakby gałki wessała próżnia.

Ramiona utknęły, ale szybko zaczęły się przebijać – na jednym z nich była mała brązowa dłoń z obgryzionymi paznokciami. Nicholas spojrzął na nią, a brunetka od razu szarpnęła ją z powrotem, przycisnęła do piersi i zbadła spanikowana. Pewnie myślała, że lustro wypaczyło ją tak, jak ciało Treva, ale wyglądała w porządku. Wznowiły akcję, bary Trethewaya przeszły na drugą stronę... w tym momencie magia wciągnęła resztę ciała do pokoju i wypluła je na podłogę. Obok upadł pistolet.

I Nicholas, i Collins mogli tylko się gapić. Gdyby nawet Tretheway nie wyzionął ducha wcześniej, to z pewnością teraz był martwy. Zmasakrowane doczesne szczątki wyglądały obrzydliwie. Napięta skóra trzymała w kupie to wszystko, co zostało zmielone w środku – cienka, nienaruszona powierzchnia, naciągnięta na wybrzuszeniach i zapadlinach. Nicholas spojrzął na lustro – i ono, i wszystkie inne w pokoju stały się puste. Znów były tylko lustrami, odłączonymi od życia, które łądowało je od tamtej strony. Życia, które właśnie się skończyło.

Jedyna pozytywna rzecz w całej tej makabrycznej sytuacji: Esther zyskała pewność, że Pearl jej nie zdradziła.

Ciało Treva przeszło przez lustro jak przez rtęć, nie zostawiając nawet śladu krwi na zimnym, twardym szkle. Gdy zniknęło, Pearl jęknęła i osunęła się na podłogę ambulatorium.

Esther, obolała po walce i nabuzowana adrenaliną, splunęła szybko na czysty brzeg rękawa i zaczęła trzeć ślady krwi na lustrze. Bała się strasznie, że jeśli je zostawi, ktoś wyjdzie z ramy, po czym zabije ją i Pearl na miejscu. Żywe istoty nie mogły przedostawać się przez lustra i nadal żyć, tak, wiedziała, a jednak była zdjęta grozą – mimo testu z palcem Treva, mimo tego, że wrócił wykręcony i straszny, gdy jej własna ręka zupełnie bezboleśnie przeszła przez lustro. Może ten transfer z jednego miejsca do drugiego niszczył ciało, nie samo wejście?

Trev mógł nie być całkiem trupem, gdy go przepchnęły, lecz jeśli istniały jakieś wątpliwości, czy podróż przez lustro dokończyła to, co rozpoczął strzał Pearl, w tej chwili zostałyby rozwiane: rdzawe plamy magii łatwo dały się zetrzeć. To żywa krew aktywowała zaklęcie z tej strony i pozwoliła ciału dostać się na drugą stronę; teraz, gdy Trev był definitywnie martwy, zaklęcie po tej stronie już zostało złamane.

Wytarła resztę śladów ze lśniącej, gładkiej powierzchni i kucnęła przed Pearl.

– Dziękuję – zaczęła. Chciała jej tyle przekazać, zaczynając od przepaszam.

– Błagam, powiedz mi, że mam zwidy – wyjęczała Australijka. – Proszę, powiedz, że jestem naćpana albo że to koszmar.

– To koszmar – potwierdziła Esther i obejrzała przyjaciółkę, szukając na niej krwi Treva. Zobaczyła ślady na palcach i nadgarstkach. – Musisz umyć ręce.

– Muszę umyć mózg – poprawiła ją Pearl.

W każdej innej sytuacji Esther by się zaśmiała, ale teraz nie był to żart, sama chętnie zrobiłaby to samo, przez co słowa dziewczyny stawały się jeszcze mniej zabawne.

Podeszła do umywalki w rogu, namoczyła zwitek papierowych ręczników i wróciła do przyjaciółki. Brała ją za dłonie i wycierała ostrożnie. Pearl miała smugę na twarzy, więc to zabrudzenie też wyczyściła, potem obejrzała siebie. Na swetrze widniało zaledwie kilka plamek, ale na podłodze ciągnęły się czerwone ślady, a dżinsy na udzie były mokre od krwi. Szpitalna koszula Pearl biła czerwienią na brzegach.

Zajmie się tym za chwilę. Jeśli będzie jakaś chwila. Jeśli nikt nie spróbuje otworzyć drzwi kliniki, nie zobaczy, że są zamknięte, nie podniesie alarmu. Nie wiedziała przecież, co Trev wymyślił, żeby lekarka wyszła i na jak długo ją gdzieś odesłał.

– Orientujesz się, gdzie trzymają koszule? – spytała przyjaciółki, a ta skinęła głową. Co za ulga. – Dobrze, to się przebierz, brudną rzuć tutaj – wskazała kąt pomieszczenia – a potem kładź się do łóżka. Ja umyję podłogę.

Pearl wykonała polecenia jak robot, zmieniła koszulę i wspięła się na łóżko. Esther znalazła wiadro, nalała wody oraz detergentu.

– Zaatakował mnie – odezwała się Pearl. – Trev. Kiedy jeździliśmy na nartach. Normalnie rozmawialiśmy, nagle jego twarz się zmieniła, rzucił się na mnie i... – Urwała, jakby zabrakło jej powietrza. Po chwili zapytała: – Kto to był? Co się stało? Skąd wiedziałaś, że można przepchnąć go przez... przez...

Chyba nie potrafiła dokończyć zdania. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Co tu się, do cholery, dzieje, Esther?

– Szukał mnie, nie ciebie.

– Tak, wielkie dzięki, to już zrozumiałam. Ale dla czego?

Esther szybko myła podłogę, zmieniała wodę, wycierała, aż cała krew zniknęła. Poszło nawet szybciej, niż myślała. Na pewno nie wypadło sterylne i zespół kryminalistyczny miałby pole do popisu, ale zanim ktokolwiek zacznie szukać Treva, Esther dawno tutaj nie będzie.

Taką miała nadzieję.

Poza tym nie znajdą ciała ani narzędzia zbrodni, w ambulatorium natomiast nie zainstalowano kamer – czemu ktoś miałby ją podejrzewać? Nie było też żadnych świadków. A raczej: nie będzie żadnych świadków, gdy Esther skończy.

– Gdzie pielęgniarka położyła twoje ubrania z nart?

– Nie wiem. Esther, proszę, spójrz na mnie i wyjaśnij.

Zacisnęła powieki, potem otworzyła oczy i się odwróciła. Książka, którą zabrała Trevowi, wymazałaby pamięć Pearl z ostatnich dwudziestu czterech godzin, zresetowałaby ją do czasu przed strzałem, kłótnią i nartami. Jednak ta Pearl, dygocząca na łóżku, rozpaczliwie wpatrzona w Esther, wciąż pamiętała. Ta Pearl na coś zasługiwała, tak czy nie? Może chociaż na to, żeby usłyszeć prawdę? Zbyt kusząca myśl, żeby ją odrzucić: choć na chwilę obie będą razem w tym samym świecie.

– To zabrzmiało jak wariactwo – zaczęła. – Ale spróbuj mi uwierzyć. Pamiętaj, że przed chwilą widziałas, jak Trev przeszedł przez lustro.

– Już sama nie wiem, co widziałam.

– Owszem, wiesz. Jeśli nie potrafisz przyjąć tego faktu, nie przyjmiesz niczego, co mam ci do powiedzenia.

Australijka zagryzła wargę, odezwała się po długiej chwili milczenia.

– Dobrze. Tak. Widziałam.

Esther wróciła do szukania ubrań przyjaciółki. Szperając i rozglądając się, mówiła:

– Magia istnieje, a zaklęcia znajdują się w konkretnych książkach. W mojej rodzinie wszyscy oprócz mnie wyczuwają te książki, oni je słyszą. Ojciec poświęcił życie szukaniu i gromadzeniu tych ksiąg. Ma ich... miał, bo należą teraz do mojej siostry... setki. Są niewiarygodnie cenne. – Znalazła ubranie Pearl w metalowej szafce, wyjęła je z plastikowej torby, zdjęła swoje zakrwawione i podmieniła. – Jak miałam dwa lata – podjęła – jacyś ludzie włamali się do naszego mieszkania w Meksyku. Chcieli zabrać całą kolekcję, nie udało się, ale zabili moją matkę. Nie wiem dlaczego, tyle że potem ojciec zabrał mnie i zszedł do podziemia. Czyli przeniósł się do Vermont. –

Drżąc z zimna w samej bieliźnie, szorowała nad umywalką ręce i twarz. Bała się odwrócić i zobaczyć niedowierzanie na twarzy Pearl. – Jeśli chodzi o mnie, to nie tylko nie słyszę magii, ale jestem na nią odporna. Nikt nie wie dlaczego. Gdy skończyłam osiemnaście lat, ojciec się zorientował, że osłony, które chronią nasz dom tak, że nie można go znaleźć, nie chronią mnie. Żeby namierzyć moją rodzinę: ojca, macochę, siostrę, a także zbiory ksiązek, ludzie po prostu musieliby zlokalizować mnie. –

Zamilkła, zajęta wciąganiem czystych dżinsów Pearl.

Przyjaciółka była wyższa i szczuplejsza, ale dało się podwinąć nogawki, a oversize'owy sweter ukrywał fakt, że spodnie ledwo się zapinały. Lustro, znów zupełnie typowe, pokazywało całkiem zwyczajną dziewczynę, choć może trochę posiniaczoną na twarzy. – Tata dał mi wybór. – Odwróciła się do Pearl. – Mogłam zostać w domu i ściągnąć na nich śmiertelne zagrożenie albo szybko wyjechać i nie wrócić. Wybrałam to drugie.

Pearl patrzyła na nią ogromnymi oczami. Słuchając opowieści, trochę się uspokoiła, w każdym razie już nie dygotała, choć jej twarz miała kolor ściany.

– Wejdz pod kołdrę – poleciła Esther.

– Proszę, chodź tutaj.

– Nie ma czasu.

– Proszę.

Esther westchnęła ciężko, ale usiadła na łóżku, spięta i sztywna. Przyjaciółka objęła ją zdrową ręką i wtuliła twarz w jej szyję. Wtedy Esther zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła: usiadła głębiej, żeby mieć Pearl blisko siebie; bardzo uważała na jej złamaną rękę. Dotknęła ustami miękkich blond włosów i straciła nad sobą kontrolę. Usta zacisnęły się mocno, w oczach zabłyśły łzy.

– Uwierzę ci – powiedziała Pearl w szyję Esther – aż pojawi się inne wyjaśnienie.

– Nie ma żadnego innego wyjaśnienia. Poznałaś prawdę.

– Dlatego chciałaś wyjechać? – Przyjaciółka odsunęła się i spojrzała jej w oczy. – Bo polował na ciebie Trev?

– Tak.

– Czy to znaczy, że zostaniesz? – Nadzieja na twarzy Pearl sprawiała Esther ból.

Do tego się to wszystko sprowadzało. Z Joanną, z Reggiem, z Pearl. Esther stanowiła zagrożenie dla ludzi, których kochała. Nie musiała nic robić, wystarczyło, że była.

– Nie mogę – westchnęła. – Wiedzą już, gdzie jestem. Ty już masz złamaną rękę i prawie zginęłyśmy.

– Ale powiedziałaś, że Trev potrzebował cię, żeby dotrzeć do książek, do twojej rodziny. Czyli nie planował zabójstwa, prawda? Chciał cię tylko przesłuchać albo...

Esther pokręciła głową.

– Być może nie wiem wszystkiego. – Dotknęła obolałej szyi, już z siniakami po duszeniu. – Cz u ł a m , że chce mnie zabić.

– A jednak to ja zabiłam jego.

– Technicznie rzecz ujmując, wcale nie – sprostowała Esther.
– Jak go przepychałyśmy przez lustro, nadal żył.

– O Boże. – Pearl otarła mokry policzek zdrową dłonią.

Sprzątnięte ambulatorium wyglądało surrealistycznie normalnie. Wprawdzie Esther trzymała w ręku torbę z mokrymi od krwi ubraniami, ale gdyby ktoś wszedł, nie zobaczyłby nic niezwykłego. Aż nie do wiary. Australijką wstrząsnął dreszcz.

– Nie musisz tego pamiętać – powiedziała Esther.

Po białych policzkach przyjaciółki popłynęły łzy.

– Jak to?

Esther pokazała jej książkę. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że tomik jest nowy, oprawiony maszynowo jak nowoczesna powieść w twardej oprawie. Nigdy nie widziała równie współczesnej książki z zaklęciami.

– Czy to, co trzymasz... To zabrzmie śmiesznie... – zaczęła Pearl.

– Tak, to księga zaklęć. Wymazuje pamięć z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie przypomniabymy sobie, że miałyśmy w ręku pistolet i pociągnęłyśmy za spust, że zostałam na nartach zaatakowana. Wymazałaby wszystko.

Dziewczyna nie wyglądała na zadowoloną – wyglądała na przerażoną. Uwolniła się z objęć ukochanej i spytała wzburzona:

– I zapomnę to, co właśnie mi powiedziałaś?

– No, tak.

– A kiedy pomyślę o Trevie – ciągnęła – będę w nim widzieć nowego, wesołego kumpla i zastanawiać się, co się z nim stało? Będę się martwić, nie pamiętając, że to ja go zabiłam?

– Nie zabiłam – przypomniła Esther.

– Strzeliłam do niego i nie żyje. Cała reszta to semantyka.

– Lubię semantykę.

– Nie chcę zapomnieć tego, co mi powiedziałaś – upierała się blondynka. – Cały sezon byłyśmy razem, a po raz pierwszy jesteś ze mną naprawdę szczerą.

Łzy powoli płynęły po jej twarzy, jedna po drugiej. Esther dotknęła mokrego śladu na policzku z całą czułością, na jaką mogła sobie pozwolić bez rozklejania się.

– Czy to nie jest groźne zapomnieć o tym, co zrobiłam? – ciągnęła Pearl. – Przecież czuję to tutaj. – Przycisnęła dłoń do piersi. – Ciało będzie pamiętać, nawet jeśli mózg całkowicie to wyprze. Tak?

– Nie wiem.

Łzy popłynęły szybciej, usta Pearl zadrżały; wzięła głęboki oddech, uspokoiła się.

– Ale... Jeśli ludzie zauważą zniknięcie Treva i spytają mnie, co się stało, pewnie nie dam rady... Nie umiem kłamać, sama

wiesz. Jak powinnam postąpić? Co robić? – wyrzucała z siebie pytania. Esther nie odpowiedziała, nawet się nie poruszyła. Pearl musiała podjąć decyzję zupełnie sama. Nagle złapała ją bardzo mocno za rękę. – Obiecuj mi coś – poprosiła żarliwie.

– Obiecuję ci wszystko, co mogę, jeśli tylko nie będę musiała znowu kłamać.

Australijka skinęła głową.

– Jeśli magia rzeczywiście istnieje i naprawdę możesz wymazać moją pamięć, jeśli ja ci na to pozwolę... musisz przysiąc, że mnie znajdziesz, jak już będziesz bezpieczna. Musisz dać słowo, że opowiesz mi o wszystkim, co się dzisiaj zdarzyło, o swoich rodzicach i książkach. Wypełnisz luki. Nie chcę zapomnieć tego na zawsze. Chcę wiedzieć. – Wzięła kolejny drżący oddech. – Ale teraz, sama, tego nie udźwignę.

Esther pragnęła dotrzymać tej obietnicy.

– Dobrze. Obiecuję.

– Przysięgnij. – Pearl podsunęła jej mały palec, a Esther wzięła jej rękę i pocałowała wewnątrz dłoni.

– Przysięgam.

– W porządku. A teraz zrób to, zanim zmienię zdanie.

– Ja nie mogę czarować – wyznała Esther.

– To co teraz?

– Musisz zrobić to sama.

– Ale jak?

– Przeczytaj tę książkę na głos. Tam, gdzie jest napisane „ty”, powiedz „ja”, a tam, gdzie zobaczysz miejsce na imię, podaj swoje. Kiedy zaklęcie zacznie działać, doprowadzi cię do końca, nie pozwoli się przerwać, nie zniszczy własnych efektów. A przynajmniej zwykle tak to działa.

Pearl wpatrywała się w nią wielkimi oczami.

– To, jak o tym mówisz... To, jak poradziłaś sobie z Trevem... Jakbym zupełnie cię nie znała.

Uczucia napłynęły tak szybko, że Esther nie zdążyła podnieść gardy.

– Znałaś mnie – zapewniła. – I znów będziesz wszystko o mnie wiedziała, bo przecież przyjdę, pamiętasz? Dowiesz się. Jeśli nadal będziesz tym zainteresowana.

Pearl wyciągnęła rękę, Esther pomyślała, że dziewczyna chce wziąć książkę, ale wtedy poczuła dłoń przyjaciółki na swojej szyi. Poddała się instynktownie, jej usta spotkały się z ustami Pearl, czuła miękkość tych warg, kiedy się rozchyliły, czuła ostrość zębów. Zamknęła oczy i pozwoliła sobie na tę chwilę luksusu: gdy całuje cię ktoś, kto naprawdę cię zna. Potem odsunęła się i położyła książkę na kolanach blondynki.

Gdyby Esther była wrażliwa na magię, może zastosowałyby to zaklęcie na sobie, żeby wymazać z pamięci to, co się zdarzyło.

Przeczytanie książki zajęło dwadzieścia minut. Przez cały ten czas Esther panikowała, bała się, że ktoś spróbuje wejść do ambulatorium... Nikt się nie pojawił. Patrzyła, jak oczy Pearl matowieją, jak usta poruszają się nie z jej własnej woli, ale z woli czegoś innego, siły napędzającej głos. Magia sunęła naprzód, oczy Pearl skupiały się wyłącznie na stronie, ton stawał się bardziej monotony, aż w końcu wymówiła ostatnie słowo. Jej dłoń zsunęła się z książki. Dziewczyna pochyliła się jak lalka porzucona w trakcie zabawy.

– Pearl? – Esther się przeraziła, że coś poszło źle i przyjaciółka już zawsze będzie tak wyglądała, jak pusta skorupa magii. Ale na dźwięk swojego imienia Australijka podniosła głowę. Wydawała się czujna, choć zdezorientowana.

– Esther? – Usiadła prosto. – Auć, co mi się stało? Co tu się w ogóle...? Gdzie ja jestem? W ambulatorium?

Jej głos brzmiał tak naturalnie, uwolniony od niedawnego strachu, że Esther poczuła dreszcz na kręgosłupie. Wzięła książkę z kolan przyjaciółki, wsunęła ją sobie pod pachę.

– Miałaś wypadek – poinformowała. – Już wszystko w porządku... Co pamiętasz?

– Pamiętasz? – powtórzyła Pearl, jakby samo pojęcie brzmiało obco.

– Poszłaś rano na narty i się przewróciłaś – tłumaczyła Esther. – Złamałaś nadgarstek, uderzyłaś się w głowę, masz wstrząśnienie mózgu, ale to nic poważnego. Pielęgniarka twierdzi, że utrata pamięci jest w takich przypadkach typowa.

– Myślałam, że amnezja zdarza się tylko w filmach. – Pearl ostrożnie dotknęła skroni. Znowy wyglądała na przestraszoną, choć nie bardzo. – Gdzie pielęgniarka?

– Wyszła na chwilę. – Przez ściśnięte gardło Esther ledwie mogła mówić. – Poszukam jej, dobrze? – Podeszła do drzwi, ale jeszcze przystanęła. – Chcę, żebyś jednak o czymś pamiętała. Mimo amnezji. Pamiętaj, że naprawdę mi na tobie zależy. Tak jak na nikim innym od bardzo, bardzo dawna. I cokolwiek się stanie... to się nie zmieni.

– A co ma się stać? – wymamrotała zaniepokojona. – Ten mój uraz to coś poważnego?

– Z twoją głową wszystko będzie w porządku. – Esther posłała jej swój najbardziej uspokajający uśmiech. – Chcę tylko, żebyś pamiętała, co do ciebie czuję.

– Jasne. – Pearl uśmiechnęła się krzywo. – Już łąpię. Naprawdę – narysowała w powietrzu cudzysłów – tobie na mnie zależy.

Esther zdawała sobie sprawę, że Pearl chce czegoś więcej, czegoś innego, innych słów, ale to nie czas na taką prawdę. Może później, gdy już Esther spełni obietnicę.

– Tak – powiedziała. – A teraz się prześpij.

Jak się wyjaśniło, pielęgniarka spała w swoim pokoju. Esther nie mogła kobiety nigdzie znaleźć, bała się, że Trev coś jej wcześniej zrobił, więc zaalarmowała biuro. Wezwali ją przez interkom i zjawiła się dziesięć minut później, ze śladem odcisniętej poduszki na policzku. Wydawała się kompletnie zdezorientowana, myślała, że to rano, nie wieczór, nie pamiętała, jak opatrzyła rękę Pearl. I nie przejęła się lukami w pamięci.

– Tak to bywa, jak za długo pracujesz – zwierzyła się dziewczynie.

Nie, pomyślała Esther, tak to bywa, jak poddadzą cię magii. Ale tylko z uśmiechem skinęła głową.

Zaczynała się pierwsza tura kolacji, korytarze zapełniły się ludźmi wracającymi z pracy, jedni śmiali się i gadali, inni ziewali, szli w milczeniu. Esther wzdrygała się za każdym razem, gdy ktoś mówił jej „cześć”. Czekwała na dalsze słowa, na przykład: „Cześć, nie widziałaś Treva?”. Albo: „Cześć, czemu wyglądasz, jakbyś całe popołudnie pozbywała się zwłok?”. Chociaż dlaczego mieliby tak myśleć? To tylko jej świat był wypaczony.

Z najwyższą ostrożnością krążyła po stacji i wycierała każdą smugę krwi na każdym lustrze, w siłowni, we wszystkich wspólnych łazienkach, w kuchni. Za każdym razem, gdy podchodziła do lustra, serce przyspieszało – może ktoś albo coś z niego wyleci? Ale nic się nie przedostało, nikt stamtąd nie

wypadł. Gdy skończyła, dochodziła siódma. Samolot odlatywał za dwanaście godzin. Za pół doby miała stąd zniknąć.

W końcu poszła do pokoju Treva. Przez chwilę stała przed drzwiami, przygotowując się na... nie wiedziała na co. Powitała ją wysprzątana, prawie pusta przestrzeń, tylko bluza leżała obok łóżka. Esther starła krew również tutaj, z lustra nad umywalką.

Kręciła się po pokoju, szukając swojej powieści i odpowiedzi na pytania, które nie do końca umiała sformułować. Wysuwała szuflady, sprawdzała poskładane swetry, otworzyła nawet pudełko z soczewkami kontaktowymi, patrzyła na małe puste kałuże soli fizjologicznej.

Znalazła suszony krwawnik i trochę ziół, których nie poznała, a pod materacem leżała zawinięta w ręcznik książka, pewnie od magii luster. Tak samo jak tamta do kasacji pamięci, ta również była – jak to możliwe? – nowa i wyglądała na opracowaną fabrycznie. Gdzieś tam, w rękach ludzi, którzy chcieli ją zabić, znajdowała się druga księga od luster, pewnie identyczna.

I gdzieś tam chyba był ten ktoś, kto próbował ją uratować. Pomagał opuścić biegun.

Niestety, nigdzie nie znalazła powieści Alejandry Gil, a poza księgą i ziołami żadnych dowodów na to, że Trev parał się zupełnie czymś innym niż stolarka i że wcale nie pochodził z Kolorado. Zawinęła książkę od luster w ręcznik i zaniósła ją do swojego pokoju, gdzie strona po stronie zniszczyła zarówno te zapiski, jak i zaklęcia wymazywania pamięci, aż kosz na śmieci wypełnił się konfetti, a okładki zostały puste i bezużyteczne.

Potem wzięła się do pakowania.

Joanna prowadziła matkę po schodach na werandę i myślała, że w sumie nigdy nie widziała nikogo, kto próbowałby pokonać osłony czy dostać się do domu.

Cecily miała zawiązane oczy i trzymała się kurczowo ramienia córki. Nie potrafiła utrzymać równowagi; wyglądało to tak, jakby w jej świecie istniała tylko Joanna, która musiała się nachylać i dosłownie dotykać stóp matki, żeby ta przeniosła je na następny stopień. Oglądanie Cecily tak bezradnej i bezbronnej było przerażające, niczym retrospekcja i przeczucie przyszłości jednocześnie, niemowlęctwo i głęboka starość.

Wprowadziła matkę przez próg, a ta z westchnieniem pochyliła się, oparła ręce na kolanach. Joanna zdjęła buty i poszła do kuchni po szklankę wody. Gdy wróciła, Cecily zdjęła już szalik z oczu i patrzyła na starą brązową kurtkę Abego, która nadal wisiała w holu.

– Proszę. – Joanna podsunęła matce wodę.

Kobieta napiła się i oddała szklankę. Na brzegu został ślad czerwonej szminki.

– To było przerażające – powiedziała.

Dziewczyna miała chęć mruknąć „bardzo dobrze”. Nie zrobiła tego.

– Zdejmij buty.

Zdjęła. Dziwne uczucie mieć kogoś w swoim domu. Jeszcze dziwniej, że ten dom należał kiedyś do Cecily.

– Jak się czułaś, przechodząc przez osłony? – spytała zaciekawiona.

Cecily przeglądała się w lustrze i przeczesywała włosy dłońmi, jak robiła tysiące razy wcześniej. Nagle opuściła rękę, chyba zaskoczona swoim odruchem.

– Jak we śnie, w którym nic nie widzisz i nie słyszysz – wyjaśniła. – Wiesz tylko, że jesteś na łodzi i ta łódź tonie.

Joanna nie umiała sobie tego do końca wyobrazić, ale zaakceptowała opis. Powiesiła okrycia na starym wieszaku, obok kurtki Abego, i patrzyła, jak Cecily przesuwając palcem po drewnianym haczyku.

– Ten sam – mruknęła.

– Jak prawie wszystko w tym domu – zauważyła Joanna i zastanowiła się, czy to rzeczywiście prawda.

Cecily niewiele ze sobą zabrała, a Jo i ojciec niewiele rzeczy dodali, ale i tak dom wyglądał inaczej niż w czasach, gdy mieszkali tu razem. Wtedy wydawał się mniejszy, przytulniejszy.

Cecily ominęła córkę, weszła do kuchni, gdzie późne popołudniowe słońce świeciło w oknie nad zlewem, przeglądało się w miedzianym czajniku, kładło jasne smugi na żółtych ścianach. Joanna czuła wdzięczność za to ciepłe, pochlebne światło, że kuchnia prezentuje swoje najlepsze oblicze, a potem zezłościła się na tę wdzięczność. Nieważne, co myśli matka. Cecily oszukała ją przecież i zwabiła w pułapkę.

– W końcu nie wymienił podłogi. – Kobieta przesunęła stopą po wybrzuszonym linoleum. Jednak nie było w tym krytyki, nawet Joanna, która spodziewała się najgorszego, usłyszała w cichym głosie matki trudne emocje.

– Nie – odparła. – Za to kupiliśmy nowy toster.

Cecily się uśmiechnęła, a Joanna przypomniała sobie, że powinna być na nią zła.

- Masz trzydzieści minut – oznajmiła. – Rób, co masz robić.
- Potrzebuję igły albo noża.

Dziewczyna wzięła z ociekacza swój srebrny nożyk.

- Zaniosę go. Powiesz mi, co mam nim zrobić.

Kobietą wyraźnie wstrząsnęła ta sugestia, że córka widzi w niej zagrożenie.

- Chyba nie przypuszczasz...
- Mój dom. Moje zasady.

Matka chyba chciała się kłócić, ale zmieniła zdanie. Odwróciła się i przeszła z kuchni do jadalni. Joanna za późno przypomniała sobie, co zostawiła na stole: paski skóry, motki nici, słoiczki z klejem, kartki wykonane z przeróżnego papieru. Widziała, jak matka patrzy na ten bałagan, i miała nadzieję, że nie połączy kropek, a jednak Cecily wciągnęła gwałtownie powietrze i odwróciła się ze strachem, który wydawał się co najmniej przesadzony.

- Jo... Nie próbowałaś przecież... Nie możesz... Pisać książek?
- zaczęła od stwierdzenia, a zakończyła pytaniem.

– Eksperymentowałam – przyznała się Joanna i na wystraszonej twarzy matki pojawiła się ulga. Pewnie przypuszczała, że jeśli córka nauczy się tworzyć książki, zejdzie zbyt głęboko, żeby się wynurzyć, i już po niej. Może nawet miała rację? Joanna nigdy się tego nie dowie.

Cecily zatrzymała się w salonie. Przyglądała się kocom, poduszkom, stercie ubrań na stojącym w rogu fotelu.

- Śpisz tutaj?

Nie była winna matce żadnych wyjaśnień, a jednak poczuła, że chce się bronić.

- Jest cieplej. I oszczędzam na rachunkach za ogrzewanie.
- Chyba na zaklećciu do napełniania zbiornika z propanem.
- Na rachunkach – powtórzyła Joanna.

Cecily odsunęła koce oddzielające salon od schodów i zaczęła wchodzić na górę, Joanna za nią. Zrobiło się chłodniej, dziewczyna wzdrygnęła się, pożałowała, że zdjęła kurtkę. Sunęła palcami po drewnianej poręczy, wypolerowanej dłońmi całej rodziny.

Pomimo wściekłości, mimo bólu, mimo tego, co Cecily zrobiła, żeby doprowadzić do tej sytuacji, Joanna w głębi duszy czuła się dobrze, idąc za matką po schodach, po których od tak dawna chodziła wyłącznie sama. W tej samej głębi mieszkała dziecięca radość z dotyku miękkiej kociej głowy pod dłonią.

Cecily stanęła na piętrze i się rozejrzała. Zrobiła krok w stronę największej sypialni, którą zajmowała kiedyś z Abem... i odwróciła się do niej plecami, spojrzała na pozostałe drzwi. Jej serce waliło w gardle, gdy czekała na to, co zrobi matka. Nie miała bladego pojęcia, co by to mogło być.

Cecily ruszyła w stronę dawnego pokoju Esther. Nieśmiało uchyliła drzwi, jakby ktoś mógł w nim spać, pchnęła je szerzej i weszła do środka, a Joanna deptała jej po piętach. Było tu zimniej niż na podeście i wszystko, co w cieplej sypialni mogłoby uchodzić za przytulne, wydawało się jeszcze bardziej ponure. Kurt Cobain spoglądał na nich znad pudeł z powieściami, starych ubrań Abego i połamanych krzeseł, które Joanna zamierzała kiedyś naprawić.

Cecily omiotła pomieszczenie spojrzeniem i położyła rękę na obojczyku. Tak jakby chciała przycisnąć dłoń do serca, lecz się

powstrzymywała.

– W tamtym rogu było kiedyś coś innego – zauważyła.

Joanna spojrzała na kąt przy szafie, gdzie stała komódka z przyborami do szycia.

– Dasz mi jakąś podpowiedź?

– Nie.

Dziewczyna wyteżala pamięć, przywołując obraz wnętrza z czasów Esther.

– Lustro? – zapytała.

– Gdzie ono jest?

Joanna otworzyła drzwi szafy.

Ogromne lustro odbiło zimowe światło, a Cecily niemal jęknęła z ulgą. Spojrzała na córkę rozemocjonowana, jakby ten widok pobudził ją do działania.

– Potrzebuję kartki i długopisu – rzuciła.

W komódce leżały wkłady kartek do segregatorów, Joanna znalazła też stary niebieski długopis żelowy, który jakimś cudem wciąż pisał. Podała wszystko matce sztywnym ruchem, Cecily również wydawała się spięta.

Położyła kartkę na blacie wyższej komody. Zmrużyła oczy w skupieniu, coś zaczęła pisać, raz czy dwa przerwała, żeby przeczytać. Joanna nie wisiła nad matką, nie zaglądała jej przez ramię. Kiedy jednak Cecily skończyła, Jo wyciągnęła rękę.

Z wahaniem i niechęcią kobieta podała jej kartkę.

Dwa punkty, dwa akapity, które Joanna przeczytała dwa razy... nic z tego nie rozumiejąc.

• Wciąż tam jesteś? Czy już za późno? Wiesz, czemu się odzywam. Proszę, znajdź sposób i daj mi znać, że masz to pod

kontrolą, albo powiedz mi, co powinnam zrobić.

• Nadszedł czas, żebym zerwała swoją część naszej umowy. Kiedy tylko otrzymasz tę wiadomość – jeśli ją otrzymasz – proszę, zakończ to.

C.

– Co to jest? – zapytała Joanna.

Zgodnie z przewidywaniami Cecily to zignorowała. Sięgnęła do kieszeni kardiganu i wyjęła sztywny kartonik. Różowe niebo i kwadratowa czcionka. Antarktyczna pocztówka Esther.

– Potrzebuję twojego noża – powiedziała Cecily.

Dziewczyna mogła oznajmić, że nie, nie da, dopóki nie otrzyma jasnej odpowiedzi, ale czuła, że wtedy dowie się jeszcze mniej. Czas uciekał, a ona chciała zobaczyć, co matka robi dalej. Podała nóż, trzymając za ostrze, a Cecily szybkim ruchem otworzyła nacięcie, którego wcześniej użyła do zatrzymania córki w salonie. Rozsmarowała jaskrawą czerwień w rogu pocztówki i tego, co napisała, po czym włożyła kolorowy kartonik w list tak, jak w luźną kopertę.

Zamknęła oczy i wzięła długi, powolny wdech.

– Nawet nie wiem, czy to zadziała – odezwała się. – Ostatni raz używałam tej drogi dziesięć lat temu.

Joanna milczała, Cecily i tak mówiła do siebie, patrząc gdzieś w dal nieobecny wzrokiem. Matka pochyliła się i przycisnęła skrwawiony kciuk do lustra: na górze, po obu stronach, później na dole. Joanna przyglądała się uważnie, ale to słuch wyłapał zmianę. Panowała cisza, potem coś delikatnie się zmieniło i w głowie Joanny zaczęło powoli narastać niskie brzęczenie. Dźwięk działającego zaklęcia – ale bez żadnej książki w zasięgu wzroku. To zaklęcie już było w toku, nie potrzebowało krwi do aktywacji, lecz do reaktywacji.

Cecily szybko wyciągnęła rękę i przyłożyła pocztówkę z listem do lustra – szkło nie stawiało oporu. Tafla zafalowała i przyjęła przesyłkę tak, jak jezioro przyjmuje kamień, i tak samo jak kamień przesyłka została pochłonięta.

Joanna chwyciła matkę za nadgarstek, gdy tylko się domyśliła, co się dzieje, ale spóźniła się, dłoń matki była już pusta. W rozpaczy rzuciła się zetrzeć krew z lustra – chociaż dobrze wiedziała, że plamy, choć wciąż niezaschnięte, może usunąć tylko Cecily.

– Przestań, skarbie. – Matka wyglądała teraz spokojnie, z ruchów zniknęło całe napięcie. Swoje już zrobiła.

– Co to było? – zapytała Joanna drżącym głosem. – Kto jest po drugiej stronie?

Ktoś musiał tam być, bezimienna postać kryła się za taflą lustra w tej szafie od nie wiadomo jak dawna, czekała na aktywację. Na samą myśl Jo dostała gęsiej skórki.

Cecily ujęła twarz córki w dłonie, dziewczyna wzdrygnęła się odruchowo, ale spojrzała matce w oczy. Dotyk chłodnych palców na rozgrzanych policzkach niósł ukojenie.

– Nic nie może wrócić przez lustro – poinformowała Cecily.
– Osłony na to nie pozwolą. Tafla może jedynie przepuszczać rzeczy.

– Dokąd? Do kogo?

– Wiem, że to będzie trudne, ale proszę, żebyś mi zaufała i nie domagała się wyjaśnień. Mam nadzieję, że pewnego dnia wszystko ci opowiem i zrozumiesz, na razie jednak musisz uwierzyć, że tak naprawdę obie chcemy bardzo podobnych rzeczy. Nie działałam przeciwko tobie i nigdy nie zrobiłabym nic, co mogłoby cię skrzywdzić. Powiedz, że to wiesz.

Wiedziała, a przynajmniej tak mówiła jej intuicja, podszeptywało serce. Umysł trwał przy swoim: ta wiedza stała w sprzeczności z tym, czego Joanna doświadczyła przez lata. Była świadkiem tego, jak Cecily próbowała spalić osłony i jak odeszła, gdy jej plan się nie powiódł. Słyszała, jak rodzice kłócili się długo potem, przyjęła polecenie Abego, żeby nie wpuszczać matki. Odmówiła setce jawnych próśb o wpuszczenie do domu, broniła się przed zawołaną krytyką, mającą sprawić, aby z własnej woli nie stawiała osłon. Cecily nie kryła, czego chce. Pragnęła, żeby córka zostawiła ten dom, zostawiła książki, zostawiła jedyną ochronę, jaką miała. Czy życzenie komuś braku ochrony nie równało się z życzeniem mu krzywdy?

Jedyny kontrargument: wiedziała, że Cecily ją kocha.

– Zaufaj mi – powtórzyła matka. – Na trzy dni. Potem wrócę i dezaktywuję zaklęcie.

– Zakończysz je.

– Nie mogę tego zrobić. – Puściła twarz Joanny. – Księga jest po drugiej stronie, przesłałam ją zaraz po tym, jak rzuciłam zaklęcie, wiele lat temu.

Joanna spojrzała w lustro, ale zobaczyła tam siebie, swoje duże orzechowe oczy z delikatnymi rzęsami. Widziała Cecily stojącą obok, widziała pokój z tyłu, stosy rupieci, fioletowy brzeg starej narzuty Esther. Dotknęła szkła, było takie samo jak każde inne, zimne i twarde, gotowe rozbić się w każdej chwili. Gdzie znajdował się ten drugi pokój, gdzie było drugie lustro? Kto za nim stał?

Podjęła decyzję, ale nie dlatego, że zaufała matce. Przez ciekawość.

– Trzy dni – powiedziała. – Potem dezaktywujesz zaklęcie, zetrzesz swoją krew.

– Dobrze – zgodziła się od razu Cecily.

Na jej twarzy malowała się ulga i Jo rozpaczliwie chciała wiedzieć dlaczego. Tylko że Cecily nic jej nie powie. Już prędzej zrobiłoby to lustro.

Od samego początku, kiedy tylko Nicholas zaczął pisać książki, cały atrament przygotowywał w piwnicznej kuchni. Tam też jako dziecko miał zajęcia praktyczne. W przeciwieństwie do tej nowszej kuchni – królestwa personelu – jego pomieszczenia nie modernizowano od końca XIX wieku, a warstwy tłustego dymu, dymu i krwi, od dziesięcioleci pokrywały drewniane ściany, kamienne podłogi i żelazny piec. Nicholas nie wątpił, że eksperci od kryminalistyki mieliby tu nie lada używanie.

Gdy wszedł, wewnątrz oświetlały tylko promienie porannego słońca, obramowując sylwetkę Richarda, który stał tyłem do drzwi.

Nicholas mógł wytwarzać atrament sam, jednak z czyjąś pomocą było to łatwiejsze, szybsze i mniej bolesne. Dlatego zwykle cieszył się nie tylko z towarzystwa stryja, ale także z rzadkiego ciepła jego absolutnej uwagi. Tego ranka jednak widok seniora wywołał przyływ strachu i mdłości.

Młodzieniec prawie nie spał tej nocy; obracał się z boku na bok, aż pościągał wszystkie prześcieradła, a pies przeniósł się w końcu na podłogę. Cały czas widział słój, własne oko, skrupulatnie przecięte żyły – i tamto zdecydowanie, tamtą opiekuńczość Richarda, gdy obiecywał zapewnić bratankowi bezpieczeństwo. A potem – zmasakrowane ciało Trethewaya na podłodze pokoju pełnego luster.

On i Collins bardzo szybko opuścili gabinet. Wrócili tą samą drogą, a gdy Collins znów odczytał zaklęcie, przeszli przez regał. Nicholas spodziewał się po drugiej stronie Richarda albo

Maram, rzucających oskarżenia i rozzłoszczonych, ale nikt na nich nie czekał. Po drodze do apartamentu Nicholasa nie napotkali ani jednej duszy i choć przy gabinecie Richarda leżał trup, nikt nie przyszedł z nimi porozmawiać.

– Nie mieliśmy z tym nic wspólnego – powtarzał Collins. – Po prostu byliśmy tam, kiedy to się stało. Wyzionąłby ducha tak czy inaczej, nawet gdybyśmy nie znaleźli tego przejścia.

To wszystko prawda, a jednak przez całą noc chłopak czekał, aż stryj wpadnie do pokoju i oskarży go o morderstwo. A o co Nicholas mógł oskarżyć Richarda? Zarzuty były zbyt straszliwe, żeby zdołał je wyartykułować.

Spiął się teraz, gdy senior odwrócił się w jego stronę. Światło padało z tyłu, więc Nick nie widział twarzy.

– Dzień dobry – odezwał się Richard.

– Dobry. – Młodzieniec silił się na spokój. Stryj na pewno już znalazł ciało, na pewno poznał okrutną prawdę, że Tretheway nie żyje. Czy wiedział też, że bratanek stał przed lustrem, kiedy to się wydarzyło?

Richard wyszedł z blasku słońca, wtedy chłopak zobaczył, że stryj się uśmiecha – zupełnie naturalnie, tak na powitanie, spontanicznie, absolutnie zwyczajnie.

– Jak tam? – zapytał również stonowanym, łagodnym głosem. – Dla ciebie to bardzo wczesna pora.

Nicholas zmusił się do uśmiechu.

– Daję radę. Dzięki, że już wszystko przygotowałeś.

Wśród przyrządów – igieł, miski, rurek, świec, gumy arabskiej – stała duża szklanka soku pomarańczowego. Richard wskazał ją i polecił:

– Wypij.

Młody Skryba upił łyk, napój miał smak kwasu akumulatorowego. Richard marszczył brwi nad pudełkiem z igłami motylkowymi w rozmiarze dwadzieścia jeden.

– To potrwa wieczność – stwierdził Nicholas lekko, swobodnie, bez śladu zdenerwowania. – Skończyły nam się normalne?

– Nie, ale skończyły ci się dobre żyły.

– Nie udało się tylko raz, ostatnio. Prawie dwa miesiące temu.

– Te żyły są drogocenne – zauważył mężczyzna. – I musimy traktować je z dużą ostrożnością.

Nicholas wziął długi łyk soku i czekał. Richard jednak nie powiedział nic więcej; tak jak zawsze robił krąg na podłodze. Chłopak uspokajał się powoli. Jeśli nawet stryj odkrył już zwłoki, nie powiązał ich ze swoim bratankiem. Collins miał rację, Nicholas musiał po prostu zachowywać się jak zwykle, z niczym się nie zdradzić.

Odstawił szklankę i podwijał rękawy, badając pokryte bliznami przedramiona w poszukiwaniu nowego miejsca, chociaż niełatwo mu było się skoncentrować. Chwilowy spokój zniknął, tętno znów przyspieszyło. Niezależnie od Trethewaya, niezależnie od tego, co stryj wiedział lub czego nie wiedział, Nicholas pamiętał oko zawieszone w mazi.

Ile razy Richard pomagał mu w upuszczaniu krwi? Ile razy troskliwe, sprawne palce zakładały opaskę uciskową na rękę bratanka, zdejmowały plastikową osłonkę z nowej igły? Ile razy Nicholas siedział i pozwalał, żeby Richard stukał w jego żyły jak górnik szukający rudy? Tymi samymi rękami wyjął mu oko z głowy, zrzucił winę na nie wiadomo kogo.

Dłonie Nicholasa zadrżały.

Zachowuj się normalnie, powtarzał sobie rozpaczliwie, zachowuj się normalnie.

Ale jak mógłby? Jak mógł pozwolić, żeby Richard wbił mu igłę w skórę teraz, po odkryciu słoja?

– Wiesz co? – odezwał się i opuścił mankiet koszuli. – Właściwie nie czuję się dobrze.

– Coś się stało? – Richard przysunął rękę do jego twarzy, Nick próbował się nie wzdrygnąć, gdy stryj dotknął czoła. – Temperatury nie masz.

– Po prostu nie jestem w formie.

– To naturalne po tym, co zdarzyło się tamtej nocy. Ale sprawą zajmują się nasi najlepsi ludzie i wiesz, że tutaj nikt cię nie skrzywdzi.

Duży tupet jak na kogoś, kto – do tej pory – skrzywdził go najbardziej.

– Nie możemy zaczekać z atramentem?

– Nie, jeśli chcemy szybko dotrzeć do sedna – odparł senior.

– Ktoś powiedział tamtemu napastnikowi o twoich umiejętnościach, czyli ktoś z naszych ludzi, z Biblioteki, zdradził. Potrzebujemy zakłść prawdy, żeby uzyskać odpowiedzi, a im dłużej zwlekamy, tym mniej szans, że w ogóle zrozumiemy, co się stało.

– Może mam gdzieś to, co się stało – mruknął Nicholas.

– Ach tak – rzekł Richard powoli, odłożył igły. – Otarcie się o śmierć sprawiło, że poczułeś się bezsilny, więc próbujesz przejąć władzę tam, gdzie możesz... bardzo logiczne. – Rozłożył ręce z rezygnacją. – To naturalny odruch, nie będę się przecież kłócił z reakcją na traumę, prawda?

Stryj jawnie go podpuszczał, Nicholas o tym wiedział, co wcale nie pomagało. Zagrywki Richarda, widoczne jak na dłoni,

i tak działały. I chociaż nakazywał sobie, żeby dać spokój, odwrócić się, po prostu odejść, to jednak powiedział:

– Nie czuję się bezsilny, czuję się chory.

– Chyba pod wpływem Maram – stwierdził mężczyzna. – Nie daj się niańczyć, znasz swoje granice lepiej niż ktokolwiek.

– Jasne. To właśnie one!

Dobry humor zniknął, Richard przyjrzał się Nicholasowi uważniej.

– O co chodzi? – spytał ze szczerym zmartwieniem. – Jeśli jesteś chory, to nie ma na ten temat dyskusji, ale odnoszę wrażenie, że nie w tym rzecz. Usiądź i porozmawiaj ze mną.

Senior zajął miejsce przy stole i gestem wskazał krzesło naprzeciwko siebie. Chłopak, absolutnie wbrew sobie, usiadł.

– Dobrze – odezwał się stryj. – Teraz mów, co się dzieje.

Młodzieniec zacisnął drżące dłonie, położył pięści na kolanach. Twarz stryja nie zmieniła się zbyt wiele od czasu dzieciństwa Nicka. Znał każdą zmarszczkę każdego nastroju tego człowieka, niektóre z nich widział czasem w odbiciu własnej twarzy; rodzinne podobieństwo pojawiało się w zaskakujących momentach. Tysiące razy wściekał się na brata swojego ojca, setki tysięcy razy doznawał pocieszenia. Całe życie ufał Richardowi – czy takie zaufanie można łatwo złamać?

– Przepraszam – odezwał się Collins od drzwi. Obaj drgnęli gwałtownie, zaskoczeni niespodziewanym dźwiękiem czyjegoś głosu.

– Dobry Boże, Collins – sapnął Richard. – Długo się tu czaisz?

– Przepraszam – powtórzył ochroniarz. – Chciałem tylko zapytać Nicholasa: widziałeś piszczącą świnkę Sir Kiwi? Tę w smokingu. Bo jej szuka i dostaje szału.

Richard i Collins patrzyli na Nicholasa wyczekująco, ten próbował zebrać myśli.

– Piszczątka... Powinna leżeć w moim pokoju... Sprawdź pod łóżkiem.

– Dzięki – rzucił bodyguard. – Przepraszam, że przeszkodziłem.

Richard już się od niego odwrócił, lecz Nicholas spojrzął raz jeszcze na otwarte drzwi. Collins nie odszedł i ponad ramieniem gospodarza dwa razy pokręcił głową, wpatrując się w swojego podopiecznego. A potem powiedział bardzo wyraźnie, samymi ustami: „Nic mu nie mów”.

Sekundę później zamknął za sobą drzwi.

– No więc? O co chodzi? – podjął stryj.

Nickowi huczało w głowie. Przygarbił się, schował twarz w dłoniach, a gdy znów usiadł prosto, już się uśmiechał spolegliwie.

– Właściwie masz rację – powiedział. – Wybacz. Upieram się dla zasady. Rany, aż tak to po mnie widać?

Richard zawahał się, ale zaraz z uśmiechem klepnął bratanka w ramię.

– Pod warunkiem, że ktoś zna cię tak dobrze jak ja. Czyli co, to jednak nie złe samopoczucie?

– Tylko zły humor. Wiesz, że o tej porze marnie funkcjonuję. Dobra, róbmy, co trzeba, żebym jak najszybciej wrócił do łóżka.

Richard uwierzył mu na słowo, zadowolony, że mogą działać dalej, przejść do rytuału, który często razem przeprowadzali. Nicholas tłumaczył sobie, że nie będzie tak źle, zakłęcie prawdy wymagało jakichś dwudziestu tysięcy słów, wystarczyłoby mniej niż pół litra krwi. Pewnie nawet tego nie poczuje, jeśli wszystko odbędzie się powoli, jeśli potem nie zerwie się

z krzesła. Richard pobierał mu krew setki razy i zawsze było bezpiecznie, dziś wszystko wyglądało tak samo.

Z tą jedyną różnicą, że od dziś Nicholas już mu nie ufał.

Znów napił się soku, zaczął się szykować. Najbardziej obawiał się efektów psychicznych. Spora utrata krwi stępiała mu umysł, spowolniała go, sprawiała, że chciałby tylko spać i nic więcej. A przecież samo tworzenie atramentu było najmniej czasochłonne, potem przychodziły długie godziny pracy, skrupulatnego pisania, wymagającego wielkiej uwagi. Jak mógł zebrać myśli, skoro ledwo miał czas na myślenie?

Zastanawiał się, czy niechęć do pisania zaklęcia wpłynie na samą jego jakość.

Richard układał worek na krew, Nicholas dokończył sok i zmusił się, żeby spojrzeć na to, co leżało na stole. Miska wciąż wilgotnej ziemi, kamyki, woda i pióra.

– Widzę, że idziemy dzisiaj w żywioły? – Podniósł czerwoną świecę.

– Jeśli nie masz żadnych zastrzeżeń.

– Absolutnie.

Tworzenie atramentu wymagało ceremonii, ale podobnie jak w przypadku dodawania ziół nie istniały ścisłe zasady regulujące przebieg całego procesu. Wiadomo było jednak, że atrament stawał się zauważalnie ciemniejszy, jeśli Skryba miał jakąś więź z rytuałem – emocjonalną, geograficzną, rodzinną lub wszystkie wymienione. Magiczną wyobraźnię Nicholasa ukształtowały książki fantasy, uwielbiane w dzieciństwie, a ponieważ wiele z tych powieści czerpało z duchowych tradycji Wysp Brytyjskich, najlepszy atrament powstawał w ramach naturalnej symboliki. Wytwarzany w ceremonialnych warunkach, zyskiwał głęboki kolor, dzięki czemu z jednej księgi

dało się korzystać częściej, zaklęcia trwały dłużej, a efekty były silniejsze.

Ustawiał krąg tak wiele razy, że robił to niemal odruchowo: na północy miska ziemi ze stosem kamyków i małą czaszką baranka, świeże kwiaty i kadzidło na wschodzie, na południu naczynie z piaskiem pustyni i płonąca świeca, na zachodzie woda i niebieski jedwab. Pośrodku leżała ametystowa geoda, którą we wczesnym dzieciństwie dostał od stryja.

– Gotowy? – spytał Richard z opaską uciskową w rękę.

Nicholas usiadł, a mężczyzna założył mu opaskę; znajomy ucisk niemal uspokoił rozszalały puls. Richard zapiął rzep i zatrzymał się z dłonią na ramieniu bratanka, z nieobecny spojrzeniem.

– Co? – spytał Nicholas.

Senior zamrugnął, jakby ocknął się ze snu, wzrok nadal miał zamglony.

– Och. Nic. Tylko... Pamiętam, jak kiedyś, w młodości, zakładałem opaskę twojemu ojcu. – Uśmiechnął się do siebie melancholijnie, spojrzał na syna swojego brata. – Był tak samo uparty jak ty. I tak samo jak ty potrafił się do tego przyznać. Czasem, Nicholasie, tak bardzo mi go przypominasz, że... – Urwał, odchrząknął, zajął się instrumentami. – Jestem bardzo szczęśliwy, że cię mam, to wszystko.

Młodzieniec przełknął ślinę. Z wielkim trudem odepchnął falę skomplikowanych uczuć wywołanych tymi słowami.

Stryj wstał, żeby zapalić białe świece zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a gdy już wszystkie płonęły, Nicholas zaczął niechętnie mamrotać inwokacje dla każdego kierunku kardynalnego. Nawet jemu własny głos wydawał się ochryply.

– Dziś nie śpiewasz? – Richard wrócił, wklął się w szczupłe ramię.

Magia zawsze była potężniejsza, jeśli Skryba śpiewał, miało to duże znaczenie zwłaszcza dla zaklęcia prawdy. Zwykle przy pisaniu czarów nucił *The Bonnie Banks o' Loch Lomond*, szkocką pieśń ludową – zdawało mu się, że pamiętał głos matki, kiedy mu to śpiewała. I chociaż wspomnienie musiało być czystym kłamstwem – zginęła, kiedy miał ledwie dwa miesiące – to na poziomie emocji odbierał je jako prawdziwe. Napięcie między iluzją a prawdą dawało fantastycznie mocny atrament.

Dziś jednak myśl o wysokich tonach wyciąganych w jakiejś głupiej melodii, i to na oczach stryja, była nie do zniesienia. Pokręcił głową. Richard nie nalegał, usiadł na krześle naprzeciwko niego i czekał. Znajoma miodowa mgiełka magii zaszumiała w uszach chłopaka, wibrowała w kościach i nawet w obliczu ogromnej niepewności poddał się temu przekonaniu, że cel jest słuszny. I wbrew wszystkiemu poczuł, jak wdzięczność rośnie w nim wraz z łopotem skrzydeł. Ilu ludzi na świecie może powiedzieć, że dokładnie wiedzą, do czego zostali przeznaczeni?

Westchnął. Krew o barwie rubinów spływała przezroczystą rurką do plastikowego szpitalnego worka, który Richard hołubił w eleganckich dłoniach. Zbierała się na dnie, tworząc ciemne lustro. Nicholas odchylił głowę i zamknął oczy.

Spodziewał się najgorszych horrorów, a jednak nic się nie stało. Tworzenie atramentu przebiegało równie bezproblemowo jak zawsze, choć czuł lekkie zawroty głowy, gdy stanął nad kociołkiem i patrzył, jak sproszkowane zioła rozpuszczają się w gęstej, ciemnej krwi. Kłamał wcześniej, że ma mdłości, i teraz, jakby sam na siebie rzucił zaklęcie, nadeszły, zaś otepienie, którego się obawiał, właściwie przyniosło ulgę. Myśli

płynęły wolniej, nie były już tak nagłące, co dawało niejakię odprężenie, nawet jeśli nie zmniejszało niepokoju.

– Jestem dziś umówiony w Londynie – odezwał się Richard – lecz wrócę przed kolacją. Maram i ja zużyliśmy wczoraj ostatnie zakłęcia prawdy i z przyjemnością mogę powiedzieć, że między innymi kucharz jest absolutnie lojalny. Wrócił już do pracy. Daj mu znać, gdybyś miał na coś ochotę – zachęcił. Choć na myśl o jedzeniu skręcał mu się żołądek, Nicholas skinął głową. Richard przyjrzał mu się i dodał: – Wracaj teraz do łóżka. Gdyby jednak udało ci się dzisiaj skończyć pisanie, byłbym bardzo wdzięczny. Im szybciej wrócimy do pełnej obsady, tym lepiej. Nie sądzę, żeby rola ochroniarza, kamerdynera i pokojówki w jednym cieszyła Collinsa.

– Ja też mam trochę dosyć – mruknął chłopak. – Słaba z niego pokojówka.

– No cóż, będzie musiał jeszcze pocierpieć. Trzeba tutaj posprzątać, a ja nie zdążę już tego zrobić. – Richard spojrzął na zegarek i klepnął bratanka w ramię.

Nicholas mógł odejść. Co za ulga.

Słoik z atramentem był taki ciepły w jego zimnych dłoniach. Młody Skryba przyciskał go do piersi, gdy szedł po schodach, przeciął galerię portretów i dotarł do swojego apartamentu. Collins siedział w przedpokoju i rzucał psu miniaturową piłeczkę tenisową. Na widok swojego pana Sir Kiwi dała spokój zabawie i przybiegła się przywitać. Chłopakowi zawsze robiło się miło, gdy widział ten entuzjazm. Nachylił się do niej, a kiedy stanął prosto, zadudniło mu w uszach i lekko się zachwiało. Ochroniarz odwrócił wzrok.

– Pamiętam, co ci obiecałem – zaznaczył Nicholas. – Muszę odpocząć kilka dni, ale potem napiszę zakłęcie zdejmujące UZP.

– I mnie przesłuchasz.

– Tak jest – potwierdził Nick, po czym ku jego zaskoczeniu obaj się roześmiali. I nie w tym rzecz, że to było jakoś szczególnie śmieszne, tylko... wręcz przeciwnie. Nicholas zamrugał i potarł swoje zdrowe oko, czuł, jak ogarnia go zmęczenie. – Pójdę się trochę przespać. Wezmę Sir Kiwi. Jakbym po godzinie nie wyszedł, wal w drzwi, dobrze?

Collins już chciał odpowiedzieć, ale wyciągnął się mocno, widząc coś za Nicholasem.

Chłopak spojrzał przez ramię – przy wejściu do przedpokoju stała Maram. Miała na sobie jedną ze swoich płowych jedwabnych bluzek z dekadenczką kokardą przy szyi, torbę na ramieniu, wielbłądzi płaszcz przewieszony przez rękę. I czarne kozaki na wysokim obcasie, czyli wychodziła z domu.

– O, jesteście tu obaj – rzuciła bez wstępów. – Dobrze. Nicholasie, możemy wejść do twojego gabinetu? Collins, ciebie również zapraszam. Chciałam wam coś powiedzieć.

– No, nie wątpię. – Nicholas zmrużył oczy. – Poszedłem za sygnaturą, którą mi zostawiłaś.

– Do gabinetu – poleciła. – Szybko. Za parę minut Richard przyjdzie sprawdzić, jak się czujesz.

Zgarnęła ich z przedpokoju; Nicholas jedną ręką szukał klucza, w drugiej dzierżył słoik. Maram przepchnęła się obok niego, nietypowo zniecierpliwiona, już wkładała własny klucz do zamka. Gdy znaleźli się w gabinecie, zamknęła drzwi.

Zaciągnięte kotary nie przepuszczały światła, więc kobieta szarpnęła za mosiężny uchwyt i włączyła lampę stojącą. Nicholas odstawił atrament na biurko i usiadł na krześle, miał przemożną chęć nisko zwiesić głowę. Sir Kiwi wskoczyła mu na kolana; przytulił się do jej miękkiego futra.

– Byliście tam zeszłej nocy, kiedy to się stało? – Doktor Ebla mówiła cicho, ponaglająco. – Tretheway. Widzieliście wszystko?

Nicholasa zatkało, odpowiedział Collins:

– Tak, byliśmy tam. Widzieliśmy od początku do końca.

– Kto to był? Kto go przepchnął?

– Dwie dziewczyny, młode kobiety. Blondynka i brunetka.

Nicholas patrzył na ochroniarza, który odpowiadał bez zawahania. Maram odetchnęła, lecz Nicholas nie wiedział, z ulgi czy wzburzenia.

– Dobrze – sapnęła. – Dobrze. – Odwróciła się nagle do Nicholasa. – A ty? Widziałeś? Tam, w gabinecie Richarda? To, co chciałam, żebyś zobaczył?

– Wi... widziałem, ale nie wiem co. Wyglądało, jakby tym było, ale przecież nie mogło tym być, prawda?

– Czym nie było? Powiedzże wreszcie.

– Moje oko – wydukał potomek rodu. – Wyglądało jak moje oko.

– Tak. – Maram chciała mówić dalej, lecz się zakrztusiła, wypielegnowaną dłonią sięgnęła do szyi, dostała nagłego ataku kaszlu.

Kasłała i kasłała, a Nicholas czuł, jakby zanurzano go w lodowatej wodzie. Wiedział, że każdy pracownik Biblioteki jest pod zaklęciem uciszającym, ale nigdy, ani razu w ciągu ostatnich dwudziestu paru lat nie przyszło mu do głowy, że może dotyczyć to również Maram. Tak, była pracownikiem, ale też partnerką Richarda i bardziej Biblioteką niż sam Nicholas. A jednak stryj przeczytał jej UZP i zobowiązała się do milczenia jak każdy członek personelu albo ochroniarz.

Nic dziwnego, że nie wspomniała o jego oku. Czego jeszcze nie mogła mu wyjawić?

Maram ochłonęła pierwsza, już grzebała w torebce. Wyciągnęła grubą kopertę i wcisnęła ją Collinsowi w rękę. Szybko zajrzał do środka.

– Co, teraz? – zdumiał się. – Dzisiaj?

– Jak tylko Richard i ja wyjedziemy – przytaknęła. – Pamiętaj, co zrobić, jak dotrzecie na miejsce? Załatwisz je. Jak najszybciej.

Nicholas nie powinien być zaskoczony, że Maram i jego ochroniarz utrzymywali przed nim tajemnice i najwyraźniej skrywali też całą wcześniejszą relację, pozwalającą im posługiwać się skrótami. Nie powinien. Przecież każdy coś przed nim ukrywał, jeden sekret więcej, jeden mniej, co za różnica. A jednak gapił się na nich z otwartymi ustami.

– Co się dzieje? – zapytał. – Maram?

– Musisz mi zaufać – poprosiła. – Wiem, że to trudne, i przepraszam, że nie mogę ci nic wyjaśnić. Byłoby znacznie łatwiej, gdybym mogła.

Sir Kiwi nagle wyrwała się z jego objęć, pobiegła do drzwi gabinetu, zaszczekała wysoko i radośnie.

– Idzie Richard. – Kobieta szybko przeszła przez pomieszczenie, otworzyła drzwi i usiadła w fotelu przy kominku w swobodnej pozie. – Collins, schowaj to!

Ochroniarz pochylił się nad Nicholasem, wysunął szufladę biurka, wcisnął w nią kopertę i właśnie zdążył stanąć tam gdzie zawsze, przy drzwiach, gdy do pokoju zajrzał jego pracodawca. Richard również był ubrany do wyjścia, w czarnym wełnianym płaszczu i rękawiczkach.

– Gotowa? – zwrócił się do swojej asystentki i partnerki zarazem, a potem zapytał Nicholasa: – Zabieram ją na cały dzień. Poradzisz sobie tutaj? Niczego nie potrzebujesz?

Pamiętając, że jego matka była aktorką, chłopak odpowiedział bardzo spokojnie:

– Właściwie chciałem o coś prosić. Mógłbyś sprawdzić, czy moje zamówienie jest już w księgarni?

– Zadzwoń, gdy tylko wyjedziemy poza osłony – obiecał stryj. – Jak się miewasz? – Zamrugął. – Nie czujesz się czasem źle?

Nicholas bardzo przekonująco przewrócił oczami.

– Wszystko dobrze.

– Znakomicie! – Senior klasnął w dłonie. – To może do wieczora napiszesz jednak tę książkę?

– Wrócimy za kilka godzin. – Maram wstała, poprawiła płaszcz na ramieniu.

Zatrzymała się przy krześle Nicholasa, wtedy zauważył, że kobieta tak mocno ściska cienki pasek torby, że pobieleły jej knykcie. Nachyliła się do niego, a on spiął się, kompletnie zdezorientowany – Ebla nigdy wcześniej go nie pocałowała. A teraz właśnie musnęła ustami jego policzek.

– Do widzenia.

– Zamknąć czy zostawić otwarte? – Richard poruszył drzwiami gabinetu.

– Otwarte – poprosił Nicholas.

Wyszli. Słyszał ich kroki na dywanie w przedpokoju, na marmurowym korytarzu, coraz ciszej i ciszej, aż zanikły.

– Co jest w tej kopercie? – wyszeptał.

– Ciii... – Collins podszedł do okna i odchylił zasłonę.

Skryba stanął obok niego. Wczesne słońce zatoneło we mgle, zielone pola migotały, a długi czarny podjazd połyskiwał niczym wąż w trawie, wijąc się w stronę odległej drogi. Collins i jego podopieczny stali ramię w ramię, czekali, aż samochód pojawi się w polu widzenia, a potem zacznie oddalać się od Biblioteki, zmierzać w kierunku Londynu.

I dopiero gdy zniknął, ochroniarz podszedł do biurka, wyjął kopertę i wysypał jej zawartość na blat.

– Jedziemy – zarządził.

– Jedziemy? – powtórzył Nicholas i podniósł pierwszą rzecz, jaką zobaczył.

Cienka powieść w zielonej miękkiej okładce, z tytułem po hiszpańsku, dość stara. Rozchylił ją i znalazł kartkę z pismem Maram. „Pokaż to kobiecie w...” – zaczął czytać, ale jego uwagę przykuły inne przedmioty, które wypadły z koperty.

Gruby plik banknotów euro, przewiązany gumką, dwa niebieskie paszporty.

Collins szybko je obejrzał, podał jeden Nicholasowi.

– To ty.

Nick zajrzał do środka. To był on. I nie był. Zdjęcie jego, ale dane cudze: Nathaniel Brigham. Nathaniel pochodził z Kanady. Do paszportu wsunięto kilka biletów lotniczych i kolejny zapisek, również od Maram:

„Zaufaj mi”.

– Pakuj się – polecił Collins. – Wyjeżdżamy.

– O czym ty, u licha, mówisz? – wyjąkał chłopak. – Zaplanowaliście to? Z Eblą?

– Tak jakby. – Ochroniarz wsunął książkę do koperty, przejrzał plik biletów w swoim paszporcie, skinął głową.

– Co to znaczy: tak jakby?

– To znaczy, żebyś się pakował. – Bodyguard wcisnął bilety i paszport do tylnej kieszeni. – Pierwszy samolot odlatuje jutro z Paryża, czyli musimy dostać się do Londynu, złapać ostatni Eurostar i przeprowić się przez kanał jeszcze dzisiaj wieczorem, a już i tak jest późno, więc ruchy.

– Oszalałeś? – wykrzyknął Nicholas. – Nigdzie nie jadę. To bilety w klasie ekonomicznej, nie zamierzam...

– Nick. – Użycie zdrobnienia przez Collinsa skutecznie uciszyło wstrząśniętego młodzieńca. – Widziałeś, co było w tamtym słoju. Wiesz, co to znaczy.

– To znaczy, że... to znaczy...

– To znaczy, że nie jesteś tutaj bezpieczny – dokończył Collins. – Nigdy nie byłeś.

– Pamiętasz, że niedawno ktoś próbował mnie zabić? Tam też nie będę.

Collins wcisnął palce w swoje ciemne włosy, popatrzył z litością i frustracją. Nicholas nagle przypomniał sobie tamto dziwne, pełne poczucia winy spojrzenie w zimowym salonie. Nagle przytłoczony i wyczerpany usiadł przy biurku, położył głowę na dłoniach.

– Nikt nie próbował mnie zabić – powiedział stłumionym głosem. – Za tym też stał Richard. Chciał mnie nastraszyć.

Collins nie odpowiedział. Pewnie nie mógł. Chłopak nie podnosił głowy, skupiał się na oddechu. Pszczoły. No pewnie. Przecież czytał kartę książki, do której Maram go posłała. „Powoduje, że każda domieszka chemicznego materiału miotającego, tj. prochu strzelniczego, w trakcie eksplozji zamienia metal w *Bombus terrestris*”. Zaczarowała pistolet Collinsa; gdy strzelił, zamiast kul wyleciały pszczoły.

Ochroniarz odstawił całą akcję ratunkową, Richard i Maram odegrali swoje obawy. Tylko Nicholas, szczerze przerażony, niczego nie udawał.

Potrzebował sekundy ciemności i spokoju, sekundy na zebranie myśli, ale Collins uderzył go mocno w ramię.

– Nie – rzucił, jakby Nicholas był złym psem. – Załamiesz się już w samochodzie.

– Jakim samochodzie?

– Tym, który ukradniemy, gdy przeciągniesz mnie przez osłony na drogę – wyjaśnił cierpliwie. Chłopak wpatrywał się w niego nieporuszony; Collins wyrzucił ręce w powietrze, jakby chciał nim potrząsnąć. Źrenice niemal całkowicie ustąpiły miejsca niebieskim tęczęwkom, a w obojętnym zazwyczaj głosie pojawiło się nietypowe ożywienie. – Mamy jedną szansę – przekonywał. – Jedną szansę, żeby się stąd wydostać. Jeśli nie wyjdziemy teraz, oni wrócą i nic... i nie będziemy... nigdy... – Zakrztusił się słowami, zaklął. – Nie ufasz Maram? Musisz jej zaufać!

Nicholas spojrział na niego.

– I tobie.

– Tak – potwierdził osiłek. – Mnie też musisz zaufać.

Nicholas znów ujrzał słoik w gabinecie stryja. Przypomniał sobie sznur wrzynający mu się w nadgarstki, jasną mgłę szpitalnej sali. Trochę trwało, zanim przywykł do swojej półślepoty. Na początku zrzucał szklanki z krawędzi stołów, wpadał na różne rzeczy, z wysiłku bolała go głowa. W końcu się przyzwyczał. Tylko lewą goleń miał ciągle posiniaczoną. Nigdy też nie będzie mistrzem łapania rzucanych do niego rzeczy, ale to już mu nie przeszkadzało. Po dziesięciu latach posiadanie jednego oka stało się czymś jak praworęczność albo piegi. Sam

widzisz, powiedział głos w jego głowie, że w sumie nic takiego się nie zdarzyło. Wielu ludzi ma znacznie gorzej, a ty co? Pławisz się w luksusie, mieszkasz w pięknym domu, niczego ci nie brakuje. Chyba nie wypniesz się na to wszystko tylko dlatego, że wkurzyłeś się na coś, co zdarzyło się bardzo dawno temu?

To był rozsądny, stroskany głos.

Należał do Richarda.

Nicholas spojrział na swój gabinet, na wspaniałe dywan, wspaniałe meble, wspaniałe widok na wodę i zielen. Jakże to komfortowe. Niezmienne. Jak wszystko w jego życiu. A jednak jego życie już się zmieniło. W chwili, gdy zobaczył swoje stracone oko, gdy pojął, co tak naprawdę zrobił mu stryj.

Gdy zrozumiał, co jeszcze może mu zrobić. Nicholas miał przecież drugie oko. I ciało pełne krwi. A Maram, która znała wszystkie plany Richarda, kazała mu uciekać.

Collins wpatrywał się w swojego podopiecznego z zaciśniętymi zębami i drżał z wysiłku, powstrzymując zniecierpliwienie. Jest przerażony, pojął Nicholas. Serio przerażony.

Richard był jedyną rodziną Nicholasa, jedynym prawnym opiekunem, a jednak zrobił to, co zrobił własnemu bratankowi.

Jaką krzywdę wyrządziłby Collinsowi, który nie był krewnym czy przyjacielem, lecz zwykłym pracownikiem?

Nicholas wiele razy kłócił się ze stryjem, walcząc o poluzowanie ograniczeń, a osiągnął tylko tyle, że okowy zaciskały się coraz bardziej, łańcuchy zrobione z ogniw twardego, grzechoczącego strachu. Lęku, który wpoił mu Richard, najpierw opowieściami o zamordowanych rodzicach, potem fałszywymi groźbami i jakże namacalnym atakiem.

Nicholas wciąż się bał, ogromnie. Ale już tylko jedna rzecz przerażała go bardziej niż wyjście z Biblioteki: myśl, że w niej pozostanie.

– Zabieramy Sir Kiwi – zarządził.

Collins wziął głęboki oddech przez nos i zamknął oczy. Gdy je otworzył, zrobił coś nieoczekiwanego.

– No raczej – rzekł z uśmiechem.

CZĘŚĆ DRUGA



SKRYBA

Samolot towarowy stał na pasie startowym. Wyglądał jak zabawka na tle rozległej połaci śniegu. Niebo było nadal ciemnoniebieskie, lecz linię horyzontu oświetlał różem wschód słońca. Nad ostatnim dniem Esther na Antarktyce wstawał świt.

Czekała na załadunek samolotu i paplała o niczym z dyżurnymi. Każde słowo, każdy ruch – jakakolwiek czynność wydawała się surrealna, jakby jednym gestem Esther mogła zmienić strukturę świata. Tym właśnie jest zabijanie, prawda? Usunięcie kogoś z istnienia to jak wyrwanie dziury w splotach rzeczywistości. Nie ona strzeliła do Treva, ale czuła się tak, jakby to zrobiła – i zrobiłaby, gdyby wtedy miała w ręku broń. Na liście rzeczy, do których była zdolna, nagle pojawiło się zabijanie. Z niewyobrażalnego stało się możliwe. Czy tak właśnie ludzie spadają w ciemności?

W oszołomieniu skończyła wypełniać dokumenty. W oszołomieniu powiedziała „do widzenia”. Poczucie nierealności potęgowały głód i brak snu. Bała się, że zemdleje, bo twarze wokół się rozmywały, a jej ruchy stały się mechaniczne. Nie zemdląca.

Już jej nie będzie, kiedy Pearl obudzi się rano w ambulatorium. Słoneczna dziewczyna nie zrozumie dlaczego. Będzie cierpiała. Ciało da znać, że wydarzyło się coś strasznego, mózg nie zdoła tego nazwać. Nie będzie pamiętać obietnicy, że Esther po nią wróci i o wszystkim jej przypomni. Czy Pearl w ogóle odezwie się do niej po tym, co właśnie robiła – odchodziła bez słowa? Nie sposób teraz się tego dowiedzieć.

Sama nie wiedząc kiedy, weszła na pokład małego samolotu. Zapięła pasy w niedużym niebieskim fotelu, patrzyła na tył głowy pilota, który robił coś niezrozumiałego, i przypomniała sobie, jak siedziała z Joanną w starej czerwonej półciężarówce ojca, jak bezpiecznie czuła się za kierownicą, jak panowała nad sytuacją. Z rykiem silnika samolot zbliżał się do pasa startowego. Za oknem panował dzień i tak potrwa przez kilka następnych miesięcy. Białe bezkresy zostawały w dole. Stacja miała wielkość domku dla lalek, potem filizanki, potem mrówki, potem zniknęła.

Esther oparła czoło o zimną szybę i walczyła ze łzami.

Robiła to tyle razy: wzbijała się i patrzyła, jak dwanaście miesięcy życia zostaje hen za nią. Rok może się wydawać długi, chyba że jest wszystkim, co się ma.

Przedtem – przed Pearl – najtrudniejszym odejściem był wylot z Meksyku, bo tak mocno utkwilo jej w pamięci to, jak tam leciała. Jak patrzyła w dół na niekończący się dywan świateł i miała nadzieję, że przynajmniej jedno z nich może przynieść odpowiedź.

Isabel, podobnie jak Abe, pochodziła z rodziny, która słyszała magię i pozyskiwała książki. Abe nigdy nie zdradził córce nazwiska panieńskiego jej matki, Esther wiedziała tylko, że jej dziadkowie byli właścicielami księgarni zwykłych książek, nowych i używanych... Chyba że znało się odpowiednią kombinację zdań, dających wstęp na zaplecze, gdzie trzymano zupełnie inny towar. W ten sposób Abe poznał Isabel. On przyleciał z Nowego Jorku. Ona po studiach wróciła do domu, miała przejąć rodzinny biznes. Pierwsze słowa, które wypowiedział do Isabel, były po hiszpańsku. Poprawiła jego wymowę, potem ujęła złotą igłę, którą nosiła na łańcuszku na szyi, ukłuła się w palec i przycisnęła zakrwawioną opuszkę do

ściany, która nagle stała się drzwiami. Kiedy Esther pytała go, jaka była Isabel, zawsze odpowiadał: „Nie traciła ani sekundy”.

Twierdził, że nie pamięta ani nazwy, ani lokalizacji księgarni – Esther nie wierzyła mu ani trochę. Po pierwszym tygodniu w Meksyku zaczęła pracować na czarno jako elektryk dla emigranta projektującego wnętrza. Kupiła telefon na kartę i każdego popołudnia po pracy pozwalała, żeby w mieście pełnym księgarń nawigacja prowadziła ją od jednej do drugiej. Odwiedziła zagracone i zakurzone sklepiki z książkami na Donceles; modne i ekskluzywne salony księgarskie w La Condesa i poza Coyoacán; zajrzała nawet do sieciówek: Gandhis i Sanborns.

Na początku każda księgarnia wydawała jej się magiczna. Nie była to magia, z którą dorastała, bardziej taka, o której czytała w powieściach – tu wszystko wydawało się możliwe; jeden właściwy zakręt w lesie, jedna decydująca rozmowa ze starą kobietą mogła zmienić życie na zawsze. Wchodziła i przyglądała się szeregom grzbietów na półkach, drobinkom kurzu wirującym w słońcu, wdychała zapach papieru i kartonu, słów i kleju... i za każdym razem myślała: to na pewno tutaj.

Zawsze się myliła.

Każdemu sprzedawcy, każdemu pracownikowi księgarni powtarzała to samo zdanie: pierwsze słowa, jakie ojciec wypowiedział do jej matki, zdanie, które pozwoliło mu wejść na sekretne zaplecze. *Sé verlas al revés*. Palindrom. „Wiem, jak zobaczyć je wspak”. Ale wszyscy rozmówcy reagowali jedynie przechyleniem głowy, zdziwionym uśmiechem. „Pierwsze słyszę”, mówili. „To album? Poezja?”

Esther nie zwykła łatwo kapitulować, o czym dość wcześnie się przekonała. W życiu można dawać się zniechęcić albo cisnąć dalej – zawsze wybierała to drugie. Tamtej jesieni odwiedziła

ponad dwieście księgarń i nie znalazła nawet cienia magii, żadnego dowodu, że jej matka miała coś wspólnego z którymś z tych miejsc.

Pod koniec października rozmawiała z ojcem przez Skype'a. Zamknęła się w łazience z dala od współlokatorów, Abego oświetlały górne światła miejscowej biblioteki. Na komputerach za nim dzieciaki łomotały w jakąś strzelankę, co jakiś czas rozlegał się triumfalny okrzyk.

– Możesz mi coś podsunąć? Cokolwiek – błagała. – Okolica, punkt orientacyjny, nazwisko?

Tym razem nie twierdził, że nie pamięta. Położył rękę na karku jak zawsze, gdy bolała go głowa, i powiedział:

– Kochanie, proszę cię. Daj sobie spokój.

– Co się stanie, jeśli wyjadę w przyszłym tygodniu, nie będzie mnie przez rok, a potem wrócę?

Opuściła dom pięć lat temu, teraz widziała, jak Abe się postarzał, zmienił na twarzy.

– Błagam, żebyś tak nie ryzykowała.

Sfrustrowana odchyliła się i uderzyła głową w ścianę łazienki.

– Byłoby mi łatwiej przestrzegać zasad, gdybym je rozumiała.

– Przecież je rozumiesz. Tylko ich nie lubisz.

– Dlaczego raz w roku? Czemu w listopadzie? Dlaczego...

– Powtarzanie „dlaczego” nic nie zmieni. Mógłbym ci to wszystko wyjaśnić, każdą najdrobniejszą zawiałość sformułowań, ale znam cię, Esther. Od razu zaczęłabyś myśleć, że znajdziesz lukę, możesz to przechytryć. Nie sądzisz, że gdyby istniała jakaś luka, dawno bym ją znalazł? Nie sądzisz, że

chciałbym dla ciebie normalnego, stabilnego życia w jednym miejscu? Że pragnąłbym, żebyś wróciła do domu?

Abe był jak Joanna: emocje wypisane na twarzy, wszystko jak na dłoni. Zaczerwienione oczy napełniły się łzami, co go jeszcze bardziej postarzyło.

Esther pojęła nagle, że już nigdy nie zobaczy ojca osobiście.

Ten przebłysk zrozumienia ją rozplątał, musiała się wyłączyć, żeby nie szlochać przed ekranem. Zamknęła laptopa i wciśnięta w kąt małej łazienki, ze stopami opartymi na zimnych kaflach, płakała i płakała, dopóki któraś współlokatorka nie zaczęła walić do drzwi.

Wtedy zrobiła coś, czego starała się nigdy nie robić: poddała się. Nie zamierzała już dłużej cisnąć. Czuła tę rezygnację w całym ciele: ołowiane kończyny, pierś przyciśnięta głazem, zdrewniałe gardło. Parę dni później odleciała. Dochodziła północ, Esther patrzyła w dół na ocean świateł i przypomniawszy sobie lądowanie rok wcześniej, kiedy miasto żarzyło się możliwościami. Samolot wzniósł się, chmury przesłoniły światła.

Teraz, gdy wpatrywała się w znikającą kropkę stacji badawczej, powróciło tamto ciężkie, nieznanne uczucie, którego doświadczyła na podłodze łazienki w Meksyku. Nie chciała użyć słowa „rozpaczyć”.

Pearl była bezpieczna, to najważniejsze. Esther też, na razie. Znów odsunęła katastrofę. Nie wiedziała tylko, czy wystarczy jej sił na kolejny raz.

– Zrobiłam to – powiedziała, usiłując przekonać samą siebie. Jej głos zaginął w ryku samolotu.

Dzień po wizycie Cecyli w domu roznosiło się echo, jakby deski podłogowe i krokwie zachowały brzmienie głosów. Pogoda nie flirtowała już z zimą, znów zaprosiła do zabawy jesień. Zrobiło się więc na tyle ciepło, że Joanna po raz pierwszy od wielu dni pozwoliła żarzącym się w piecu węglom przygasnąć do miękkiego, białego popiołu. Sprawdziła magiczne lustro, ale z tamtej strony nic nie przeszło, szkło było twarde, a smugi krwi matki pozostawały wyraźne i odporne na ścieranie.

Kiedy wyszła na werandę z kubkiem kawy i puszką tuńczyka, kot spał zwinięty w kłębek w kołdrze. Obudził się i ziewnął, ukazując różowe wnętrze pyszczka.

– Dzień dobry! – Ucieszyła się, że zaakceptował nowe legowisko; nałożyła tuńczyka.

Ziewnął znowu i podszedł zbadać śniadanie, a ona usiadła na werandzie i oparła się o ścianę domu, żeby mu towarzyszyć. Potem zaczął się pracowicie myć. Patrzenie na to dawało Jo komfort zrozumienia.

Zawsze wiedziała, że jest wiele rzeczy, których nie pojmuje: o świecie, o książkach, o rodzicach, ich historii. Kiedy jednak życie ma dość ciasne granice, fizyczne i emocjonalne, kiedy człowiek wielokrotnie przemierzy każdy centymetr przydzielonej mu przestrzeni, zapomina o własnej ignorancji i w swoim świecie czuje się mistrzem. Dom, ścieżka, książki, góra; Joanna przyzwyczała się do bycia ekspertem, do bezpieczeństwa, które dawała jej własna ekspertyza.

Jednak to, co zdarzyło się wczoraj, pokazało – przypomniało? – jak niewiele ma doświadczenia. Przez cały ten czas w jej domu stało uśpione magiczne lustro i czekało na aktywację. Przez cały ten czas sekrety Cecily wykraczały daleko poza to, dla czego w ogóle chce opuścić osłony. Trybiki przez cały ten czas się obracały, a Joanna nie załapała, że istnieje jakaś maszyna.

Chyba najtrudniej jednak było zrozumieć, że nie jest nawet ekspertem od samej siebie.

Wciąż wracała do chwili w salonie matki, kiedy uwięziona za zaklęciem uwierzyła, że osłony przestaną istnieć, i doznała niespodziewanej, ekstatycznej ulgi. Nie przypuszczała, że ma w sobie te uczucia, a one nagle się pojawiły, jakby ktoś wykrzyczał ich nazwy. Po raz pierwszy w pełni do niej dotarło, że jeśli znikną granice magicznych osłon, granice jej życia znikną razem z nimi.

Tego właśnie pragnęła?

Cecily od lat zadawała jej to pytanie, ale Joanna nigdy naprawdę nie słuchała; trochę dlatego, że pojawiała się w formie rady, nieproszonej i pełnej powinności. Pytanie zostawiało odrobinę miejsca córce, rada miała miejsce tylko dla Cecily. Jo potrzebowała przestrzeni.

Kot skończył toaletę i podszedł obwąchać kawę Joanny. Pogładziła go po grzbiecie, futerko było jeszcze lekko wilgotne, ale czerpała z tego dotyku zbyt dużą przyjemność, żeby coś takiego mogło ją zniechęcić. Kocurek zaczął mruzczyć.

– Gdybyś wszedł do środka – powiedziała – mogłabym cię głaskać cały czas. Miałbyś milion puszystych, ciepłutkich rzeczy, na których mógłbyś się zwinąć. Jest też piec, w którym palę drewnem, i brzydki fotel – mógłbyś go doszczętnie podrapać. Opiekowałabym się tobą...

Ale gdy się podniosła i otworzyła drzwi, znów odmówił. Otarł się o jej nogi, z nadzieją trącił nosem pustą miseczkę i pobiegł w stronę przygód, jakie czekają na małego kota w wielkim lesie. Patrzyła na niego, dopóki nie rozmył się wśród pni, opadłych liści i sosnowych igieł.

Joanna rozumiała niechęć futrzaka do domu. Leśne ostępy były jego światem, znał i potrafił przewidzieć tamtejsze zagrożenia i przyjemności. I może wyczuł swoim kocim instynktem, że wejście do domu nieodwracalnie zmieni jego doświadczenia na zewnątrz. Dużo łatwiej znieść zimno, jeśli nigdy nie było ci tak naprawdę ciepło.

Bez przeszkód dotarła do Christchurch i na kolejny lot, ale nawet na zatłoczonym lotnisku w Auckland nie poczuła się dużo lepiej. Cały czas czekała, aż jej fałszywe dokumenty wywołają alarm, aż przybiegną ludzie, żeby ją śledzić, zabić lub aresztować. Serce waliło jej jak oszałałe, gdy przechodziła odprawę w Christchurch. Aż się bała, że skanery jakoś to wykryją. Nie wykryły.

Teraz, już w Auckland, stojąc w kolejce na lot 209 do Los Angeles, poprawiła torbę na ramieniu i odetchnęła głęboko. Wcześniej poszła do pubu, usiadła przy barze i wypiła dwa mocne piwa, licząc, że alkohol, rozmowy i wyciszony mecz rugby podziałają na nią kojąco. Alkohol przyniósł odwrotny skutek, czuła się bardziej roztrzęsiona, refleks miała spowolniony i przy każdym dostrzeżonym ruchu odwracała głowę: na pewno ktoś na nią patrzy.

– Proszę na bok.

Zrozumiała, że celnik przy bramce mówi do niej, i zastygła z wyciągniętą ręką. Nie dostała z powrotem swojego paszportu.

– Słucham?

– Dostałam informację, że przejdzie pani dodatkową kontrolę bezpieczeństwa – oznajmiła kobieta z odprawy i podała dokument dziewczyny umundurowanemu strażnikowi, który stanął przy niej. – Ten pan zaprowadzi panią.

Esther jeszcze się nie wystraszyła, była zbyt zdezorientowana. Spodziewała się tego, odkąd weszła na

lotnisko z fałszywym paszportem, ale wydarzyło się to w chwili, w której właśnie przestała się spodziewać, więc sytuacja ostatecznie ją zaskoczyła.

– O co chodzi? – Chciała, żeby jej głos brzmiał spokojnie i autorytatywnie. Nie do końca się udało.

– Dodatkowa kontrola bezpieczeństwa. – Strażnik powtórzył słowa kobiety, z tą różnicą, że ona mówiła z sympatycznym zaśpiewem kiwi, a on posługiwał się zwykłym amerykańskim. Miał nijaką twarz, ciemne włosy i wąsy, które prawie zasłaniały usta. – Chodźmy. – Dłoń nad jej ramieniem była jak zapowiedź użycia siły.

– Ale mój lot – spróbowała po raz ostatni. – Spóźnię się...

– To nie potrwa długo – obiecał.

Esther ani drgnęła, gorączkowo szukając wyjścia z sytuacji. Oto zaczyna biec, wraca do głównej hali, mija ochronę, wpada na parking... A może pójdzie za nim spokojnie, bez robienia sceny, ubłaga o skorzystanie z toalety, a tam będzie okno i wtedy... wtedy...

Zamknął palce na jej ramieniu.

– Proszę mnie puścić – warknęła. – Idę.

On jednak ścisnął ją mocniej i wyciągnął z kolejki, do której tak niedawno przynależała. Ludzie odwracali się z ciekawości, młoda Azjatka w ogromnych czerwonych okularach zrobiła kilka kroków za nimi, a wyraz współczucia i troski na jej twarzy wywołał strach. Esther zabrakło powietrza, poczuła zawroty głowy. Strażnik maszerował korytarzem do białych drzwi w białej ścianie i zanim zdążyła zrozumieć, że oto traci jedyną szansę na ucieczkę, wprowadził ją do środka.

Zobaczyła wielu przejętych ludzi, którym funkcjonariusze ochrony sprawdzali buty, stół zastawiony otwartymi walizkami

i kilka dużych, piszczących urządzeń rentgenowskich. Zauważyła, że jest tu w grupie osób o najjaśniejszej karnacji, i prawie się rozluźniła. Może to tylko przypadkowa kontrola bezpieczeństwa? Z całą pewnością po raz pierwszy naprawdę miała nadzieję, że to zwykły rasizm. Mundurowy poprowadził ją obok sprzętu bezpieczeństwa i przez kolejne drzwi, wąskim korytarzem do małego pokoju. Stało tam tylko biurko z komputerem; w jego ekran wpatrywała się kobieta o różowych ustach. Podniosła wzrok, gdy weszli, i skinęła głową.

– Pokój numer cztery – zakomunikowała.

Wskazane pomieszczenie znajdowało się na końcu następnego korytarza. Strażnik popchnął Esther przez próg, wszedł sam i zamknął za nimi drzwi – metaliczne kliknięcie wstrząsnęło każdym nerwem dziewczyny.

Szare wnętrze było nagie, ale nie puste: w jednym kącie znajdował się duży, nakryty tkaniną przedmiot. W drugim kącie siedział jakiś mężczyzna oparty o ścianę. Głowa mu opadła na gołą pierś. Miał na sobie tylko skarpetki i bokserki. Esther poczuła dreszcz dzikiej paniki. Czy jej też każą się rozebrać, a potem ją przeszukają? Facet podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę mętным wzrokiem. W jego twarzy było coś tak niesamowitego, że z początku nie potrafiła pojąć, co widzi. Gdy zrozumiała, mimowolnie jęknęła. Poza smugą zasychającej krwi na czole wyglądał identycznie jak strażnik. Te same nijakie rysy, ciemne włosy i wąsy. Ta sama twarz.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział strażnik bezbarwnym głosem. Mężczyzna nic nie mówił, nie skupiał wzroku, głowa mu opadła.

– Co to znaczy? – Esther upuściła torbę i usiłując zachować resztki godności, odwróciła się do funkcjonariusza. Ten tylko

się uśmiechnął.

– Dostał coś na uspokojenie – wyjaśnił. – Nie martw się, nic mu nie będzie.

Esther nie martwiła się o człowieka na podłodze. Bała się o siebie.

Mundurowy nachylił się do mężczyzny, chwycił go za włosy i podniósł mu głowę. Oblizwał kciuk, po czym starł krew z jego czoła niemal czule, jak matka usuwająca zabrudzenie z twarzy dziecka.

– Zaczekajmy chwilę – powiedział. – Zobaczymy, czy mnie pamiętasz.

Esther nigdy w życiu go nie widziała i już zamierzała to powiedzieć, kiedy nagle faktycznie spostrzegła w jego twarzy coś znajomego. Może to układ ust, a może linia bardzo jasnych, prawie niewidocznych brwi?

Zamrugnęła. Wąsy skrywające górną wargę zniknęły, brązowe włosy przeszły w bardzo jasny blond, pasujący do brwi. Miękki podbródek zmienił się w mocno zarysowany, z wyraźnym wcięciem pośrodku. To była zupełnie inna twarz... Już wiedziała. Mieszkanie Reggiego w Spokane i blade oblicze mężczyzny stojącego przy łóżku, błysk broni w ciemności. Cios, po którym Reggie zalał się krwią.

Esther milczała. Gdyby pisnęła choć słowo, usłyszałby, że jest totalnie przerażona. O nie, nie da mu tej satysfakcji.

– Skąd masz paszport? – spytał blondyn, przeglądając książeczkę. – Dobra robota.

– A nie tak mnie znalazłeś? – zapytała. – Nie wyśledziłeś go?

Zaatakuj teraz, weźmie kołosa z zaskoczenia, ustawi się tak, że typ rąbnie głową o ścianę i...

Bardzo swobodnie, jakby naprawdę świetnie się bawił, odchylił kurtkę i położył dłoń na rękojeści pistoletu. Naprężone mięśnie wyraźnie jednak dawały do zrozumienia, że mężczyzna dokładnie wie, o czym ona myśli, i nie da jej na to szansy.

– Miałbym śledzić fałszywy paszport? – Rzucił go jej pod nogi, śmiejąc się. – No błagam. Z twojej bazy wylatywał jeden samolot; nietrudno było zgadnąć, że właśnie nim się zabierzesz. Śledziłem cię, odkąd wylądowałaś w Auckland.

– Znów spróbujesz mnie zabić?

Podszedł do zasłoniętego materiałem przedmiotu, który stał w rogu naprzeciwko mężczyzny, i machnięciem ręki odsłonił duże lustro. Stało oparte o ścianę, srebrną powierzchnię obsypały plamki krwi.

Esther już i tak miała serce w gardle, a teraz podeszło jeszcze wyżej. Magiczne wibracje były wszechobecne na tym lotnisku, a ona spokojnie poszła do baru i wypła piwo; zachowała się jak bezmyślne zwierzę tuż przed rzezią. Joanna na pewno by się zorientowała. Wyczułaby magię od razu na widok strażnika z tą skradzioną tożsamością. Ale nie Esther. Ona była nieświadoma i niewrażliwa. Bezużyteczna.

Ogarnęła ją taka złość, że prawie zapomniała o strachu.

– Nie zabiję cię – oznajmił fałszywy strażnik. – Przynajmniej nie od razu. Zamierzam przepchnąć cię przez to lustro. Wiesz, co takie przejście robi z człowiekiem? – Zawiesił głos. Nie odpowiedziała. – Wiesz. Ponieważ zrobiłaś to Trethewayowi. Który, tak przy okazji, był moim dobrym kumplem.

Trev. Musiał mówić o Trevie.

– Widziałeś, jak to zrobiłam? – Ogarnęły ją dreszcze na myśl, że to on cały czas stał za lustrem i ją obserwował.

– Widzieliśmy następstwa. Wystarczy. Wyglądał, jakby go przemielilo.

My. Esther przełknęła ślinę.

– Najpierw do mnie strzelisz, tak jak ja strzeliłam do Trethewaya?

Grała na czas i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale pozwalał na to, czuł, że może. To miała być zemsta i chciał, żeby się rozegrała powoli.

– Niewykluczone – odparł. – Postrzeliłaś go tutaj – klepnął się w ramię – ale ja będę celował niżej. Strzał w bebechy byłby niezły, prawda?

Wśród paniki zabłysł promyk ulgi. Myślał, że to ona strzelała, a więc nic nie wiedział – albo nie wiedzieli, kimkolwiek byli ci oni – o istnieniu Pearl. Nie mieli pojęcia, że jest w to zamieszana, zatem nie będą na nią polować, czyli prawdopodobnie nie groziło jej niebezpieczeństwo.

Naprawdę chciał do niej strzelić tu, na lotnisku? Czy to bief? Przecież ktoś by przybiegł na odgłos strzału. Chyba że tu wszyscy jakoś współpracowali... Ale po co miałyby wtedy zadawać sobie tyle trudu, brać twarz strażnika? Ta kobieta przy biurku, ta z różowymi ustami. Skinęła blondynowi w taki sposób, że pewnie też brała w tym udział.

– Wiem, co kombinujesz. – Blondyn się uśmiechnął. – Myślisz, że się na mnie rzucisz, wyrwiesz mi broń i odwrócisz sytuację, bla, bla, bla.

Akurat niezupełnie o tym myślała, ale opisany scenariusz – i w zasadzie jedyna opcja – musiały się opierać na zaskoczeniu, czyli nic z tego. Rozpaczliwie przejrzała wszystkie stracone szanse: trzeba było wiać, gdy kobieta na bramce zabrała jej paszport, albo wtedy, kiedy strażnik prowadził ją

korytarzem, albo potem, zanim zamknął ją w tym pokoju. Nie zrobiła tego sparaliżowana strachem, a teraz miała już kompletnie przekitrane.

Chyba że...

Chyba że Pearl miała rację i Trev wcale nie zamierzał jej zabić. Jeśli Trev szukał informacji o jej rodzinie, jeśli chciał uzyskać dostęp do siostry i do książek, to temu blondynowi też na tym zależy. Broń była tylko groźbą, lustro przekąźnikiem: żeby ten, komu blondyn podlegał, mógł patrzeć, jak ją przesłuchuje.

– Nie będę z tobą walczyć. – Rozłożyła ręce, sprawdzając swoją teorię. – Śmiało, strzelaj w bebechy.

Pokręcił głową, jakby rozczarowany.

– Chcesz mi ułatwić sprawę? W porządku. – I odbezpieczył broń.

Ręce Esther zdrętwiały. Myliła się. O nic jej nie pytał, po prostu chciał ją zabić. Wycelował w nogi, położył palec na spuście i powiedział:

– To zacznijmy od kolan.

Spięta do granic możliwości, wpatrywała się w jego palec, gotowa na huk wystrzału, gotowa uskoczyć – ale huku nie było, rozległo się za to kliknięcie.

Ktoś otwierał zamek.

– Co do...? – zaczął blondyn, spojrzał na uchylające się drzwi i znów na Esther, cały czas trzymając pistolet w wyprostowanej dłoni.

Nikt nie wszedł, nic się nie stało. Ściskając teraz broń w obu rękach, jak bohater filmów szpiegowskich, szedł tyłem do otwartych drzwi. Wyjrzał na korytarz. To była jedyna szansa i Esther musiała ją wykorzystać.

Pobiegła w jedną stronę, w drugą, na wypadek gdyby chciał strzelić, i skoczyła do drzwi – w tej samej chwili zamknęły się pod własnym ciężarem.

– Jezu! – krzyknął blondyn, a dziewczyna rzuciła się na niego.

Była za blisko, żeby udało mu się strzelić, ale miała za mały impet, więc uderzyła w niego ze słabym, miękkim odgłosem. Nie powinien się nawet zachwiać, a jednak tak właśnie się stało, a sekundę później padł u stóp Esther. Czołem rąbnął o ziemię. Znieruchomiał.

Dziewczyna wpatrywała się w niego osłupiała, a gdy minęło kilka sekund, a on się nie poruszył, zaczęła działać. Tę tajemnicę rozwikła później – jeśli dożyje. Nawet jeżeli udawał, jeżeli była to kolejna pułapka, to po raz pierwszy od chwili, gdy fałszywy strażnik wziął ją za rękę, poczuła nadzieję. Zrzuciła torbę na ramię, podniosła z podłogi paszport i spojrzała na odurzonego, półnagięgo mężczyznę w kącie. Zupełnie o nim zapomniała.

Co mogła dla niego zrobić? Wyjęła broń z bezwolnych palców strażnika, wysypała z niej naboje i kolbą rozbiła lustro. Potem wyszła.

Jej ciało domagało się, żeby biegła, ale się powstrzymała, bieg zachęcałby do pościgu. Szła szybko korytarzem, zwolniła tylko na widok kobiety za komputerem: odchyłona na oparcie ergonomicznego fotela, siedziała nieprzytomna, z otwartymi ustami. Nie było żadnych śladów walki. Esther poczuła na rękach gęsią skórę. Nie zatrzymała się jednak, maszerowała dalej; po drodze upuściła jedynie garść naboji do kosza obok biurka. W głównym pomieszczeniu nadal przeszukiwano i przepytывano innych podróżnych, kilku pracowników ochrony spojrzało na nią bez zainteresowania. Kierowała się do

drzwi, usiłując zachować całkowitą swobodę i pewność siebie, choć drżały jej ręce i oblewał ją zimny pot. Uśmiechnęła się nawet do kobiety w mundurze, a sekundę później znalazła się w głównej hali lotniska.

Wszystko wydawało się zainscenizowane i nierealne. Górne światła, poplamione posadzki, wózek z bagażem, opiekunowie wołający dzieci, kolejki do bramek, ludzie skupieni na smartfonach. Nie oglądała się, nie sprawdzała, czy ktoś za nią idzie, ale przyspieszyła kroku, szukając drogi do wyjścia.

Nagle ktoś złapał ją za nadgarstek.

Odruchowo wyrwała się i odwróciła. Najbliżej niej znajdował się ubrany w garnitur mężczyzna – kilka metrów dalej kupował kawę przy automacie. To wszystko. Oddychała szybko, prawie dyszała, ciało wpadło w jakieś mikrowibracje – czy ten dotyk chłodnych palców jej się przywidział?

– Tuż obok ciebie – powiedział jej głos do ucha; tym razem Esther poczuła na dłoni wyraźny dotyk materiału. – Nic nie mów. – Cichy kobiecy głos, z nowozelandzkim akcentem. – I nie wychodź z lotniska, przy wyjściu czekają na ciebie. Idź do najbliższej toalety i zostań tam, aż przyjdę.

– Czekaj. Kim jesteś? Gdzie jesteś?

– Porozmawiamy za chwilę – odparł głos. – To ja cię uratowałam i przysięgam, że jestem po twojej stronie.

Dziewczyna znów skierowała się do wyjścia, tym razem szybciej. Nigdy nie słyszała o okolicznościach, w których słuchanie bezcielesnego głosu to byłby dobry pomysł.

– Esther – odezwało się znowu widmo, chłodne palce dotknęły nadgarstka. A potem dodało, w raczej słabym hiszpańskim: – *La ruta nos aportó otro paso natural*. Tak się to mówi? Błagam, zaufaj mi i nie wychodź z lotniska.

Dziewczyna nie wiedziała, co kazało jej się zatrzymać, dźwięk własnego imienia czy brzmienie znajomej frazy. Stała z torbą wrzynającą się w ramię, w kurtce i T-shircie mokrym od potu. Zaciskała zęby, żeby nie krzyknąć z frustracji.

Chciała zrobić choć jeden krok, który od początku do końca należał do niej, wykonać jeden ruch, na który by się sama zdecydowała, i za każdym razem czuła się tak, jakby za jej sznurki pociągały niewidzialne ręce.

– Kiedy ostatnio zaufałam temu zdaniu – wymamrotała cicho – zaprowadziło mnie tutaj, prosto w pułapkę.

– Nie zastawił jej człowiek, który wysłał mnie – zapewnił głos. – Przysięgam. – Głębokie westchnienie lekko poruszyło włosami dziewczyny. – Proszę, wejź do łazienki i wysłuchaj mnie. Bycie niewidzialną jest strasznie niewygodne, jakby pszczoły chodziły mi pod skórą. Naprawdę mam tego dosyć.

Jeśli ten przebłysk człowieczeństwa miał być podstępem, to cóż... Esther była sama, zmęczona i wystraszona, więc się poddała. Bez słowa, zaciskając zęby z wściekłości, odwróciła się na pięcie i weszła do najbliższej toalety. Stała tam ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Drobną rudowłosa kobieta skończyła nakładać tusz do rzęs i pospiesznie wyszła, rzucając Esther nerwowe spojrzenie.

Wtedy jeden z kranów sam się odkręcił, papierowy ręcznik rozwinął się z dozownika, wsunął do umywalki i nasiąkł wodą. Potem zaczął ścierać coś niewidocznego. W końcu przed umywalką pojawiła się młoda kobieta z książką i papierowym ręcznikiem ze śladami krwi, które wytarła z kartki.

– Brr! – Otrząsnęła się, jakby zrzucała z siebie pajęczyny. – To było naprawdę nieprzyjemne. Wszystko dobrze?

Esther otworzyła usta. To tamta dziewczyna, którą widziała w kolejce jakiś czas temu: patrząca ze współczuciem Azjatka

w ogromnych czerwonych okularach. Wyglądała trochę młodziej od Esther, miała czarną marynarkę, czarną torbę i bardzo białe trampki. Ktoś w rodzaju młodej ekspertki, jakie Esther widywała w telewizji i jakich nigdy nie spotkała w prawdziwym życiu.

- Wygląda na to, że tak – odpowiedziała sama sobie Azjatka.
- Choć na pewno jesteś trochę roztrzęsiona.

Do łazienki weszła matka z dwiema dziewczynkami, więc Esther i znikająca dziewczyna zamilkły, czekając, aż tamte sobie pójdą. Wydawało się, że nigdy to nie nastąpi, wybuchały kolejne kłótnie, czy młodsza dziewczynka naprawdę musi teraz siusiać (musiała, a Esther musiała tego słuchać). Gdy wyszły, zapytała:

- Co zrobiłaś tamtym ludziom? Strażnikowi i kobiecie przy biurku?

– Wstrzyknęłam im środek usypiający – odparła szczerze dziewczyna, poprawiając czerwone okulary.

- Kto ci kazał?

– Chciałabym ci powiedzieć. Ale sama rozumiesz. – Udała, że zamyka usta na kłódkę i wyrzuca klucz. – Słuchaj teraz. Spóźniłaś się na lot, co mocno pokrzyżowało plany, ale udało mi się wszystko załatwić. Dlatego trochę trwało, zanim cię wydostałam. Swoją drogą przeproszam za opóźnienie, chociaż tak naprawdę nie zrobiłby ci krzywdy. Powiedziano mi, że chcą cię żywą. – Po tym oświadczeniu włożyła książkę do torby i podała Esther plik kart pokładowych, wszystkie na imię i nazwisko Emily Madison. – Lot do Los Angeles masz za jakieś trzydzieści minut i bardzo dobrze: środek usypiający działa około godziny, a chcemy, żebyś stąd odleciała, zanim się ockną i podniosą alarm.

Esther chwyciła karty pokładowe. Pogodne i rzeczowe podejście nieznajomej przypominało Pearl – gdyby Pearl umiała utrzymać w czystości choć jedne trampki. Esther próbowała się opierać, ale to, że ta sympatyczna dziewczyna mówiła jej, co ma robić, okazało się balsamem dla jej roztrzęsionej duszy.

– Nie zdradzisz mi, czyje polecenia wykonujesz? – zapytała tylko.

– Nie mogę ci powiedzieć, kto mnie przysłał – usłyszała. – Mogę za to wyjawić, że na co dzień pracuję w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa, co w sumie ma niewielkie znaczenie.

– Jeśli polecę tym samolotem – indagowała dalej Esther – co się ze mną stanie?

– Mamy nadzieję, że nic złego.

To nie była otucha, której Esther oczekiwała.

– A jeśli nie polecę?

Dziewczyna spojrzała na nią ze współczuciem.

– Nic dobrego.

Pół godziny później Esther szła do swojego miejsca na końcu samolotu. Wszystko wokół niej wyglądało normalnie, pasażerowie upychali bagaże, spierali się z dziećmi i głośno pytali stewardesy, czy sprzedają na pokładzie skarpety uciskowe, a jeśli nie, to dlaczego. Jednak ci ludzie mogli być równie dobrze okryci magią, w bagażach podręcznych trzymać zaklęte książki i wykonywać tajne rozkazy osób, których imienia nie wyjawiają, dla powodów, których nie podadzą. Wszyscy mogli stanowić zagrożenie.

A jednak wsiadała na pokład. Dobrowolnie dała się zamknąć w latającej metalowej tubie, zamiast uciekać na odludzie Nowej Zelandii (czy Nowa Zelandia ma w ogóle jakieś odludzia?). Znowu zaufała nieznajomej, i to tylko dlatego, że wymówiła jedno hiszpańskie zdanie, które tak wiele dla niej znaczyło, tak ją poruszało. Ostatnio nawet dosłownie.

Miejsce miała przy oknie, sąsiadów ze środkowego i zewnętrznego fotela jeszcze nie było. Włożyła torbę do schowka i usiadła, zapatrzyła się w asfalt. Jeśli zostanie zabita podczas lotu, spoko. Zawsze to lepiej umrzeć w błękitnie nieba niż na tle szarej ściany.

Spojrzała na przejście między rzędami, ktoś je blokował i się gapił. Właściwie było ich dwóch: młodzi biali mężczyźni, mniej więcej w jej wieku. Jeden miał rdzawe włosy i jednodniowy zarost, był przystojny i dobrze ubrany. Drugi, stojący za nim – bardzo wysoki, barczysty, z błękitnymi oczami – wyglądał, jakby chciał zakląć.

Nie było w tych facetach nic takiego, co mogłoby wyjaśnić gwałtowne, niepojęte przeświadczenie, że absolutnie nie chciała siedzieć obok nich.

Może to, jak na nią patrzyli, uruchomiło jakiś ostrzegawczy dzwonek. Szeroki, wytrenowany uśmiech, który posłał jej niższy, wcale nie pomógł. Serce jej przyspieszyło, gdy chłopak dwukrotnie sprawdził numery miejsc.

Nie tutaj, błagała w myślach, tylko nie tutaj. A sekundę później rudowłosa umieścił torbę w schowku i wsunął się na miejsce obok Esther; drugą torbę postawił sobie na kolanach. Jego duży przyjaciel usadowił się na siedzeniu przy przejściu i popatrzył spode łba na swoje kolana, wciśnięte w oparcie fotela przed nim.

Torba niższego młodzieńca poruszyła się i zaskomlała. Esther, wbrew sobie zachwycona, zrozumiała, że w środku siedzi pies. Pasażer obrócił się w stronę sąsiadki i przejechał dłońmi po udach, jakby się denerwował, chociaż z jego twarzy nie schodził tamten swobodny uśmiech. Wyglądał na człowieka bogatego.

– Cześć – odezwał się. – Och, Boże, jak dobrze zająć już swoje miejsce. Nie sądzisz, że to lotnisko to kompletny dom wariatów? – Jego angielski przywodził na myśl wyścigi konne i psy corgi. Skinęła niezobowiązująco głową, lecz się nie odezwała, a on ciągnął niezrażony: – Nie chcieli nas odprawić na poprzedni lot, bo pojawił się jakiś nagły problem z biletami i musieliśmy je przebukować na ten samolot. Co za tortura! – paplał dalej. – Dokąd lecisz?

Rzuciła mu najbardziej obojętne spojrzenie, na jakie potrafiła się zdobyć.

– W to samo miejsce, co i ty – odpowiedziała.

– Racja, naturalnie – rzekł tylko.

Chyba w końcu zrozumiał aluzję. Wsunął torbę z psem pod siedzenie przed sobą, rozpiął jedno siatkowe okienko i włożył rękę do środka. Esther rzuciła okiem na czarny mokry nos, na puchatą sierść i zacisnęła pięści. Ostatni raz widziała jakiegoś psa przed dziesięcioma miesiącami, chęć pogłaskania była przytłaczająca. Może jak wystartują, chłopak znowu postawi torbę na kolanach, może nawet pozwoli pieskowi wystawić głowę i się przywitać? Tymczasem zasunął okienko i odchylił się na oparcie, podnosząc jakiś włos z ciemnych spodni.

– Co to za pies? – Jednak się nie powstrzymała.

– Pomeranian. – Chłopak delikatnie trącił torbę stopą. Esther zauważyła buty z drogiej skóry i woskowane sznurowadła. – Nie przejmuj się – dodał. – Lubi latać, nie będzie wyć całą drogę.

Esther zaobserwowała, że właściciel psa jest młodszy, niż początkowo sądziła. Postarzało go jedynie zmęczenie. Skórę miał ziemistą, usta spierzchnięte, a pod oczami fioletowe podkówki, jedną mocno przekrwioną. Wcześniej nie dostrzegła tego, zajęta drogim ubraniem i arystokratycznym akcentem.

Jego niebieskooki towarzysz też usiadł twarzą do Esther i wpatrywał się w nią jak kot, który dostrzegł wiewiórkę, dopóki elegancki nie wbił mu łokcia w żebra – gest w założeniu chyba miał być subtelny. Dali jej spokój, nie rozmawiali ze sobą i nie próbowali jej zaczepiać. Esther zaczęła powoli się odprężyć. Przestań, powtarzała sobie. Przestań dopatrywać się we wszystkim zagrożenia.

Stewardesa radośnie podziękowała czynnym żołnierzom oraz członkom programu Gold Wings Plus i wreszcie samolot pomknął po płycie lotniska. Skrzydła złapały powietrze, ziemia kurczyła się w dole, szmaragdowozielona, upstrzona drogami i budynkami. Zastąpił ją migocący błękit zatoki, lecieli nad otwartą wodą.

Odwróciła się od okna i otworzyła powieść, którą kupiła na lotnisku kilka godzin wcześniej. Chciała jedynie odciąć się od sąsiadów, w takim wzburzeniu nie zrozumiałaby ani słowa. Chłopak obok niej też wyjął książkę, ale jej nie otworzył. No dobrze, może trochę ponosiły ją nerwy, ale naprawdę coś było nie tak z jego energią. Noga mu podskakiwała. Bał się latać? Powiedział, że pies lubi takie podróże, o sobie nie wspomniał.

– Co czytasz? – odezwał się nagle, odwracając do niej tylko głowę, jak sowa.

W milczeniu pokazała okładkę. Może gość w końcu zrozumie, że nie chciała rozmawiać?

– Lubisz książki? – spytał.

Czy tylko jej się zdawało, czy położył subtelny nacisk na słowo „książki”? Spojrzała na jego kompana, który, lekko pochylony, znów się w nią wpatrywał.

– Lubię – powiedziała.

– Czytałaś kiedyś tę?

Zdawkowo zerknęła na tomik trzymany na kolanach i... najpierw zareagowało jej ciało, potem mózg. Serce ścisnęło się boleśnie, po czym zaczęło bić dziesięć razy szybciej, twarz mrowiła. To *La Ruta Nos Aportó Otro Paso Natural* Alejandry Gil. Mało tego, to książka Esther! Poznałaby ją wszędzie, po tym zagięciu w rogu, malutkim rozdarciu na grzbiecie...

– Skąd to masz? – wyszeptała. Nie chciała szeptać, ale struny głosowe odmówiły jej posłuszeństwa, gardło się zacisnęło, oddech ledwie wydostawał się z płuc.

Szczęki pułapki zatrzasnęły się na niej po raz kolejny.

– Od Maram – oznajmił, tak jakby imię wyjaśniało wszystko.

– Nie... – Próbowała złapać powietrze. – Nie wiem, kto to jest.

– Ona wie, kim ty jesteś. – Niebieskooki miał zaskakująco silny bostoński akcent.

– A my nie wiemy – wtrącił się Anglik. – Kim jesteś?

Jak mogłaby odpowiedzieć na to pytanie?

– Jestem osobą, której ukradliście tę książkę.

– Niczego nie kradliśmy – odparł Anglik wyraźnie urażony. Dość ciekawe, skoro trzymał w ręku jej książkę.

– To oddaj – zażądała.

Chłopak spojrzał na przyjaciela, tamten wzruszył ramionami i skinął głową – Esther, ku własnemu osłupieniu, już miała książkę w dłoniach. Przytuliła ją mocno do piersi, nie przejmując się tym, że wygląda jak dziewczynka z pluszowym misiem.

– Skoro nie znasz Maram, to dlaczego przysłała nas do ciebie? – dopytywał chłopak, zwracając się i do niej, i do kumpla. – Bo przecież nas przysłała, prawda? To jasne. Powiedziała, żeby pokazać tę książkę kobiecie z lustra. I jeszcze nasze bilety: z Paryża do Zurychu, z Singapuru do Auckland. Szczerze mówiąc, prawie się posikałem, jak cię poznaliśmy w kolejce.

– Ja cię rozpoznałem – poprawił niebieskooki.

– Racja. Poznał cię Collins.

– Sean.

Anglik wydawał się przelotnie zaskoczony, szybko skinął głową.

– Właśnie, Sean. To Sean. A ty jesteś...?

– Nie powiem, jak się nazywam – warknęła dziewczyna. – Nie zdradzę wam nic, dopóki nie wyjaśnicie, skąd macie moją

książkę, dlaczego siedzicie obok mnie i coście, do cholery, za jedni.

– Słuchaj, jesteśmy tak samo zdezorientowani jak ty – starał się ją uspokoić rudy.

Duży niebieskooki, który z całą pewnością nie miał na imię Sean, pochylił się do niej ponad kolanami kolegi.

– Widzieliśmy cię – wymamrotał tak cicho, że ledwie słyszała jego głos przez huk samolotu. – Widzieliśmy cię w lustrze, jak walczyłaś z Trethewayem.

Esther prawie puściła książkę.

– To wy? – wysyczała. – Wy byliście po drugiej stronie cały ten czas? Od was mam te bilety?

– Co? Nie – zaprotestował natychmiast elegant.

– Ciii – powiedział Bostończyk, choć i tak rozmawiali półgłosem. Dopiero teraz spostrzegła, że nachylają się do siebie i prawie dotykają głowami. Odchyliła się gwałtownie, położyła rękę na pasie bezpieczeństwa. Idiotyczny gest, niby dokąd chciała stąd uciekać?

Bostończyk zauważył jej ruch.

– Nic ci nie zrobimy.

Wyglądał na takiego, co może zrobić, i to bardzo dużo.

– Oczywiście, że nie – potwierdził Anglik.

On przynajmniej sprawiał wrażenie nieszkodliwego. Już ich oceniła, dwóch złoli, mięśniak i mózg, chociaż co do mózgu mogła się mylić.

– Potrzebujemy tylko odpowiedzi – ciągnął ten mniej umięśniony. – Dlaczego Tretheway na ciebie polował? Co łączy cię z Biblioteką? Gdzie to było, to miejsce, w którym

walczyliście? Czy z tamtą blondynką wszystko w porządku? Dlaczego książka na ciebie nie podziałała? Cze...

– Stop – przerwała mu Esther. – Zwolnij, nie rozumiem połowy z tego, co mówisz. Jaka Biblioteka? No i czy to nie Trev... znaczy, Tretheway... zaczarował lustra? Więc chyba jesteście wszyscy po jednej stronie?

– Nie jesteśmy po stronie Trethewaya – zakomunikował głośno i dobitnie Bostończyk, a potem ciszej, ale też z furją, dodał: – Tretheway to jebany skurwiel.

Zmęczenie i strach gasiły intuicję, a jednak Esther nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ci dwaj nie wyglądają na ludzi, którzy chcieliby ją zabić. Cóż, pocieszające. O, to będą jej słynne ostatnie słowa: „Nie czułam, żeby chcieli mnie zabić”.

Anglik podniósł palec.

– Dobrze, zacznijmy od początku. Magiczne księgi. Dlaczego na ciebie nie działają?

Esther zakręciło się w głowie. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktokolwiek spoza jej najbliższej rodziny uznał istnienie magii, a już na pewno nikt nie mówił „magiczne księgi”. Ten termin wydawał się wręcz niedorzecznie uroczy w zestawieniu z jej doświadczeniem. Może właśnie ta bezpośredniość spowodowała, że Esther nagle się otworzyła.

– Nie wiem. Po prostu zawsze tak było.

Jego oczy – jedno przekrwione, drugie dziwnie białe – skupiały się na jej twarzy, jakby czegoś szukał, jakby była instrukcją obsługi w obcym języku.

– Nie możesz czytać zaklęć?

Czy istniał jakiś powód, aby kłamać?

– Nie.

– I nie mają na ciebie wpływu?

– Żadnego.

Jego oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej i pokręcił głową – najpierw powoli, potem znowu, gwałtowniej. A potem nie wiadomo dlaczego zaczął się śmiać, nerwowo, prawie histerycznie, jakby całe wyczerpanie przeszło nagle w sypiącą iskrami, naelektryzowaną energię.

– O Jezu! – Schował twarz w dłoniach i wciąż się śmiał. – O nie!

– Co? Co? – dopytywała.

Znów pokręcił głową, rżąc jak opętany.

– Co jest? – spytał Bostończyk, a Esther ucieszyła się, że nie tylko ona czuje się tutaj skołowana.

– Już rozumiem – wysapał Anglik. – Już rozumiem, dlaczego Maram nas do ciebie wysłała. – Spojrzał na nią z obłąkanym uśmiechem. – Jesteś taka jak ja – dodał i znowu zarechotał. – O kurwa... Jesteś Skrybą.

W Bostonie sypał śnieg.

– Trzeba było lecieć do Los Angeles. – Nicholas trząśł się na chodniku przed rozpadającym się bliźniakiem, do którego doprowadził ich Collins.

Ochroniarz wszedł po cementowych schodach i czekał, aż ktoś zareaguje na jego głośne pukanie. Sir Kiwi, trzymana na smyczy, szukała miejsca do siusiania na skrawku martwego klombiku, który Nicholas uznał za trawnik.

– No coś ty, Nicholas? – prychnęła Esther. On i Collins porzucili fałszywe imiona gdzieś nad południowym Pacyfikiem. – Nie podoba ci się urocza pogoda Nowej Anglii?

Krążyła po chodniku tam i z powrotem z energią, jakiej Nicholas nie spodziewałby się po kimś, kto nie spał, odkąd opuścili Nową Zelandię.

– Odrobinę za bardzo przypomina mi Starą Anglię.

Prawie trzydzieści godzin temu, kiedy zostawiali za sobą ziemię Biblioteki, zaczął padać mokry śnieg i od tamtego czasu Nicholas nie mógł się ogrzać. Dobrze, że Collins kazał mu wziąć ciepłą kurtkę, bo uciekłby w samym swetrze. Pakował torbę Sir Kiwi i plecak zupełnie otumaniony, czas gęstniał jak syrop, a Nicholas snuł się po sypialni niczym we mgle, biorąc do ręki i odkładając jakieś przedmioty. Na pewno potrzebował szczoteczki do zębów, ale czy przydadzą mu się półbuty? A lniany szlafrok? Czy powinien wziąć spinki do mankietów?

– Nie, nie, nie. – Collins wysypał zawartość plecaka na łóżko.
– Usiądź. Ja to zrobię.

Nicholas był zbyt zmęczony i oszołomiony, żeby się kłócić. Uparł się tylko przy zaczytanym egzemplarzu *Trzech muszkieterów*, sprzęcie do pobierania krwi, bo bez tych dwóch rzeczy nigdy nie podróżował, oraz sfalszowanej receptce na insulinę, żeby nie skonfiskowano strzykawek. Collins uwijał się sprawnie i szybko, więc Nicholas poczuł coś na kształt upokorzenia – ono jednak szybko zniknęło, gdy prawie musiał nieść swojego ochroniarza przez dwa hektary osłon Biblioteki.

Widział już, oczywiście, że widział, jak ludzie przedostawali się przez osłony, ale zawsze siedzieli w samochodach, więc efekty były tak krótsze, jak i mniej zauważalne. A Collins ledwie trzymał się na nogach, oczy mu się wywracały, bredził coś, gdy Nicholas prowadził go do drogi przez wysoką, mokrą trawę, co i rusz potykając się i uginając pod jego niemałym ciężarem. Jak tylko wydostali się spod osłon, Collins zaklął i padł na kolana, nogawki nasiąkały mu roztopionym śniegiem. Potem wstał, poruszył ramionami i jakby nic się nie stało, zaczął iść czarnym chodnikiem, szukając samochodu, który mógłby ukraść.

Kolejny powód, żeby jak najszybciej usunąć jego UZP: Nicholas chciał się dowiedzieć, gdzie – u licha – Collins nauczył się spinać auta na krótko. Chociaż tutaj, w Bostonie, nie zamierzali tego zrobić. Teraz chcieli zdobyć samochód legalnie. Pożyczyć go. Najwyraźniej.

To Esther wpadła na pomysł, żeby nie lecieć do Burlington, tylko zostać w Bostonie i pojechać do Vermont własnym sumptem.

– Ale bilety... – protestował Nicholas w samolocie, gdzieś nad Środkowym Zachodem.

– Właśnie – mruknęła. – Może wy ufacie tej waszej Maram, ale ja nigdy jej nie poznałam. Nie podoba mi się myśl, że zna każdy nasz ruch, każde posunięcie, bo je osobiście zaplanowała. To nasza jedyna szansa, żeby się urwać. Dojedziemy tam, dokąd chce, żebyśmy dojechali, ale zrobimy to po swojemu.

– Niby jak? – rzucił sceptycznie Nicholas. – Do wynajęcia samochodu potrzebujesz dokumentów, paszportów i tak dalej, czyli też zostawiasz ślad. Pewnie to samo będzie z autobusem.

Esther nie wypaliła żadnej riposty, co oznaczało, że przyznała mu rację. Nicholas ucieszył się w duchu, że poznał ją już na tyle, żeby to zauważyć. Dwadzieścia cztery godziny podróży oraz intensywnej rozmowy mocno przyspieszyły wstępne etapy znajomości. I po przeżyciu ćwiartki swojego życia Nicholas uznał, że być może zyskuje pierwszego nieopłacanego przyjaciela.

– Mogę nam załatwić samochód – zaproponował nagle Collins. Siedział cicho, bo rozmowę poprzedziła stewardesa z przekąskami i bez reszty zajęła go mikrotorebka chrupek. Wsywał resztkę pomarańczowego pyłu do ust i wytarł ręce.

– Jak? – spytał znowu Nicholas.

– Jestem z Bostonu – padła prosta odpowiedź. – Mam ludzi.

– Rodzinę? – Anglik chętnie poznałby gigantów, którzy spłodzili Collinsa, ale ten pokręcił mocno głową.

– Ludzi – powtórzył. – Dadzą nam samochód.

– Ma ludzi, którzy dadzą nam samochód – przekazała Esther Nicholasowi.

– Mhm, dziękuję ci, też tu jestem.

– A więc postanowione – podsumowała. – Nie lecimy do Burlington.

Tak też się stało. Po wylądowaniu w terminalu Logan znaleźli automat telefoniczny – coś, co Nicholas widział tylko w filmach. Collins wszedł do budki i odbył krótką, acz intensywną rozmowę telefoniczną. W efekcie dojechali głośnym i brudnym metrem do tego okropnego domu na nieokreślonym rogu szarej ulicy.

Z miejsca, gdzie stał, Nicholas widział pralnię, irlandzki pub, sklep Armii Zbawienia, jeszcze jeden irlandzki pub, pizzerię i kolejny sklep – na jego szyldzie widniał hamburger z pierścieniami w stylu Saturna. Starsza kobieta z papierosem zaciśniętym między zębami zatrzymała się obok, żeby jej korpulentny, podobny do żuka psiak mógł podnieść nogę i wypuścić wodospad parujących sików na czyjąś oponę samochodową.

– Ale sobie mój malutki siusia i siusia! – zawołała.

Jeśli tak wygląda życie poza Biblioteką, pomyślał Nicholas, to może powinienem zaryzykować i nigdzie się stamtąd nie ruszać.

Esther zatrzymała się tak gwałtownie, że Nicholas oderwał wzrok od kobiety i spojrzał na otwierające się drzwi. Szerokie plecy Collinsa zasłaniały osobę w środku. Ochroniarz pochylił głowę i słuchał, po czym odwrócił się i podbiegł do Esther i Nicholasa.

– Ona chce, żebyśmy weszli, zanim da nam wóz – oznajmił i przejechał dłonią przez włosy. – Nic nie mówcie, dobra? Tylko „proszę”, „dziękuję” i takie tam.

– Kim jest ona? – spytała Esther.

– Lisa. – Collins już wracał na schody, więc Esther prawie za nim pobiegła (skąd w niej tyle energii?).

Za to Nicholas zawahał się, zdenerwował. Chciał zobaczyć życie swojego ochroniarza przed pobytem w Bibliotece, ale

martwił się, że on i Esther odjadą stąd sami, bez Collinsa. Że osiłek zdecyduje zostać tutaj, w swoim mieście, ze swoimi ludźmi, z dala od Maram i intryg Biblioteki. Nicholas nie miałby mu tego za złe; w końcu obaj na swój sposób pragnęli wolności... Pytanie tylko, jak by wyglądała.

Miał nadzieję, że nie będzie przypominać Bostonu.

Wszedł za Esther.

Jakaś kobieta, pewnie właśnie Lisa, czekała na nich w ciemnym, drewnianym holu, pełnym kurtek, butów i czapek. Nicholas spodziewał się kogoś podejrzanego i twardego, bardziej w stylu Collinsa, a Lisa okazała się zupełnie inna. Miała czarną skórę, jakieś czterdzieści lat, szeroką, żywą twarz, fioletową szminkę i wyblakłą różową bejsbolówkę Cape Cod.

– Twoi współpracownicy? – zapytała Collinsa, przyglądając się Nicholasowi i Esther z zainteresowaniem.

– Nie. Odszedłem.

Jej ton, lekki i nieco kpiący, wyraźnie się zmienił.

– Jak to „odszedłeś”? Nikt nie odchodzi.

– To skomplikowane.

Przez chwilę bawiła się małym złotym krzyżykiem na szyi.

– Możemy dać ci samochód – odezwała się wreszcie. – Nie możemy dać ci ochrony. Wiesz o tym, prawda?

– Prosiłem o ochronę?

Esther spojrzała na Nicholasa z uniesioną brwią. „Co jest, kurwa?”, powiedziała bezgłośnie, a Nicholas pokręcił głową.

Lisa patrzyła na Collinsa, dopóki ten nie odwrócił wzroku, i westchnęła.

– Pewnie w ogóle nie ma sensu pytać. Byłbyś w stanie odpowiedzieć? Zakładając, że w ogóle byś chciał?

Nicholas wytrzeszczył oczy.

– Nie – odparł jego bodyguard.

– Jasne. – Spojrzała w dół i dopiero teraz spostrzegła Sir Kiwi. – A co to za słodziak, hę? Jak reaguje na koty?

– Nie miała okazji poznać żadnych kotów – po raz pierwszy włączył się do rozmowy Nicholas.

– Brytyjczyk – powiedziała Lisa do Collinsa, a zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Tak samo jak Bowie.

Kobieta przyłożyła dłoń do serca.

– *Touché.*

– Ja nie jestem Brytyjką – odezwała się Esther. – Dzięki, że pożyczasz nam samochód.

– Nie dziękuj, dopóki go nie zobaczysz – zaznaczyła Lisa. – Dobra, zostawcie tutaj bagaże i wejdźcie. Tansy przyprowdzi auto, ale będzie za jakieś dziesięć minut. – Mówiła przez ramię, pchając ciężkie drzwi do mieszkania na dole. – Jeśli jesteście głodni, to upiekłam wczoraj ciasto pomarańczowe.

– To nadżgane? – zainteresował się Collins.

– Jeśli dwie nędzne łyżki rumu uważasz za alkohol...

Nicholas nie myślał o cieście, nadżganym czy nie. Zatrzymał się w wejściu do salonu. Nigdy wcześniej nie był w zwykłym domu.

Odwiedził niezliczone hotele i penthouse'y, nawet kilka ekskluzywnych pensjonatów, ale nigdy nie przekroczył progu mieszkania, w którym ludzie tak po prostu... żyją.

– Siadajcie – zaprosiła ich gospodyni, a potem wskazała na Collinsa. – Ty chodź ze mną do kuchni.

Wyszli przez łukowe przejście w drugim końcu pokoju i Esther od razu rzuciła się na kanapę. Z różowego prześcieradła podniosła się chmura jasnej sierści jakiegoś kota. Nicholas popatrzył na swoje ciemne ubranie i na razie przykucnął, uwolnił Sir Kiwi ze smyczy. Pobiegła sprawdzić każdy kąt i dokonać szczegółowej inwentaryzacji różnych zapachów. Jej pan w tym czasie rozglądał się po salonie.

– Czy to normalne, żeby dom był taki... mały?

Dziewczyna nie zrozumiała.

– Ten pokój jest ogromny.

– Hmm.

Parsknęła śmiechem. Leżała na tej obsypanej kocią sierścią kanapie tak jak na aksamicie. Nicholas już zauważył, że umiała znaleźć wygodę w każdym miejscu.

– Nie jesteśmy przyzwyczajeni do odwiedzania domostw zwykłych ludzi, prawda, książę Nicholasie?

– Nie jestem księciem – odparł poważnie chłopak. – Teoretycznie rzecz biorąc, jestem pomniejszym baronem.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość.

– Właściwym sposobem zwracania się byłoby „panie”.

– Nie ma mowy – ucięła Esther. – Nawet dla żartu.

Anglik wrócił do katalogowania różnorodnych mebli. Sofa w kolorze fuksji była niemal stonowana w porównaniu z fotelem w żółto-pomarańczowe paski. Drugi fotel, neutralnie beżowy, obsypany tęczowe poduszki. Na wytartych deskach podłogi leżał jedyny dywan, miętowo-zielony marokański Boujad, kiedyś zapewne ładny, teraz mocno sfatygowany.

Nicholas czytał w książkach, że coś było „sfatygowane”, ale nigdy czegoś takiego nie widział.

Na ścianach wisiały obrazy, jedno całkiem urocze – oprawiony w złoczoną ramę olejny portret czarno-białego kota śpiącego w ogrodzie, a inne naprawdę niepokojące. Podeszedł bliżej, żeby przyrzeć się rysunkowi niewydepilowanej nagiej kobiety, która wyciągała z pochwy trójgłowego węża i wydawała się zachwycona całą sytuacją. Nicholas się odsunął.

Cóż, przynajmniej było tu ciepło, cudownie ciepło i czuł, jak to ciepło rozgrzewa go aż do rdzenia, przepływając przez kości niczym stopione złoto. Takie ciepło mógł dawać tylko ogień, czyli gdzieś musiał być kominek, choć Nicholas nie czuł dymu.

Ledwie to pomyślał, Esther zawołała go po imieniu.

Odwrócił się. Nie leżała już na kanapie, kuciała w rogu pokoju i czemuś się przyglądała. Podeszedł do niej i zobaczył duży kamień, umieszczony na drewnianej podłodze. Pomijając sam fakt, że kamieni – z tego, co się orientował – nie trzymano w domach, ten konkretny niczym się nie wyróżniał.

– Tak, ma raczej dziwny gust, prawda? – skomentował.

– Przykucnij – poprosiła Esther. Młodzieniec niechętnie uklęknął obok niej na podłodze.

Podbiegła do nich Sir Kiwi, ucieszona, że ludzie zeszli do jej poziomu. Nicholas przyglądał się kamieniowi, badał szarą powierzchnię i plamki miki. Zrobiło się jeszcze cieplej, więc podwinął rękawy swetra.

– Po bliższych oględzinach mogę potwierdzić, że tak, to faktycznie kamień – zawyrokował.

– Potrzyмай nad nim rękę. Nie dotykaj.

Wyciągnął i od razu cofnął dłoń.

– Parzy!

– Właśnie. I jestem pewna, że ogrzewa cały ten pokój.

Przyjrzał się kamieniowi i zobaczył brunatne ślady, widoczne dopiero wtedy, gdy się wiedziało, czego szukać.

– To przecież...

Dziewczyna skinęła głową.

– Magia.

– Nie uwierzysz, ile oszczędzamy na rachunkach za ogrzewanie. – Lisa wyszła z kuchni, za nią kroczył Collins. W rękach trzymał talerz z kawałkami ciasta.

– Propan czy prąd? – zainteresowała się Esther.

Gospodyni wydawała się rozbawiona.

– Prąd. Czemu pytasz?

– Z zawodowej ciekawości. – Esther wstała.

– Masz książkę – zwrócił się Nicholas do Lisy. Nie zdołał sformułować tego jako pytania.

– Mamy mnóstwo książek – odparła, zerknęła na swojego znajomego. – Nie dzięki twojemu pracodawcy.

– Pracodawcy? – zdumiał się Nicholas, a Collins uciszył go szybkim, ostrym spojrzeniem.

– Naprawdę dobre ciasto. – Ochroniarz postawił talerz na ławie. – Częstuj się.

Sir Kiwi szczerknęła z takim entuzjazmem, że zabrzmiało to prawie jak skowyt – do pokoju wszedł mały biały kot. Ogon miał wysoko uniesiony, rozkołysany. Spojrzał zielonymi oczami na Nicholasa, zasyczał ostrzegawczo i pokazał ostre zęby, gdy pies chciał się zbliżyć. Sir Kiwi od razu przewróciła się na plecy.

– Jak długo działa zaklęcie podgrzewające? – zapytała Esther, zajadając ciasto. – Ile razy można go użyć?

– Na tym polega cały dowcip! Po aktywacji kamień pozostanie gorący, dopóki nie zakończysz zaklęcia. Dlatego

latem trzymamy go w piwnicy w odłączonej minilodowce i nigdy go nie dezaktywujemy.

– Naprawdę chętnie bym się przyjrzał temu zakłęciu – stwierdził Nicholas, z trudem się powstrzymał, żeby nie dodać: „z zawodowej ciekawości”.

Lisa znów rzuciła spojrzenie Collinsowi.

– Przykro mi – powiedziała. – Obiecałam, że nie zabiorę was na górę. Cytując Tansy: nie oprowadzamy sprzedawczyków.

Przez twarz osiłka przemknął cień.

– My? – zaciekawiała się Esther. – Ty i Tansy?

Kobieta spojrzała ciężko na Collinsa.

– Widzę, że nadal ukrywasz różne rzeczy przed przyjaciółmi.
– Zwróciła się do Esther: – Nie tylko ja i Tansy. Od ostatniego spotkania liczba członków wzrosła do dwudziestu ośmiu.

– Członków? – powtórzył Nicholas.

Skinęła głową, ale nie podjęła tematu.

– Słuchaj, wiem, że i tak wyświadczasz nam przysługę – zmieniła temat Esther – ale pozwoliłabyś mi jeszcze skorzystać z komputera? Muszę wysłać mail. – Widząc wahanie, dodała: – Przysięgam, że nie ma to nic wspólnego z... tym wszystkim. Sprawa osobista. Jeśli chcesz, możesz czytać to, co będę pisała.

Lisa wzruszyła ramionami i sięgnęła po steranego laptopa, pokrytego politycznymi wlepkami, otworzyła go i wstukała hasło. Jak zauważył Nicholas, klawisze były wytarte, a ekran wymagał porządnego czyszczenia. Otworzyła przeglądarkę i podsunęła laptopa Esther; dziewczyna pochyliła się i weszła w pocztę, mrużąc oczy. Zobaczyła coś na ekranie i cofnęła się gwałtownie, jakby uderzona, a Nicholas uznał, że skoro zaspokojenie ciekawości wymaga wytarzania się w sierści, jest na to gotowy i usiadł obok swojej kompanki na kanapie.

Ktoś napisał list z wciśniętym caps lockiem.

ESTHER, CZY TY SOBIE ZE MNIE, KURWA, ŻARTUJESZ? ZNIKASZ W ŚRODKU NOCY I ZOSTAWIASZ TEN GŁUPI LIST, OBIECUJESZ JAKIEŚ KIEDYŚ WYJAŚNIENIA, A JA NIE CHCĘ ŻADNYCH KIEDYŚ WYJAŚNIEŃ, CHCĘ CIĘ MIEĆ TUTAJ, OSOBIŚCIE, I TO OD WCZORAJ! JA PIERDOŁĘ, GDZIE TY W OGÓLE ZNIKNEŁAŚ? NAWET NIE WIESZ, JAKA JESTEM NA CIEBIE WŚCIEKŁA, JAK CZUJĘ SIĘ SKRZYWDZONA I JAK SIĘ O CIEBIE MARTWIĘ! MAM ZŁAMANĄ RĘKĘ, KURWA JEGO MAĆ, I CO, W OGÓLE CIĘ TO NIE OBCHODZI?! I JESZCZE TEN NOWY TREV PRZEPADŁ I WSZYSCY MYŚLĄ, ŻE WYSZEDŁ NA LÓD I SPADŁ W JAKĄS DZIURĘ – POWIEDZ MI NATYCHMIAST, ŻE NIE SIEDZISZ TAM GDZIEŚ NA LODZIE W JAKIEJŚ DZIURZE! MATKO, DOPROWADZASZ MNIE DO SZAŁU!!!!!!!!!!!!

Zaczerwieniona Esther podniosła wzrok. Nicholas i Lisa bez skrępowania zaglądali jej przez ramię.

- Co się stało? – zapytał Collins. – Czytaj na głos.
- Nie ma mowy – mruknęła.
- To od dziewczyny, którą zostawiła na Antarktyce – wyjaśnił Nicholas.
- Jewel? – zainteresował się ochroniarz.
- Pearl – poprawiła Esther i pochyłona nad laptopem, zaczęła pisać odpowiedź, próbując zasłonić ekran. Nicholas i Lisa pochylili się razem z nią.
- No weźcie – błagała.
- Powiedziałaś, że mogę patrzeć – zauważyła właścicielka sprzętu.

Nicholas nie szukał żadnych wymówek, po prostu przeczytał na głos jej odpowiedź.

Droga Pearl, tak się cieszę, że czytam Twój głos, nawet jeśli na mnie e-krzyczysz. Nie spadłam w żadną lodową zapadlinę, mam się dobrze, nie licząc tego, jak strasznie źle się czuję z tym, że cię zostawiłam. Nie dam rady być z Tobą od wczoraj, ale przysięgam, że wkrótce się odezwę i NAPRAWDĘ wyjaśnię. Do tego czasu spróbuj mi zaufać i uwierz, że totalnie musiałam wyjechać. Myślę o Tobie cały czas i tęsknię na wiele sposobów, o których nie mogę pisać, bo siedzę na publicznym kompie...

– Co się łamiesz, wal śmiało – zachęcił Collins.

– Tak, chętnie poczytamy – przyłączył się Nicholas.

– Dobra. – Lisa odsunęła się od Esther. – Dajmy dziewczynie trochę prywatności.

Nicholas rzucił jej zranione spojrzenie, ale odwrócił się, żeby Esther mogła w spokoju dokończyć mail.

Nigdy nie czuł do nikogo tak capslockowej pasji, jaką Pearl chyba czuła do Esther, a już na pewno nikt nigdy nie czuł się tak wobec niego. Myślał, że zrobi mu się smutno, a jednak był głównie zaciekawiony. Może gdyby udało mu się raz na zawsze uwolnić od Biblioteki, gdyby prowadził życie na własnych warunkach, to odnalazłby kiedyś takie uczucie?

Esther zamknęła laptopa, a od strony wejścia rozległ się stłumiony huk.

– To pewnie Tansy z autem. – Lisa wstała. – Jeszcze kawałek ciasta?

Wyszli w ciemny korytarz, Nicholas rzucił ostatnie spojrzenie na jasny, ogrzany magią salon. Zaklęcia zawsze były towarem

luksusowym, nigdy nie widział, żeby książkę wykorzystywano do czegoś tak powszechnego i praktycznego. W piersi chłopaka rozgorzał długo uśpiony żar i po raz pierwszy od dawna Nick zapragnął napisać coś bez zlecenia, z czystej fascynacji magią. Po raz pierwszy od dawna zastanawiał się też, do czego jeszcze magia mogłaby się przydać. Jak on sam mógłby być przydatny.

Na zewnątrz, oparta o maskę obitego czerwonego samochodu, stała wysoka, barczysta biała kobieta. Srebrne włosy miała splecione w dwa długie, grube jak węże warkocze, wyglądała na ponad sześćdziesiąt lat. Nosiła kraciaste wełniane ogrodniczki, które wydawały się tak ciepłe, że Nicholas wybaczał im brzydotę. To musiała być Tansy. Stała i patrzyła chłodno na Collinsa, pobrzękując kluczykami w dłoni. Na palcach widniały poblakłe tatuaże, Nicholas rozpoznał cztery znaki tarota: kielich, różdżkę, miecz i pentagram.

– Powrócił syn marnotrawny – przemówiła kobieta szorstkim, ale dźwięcznym głosem i spojrzała na Esther. – Siema. Dasz radę z drążkiem?

Dziewczyna od razu zrobiła krok do przodu, oczy jej zabłyśły, w policzkach pojawiły się dołeczki.

– Pewnie – przytaknęła z entuzjazmem.

– Nie ma mowy! – włączył się Collins.

Tansy odwróciła do niego głowę, warkocze się zakołysały.

– Jak ostatnio używałeś sprzęgła, zgasł ci na autostradzie.

– Chyba dziesięć lat temu!

– Dwa.

– I tak tylko ja wiem, dokąd jedziemy – odezwała się Esther; Tansy położyła kluczyki na jej wyciągniętej dłoni. – Dziękuję.

– Przypomnij mi, czemu w ogóle pożyczamy mu wóz? – zwróciła się srebrnowłosa do Lisy, a potem od razu do Collinsa:

– Można by pomyśleć, że stać cię już na sto samochodów.

– Można by – mruknął.

– Miałeś zamiar dzwonić do siostry?

Nicholas pochylił się zainteresowany.

– W tej chwili nie mogę – odparł ochroniarz. – Nie mów jej, że przyjechałem, dobrze? To nie jest bezpieczne.

Lisa stanęła obok swojej kumpeli i zmarszczyła brwi.

– Powinniśmy się martwić?

– Twój wybór – odparował Collins.

– Oo? – podchwyciła Tansy. – Chcesz pogadać o wyborach?

– Ej, no, przyszedłem tylko po samochód. Dajcie spokój.

– Jasne, jasne. Bierz, jest twój. Z oczywistych względów nie musisz nam go oddawać w najbliższym czasie. – Zmrużyła oczy. – Niedługo i tak skończy na śmietniku, tak samo jak ty.

– Tansy! – skarciła ją Lisa.

– Auć – syknął Collins, ale uśmiechnął się do srebrnowłosej, a ona wyciągnęła dłoń i ścisnęła jego ramię. Była między nimi wrogość, ale też dało się zauważyć jakieś ciepłe uczucie. Nicholas pomyślał nawet, że łączą ich więzy krwi.

– Wsiadaj. – Ochroniarz zawiązał na dłoni smycz Sir Kiwi, przyciągnął psiaka do samochodu.

– Ten puszysty pomponik jedzie z tobą? – Tansy uniosła brwi.

Nicholas szedł właśnie do samochodu, Collins klepnął go w ramię.

– Jasne, że jedzie.

– Ha, ha. – Młodzieniec próbował otworzyć bagażnik. Zardzewiała klamka stawiała opór, w końcu się udało. Włożył

wszystkie torby do środka, krzywiąc się na widok brudnego wnętrza.

Jeszcze nigdy nie widział równie starego samochodu. Beżowy skaj na siedzeniach rozłaził się przy wielu szwach, odsłaniając środek; metalowe elementy nad kołami zjadała rdza. Nicholas odruchowo usiadł z tyłu, nosidełko Sir Kiwi przypiął obok siebie, wrzucił smakołyk i wsunął psa do środka.

Esther i Collins zajęli miejsca z przodu. Lisa nachylała się przez okno od strony kierowcy i tłumaczyła jakąś złożoną sytuację z reflektorami. Collins, wyraźnie niezadowolony z przydzielonej mu miejscówki, siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękami, a Nicholas cieszył się, że jest sobie z tyłu, gdzie niczego od niego nie wymagano.

Pomachał przez okno do obu kobiet, potem odchylił się na oparcie; powieki opadły mu prawie od razu, jakby obciążone. Samochód ożył z warknięciem i ruszył, Nicholas nie mógł się zmusić do otwarcia oczu.

- Kim były te babki? – spytała Esther.
- Lisa i Tansy – odparł Collins.
- Polubiłam je.
- Na pewno... – Jego głos dobiegał z bardzo daleka.

Nicholas oprzytomniał nagle, miał wrażenie, że kilka sekund później. Jechali szybko, za oknem zamiast budynków rozmywały się drzewa, a Collins klęczał na swoim fotelu i próbował odpiąć nosidełko Sir Kiwi. Zamarł, gdy Nicholas na niego spojrział.

- Zasnąłem – stwierdził Nick.
- Tak – potwierdził ochroniarz. – Sir Kiwi zaczęła skomleć, chyba jej się nudzi.

Machnął ręką, żeby Collins usiadł, po czym wypuścił psa na tylne siedzenie. Czuł się nieprzytomny i przemęczony.

– Długo spałem?

Osłupiał spojrzawszy na Esther.

– Pół godziny? – powiedziała. – Niedługo. Kimaj sobie dalej, jeśli chcesz.

Chciał, ale nie zasnął. Wyjął z kieszeni kurtki krople do oczu. Sztuczne oko wydawało się obtoczone w piasku.

– Kim były twoje przyjaciółki? – spytał Collinsa.

– Lisa i Tansy – powtórzył ochroniarz.

– Wal się. Dlaczego Lisa mówiła, że nie mogą zapewnić ci ochrony? Skąd wiedzą o książkach? O co chodziło z tym członkostwem? Dlaczego Tansy się na ciebie wkurzyła? Mówiłeś im o UZP? Czemu...?

– Możesz mnie przepytawać do bólu gardła, a ja i tak nic ci nie powiem – przerwał mu Collins. – Bo nie mogę, fizycznie i dosłownie. Chcesz dostać odpowiedzi, to dotrzymaj umowy.

Złamanie UZP. Nicholas wycisnął kolejną kroplę do oka i choć zaswędziało, nie potarł.

– Czy tu w ogóle jest ogrzewanie? Zamarzam.

– Włączone. – Collins przysunął dłoń do wylotu powietrza.

Nicholas schował lodowate dłonie w rękawy i wziął Sir Kiwi na kolana, ale wiercący się kocyk nie dał spodziewanych efektów.

– Chyba tu ciepło – zauważyła Esther.

– Nicholas jest chory – poinformował ją Collins.

– Dajże spokój – mruknął podopieczny.

– Jesteś chory? – Dziewczyna spojrzała na niego w lusterku wstecznym.

– Ma anemię – ciągnął bodyguard. – Z oczywistych powodów.

Esther uniosła brwi.

– Książki... – Zacisnęła na chwilę usta. – Im więcej dowiaduję się o tej Bibliotece, tym bardziej nie rozumiem, jak mogłeś kiedykolwiek myśleć, że jej właściciele są, no nie wiem, dobrzy?

– Nigdy nie myślałem, że są dobrzy – odparł. – Po prostu w ogóle na ten temat nie myślałem. Kiedy dorastasz, nie zastanawiasz się, czy twoja rodzina jest dobra, czy nie, zwłaszcza jeśli żadnej innej nie znasz. To po prostu rodzina.

– I przypuszczam, że obłudne bogactwo pomaga się pogodzić z pewnymi rzeczami – mruknęła. Nicholas się zirytował. Esther, która patrzyła na drogę, chyba to wyczuła, bo dodała: – Nie wytykam ci bogactwa, to wyraźnie działka Collinsa, nie śmiałabym wchodzić mu w paradę.

– Dziękuję. – Ochroniarz kiwnął głową.

– Chciałam tylko powiedzieć... – podjęła – że jeśli z wierzchu coś jest piękne i wygodne, trudniej dostrzec brzydotę pod spodem.

– Nie wszystko było brzydkie – zaprotestował chłopak, sam nie wiedząc dlaczego. Był zbyt wykończony na tę rozmowę. –

Stryj odziedziczył całą Bibliotekę, przyjął w spadku rodowe dziedzictwo. Wiem, że to ogromna odpowiedzialność. Jestem następny w kolejce.

– To sztuczna odpowiedzialność – nie zgodziła się Esther. – Twoja rodzina celowo wzięła ją na siebie, tak jak moja. Ty mówisz „odpowiedzialność”, ja słyszę „władza”.

– Czy to nie to samo?

– Nie! I nie rozumiem, dlaczego bronisz człowieka, który, jak sam powiedziałeś, zainscenizował twoje porwanie i wyrządził ci

autentyczną krzywdę, żeby wymusić lojalność.

Nicholas zacisnął palce na futerku Sir Kiwi.

– Nie bronię go – wycedził.

– Daj chłopakowi spokój – westchnął Collins. – Dowiedział się o tej sprawie z okiem trzy doby temu. Chwilę mu to zajmie.

– Co chwilę mi zajmie? – zdenerwował się Nicholas. – Uciekłem stamtąd, prawda? Może odrobinę, kurwa, uznania?

– Słusznie – przyznał wielkolud.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, słychać było głośny warkot silnika i szuranie kół po nawierzchni. Nicholas patrzył na zieloną smugę mijanych drzew i kolejki samochodów przy zjazdach.

– A co z twoją rodziną? – spytał w końcu dziewczynę.

– W jakim sensie?

– Wiedzą, że przyjeżdżamy?

– Nie – odparła. – Joanna nie ma telefonu, a Cecily, moja mama, znaczy: macocha... Na razie nie chcę jej w to wciągać.

– Więc po prostu zjawisz się tam po tylu latach: „Ta-dam, jestem!”, zero ostrzeżenia? – upewnił się Collins.

– Im mniej osób wie o naszych planach, tym lepiej. Ciągłe nie mam pewności, czy wasza przyjaciółka Maram nie próbuje zebrać nas w jednym miejscu wyłącznie po to, żeby łatwo wyeliminować całą naszą trójkę. Zwłaszcza jeśli masz rację i faktycznie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

– Jesteś – powtórzył Nicholas po raz pięćsetny. Jej wątpliwości go denerwowały. Odkryli dwa niezbite dowody: całkowita niewrażliwość na magię oraz fakt, że coroczny nakaz wyjazdu pokrywał się z aktywacją corocznego zaklęcia szukającego Skryby.

No i jeszcze jedno: Richard przez całe życie powtarzał, że bratanek jest ostatnim i jedynym żyjącym Skrybą.

I chociaż Esther zarzucała mu nadmierną lojalność, Nicholas coraz bardziej rozumiał i akceptował, że prawie wszystko, co o sobie wiedział, było kłamstwem – fundament, na którym ukształtowała się cała jego tożsamość, również musiał być fałszem.

– Zrobimy testy, jak tylko dotrzemy do twojego domu – powiedział. – Myślisz, że dasz radę zdobyć tarninę?

– Nie mam pojęcia, ponieważ w ogóle nie wiem, co to takiego.

– Drzewo. Mogą być jagody, nasiona albo gałęzie, ale ciężko je znaleźć, więc może trzeba zamówić nasiona w specjalnym sklepie albo... – Przerwał, ponieważ zobaczył w lusterku wstecznym jej szeroki uśmiech.

– Nicholas... – westchnęła. – Skoro w ogóle pytasz, czy zdobędę tarninę, to znaczy, że źle ci opowiedziałam o swojej siostrze. Ona sama mogłaby założyć taki sklep.

– Co robi tarnina? – Collins odwrócił się do swojego podopiecznego z ostrożną nadzieją na twarzy.

– Dużo rzeczy. W twoim przypadku pomoże złamać zaklęcie UZP. Zaklęcie, które napisze Esther.

– O, świetnie – burknął bodyguard, chociaż w oczach miał uśmiech. – Oddaj mnie w ręce amatorki.

Dziewczyna milczała, jak zawsze, gdy rozmowa schodziła na taki tor. Wyczuwał w niej niedowierzenie i coś jeszcze – napięcie, gorycz. Nie umiał tego zrozumieć. Powinna się przecież cieszyć, że to, co od zawsze uważała za słabość, było tak naprawdę najbardziej zaawansowaną postacią mocy.

Jeśli ktoś miałby tu być nieszczęśliwy, myślał Nicholas, to tylko ja. Coś małego i dziecinnego w środku nie chciało wierzyć, że jednak nie był wyjątkowy. Jedyny i niepowtarzalny.

Ale kiedy byłeś jedyny, byłeś też sam.

Samotność towarzyszyła Nicholasowi od dziecka. Kilka ostatnich dni przypominało koszmar: życie wywrócone do góry nogami, potworne odkrycia, których nie zaczął jeszcze procesować, i to gówniane samopoczucie – choć nie, Collinsie, nie chodzi o chorobę. A przy tym wszystkim po raz pierwszy był tak totalnie nakręcony. Fakt, oddał dużo krwi, doznał kilku wstrząsów i prawie nie spał, co mogło wpłynąć na jasność myślenia, mimo wszystko...

Maram zorganizowała ucieczkę, więc dowiodła raz na zawsze, że jej na nim zależy; z Collinsem może, może zostaną przyjaciółmi; z Esther mają szansę na to samo, Sir Kiwi nie groziło niebezpieczeństwo, a on wreszcie przestał być samotny.

– Hej tam, Nicholas. – Ochroniarz patrzył w lusterko.

– Hej, Collins...

– To w chuj przerażające, jak się tak do siebie uśmiechasz.

Nick uśmiechnął się jeszcze szerzej; Esther, nie zmniejszając prędkości, zjechała z autostrady; Collins zaparł się rękami o szybę.

Joanna stała przy blacie w kuchni, próbując otworzyć szczelnie zamknięte pomidory, gdy usłyszała silnik. Zamarła ze słoikiem w jednej ręce, z nożem do podważenia metalowej pokrywki w drugiej i nasłuchiwała. Zgadza się: warkot rozlegał się znacznie bliżej niż szum przejeżdżającej od czasu do czasu ciężarówki, słyszany zimą, kiedy drzewa zrzucały liście i odgłosy z autostrady docierały aż tutaj, do podjazdu.

Odstawiła pomidory.

Na pewno to tylko sztuczka wiatru, który przyniósł dźwięk z odległej ulicy. Zmysły napięły się mocno, wychwytyjąc to, co nawet dla psa byłoby niesłyszalne, ale dźwięk przybliżał się, zamiast się oddalać. To jakiś silnik... samochodu... na jej podjeździe.

Niemożliwe! Zrobiła krok i stanęła, jeszcze jeden i stanęła znowu. Serce zaczęło bić tak szybko, że zabrakło jej tchu – co mogłaby zrobić? Minęła już dziewiętnasta i Joanna właśnie ustawiła osłony, poczuła mrowienie i świst, gdy się uaktywniły, więc ten warkot, ten samochód, to zbliżanie się było niemożliwe.

W ciągu kilku sekund miała mokre dłonie, wytarła pot o dzinsy. W szafie na końcu korytarza stał karabin myśliwski, pobiegła po niego. Ale nawet gdy wytrząsała naboje ze starego pudełka i wkładała je do lufy, zadrżała na myśl, że miałyby do kogoś strzelić. Ile czasu miała na oswojenie się z tą myślą? Minutę? Mniej?

Samochód się zbliżał.

Joanna podeszła do drzwi i zgasiła światło w korytarzu. Z tego kąta widziała ciemny podjazd przez małe okno z czterema szybkami, za to nikt nie mógł jej zobaczyć. Karabin ślizgał się w spoconych dłoniach, słyszała własny szybki oddech. Nic to nie da, jeśli spanikuje. Nakazała sobie rozluźnić ramiona, szczękę, niech ciało zachowa spokój i oszuka umysł – wtedy przez gałęzie błysnęły światła auta i kolejny przyływ adrenaliny spiął te wszystkie mięśnie, które zdołała odprężyć. Samochód pokonał zakręt, teraz był bardzo dobrze widoczny.

Joanna pochyliła się, rozpaczliwie próbując dojrzeć pasażerów, ale po zachodzie słońca panowała zbyt gęsta ciemność, żeby cokolwiek zobaczyć. Wóz zatrzymał się obok jej półciężarówki, światło werandy oświetliło dwie postacie na przednim siedzeniu.

Jedna z nich była duża i kwadratowa, druga mała, z burzą ciemnych włosów, tyle zauważyła na pierwszy rzut oka. Skupiona na tym dużym i kwadratowym, ze strachem przesuwając wzrokiem po szerokich ramionach, kątem umysłu próbowała wypatrzeć drugiego pasażera. Nagle poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w brzuch, dostała zawrotów głowy. Jej ciało rozpoznało kierowcę, zanim mózg zdążył się zorientować. Umysł szybko nadrobił zaległości.

Osoba za kierownicą odwróciła się w stronę światła i Joanna bardzo wyraźnie zobaczyła coś niewiarygodnego: swoją siostrę.

Ta świadomość wcisnęła się do każdego zakątka umysłu Joanny. Zupełnie jakby w jej głowie wybuchła bomba: w uszach dzwoniło, serce łomotało jak dzikie. Esther. Esther była tu, na podjeździe. Jo zamknęła, potem otworzyła oczy. Esther nie zniknęła. Esther zgasiła silnik samochodu.

Jo nie mogła się ruszyć, nie mogła oddychać i aż podskoczyła, gdy karabin wyslizgnął się jej z palców i uderzył o deski podłogi. Podniosła go roztrzęsiona i patrzyła, jak siostra – jej siostra, tu, w ich domu! – przeczesuje dłońmi włosy i mówi coś do postaci obok. Potem wysiadła; głośne trzaśnięcie drzwiami odbiło się w ciele Joanny niczym strzał.

Cofnęła się od drzwi, wolną rękę przyciskając do piersi, w drugiej trzymała karabin. Ile razy o tym marzyła, żeby jeszcze kiedyś zobaczyć siostrę w tym domu? A jednak mogła tylko stać i patrzeć w okno jak w ekran telewizora, jakby to, co znajduje się po drugiej stronie, nie mogło przedostać się na tę stronę, do jej życia.

Esther stanęła przy masce. Patrzyła na stare kąty, z twarzą nieruchomą i nieczytelną w cieniu, i taką dojrzałą, dorosłą. Za nią z tylnego siedzenia wyszła trzecia osoba, której Joanna wcześniej nie zauważyła. Młody mężczyzna trzymał na rękach mały kłębek futra, lecz Joanna mogła się skupić tylko na siostrze.

Esther wzięła bardzo głęboki oddech, po czym odwróciła się i przeszła na stronę pasażera.

Otworzyła drzwi, pochyliła się, pomogła wysiąść swojemu barczystemu towarzyszowi. To również był mężczyzna i choć o wiele wyższy i potężniejszy od Esther, trzymał się jej tak kurczowo, jakby sam, bez pomocy mógł upaść. No tak, osłony zadziałały, więc niewykluczone, że naprawdę nie ustałby na nogach.

Za to pasażer z tylnego siedzenia wydawał się zadziwiająco niewzruszony. Przechadzał się po ciemnym podwórku, patrzył nie tyle na dom, ile w niebo, i nie sprawiał wrażenia ani oszołomionego, ani zdezorientowanego.

Byli ze trzy długości półciązarówki od domu; słyszała ich głosy, choć nie rozumiała, co mówią. Mężczyzna, na którego osłony nie działały, wciąż spacerował. Gdy dotarł do linii drzew, Esther zawołała do niego głośno, wezwała go do siebie. Głos siostry uderzył Joannę tak, jak młot uderza w szkło. Nic a nic się nie zmienił. Brzmiał jak dzieciństwo Joanny – minione, pełne słońca, bezpieczne.

Teraz Esther i przywołany młody mężczyzna podtrzymywali po obu stronach tego dużego. Po chwili zaczęli zbliżać się do werandy, wolno wchodzili w krąg żółtej poświaty. Byli już przy schodach. Gdyby któreś z nich podniosło wzrok, zobaczyłoby w oknie bladą twarz dziewczyny, jednak oboje skupiali się na swoim towarzyszu, zmuszając go, żeby ugiął nogi i szedł po schodach. Pokonali już pierwszy stopień. Drugi. Zostały dwa.

Za mało czasu, żeby pozbierać wszystkie małe kawałki, na które Jo się rozpadła, gdy usłyszała głos siostry.

Ale dobrze. Wyprostowała plecy, ramiona, pozornie spokojna i opanowana. To jej dom. Znów zapaliła światło w przedpokoju. Otworzyła drzwi.

Przed nią stała Esther.

Wpatrywały się w siebie. Joanna czuła, że szeroko otwiera oczy, i nie mogła nad tym zapanować. Usta Esther wygięły się w uśmiechu, takim odruchowym, takim znajomym. Przez chwilę wyglądała identycznie jak we wspomnieniach Joanny, wesoła i urocza, zarażająca wszystkich swoją energią, ale potem wzrok zaczął rejestrować zmiany. Twarz nadal okrągła, tyle że szczuplejsza, broda bardziej spiczasta, dołeczki Kalotayów głębsze, a na czole pojawiły się delikatne zmarszczki. Pogłębiły się, gdy uniosła brwi; wyraz tak charakterystyczny, że Joanna niemal czuła go na własnej twarzy.

– Cześć, Jo – przywitała się Esther, nadal podtrzymując swojego kompana. – Niespodzianka.

Joanna pragnęła powrotu siostry od chwili, w której ta wyjechała. Wyobrażała sobie tę scenę mnóstwo razy: jak obejmuje starszą siostrę ramionami, jak płacze w jej włosy, jak obie mówią naraz, jak padają pytania i odpowiedzi. Wyobrażała sobie oskarżenia, przeprosiny i pojednanie. A teraz, gdy Esther stała tutaj, Jo nie mogła zrobić żadnej z tych rzeczy.

Była taka szczęśliwa, że ją widzi.

I taka wściekła.

Nie zdawała sobie sprawy, jaki żyje w niej gniew, jaka furia, że Esther zniknęła bez pożegnania. Że odpuściła sobie całą tę miłość między nimi. Że nie wróciła nawet na pogrzeb ojca i zostawiła Joannę samą, żeby gniła i konała w tym gnijącym i konającym domu. Dzika złość odebrała jej głos.

Ciszę przerwał wielki facet, który stęknął głośno.

– Wpuścisz nas? – zapytała Esther, spojrzała na karabin w rękach Joanny. – Przysięgam, są po naszej stronie.

Jo odchrząknęła.

– Po jakiej stronie?

– Muszę ci tyle opowiedzieć – odparła Esther.

– Z ostatnich dziesięciu lat?

– Tak, ale najważniejsze są ostatnie trzy doby.

– Popatrz na biednego Collinsa – odezwał się pasażer z tylnego siedzenia; Joanna od razu rozpoznała, że jest Anglikiem. Ten duży, Collins?, pojękiwał żałośnie, głowa zwisała mu na pierś. Widok rzeczywiście przykry, ale uwagę Joanny odwróciły dwie łapki na jej nodze: skakał do niej malutki piesek o jasnych oczach i mokrym nosie. Niesamowicie uroczy,

wyglądał jak z obrazka. – Na ziemię, Sir Kiwi – nakazał Anglik.
– Bo inaczej ta miła pani cię zastrzeli.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Jo siostrę. Miało zabrzmieć stanowczo, wypadło płaczkliwie. – Dlaczego osłony działają na jego przyjaciela, ale na niego już nie?

– Jestem Nicholas – przedstawił się rzekomy Nicholas i wyciągnął rękę z taką pewnością siebie, że Joanna uścisnęła ją odruchowo. Miał zimne palce, mocny uścisk i bardzo przekonujący uśmiech na ładnej, trochę pucołowatej twarzy. – A twoje drugie pytanie wymaga dłuższej odpowiedzi.

Dziewczyna cofnęła rękę. Odwróciła się do siostry, czekając na wyjaśnienia, a wtedy Collins zaczął się krztusić i mocno chwiać; podtrzymujący pozwolili mu osunąć się na podłogę.

Nicholas patrzył na Joannę zniecierpliwiony. Sam wyglądał na bardzo zmęczonego, miał cienie pod oczami, ściągnięte usta i ziemistą cerę pod rdzawym zarostem.

– Nie umiem słyszeć magii ani rzucać zaklęć – wyjaśnił; najwyraźniej z troski o Collinsa postanowił coś jednak na szybko wyjaśnić. – Czary zupełnie na mnie nie działają, dlatego nie działają na mnie twoje osłony. Collins, jak sama widzisz, nie ma tyle szczęścia.

To ją zaskoczyło. Myślała, że Esther jest wyjątkowa w swej nietykalności.

– Jest taki jak ty? – spytała siostrę.

Esther wzruszyła ramionami, odwróciła wzrok. Odpowiedział za to Nicholas:

– Bardziej, niż przypuszczasz, o czym opowiemy ci wkrótce. Ponieważ jednak Collins nie cierpi na nadmiar szarych komórek, czy mogłabyś nas wpuścić do domu, zanim straci kolejną?

Joanna nie widziała sensu pokazywać, kto tu ma władzę. Cofnęła się... i zatrzymała. Było coś, o co chciała się targować.

– Wpuszczę was, lecz pod jednym warunkiem. – Odwróciła się do siostry; starała się mówić spokojnym głosem. – Musisz spojrzeć na książkę, która zabiła tatę.

Esther przełknęła ślinę.

– Zrobimy to – obiecała. – Ja albo Nicholas, on się na tym wybitnie zna.

– Nie mówiłaś nic o zabójczej książce – zauważył z niepokojem Anglik, po czym zwrócił się do gospodyni: – Obejrzę wszystko, co zechcesz, ale najpierw nas wpuść.

Joanna patrzyła, jak Esther i Nicholas podnoszą swojego przyjaciela. Patrzyła, po raz pierwszy w życiu, jak obcy ludzie wchodzą do jej domu.

– Sir Kiwi! – zawołał Nicholas przez ramię, a piesek przebiegł między nogami Joanny i wpadł do środka.

Dziewczyna zamknęła za nimi drzwi.

Collins opierał się ciężko o ścianę, wyglądał na chorego, lecz przytomnego, stał ze skupionym wzrokiem i uniesioną głową. Joanna dostrzegła to, co umknęło jej na początku, a czego nie mogła przeoczyć teraz. Niespokojna i zaintrygowana musiała przyznać, że facet jest bardzo przystojny.

– Chryste – mruknął. – To było tak samo okropne jak osłony w Bibliotece.

– Przynajmniej tym razem mieliśmy bliżej. – Młodzieniec się uśmiechnął.

Nawet ten krótki dialog obudził tysiące pytań. Osłony. Mówili o nich z taką swobodą, jakby to była kanapka czy ciężarówka. Czuła, że Esther się na nią patrzy, ale nie mogła znów spojrzeć siostrze w oczy. Dlatego postanowiła zagadać do mężczyzn

i oprzeć się na jedynym scenariuszu, jaki znała na wypadek takich właśnie sytuacji – scenariuszu autorstwa Cecily.

– Jesteście głodni?

– Przerażliwie. – Donośny głos Collinsa zagłuszył inne odpowiedzi.

– Zamierzałam zrobić chili – powiedziała. – Mogłabym wymienić kolację za wyjaśnienia.

– To zależy – droczyła się Esther. – Dodasz masło orzechowe?

Teraz już Joanna na nią spojrzała. Zrobiła chili z masłem orzechowym, jak miała dwanaście lat. Ten eksperyment kulinarny spodobał się jej i Abemu, Esther i Cecily zaś uznały go za bluźnierstwo. Esther patrzyła na nią jasnym, intensywnym wzrokiem. Mówiła: wciąż cię znam.

– Uwielbiam chili – odezwał się Collins.

– Chodźmy do kuchni – zaprosiła ich Jo.

Nawet odwrócona plecami czuła obecność siostry; czuła, jak Esther przygląda się domowi. O czym myśli po tak długiej nieobecności? Podobnie jak wcześniej z matką, teraz też patrzyła oczami siostry na własny dom i to wszystko, co stare i wyblakłe, wydawało się jeszcze starsze i bledsze. Jasny niegdyś dywan w korytarzu – wytarty, listewki – miękkie od kurzu, a kuchnia przysiadła wokół wypaczonego linoleum.

– Uwielbiam takie retro – zachwycił się Nicholas. – Patrzcie na tę lodówkę w kolorze awokado!

Joanna zerknęła, czy się z niej nabija, ale on wyglądał na autentycznie oczarowanego, dotykał jednej z wiszących miedzianych patelni i kiwał głową. Pies, Sir Kiwi, postanowił obwąchać każdy zakamarek, małe pazurki stukwały na podłodze, gdy przystąpił do realizacji zadania.

– Wygląda dokładnie tak samo – westchnęła Esther. – Jakbym znalazła się we wspomnieniu.

Otworzyła chlebak, w którym zamiast chleba stała kolekcja ostrych sosów Abego, jak wtedy, gdy były dziećmi. Położyła rękę na szyi i patrzyła na czerwone butelki, na sosy zbrązowiałe ze starości. Joanna przestała obserwować Esther, zanim powróciła żałoba.

Dwaj młodzi mężczyźni usiedli przy kuchennym stole, co w dziwny sposób zmieniło pomieszczenie. Obcy ludzie w przestrzeni, w której do tej pory przebywała tylko rodzina. Kuchnia stała się jednocześnie mniejsza i bardziej ożywiona.

– Napijecie się wody? – zapytała Joanna. – Piwa?

– Raczej kawy – poprosiła Esther. – Za nami bardzo długie dni.

– Tylko jemu nie dawaj – zastrzegł Collins i zwrócił się do Nicholasa: – Już dzisiaj piłeś.

– Myślałem, że zostawiliśmy tę zasadę w Bibliotece?

– To nie jest zasada biblioteczna, tylko medyczna.

– Skoro jednak nie zabraliśmy ze sobą żadnej pokrzywy...

– Mam pokrzywę – wtrąciła Joanna.

– Nie mówiłam? – Esther uśmiechnęła się triumfalnie.

Wszyscy troje nawiązywali do wcześniejszych rozmów, nieznanych Joannie. Zajęła się ekspresem do kawy, wyrzuciła poranne fusy. Emocji było tak dużo, że prawie nic nie czuła. Zaczepiła się o jedno powracające słowo.

– Czym jest Biblioteka?

Przy stole zapanowała cisza. Dziewczyna chciała się odwrócić, ale nie, nie zniosłaby wpatrzonych w nią trzech par oczu. Zajęła się słoikiem z pomidorami i oporną pokrywką.

– Równie dobrze możemy właśnie od niej zacząć – stwierdziła Esther.

– Biblioteka – podjął Nicholas – to organizacja zajmująca się gromadzeniem i ochroną niezwykle rzadkich i potężnych manuskryptów z całego świata. Naszymi partnerami są czcigodne instytucje – kontynuował głosem spikera BBC – takie jak British Museum, Biblioteka Ambrosiana, Oksford, Cambridge i amerykańska Liga Bluszczowa. Ponadto wypożyczamy niektóre pozycje, a także świadczymy pewne usługi kreatywne dla osób prywatnych.

Collins prychnął głośno, słoik poddał się wreszcie i w powietrze uleciał mocny, cierpki zapach pomidorów, powiew innej pory roku.

– Mówiąc o rzadkich manuskryptach – odezwała się Joanna – masz na myśli...

Nigdy nie rozmawiała o książkach z nikim spoza najbliższej rodziny – odkryła, że nie może dokończyć zdania.

– Tak – mówił dalej Nicholas. – To organizacja rodzinna i tam dorastałem. Podobnie jak ty dorastałaś tutaj, z tego, co rozumiałem.

– Ile pozycji liczy Biblioteka?

– Hmm, jakieś dziesięć tysięcy?

Odwróciła się gwałtownie.

– Dziesięć tysięcy?

– Istniejemy od setek lat – wyjaśnił. – Mój praprapra-i tak dalej-dziadek kolekcjonował materiały na poziomie amatorskim już na początku siedemnastego wieku, a mój prapradziadek zaczął je wypożyczać, tworzyć powiązania, kapitał. To on pierwszy przyjmował zlecenia.

Joanna powoli otworzyła i zamknęła usta. Kolekcjonowanie na poziomie amatorskim: czy właśnie to robili z Abem? Zawsze myślała, że ich kolekcja jest jedną z większych, jeśli nie największą. Gdyby tak nie było, czemu ktoś miałby ich szukać, dlaczego zabił Isabel?

– Widzę, że naprawdę jesteś ekspertem – powiedziała, chowając dumę do kieszeni. – Dobrze. Postawiłam warunek, że wpuszczę was, jeśli obejrzysz książkę mojego ojca. Mógłbyś...?

– Jutro – zapewniła ją szybko Esther. – Jest dużo rzeczy, o których chcemy ci opowiedzieć.

Jej siostra, taka śliczna i taka dorosła, siedziała przy kuchennym stole, a jednocześnie była tak daleko...

– Zawarliśmy umowę – zaznaczyła stanowczo.

– Jo – powiedziała z naciskiem Esther. – Nicholas robi coś więcej niż gromadzenie książek.

– W zasadzie to nie ja je gromadzę – poprawił. – Maram ma od tego całą armię ludzi działających w terenie.

– On je pisze – dodała Esther.

Joanna trzymała pół cebuli w lewej ręce, wciąż zabandażowanej. Skaleczenie dobrze się goiło, a w lodówce stał bezużyteczny, niemagiczny atrament, ciemny od krwi i popiołu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sir Kiwi – zawołał Nicholas do psa, który próbował oderwać odchodzący kawałek linoleum. – Zostaw. – Odwrócił się do Joanny. – Racja, Esther wspomniała, że zastanawiałaś się nad tym, jak powstają książki. – Cóż... – Rozłożył ręce i skrzywił się z goryczą. – Oto cała prawda. Zawsze nazywano nas Skrybami, przez duże S, ale może to zamiłowanie Biblioteki do dramatyzmu, dokładnie nie wiem.

Ekspres dał znać, że zakończył parzyć kawę. Joanna odrętwiałymi rękami sięgnęła po dzbanek. Próbowwała poskładać słowa przybysza w sensowną całość. Ten dziwny, elegancki młody człowiek z designerskim psem nie pasował jej do wizji osób tworzących książki, które zgłębiała i chroniła, którym poświęciła życie. Zawsze, we wszystkich wyobrażeniach i rozmyślaniach widziała kobiety, stare i mądre czarownice. Ich miłe, pomarszczone twarze tkwiły w jej podświadomości od bardzo dawna, zorientowała się, że tam są, dopiero teraz, gdy miała je zastąpić tym młodym męskim obliczem.

– Jak to robisz? – zainteresowała się. Pytanie testowe, bo wcale nie była pewna, że chłopak mówi prawdę.

– Krwią. Dodając zioła, rytuały, fazy księżyca – wyjaśnił. Dokładnie tego wszystkiego Joanna już próbowała. – Najważniejsza jednak jest krew – dodał. – A konkretnie: moja. Mógłbym napisać książkę bez ziół, ceremonii albo księżyca, a i tak zaklęcie by zadziało, tylko słabiej. Ktoś inny natomiast, na przykład ty, mógłby się wykrwawić, spalić dziesięć tysięcy świec przy całkowitym zaćmieniu i skończyłby ze stosem papieru.

Na pewno nie miał takich intencji, lecz to, co mówił, sprawiło jej ból. Rozcięcie na dłoni wydało się nagle takie głupie – drwina ze wszelkich jej wysiłków ostatnich lat.

– A ty? – zapytała Collinsa, który nie odrywał od niej swoich bardzo niebieskich oczu. – Też jesteś jednym z tych... Skrybów?

Osilek zerknął na Esther i pokręcił głową.

– Nie. Jestem taki jak ty.

Wróciła do Nicholasa.

– Dlaczego twoja krew jest wyjątkowa?

– Nie wiem – westchnął Brytyjczyk. – A czemu ty słyszysz magię, a do innych te dźwięki nie docierają? – Uniósł brwi. Joannie ścisnął się żołądek. Spojrzała na Esther. Ta musiała zobaczyć wyrzut w jej oczach, bo odwróciła wzrok. Własna siostra zdradziła tym ludziom tajemnicę, którą Jo tak skrzętnie od małego ukrywała. – Ja niczego nie słyszę – kontynuował Nicholas. – Niczego nie wyczuwam. Dlatego osłony nie działają ani na mnie, ani na nią. – Wskazał Esther, która teraz siedziała z wyjątkowym spokojem na twarzy. – Żadna magia na nas nie działa. Skrybowie nie mogą odczytywać zaklęć, możemy tylko je pisać.

Na n a s. Joanna wpatrywała się w siostrę.

– To taka teoria Nicholasa. – Esther pstryknęła niedbale palcami.

– Którą lada moment sprawdzimy – dodał. – Gdy uwolnisz Collinsa i złamiesz UZP.

– Opowiedz o tym Jo – poprosiła Esther, jakby chciała szybko zmienić temat.

– Co on mówi? – zapytała Joanna i zaraz sama sobie odpowiedziała. – Że potrafisz pisać magię.

– Tak mu się wydaje.

Joanna od razu zrozumiała, że to prawda. Już wiedziała – tak jak się wie, że księżyc jest na niebie, noc po nocy, niezależnie od tego, czy ktoś go widzi, czy nie. Joanna słyszała książki, ale to Esther miała w sobie tę prawdziwą magię. Od zawsze.

A Joanna od zawsze się myliła. We wszystkim.

Proszę. – Joanna wręczyła Esther złożony koc, dołożyła poduszkę. – Powiedz, gdybyś potrzebowała więcej.

– Dziękuję.

Esther czuła się nieswojo, dziwnie oficjalnie. Stały w salonie, gdzie Nicholas spał jak zabity na kanapie, a Collins, wciśnięty w rozkładany skórzany fotel, starał się nie zasnąć, ale mu się nie udawało. Była druga w nocy, gdy Nicholas odpłynął przy stole i stłukł kubek z kawą; niewiele brakowało, a Esther zrobiłaby to samo. Osiągnęła taki poziom zmęczenia, w którym wszystko zdawało się nierzeczywiste, jakby już śniła. A może to powrót do domu obudził poczucie nierealności? Może patrzenie na młodszą siostrę, teraz dorosłą kobietę?

Joanna szykowała kolację, a im udało się od początku do końca przedstawić, dlaczego tu przyjechali. Wtedy siostra opowiedziała, co działo się w domu. Esther zrobiło się zimno, gdy usłyszała, że Cecily użyła magii lustra: to było zbyt blisko tego, czego doświadczyła. Przez chwilę miała nadzieję, że to jej matka stała za tą całą akcją, że właśnie ona wszystko zaaranżowała, żeby sprowadzić dziecko pod bezpieczny dach. Jednak Joanna dobrze widziała, co Cecily przecisnęła przez lustro – i nie był to paszport; przekazała pocztówkę z listem, równie trudnym do odszyfrowania, jak sama Jo.

Esther zapamiętała Joannę jako cichą, skomplikowaną, cudownie nietypową nastolatkę i choć Jo wyrosła na cichą, skomplikowaną, cudownie nietypową młodą kobietę, nie był to wzrost liniowy. W dzieciństwie zupełnie nie umiała ukrywać

swoich emocji, udawać, że czuje coś innego. Ta wrażliwość, to ciepło, kiedyś takie urocze, niepokoiło teraz, kiedy dojrzała. Niepokoiło, ale nie odpychało, wręcz przeciwnie. Twarz siostry była mimiczna i czytelna jak u kogoś, kto nie przywykł, że inni go oglądają, trudno było oderwać od niej wzrok. Słodka dziwaczność Joanny przeszła w zniewalającą charyzmę. Jo mogła nie być tego świadoma, ale Collins od razu to spostrzegł. Esther zauważyła, jak ukradkiem spoglądał na Joannę, odkąd przyjechali.

Z wyrazistej twarzy siostry Esther odczytała dwie rzeczy: że z powodu tego nagłego przyjazdu Joanna jest absolutnie szczęśliwa i absolutnie wściekła.

Własnych odczuć Esther nie zdążyła jeszcze zbadać: były tak dojmujące, że gdyby pozwoliła im otworzyć usta, mogłyby ją pochłonąć.

Joanna uprzejmie prowadziła siostrę po schodach domu, w którym razem spędziły najmłodsze lata. Esther czuła się jak gość w pensjonacie; ledwo to wytrzymawała, aż chciało jej się krzyczeć. Najlepszy dowód, jak pokręcone stało się ostatnio jej życie: formalne zachowanie siostry wydało jej się bardziej niepojęte niż fakt, że jutro rano miała się poddać upuszczeniu krwi, a potem zrobić z siebie pośmiewisko, kiedy będzie usiłowała pisać zaklęcie.

Kulki kurzu zebrały się w rogach schodów, wykładzina się wytarła, a po pustym korytarzu na piętrze szło takie echo, że Esther aż ścisnęło w gardle. Pamiętała, jak biegła tutaj, jak pędziła po schodach w górę i w dół, wpadała i wypadała z pokoiów, jak krzyczała i jak się śmiała, chowała się w szafie rodziców, żeby wyskoczyć na nich i żeby mogli udawać przerażenie. Jak na palcach mijała zamknięte drzwi, żeby wymknąć się z domu i spotkać z – jak nazywał się ten chłopak,

którego poznała na jarmarku hrabstwa? Coś tam Harry. Pamiętała, jak waliła w drzwi łazienki i krzyczała na Joannę, żeby się pospieszyła. Pamiętała, jak tu żyła.

– Nie możesz spać w swoim starym pokoju – odezwała się Joanna. – Tam stoi lustro.

– Nic mi przecież nie robi, prawda? Mówiłaś, że osłony nie pozwolą nikomu niczego przesłać ani tu zajrzeć.

– Nie pozwolą. Ale to jakieś przerażające. Możesz spać u mnie, bo i tak zamierzam rozłożyć futon w jadalni, żeby mieć oko na wszystko.

– W sensie: na Collinsa i Nicholasa.

– Owszem.

– A czy mogłabym... Mogę chociaż tam zajrzeć?

– Pewnie, śmiało. Tylko górne światło nie działa – dodała Jo, gdy siostra weszła do swojego dawnego pokoju.

– Całe szczęście, że masz w domu elektryka – powiedziała Esther, ale Joanna już schodziła po schodach. Dziewczyna włączyła stojącą lampę.

Dużo starych mebli, które tak dobrze pamiętała. Plakat Kurta Cobaina, fioletowy patchwork, świecące w ciemności gwiazdki na suficie, biała komoda, lampa lawowa. Tutaj budowały z Joanną skomplikowane wioski playmobil, stąd wymykała się mnóstwo razy po tym, jak rodzice przychodzili pocałować ją na dobranoc. Pamiętała to. Pamiętała, jak Cecily gładziła ją po plecach i śpiewała przed snem niemiecką kołysankę. Pamiętała, jak tata leżał na jej łóżku – ona po jednej, Joanna po drugiej stronie. Jego ciepłe ramię pod policzkiem, jego głos wznoszący się i opadający, kiedy czytał dialogi jakiejś opowieści.

A jednak cieszyła się, że nie spędzi tu dziś nocy. Weszła do pokoju Jo i z ulgą odkryła, że w sypialni siostry sporo się

zmieniło. Pojawiły się nowe meble: biurko i sekretarzyk, lawendowe ściany z czasów liceum nabrały dorosłej szarości. Ładnie to wyglądało. Usiadła na chwilę na łóżku, zebrała się w sobie i wyszła na korytarz.

Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami sypialni rodziców. Cecily i Abe zajmowali ten pokój przez całe jej dzieciństwo, Abe pewnie został w nim, gdy Cecily odeszła. Przeraźliwie zmęczona i roztrzęsiona, nie miała czasu poddać się emocjom, ale musiała zajrzeć do tego pomieszczenia, nie mogła stawiać oporu tak wielkiemu pragnieniu. Musiała zobaczyć, że Abe tutaj był – i że już go nie ma. Nawet po tylu latach wciąż to do niej nie docierało.

Kiedy umarł, mieszkała w Oregonie. Gdy się dowiedziała o jego śmierci, pojechała nad szare wybrzeże, tam usiadła na skałach i opłakiwała go w samotności. Słuchała uderzających o brzeg fal i głosu Joanny: „Wróć do domu, potrzebuję cię, bez ciebie sobie nie poradzę”. Nie najlepszy moment, żeby tłumaczyć, że to ojciec zabronił jej przyjeżdżać do domu. Nie chciała, żeby Joanna zmieniła o nim zdanie. Niech ma tego jednego członka rodziny, o którym może myśleć, że nigdy jej nie zawiódł. Wtedy wydawało się, że Esther wręcza jej tę świadomość niczym prezent, teraz nie była tego już taka pewna.

Sypialnia wyglądała prawie dokładnie tak, jak za dawnych czasów, choć zniknęły wszelkie ślady Cecily. Jasnozielone ściany, zielona narzuta na łóżko, szafka nocna z książkami, drobiazgi na komodzie z czasów Abego: zegarek, grzebień, zdjęcie obu córek i fotografia Isabel z malutką Esther. Jedyne zdjęcie matki, jakie dziewczyna kiedykolwiek widziała.

Przesunęła kciukiem po gładkim szkle, wytarła kurz. Na zdjęciu córeczka siedziała kobiecie na kolanie, jak malutki manekin brzuchomówcy. Esther od początku uważała to za

dziwne i odległe w porównaniu ze swoimi zdjęciami z macochą. Cecily zawsze przytulała twarz do buzi dziewczynki i promieniała. Na tym zdjęciu górna część twarzy Isabel została odcięta, widać było jedynie usta. Matka uśmiechała się tajemniczo, bardziej do siebie niż do Esther czy osoby za aparatem. Esther uwielbiała ten uśmiech. Dzięki niemu matka wyglądała jak prawdziwa osoba, a nie duch.

Odstawiła ramkę i usiadła na brzegu łóżka. Spojrzała na szafkę nocną, sprawdziła, co czytał. Kilka kryminałów i pismo „Cook’s Illustrated”. Podniosła magazyn kulinarny i przeglądała go, aż znalazła przepis, który zakreślił i jak zawsze opatrzył datą. Chciał ugotować francuski gulasz z fasolą, *cassoulet*. Ciekawe, czy to zrobił.

Na jednej powieści leżały okulary do czytania, metalowe. Były tak znajome, że na chwilę musiała się odwrócić. Potem wzięła je i przez chwilę trzymała, czując w dłoniach ich ciężar. Założyła szkła, wybrzuszony pokój się rozmazał. Przypomniała sobie ślady na twarzy Abego, czerwone wgłębienia po obu stronach nosa. Z jakiegoś powodu właśnie to wspomnienie szeroko otworzyło wrota, do tej pory zaledwie uchylone.

Wtedy ktoś delikatnie zapukał do drzwi – zupełnie niezaskoczona, Esther zobaczyła na progu siostrę. Spojrzała na nią przez łyzy i soczewki Abego.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – odparła Jo.

Kilka sekund milczenia. Potem Esther powiedziała w miarę spokojnie:

– Nawet mnie nie przytuliłaś na powitanie.

Joanna zrobiła krok w głąb pokoju.

– Ty też mnie nie przytuliłaś.

Tak było. Esther dotknęła miejsca obok siebie, po sekundzie wahania Joanna podeszła powoli i usiadła. Przełożyła do przodu swój długi warkocz i trzymała się go jak liny ratunkowej. Esther przysunęła się bliżej, objęła wąskie ramiona siostry i przez chwilę czuła się okropnie: Joanna pozostała sztywna i tak bardzo obca. Po czasie, który wydawał się nieskończonością, rozluźniła się, zgarbiła delikatnie, Esther była niższa prawie zawsze. I nagle, jakby obie przypomniały sobie, jak to się robi, przytuliły się do siebie naprawdę; Jo położyła głowę na ramieniu Esther, a ta wcisnęła twarz we włosy siostry. Przytuliły się tak, jak przytulały się kiedyś, Joanna wtulona w Esther, jakby to ona była niższa i mniejsza, Esther zaś ścisnęła ją tak mocno, że kości Jo omal nie trzeszczały. Powieki zacisnęły się same, a łzy i tak odnalazły drogę na policzki.

– Dlaczego nie wróciłaś do domu? – spytała Jo; Esther usłyszała, że dziewczyna płacze.

Trzymała młodszą siostrę w uścisku, bo nie przytulała jej dziesięć lat i na razie jeszcze nie mogła przestać. Potem odsunęła się, zdjęła okulary Abego, przetarła oczy i wyrzuciła z siebie całą prawdę. Jak usłyszała – wtedy osiemnastolatka – od Abego, że jej odporność na osłony zagraża wszystkim w domu. I jak dał jej wybór. Mogła zostać i narazić siebie oraz rodzinę albo odejść i przez resztę życia uciekać. W sumie żaden wybór, skoro oboje wiedzieli, co robi.

Joanna milczała, tylko emocje pojawiały się na jej obliczu jak aktorzy podczas przedstawienia. Szok, zrozumienie, przerażenie, wściekłość i w końcu, kiedy Esther skończyła mówić, smutek tak głęboki niczym przepaść, a ona za mocno wychyliła się poza krawędź klifu, więc musiała odwrócić wzrok, zanim straciła równowagę.

– Tata wiedział – stwierdziła Joanna. – Od początku wiedział, że jesteś... jak Nicholas cię nazwał? Skrybą.

– Jeśli faktycznie jestem.

– Jesteś. On o tym wiedział.

– Tak – westchnęła Esther. – Prawdopodobnie.

– Wykorzystał mnie – ciągnęła Jo. – Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie będziesz chronić siebie tak, jak chroniłabyś mnie, więc kazał ci uciekać ze względu na mnie, nie dając mi żadnego wyboru.

Esther nie zrozumiała.

– Jaki miał ci dać wybór?

– Ten sam: chronić ciebie. Wyjechałabym z tobą albo zostałabyś tutaj i razem byśmy coś wymyśliły. To nie w porządku, że cię tym obarczył. Byłaś dzieckiem.

– Ty też.

– Nienawidzę go – wymruczała Joanna, choć jej twarz zdradzała coś innego.

– Ja nie. – Esther znów poczuła łzy w oczach. – Ja za nim tęsknię.

Jo zakryła twarz jedną dłonią, jej plecy unosiły się i opadały, ale druga ręka znalazła dłoń Esther. Pomimo żałoby, mimo wyczerpania, mimo wszystkich zawirowań Esther miała głębokie poczucie... Nie potrafiła tego nazwać. To było coś rozległego i oszałamiającego, jakby leżała na plecach pod nocnym niebem obsypanym pradawnymi gwiazdami, a jej istnienie – takie maleńkie pod tym bezkresnym nieboskłonem – migotało niczym świeca. Niepojęty podziw. Że po dziesięciu latach Jo wciąż była jej siostrą.

– Nie rozumiem tylko dlaczego – odezwała się w końcu Joanna. – Dlaczego ta... jak ona miała na imię?

– Maram.

– Dlaczego Maram was tutaj przysłała? Ufasz jej?

– Nie znam tej kobiety, więc nie, nie ufam. Ale... – Szukała słów, w które mogła oblec myśli. – Przynajmniej coś się dzieje. Coś się zmienia. Nie mogłam tak dłużej żyć.

Palce Joanny zacisnęły się na jej palcach, cichy gest, niosący zrozumienie. Małe, zwykłe relikwie codziennego życia leżały spokojnie tam, gdzie Abe je zostawił: zegarek – czekał, żeby go zapiąć na nadgarstku; ćwierćdolarówki – czekały, żeby je wydać; powieść – czekała, aby ktoś dokończył ją czytać. Esther i Joanna siedziały razem na łóżku, wiedząc, że wkrótce będą musiały przerwać tę ciszę, wstać i pójść dalej... Ale jeszcze nie teraz. Teraz świat – tak jak zegarek, powieść, monety – musiał poczekać.

Wampir – stwierdził Nicholas.

Zabrzmiało to niedorzecznie, a jednak Esther spojrzała na książkę, którą Jo przyniosła z piwnicy, i zadrżała. Wampir leżał otwarty na stoliku do kawy, otulony miękkim światłem i wyglądał całkiem niewinnie... a nie powinien. Ona, Nicholas i Collins spali długo, więc było już późne przedpołudnie; dzień okazał się równie szary i zimny jak poprzedni. W salonie paliło się drewno w kominku i panował zaduch, bo spały tu trzy osoby. A jednak Esther czuła chłód płynący od okna. Wczorajsza bliskość z Joanną osłabła; siostra, przycupnięta na stołeczku przy fortepianie, znów wydawała się odległa. Jej rozpuszczone włosy opadały na plecy, a ona nie odrywała wzroku od książki przed Nicholasem. Wyglądała jak nieznajoma postać na portrecie. W świetle dnia Esther widziała, że chociaż Jo wciąż była nieodrodną córką Abego – z tymi samymi dołeczkami i delikatnym nosem, który zresztą odziedziczyły obie – teraz, gdy dorosła, przypominała bardziej Cecily. To również ją odsuwało.

Pewnie Esther nie powinna być zaskoczona, że czuła tę starą zazdrość, której doświadczała w dzieciństwie. Oglądała wtedy swoją twarz w lustrze i szukała podobieństw do własnej matki, własnej rodziny. Zabolą ją myśl o fizycznej bliskości Cecily, ledwie parę kilometrów stąd, a jednak wciąż dużym dystansie. Gdyby macocha ją teraz przytuliła, Esther zaczęłaby płakać, żeby już nigdy, nigdy nie przestać.

– Wampir? – powtórzyła Joanna.

Collins, który stał w kącie i siorbał kawę, mruknął:

– O cholera.

– Dotykałaś jej gołymi rękami? – zaniepokoił się Nicholas.

– Tata ostrzegał, żeby trzymać ją z dala od krwi, nie od skóry – odparła obronnym tonem. – Czym jest wampir?

– To piętnastowieczne zaklęcie, chroni aktywowane książki – zaczął Anglik. – Uruchamia się, gdy ktoś spróbuje dodać własną krew do działającego zaklęcia... i pewnie właśnie to zrobił twój ojciec. Bardzo mi przykro – powiedział z przeproszącą miną.

– Chcesz powiedzieć, że zginął z powodu... z powodu jakiejś tam magicznej pułapki?

– Naprawdę mi przykro – powtórzył Nick.

Joanna schowała twarz w dłoniach; Esther, bardzo niepewnie, usiadła obok siostry. Jo odwróciła się do niej z wykrzywioną twarzą, wyglądała jak wtedy, gdy była mała i próbowała nie płakać.

– Powinien się domyślić! – wykrztusiła. Esther już wiedziała, czemu ta informacja tak uderzyła siostrę. Dla Joanny ojciec zawsze był najmądrzejszy, a jednak zginął przez własny głupi błąd. Przez zagadkę, którą Nicholas rozgryzł natychmiast.

– Miałaś kiedyś do czynienia z czymś podobnym? – zapytała ją Esther. – Z taką... no, książką pułapką? – Przeczuwała, jaka będzie odpowiedź, i rzeczywiście, Jo pokręciła głową. – Tata nie mógł tego rozpoznać – zawyrokowała Esther.

Joanna znów pokręciła głową, oczy jej zwilgotniały, Esther zacisnęło się gardło. Co mogła powiedzieć, aby ją pocieszyć? Przecież to jej siostra znalazła martwego ojca na trawniku. Widziała na własne oczy potworny koszt pomyłki Abego.

- Joanno – odezwał się nagle Nicholas zmienionym głosem.
- Skąd twój ojciec wziął tę książkę?

Dziewczyna spojrzała na niego, oczy nadal jej błyszczały wilgocią.

– Nie wiem – przyznała szczerze. – Nigdy ze mną o niej nie rozmawiał. O tym, że ją ma, dowiedziałam się, dopiero gdy umarł.

Nicholas odsunął od siebie książkę; trzymał ją tak jak coś obrzydliwego, co wyjął psu z pyska.

– Ta książka należy do Biblioteki. Należała do Biblioteki.

Puls Esther przyspieszył.

– Skąd wiesz? – zapytała Joanna.

– Widzisz ten symbol? – Otworzył tylną okładkę i pokazał małą, wytłoczoną złotą książeczkę, Joanna skinęła głową. – Nie służy dla ozdoby, jest funkcjonalny. To znak zaklęcia, zwany przez nas datą ważności. Umieszczamy go na każdej pozycji z naszego zbioru.

Esther podciągnęła nogi na ławkę i objęła kolana, jak przestraszone zwierzę, które chce się skulić, zmniejszyć, żeby trudniej było je trafić.

– I co ona robi? – spytała. – Ta data ważności?

– To połączone z obiektem zaklęcie intuicyjne – wyjaśnił Nicholas. Joanna wbrew wszystkiemu uśmiechnęła się na ten żargon. Co za nerd.

Esther wcale nie było do śmiechu.

– Powiedz jeszcze raz, tylko wyobraź sobie, że mówisz do pięciolatka – poprosiła.

– Zaklęcie powiązane jest z przedmiotem i przekazuje informacje bezpośrednio do czyjegoś umysłu. W tym przypadku

informacje o lokalizacji do umysłu Richarda.

– Zakłęcie śledzące – podsunęła Joanna.

– Zgadza się. – Wskazał ją palcem. – Spokojnie, nie rób takiej miny, Biblioteka nas nie znajdzie, chyba że wyniosłaś książkę poza osłony. A tego nie zrobiłaś, prawda?

– Prawda – odparła posłusznie Joanna. – Na pewno nie w ciągu ostatnich dwóch lat. Nie wiem, jak było wcześniej. Ale co robi sama książka?

– Cóż, nie widziałem tej konkretnej księgi – zaczął z namysłem chłopak – ale sądzę... raczej jestem pewien... że widziałem jej szkic.

Collins, który do tej pory stał, usiadł ciężko na najbliższej powierzchni, czyli gramofonie. Zagrzechotał plastik, kartonowa okładka płyty spadła na podłogę, a Joanna podniosła się zaniepokojona. Nie było tylko jasne, o co się martwiła: o Collinsa czy o gramofon.

Nicholas przysunął grzbiet książki bardzo blisko prawego oka, przyjrzał się uważnie.

– Jeśli ta książka jest tym, czym myślę... To niemal na bank jest ludzka.

Esther poczuła w gardle gorący kwas.

– Jak to: ludzka?

– Nić wygląda na połączenie włosów i ścięgien. Klej to prawdopodobnie wytopiony kolagen. – Ścisnął okładkę kciukiem i palcem wskazującym. – Skóra najprawdopodobniej należała do człowieka.

– Dobra – odezwał się Collins. – Dobra, jakbyście mnie potrzebowali, to będę krzyczał na zewnątrz.

– Nie wiem, jak trafiła do twojego ojca – ciągnął niezrażony Nicholas – ani pod kogo została podczepiona, ale...

– Pod kogo? – przerwała mu Esther. – Chyba: do czego? Mam na myśli, do jakiegoś obiektu, zaklęcia trwałości, coś w tym stylu?

– Zaklęcia połączenia z obiektem – uściślił Nicholas. – Tak, to też. – Odetchnął. – Przepraszam, zapominam, że jestem dosłownie jedyną żyjącą osobą, którą zmuszano do nauczenia się tego wszystkiego. Każda księga napisana przez dwóch Skrybów ma dwa punkty magicznego działania. Tę połączono z obiektem, a także z ciałem.

– Czyli zarówno z przedmiotem, jak i z osobą – skwitowała Joanna.

– Tak. Aż do dziś nie wiedziałem nawet, że to możliwe.

– Ale co to robi? – upierała się Esther.

Młodzieniec znów potarł skronie.

– Łączy siłę życiową danej osoby z przedmiotem – powiedział. – Tak długo, jak obiekt pozostaje nienaruszony, życie trwa również.

Esther spojrzała na Joannę, czekając na podsumowanie, ale nawet Jo nie od razu pojęła, o co chodzi. A potem wytrzeszczyła na niego oczy.

– Zaklęcie nieśmiertelności!

Rudy dżentelmen skinął głową.

– Na tyle, na ile to możliwe: tak.

– Mówiłeś, że jest w toku – przypomniał Collins. – Czyli pozostaje z kimś związane?

– Mhm. – Nicholas zerknął na Joannę. – Najwyraźniej nie z twoim ojcem, bo...

– Bo inaczej wciąż by żył.

Nicholas potarł mocno twarz.

– Nie wiem, co o tym myśleć... Sir Kiwi!

Esther odwróciła się: pies złapał czyjś but i leżał przy palenisku, gryząc go z entuzjazmem. Na dźwięk głosu puchata kulka znieruchomiła, spojrzała i wróciła do obrabiania podeszwy.

– Muszę ją wyprowadzić – oznajmił Nicholas. – Wrócimy do tej książki później... kiedy już udowodnimy moją teorię. – Spojrzał pytająco na Esther, ale ona zachowała neutralny wyraz twarzy.

Miała dzisiaj napisać książkę.

– Jak długo to potrwa? – zapytała Joanna.

– Biorąc pod uwagę, że to jej pierwsza książka, a musi być napisana odręcznie, powinno nam to zająć jakieś osiem godzin – kalkulował na głos chłopak. – Teraz przygotujemy atrament i Esther zacznie. Strony wyschną późnym popołudniem, wieczorem je oprawimy. Wtedy ty, Jo, będziesz mogła przeczytać zaklęcie Collinsowi.

– Łał – odezwał się ochroniarz.

– Jeśli usunięcie UZP Collinsa jest takie ważne – zauważyła Esther – jeśli tak bardzo nam zależy na odpowiedziach, to może na razie lepiej nie testować dzikich teorii. Może powinieneś sam napisać to zaklęcie?

– Nie. – Elegant zdjął kilka psich włosów ze swojego drogiego swetra. – Im szybciej zdołamy cię przetestować, tym szybciej uzyskamy chociaż jedną odpowiedź. A jak dla mnie nawet jedna rozstrzygająca odpowiedź brzmi cudownie.

– Poza tym – wtrącił bodyguard – jeśli upuścimy Nicholasowi jeszcze trochę krwi, prawdopodobnie umrze.

Nicholas potwierdził to niechętnym mruknięciem.

– Czyli upuścimy ją mnie? – podsunęła Esther. Nie, nie protestowała. Chciała wiedzieć. Naprawdę. Nie była tylko pewna, której odpowiedzi boi się bardziej.

– Tak. – Nicholas wstał z kanapy. Zachwiał się, złapał równowagę i pochwycił jej stroskane spojrzenie. – Nie martw się – rzucił pocieszającym tonem. – Pobierzemy ci krew na tylko jedną książkę, nawet nie poczujesz. – Ach, właśnie, Joanno, masz jakieś świece? A jeśli tak, to ile?

Proste pytanie o świece miało prostą odpowiedź: dużo. Następne pytanie Nicholasa było znacznie bardziej skomplikowane: chciał wiedzieć, czy istnieją jakieś symboliczne tradycje, z którymi Esther może być silnie powiązana, zwłaszcza mające odniesienie do dzielenia się sekretami lub przerywania ciszy.

– Tradycje? – powtórzyła Esther. – Pytasz o religię?

Pokręcił głową.

– Tradycje religijne rzadko się sprawdzają. Mówię o stworzeniu potężnego dla ciebie ceremonialnego kontekstu. Robimy ten atrament, żeby złamać zaklęcie wyciszające, dlatego dobrze by było pomyśleć o... natężeniu głosu? Tradycji związanej z byciem cicho albo mówieniem głośno. Gdy wyjawiasz komuś sekrety. Dzielisz się prawdą. Brzmi sensownie?

Właściwie nie, ale dziewczyna i tak zaczęła się nad tym zastanawiać. Nigdy nie przywiązywała wagi do duchowości, choć jako nastolatka przeszła krótką, zgłębiającą fazę religijną. Cecily i Abe byli raczej niepraktykującymi Żydami, Esther jednak drążyła temat pochodzenia swojej matki i dowiedziała

się, że większość Meksykanów wyznaje katolicyzm. Dlatego w wieku dwunastu lat namówiła rodziców, żeby zabrali ją na mszę do pobliskiego miasta. Kościół wyglądał pięknie, zbudowany z omszałego kamienia, z ekspresyjnymi witrażami i Jezusem, który za amboną spoglądał w dół z wielkiego krucyfiksu. Esther wpatrywała się w jego heroiczną twarz, nagą, umięśnioną pierś, patrzyła na smukłe uda, wąskie kostki i wierzyła, że oto czuje wiarę swoich przodków, że płynie ona w jej żyłach, święta i zbawienna.

Ale sama msza była tak nudna, że nie pomogły nawet fantazje o uratowaniu Jezusa i ostrożnym, starannym obmywaniu go gąbką, Esther prawie zasnęła. Pod koniec dwunastego roku życia straciła zapał do religii i stała się wyznawczynią delikatnych, tragicznych oczu Cobaina.

Opowiedziała o tym wszystkim Nicholasowi i usłyszała westchnienie źle ukrywanej frustracji.

- Nadal trzymasz się teologii – powiedział. – Nie o tym...
- Półciążarówka – zawołała nagle Joanna.

Wszyscy troje – Esther, Nicholas i Joanna – siedzieli przy kuchennym stole. Sir Kiwi leżała u stóp swojego pana, Collins się nie zjawiał (jak wyjaśnił Nicholas, zawsze starannie omijał tę część), a Jo, do tej pory milcząca, dopiero teraz się odezwała. Esther odwróciła się do siostry.

- Półciążarówka taty? – spytała. Widziała ją na podjeździe, starą, czerwoną i równie znajomą jak sam dom.
- Tak – potwierdziła Joanna. – Nicholas kazał nam myśleć o natężeniu głosu, prawda? O tajemnicach.
- Czy ciężarówka jest bardzo głośna? – Nick zmarszczył brwi.

Najwyraźniej nie nadążał za logiką Joanny... Esther już załapała. Niemal czuła pod palcami miękką skórę kierownicy, grzechotanie i wibrację głośników, gdy puszczała muzykę na maksa i przez otwarte okna wykrzykiwała słowa piosenek, od czasu do czasu obracając głowę i uśmiechając się do Joanny, która siedziała obok na miejscu pasażera. W tej ciężarówce odbyły się ich najważniejsze rozmowy. Tam Esther po raz pierwszy wyznała na głos – tak Joannie, jak i sobie samej – że podkochuje się w dziewczynie. Tylko tam Jo pozwoliła sobie narzekać na książki, tylko tam przyznała się, jak bardzo ciąży jej ta presja.

– Genialne – uznała Esther z podziwem dla naturalnego daru siostry. Odwróciła się do Nicholasa. – Możemy zrobić ceremonię na zewnątrz, w aucie?

Chłopak zacisnął usta zamyślony.

– Tak – odparł, choć było w tym dużo wahania i wątpliwości. A potem jeszcze raz, z większym przekonaniem: – Tak. Mogę tak pracować.

Organizowanie wszystkiego trwało prawie godzinę, młody Skryba konsultował się z Joanną w sprawie pewnych narzędzi, a Esther powierzył zanoszenie rzeczy do kabiny. Najwyraźniej miał estetyczną wizję i Esther, choć początkowo sceptyczna, musiała przyznać, że zanim skończyli, wewnątrz utraciło klimat starego grata, a nawet jeśli nie do końca, to stało się miejscem, gdzie można czynić magię. Warstwy czerwonego półprzezroczystego materiału zasłoniły okna, nie wpuszczając zimowego światła, i napełniły kabinę niesamowitym blaskiem. Kolorowe poduszki i koce ukrywały siedzenia, a na desce rozdzielczej migotało mnóstwo tealightów. A jednak, mimo tych zmian, samochód wciąż wydawał się znajomy niczym bicie własnego serca. Jedną ręką Esther ujęła kierownicę, drugą

położyła na drążku zmiany biegów. Powoli osadzała się w tej przestrzeni, a do jej ciała wlewał się dawny spokój i komfort. Po raz pierwszy od wielu dni poczuła się bezpiecznie – to wrażenie już samo w sobie wydawało się magiczne i nie zdołałyby go przywołać żadne świece ani zwiewne tkaniny. Nicholas usiadł obok niej na przednim siedzeniu, Joanna wcisnęła się z tyłu. Wszyscy byli opatuleni po uszy; ciepło świeczek muskało policzki Esther.

– Gotowa? – spytał Nicholas.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy była gotowa pozwolić, aby wbił jej igłę, żeby napełnić worek krwią? Jasne. Czy była gotowa przewartościować wszystko, co myślała, że wie o sobie i własnej relacji z mocą, rodziną i światem?

Czy w ogóle ktoś kiedyś był na to gotowy?

– Gotowa – powiedziała.

– Dobrze – rzekł Nicholas. – Śpiewaj.

– Teraz?

– Teraz.

Nie znała żadnych znaczących modlitw ani pieśni, lecz Nicholas zapewnił, że to nieważne. „Religia nie ma tutaj znaczenia”, powiedział, „chodzi o więź”. Dlatego Esther odchrząknęła, położyła obie ręce na kierownicy i z głębi serca spróbowała wyrazić swoje oddanie.

Bardzo szybko stało się jasne, że *Smells Like Teen Spirit* nie powstało po to, żeby śpiewać je *a cappella*.

Widziała, jak Nicholas się skrzywił, zanim przywołał zachęcający uśmiech. On i Joanna kiwali głowami, gdy śpiewała pierwszą zwrotkę; kiwnięcia stawały się coraz rzadsze, kiedy przeszła do części powtarzanego w kółko „hello”. Próbowwała sobie przypomnieć, co czuła, gdy jako nastolatka jeździła

bocznymi drogami, puszczała swoją muzykę i wrzeszczała na całe gardło, nie przejmując się brzmieniem, bo liczyła się tylko głośność, moc własnego głosu... Ale raczej nie całkiem jej się udało.

Wyśpiewała refren i drugą zwrotkę, dodała kilka gitarowych dźwięków, po czym przerwała.

– Powinnam... no... coś poczuć? Jeśli to zadziała?

– Nie wiem, co poczujesz – powiedział Nicholas. – Dla mnie to tak, jakby... jakbym miał w piersi zwiniętą wstążkę i ktoś ją rozwijał. Plus pszczoły.

– Pszczoły?

– Albo miód. Czyli to samo.

Esther nie mogła tego odpuścić:

– Z całym szacunkiem: to nie to samo.

– Joanna? – odezwał się Nicholas.

– Zgadzam się – przyznała dziewczyna z mroku tylnego siedzenia. – Pszczoły i miód. To to samo.

Esther nie spierała się, zdenerwowana tą bezsensowną solidarnością.

Wysłuchała się w siebie, szukając pszczół albo miodu, ale był jedynie zwykły przyptyw jej pulsu.

– Nic – oznajmiła. – W każdym razie nic niespodziewanego.

Po raz pierwszy absolutna pewność Nicholasa się zachwiała i dziewczynę znienacka ogarnęło dziecięce rozczarowanie. Oczywiście, że nie miała żadnych magicznych zdolności. A pozwoliła sobie uwierzyć, że jest inaczej. To śmieszne. Była zwykłą osobą ze zwykłą krwią i zwykłymi umiejętnościami, takimi jak czytanie planów instalacji elektrycznej albo kalibracja przepływomierzy.

– Kojarzysz jakąś piosenkę, z którą jesteś bardziej związana? W której byłoby mniej... krzyczenia, a więcej dzielenia się tajemnicami?

Esther zrobiła w myślach przegląd szafy grającej – i się zawahała. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł, choć wstydziła się o nim opowiedzieć.

– Muszę znać ją na pamięć? – zapytała. – Nie mogłabym przeczytać?

– No cóż, spróbować nie zaszkodzi.

– To pieśń religijna.

Nicholas westchnął.

– Jesteś z nią jakoś związana?

– Tak. Tak jakby.

– Dobra, zobaczmy. Czemu nie?

Esther przełknęła ślinę i spojrzała na Joannę.

– Co się stało z tą księgą modlitw, którą tata czasami wyciągał? Z tą modlitwą żałobną, kadiszem? Wciąż ją mamy?

Na twarzy siostry pojawiło się zrozumienie, skinęła głową, otworzyła drzwi, po czym zniknęła w podmuchu zimnego powietrza i blasku słońca. Esther usiadła wygodniej na swoim miejscu. Liczyła na to, że kadisz zadziała. Ba!, z irytacją uświadomiła sobie, że bardzo tego pragnie. Nawet po tylu latach, nawet po śmierci ojca, chociaż było już za późno, wciąż z całego serca chciała znaleźć dla siebie miejsce w tej rodzinie, uchwycić się czegokolwiek, co nareszcie mogłoby powiedzieć: Tak, przynależysz.

Joanna wróciła szybko ze starym modlitewnikiem, w którym strony pożółkły ze starości, a grzbiet popękał. Znalazła

właściwą stronę i otworzyła drzwi kierowcy, żeby go oddać, wtedy Esther złapała ją za nadgarstek.

– Usiądziesz tutaj ze mną? – zapytała. – Jak kiedyś?

Joanna spojrzała na Nicholasa – czy się nie sprzeciwi? – ale on był już na zewnątrz, już wspinał się na tylne siedzenie, przenosząc się ze swoimi akcesoriami.

– Dobry pomysł – uznał. – Możemy spróbować działać pod tym kątem.

Joanna zajęła miejsce obok siostry i niemal odruchowo się odprężyła, oparła stopę na desce rozdzielczej. Esther się uśmiechnęła. To również było znajome.

– Kadisz powinnam czytać na stojąco – zwróciła się Esther do Nicholasa. – Myślisz, że mogę uklęknąć na siedzeniu?

– Nie ma znaczenia, co powinnaś zrobić. Rób to, co czujesz.

Esther udało się uklęknąć; żeby nie uderzyć się w dach, schyliła głowę. Dopiero teraz sobie przypomniała, że przez parę miesięcy po śmierci ojca miała przelotny nawrót dawnej religijności, że chodziła do różnych kościołów i synagog w Portland, usiłując opłakiwać zmarłego. Jej żal był tak ciężki, że próbowała znaleźć miejsce, w którym mogłaby go umieścić, pojemnik, który byłby wystarczająco duży i mocny, aby go utrzymać.

Chciała się tym żalem podzielić.

I na tych uczuciach się skupiła, gdy spojrzała na stronę i zaczęła recytować modlitwę. Na głębokiej żałobie po ojcu, na ziejącej otchłani wewnątrz niej, na odwiecznym pragnieniu bycia częścią czegoś większego. Rodziny, tradycji, całego niepoznawalnego świata.

Pomyślała o ojcu takim, jakim знаła go w dzieciństwie: kochającym i dobrodusznym, niepraktycznym ekscentryku, świetnym tancerzu i skrupulatnym kucharzu, który co roku przygotowywał dla niej pięciodaniowy posiłek na urodziny. Pomyślała o tym, jak czuła się bezpieczna, gdy ją przytulał; o tym, jak zawsze potrafiła rozśmieszyć go do łez. Wyobraziła sobie wszystkich ludzi, którzy odmawiali tę samą modlitwę żałobną, gdy tracili ojców, przez tysiące lat, w tysiącach domów pod tysiącami nieboskłonów, podczas gdy przodkowie jej drugiego rodu co niedziela pili razem wino w kościele, zatrzymując je na języku jak krew. Joanna zaglądała jej przez ramię, żeby też odmawiać kadisz, bardzo cicho. Tajemnicza osoba, która nigdy nie rozumiała tej potrzeby przynależności, ponieważ zawsze kochała Esther tak całkowicie, że dla niej musiało to być jak dopełnienie. Łączyły je tysiące lat dzielenia wina i krwi, rodowych rytuałów, wierzeń, tęsknoty i więzi, magicznego myślenia i prawdziwej magii.

I nagle Esther poczuła.

Dawno stwardniałe kryształki starego miodu na języku ciała rozluźniały się w ciepłe jej krążącej krwi, przemieniały się z grudek w syrop. Powolne słodkie brzęczenie skrzydeł – rozwijało się w głębi niej i zapętało na zewnątrz – mocne i zwielokrotnione. Plaster w jej piersi, robotnice w żyłach, cały ul wokół.

– Esther? – odezwał się Nicholas, a Joanna w tej samej chwili powiedziała:

– Słyszę to.

Esther zadrżała. To było to, co Joanna i Abe słyszeli przez te wszystkie lata. To było to, czemu poświęcili swoje życie. Esther myślała, że jest poza tym, na zewnątrz, a tak naprawdę cały

czas była w środku. Ona była tym środkiem. Ciepłym, brzęczącym centrum. To wychodziło od niej.

– Działa! – zawołał Nicholas.

Dziewczyna roześmiała się podekscytowana.

– Nagle jesteś zaskoczony?

– Jedna rzecz przypuszczać czy nawet wierzyć, a inna wiedzieć – wymigał się. – Szybko, podwiń rękaw.

Esther wysunęła z kurtki i swetra jedną rękę. Sprzęt Nicholasa, sterylny i medyczny, wydawał się nie na miejscu w czerwonym, jarzącym się blasku świec. Chłopak pochylił się, żeby profesjonalnie, niczym doświadczony lekarz obwiązać jej ramię gumą. Potem zimnymi palcami ujął nadgarstek i wycelował strzykawkę. Spojrzał na nią pytająco. Przytaknęła.

Lekkie ukłucie, gdy igła przebiła miękką skórę.

– Doskonale – mruknął. – Masz piękne żyły, moje są nierówne. Teraz recytuj dalej.

Esther znów odmawiała modlitwę, zatapiając się w ciepłym, brzęczącym blasku, a krew zaczęła płynąć z jej ramienia. Poczowała ucisk w piersi, szeroki strumień słodczy – który objął całe ciało i skupił się w ramieniu – strużki żywej czerwieni popłynęły rurką i zbierały się na dnie plastikowego worka. Ostatni raz widziała tyle krwi, kiedy z Pearl przepchnęły Treva przez lustro. Czy to naprawdę stało się ledwie kilka dni temu? Wyznała ten sekret, Joanna i Nicholas już wiedzieli. Opowiedzenie tego bardzo ją odciążało.

Pomyślała o Collinsie, o tym, jak długo milczał, jaki był samotny. Robiła to dla niego, wylewała kawałek swojego serca, żeby on też mógł podzielić się sobą.

Dokończyła modlitwę i przez chwilę nikt się nie odzywał, wszyscy troje trwali wsłuchani w ten wewnętrzny dźwięk,

niekończące się miodowe brzęczenie. Esther słuchała go po raz pierwszy, ale miała wrażenie, że słyszy go od zawsze. Może to pierwszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała, i może będzie ostatnim, gdy skończy się jej czas.

– Ile miałeś lat? – spytała Nicholasa. – Kiedy zacząłeś oddawać krew w ten sposób?

– Osiem – odparł Anglik. – Późno dojrzewałem.

Rzucił to jako żart, więc Esther posłusznie się uśmiechnęła, ale to nie było zabawne. Nicholas nie powinien być zmuszony do czegoś takiego w wieku ośmiu lat – Esther powinna otrzymać taką możliwość. Rozpaczliwie zapragnęła pisać, dowiedzieć się, jak uczucia zaczną się zmieniać ze zmianą rytuału. Czy moc będzie przyływać i odpływać? Czy pozostanie niezmienna, jak stały słodki strumień?

– Tyle chyba wystarczy. – Nicholas znów się do nich nachylił. – No to uwaga... – Wprawny ruch, nieprzyjemne wrażenie, po czym igła z ręki Esther zniknęła. Nie zniknęło jednak tamto uczucie, nadal rozbrzmiewał w niej piękny miodowy dźwięk. – Wszystko w porządku?

Przycisnął zwitek papierowego ręcznika do jasnej bańki krwi, która pojawiła się po wyjęciu igły; jego zimne palce poruszały się bardzo delikatnie. Wspomnienie tamtego wszechogarniającego uczucia wciąż w niej pulsowało. Łaknęła więcej.

Nicholas przysunął worek z krwią w stronę świec.

– Jesteś bardzo dobrze natleniona, zobacz, jaki jasny kolor.

– Nie sądziłam, że to aż tak medyczne – zauważyła Joanna.

– Czasem jest inaczej – odparł. – Zakłęcie może wymagać jakiejś specyficznej metody pobrania krwi. – Zważył worek w dłoni, jakby odmierzał mąkę na ciasto. – Na przykład przy

wszystkim, co się wiąże z ciepłem lub ogniem, trzeba lekko oparzyć ciało. A to nie ułatwia sprawy, ponieważ oparzona tkanka ma tendencję do zrastania się, nie rozdzielania. – Zobaczył minę Esther i się zaśmiał. – Bądź facetem! Nikt nie idzie do ciebie z zapaloną zapałką. Na razie.

Irytacja na to „bądź facetem” oderwała ją od nieprzyjemnych myśli, które musiały się odbić na jej twarzy. Ale nie myślała o sobie, znów myślała o Nicholasie, o tym, co mu robiono.

Młodzieniec, zupełnie tego nieświadomy, podał jej worek z krwią.

– Chodźmy do środka, musimy jeszcze zwęglić zioła.

Zdmuchnęli świece i wysiedli z kabiny, czerwonego materiału nie zdejmowali z okien. W kuchni Nicholas zgasił wszystkie światła, zapalił dużo świec i we troje skupili się wokół kuchenki. Spalili zioła w rondelku, Nicholas mieszał je drewnianą łyżką, Esther powoli wlewała krew. Tak bardzo przypominało to obrazek ze złymi czarownicami, że prawie parsknęła śmiechem – a potem znów coś w sobie poczuła. Trzepot przezroczyстых skrzydeł. Wszystko się skrzyło, płomienie świec odbijały się w ciemnej powierzchni atramentu, ciepłe światło padało na twarz Esther. Kałuża czerwonej nocy, migocząca gwiazdami.

– To powinno wystarczyć – zawyrokował w końcu Nicholas. Esther wzięła długi, powolny oddech i przestała mieszać, płyn uspokoił się, zastygł, trzepotanie wewnątrz niej zniknęło. – Teraz ta trudniejsza część. Pisanie.

To chyba ma sens, pomyślała Joanna, że Esther nie pisze sama tej książki, że ją kopiuje. Pisał Nicholas, na komputerze w jadalni, tworząc dokument pełen zapętlonych zakłęb, które Joanna rozpoznałaby wszędzie, bezsensownych samych w sobie i nabierających znaczenia z każdym powtórzeniem: „...i od zamkniętych ust wiedzie zamknięty łańcuch, i zamknięty łańcuch otwiera się niczym usta. Każde ogniwo to usta i otwiera się tak, jak otworzą się zamknięte usta...”.

– Przypomina mi twoją fazę poezji emo – prychnęła Esther, przeglądając kilka pierwszych stron, które wypluła zakurzona drukarka.

– Nie dość, że wykradłaś moje pamiętniki – mruknęła Joanna i wyrwała kartki z rąk siostry, żeby popatrzeć – to jeszcze pamiętasz ich treść.

– To nie poezja. – Młody Skryba odchylił się na krześle, wyglądał na urażonego. – Ponieważ, śmiem twierdzić, spod mojego pióra wychodziłaby poezja doskonała. To magia. Podstaw tworzenia atramentu mogę was nauczyć w jeden poranek, ale opanowanie samych słów zajęło mi lata, więc byłbym wdzięczny za odrobinę szacunku.

– Ale zadziała? – Esther położyła plik kartek na stole w jadalni obok kałamarza z krwawym atramentem. W świetle sztucznego żyrandola z lat siedemdziesiątych płyn był tak ciemny jak jej oczy. – Nawet jeśli słowa nie pochodzą bezpośrednio ode mnie?

– Tak – zapewnił Nicholas. – Może nawet nasza współpraca wzmocni efekt zaklęcia, chociaż to pewnie działałoby tylko wtedy, gdyby jedno z nas oddało życie przy pisaniu. Wielu rzeczy nie wiem o pracy z innym Skrybą.

– A ja nie wiem wielu rzeczy o tym domu – odezwał się Collins, a Joanna aż podskoczyła. Podszedł bez ostrzeżenia i stanął za jej plecami, prawie o głowę wyższy i dwa razy szerszy. Przygarbił się nieco, gdy się odwróciła, jakby nie chciał nad nią aż tak górować. – Przepraszam – powiedział. – Nie zamierzałem cię przestraszyć.

– Nie przestraszyłeś – odparła szczerze.

Mimo rozmiarów Collinsa i wrażenia sprężonej w nim energii sama jego obecność działała jakoś uspokajająco. Nicholas sardonicznie dramatyzował, Esther miała niespożyte pokłady aktywności, a sama Joanna już dwa razy zalała się dzisiaj łzami. W tym gronie Collins był najmniej reaktywny.

– Pomyślałem, że gdy Esther będzie pisała, mogłabyś nas oprowadzić – zauważył.

– Prawie wszystko widziałeś. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Chodziło mi o twoją kolekcję – uściślił. – Twoje książki.

Nicholas składał i numerował strony, na których Esther miała pisać krwią, ale w tym momencie podniósł wzrok.

– Tak jest – powiedział. – Popieram tę prośbę z całego serca. Jo popatrzyła na siostrę.

– Nie będziesz nas potrzebowała?

– Po prostu napełniam pióro i zabieram się do roboty, tak? – zwróciła się Esther do swojego instruktora.

– Jeśli przez „zabieram się do roboty” rozumiesz pełną koncentrację i najwyższą staranność, to tak. Pamiętaj, że pismo musi być maksymalnie czytelne. W razie pomyłki nie wolno ci niczego przekreślić, musisz całą stronę zacząć od nowa.

– Czyli nie, nikogo nie potrzebuję. Prawdę mówiąc, chyba nawet lepiej, jeśli sobie pójdziecie i nie będziecie mi stać nad głową.

Joanna się zawahała. Ukrywanie i ochrona kolekcji tak długo stanowiły jedyny cel jej życia, że wejście w nową rolę wydawało się prawie niemożliwe. Abe byłby zbulwersowany, że jego córka w ogóle rozważa taką możliwość. Jednak po tym, czego się dowiedziała, jego opinia traciła nieco na znaczeniu. Wzajemne zaufanie leżało u podstaw wszystkich jego zasad – a to nie przeszkadzało mu okłamywać Joannę przez całe życie. Najwyraźniej jego zasady były w najlepszym razie hipokryzją, w najgorszym – mocno wątpliwe. Szkoda, że nie umiała sprawić, aby jej serce szło ramię w ramię z logiką. Za każdym razem, gdy eksperymentowała z innymi emocjami niż żal po stracie ojca, gdy zaczynała czuć złość na niego albo rozgoryczenie, przypominała sobie, jak wyglądał, gdy widziała go po raz ostatni. Rozciągnięty na zimnej, mokrej ziemi, wydrenowany z krwi przez tajemniczą książkę.

Która dzięki Nicholasowi przestawała być tajemnicą.

– Dobrze – zgodziła się.

Nicholas wstał i się zachwiał; bardzo blady chwycił mocno oparcie krzesła. Wyraz twarzy ochroniarza zmienił się z neutralnego w groźny w jednym imponującym ruchu, ale Joanna, która zaczynała już lepiej poznawać wielkoluda, wiedziała, że oznacza to nie tyle chęć mordy, ile zmartwienie.

– Zawroty głowy – tłumaczył się chłopak. – Prowadź.

Gdy wyobrażała sobie, że pokazuje komuś kolekcję, nigdy nie widziała twarzy odwiedzającego, za to nieodmiennie był on pod wrażeniem. Schodził za nią po schodach do piwnicy, przez zapadnię do sekretnego podziemnego pokoju, wydawał okrzyki, zdumiony samą tajemniczością przejścia i zamkniętych drzwi, podziwiał skrupulatnie oznakowaną szafkę z ziołami, zachwycał się mnóstwem zabytkowych tomów, równo ustawionych na półkach. „Dobry Boże!”, wołał przybysz. „To niesamowite!” Czy coś w tym stylu.

Nie wyobrażała sobie za to, że przyprowadzi tu kogoś, kto nie tylko miał dwadzieścia razy więcej książek niż ona, ale także całą angielską rezydencję, w której mógł te zbiory umieścić, plus magiczną krew w żyłach, a za sobą długie stulecia przodków. Zapaliła górne światła i czekała na ryk magii, niemal zawstydzona tym, jak znikoma i żałosna jest jej kolekcja.

Jednak arystokratyczny gość wydawał się szczerze zachwycony.

– Biblioteka często skupuje całe prywatne kolekcje – mówił, zaglądając przez szkło gabloty – więc same książki oglądałem nieraz, ale nigdy nie odwiedzałem ich w czyjejś rezydencji. Mogę?

– Śmiało. – Poczula dreszczyk strachu i dumy, gdy otworzył szafkę i wyjął książkę. Collins oglądał suszone zioła w słoikach z beznamiętnym wyrazem twarzy. – Skończyła mi się werbena – poinformowała i natychmiast zrobiło się jej głupio, kiedy spojrzał na nią, marszcząc brwi. No tak. Czemu, u licha, miałyby go martwić jej zapasy?

A jednak powiedział:

– Zostało ci też niewiele tarniny. Wystarczy na przeczytanie książki?

– Nawet trzech – odparła.

Nicholas za nimi mruzczał coś do siebie o obwolutach.

– Wygląda to fantastycznie – wyraził swoje uznanie Collins, a Joanna zarumieniła się, dziwnie zadowolona z jego aprobaty, bo przecież jakie miało znaczenie, co myślą ci obcy? – Są jakoś specjalnie ustawione? – drążył osiłek. – Jaki masz system?

– Aktualnie stoją pogrupowane według szacowanej liczby pozostałych użyć. – Joanna odwróciła wzrok od ochroniarza. – Ale często je przestawiam, tak dla zabawy.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, jak zupełnie niezabawnie to brzmiało. Collins dostrzegł jej minę i rzucił pocieszająco:

– Nie martw się, Nicholas też wcale nie jest zabawny.

– No cóż, nie miałem jakoś szczególnie dużo okazji, prawda?

– Anglik ostrożnie odstawił jakiś tomik na miejsce. – Niewykluczone, że mogę być absolutnie niesamowity w karaoke.

– Karaoke jest dla tych, co nie umieją tańczyć. – Collins oderwał wzrok od sproszkowanego nagietka i znów spojrzał na Joannę: – To gdzie trzymasz osłony?

– Kiedy się zrobiłeś taki ciekawski? – zdumiał się Nicholas. – Zwykle na samą wzmiankę o książkach dajesz dyla.

Bodyguard wzruszył ramionami.

– Cóż mogę powiedzieć. Zrobiło się interesująco.

– Osłony są tutaj – powiedziała. – Z przodu.

Collins podszedł do biurka, żeby się przyjrzeć, Nicholas podążył za nim nieco wolniej. Kodeks osłon spoczywał na honorowym miejscu na stojaku, który Abe specjalnie zbudował. Książka była niewiele większa niż jej rozłożone dłonie, ale stanowiła najcenniejszą pozycję zbiorów. Gdy Nicholas

wyciągnął rękę, zawołała: „Nie!”. Wypadło znacznie głośniejsze, niż zamierzała.

Cofnął się tak gwałtownie, aż się potknął i wpadł na Collinsa, który patrzył na książkę przez jego ramię.

– Przepraszam – wymamrotała speszona. – Tylko... Proszę, nie dotykaj.

Nicholas podniósł rękę.

– Nie dotknę – zapewnił. – Obiecuję. Myślisz, że mogłabyś ją otworzyć? Chciałbym zajrzeć do środka.

Joanna, zaskoczona własną gwałtowną reakcją, spostrzegła, że lekko drży. Zorientowała się, że odkąd tu przyszedli, ma przyspieszone tętno. Wzięła jednak głęboki oddech i podeszła do umywalki, umyła ręce. Szum ciekącej wody i gorące chrypienie suszarki wypełniły niewygodną ciszę, która zapadła po tej nagłej reakcji. Idealnie suchymi palcami otworzyła kodeks na pierwszej stronie. Znajomy dotyk stron, miękkich od upływu stuleci, i widok pochyłego, ciasnego pisma zadziałały kojąco.

Nicholas pochylony, z dłońmi w kieszeniach oglądał po kolei każdą z piętnastu stron.

– Niesamowite – westchnął w końcu. – Identyczna jak ta, którą trzymamy w Bibliotece, z tą różnicą, że mój ojciec zrehabilitował naszą, pozwalając na zaklęcia komunikacyjne. Tutaj magia lustra i tego typu czary nie zadziałają.

– Ale mówiłam ci, że moja matka przesłała coś przez lustro.

– Tak, nic jednak nie może wrócić. W Bibliotece mogło. Skąd twój ojciec wziął te osłony?

– Należały do matki Esther. Były w jej rodzinie.

– Interesujące...

– Joanno, mogłabyś dodać do osłon moją krew, skoro już tu jesteśmy? – spytał Collins. – Żebym po wyjściu na zewnątrz się nie przewracał?

Dziewczyna nie bawiła się w dyplomację:

– Nie.

– No weź – upierał się osiłek. – Ktoś musi wyprowadzić psa.

– Halo? – Nicholas uniósł rękę.

– Jasne, ale ktoś musi wyprowadzić mnie. Potrzebuję trochę ruchu, nie mogę całymi dniami siedzieć w domu, bo zwariuję. Proszę... Błagam. Jestem jedyną osobą, na którą działają te osłony... I w każdej chwili będziesz mogła mnie z nich usunąć.

Joanna przyjrzała się Collinsowi. Wydawał się zbyt duży, żeby siedzieć w zamknięciu, i faktycznie przez cały ranek krążył po domu – tupał na schodach, krzątał się po kuchni, siłował się z Sir Kiwi, znacznie poniżej jego kategorii wagowej. Było też w nim coś, czemu bezgranicznie ufała, i wcale nie dlatego (przysięgała sobie), że był przystojny. Przystojni niebieskoocy mężczyźni są zwykle najmniej godni zaufania, uznała w duchu. W ilu powieściach pojawiał się złoczyńca z błękitnymi oczami o barwie lodu? Jednak oczy Collinsa wcale nie wyglądały lodowato. Miały kolor dżinsów, idealnie spranych i znoszonych, i wpatrywały się w nią takie ciepłe i łagodne, pełne nadziei. Zrozumiała, że nie chce mu odmówić. Ale...

– Nie – powtórzyła.

Wielkolud rzucił swojemu podopiecznemu błagalne spojrzenie. Joanna przypominała sobie wtedy, jak ona i Esther prosiły o coś matkę, a gdy Cecily odmawiała, szły do Abego, licząc na zupełnie inną odpowiedź. W tej sytuacji to ona odgrywała rolę Cecily.

– Przyznaję: to nie do końca sprawiedliwe, że tylko Collins siedzi zamknięty w domu – rzekł Nicholas i teraz już dwie pary oczu wpatrywały się w nią z błaganiem.

Nikt oprócz rodziny nie należał do osłon – ale też nikt oprócz rodziny nigdy nie przebywał w tej posiadłości, aż do wczoraj. Zmiany zachodziły niezależnie od tego, czy była na nie gotowa, czy też nie, i po latach oporu łatwiej mogła się teraz poddać.

– Dobrze – powiedziała i wzięła srebrny nóż z biurka. – Daj mi rękę.

Collins podszedł szybko, jakby się bał, że dziewczyna zmieni zdanie, i niepotrzebnie podwinął rękaw. Jego dłoń, podobnie jak reszta ciała, była duża, silna i ładnie ukształtowana. Kilka odcisków na palcach, napięte żyły biegnące po wierzchu, w górę muskularnego przedramienia, długie palce, szerokie, ładnie utrzymane paznokcie. Joanna wpatrywała się, czując ciepły ciężar jego dłoni, aż Nicholas odchrząknął. Oprzytomniała.

Przełknęła ślinę, wbiła czubek noża w palec wskazujący i patrzyła, jak mężczyzna przyciska opuszkę do grzbietu kodeksu, tuż obok jej własnego brunatnego odcisku palca. Dokładnie tam, gdzie kiedyś pojawiła się krew Abego i Cecily. Wydawało jej się, że osłony drżą, przesuwają się, żeby go przyjąć. Collins zabrał rękę i obserwował swój krwawiący palec, jakby nie mógł spotkać jej spojrzenia.

– Przepraszam – odezwał się cicho. – Wiem, jakie to dla ciebie trudne.

Joanna zacisnęła i rozluźniła dłoń.

– W porządku – powiedziała.

Zamknęła książkę i umieściła ją za szklanymi drzwiczkami, nad wampirem, którego za radą Nicholasa owinęli szczelnie starą kurtką. Wciąż jednak słyszała ten głęboki, dysonansowy

gong, wbijający się w spokojne brzęczenie innych książek, tę odtwarzaną w kółko fałszywą nutę.

Nicholas przypatrywał się wampirowi.

– Pozwolisz – zaczął – że zabiorę ją ze sobą na górę? Chciałbym jeszcze raz przejrzeć.

– Bardzo proszę – zgodziła się, tym razem bez wahania.

W jadalni Esther pochylała się nad swoim dziełem, zapisane strony schły na stole. Nicholas przyglądał im się okiem profesjonalisty, patrząc na nie z góry, robił miny niczym sędzia na pokazie kucyków i powtarzał: „Bardzo ładnie, bardzo ładnie, naprawdę bardzo ładnie”, aż Esther go odepchnęła.

– Przez ciebie naprawdę nie mogę się skoncentrować – wymruczała. – A jak źle skopiuję jakieś słowo i przemienię Collinsa w kure?

– Zauważyłem, że skończyły ci się jajka – zwrócił się Nicholas do Joanny.

Collins zniknął z Sir Kiwi od razu, jak wrócili na piętro, i trzasnął za sobą drzwiami, jakby palił się do wyjścia na zewnątrz. Joanna patrzyła za nim z niepokojem, który wzięła za zazdrość. Ona też chętnie poszłaby na spacer, ale denerwowała się na samą myśl, że miałyby zostawić tu Esther i Nicholasa, aby tworzyli tę swoją magię. Po części była to paranoja – wolała mieć nad nimi nadzór – a po części pragnienie uczestnictwa, nawet jeśli nie mogłaby w niczym pomóc.

W drodze kompromisu wyszła na zimną werandę i z pewnym rozczarowaniem stwierdziła, że Collinsa nigdzie nie widać – musiał zabrać Sir Kiwi do lasu. Uśmiechnęła się za to na widok kota, czekał na nią, kręcąc się wokół poręczy z uniesionym

ogonem. Jednak przyszedł. Bała się, że nieznane zapachy psa i ludzi go odstraszą.

– W środku mamy imprezę – poinformowała kocurka, głaszcząc go po łepku, jak zawsze zdumiona, jaki jest ciepły, jaki prawdziwy. – Może jednak wejdiesz?

Wcisnął pyszczek w jej palce, pocierał się o nogi. Może pozwoliłby się podnieść? Strasznie chciała potrzymać go w ramionach. Ale kiedy wyciągnęła drugą rękę i dotknęła jego boku, odskoczył.

– W porządku – powiedziała, gdy się wycofał, a jego przenikliwe oczy ją upomniały. – Przepraszam. Nie chciałam cię popędzać.

Zapra gnęła, żeby jakiś człowiek o miłym głosie powiedział jej dokładnie to samo.

Collins wracał; widziała jego sylwetkę między drzewami, słyszała trzask gałązek, chrzęst opadłych liści pod ciężkimi stopami, gdy szedł ścieżką. Wyłonił się z gęstwiny za huśtawką, smycz Sir Kiwi owinął wokół ręki i z zaciśniętymi ustami patrzył w ziemię. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył Joannę na ganku, zamarł.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Witam się z kotem – odpowiedziała.

Zmarszczył brwi i dopiero wtedy zauważył, jak Sir Kiwi wrywa się na smyczy.

– Kotem – powtórzył, a wspomniany futrzak zeskoczył z ganku i pomknął w stronę lasu. Sir Kiwi wydała zduszony skowyt, a mężczyzna wpatrywał się w ciemne drzewa. Kot zniknął.

– Wszystko w porządku? – zapytała Joanna.

– Bardzo tu ładnie – odparł. – Ty oczyściłaś tę ścieżkę?

– Mój tata, ze mną i z Esther. Lata temu, kiedy byliśmy dziećmi.

– Ale to ty nie dajesz jej zarosnąć. Dużo roboty. – Pies wbiegł po schodkach i napiął smycz, próbując skakać na nogi Joanny. Collins stał kilka kroków dalej. – Jak daleko ta dróżka sięga?

– Otacza posiadłość, biegnie tak jak osłony. W sumie około pięciu kilometrów. Dotarłeś do strumienia?

Skinął głową. Chyba wyrwał się już z tamtego złego nastroju i odprężył.

– Tak. Ślicznie tam.

I znów, jak niedawno w piwnicy, Joanna zarumieniła się od tej pochwały, i znów powiedziała sobie, że to bez znaczenia, co myśli Collins. Ale miał rację, ciężko pracowała nad tą ścieżką, która pod wieloma względami była jej częścią, tak jak książki, ganek czy własna krew. W końcu to jej krew zapewniała posiadłości bezpieczeństwo w otoczeniu lasu.

Collins zaczął wchodzić po schodach, deski zaskrzypiały; Jo cofnęła się, żeby zrobić mu miejsce. Zatrzymał się tuż przed nią, patrząc na coś ponad jej ramieniem, a usta ułożyły się w cienką linię. Jego twarz sugerowała jakieś złe nowiny i Joanna wiedziała już, że cokolwiek zamierzał jej powiedzieć, nie chce tego słyszeć. Zebrała się w sobie, puls jej przyspieszył, gdy jego spojrzenie na chwilę znów na nią padło.

– Wszystko tutaj jest piękne – oznajmił, a potem minął ją i wszedł do domu, prowadzony przez pomeraniana.

Joanna, osłupiała i dezorientowana, słuchała, jak trzasnął drzwiami. Jakby na przekór temu, co właśnie wyznał, twarz miał przerażającą, jeszcze go takim nie widziała, a napięcie płynęło z każdej linii ciała.

Wszyscy tutaj bardzo się stresują, wytłumaczyła sobie, Collins również. Może niepokoiło go zakłęcie, które pisała Esther, może się obawiał, że nic z tego nie będzie? A może właśnie bał się, że magia zadziała i wyrwie go z długotrwałej ciszy? Ograniczenia potrafią przynieść spokój, Joanna wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Otworzyła drzwi i znów uderzył ją dźwięk książki wampira. Collins stał w przedpokoju, wycierał ubłocone łapy psiaka starym ręcznikiem. Gdy Joanna weszła, właśnie puścił ostatnią łapę, rudy puszek pobiegł do środka, Collins ruszył za nim. Joanna podążyła za nimi do salonu, gdzie Nicholas siedział na kanapie i masował skronie. Książka leżała obok niego. Joanna pomyślała, że nigdy nie widziała jeszcze nikogo ani niczego tak luksusowego i tak zniszczonego jednocześnie.

– Co się stało? – rzucił Collins, który już stał nad Anglikiem.

– Cofnij się – powiedział Nicholas. – Dobry Boże, przestałeś być moim ochroniarzem, pamiętasz? Nic mi nie jest, rozboleła mnie głowa. Co za obrzydliwa książka.

Dźwięk tkwił w umyśle Joanny i zostawiał nieprzyjemny smak na języku, czuła gorycz za każdym razem, gdy przełykała. Świadomość tego, z czego została zrobiona ta księga, nie zmieniała samego dźwięku, ale trudno było słuchać jego fałszywych tonów i nie myśleć o skórze, kościach, ścięgnach i cierpieniu.

– Skończyłeś oglądać? – zapytała Joanna.

– Na razie tak. – Nicholas zmarszczył brwi. – Ciągłe myślę, że jest tam coś więcej, coś, czego nie rozumiem, ale... Nie wiem.

Esther wyszła z jadalni, przeciągnęła się, oparła o framugę drzwi.

– To mogę ją odnieść do piwnicy? Naprawdę nieprzyjemnie brzmi.

– Tak – zezwolił Nicholas, a Collins, który już miał usiąść na sofie obok niego, podniósł się nagle, znowu zaczął siadać, w końcu zmienił zdanie i wstał. Młodzieniec zmarszczył brwi, Jo ucieszyła się, że nie tylko ją zdziwiło to zachowanie. – Collins? W porządku?

– Skończyłaś pisać? – zwrócił się ochroniarz do Esther.

– Tak, przed chwilą.

– I co teraz? – spytał z kolei Nicholasa.

– Teraz czekamy, aż strony wyschną, żeby Esther mogła je oprawić.

– Jak długo to potrwa?

– Niedługo, trzydzieści, czterdzieści minut?

– Nie zanoś jeszcze tej książki. – Wielkolud utkwiał wzrok w gospodyni. Głos miał napięty, jakby walczył ze sobą, żeby nie krzyczeć. – Proszę. Dopiero jak zakłęcie będzie gotowe.

– Ale dlaczego? – zdumiał się Nicholas.

– Nie mogę ci powiedzieć.

Siostry popatrzyły na siebie zdezorientowane, a książka zgrzytała na stoliku do kawy jak odległa piła łańcuchowa.

– Mogę ją przynajmniej stąd wynieść?

– Zanieś ją, gdzie chcesz, byle nie do piwnicy – odparł.

Żeby rozwiązać jego dziwny niepokój, Jo poszła schować książkę w spiżarni. Niskie, nieprzyjemne brzęczenie wygłuszały kolejne drzwi, więc chociaż dziewczyna wciąż słyszała buczące zgrzytanie, gdy szła do jadalni, zrobiło się znacznie cichsze, znośniejsze.

Atrament wysechł szybko; Joanna z zaciekawieniem słuchała instrukcji Nicholasa co do oprawiania. Większość pracy wykonał sam: szybkie koptyjskie łączenie zwykłą czarną bawełnianą nicią; skórzana okładka wycięta ze starej kurtki i – żeby było szybciej – zszyta, a nie przyklejona. Sposób oprawiania nie miał aż takiego znaczenia, jak wyjaśniał Nicholas. Chodziło o to, żeby książka w ogóle została oprawiona. Starożytne formy przechowywania magii, takie jak zwoje czy rzeźby z czasów prelingwistycznych, również potrzebowały wykończenia: glina zmieszana z krwią musiała być wypalona, kollesis – czyli miejsce łączenia kart w zwoju – idealnie wyrównywano. Dopiero wtedy czary mogły działać.

Patrzyła, jak angielski Skryba zszywa karty wprawną ręką, i zdumiewała się, na jak wiele jej odwiecznych pytań zdobywała odpowiedź przez sam fakt jego obecności.

Nicholas wbił igłę po raz ostatni, a potem zawiązał nitkę i odgryzł koniec zębami.

– Gratulacje. – Uśmiechnął się do Esther. – Napisałaś swoją pierwszą książkę.

– Pogratulujesz mi, jak zaklęcie się sprawdzi – odparła dziewczyna.

Joanna już teraz to słyszała. Gotowy produkt wyglądał bardzo podobnie do innych książek w kolekcji: strony z taniego białego papieru do drukarek, oprawa schludna, prosta, okładka ze sztywnej skóry bez ornamentów. Dla Jo wygląd nie miał znaczenia, liczył się dźwięk. A ta książka, choć domowej roboty, choć napisana w ciągu jednego dnia ręką siostry i jej krwią, brzęczała jak ul w gorący lipcowy dzień.

– Dobra, zróbmy to – zawołał Collins, który niemal wibrował z niecierpliwości. – Przeczytaj mi.

Spoza pocieszającego brzmienia zaklęcia stworzonego przez Esther wciąż dobiegał nieprzyjemny zgrzyt, dręczył umysł. Joanna odłożyła nową książkę na stół, odwróciła się w stronę kuchni.

– Wampir mnie rozprasza. Zaniosę go do...

– Zostaw – warknął Collins, a ona odwróciła się do niego szybko, urażona ostrym głosem. Odchrząknął, zapanował nad emocjami. – Proszę cię, Joanno, daj spokój. Najpierw przeczytaj mi zaklęcie, a potem rób sobie w piwnicy to, co musisz.

Dziewczynę przeszył nerwowy dreszcz.

– Dlaczego nie chcesz, żebym poszła do piwnicy?

Collins zbladł.

– Nie o to... Nic takiego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś.

Joanna już odwróciła się od niego, od zdezorientowanych twarzy Esther i Nicholasa, już szła do kuchni, chociaż Collins wołał jej imię spanikowanym, wysokim głosem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszała. Nie zatrzymała się, nie wzięła wampira ze spiżarni, nagle jednak wystraszyła się czegoś najzupełniej innego.

Otworzyła drewniane drzwi do piwnicy i od razu poczuła, że coś jest inaczej... brzmi inaczej. Tak jakby słuchała piosenki, którą znała na pamięć, i wychwyciła, że w tle brakuje jednego z instrumentów. Puls przyspieszył, zanim jeszcze podeszła do biurka, zanim spostrzegła zmianę.

Półka, na której zawsze leżało zaklęcie osłon, półka, która nigdy, przez całe życie Joanny nie była pusta, teraz właśnie świeciła pustką.

Dziewczyna padła na kolana i szukała za biurkiem, pod nim, obok niego, jakby nieostrożnie strąciła książkę, choć przecież

tego nie zrobiła, bo już wiedziała, co się stało. Wybiegła z piwnicy, popędziła po schodach, nawet nie zamknęła za sobą drzwi. Wpadła z powrotem do jadalni i ruszyła prosto na Collinsa, gwałtownie stanęła przed nim, a wściekłość nie pozwalała jej mówić, odebrała dech.

– Co ty zrobiłeś?!...

Osilek patrzył na nią, twarz miał białą jak kreda, a źrenice w niebieskich oczach rozszerzone, ogromne. Przełknął ciężko ślinę, nie odpowiedział.

– Co się stało? – spytał Nicholas. – O czym ty mówisz?

Nie odrywała wzroku od ochroniarza. Całe jej ciało trzęsło się z bólu i ze strachu, od adrenaliny.

– Zabrał moją księgę z osłonami – wydyszała.

Collins wciąż milczał.

– To niedorzeczne. – Nicholas kręcił głową. – Nawet nie dotknął twoich osłon.

Collins odchrząknął. W końcu wychrypiał:

– To prawda. Zabrałem je. Zabrałem i nie zamierzam oddać.

Po słowach Collinsa zapanowała absolutna cisza, jednak Nicholas jej nie słyszał. W uszach rozbrzmiewał mu ryk, kiedy krew kaskadami napływała mu do głowy, a umysł blokował wyznaczenie ochroniarza. Collins cofał się, dopóki nie uderzył w ścianę, i z ponurą miną patrzył to na Joannę, to na Nicholasa, który wiedział, że na jego własnej twarzy malują się i szok, i ból, ale nie mógł tego ukryć, nawet gdyby chciał ratować swoją dumę.

– Collins... – odezwała się Joanna urywanym głosem i oparła ręce na stole, jakby nie mogła utrzymać równowagi. Nicholas cieszył się, że on sam już wcześniej usiadł. – Jest piąta. Musimy postawić osłony w ciągu dwóch godzin, bo inaczej dom nie będzie chroniony, ujawni się i każdy, kto wie, gdzie szukać, bez problemu nas znajdzie.

Tłumaczyła mu to, jakby nie wiedział. A przecież Collins był absolutnie świadomy, do czego doprowadzi brak aktywacji osłon. Esther podeszła do stołu, zaciskając pięści, jak gdyby szykowała się do walki, Collins natomiast skrzyżował ręce na piersi, ale nie nonszalancko, lecz jakby się bał, jakby się chronił.

– Gdzie je położyłeś? – zapytała Joanna, a gdy mężczyzna nie odpowiedział, odwróciła się do Nicholasa i Esther. – Przeszukajmy dom.

– Nie ma ich tu – zareagował wreszcie Collins. – Bardzo mi przykro, Joanno. Nie znajdziecie ich.

Jo walnęła dłonią w stół tak nagle, że Nicholas podskoczył. Najgłośniejszy dźwięk, jaki od niej usłyszał, od czasu, kiedy tu przyjechali.

- Powiedz, gdzie one są!
- Musisz mi przeczytać zaklęcie.
- Nie, dopóki mi ich nie oddasz!

Nicholas tymczasem pisał na nowo swoje rozumienie ostatnich kilku dni, polerował soczewki każdej interakcji z Collinsem, aż uzyskał chorobliwie żółty film wstydu. Z obrzydzeniem myślał o wersji samego siebie sprzed zaledwie paru minut: żałosny gość, który wierzył, że on i Collins mogą zostać przyjaciółmi.

– Maram kazała mi to zrobić – odezwał się Collins. – Powiedziała, że tam, dokąd lecimy, są osłony, i muszę je jak najszybciej zlikwidować. I mam ci powiedzieć, gdy to zrobię.

W takim razie Maram też grała. Nicholas nigdy jej nie obchodził, był tylko pionkiem w niepojętej grze Biblioteki, tak jak zawsze. Nie mógł patrzeć na Collinsa. Zaciskał palce na drewnianych poręczach swojego krzesła i wpatrywał się w stół, w pierwszą książkę Esther. Jeszcze chwilę temu tak ucieszył go ten jej sukces, tak czekał, aż wreszcie złamię zaklęcie Collinsa, aż w końcu pozna jego imię. Jakiż z niego głupiec.

– Dlaczego? – zawołała Esther. – Dlaczego kazała ci to zrobić?

- Nie wiem!
- Nie przyszło ci do głowy, żeby ją spytać?!
- Oczywiście, że zapytałem! Nie mogła powiedzieć, bo na pewno jest pod tym samym... – Urwał i uderzył się w ramię, nie zdołał nawet nazwać zaklęcia, które go uciszyło.

– O, jasne! – zadrwiła Esther. – Nic nie możesz wyjaśnić, ponieważ się udusisz, jeśli spróbujesz. Jakie to wygodne.

– Czekaj – wtrąciła się Joanna. – Ten kaszel... – Spojrzała na mężczyznę czerwonego na twarzy z braku tlenu. – Słuchaj, czy tak się dzieje, gdy próbujesz o czymś mówić, ale zabrania ci zakłęcie?

Collins nie odpowiedział, ponieważ zakłęcie nie pozwalało odpowiadać na pytania dotyczące samego zakłęcia. Odezwała się za to Esther:

– Jeśli w ogóle działa tu jakieś zakłęcie.

– Zaraz. – Joanna cofała się szybko, w końcu uderzyła w ścianę jadalni. Akwarela przedstawiająca górę zadrżała w ramie. – Moment.

Collins odzyskał oddech i wysapał:

– Maram przekazała mi wiadomość. Powiedziała, że musimy znaleźć rzecz, której Richard użyje, aby nas znaleźć.

– I co to, do cholery, znaczy? – zniecierpliwiła się Esther.

– Nie wiem. – Wielkolud zrobił krok w stronę Nicholas, który odruchowo odchylił się na krześle. Collins zamarł. – Powiedz coś – jęknął. – Proszę.

– Moment – powtórzyła Joanna, ale zdawało się, że mówi do siebie, a Nicholasowi za bardzo kręciło się w głowie, żeby się nią przejmować. Skupił się na swoim byłym ochroniarzu, Maram, na skradzionych osłonach i niezłamanym UZP, ale wszystko razem nie miało sensu.

– Nawet jeśli on mówi prawdę – odezwała się Esther – nawet jeśli myśli, że w jakiś sposób p o m a g a, ukrywając osłony...

– On nie myśli! – zawołał Collins. – On wie!

– Nawet jeśli – powtórzyła głośniej Esther – myśli, że pomaga, to dlaczego, do diabła, ufa tej Maram i dlaczego, do diabła, my też powinniśmy?!

– Przeczytaj mi zaklęcie, Joanno. – Collins wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, i zacisnął dłoń, gdy ona, tak jak wcześniej Nicholas, się cofnęła. – Proszę cię. Błagam.

Nick patrzył, jak Joanna bierze tę nową książkę w ramiona, jak ją chroni, cofając się w kierunku drzwi prowadzących do kuchni, byle dalej od Collinsa.

– Twój kaszel... – Dziko łyptała na osiłka. – Słyszałam go już wcześniej. Brzmiał tak samo.

– Co? – zdumiała się Esther. – Gdzie?

– Mama. – Ścisnęła mocniej książkę, spojrzała na Nicholasa. – Myślę, że nasza matka jest pod tym samym zaklęciem. Milczenia. UZP.

Zapadła cisza.

– Ta konkretna technologia – przemówił Nicholas – opracowana została w Bibliotece. Przez mojego ojca. Widziałem jego notatki.

– Co to znaczy? – Joanna zbladła, a Nicholas pomyślał o tamtym obrzydliwym wampirze.

– To znaczy, że w jakimś momencie twoi rodzice musieli mieć styczność z Biblioteką.

Jo uniosła brodę i wyprostowała się, a chłopak dopiero teraz uświadomił sobie, jaka jest wysoka, może nawet wyższa od niego. Długie włosy, duże oczy i cichy głos sprawiały, że wyglądała na osobę małą, chociaż wcale taka nie była.

– Chcę przeczytać to zaklęcie swojej matce – oznajmiła. – Nie temu człowiekowi.

– Joanno – powiedział Collins cichym, błagalnym głosem. Wydawało się, że Joanna zaraz zacznie ziać ogniem.

– Do cholery, nie jestem ci nic winna! – warknęła.

– Ukradłem twoje osłony – spróbował jeszcze. – Nie chcesz wiedzieć dlaczego?

– To i tak by nie zadziało – zauważył Nicholas. – Ja napisałem UZP Collinsa. Ponieważ znam treść oryginalnego zaklęcia, wiedziałem, czego potrzebuję, żeby je cofnąć. Na pewno nie jestem autorem UZP twojej matki, to musiała być starsza wersja, z czasów, gdy Skrybą Biblioteki był mój ojciec.

Joanna patrzyła na Anglika zdruzgotana.

– Ale...

– Cicho bądźcie! – Esther przycisnęła dłonie do uszu. – Po kolei! Zobacz, Nicholas zapytał Collinsa, czemu ufa Maram, i tego musimy dowiedzieć się przede wszystkim. To ona jest władcą marionetek, to ona nas tu ściągnęła i musimy zrozumieć dlaczego.

– Zgadza się! – Collins wskazał ją palcem.

– Ja stworzyłam tę książkę – zwróciła się Esther do siostry. – I myślę, że właśnie ja powinnam zdecydować, co z nią zrobimy. A ja chcę złamać jego UZP.

– Dziękuję! – zawołał Collins.

– Nicholasie? – wywołała go Esther.

Wszyscy zawsze go ustawiali i teraz naprawdę postanowił zaprotestować, wyrazić swoje zdanie, jednak niestety nie bardzo wiedział, jakie ma zdanie, a jakaś – wcale nie taka nieistotna – część jego natury podkuliła ogon, gdy usłyszał rozkazujący ton w głosie Esther.

– Decyduj – powiedział tylko.

– Jo – zwróciła się Esther do siostry dużo łagodniej. – Zgodzisz się? Przeczytasz mu zaklęcie?

Joanna spojrzała na książkę w swoich dłoniach, przesunęła kciukami po okładce. W końcu zrezygnowana skinęła głową.

– Przyniosę zioła i nóż – wymamrotała.

– Spotkamy się w salonie – poinformował Nicholas. – W czasie czytania zaklęcia on musi siedzieć.

Collins już zajął miejsce na kanapie. Joanna chciała usiąść obok, ale zmieniła zdanie i przycupnęła na stoliku przed nim, z książką na kolanach. Anglik stał dwa kroki dalej z rękami założonymi na piersi, Esther właśnie sadowiła się w skórzanym fotelu, jedną nogę trzymając na siedzeniu, jakby miała uskoczyć. Joanna popatrzyła na nich nerwowo.

– Nicholasiu, mógłbyś tak nie wisieć nade mną?

– Wcale nie wiszę, ja tylko...

– Stoisz i się gapisz – przerwała mu Joanna. – To mnie stresuje.

Chłopak odsunął się niechętnie.

– Lepiej?

Skinęła głową i spytała, najpierw miękko, potem ostrzej, jakby przypominała sobie, że jest wściekła:

– Collinsie, jesteś gotowy?

– Jestem gotowy.

Otworzyła książkę na kolanach i wzięła głęboki, powolny wdech. Następnie bez wahania nakłuła czubkiem noża palec serdeczny i zanurzyła zakrwawioną opuszkę w miseczce z ziołami. Collins obserwował każdy jej ruch, cały spięty i wyczekujący, oddech miał przyspieszony. Joanna przycisnęła palec do kartki i zaczęła.

Nicholas spodziewał się, że dziewczyna będzie czytać niepewnie, cicho i nieśmiało, wciąż zapominał, że robiła to przez całe życie. Jej głos – pewny, płynny i pięknie modulowany – wznosił się i opadał, jakby prowadziła rozmowę ze słowami. Nie traciła koncentracji: ani wtedy, gdy Sir Kiwi wskoczyła na oparcie kanapy, żeby ujadać stamtąd na wiewiórkę, ani wtedy, gdy Nicholas dostał zawrotów głowy i ciężko klapnął na ławie fortepianu, ani wtedy, gdy dłonie Collinsa zaczęły drżeć na kolanach, a on sam kompulsywnie przełykał ślinę.

Esther i Anglik siedzieli w napięciu, pochyleni. Nicholas patrzył tak uważnie, że zaczęły piec go oczy, Collins kilka razy zerknął na niego z zaciśniętymi szczękami i krótko skinął głową. Gest, którego Nicholas nie potrafił zinterpretować.

Młody Skryba nie czuł, żeby magia zaczęła działać, ale wiedział, że Joanna ją słyszy, i widział efekty w postawie Collinsa. W jego sztywniejących ramionach, pulsujących ścięgnach na szyi, w drżących, zaciśniętych dłoniach i głębokich oddechach, kiedy walczył z dyskomfortem zaklęcia zdejmującego.

Joanna pozwoliła ulecieć ostatniemu słowu, Collins krzyknął cicho, co zabrzmiało jak przelewająca się przez kratę woda. Pochylił się, jedną rękę oparł na kanapie, drugą podniósł do gardła. Charczał. Joanna zamknęła książkę i położyła ją na niskim stoliku.

– No i co? – spytał Nicholas.

– Rany, daj mi, kurwa, sekundę – wychrypiał wielkolud.

– Zadziałało... – Esther wstała, usta jej drgały, jakby walcząc z uśmiechem. – Napisałam zaklęcie – powiedziała. – I zadziałało!

– Tego jeszcze nie wiemy – zastrzegł Brytyjczyk. – Coś się na pewno stało, ale...

– Mam na imię – zaczął eksperymentalnie Collins – Nicholas.

– Co takiego?

Po raz pierwszy zobaczył, jak ochroniarz szeroko się uśmiecha, jak ten uśmiech zmienia całą jego twarz, rozświetla oczy, wygładza zmarszczki przy ustach.

– Tak mam na imię – dodał. – Nicholas.

– Słucham? Nie.

– Nicholas Collins – przedstawił się i wyciągnął rękę w stronę swojego podopiecznego.

Zanim ten pierwszy Nicholas zdążył się zorientować, co właściwie robi, pochylił się nad stolikiem, przyjął jego dłoń, taką ciepłą w porównaniu do jego wiecznie zimnych palców. Wymienili uścisk.

– To ja cały czas zgadywałem, a ty mi mówisz, że nosimy to samo imię?

– W sumie zawsze mówili na mnie Nick – uściślił Nick Collins. – Ja pierdziele, jakie zajebiste uczucie móc wypowiedzieć to na głos! – Spojrzał na Joannę i również wyciągnął do niej rękę, tyle że nieśmiało. – Nick Collins.

Nicholas widział tę niepewność na twarzy dziewczyny, jedna sekunda, dwie, a Joanna się nie poruszyła, trzy, cztery, i nadzieja zaczęła znikać z twarzy Collinsa. A potem, jak już zaczął odsuwać rękę, wyciągnęła swoją szybko, zdecydowanie. Nicholas poczuł ulgę, gdy Collins uśmiechnął się i ujął jej dłoń w swoje dwie dłonie. Następnie odwrócił się do Esther, ale to już chyba nie miało sensu: dosłownie siedziała na swoich dłoniach.

– Czekaj – odezwał się Nicholas. – To jak cię teraz nazywać?

– Collins – oznajmił bez zajknięcia. – Przy okazji, słyszę je. No, książki. Magię. Każdy ochroniarz, jakiego kiedykolwiek

miałeś, słyszy to brzęczenie, dlatego nas rekrutują.

– Przecież ty nienawidzisz książek – wymamrotał oszołomiony Nicholas.

– Kiedyś było inaczej. Kiedyś je kochałem. Pracowałem jako ochroniarz dla kolektywu w Bostonie, gromadzili własne książki. Ich bazą jest dom Lisy, ona i Tansy należą do kolektywu, ja też kiedyś należałem. I moja młodsza siostra Angie. Tak właśnie znalazła mnie Biblioteka: chcieli kupić naszą kolekcję, a kupili mnie. Moi przyjaciele, w tym Lisa i Tansy, i pewnie Angie... wszyscy myślą, że sprzedałem się dla pensji, ale to nieprawda. – Jego twarz stężała. – Okazało się, że jestem chodliwym towarem: wyszkolony ochroniarz, słyszący magię. Kiedy odrzuciłem ich ofertę, Richard osłodził umowę małym szantażem. Wprawdzie Biblioteka chciała zapłacić za naszą kolekcję, ale tak naprawdę Richard miał dość magii, żeby ją przejąć, kupno wydawało się po prostu łatwiejszym rozwiązaniem. Powiedział, że tak długo, jak będę pracować dla Biblioteki i nie będę wychylać się z szeregu, posłuszny UZP, kolektyw pozostanie bezpieczny. Nie chodziło mu jedynie o książki. Groził też moim przyjaciołom. – Spojrzał na Esther, jakby szukał u niej współczucia. – Mojej siostrze.

– Ale teraz nie jesteś już w szeregu – zauważyła Joanna.

– Nie – odparł ponuro Collins. – Nie jestem. Maram obiecała, że jeśli bezpiecznie wyprowadzę Nicholasa z Biblioteki, to dopilnuje, żeby nikt z kolektywu nie ucierpiał.

Esther prychnęła.

– I tak po prostu jej uwierzyłeś?

– Nie oceniaj mnie aż tak nisko. Pozwoliła, żebym przeczytał jej zaklęcie prawdy. Nie mogłaby obiecać, gdyby myślała inaczej.

Dlatego ostatnie zakłęcie prawdy mocno się wyczerpało... Nicholas zaczął wstawać, poczuł napływ mdłości i oparł się mocno o klawisze fortepianu. Rozległ się rozstrojony brzęk, Joanna poderwała się jak zaskoczony królik.

– Przepraszam – mruknął.

– Usiądź – poprosił Collins.

Nicholas osunął się z powrotem na ławę. Nie był pewien, czy falę zawrotów głowy wywołały słowa Collinsa, czy niedostateczna produkcja czerwonych krwinek, ale tak czy inaczej, czuł się źle. Pstryknięciem przywołał Sir Kiwi, przybiegła do niego w podskokach, świecąc czarnymi oczkami, najwyraźniej świetnie się bawiła. Usiadła grzecznie na jego stopie.

Esther odchyliła się na oparcie krzesła, ale wciąż się kręciła i zmieniała pozycje.

– A więc Maram wydała ci kilka rozkazów i powiedziała, że jeśli zrobisz to, co ci każe, nie poszczuje Richardem twoich przyjaciół. Jasne. Jakoś nie brzmi to jak powód, żeby jej zaufać. Właściwie brzmi jak kolejny szantaż.

– Nie dlatego jej ufam – obruszył się Collins. – Ufam jej, bo również chroni kogoś na zewnątrz i Richard o tym nie wie. –

Zamilkł. Nicholasa ogarnęło wzburzenie, którego nie potrafił wyjaśnić; poczuł, że się zapada. Collins odchrząknął. – W noc gali... – podjął i się zawahał. – Domyśliłeś się już, że zainscenizowali ten atak, prawda?

Chłopak skinął głową.

– Pszczoły – rzucił.

– Jakie pszczoły? – Esther coraz mniej rozumiała. – Jaki atak?

– Musiałem udawać, że zabiłem faceta, żeby Nicholas pomyślał, że jacyś źli ludzie go ścigają – wyjaśnił ochroniarz. – Pociski pod wpływem zaklęcia Maram zamieniały się w pszczoły.

– Pięknie napisane zaklęcie – przyznał Nicholas.

– Prawdziwe, żywe pszczoły? – zaciekawiała się Joanna.

– Tego nie wiem, ale na pewno brzęczały – powiedział Collins i machnął ręką; pszczoły były nieważne. Sir Kiwi potraktowała ten gest jako zaproszenie, opuściła stopę swojego pana i wskoczyła na kanapę obok Collinsa, okrążyła go i usiadła obok jego nogi. Nicholasa dotknęła ta nielojalność. – Maram rzuciła to zaklęcie w swoim gabinecie, a Richard patrzył. – Collins spojrział na Nicholasa, a potem spuścił wzrok i położył rękę na głowie puchatej kulki. – Pewnie, że mi się to nie podobało, ale jaki miałem wybór? Nie mogłem ci o niczym powiedzieć. Przepraszam. Gdybym mógł, na pewno bym to zrobił. Chciałem.

Nicholas już i tak czuł zbyt wiele, wybaczenie nie zmieściłoby się na liście.

– Jakie były dokładne warunki twojego UZP? – spytał.

– Nie mogłem nic mówić o swoim życiu osobistym – wyliczał osiłek, odginając palce. – Nie mogłem powiedzieć nic o samej Bibliotece; nie mogłem powtarzać tego, co mówili do mnie Richard lub Maram. Ani napisać, ani powiedzieć. Nawiasem mówiąc, dość standardowa umowa. Maram pewnie ma podobną. W każdym razie rzuciła wtedy zaklęcie, dała mi broń, Richard wyszedł z pokoju, a ona zapytała... – Przełknął ślinę. –

Zapytała, czy mi nie przeszkadza, kiedy patrzę, jak wykrwawiasz się na śmierć.

Nicholas nie spodziewał się tego, cios trafił gdzieś między gardło a serce.

– Co? Nie wykrwawiam się... Nie wykrwawiałem... Ja nie... Ja wcale...

– Wykrwawiałeś się. Tak, powoli, ale nawet przez te kilka miesięcy mojego pobytu w Bibliotece widziałem, że robi się coraz gorzej. Richard nie dawał ci czasu na regenerację. Wiem, ile krwi może stracić człowiek, zanim zrobi się z tego problem. I wiedziałem, że się robi. – Collins oczyścił gardło. – Przyznałem, że mi się to nie podoba.

– Zacie i cnotliwie – wtrąciła się Esther.

– Wtedy dowiedziałem się, że Maram ma plan – ciągnął, spode łba spoglądając na Esther. – Plan, żeby to skończyć... nie tylko to, co działo się z tobą, Nicholasie, ale i samą Bibliotekę. Mój kontrakt, wszystkie inne kontrakty, wysadzić w powietrze całe to piekło.

– O, ale fajnie – prychnęła Esther. – Moja ulubiona zabawa: stać się nieświadomym uczestnikiem czyjegoś wielkiego, dramatycznego planu.

– Nie. – Nicholas pokręcił głową – To niemożliwe. Maram kocha Bibliotekę. Od zawsze. To ona szukała Biblioteki, nie na odwrót. Ona przekonała Richarda, żeby ją zatrudnił, zaraz po tym, jak skończyła Oksford. – Powtórzył to, ponieważ wymagało powtórzenia: – Kocha Bibliotekę. Kocha Richarda. Dlaczego nagle chce ją zniszczyć?

Collins nerwowo przeczesał palcami futro Sir Kiwi.

– Spytałem o to samo. Patrzyła na mnie dłuższą chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym poszła do sypialni i wróciła ze zdjęciem... starym, jak z jednorazowego aparatu, z taką małą pomarańczową datą. Obraz był mętny, zielonkawy, wyglądał jak deszczowy krajobraz. W rogu zobaczyłem trochę zaschniętej krwi. Gdy ją starła, obraz się zmienił. – Nie patrzył teraz na nikogo, skupiony na głaskaniu psa, wyraźnie

ucieszonego tą atencją. – To było zdjęcie kobiety. Leżała w szpitalnym łóżku i trzymała w ramionach noworodka. Dopiero po chwili się zorientowałem, że tą kobietą jest Maram. Sporo młodsza, ale wyglądała prawie tak samo.

Esther uniosła sceptycznie brew.

– I co jakiś niemowlak ma z tym wspólnego?

Nicholas zapatrzył się na jej twarz, na tę ciemną brew, wygiętą w wysoki łuk. Widział już ten wyraz twarzy. Widział go prawie każdego dnia swojego życia. Ćwiczył ten ruch. I wreszcie, wreszcie zrozumiał, dlaczego Esther wydawała mu się znajoma, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w tamtym lustrze.

Podobieństwo było w linii żuchwy, zdecydowanym zarysie górnej wargi, w linii włosów o kształcie serca. W delikatnych zmarszczkach na czole, które stawały się głębsze, kiedy brwi wykonywały swój nieustanny taniec. Podobieństwo nie tyle bezpośrednie, fotograficzne, ile impresjonistyczne. Ale kiedy już je zauważył, nie mógł dłużej nie widzieć.

Wyglądała jak Maram.

Maram, która zebrała ich wszystkich w tym salonie w środku wiejskiego Vermont. Która pojawiła się w życiu Nicholasa w tym samym czasie, kiedy matka Esther zniknęła z jej życia.

– No co? – zapytała dziewczyna, bo Nicholas gapił się na nią, tak samo jak Collins i Joanna. Na twarzy Esther malowało się coś na kształt bezradnego zdezorientowania i Nicholas już wiedział, że ona wcale nie jest zdezorientowana. Podobnie jak pozostali zaczynała rozumieć, co Collins chciał im przekazać.

– Zakłęcie nie pozwoliło jej mówić wprost, więc z tamtego zdjęcia zrozumiałem, że Maram miała dziecko – podjął ochroniarz. – Wielki sekret, na pewno, ale nie aż tak wielki, żebym jej zaufał. Powiedziałem o tym wprost. Poprosiła mnie

wtedy, żebym zaczekał, i obiecała, że wkrótce się dowiem. Właśnie dlatego podsunęła Nicholasowi, jak włamać się do biura Richarda. Chodziło nie tylko o to, żeby rozpoznać własną gałkę oczną, ale żebym też ja zobaczył zakłęcie poszukujące Skryby i zajrzał przez tamte lustro na Antarktykę. I tak, wtedy się zorientowałem: zakłęcie Richarda znalazło w końcu innego Skrybę. Kogoś, kogo można wykrwawiać, kogo można zabić. I tym kimś, tą osobą była córka Maram.

CZĘŚĆ TRZECIA



LINIA
KRWI

Nicholas nie pamiętał własnych rodziców i niewiele miał fotografii. Jedyne zdjęcia mamy pochodziły z czasów, kiedy grała w teatrze, z afiszów i starych fotosów, na których prawie zawsze była uśmiechnięta, w kostiumie, miała pomalowane usta, nienaturalnie gładką, matową skórę i ciemne loki. Czytał teksty wszystkich sztuk, w których grała, i wiedział, że często obsadzano ją w roli naiwnej, uroczej dziewczyny. Napięcia narracyjne miały nie tyle zbudować jej postać, co stworzyć efekt dramatyczny lub komediowy. Taką rolę najpewniej odgrywała również poza sceną. Młoda kobieta, która miała pecha zakochać się w bezcennym Skrybie Biblioteki i która zaistniała w życiu Nicholasa tak, jak istniała we wszystkich swoich sztukach: jej tragedia stworzyła jego własną. Nie znał matki, więc nie potrafił myśleć o niej inaczej. Na żadnym zdjęciu nie wyglądała przecież jak matka.

Podobnie Maram – nigdy nie podejrzewałby, że ona ma dziecko. W dzieciństwie czasami fantazjował, że Maram poślubia Richarda i na zawsze wiąże się prawnie z Nicholasem, oficjalnie umacniając to, co i tak uważał za rodzinę. Kiedyś jednak ją o to spytał i to był błąd: Maram go wyśmiała.

– Mój związek z twoim stryjem jest udany, ponieważ opiera się na naszej miłości do Biblioteki – oznajmiła. – Nie na tym, że się kochamy.

– Nie kochasz go?

Siedzieli w kawiarni na Południowym Brzegu, w jedno z tych nieczęstych popołudni, gdy opuszczali rezydencję i spędzali

czas tylko we dwoje. Prawie cały lunch Nicholas gapił się, przejęty i zachwycony, na rozmawiających ludzi. Maram odłożyła widelec i spojrzała na niego bardzo poważnie.

– Chcesz usłyszeć dorosłą odpowiedź – zapytała – czy taką dla dziesięciolatka?

Nicholas prychnął. Który dziesięciolatek wybrałby to drugie?

– Kocham Richarda, ponieważ nigdy nie chciał, żebym była kimś innym, niż jestem – powiedziała. – Jestem badaczką, oddaną Bibliotece, naszym książkom i przetrwaniu tej wiedzy, co Richard we mnie uwielbia.

– A więc kochasz go, bo on kocha ciebie – podsumował chłopak, rozczarowany tą nieromantyczną postawą.

– Nie brzmi jak dobry powód, aby kogoś darzyć miłością?

Nicholas nie wiedział. Zastanawiał się, czy on sam kocha Richarda, bo ten kocha jego. W każdym razie Nicholas nie znał innej miłości. Czy stryj darzył go uczuciem, ponieważ podobnie jak Maram bratanek stanowił przedłużenie Biblioteki? Czy Biblioteka była jedyną sprawą, która ich łączyła?

Po tamtej rozmowie chciał dać sobie spokój z myślami o rodzinie. Maram – opiekunka i przyjaciółka – nigdy nie stanie się nikim innym. Jednak przez kilka kolejnych lat prawda była taka, że gdyby ktoś podszedł do niego i wyjawiał, że Maram potajemnie jest jego matką, oszalałby ze szczęścia.

Nie wzruszyłby ramionami i nie powiedział jak teraz Esther:

– Mało prawdopodobne.

– Mało prawdopodobne?! – powtórzył.

– Esther, jesteście niemal jak dwie krople wody – upierał się Collins. – To ma sens.

– Nie, nie ma. To wcale nie tłumaczy, dlaczego wysłała nas tu, do Vermont, dlaczego kazała ci ukraść osłony i czego od nas chce. W ogóle niczego to nie tłumaczy.

Nicholas czuł się zbyt poruszony, żeby siedzieć, więc wstał i przeszedł się po pokoju najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Mylisz się – rzekł. – W istocie wyjaśnia to kilka rzeczy. Przyjmijmy w ramach hipotezy roboczej, że Maram jest twoją matką i jej działania miały uchronić cię przed niebezpieczeństwem. To z pewnością wyjaśniałoby, dlaczego przekazała ci bilety przez lustro: żeby wyciągnąć cię ze stacji badawczej, poza zasięg Tretheweya. Tłumaczyłoby również, czemu nagle zdecydowała się działać wbrew najlepszym interesom instytucji, której była oddana przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Przedłużyłaś swój pobyt na Antarktyce, zakłęcie poszukujące Skryby w końcu cię zlokalizowało, więc Maram musiała przystąpić do akcji.

– Wcale nie działa wbrew interesom Biblioteki – odparła Esther. – Ona im podgrywa! Zgromadziła nas tutaj i kazała Collinsowi jak najszybciej opuścić osłony. Ułatwiła Richardowi zadanie: teraz twój stryj ma nas oboje w jednym miejscu.

– Ale zakłęcie poszukujące Skryby w tym roku już nie zadziała! – przypomniał Nicholas. – A opuszczenie osłon nie sprawi, że Richard nagle się dowie, gdzie jesteśmy... chyba że będziemy tu siedzieć i czekać cały rok. To jedyny sposób, żeby nas namie... – Słowa zamarły mu na ustach: Joanna stała w drugim końcu pokoju, patrzyła na niego przerażona i kręciła głową. – Och – sapnął Nicholas. – Niech to szlag.

Książka w spiżarni. Książka ze znakiem zakłęcia śledzącego Biblioteki.

– I to by było na tyle – mruknęła Esther. – Proponuję, żebyśmy przestali nadawać sens bezsensownej sytuacji, wzięli tę książkę i wrzucili ją do oceanu.

– Ocean jej nie zniszczy – przypomniała Joanna. – Bo zaklęcie jest w toku.

– Ja mógłbym to zrobić – zaznaczył Nicholas. – Albo Esther.

– Nie – zaprotestował Collins.

Stanął w drzwiach do salonu, blokując przejście i emanując skondensowaną, wibrującą energią, niczym drapieżnik gotów do skoku. Nicholas czasami zapominał, jak duży jest Collins, jak potrafi to pokazać.

Esther podeszła do niego powoli.

– Jak to: nie?

– Masz w ogóle pojęcie – warknął Collins – ilu ludzi zabiła Biblioteka na przestrzeni lat? Ile książek zdobyli przekupstwem albo szantażem? Ile tak po prostu ukradli? I mówimy tu o stuleciach, mówimy o magicznym monopolu. Jak myślicie, dlaczego zostało was tylko dwoje? Bo cała reszta zginęła, pisząc zaklęcia. Bibliotece nie chodzi o zachowanie wiedzy, jej chodzi o zachowanie władzy, chce być jedynym show w mieście i dlatego każdy musi kupić bilety i przyjść popatrzeć na jej pokaz. – Odwrócił się do Nicholasa. – Nie wiem, co się stało z twoimi rodzicami, ale mogę się założyć, że to nie był... co stryj ci powiedział?... napad, który skończył się tragedią. Gówny prawda, Nicholasie. Gówny prawda. Twój ojciec umarł z powodu własnej krwi, tak jak każdy inny Skryba w Bibliotece. Tak jak ty umrzesz.

Każde słowo Collinsa uderzało jak cios, Nicholasowi dzwoniło w uszach.

– Myślę, że Maram naprawdę może mieć plan – ciągnął Collins. – Że już rzyga tym bagnem, w którym babrze się Richard, i jest gotowa w końcu coś z tym zrobić. Ja też jestem gotów. Nie chcę uciekać i nie zamierzam wyrzucać niczego do oceanu. Chcę się dowiedzieć, czego od nas oczekuje, i zobaczyć, czy zdołamy to zrobić. Kazała mi poinformować ciebie, że osłony są wyłączone, i powiedziała, żebyś znalazł to coś, czego Richard użyje, żeby cię znaleźć. Musiała mówić o tej książce. Coś w niej jest, trzeba tylko to rozgryźć. Proszę.

Ostatnie słowo wymówił bardzo cicho. Apelował. Wzrok miał nieruchomy, a wyraz twarzy tak żarliwy, że Nicholas musiał odwrócić wzrok. Joanna przygryzała dolną wargę; przełożyła długie włosy na drugie ramię, marszcząc brwi. Esther oglądała swoje paznokcie, jakby znudzona całą tą sytuacją.

– Ile mamy czasu, zanim osłony opadną? – spytał Nicholas Joannę.

– Około dwóch godzin.

– Czyli dajemy sobie te dwie godziny. – Nicholas znów spojrzał na Collinsa. – Dwie godziny na przemyślenie sprawy i podjęcie decyzji, czy Maram chce nam zaszkodzić, czy pomóc.

– A potem?

– Oddasz mi osłony i je ustawimy – odezwała się Joanna.

– Powiedziała, że muszą być opuszczone – zaprotestował Collins i się przygarbił, jakby przeproszał. – Muszą opaść.

– W takim razie chodźmy stąd – zarządziła Esther. Zniszczymy księgę, opuścimy dom i nie wrócimy.

Joanna wzięła drżący oddech, ale się nie sprzeciwiła. Nicholas widział determinację na jej twarzy i czuł, że plan młodszej siostry nie obejmuje ucieczki. Nawet po tym, czego się

dowiedziała, nie porzuciłaby książek ani domu. Dostrzegął to w postawie jej ciała i zrozumiał, że Esther też to widzi.

– Dziękuję – przemówił Collins. Opuścił już ramiona, rozluźnił mięśnie i od razu zrobił się mniejszy. Nicholas był ciekaw, jak jego imiennik się tego nauczył i czy kiedykolwiek dostanie szansę, aby poznać tego człowieka, któremu wciąż powierzał swoje życie.

– Przyniesiesz tutaj tę książkę? – poprosił Joannę, a ona wciągnęła powietrze, jakby gotowa odmówić, ale ostatecznie skinęła głową i ruszyła do spiżarni.

Nikt się nie odzywał. Gdy dziewczyna wróciła, Nicholas przyjął wampira z takim wstrętem, jakby musiał dotknąć zgnilizny. Ale tom wyglądał tak jak zawsze, prawie zwyczajny, schludny, w miękkiej oprawie. Otworzył na pierwszej stronie, usiadł przy fortepianie i przypomniał sobie brudnopis, który widział w gabinecie Richarda.

„Ciało z mojego ciała”.

W podstępnej książce umieszczono ludzkie szczątki – szczątki Skryby. Życie człowieka, który szukał nieśmiertelności, wiązało się z właśnie z nimi.

Pomyślał o gabinecie stryja i osobliwościach wyzierających z każdego kąta. Wypchane ptaki, zmumifikowane nietoperze, gliniane zwierzęta, prawdopodobnie również przywiązane do zaklęć. Pomyślał o tym, że Richard nigdy nie chorował, zatrudniał ochroniarzy tylko dla Maram i Nicholasa, nie dla siebie. Wspomniał wreszcie portret chirurga nad biurkiem, przodka, który założył Bibliotekę i wyglądał identycznie jak Richard, z wyjątkiem zimnych oczu, łyskających za okularami. Ciekawe, że nigdy nie widział zdjęcia stryja z młodości, że ten zawsze wyglądał dokładnie tak, jak teraz: przystojny

mężczyzna około pięćdziesiątki, z siwizną na skroniach, która z biegiem lat się nie rozprzestrzeniała.

Wrócił do portretu. Pomyślał o pierwszym Skrybie Biblioteki, siostrze chirurga, i tej pojedynczej kości udowej w ramie. „Kość z mojej kości”.

Założył, że Richard szukał Esther, aby zmusić Nicholasa do przepisania brudnopisu z segregatora, wydrenowania dziewczyny, poćwiartowania jej i stworzenia zaklęcia, które pozwoliłoby Richardowi żyć wiecznie.

Co jeszcze źle zrozumiał?

Pozostała trójka rozmawiała przyciszonymi głosami, ale on nie czekał, aż zamilkną.

– To życie Richarda – oznajmił głośno. Trzy twarze zwróciły się w jego stronę. – Życie Richarda – powtórzył, trzymając ostrożnie książkę. – Jestem tego pewien. Nie starzeje się, nie choruje... – Zadrżał przy tych słowach, trząsł się z zimna, choć stał blisko gorącego brzucha pieca na drewno. – Sądzę, że jest tutaj już bardzo długo. Moim zdaniem to Richard założył Bibliotekę.

Joanna przycisnęła dłonie do ust i spojrzała na siostrę, której jedynie drgnęła powieka. Nicholas wstrzymał oddech. Nie wiedział, czy udźwignie to wyzwanie, czy starczy mu energii, aby upierać się przy czymś, co wiedział instynktownie, czego był równie pewien jak tego, że Esther jest Skrybą. Przygotował się do wytaczania logicznych argumentów, prowadzenia obrony...

– Brzmi sensownie – przyznał Collins. – Pasuje do całego tego pojebanego szajsu, z którym mieliśmy do czynienia.

Nicholas spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Nawet jeśli to prawda – odezwała się Esther – zaistniała jedynie kolejna komplikacja, pojawiło się nowe pytanie.

– Nie – odparł Nicholas. – To nie jest pytanie. Mamy odpowiedź.

Mógł się temu przyglądać ze wszystkich stron i wciąż widział tylko jeden powód, dla którego Maram wysłała jego i Esther, własną córkę, Skrybę, do tego domu na odludziu. Tylko jeden powód, dla którego poprowadziła Nicholasa do gabinetu Richarda i zmusiła do konfrontacji z prawdą o okrucieństwie stryja, a następnie krążyła wokół warunków własnego UZP. Chodziło o to, aby skierować ich uwagę na tę książkę, na książkę Richarda. Jego życie.

Księgę napisało dwóch Skrybów i tak samo dwóch było potrzeba do jej zniszczenia. Ale w zakłęciu zapisano coś jeszcze: zabezpieczenie, które jednocześnie stało się luką.

„Tylko moja krew może położyć mi kres”.

Jednym z tych Skrybów musiał być Nicholas.

Esther nachyliła się i wyjęła mu książkę z ręki. Pozwolił jej. Nie miał siły.

Wspomnienie wróciło, jak tylko Esther dotknęła ciemnej, naoliwionej okładki książki Richarda. Przypomniała sobie, gdzie ją wcześniej widziała.

Ojciec kucnął przed nią i mówił: „Możesz ją podrzeć? Chcemy czegoś spróbować”. Dziwne wrażenie, kiedy kruche kartki nie dawały się podrzeć, frustracja, gorycz porażki i rozczarowane spojrzenie Abego. Przykładała zapałkę, wrzuciła książkę do pieca, namoczyła w zlewie, w wodzie z mydłem. Nieważne, co robiła, książka pozostała nienaruszona.

– A jeśli się mylę? – zasugerował Nicholas. – A jeśli Esther i ja zniszczymy książkę i okaże się, że nie należała do Richarda, tylko do jakiejś niewinnej duszy, która padnie martwa w samym środku niedzielnego obiadu z rodziną?

– Niewinnej? – mruknął Collins. – Nikt, kto trzymał w rękach tę konkretną książkę, nie mógł być niewinny.

– Kim jesteśmy, aby wydać taki osąd?!

Esther rozumiała jego wzburzenie. Sama pewnie też byłaby poruszona myślą, że ma zabić kogoś, kogo zna – nawet gdyby ta osoba zrobiła jej to, co stryj Nicholasa zrobił jemu. Co prawda Esther nie kojarzyła żadnych swoich stryjów czy wujów. Zastanowiła się teraz – choć bardzo się starała tego nie robić – czy Maram miała jakichś braci i czy Isabel miała braci, i czy owi potencjalni bracia to ci sami ludzie.

Całe dzieciństwo pochłaniała historie o dzieciach, których matki zmarły lub zaginęły (bardziej popularne niż historie

o dzieciach, których matki żyły i miały się dobrze). Brak matki był obietnicą przygody, jej obecność zaś czyniła świat miejscem zbyt kojącym i zbyt bezpiecznym. Dzieci z matką nie musiały szukać poza domem potwierdzenia własnej wyższości w czyjejs historii. Nie musiały budować swojej postaci.

Pamięta, jak narzekała na to Cecily, gdy oglądały razem *Małą Syrenkę*, *Kopciuszka* i *Królewnę Śnieżkę*, jak była urażona brakiem kochających matek biologicznych i kolejnymi wizerunkami złej macochy. Przytulała Esther, obsypywała jej policzek czerwonymi pocałunkami i mówiła: „Zła macocha bardzo, bardzo cię kocha”. Esther nigdy nie wątpiła w tę miłość, ale już zidentyfikowała w sobie ten sam brak matki, który doprowadził Ariel do brzegu, Kopciuszka na bal, a Królewnę Śnieżkę do lasu. Ta bezmatczyność została wtłoczona w jej tożsamość, w poczucie siebie, a poczucie siebie było wszystkim, co miała przez te dziesięć lat samotności.

Co oznaczałoby dla niej fakt, że matka żyje? I nie tylko żyje, ale też wie o Esther, czuwała nad nią, przekazywała listy przez magiczne lustro i chroniła ją z oddali, jak osobista chrzestna wróżka. Jak czułaby się ze świadomością, że jej matka nie umarła, lecz ją porzuciła?

Esther usiadła w fotelu z książką Richarda i ostrożnie wzniosła w swoim umyśle ściany, mały pokój, w którym tego rodzaju myśli mogły krążyć tak szybko, jak tylko chciały, rzucać się na podłogę, histerycznie domagając się uwagi, którą uzyskają dopiero wtedy, kiedy Esther otworzy drzwi. Na razie nie było na to czasu. Drzwi musiały pozostać zamknięte. Mocno przekręciła klucz w zamku. Trzeba z tym jeszcze poczekać.

– Przestań się wykręcać – napominał Collins Nicholasa.

Ten oparł się ciężko o fortepian.

– A może właśnie chcę się z tego wykręcić – oznajmił. – Może nie jestem gotów grać w szekspirowskiej tragedii i mordować własnego stryja.

– Jeśli mówisz o Hamlecie, to właśnie cała rzecz w tym, że nie zamordował własnego stryja – przypomniał Collins. – Nie mógł się zdecydować i przez to wszyscy zginęli.

– Zabija go w trzecim akcie!

– A w którym, kurwa, akcie jesteśmy teraz?!

Esther wstała. Dyskretnie ujęła książkę mocniej i podała ją Nicholasowi.

– Proszę. Zabierz ją ode mnie.

Wciąż patrząc gniewnie na Collinsa, chłopak wysunął rękę. Esther poczekała, aż Nicholas chwyci tom pewnie... i pociągnęła.

On odruchowo szarpnął do siebie i od razu puścił, gdy z osłupieniem pojął, o co chodzi.

– Esther! – zawołała Joanna. Chyba jej to zaimponowało.

– Ty... – jękał się Nicholas – ty... chciałaś mnie przechytryć, chciałaś, żebym kogoś zabił!

– Tak. – Dziewczyna patrzyła na książkę w swoich rękach, wciąż nienaruszoną. – I powinno zadziałać. Ciągnęliśmy mocno, a zobacz, papier nawet się nie pogniótł.

Złość Nicholasa ustępowała miejsca ciekawości.

– Dziwne. – Wziął od niej książkę. – Masz rację.

– Spróbujemy jeszcze raz?

Spojrzał na nią ostro, ale potem nagle jakby się poddał. Oparł się wolną ręką o ścianę i westchnął głęboko.

– Dobrze, spróbujemy.

Anglik trzymał książkę otwartą, Esther zaś próbowała wyrwać oporną stronę. Później się zamienili, ona chwyciła okładkę, a on z całej siły szarpał kruchy, stary papier. W kolejnym podejściu każde z nich chwyciło jedną okładkę, żeby rozedrzeć tom. Potem chcieli spalić ją w piecu. Puścili na nią gorącą wodę w kuchennym zlewie.

Zero efektu. Ponieśli fiasko jak wtedy, gdy Esther próbowała zniszczyć ją na oczach Abego.

Wyjęli książkę ze zlewu, z dłoni kapiała woda, kartki były suche jak pieprz. Nicholas wyglądał na chorego i wyczerpanego, Esther czuła się tak, jak on wyglądał.

– To na nic. – Chłopak siedział zgarbiony przy kuchennym stole. Przed nim stała nietknięta filiżanka naparu z pokrzywy. – Powinienem się domyślić. Nie zniszczymy książki, dopóki nie unicestwimy przedmiotu, do którego przywiązał życie, a prawie na pewno chodzi o kość w ramie portretu. Maram jest zbyt inteligentna, żeby tego nie wiedzieć, czyli cała teoria staje się bezwartościowa. Nie wysłałaby nas za ocean, żebyśmy zniszczyli książkę, której zniszczyć się nie da.

– Trzydzieści pięć minut, zanim osłony przestaną działać – oznajmiła Joanna, chociaż wszyscy i tak patrzyli na zegary.

– Poddaję się. – Nicholas położył głowę na stole.

Esther nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Zdawała sobie sprawę, że jej siostra nie opuści domu. Musiałaby ją znokautować, a potem ciągnąć za sobą, co było wprawdzie niewykłuczone, ale nie pomogłoby naprawić relacji, którą dopiero znów zaczęły budować.

– Collins, jesteś pewien, że osłony muszą opaść? Bo jeśli Maram chciała tylko zwrócić naszą uwagę na książkę, to już jej się udało i możemy podnieść osłony.

– Nie. Wyraziła się bardzo jasno. Muszą zostać opuszczone.

Joanna opadła na krzesło obok siostry, Esther dotknęła jej ramienia.

– Jo, ty znasz te osłony najlepiej. Wiemy już, że Richard namierzy książkę, ale co jeszcze się stanie, gdy przestaną działać?

– Każdy, kto kiedykolwiek wiedział o tym domu, nagle przypomni sobie, gdzie on jest, będzie mógł go znaleźć. Z tego, co się orientuję, mama jest jedyną osobą w tej kategorii, ale jak już ustaliliśmy, nie wiem zbyt wiele.

– Rozumiem. – Siostra skinęła głową. – Co dalej?

Nicholas i Collins w pełni koncentrowali się na Joannie, dziewczyna odsunęła się lekko pod tą presją, ale odpowiedziała:

– Każdy będzie mógł zobaczyć podjazd i sam dom. – Skrzywiła się. – Ożyją telefony i internet, a wszelkiego rodzaju zaklęcia komunikacyjne, wróżenie z wody czy magia luster, zaczną działać w obie strony.

– Czyli lustro na górze... – zaczęła powoli Esther. – Jeśli osłony opadną, ten, kto siedzi po drugiej stronie, będzie mógł wysłać i odbierać wiadomości. To chciałaś powiedzieć?

– Tak – potwierdziła Jo i spojrzała siostrze prosto w oczy. – Och.

– Co: och? – nie zrozumiał Collins.

– Myślisz, że to Maram jest po drugiej stronie lustra? – spytał Nicholas.

– Myślę, że to bardzo możliwe – odparła Esther.

– Nawet jeśli tak jest, to przecież może tylko odbierać, nie zdoła niczego przesłać. Dopóki nie opadną osłony.

– Och – sapnął Collins.

Esther pomogła Joannie wystawić na korytarz część rupieci, żeby wszyscy mogli się wcisnąć do jej starej sypialni. Potem przycupnęła na łóżku z Sir Kiwi i Nicholasem, Collins usiadł na drewnianym krześle z wrzecionowatym oparciem, Joanna na podłodze przed drzwiami szafy, które uchylili na tyle, żeby widziała lustro w środku. Osłony miały opaść za dwie minuty. Nie ustalili jeszcze, jak długo będą czekać, gdy już to się stanie.

– Nie możemy się spodziewać, że od razu coś nastąpi – zaznaczył Collins. – Po pierwsze, w Anglii jest północ, więc należy założyć, że Maram śpi. Dlatego nie zaczynajmy wariować, jeśli wybiję siódma i nic się natychmiast nie wydarzy, dobra?

– Jedna minuta – zakomunikował Nicholas.

Joanna zasłoniła twarz rękami. Drżała.

– Nie spadły od trzydziestu lat – wyszeptała. – Przez trzydzieści lat pozostawaliśmy całkowicie chronieni, a teraz? Co ja robię?

– Jesteś dzielna – pochwalił ją Collins.

– Dziesięć sekund – odliczał Anglik.

Gospodyni jęknęła i się skuliła.

– Już – ogłosił.

Chwilę później Collins i Joanna zacisnęli powieki i schylili głowy, jakby uderzył w nich silny hałas; wielkolud poruszał zuchwą, jak gdyby próbował odetkać sobie uszy.

– Aua – jęknął.

Jo była szara na twarzy.

– Opadły – odezwała się drżącym głosem.

Nie tylko ona wychowała się pod tymi osłonami. Esther również stała na kolanach Abego i patrzyła, jak ojciec stawia je noc po nocy. Miała osiem lat, gdy wyjaśniał, że z nich dwóch tylko Joanna kiedykolwiek odczyta to zaklęcie, tylko Joanna nauczy się, jak zapewniać bezpieczeństwo domowi. Dziesięć lat później usłyszała, że osłony tylko wtedy będą chronić rodzinę, jeśli ona spod nich wyjdzie. Osłony rozbiły małżeństwo jej rodziców. Osłony przykuły jej siostrę do tego domu. Osłony zmuszały ją samą do ucieczki przez dziesięć długich lat.

Wiedziała, jak bardzo przeżywa to Joanna. Widziała cierpienie na jej twarzy, wykrzywione usta, mocno zaciśnięte powieki. Czuła ból siostry tak, jak czułaby ból jednej z własnych kończyn.

Dlatego cieszyła się, że ta zapora zniknęła.

Chociaż odzyskały się tak niedawno, Esther rozumiała, że Joanna nie mogła dłużej trwać w swoim samotnym i niezmiennym życiu, tak samo jak Esther nie mogła trwać w swoim samotnym i nomadycznym życiu.

– Nic. – Joanna klękała przed lustrem, jakby zamierzała się modlić.

– Minęła minuta – zauważył Nicholas. – Collins ma rację, trzeba będzie poczekać.

– Ile?

– Nawet jeśli to pułapka i Richard właśnie wysyła odrzutowiec, który nas wszystkich zabije, potrwa to co najmniej pięć godzin – odparł. – Nie mamy w Bibliotece zaklęcia, które w magiczny sposób przetrzuciłoby człowieka przez Atlantyki.

Esther wstała i uderzyła dłońmi w uda, Joanna się wzdrygnęła.

– Zrobię herbatę – oznajmiła.

– Powinienem wyjść z psem – dorzucił Nicholas, ale nie drgnął, wciąż siedział pochylony, z rękami na kolanach.

Wszyscy byli mocno zmęczeni i pomięci, jednak patrząc na Nicholasa, Esther po raz kolejny zachwyciła się, jak skutecznie koszula za pięćset dolarów jest w stanie zrekompensować efekt utraty krwi, stresu i wyczerpania. Pomijając bladość, wydawał się elegancko rozluźniony, w przeciwieństwie do samej Esther, która wyglądała na kompletnie rozsypaną. Jeśli to wszystko się kiedyś skończy – kiedy się skończy – planowała pozwolić sobie na pewne inwestycje. Może na jakiś naprawdę ładny kaszmirowy sweter.

Rozkoszowała się tymi płytkimi rozważaniami jak gorzką czekoladą, skubiąc po kawałku, rozpuszczając na języku. Myślała o kaszmirowych swetrach, skórzanych butach, jedwabnej bieliźnie tak cienkiej, że można poczuć przez nią czyjś oddech.

W kuchni nastawiła czajnik i czekając, aż woda się zagotuje, poszła do salonu. Wyciągnęła torbę z kąta, postawiła na kanapie i usiadła obok swojego bagażu. Odsunęła suwak, poczuła zapach sypialni w bazie badawczej, stęchłego powietrza, cytrynowego detergentu i lawendowego szamponu Pearl. Ścisnęło jej się gardło. Zaczęła grzebać w torbie. List, który Maram wysłała jej przez lustro, zawinęła w grubą wełnianą skarpetę razem z plastikową fiolką z krwią. Ostrożnie rozpakowała notatkę i fiolkę, położyła na stoliku. Następnie wyciągnęła *La Ruta Nos Aportó* i otworzyła ją na stronie tytułowej, gdzie matka napisała: „Pamiętaj: ścieżka zapewnia naturalny następny krok”.

Spojrzała na list i na etykietę na fiolce: „Oto ścieżka. Zapewni naturalny następny krok”. Przeniosła spojrzenie na niemal identyczne słowa na wewnętrznej stronie powieści. Potem znów na list i na fiolkę. Porównywała je, słysząc mocne bicie własnego serca.

Pismo było bardzo, bardzo podobne.

Tak podobne, jakby wyszło spod tej samej ręki.

Jakim cudem nie spostrzegła tego wcześniej? Zrobiła głęboki wdech. Skrzypnęła nad nią deska podłogowa. Esther poczuła wdzięczność, że wszyscy są na górze, że ma dla siebie odrobinę prywatności i przez ułamek sekundy może sobie pozwolić na to, aby uwierzyć. Przejechała palcami po odręcznym piśmie matki w powieści. Możliwe, że gdy wróci na piętro, na podłodze jej starej sypialni będzie leżał kolejny list, napisany tą samą ręką. Możliwe, że po drugiej stronie lustra czekała kobieta, która wyglądała tak jak ona, Esther.

Czajnik zaczął gwizdać. Dziewczyna wsunęła list i fiolkę z krwią do kieszeni, po czym poszła zrobić herbatę. Kiedy weszła na górę, z kubkami w jednej ręce i czajnikiem w drugiej, napięcie w pokoju było tak mocne, że miała ochotę wyjść i wrócić na dół. Nicholas siedział na łóżku, stopy opierał na podłodze, wzrok wbijał w lustro. Collins chodził tam i z powrotem. Joanna wciąż klęczała przed szafą.

– Jo, pomóż mi z tymi kubkami – zarządziła Esther i przez chwilę zajmowali się nalewaniem, podawaniem, siorbaniem, mrużeniem oczu i dmuchaniem na parujący płyn.

– Minęły trzydzieści trzy minuty – oznajmił Nicholas. – Ale kto by to liczył? Ja na pewno nie. Ja piję sobie herbatkę.

– Nie musimy tu siedzieć całą noc – stwierdziła Esther. – Chodźmy na dół, nastawimy sobie jakąś płytę czy coś takiego.

– Może ktoś powinien zostać w domu, a reszta niech się spakuje i wyjedzie? – zasugerowała Joanna.

Ta propozycja zupełnie się Esther nie spodobała. Dziewczyna już miała się tą myślą podzielić, gdy zamilkła na widok miny Joanny.

Siostra wpatrywała się w lustro z rozchylonymi ustami; Esther zerwała się na równe nogi. Gorąca herbata chlupnęła z kubka i spływała po palcach, ale oparzenie wydawało się odległe i nieistotne. Usłyszała, jak Nicholas gwałtownie wciąga powietrze, gdy Joanna pochyliła się i szeroko otworzyła drzwi szafy, aby wszyscy mogli wyraźnie zobaczyć to, co Esther już widziała: z gładkiej szklanej powierzchni wysuwała się kartka.

Szkoło poruszyło się i znieruchomiło, a papier zatrzepotał i osiadł na podłodze. Joanna podniosła kartkę, po czym wstała i podała ją Nicholasowi. Dłonie trzęsły się jej tak bardzo, że prawie ją upuściła.

– Ty czytaj – poprosiła Anglika. – Ja nie mogę.

Esther nakazała sobie cierpliwość. Chłopak odchrząknął i zaczął:

– „Niedługo wychodzimy z domu. Biblioteka za chwilę będzie pusta. Pamiętaj: ścieżka zapewnia naturalny następny krok”.

– Zamilkł. Na ramionach Esther pojawiła się gęsia skórka. – To wszystko? – Nicholas przekreślił kartkę. – Na to czekaliśmy?

– Są w drodze – odezwała się Joanna. – Richard wie, gdzie jesteśmy. Maram ostrzega nas, żebyśmy uciekali?

– A ostatni kawałek? – nie zgodził się Nicholas. – „Ścieżka zapewnia naturalny następny krok”. Jaka ścieżka? Jaki krok?

– „Biblioteka za chwilę będzie pusta” – przeczytał Collins przez ramię swojego podopiecznego. – No i co? Co mielibyśmy zrobić? Wskoczyć do samolotu, wziąć samochód, dotrzeć do

Biblioteki, włamać się do gabinetu Richarda i rozpirzyć wszystko, zanim ktoś nas dopadnie?

– Hmm... Może?

Dla Esther ta rozmowa była tylko hałasem, brzęczeniem bez znaczenia. Dotknęła obojczyka, gdzie pod swetrem krył się jej tatuaż palindrom. Zdanie, które przejdzie przez lustro i wyjdzie z niego niezmienione. Wyjęła z kieszeni fiolkę i list. Trzymając je w dłoniach, myślała o powieści, którą od lat tłumaczyła w wolnym czasie. W świecie Gil kobiety odnajdywały się w lustrach: zahipnotyzowane wpatrywały się we własne oczy, dopóki się nie rozpoznały, a gdy to nastąpiło, lustro nie było już pułapką, stawało się drzwiami. Drogą ucieczki. Ścieżką.

Jeśli lustro to ścieżka, naturalny następny krok prowadził przez lustro.

Esther pomyślała o biednych świstakach Abego. O palcu Treva, czarnym i skręconym. O tym, jak potwornie się wystraszyła, gdy jej własna dłoń, pokryta krwią napastnika, weszła w lustro. Jak cofnęła ją od razu, spodziewając się bólu, ale skóra pozostała nienaruszona.

Esther i Nicholasa nie dotykały zwykłe zaklęcia, tak jak cienie przestawały istnieć w czarnym pokoju, bo ciemność wlewała się w ciemność. Zaklęcie szukające, którym posługiwał się Richard, potrzebowało oka Nicholasa, żeby zobaczyć Esther, ponieważ tylko magia mogła widzieć magię. Nicholas i Esther byli magią. Magia uważała ich za część siebie.

Jeśli to Maram stała po drugiej stronie lustra, jeśli ona aktywowała zaklęcie, to potrzebowali jej krwi, żeby szklana tafla przepuściła jakieś rzeczy. Jej lub Cecily, ale Cecily z nimi nie było.

Esther spojrzała na fiolkę wypełnioną czerwienią. To mogła być krew Maram.

Podeszła do lustra i postukała w szkło – twardą, zimną powierzchnię. Ostrożnie wyjęła korek z naczynka i wylała kroplę na dłoń, rozmazała czerwień na skórze. Znow przyłożyła dłoń do szkła, spodziewając się oporu, bólu, mrowienia, czegokolwiek. Nie poczuła nic. Jej palce przeszły przez stałą materię jak przez powietrze. Cofnęła rękę, puls jej przyspieszył.

– Esther? – odezwała się Joanna. – Co ty robisz?

Nie zareagowała. Chwyciła ramę lustra obiema rękami i wzięła ogromny wdech, jakby skakała na głęboką wodę. A potem, zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, zanim sama się rozmyśliła, zanurzyła twarz w srebrnej tafli. Za sobą usłyszała głośny krzyk siostry.

Zacisnęła powieki, a gdy nie poczuła bólu, uniosła je. Ujrzała elegancki pokój, teraz pusty, łóżko z baldachimem, ciemne olejne obrazy na ścianach i piękny niebieski dywan. Czyjeś ręce chwyciły ją i odciągnęły – apartament zniknął, a ona znow patrzyła na lustro w szafie. Powierzchnia delikatnie falowała.

Joanna, bo to ona złapała ją w talii, odwróciła siostrę do siebie i przebadła jej twarz przerażonymi oczami. Nie dostrzegła żadnych ran ani uszkodzeń, jej mina zdradzała niedowierzenie.

– Możemy przejść przez lustro – oznajmiła Esther. – Nicholas i ja zdołamy dostać się do Biblioteki, znaleźć przedmiot, z którym powiązał się Richard, i go zniszczyć.

Nicholas był jedynym Skrybą od tak dawna, że nie przyszłoby mu nawet do głowy, że mógłby czegoś nie wiedzieć o swojej mocy. Przeczytał wszystkie notatki ojca i każdą książkę w Bibliotece co najmniej dwa razy, nie wspominając o tysiącach stron, które Maram skompletowała z zapisków innych Skrybów, nieżyjących od stu czy tysiąca lat. W poszukiwaniu tej wiedzy przemierzała cały świat, kupowała ją za ogromne sumy od muzeów i archiwów prywatnych, dokonywała wymiany, uciekała się do kradzieży, może nawet dla niej zabijała. Wszystko po to, aby przywieźć te informacje Nicholasowi.

Tak właśnie myślał.

Mniemanie, że jest ekspertem tylko dlatego, że ma władzę, stanowiło błąd w samym założeniu. Ba, nawet myślenie, że w ogóle posiada jakąś moc, było błędem. Maram przefiltrowała wszystko, co wiedział o pisaniu książek. Przez cały ten czas to ona odgrywała rolę eksperta.

Zadziwiająco, że po wydarzeniach ostatniego tygodnia wciąż jeszcze odnajdywał w sobie umiejętność zdumienia.

Przejście przez lustro nie przypominało żadnego fizycznego doświadczenia, jakie znał. Trochę jak pływanie w melasie, trochę jak swobodne unoszenie się w kosmicznych przestrzeniach. Słodkie i pozbawione powietrza środowisko, rozciągliwe i nieskończone, a także ciemne, ale w sposób niebinarny do światła. Zupełnie inny stan, kompletny sam w sobie. Istotą tej ciemności stanowił dźwięk, który był doznaniem: niezliczone, ocierające się o siebie skrzydła,

niezliczone źdźbła złotej trawy, poruszające się na nieskończonym wietrze, każda odległa autostrada, jaką kiedykolwiek słyszano. Umysł i ciało Nicholasa wciąż w pełni należały do niego, co czyniło wrażenia jeszcze bardziej osobliwymi, ponieważ mózg, nerwy, zmysły – wszystko starało się racjonalnie, po ludzku wytłumaczyć coś, co nie poddawało się tłumaczeniu.

Straszliwe i niepojęte doświadczenie. Gdyby miał czas, pewnie zacząłby panikować – ale zrobił krok i ten krok się skończył. Kiedy stopa dotknęła podłogi po drugiej stronie ramy, hucząca ciemność zniknęła, a Nicholas znów pojawił się w zwykłym świecie. Najpierw jego głowa, potem druga stopa wyszły z lustra i w końcu stał w sypialni Maram tak po prostu, jakby przeszedł przez próg.

Dotknął kurтки, żeby sprawdzić, czy książka Richarda nie opuściła wewnętrznej kieszeni, a sekundę później patrzył z fascynacją, jak z lustra wyłania się Esther. Zupełnie jakby się wynurzyła z idealnie pionowego basenu. W głowie mu się kręciło na ten widok.

Dziewczyna opisała to doznanie jako przedziwne, a potem poprawiła koński ogon i rozejrzała się po wnętrzu. Nicholas zrobił to samo: mahoniowe łóżko z baldachimem, ogromna szafa w stylu Ludwika XV, jedwabny dywan... Przypomniawsobie, jak w dzieciństwie leżał na tym dywanie, gdy – co zdarzało się rzadko – Maram pozwoliła mu tutaj wejść. Jak zachowywał się bardzo cicho, żeby nie cofnęła zaproszenia.

Drzwi były zamknięte od zewnątrz, majstrował przy trzech wewnętrznych zamkach, aż znalazł właściwą konfigurację rygli. Esther wisiała nad nim cały czas. Czuł, jak dziewczyna ledwo się powstrzymuje, żeby go nie odsunąć. W końcu mu się udało: pchnął drzwi bardzo powoli, na wypadek gdyby kręcił się tu ktoś

z personelu, ale przedsionek był równie pusty jak sypialnia. Esther też wyszła na korytarz.

Po informacji z lustra odczekali godzinę. Woleli zyskać całkowitą pewność, że Richard i Maram rzeczywiście opuszczą dom i nikt im nie przeszkodzi. W Vermont była dwudziesta pierwsza, w Anglii druga nad ranem. Słabo oświetlone korytarze tonęły w półmroku, w wielkich czarnych oknach mogli się przejrzeć jak w lustrze, przez które właśnie przeszli. Marmurowe podłogi połyskiwały w nikłym świetle kinkietów.

– Ludzie naprawdę tutaj mieszkają? – szepnęła Esther. – Serio? Ty tutaj mieszkasz?

Nicholas rozejrzał się, jakby chciał zrozumieć, co ją tak dziwi. W porównaniu do starego domu rodzinnego Esther Biblioteka faktycznie mogła się wydawać pałacem, jednak niedawne odkrycia wypaczyły zarówno wspomnienia Nicholasa, jak i odbiór tego miejsca. Większość życia spędził w tym domu i do niedawna czuł, że zna go w ten sam instynktowny sposób, w jaki zna własne ciało. Bez trudu rozpoznawał wszystkie najzimniejsze kamienie i najbardziej miękkie sofy. Wiedział, gdzie najcieplej grzeje popołudniowe słońce, w których pokojach personel sprząta w jakich godzinach, a które są prawie niesprzątane. Kojarzył każdy korytarz i każdy obraz. Skręcanie za róg było jak zgięcie łokcia. Otwarcie drzwi jak mrugnięcie okiem.

Kiedyś.

Teraz miał wrażenie, że po przejściu przez lustro znalazł się w równoległym świecie. Fizycznie wszystko pozostało takie samo, jednak jego percepcja zmieniła się tak nieodwracalnie, że otoczenie wydawało się inne. Wysokość strzelistych sufitów postrzegał teraz raczej jako okrutną niż wzniosłą, stworzoną

nie dla ludzkiego komfortu, a grube, piękne dywany wydawały się pełne skrywanych plam.

– To jak w muzeum – stwierdziła Esther.

– I tak jak w muzeum niczego nie wolno dotykać – ostrzegł; dziewczyna natychmiast odstawiła na stojak tysiącletni wazon. Potem, jakby sprawdzając siebie, Nicholas powiedział: – Właściwie... to śmiało.

– Bo co, niech się pierdolą? – Esther znów wzięła wazon, obróciła go w dłoniach.

– Niech się pierdolą. Powiedziałbym, że powinniśmy uroczyście go rozbić, ale nie zrobił nic złego. Byłoby nie w porządku karać go za grzechy Biblioteki.

– Poza tym jest naprawdę ładny.

– Właśnie. Chodź.

Niesamowicie dziwne uczucie skradać się po tych korytarzach w roli uciekiniera, chłopak zmusił się, żeby wyprostować ramiona. W środku nocy nikt nie mógł się tu kręcić, ale gdyby jednak, to Nicholas powinien wyglądać tak jak zawsze, pan na włościach, który nie życzy sobie, żeby go niepokoić pytaniami. Nie miał pojęcia, jak Maram i Richard wyjaśnili ludziom jego zniknięcie, prawdopodobnie nic nikomu nie tłumaczyli.

Właśnie przechodzili przez galerię portretów na schodach. Esther zwolniła, przyglądała się wszystkim surowym, zaciemnionym twarzom, które na nią patrzyły.

– Ten wygląda jak ty.

– Słuszne spostrzeżenie. To mój ojciec.

– A ta kobieta?

– Moja matka. – Rozejrzał się nerwowo.

– Myślisz, że twój stryj ich zabił?

Przełknął ślinę.

– Prawdopodobnie. Chodźmy.

Zmierzali do Biblioteki, do tajnego przejścia, prowadzącego do gabinetu Richarda. Jak właściwie zamierzali przedostać się przez regał z książkami, skoro żadne z nich nie mogłoby odczytać zaklęcia, tego nie ustalono.

Kiedy Nicholas podjął tę kwestię wcześniej, w domu Joanny, Esther zasugerowała, żeby wyrwać regał ze ściany.

– Ale stoi na nim pełno książek! – zawołał zszokowany potomek rodu.

– Moglibyśmy je wyjąć.

– I co potem? – Nie potrafił sobie tego wyobrazić. – Ułożymy je na podłodze? To bezcenne woluminy, jedyne w swoim rodzaju...

– Podłoga nie jest przecież z lawy – upierała się Esther. – Zakładam, że nic im nie będzie.

– W najgorszym razie – wtrącił się Collins – zejdziesz na parter i obudzisz Sofie, żeby odczytała zaklęcie. Ona jest w porządku, ja jej ufam.

– Kim jest Sofie? – Nicholas zrobił zdeorientowaną minę.

– Jezu, naprawdę? Sofie. Pracuje w kuchni i pewnie upiekła dosłownie każdy kawałek chleba, jaki kiedykolwiek włożyłeś do ust.

– Ach, no przecież, Sofie – mruknął młodzieniec.

– Nadal nie masz pojęcia, o kim mówię.

Nie miał, ponieważ zawsze zniechęcano go do zażyłości z personelem. Tego już nie powiedział, obawiał się, że mogłoby nie zostać najlepiej odebrane.

Jak się jednak okazało, Sofie wcale nie była im potrzebna.

Dotarli do końca korytarza, gdzie wznosiły się ogromne elektroniczne drzwi Biblioteki. Esther z zaciekawieniem patrzyła, jak Nicholas przykłada oko do skanera. Oboje się skrzywili, kiedy rozległ się głośny szczęk kół zębatych i drzwi otworzyły się z jękiem. Ale nikt nie przybiegł sprawdzić, co to za hałas. Weszli do środka.

Nicholas natychmiast ruszył do przodu, lecz Esther nie poszła za nim. Obejrzał się: stała i patrzyła na strzelisty sufit, na labirynt regałów, wielkie okna i drogie kotary.

– Niemożliwe, żeby to były same...

– Książki zaklęć? Tak, to one.

Pokręciła głową.

– Szkoda, że Joanna tego nie widzi. Oszalałaby.

– Może kiedyś tu zajrzy – rzucił lekko Nicholas, choć nie umiał wyobrazić sobie przyszłości, w której mógłby robić coś tak przyziemnego, jak zapraszanie ludzi do domu. Jak wyglądałoby jego życie, jak funkcjonowałaby Biblioteka, gdyby ten plan się powiódł i Richard... nie, Richarda już by nie było, oględnie rzecz ujmując, bo tylko oględnie Nicholas czuł się na siłach całą tę sytuację ująć. Zawsze zakładał, że w przypadku śmierci stryja i dom, i stojące w nim książki przejdą na niego, Nicholasa. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że z tym samym, a może nawet większym prawdopodobieństwem, odziedziczy je Maram.

A może w ogóle nie istniał żaden testament? Przecież wyglądało na to, że Richard nie spodziewał się własnej śmierci...

Zatopiony w rozmyślaniach źle skręcił i musieli zawrócić. Kiedy w końcu zaprowadził Esther pod dębowy sufit dawnej kaplicy i zaczął wchodzić na podest, w pierwszej chwili nie zrozumiał, co widzi.

Zarys regału i grzbiety stojących na nim książek już się rozmyły, za mgiełką dało się dostrzec kamienną ścianę i sekretne drewniane drzwi.

Wyciągnął rękę, Esther w nią pacnęła.

– Co? – zapytała i wtedy zauważyła regał. – O! Po problemie?

– Ciii – wysyczał, bo nie mógł powiedzieć nic innego. Głos zamarł mu w gardle, a płuca, nagle słabe, ze świstem szukały powietrza, które nie chciało nadejść.

„Czas trwania: Maksymalnie sześć minut dla jednego odczytu”.

Czyli ktoś musiał przeczytać to zaklęcie mniej niż sześć minut temu. Ktoś tu pojawił się wcześniej. Ktoś tu n a d a l był.

Zaczął się odwracać, powoli, bardzo powoli, omiatał wzrokiem półki, czy nie dostrzeże siwizny Richarda, błysku jedwabnej bluzki Maram. Nasłuchiwał oddechu, kroków na dywanie, skrzypienia drzwi – czegokolwiek. Esther, wyczuwając napięcie chłopaka, stała nieruchomo u jego boku. Wysokie regały lśniły pod mosiężnymi lampami, system nawilżania szumiał w oddali, książki czuwały zastygłe w nieruchomych rzędach, a czerwone fotele po obu stronach gabloty Seszat się nie poruszyły. Za to sama gablota...

Nicholas westchnął głośno.

Przód gabloty był lekko uchylony, a gdy młodzieniec podkradł się bliżej, zobaczył, że wapienna płyta została przesunięta na metalowym stojaku, a w jednym z rogów znajduje się ciemna plama, której nigdy tam nie widział. Jednak najbardziej szokującą – i anachroniczną – zmianą była żółta karteczka samoprzylepna przytwierdzona nad wyrzeźbioną twarzą Seszat.

Widniało na niej: „Do godziny 3:54”.

I już wszystko wiedział. Odetchnął z ogromną ulgą i odwrócił się do Esther, która wciąż tkwiła w bezruchu, z jedną nogą na stopniu podium.

– Wszystko w porządku – powiedział i odkleił karteczkę. – Maram przeczytała dla nas zaklęcie, zanim wyszła.

Właściwie dwa zaklęcia. To rozmywające regał i to drugie, sprzed czterech tysięcy lat, unikalne i bezcenne, które miało utrzymać otwarte przejście.

Kiedy Nicholas znów się odezwał, miał gulę w gardle.

– Chodźmy – wykrztusił i dotknął klamki.

– Wszystko w porządku? – spytała Esther.

– Wszystko w porządku.

Wsunął się w ciemność korytarza, dziewczyna szła tuż za nim. Zrobił krok i nad jego ramieniem zapaliło się jasne światełko. Spojrzał za siebie, Esther trzymała małą latarkę.

– Skąd to wytrzasnęłaś, u licha?

– Collins powiedział, że będzie nam potrzebna.

Nicholas nie wiedział dlaczego, ale miało to kojący wpływ na jego zszargane nerwy. Podążył schodami znacznie spokojniejszy.

– Tajemne przejścia, angielskie rezydencje na wsi, złowrodzy starcy... – odezwała się Esther. – Jak byłam mała, to myślałam, że tak właśnie powinna wyglądać magia. Nie ukryta w piwnicy, używana tylko po to, żeby sama siebie ukrywać.

– I co? Rzeczywistość pasuje do wyobrażeń?

Esther wydała z siebie dźwięk, który w innych okolicznościach Nicholas uznałby za śmiech.

– Jest znacznie bardziej przerażająca.

– Nie wyobrażałaś sobie, że ktoś chciałby obedrzeć cię żywcem ze skóry i przerobić na książkę, co?

– O dziwo, nie.

Dotarli do wąskiego, drewnianego holu na szczycie schodów i Esther umieściła latarkę nad ramieniem Nicholasa. Jasny promień oświetlił ze dwa metry przed nimi, dalej była tylko ciemność.

– Bardzo jest długi?

– Na jakieś parę minut. – Przesuwał jedną ręką wzdłuż ściany, gdy ostrożnie kroczyli naprzód. – Szedłem nim tylko raz.

– Ile tajnych przejść jest w tym budynku?

– Nie mam pojęcia. Kilka, dla personelu, wychodzi z kuchni, jedno na przykład prowadzi do sali bankietowej. Ale one nie są tajne, raczej dyskretne. – Środkowym palcem zahaczył o występ w drewnie, cofnął dłoń od ściany, skrzywił się. – Prawdziwie sekretnych przejść, takich jak to, mogą być setki. A może nie być żadnego innego. Nikt mi nie powiedział.

– Ale dogadywałeś się z nim, z tym Richardem? – spytała Esther, a gdy Nicholas nie odpowiedział, dodała: – Wciąż próbuję zrozumieć naturę waszej relacji.

– Ja też.

Musiał skupić się wyłącznie na działaniu; gdyby zaczął rozważać implikacje, nie byłby w stanie zrobić tego, po co – teoretycznie – przybył. Implikacje z kolei prowadziłyby do pytań, na przykład: Czy ów czyn, ewentualnie popełniony, byłby morderstwem? Naprawdę chciałby jeszcze raz zobaczyć stryja, dać mu szansę wytłumaczenia się – zanim on, Nicholas, dokona wyboru, od którego nie będzie już odwrotu.

– Mógłbyś odrobinę przyspieszyć? – Esther dźgnęła go palcem w plecy. – Takie ślamazarne tempo mnie denerwuje.

Zrobił właśnie to, czego postanowił nie robić: zaczął myśleć.

– Przepraszam – mruknął.

– Wleciesz się noga za nogą – powiedziała. – Czy to dobra przenośnia?

Uśmiechnął się mimo napięcia.

– Tak sędzę.

– Ale nie zmieniłeś zdania? Zamierzasz to zrobić?

– Nie zmieniłem – odparł. Jak dobrze, że jego głos brzmiał znacznie mocniej niż rozchwiane postanowienie. Może zdoła przekonać i siebie, i Esther.

Jego wzrok chyba przywykł do ciemności, bo drewniane ściany stawały się coraz wyraźniejsze... Szybko pojął, że nie chodziło o jego wzrok – w rzeczywistości robiło się jaśniej. Znaleźli się na końcu korytarza, ściana była dobrze widoczna, a kłapa w podłodze obrysowana blaskiem. Nicholas pochylił się, żeby ją podnieść – schody pod nią zalewało światło.

Znów Maram? Przygotowała im dalszą drogę?

Zastygli na szczycie stopni, w całkowitym milczeniu i bezruchu, czekając i nasłuchując. Cisza narastała wokół nich, wąskie ściany utrzymywały ją, jak ciśnienie trzyma powietrze w butelce, żadnego dźwięku poza łomotem własnego serca w uszach i oddechem Esther na ramieniu. Zaczęli schodzić bardzo, bardzo powoli, prawie bezszelestnie.

Drzwi uchyliły się lekko pod dłońią Nicholasa, bez żadnego dźwięku; weszli do pokoju luster. Tym razem odbijały tylko przybyłych, wiele różnych wariantów ich zmęczonych postaci. Gdy Nicholas zobaczył, jaki wydaje się wysoki obok tej niedużej kobiety, jego próżność nagle ożyła i przez chwilę prawie poczuł

się sobą. Niezależnie od tego, jak będzie wyglądało zwycięstwo, miał nadzieję, że pozwoli mu czasami na płytkość i wygodę. Przymusowa introspekcja ostatniego tygodnia wytrąciła go z równowagi.

Dziewczyna zatrzymała się przed jednym z luster i przykucnęła, jej dłoń zawisała nad podłogą. Na dywanie wciąż widać było niewyraźną plamę krwi.

– Tędy przeszedł Trev? – zapytała niemal szeptem.

– Tak.

– Nie zamierzał mnie zabić, prawda? – zapytała. – Chciał przepchnąć mnie przez lustro. To Richard miał mnie zamordować, żebyś ty mógł pisać książkę moją krwią.

– Niewykluczone.

Wstała i odwróciła się do niego. Jej oczy błyszczały w słabym świetle. Wyglądała teraz jak tamta osoba w ambulatorium, która powaliła na ziemię dużo większego od siebie, uzbrojonego mężczyznę.

– Zrobiłbyś to? – zapytała. – Wziąłbyś moją krew i posłusznie wykonał polecenie Richarda, bez zadawania pytań?

– Chciałbym myśleć, że zadałbym chociaż jedno pytanie – odparł Nicholas, szukając w sobie przynajmniej odrobiny oburzenia.

– Ale w końcu byś to zrobił.

– Nie wiem. – Nagle poczuł się tak zmęczony, że prawie osunął się na podłogę. Oparł się o fragment ściany wolny od luster i powiedział: – Richard i Maram zawsze mieli dobre wyjaśnienia, przekonujące i racjonalne. Nawet jeśli coś wydawało się... złe... nie widziałem właściwej alternatywy.

Esther skrzyżowała ręce na piersi i wpatrywała się w lustro, przez które przeszło wykręcone ciało Trethewaya. Nicholas

czekał, niepewny i nieszczęśliwy. Może powinien przeprosić za tę wersję siebie, która przyjęłaby śmierć Esther, napelniła pióro jej krwią? Ale jak właściwie miałby prosić o wybaczenie za teoretyczną potworność? Słabo mu wychodziło nawet przepraszanie za rzeczy, które faktycznie zrobił.

– No cóż – odezwała się w końcu Esther. – Dziękuję.

To go zastopowało.

– Za co?

– Nieczęsto mogłeś w życiu dokonywać wyboru. A teraz, gdy pojawiła się taka okoliczność, postanowiłeś mi pomóc. Doceniam to.

– Och. – Zrobiło mu się gorąco w policzki. – Robię to również dla siebie.

– Mógłbyś oddać mnie swojemu stryjowi i żyć dalej w tych pięknych butach i błogiej ignorancji.

Młodzieniec spojrział na swoje stopy.

– Naprawdę cieszę się, że dostrzegłaś jakość moich butów. Wykonano je na zamówienie.

– Dziękuję – powtórzyła.

„Nie ma za co” nie byłoby dobrą odpowiedzią. Ruszył do gabinetu Richarda, czując zdenerwowanie – kiepska namiastka energii, która musiała mu wystarczyć. Nie zawahał się przed drzwiami, co najwyżej mentalnie, szykując się do widoku oka zawieszzonego w słoju. Ciało wyprzedzało umysł i chyba bardzo dobrze. Pozwolił się więc prowadzić, dłoń już spoczęła na gałce, płuca wypełniły się powietrzem, stopy szły dalej, a mózg starał się nadążyć. Nicholas miał w ręku życie Richarda, jego kres, wystarczyło tylko przekręcić gałkę.

Przekręcił gałkę.

W gabinecie panował mrok, wszystkie światła były zgaszone. Zrobił dwa kroki, próbował wymacać dłonią włącznik na ścianie... i stanął. Esther wpadła na Nicholasa, złapała go za ramię.

– Co się stało? – spytała.

Nie umiał wyjaśnić. Poczuł to: mrowienie na skórze, jak przy spadku temperatury, jakby zmieniło się ciśnienie w powietrzu. Palce już znalazły przełącznik, już zapaliły światło i chłopak wzdrygnął się przed tym, co mógł tutaj zobaczyć.

Richard i Maram zmrużyli oczy w nagłym blasku.

Nicholas słyszał oddech Esther, lecz jego własne płuca nie działały. Nie mógł oddychać, nie mógł mrugać, sparaliżowany mógł tylko stać i patrzeć.

Maram siedziała przy biurku Richarda w fotelu z wysokim oparciem, stryj stał obok niej, jedną rękę trzymał zaborczo na jej ramieniu. W tym wysokim fotelu, z wysokim Richardem u boku, otoczona ogromnymi regałami Maram wydawała się bardzo mała. Nicholas spojrzał na jej nadgarstki, kostki – czyżby została związana? Nie, nic na to nie wskazywało.

– Widzisz? – zwróciła się do Richarda. Uśmiechała się, w każdym razie wykrzywiła usta. Na Esther nawet nie zerknęła.
– Mówiłam ci, że przyjdą.

– Tak mówiłaś. – Stryj skinął głową z tym spokojnym zadowoleniem, którego Nicholas próżno szukałby w sobie. – Przypuszczam, że w końcu będę musiał ci wybaczyć te intrygi.

Esther zacisnęła palce na ręce Nicholasa, a on poczuł, jak obraz faluje, jak się rozplywa, jak przypadkowe szczegóły rozmywają się, a potem wyostrzają z brutalną wyrazistością. Ręce Maram złożone spokojnie na kolanach. Czerwień aksamitnego pudełka. Odwieczne czarne spojrzenie wypchanej

małpki. Matowa krągłość glinianej amfory. Połysk szklanego słoja, w którym wciąż unosiło się oko.

Błysk metalu w dłoni Richarda, gdy zostawił Maram i szedł w stronę przybyłych. Jego długie nogi pożerały przestrzeń tak szybko, że Nicholas nie rozumiał właściwie, co się dzieje, dopóki to się nie stało.

Richard trzymał broń.

Stojąca obok Esther całkowicie znieruchomiła i przestała oddychać. Puściła ramię Nicholasa. Lufa celowała prosto w jej głowę.

Collins pił. Joanna powiedziałaaby nawet: na umór. W ciągu pół godziny wypił trzy piwa, a potem zostawił ją na ganku, żeby przynieść sobie kolejne. Wrócił z pustymi rękami.

– Nie pomaga – wyjaśnił i usiadł na schodku obok niej, mocno przeczesując palcami włosy. – Ciągle jestem cholernie zestresowany.

Odciągnął dziewczynę od panicznego czatowania przy lustrze, powiedział, że jej koci przyjaciel może być głodny. Potem uparł się, żeby otworzyć jedną z tych małych puszek drogiej psiej karmy, jaką raczyła się Sir Kiwi. Mamrotał coś o obecności rtęci i wysokiej zawartości sodu w tuńczyku serwowanym futrzakowi przez Joannę. Było jasne, że musiał się czymś zająć, więc pozwoliła mu szukać otwieracza i nałożyć karmę do miski, choć jak na razie kotek się nie pokazał. Może dlatego, że zaoferowano mu psie jedzenie.

– Zimno mnie uspokaja – powiedziała Joanna. – Miałeś rację, żeby wyjść na zewnątrz.

Zdenerwowanie przegrzało ją do tego stopnia, że pot na czole dopiero teraz wysychał na chłodnym wietrze.

– Nic im nie będzie – pocieszył ją Collins. – Maram wie, co robi. Nie startowałaaby z całym tym pieprzonym planem, gdyby nie sądziła, że on zadziała.

Powtarzał mniej więcej to samo, odkąd Esther i Nicholas zniknęli w lustrze, a Joanna wciąż jeszcze nie wymyśliła odpowiedzi. Trochę dlatego, że nie miała pewności, czy mu

wierzy, a trochę, ponieważ nie była pewna, jak prowadzić taką rozmowę. Nigdy wcześniej nie spędziła tyle czasu sam na sam z dorosłą osobą w swoim wieku, tym bardziej z dorosłym mężczyzną, tym bardziej z dorosłym mężczyzną, którego uważała za przystojnego. Wzięła głęboki oddech, otuliła się kurtką i zerknęła na niego z boku. W złotym świetle ganku jego rzęsy rzucały długie cienie na policzki. Collins przygryzał dolną wargę w taki sposób, że Joanna miała chęć tupnąć nogą. W każdym razie przestawała myśleć o strachu.

– Jak w ogóle się w tym znalazłeś? – zapytała. – Mówię o samych książkach, nie tylko o Bibliotece.

Pochylił się i z ziemi przy swoich butach wygrzebał kamyk, bardzo jasny w tym świetle, jak kawałek kości.

– Moja babcia miała książkę – odpowiedział. Cisnął kamykiem na podwórko, sięgnął po kolejny. – Przekazała ją mojej matce, razem ze zdolnością słyszenia magii. Książka pochodziła ze Stanów Zjednoczonych, mniej więcej z tysiąc dziewięćsetnego roku, i pozwalała popatrzeć na świat oczami najbliższego ptaka. Atrament był wyblakły, ale mama pozwoliła mnie i mojej siostrze przeczytać zaklęcie w dniu naszych szesnastych urodzin. Zawiozła nas za miasto, żebyśmy mieli szansę trafić na innego ptaka niż gołąb.

– Jak było?

Uśmiechnął się do ciemnych drzew.

– Urodziny obchodzę w maju. Leciałem w ciebie czapli nad rzeką Assabet. Wszędzie kwitły bzy. Nadal widzę to w snach.

– Twoja siostra też słyszy magię?

– Tak, choć ona jest raczej... amatorką. Mnie kompletnie odbiło na tym punkcie. Szukałem w necie i dotarłem do kilku

forów dyskusyjnych, które ostatecznie połączyły nas z ekipą z Bostonu.

Dla Joanny korzystanie z internetu było dziesięciominutowym cotygodniowym obowiązkiem w lokalnej bibliotece. Wiedziała, że ludzie używają sieci, żeby dotrzeć do innych i nawiązać znajomości, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że sama mogłaby się z kimś kontaktować lub żeby to z nią się kontaktowano.

– Byłbyś w stanie opowiedzieć mi o tym, gdyby nadal działało twoje zaklęcie UZP? – Obserwowała, jak kolejny kamyk szybuje na podwórze. Collins pokręcił głową. – To musi być miłe uczucie, że możesz już opowiadać. – zauważyła.

– Tak. – Otrzepał ręce, zwiesił je między kolanami. – Kiedy w końcu spotkałem innych ludzi, którzy wiedzieli o magii, czułem się tak, jakby świat uchylił przede mną zasłonę tajemnicy.

– To dobrze czy źle?

– Dla mnie dobrze – mówił wielkolud z zapalem. – Tak jakby światło i powietrze mogły w końcu dostać się do środka. Przynajmniej dopóki Biblioteka mnie nie zgarnęła, chociaż nawet to nie było takie złe. Cholernie dużo się nauczyłem.

– Wygląda na to, że dogadujecie się z Nicholasem – zaryzykowała Joanna.

– Jasne, pomijając fakt, że jest piekielnie rozpieszczony i w zasadzie bezużyteczny – zauważył Collins. – Tak jak ten głupi psiak – dodał i nie mógł już powstrzymać uśmiechu.

– Czy wy...? – musiała o to spytać.

– Nee – odparł i spojrzał na nią kątem oka. – Wolę... długie włosy.

Joanna ucieszyła się ze słabego oświetlenia i faktu, że jej długie włosy, zaczesane na jedno ramię, trochę zasłaniają twarz, bo policzki ogarnęła gorąca fala.

– To czemu nie zapuścisz? – spytała lekkim tonem.

– W liceum nosiłem takie do ramion. – Pokazał. – Farbowałem na czarno. Robiłem za gotha. Paznokcie też malowałem na czarno. – Wyciągnął rękę, żeby mogła to sobie wyobrazić, ale ona wyobraziła sobie coś zupełnie innego.

– Jak od gotha przeszedłeś do opłacanego mięśniaka?

Poruszył ramieniem.

– Mniej więcej tak jak teraz wyglądałem już w wieku czternastu lat. Dzieciaki w szkole chyba traktowały to jako wyzwanie. Chłopaki się na mnie rzucały. Mama wreszcie miała tego dość, bo ciągle chodziłem z podbitym okiem, więc zapisała mnie na karate. W liceum uprawiałem boks, a jak skończyłem osiemnaście lat, zacząłem pracować jako ochroniarz w klubach nocnych. W ten sposób opłaciłem studia.

– Skończyłeś uczelnię? Co studiowałeś? – zapytała z ukłuciem zazdrości.

– Hotelarstwo. – Zaśmiał się sam z siebie. – Moja ciotka prowadziła gówniany motel i mnie zachęcała. Za to prawie uzyskałem licencjat z historii sztuki. To pewnie bardziej twoja działka, co?

– Hotelarstwo brzmi nieźle – stwierdziła bez przekonania, bo nie miała pojęcia, jak można studiować coś takiego. Są z tego sprawdziany? Pięć sposobów przyjmowania płaszczy?

– Co ty byś studiowała? – zapytał.

– Literaturę angielską – odparła natychmiast.

– I co lubisz czytać? Nie licząc zaklęć.

– Naprawdę wszystko. – A ponieważ właśnie uchyliła zasłonę swojego życia, równie dobrze mogła odsunąć ją jeszcze bardziej. Odwróciła twarz w stronę światła, spojrzała Collinsowi w oczy i wyznała: – Zwłaszcza romanse.

Nie odwrócił wzroku.

– Ach tak?

– Tak.

– Dlaczego?

Chciała rzucić jakiś kokieteryjny tekst, może o scenach seksu, ale zdecydowała się na głębszą prawdę.

– Romanse opowiadają o związkach. O ludziach, którzy łączą się ze sobą wbrew przeciwnościom losu, pomimo różnic, tajemnic i wad. W romansach nigdy nie musisz się o nic martwić, po prostu czekasz na szczęśliwe zakończenie.

– W przeciwieństwie do prawdziwego życia – stwierdził. – Kiedy musisz się nieźle nakombinować.

– Właśnie. Dlatego kiedyś wolałam powieści.

– Kiedyś?

– Teraz już nie wiem.

Przechylił głowę.

– Ostatnie pół roku żyłem pod wpływem zaklęcia wyciszającego, które w zasadzie wykluczyło jakąkolwiek szansę nawiązania kontaktu z inną osobą – powiedział. – Możesz mi wierzyć, prawdziwa relacja warta jest wszystkich zmartwień świata.

W jego postawie nastąpiła subtelna zmiana; każdy nerw w ciele Joanny zadrżał od tej nagłej, intensywnej uwagi. Collins patrzył na jej usta.

– Martwisz się teraz? – zapytała.

Pochylił się bliżej.

– Tak.

W płucach już nie miała powietrza. Czarne źrenice wypełniały jego oczy, cienie rzęs drżały na policzkach, gdy zmniejszał odległość między nimi centymetr po centymetrze, boleśnie powoli, jakby czekał, aż ona go powstrzyma. Jakaś histeryczna część niej chciała parsknąć śmiechem. Miałaby go powstrzymać?

W końcu dotknął jej warg w pocałunku, takim delikatnym, niepewnym... Przez sekundę. Potem Jo objęła go za szyję i rozchyliła usta, a on przyciągnął ją bliżej, jego ręce znalazły się na jej talii, w dolnej części pleców, we włosach, i to już wcale nie było delikatne. Ten pocałunek nie miał nic wspólnego z obściskiwaniem się w liceum, to było coś zupełnie innego, kiedy czas się zatrzymuje, całe ciało poddaje się gwałtownym reakcjom, a skóra płonie – choć Joanna drżała pod dotykiem Collinsa. Całował ją z zaciekawieniem, jakby była stroną, którą chciałby jak najszybciej przerzucić. To budziło w niej nieprawdopodobnie słodki dreszcz. Przez chwilę myślała nawet, że zbliżający się odgłos silnika to dźwięk jej własnego ciała, długo uśpionej maszynerii, która ożywa z warkotem i hukiem. I wtedy, znacznie szybciej, niż się zaczął – za szybko – pocałunek został przerwany.

– Collins... – zaprotestowała i chwyciła go za kurtkę, ale on odwrócił głowę w stronę podjazdu, a do niej dotarło, że samochód, który słyszała, jest prawdziwy i nie ma nic wspólnego z jej organizmem.

– Ktoś jedzie – powiedział wielkolud.

Nie sądziła, że jej tętno może przyspieszyć jeszcze bardziej, ale tak się stało. Czuła się oszołomiona, cała krew z mózgu

odpłynęła gdzie indziej, Joanna dotknęła swoich mrowiących ust.

– Richard?

– Niemożliwe, za mało czasu... – Ścisnął jej kolano, podniósł się i stanął tyłem do niej. Z jego ciała biło napięcie. – Ale mógł kogoś wysłać, na pewno ma ludzi w Nowym Jorku, może też w Bostonie. Gdzie ten karabin, który ścisnąłaś, jak przyjechaliśmy?

Joanna zerwała się, żeby po niego pobiec, ale się zatrzymała. Auto podjeżdżało coraz bliżej, dźwięk silnika wydawał się coraz bardziej znajomy. Wyjrzała zza Collinsa i zobaczyła jasnoniebieskie podwozie, połyskujące w świetle ganku. W piersi Jo rozbłysła iskra nadziei. Znała ten pojazd.

– Czekał – rzuciła. – To chyba moja matka.

Samochód zdążył się zatrzymać na końcu podjazdu, a Cecily już wyskoczyła zza kierownicy. Rozglądała się dziko, jej usta po raz pierwszy pozbawione były charakterystycznej czerwieni. Collins wciąż zasłaniał Joannę, Cecily podbiegła i pięściami zaatakowała jego pierś. Cofnął się i spróbował zablokować ciosy, używając minimum siły.

– Gdzie moja córka?! – krzyczała. – Co zrobiłeś z moją córką?!

– Tu jestem! – Joanna znalazła się między nimi i omal nie dostała w obojczyk. – Mamo, tu jestem!

Cecily chwyciła dziewczynę za ramiona. Patrzyła to na nią, to na Collinsa z niedowierzaniem i łzami w oczach.

– Joanna?

– Tak, wszystko w porządku!

– Kim jest ten człowiek?

Niezdolna do dłuższej wypowiedzi wyjaśniła tylko:

– Nazywa się Collins. Collins, to moja mama Cecily.

– Miło mi – mruknął niepewnie.

– Osłony są opuszczone – powiedziała kobieta, wciąż trzymając mocno Joannę, wpatrując się w jej twarz. – Leżałam w łóżku, już prawie zasypiałam, gdy nagle dotarło do mnie, gdzie jest twój dom. Wiedziałam, jak się tu dostać! Pomyślałam... och, nie wiem, co pomyślałam! Wszystko, co najgorsze. Ale ty zdajesz sobie sprawę, że nie działają? Ty je opuściłaś?

– Zgadza się – przyznała Jo, bo chociaż nie ona o tym zdecydowała, to pozwoliła, żeby tak się stało.

– W takim razie Richard tu przyjedzie – zawyrokowała Cecily. – Przyjdzie po swoją książkę.

Joanna wytrzeszczyła oczy.

– Skąd wiesz o Richardzie?

Cecily zagapiła się na córkę.

– Skąd ty o nim wiesz?

– Joanna powiedziała, że jesteś pod zaklęciem uciszającym Biblioteki – wtrącił się Collins. – To imię nie powinno ci przejść przez gardło.

Kobieta otworzyła usta i cofnęła się o krok, ale od razu się opanowała.

– Moje zaklęcie uciszające zostało złamane. – Spojrzała na dziewczynę. – O to właśnie prosiłam w tamtym liście, który wysłałam przez lustro. Zgodziłam się na nie dwadzieścia trzy lata temu, żeby chronić twoją siostrę, ale nie mogłam już dłużej tego znieść. Zrozumiałam, że albo powiem ci całą prawdę, albo cię stracę.

W ostatnich latach Joanna patrzyła na matkę przez tak gęsty welon podejrzliwości, że nie umiała dostrzec jej prawdziwej twarzy. Nie wiedziała, co mogłaby teraz zrobić, żeby pozbyć się tego welonu, nosiła go zbyt długo, żeby po prostu podnieść rękę i go odsunąć.

– W twojej piwnicy znajduje się jeszcze jedno zaklęcie wyciszające – oznajmiła Cecily. – Takie, które ja przeczytałam komuś innemu i tylko ja mogę zdjąć. Chcę zrobić to teraz. Ta cisza trwała już wystarczająco długo. – Uścisnęła mocno rękę Jo. – Wpuścisz mnie, skarbie? Proszę?

Ostłon już nie było, Cecily mogła po prostu odsunąć córkę i wejść równie łatwo, jak do każdego innego domu. A jednak zapytała. Joanna wciąż miała wybór.

– Wejdz zatem – zgodziła się. – Wejdz i powiedz mi prawdę.

Daj mi książkę – zwrócił się Richard do Nicholasa. – Wiem, że masz ją ze sobą. Słyszę.

– Maram – odezwał się chłopak. – Co się dzieje?

Świadomość sensoryczna Esther uległa rozszczepieniu. Połowę uwagi dziewczyna skupiała na pistolecie, który wyglądał na w pełni działający i był wycelowany prosto w jej głowę, druga połowa koncentrowała się na ciemnowłosej kobiecie obok Richarda. Maram. Siedziała na brzegu fotela i trzymała na kolanach własny pistolet, swobodnie i spokojnie. Patrzyła przepaszająco na Nicholasa, wyłącznie na niego, ściągnęła mocne brwi – takie same jak brwi Esther, Anglik miał rację.

– Wybacz, Nicholasiu – odezwała się. – Nie lubię oszukiwać ani ciebie, ani Richarda, ale gdy ona – ręką wskazała dziewczynę, nadal na nią nie patrząc – przepchnęła Trethewaya przez lustro, chociaż to on miał przepchnąć ją, cóż... trudne czasy wymagają drastycznych środków.

– Co? – wykrztusił chłopak. – Ale... ale ty...

Maram zagłuszyła jego jąkanie.

– Czy twoja przyjaciółka nie powiedziała ci, co zrobiła biednemu Trethewayowi?

– Straszna śmierć – dodał Richard.

– Ale wysłałaś kogoś na pomoc Esther – upierał się Nicholas.
– Tam, na lotnisku w Auckland. Działałaś za plecami Richarda.

– Oboje wiemy, jaki twój stryj potrafi być uparty – westchnęła kobieta. – Nigdy nie przyjąłby planu, który

zakładałby wypuszczenie cię z domu i samodzielne podróże. Przyjąłbyś, skarbie?

– Raczej nie – odparł gospodarz z czułością i nostalgią.

Esther prawie nie słuchała tej rozmowy. Wpatrywała się w Maram, szukając w jej rysach podobieństwa, które dostrzegł Nicholas. Owszem, miały podobne brwi, zbliżony kształt twarzy, ale to za mało, żeby wysnuć taką teorię, i o wiele za mało, żeby na podstawie domysłów ryzykować życie. Dopiero w tej nagłej, napędzanej adrenaliną jasności umysłu zdała sobie sprawę, jak mętne było jej myślenie ledwie kilka minut temu. Nie udawała swojego sceptycyzmu, ale on nie brał się z niedowierzania, wynikał, jak to się często dzieje, z nadziei. Chciała wierzyć w słowa Nicholas: że jej matka żyje i że cały czas usiłowała ją chronić.

A przecież, jeśli nawet Maram ją urodziła, co niewykluczone, to nie była jej matką. Jedyna osoba, która chroniła Esther, to jak zawsze sama Esther.

– Książka, Nicholasie – przypomniał Richard, nie opuszczając pistoletu. – Albo kula trafi prosto w głowę twojej nowej przyjaciółki.

Miał bardzo miłą twarz, dlatego to, co mówił, brzmiało jeszcze straszniej. Za nim, nad biurkiem, wisiał portret opisany przez Nicholas: mężczyzna o surowej twarzy, do złudzenia przypominający Richarda, w zakrwawionym fartuchu. Rama z kości wokół, nóż w ręku.

– Nie chcesz, żeby umarła – oznajmił Nicholas. – Potrzebujesz jej żywej.

– To prawda – zgodził się stryj. – Ale stan jej mózgu nie ma znaczenia, wystarczy, żeby oddychała. Wiesz, kiedyś byłem chirurgiem. – Wolną ręką postukał we własną głowę. – Śmiem twierdzić, że mógłbym zadać maksymalne obrażenia bez

pozbawiania kogoś życia. Jeśli stan, w którym pozostanie, można nazwać życiem. Tego dla niej chcesz?

Bratanek obrócił głowę w lewo, w prawo – nie, nie zaprzeczał, rozglądał się, szukał odpowiedzi. Jego oczy napotkały wzrok Esther – ona też czuła się opuszczona. Mogła uciec, tak jak uciekała wiele razy wcześniej, a jednak przyszła z nim, tutaj, prosto w pułapkę. Wyglądał tak, jakby chciał, żeby się odezwała, powiedziała coś, ale co takiego mogłaby powiedzieć? Jeśli otworzy usta, zacznie krzyczeć.

– Za tymi drzwiami są ludzie – oznajmił Richard, gdy Nicholas wciąż rozglądał się po gabinecie. – I w samej Bibliotece, czekają przy korytarzu, którym się tu dostałeś. Dostali już rozkazy. Proszę, nie róbmy bałaganu. Daj mi książkę.

– A może najpierw – zaczął Nicholas – udzielisz mi paru odpowiedzi?

Stryj uśmiechnął się do niego z politowaniem.

– Nie widzę powodu, dlaczego miałbym się z tobą targować.

– Och, pozwól mu, niech zadaje swoje pytania – wtrąciła się Maram. Akcent miała brytyjski, ale tak perfekcyjny, że brzmiał jak wyćwiczony. – Nie chcemy cię stracić, Nicholasie. I ośmielę się powiedzieć w imieniu swoim i Richarda, że nasze uczucie do ciebie jest autentyczne.

– To prawda. – Mężczyzna skinął głową. – Zawsze tak było. To, co się dzieje, nie wpływa na to, co do ciebie czujemy.

– Co wy do mnie czujecie? – powtórzył Nicholas.

– To naturalne, że potrzeba ci trochę czasu, żeby się przystosować – ciągnęła Maram. – Spójrzeć na pewne rzeczy z nowej perspektywy, ale...

– Zaaranżowaliście moje porwanie i wydłubaliście mi oko z głowy – przerwał jej chłopak. – To właśnie masz na myśli, gdy

mówisz „pewne rzeczy”?

Richard się skrzywił.

– I uważasz, że świetnie się bawiłem? Dobry Boże, to był jeden z najgorszych dni w moim życiu!

Bratanek zaśmiał się chrapliwie, z niedowierzaniem.

– Czy ty ogóle widzisz we mnie człowieka? Postrzegałeś tak mojego ojca? Czy jesteśmy tylko narzędziami, jak twoje worki na krew i skalpele?

– Oczywiście, że jesteś dla mnie człowiekiem – zapewnił Richard. – Wszystko, co robiłem, robiłem dla naszej rodziny, dla naszego dziedzictwa. Dla Biblioteki.

– Naszej rodziny! – zachnął się Nicholas. – Ile w ogóle masz lat? Nie jesteś moim stryjem. Czy nas w ogóle łączy jakieś pokrewieństwo?

Ciepłe oczy Richarda posmutniały.

– Tak – rzekł. – I boli mnie, że to kwestionujesz. Moja siostra była Skrybą. Ty i twój ojciec wywodzicie się z jej rodu.

Esther nie chciała się odzywać, ale jej umysł już sortował i liczył pokolenia, zestawiał tę informację ze zgoła innymi danymi uzyskanymi od Nicholasa. Richard najwyraźniej nieźle namieszał.

– Zakłęcie linii krwi – rzuciła. – Twoje dzieło?

Richard spiął się, gdy usłyszał jej głos; wyraźnie zmuszał się do odprężenia. Wciąż mierzył w głowę Esther.

– Nicholas ci powiedział, prawda? Masz rację. Ja zaprojektowałem zakłęcie, a moja siostra je napisała.

– Czyim ciałem? – chciał wiedzieć Nicholas. – Czyją krwią?

Richard machnął ręką.

– W tamtych czasach Skrybów nie brakowało.

Dziewczyna wciąż patrzyła na Maram, nie mogła się powstrzymać. Mimo pistoletu wycelowanego w głowę i broni w rękach kobiety, mimo faktu, że Maram ledwie rejestrowała jej obecność, jakaś zdradziecka część mózgu Esther wciąż katalogowała: kształt palców, wygląd nosa, szerokość czoła, różowy odcień skóry – była o kilka tonów ciemniejsza od skóry Esther, ale może zmieszana z karnacją Abego...

Odetchnęła ciężko. Odrętwienie połączyło się ze strachem i przerodziło w gniew. Stała trzymana na muszce, a tymczasem głupie, rozmarzone dziecko w niej próbowało zestawić ze sobą dwa niepasujące rdzenie i czekało na iskrę, która mogła nigdy się nie pojawić – zamiast szukać właściwych przewodów i prawdziwych połączeń.

Ale dziecko nie chciało się uspokoić.

– Co będziesz z tego miała? – drażniła Esther, ponieważ chciała wiedzieć i zależało jej na tym, żeby Maram na nią spojrzała.

Kobieta odwróciła się do Richarda, jakby prosząc o pozwolenie, a ten skinął głową.

– Mów śmiało.

Ale to Nicholas odpowiedział, obcym głosem, zniekształconym wściekłością.

– Napisze dla ciebie nowe zaklęcie. Prawda? Sprawি, że będziesz żyć wiecznie.

– A przynajmniej bardzo, bardzo długo. – Maram uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Jest jedyną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem, która kocha Bibliotekę równie mocno jak ja – oznajmił Richard. –

Zajmowanie się tym wszystkim stanowi ogromną odpowiedzialność. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ciężko mi

było robić to samemu, dopóki nie zjawiała się Maram, póki nie zrozumiałem, że nie muszę zajmować się tym sam. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak czułem się samotny przez te wszystkie lata, gdy patrzyłem, jak moi bliscy odchodzą po kolei, zostawiają mnie, żebym dźwigał brzemień dziedzictwa na własnych barkach.

– Sztucznie wymyślona odpowiedzialność – prychnął Nicholas. – Nikt nie prosił o to naszej rodziny...

Esther znów nie słuchała. Wbiła wzrok w Maram, która intensywnie obserwowała Richarda. Może zbyt intensywnie? Może specjalnie unikała spojrzenia Esther? To już samo w sobie o czymś świadczyło, prawda? A ponieważ tylko Esther na nią patrzyła, to w pierwszej chwili jedynie ona zarejestrowała zmianę na opanowanej, uważnej twarzy kobiety.

Jej oczy rozszerzyły się nagle, dłonie powędrowały do gardła, usta otworzyły się, a policzki pociemniały. Z rozchylnych warg wydobył się gwałtowny syk, jak z rozciętej opony. Maram skuliła się, łapczywie chwytając powietrze, ale gdy Richard przerwał w pół zdania i zerknął na nią zdziwiony, wciągnęła głęboki, rozpierający pierś oddech i usiadła tak prosto, jak porażona prądem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Richard. W jego głosie było tyle niepokoju, że Esther prawie temu człowiekowi współczuła.

– Ach – wychrypięła Maram. Jedną rękę wciąż trzymała na gardle, ale drugą już uniosła uspokajająco. – Przełknęłam ślinę i trochę się zakrztusiłam. Już dobrze. – Odetchnęła ostrożnie. – Nie spuszczaaj oczu z celu, kochanie.

Richard znów spojrział na Esther i Nicholasa, uspokojenie się wymagało wysiłku.

– Na pewno wyobrażasz sobie, dlaczego jestem nieco zdenerwowany. – Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie. – Jej śmierć w tej chwili byłaby brutalną ironią losu.

– Żałuję, że wciąż żyjesz – zwrócił się Nicholas do Maram, ale bez przekonania. Z jego głosu wyparowała wściekłość, wydawał się skrajnie wyczerpany.

Esther z kolei wibrowała energią. Miała w pamięci twarz dławiącej się kobiety, jej rozszerzone oczy, otwarte usta, to wypuszczenie i nagłe wciągnięcie powietrza. Widziała już dzisiaj podobny wyraz twarzy, słyszała identyczne charczenie – gdy Joanna zdejmowała zakłęcie wyciszające z Collinsa.

– A cóż to miało znaczyć, Nicholasie? – Ton Richarda był pełen wyrzutu, wyćwiczone echo tysiąca karceń. – Jak długo znasz tę dziewczynę, kilka dni? A Maram opiekuje się tobą całe twoje życie. Tak naprawdę nie chcesz przecież jej śmierci.

– Tak naprawdę nie chcę niczyjej śmierci – odparł chłopak. – Pragnę, żebyś zaprzestał tego szaleństwa, pozwolił Esther odejść, a Maram żyć normalnie i umrzeć ze starości, tak jak umierają ludzie.

– Może zawrzemy układ – zaproponował stryj. – Esther pożyje jeszcze kilka lat, tyle, żeby urodzić ci kilkoro dzieci i zobaczyć, czy któreś odziedziczy twój talent, a potem...

– Przestań – przerwał mu Nicholas i uniósł rękę, jakby zamierzał zasłonić sobie uszy. – Na litość boską, przestań.

Richard się zaśmiał.

– Tak myślałem, że ci się to nie spodoba.

Maram podniosła się z fotela i stanęła obok Richarda. Podobnie jak Nicholas wyglądała drogo: jedwabna bluzka idealnie dopasowana do figury, profesjonalny makijaż, włosy lśniące, upięte w kok.

– Może zrozumiesz mnie wtedy – odezwała się stonowanym głosem – gdy pomyślisz o Bibliotece jak o jednym z moich dzieci. Wszystko, co robiłam, żeby cię tu dzisiaj sprowadzić, miało na celu ochronę mojego dziecka.

Młody Skryba zeszytniał, uszy mu poczerwieniały. Esther z trudem łapała oddech.

– Nicholas najlepiej wie, że nie jestem osobą, którą można by nazwać kochającą mamą – powiedziała Maram, Richard przytaknął. – Lecz wciąż jestem matką, czy się to komuś podoba, czy nie. A kiedy matka przypuszcza, że ktoś mógłby celować z broni do jej dziecka... – Wzruszyła ramionami. –

Podejmuje niezbędne działania, aby je chronić. Robi wszystko, co w jej mocy, by zyskać pewność, że zagrożenie jest nieszkodliwe, a ewentualna rana nie gorsza od uządlenia –

kontynuowała swoją przemowę. Richard spojrzał na nią, zmarszczył brwi. – Wyobrażam sobie – ciągnęła – że bycie matką jest jak podążanie ścieżką. A ścieżka prowadzi cię do naturalnego następnego kroku.

Esther wyszła do przodu. Richard odwrócił wzrok od Maram i rozkazał:

– Nie ruszaj się.

Zrobiła jeszcze jeden krok. Nicholas wyciągnął rękę i ścisnął jej nadgarstek zimnymi palcami.

– Dość – rzucił mężczyzna. – Chłopcze, daj mi tę książkę.

– Nie rób tego – skontrowała dziewczyna i znów przesunęła się dalej. Pistolet znajdował się mniej więcej metr od jej głowy, Richard z pół metra dalej.

– Nicholas poświęcił bardzo dużo, żeby cię chronić – oznajmił gospodarz. – Naprawdę chcesz, żeby patrzył na to, co zaraz zrobię? Już i tak dręczą go koszmary.

Esther spojrzała na Maram i po raz pierwszy spotkała się z nią wzrokiem. Patrzyły na siebie. Kobieta skinęła głową, lecz niedyskretnie. Richard dostrzegł ten ruch kątem oka.

– Co to ma...?

Esther nie pozwoliła mu dokończyć. Skoczyła i pokonała półtora metra jednym susem, a przerażony krzyk Nicholasa zagłuszyła eksplozja pistoletu.

Oprócz wampira, który wysssał krew jej ojca, w kolekcji Joanny znajdowała się jeszcze tylko jedna książka, która „była w toku” od zawsze. Miała ładną oprawę z prawdziwej skóry. Jo często zastanawiała się nad zaklęciem, które trwało na tych stronach. Była ciekawa, kto pierwszy tę księgę przeczytał i co się z nim stało.

Teraz już wiedziała.

Stali z Collinsem w piwnicy i patrzyli, jak Cecily kłuje się w palec, plami krwią ostatnią stronę skórzanej księgi i łamie zaklęcie uciszające, które przeczytała ponad dwie dekady wcześniej. Joanna słyszała cichy dźwięk, gdy zaklęcie dobiegło końca, a kiedy już zamknęli drzwi i wrócili na górę po schodach, miała wrażenie, że wciąż wyczuwa zmienione brzęczenie książek.

Sir Kiwi siedziała w holu i czekała, na ich widok poderwała się i zamerdała puchatym ogonem. Cecily pogładziła psinę drżącą ręką. Teraz, gdy szok wywołany przybyciem Cecily minął, Joanna zauważyła, że matka przyjechała tu w kapciach, czarnych legginsach i koszulce z *Revolver Beatlesów*, w której pewnie spała. Jej gołe ramiona pokryła gęsia skórka. Dziewczyna przyniosła z szafy gruby wełniany sweter ojca.

– Proszę. – Podała go Cecily. – Nałoż.

Matka trzymała sweter w dłoniach, trzęsła się z zimna, ale go nie wkładała. Przesunęła ręką po czarnym wzorze wplecionym w kremowe tło.

– Jest starszy od ciebie – powiedziała. – Kupiłam go twojemu ojcu, kiedy mieszkaliśmy w Meksyku.

Joanna już szła za Collinsem i Sir Kiwi do kuchni, ale przy tych słowach się odwróciła.

– Jakim cudem? Przecież poznaliście się, dopiero gdy tutaj się przeprowadził.

– Nie. Tak brzmiała wersja, którą postanowiliśmy wam opowiedzieć. W rzeczywistości poznaliśmy się w Meksyku, kiedy twój ojciec był jeszcze z Isabel.

Jej spokojny, miarowy głos nie pasował do tych niemożliwych słów. Po skórze Joanny przebiegł dreszcz.

– Co? Co ty opowiadasz?

Kobieta włożyła sweter, pozwoliła, żeby ją otulił.

– Usiądźmy.

Światła w kuchni były włączone i wszystko wydawało się rażąco jasne, od blasku wiszących miedzianych patelni, przez połyskliwą powierzchnię lodówki, po zaciętą twarz zdeterminowanej Cecily. Joanna zgasła górne światło, zrobiło się przytulniej. Teraz wewnątrz oświetlała lampa nad kuchenką, sączyło się stamtąd łagodne światło pokrytej tłuszczem żarówki.

Cecily usiadła przy stole, córka naprzeciwko niej.

Collins podniósł czajnik i wykorzystał swoje studia hotelarskie:

– Herbaty?

Obie pokręciły głowami, lecz on i tak napełnił naczynie, po czym oparł się o blat i patrzył na Joannę. Znali się krótko, ale potrafiła rozpoznać z jego miny, że się martwi. Spróbowała się

uśmiechnąć, chyba się nie udało, bo patrzył jeszcze intensywniej.

Cecily spojrzała na niego zaskoczona.

– Powiedziałaś, że kto to właściwie...

– Powiedziałaś, że przyszałaś wyznać prawdę – przerwała Jo. Biorąc przykład z Collinsa, wyprostowała się, uniosła brodę. – A więc mów.

Wydawało się, że kobieta zaprotestuje, jednak skinęła głową. Pogładziła dłońmi blat, jakby rozprostowywała mapę, potem zamknęła na chwilę oczy. Wzięła długi, głęboki wdech i rzekła:

– Wszystko zaczęło się od Isabel.

Isabel zawsze była ambitna. Urodziła się w Meksyku – z matki Zapotek, ojca pół-Hiszpana. Dorastała w rodzinnej księgarni, stanowiącej pozostałość kolonialnej fortuny, którą rodzina ojca w większości roztrwonila. Księgarnia została założona na początku lat trzydziestych przez dziadków ze strony ojca. Była spełnieniem pasji, w tamtym czasie nie chodziło o dochód, ale o podniesienie kapitału społecznego wśród pisarzy i artystów, o których obecność zabiegano przy stole. To po babci ze strony ojca – meksykańskiej bywalczyńi salonów i od czasu do czasu pisarce Alejandrze Gil – rodzice Isabel odziedziczyli nie tylko księgarnię, ale także jedną z największych kolekcji magicznych książek w Ameryce Północnej. To po tej samej babci dziewczyna przejęła zdolność słyszenia magii.

Ambicję musiała również odziedziczyć po którymś z dziadków, bo jej rodzice nie mieli w sobie nic z dzikiego zapału córki. Kiedy Isabel przyszła na świat, pokoleniowe zasoby jej rodziny opierały się na dwóch rzeczach: koneksjach i książkach. Isabel z przerażeniem patrzyła, jak rodzice, trzymający się

drogich przyzwyczajęń nawet wtedy, gdy już nie mogli sobie na nie pozwolić, nader chętnie wykorzystywali to pierwsze i wyprzedawali drugie. Od najmłodszych lat żywiła przekonanie, że książki jej rodziny zawierają odpowiedzi na pytania, które zawsze nurtowały ludzki umysł; a tych odpowiedzi, według niej, należało szukać w mechanizmie pozwalającym stworzyć owe książki.

Czy moc pochodziła z zewnątrz, czy od wewnątrz? Czy to był Bóg albo bogowie, duchy albo demony? Czy cuda opisane w wielu tekstach religijnych tak naprawdę pochodziły z potężnych ksiąg, czy to księgi miały utrwalić cuda?

Czymkolwiek była ta moc, skądkolwiek się wywodziła, przemawiała do niej. W dzieciństwie wyobrażała sobie, że jest jak Juana de Arco, wybrana przez święty głos, aby strzec i przewodzić; z wiekiem stała się bardziej praktyczna, lecz nie mniej oddana. Jak mogła studiować teksty i strzec ich, jeśli rodzice ciągle je sprzedawali?

To Isabel poświęciła się utrzymaniu kolekcji rodziców na zapleczu, to ona jeździła po mieście, a później po kraju, nawiązywała kontakty, zadawała pytania, wypatrywała ksiązek. Nauczyła się oceniać i wyceniać. Przeczytała każdą pozycję z kolekcji tak wiele razy, że znała je na pamięć i rozumiała zawarte tam wzorce powtórzeń i zawilosci fraz. Zaczęła poznawać świat i zapragnęła, aby on też ją poznał.

Bezskutecznie próbowała przekonać rodziców, żeby przeszli na model wypożyczalni. „Coś na kształt biblioteki”, powtarzała. „Mniejsze, ale stabilne wpływy zamiast dużych jednorazowych”. W ten sposób mogliby zatrzymać wszystkie książki, a nie pozbywać się ich niefrasobliwie: imponujące nigdy zbiory kurczyły się coraz bardziej, woluminy znikwały jeden po drugim. Rodzice odmówili. Za dużo by z tym było

zamieszania, woleli po prostu opchnąć kolejny tom, gdy skończyły się fundusze z poprzedniego.

Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy Isabel wchodziła w dorosłość, pięć największych społeczności bibliofilskich na świecie skupiało się w Meksyku, Stambule, Tokio, na Manhattanie i, co dla młodej Isabel najważniejsze – w Londynie.

Londyn był godny uwagi ze względu na plotki.

Dziewczyna słyszała je od kolekcjonerów i sprzedawców (których szukała, odkąd zdobyła wiedzę, jak to robić): plotki o pewnej organizacji i uśmiechniętym mężczyźnie w garniturze, który sówicie płacił za całe kolekcje. Plotki o tym, że jeśli mu odmówisz, on i tak znajdzie sposób, aby odebrać ci książki – a potem wypożyczyć po zawyżonej cenie. Opowiadano tę historię złowieszczym tonem ostrzeżenia, lecz Isabel mimo wszystko była zaintrygowana. „Organizacja”, czyli coś, co sama chciała zbudować w księgarni rodziców. Kolejne plotki jedynie wzmogły jej ciekawość.

Podobno ktoś w Londynie nie tylko gromadził, lecz również tworzył magiczne książki. Za niebotyczną sumę klient mógł zamówić konkretny tom, określone zaklęcie – a więc ktoś pisał magię, którą Isabel całe życie starała się zgłębić i zrozumieć.

Stało się oczywiste, że chodzi o jedną i tę samą organizację, a nawet może jedną i tę samą osobę: uśmiechniętego mężczyznę w garniturze. Kimkolwiek był, Isabel chciała go poznać. Jej nowym celem stała się więc Anglia: przyjechała do Oksfordu na teologiczne studia doktoranckie z walizką pełną najcenniejszych książek ze zbiorów rodziców. Szybko znalazła się w odpowiednich kręgach, po czym rozpuściła wieść, że ma niewielką, acz imponującą kolekcję i gotowa jest odsprzedać ją

w całości, wraz z klejnotem koronnym: piętnastostronicowym tomikiem odnawialnych osłon – małym, pradawnym i potężnym.

Nawiązanie kontaktu zajęło Richardowi dwa lata.

W tym czasie dziewczyna była już zawodowo znana jako Maram Ebla. I to właśnie do Maram Ebly Richard zaadresował swój list zapoznawczy. Imię Maram wybrała ze względu na rodzinną słabość do palindromów, nazwisko zaś było ukłonem w stronę starożytnej biblioteki Ebla, często nazywanej najstarszą biblioteką na świecie. Dla samej siebie pozostawała Isabel.

Słyszała, że mężczyzna w garniturze jest przystojny, po pięćdziesiątce – co dla dwudziestoletniej dziewczyny oznaczało abstrakcyjną starość. Kiedy jednak zobaczyła Richarda w drzwiach swojego mieszkania – musiał się lekko pochylać w niskim korytarzu – uśmiechającego się ciepłymi, uważnymi oczami, z zaskoczeniem odkryła, że nie tylko jest atrakcyjny, ale również pociągający.

Bez owijania w bawełnę powiedziała mu, że nie szuka rekompensaty za swoją kolekcję, lecz zatrudnienia. A nawet więcej niż zatrudnienia. Utrzymania. Życia w Bibliotece, wśród książek, które kochała, tak blisko źródła magii, jak się tylko dało. Pod koniec tego pierwszego spotkania Richard zawarł z nią umowę. Proponował siedmioletni okres próbny, w którym ukończyłaby studia i wróciła do Meksyku. Tam zostałaby przedstawicielką Biblioteki w Ameryce Północnej, podróżowałaby po kontynencie i po namierzeniu prywatnych kolekcji – dzięki swoim znajomościom – namawiałaby ich właścicieli do sprzedaży. Zdobyte książki byłyby przekazywane Bibliotece za pomocą zestawu zaklęć, które pozwalały przepuszczać przedmioty przez taflę lustra. W ten sposób ona

i Richard pozostawaliby w kontakcie, korespondując przez lustro.

Jeśli po upływie tych siedmiu lat Richard będzie zadowolony z jej pracy, Isabel odda mu kolekcję rodziców, a on zaprosi ją do Biblioteki, zdradzi sekrety samego serca realizacji zleceń i przedstawi ofertę pracy na pełny etat.

Jako wstępny dowód lojalności wręczyła mu kodeks osłon, nie wspominając jednak, że miał on bliźniaka, który pozostał bezpiecznie zamknięty w jej mieszkaniu. Tajemnice były walutą, a Isabel zamierzała pozostać bogata.

Richard obejrzał osłony z należytą uwagą. Owszem, okazały się znacznie silniejsze niż te stosowane obecnie w Bibliotece, ale blokowały również zaklęcia luster, których używał do komunikacji ze swoimi globalnymi pracownikami, takimi jak Isabel. Mimo to wziął je, mówiąc, że może trzeba skorygować zaklęcie, żeby pozwalało na magię lustrzaną – ten komentarz rzucony od niechcienia sugerował zapierające dech w piersiach możliwości. Poprawianie zaklęć oznaczało również samo ich pisanie.

Oto wiedza, której szukała przez całe życie.

Siedem lat minęło bardzo szybko.

Isabel ukończyła Oksford i wróciła do domu, pozornie po to, aby pomagać w rodzinnej księgarni. Tak naprawdę chodziło jej o to, żeby poszerzyć listę kontaktów. Ponadto chciała mieć pewność, że książki sprzedawane przez rodziców trafiają wyłącznie do kolekcjonerów, których Isabel zna, żeby potem mogła odkupić je – lub odebrać – przy wsparciu Biblioteki. Podróżowała do Nowego Jorku, Chicago i Los Angeles. Czytała zaklęcie lustra w swoich pokojach hotelowych, żeby przepchnąć książki do miejsca, w którym nigdy nie była, a o którym nieustannie myślała. Świeca rzucająca światło na jej drogę.

I wszystko szło niemal dokładnie zgodnie z planem... aż poznała Abego.

Przyjechał do Meksyku na jej zaproszenie, kolekcjoner, z którym miała nadzieję zawrzeć umowę, jedną z wielu zawieranych w ciągu ostatnich trzech lat pracy w Bibliotece. Umowa brzmiała: wiedza Abego stanie się jej wiedzą, jego książki staną się książkami Biblioteki, a pieniądze Biblioteki zasilą jego kieszenie.

Jednak Isabel ujrzała w nim to samo, co widziała w Richardzie: pasję do książek i wiarę, że zdolność słyszenia magii jest wyższym powołaniem. Dzielili więc te same wartości. On również był oddany zachowaniu ksiąg; on również chciał je zgłębiać i chronić.

Isabel prawie zakochała się w Richardzie, jednak od tamtego spotkania w Londynie nie widziała go i nie słyszała: komunikowali się za pomocą listów wędrujących przez zakłute lustra. W obliczu solidnej, namacalnej obecności Abego i jego szczerego zainteresowania atrakcyjność Richarda stała się niewyraźna, trudna do przypomnienia sobie. Isabel i Abe zaczęli ze sobą sypiać, a kiedy okazało się, że Isabel jest w ciąży, Abe jej się oświadczył.

Odmówiła. Nie wspomniała mu wcześniej o Bibliotece i umowie z Richardem, opowiedziała o tym dopiero w tamtym momencie. Okres próbny kończył się za trzy lata i jeśli wtedy Richard zaproponuje jej pracę, jak najbardziej zamierzała ją przyjąć – niezależnie od Abego czy dziecka, którego bardzo pragnęła.

Isabel nie chciała mieć dziecka. Ale zarówno ona, jak i Abe pochodzili z magicznych rodzin i zarówno ona, jak i Abe byli w jakiś sposób zobowiązani, aby zapewnić magicznemu rodowi przetrwanie. Wspólny potomek prawie na pewno urodziłby się

z darem, z jakim oni sami przyszli na świat – ze zdolnością słyszenia magii i kontynuowania rodzinnego dzieła. To właśnie ten argument przekonał Isabel do zatrzymania dziecka.

Nie wspomniała Richardowi, że jest w ciąży, nie powiedziała mu, gdy Esther się urodziła – bała się, że zagrozi to jej szansom na uzyskanie pracy, która wciąż była jej ostatecznym celem. Uznała, że ujawni istnienie córki, dopiero jak już oficjalnie zostanie pracownicą Biblioteki, i wyobrażała sobie, jak uczy Esther wszystkiego od dzieciństwa, identycznie, jak sama się uczyła.

Abe zaś wierzył – bo chciał wierzyć – że urodzenie dziecka zmieni priorytety Isabel, że gdy tylko zobaczy buzię swojej córki, wszystkie jej marzenia o Bibliotece rozwieją się jak mgła w ciepłe macierzyńskiej miłości.

Tak się jednak nie stało.

Isabel nie miała cierpliwości do niemowlęcia, podobnie jak nie miała cierpliwości do Abego z jego nieufnością wobec Biblioteki. To, co wydawało się pokrewnymi ideałami, bardzo szybko okazało się rozbieżne w kilku niemożliwych do pogodzenia kwestiach. Wprawdzie Abe tak samo jak Isabel pragnął zajmować się książkami, ale w przeciwieństwie do niej nie planował czerpać z nich zysków i głęboko nie ufał monopolowi Biblioteki. Chciał w tajemnicy powiększać i chronić kolekcję jej rodziny oraz utrzymać księgarnię ze zwykłymi książkami jako rzeczywiste źródło dochodów.

Zanim Esther skończyła rok, romantyczny związek jej rodziców dobiegł końca i Abe, który już i tak przejął większość opieki, zabrał dziewczynkę ze sobą, gdy wyprowadzał się z ich wspólnego mieszkania. Isabel w tygodniu jeździła w delegacje, a córkę widywała w weekendy i to ona zasugerowała, żeby zatrudnić nianię: swoją przyjaciółkę, w niewielkim stopniu

powiązaną z książkami, młodą Belgijkę, która uwielbiała Esther i miała na imię Cecily.

Cała trójka zauważyła już – Isabel z niezadowoleniem i ogromnym rozczarowaniem, Abe i Cecily z pewnym niepokojem – że żadne zaklęcia na Esther nie działają. Cecily dysponowała książką, której zaklęcie wyznaczało nieprzekraczalną granicę. Pewnego wieczoru użyła jej w salonie: Esther miała siedzieć bezpiecznie na kwadracie dywanu, a Cecily w tym czasie szykowała kolację. Dziesięć minut później raczkujące dziecko dotarło do kuchni. Abe i Isabel użyli do testów kolejnych książek i odkryli, że dziewczynka jest w stanie rozbijać nietłukące się wazony i pozostaje niewzruszona wobec jakichkolwiek czarów. Cała trójka nie miała pojęcia, co o tym sądzić.

Minął kolejny rok. Matka Abego, która owdowiała ponad dekadę wcześniej, zmarła i zostawiła mu dom w Vermont. Abe i Cecily tworzyli związek, Esther miała prawie trzy lata, a Cecily była w szóstym miesiącu ciąży, kiedy siedmioletni okres próbny Isabel dobiegł końca, a Richard oficjalnie zaprosił ją do Anglii.

Dopełniło się: Isabel otrzymała to, czego wciąż pragnęła najbardziej na świecie – dostęp do Biblioteki i wszystkich jej sekretów. Nadal nieufny Abe protestował, a ona wyjechała natychmiast, tak jak zawsze go uprzedzała. Abego i Cecily nic już nie trzymało w Meksyku, więc przeprowadzili się do Vermont, do dużego starego domu u podnóża góry. Joanna urodziła się kilka miesięcy później.

Isabel skontaktowała się z nimi po kolejnych dwóch latach.

Przyleciała do Nowego Jorku w podróż służbową, gdzie bez wiedzy Richarda wynajęła samochód, odbyła ośmiogodzinną podróż i stanęła na progu domu w Vermont, gdy dziewczynki już spały. Nie chodziło o odwiedziny, pojawiła się, żeby

opowiedzieć Abemu i Cecily, czego dowiedziała się w ciągu ostatnich dwóch lat w Bibliotece. Odkryła sekret pisania książek. Wiedziała już o Skrybach.

Co więcej, poznała jednego z nich – młodego mężczyznę o imieniu John, który nie miał oka i któremu niedawno urodziło się dziecko. Chłopczyka nie mogła dotknąć żadna magia.

Tak jak Esther.

Na początku Isabel wpadła w zachwyt, że jej córka nie tylko nie jest pozbawiona magii, lecz posiada moc, której odkrywaniu Isabel poświęciła całe swoje życie. John jednak nie wydawał się szczęśliwy. Właściwie byli z żoną przygnębieni. A nawet jeszcze więcej: wyglądało na to, że się potwornie boją.

Isabel podjęła ryzyko i wyznała młodemu ojcu, że ona też jest rodzicem Skryby. Miała nadzieję, że ujawnienie własnej słabości zachęci Johna do zwierzeń, do wyjawienia źródła swojego lęku. Ryzyko się opłaciło. Powiedział jej, że Skrybowie są nie tylko najcenniejszym towarem dla Richarda, ale także jego największym zagrożeniem. Setki lat temu związał życie z księgą oraz kością swojej siostry Skryby i miał żyć tak długo, jak długo zarówno księga, jak i kość pozostaną nietknięte. Tylko dwóch Skrybów mogło zakończyć zaklęcie, a jeden z nich musiał należeć do linii krwi Richarda – tak jak John i jego syn.

Z tego właśnie powodu Richard zdecydował, że w jego najlepszym interesie jest to, aby Skrybowie nigdy się ze sobą nie zetknęli. W tym celu zlecił zaklęcie, dzięki któremu można by było ich wyszukiwać, tropić i zabić albo schwytać, a jedyny Skryba będzie pozostawał pod jego kontrolą. Zaklęcie wymagało oka dojrzałego, żyjącego Skryby. Ponieważ napisano je w połowie XIX stulecia, „dojrzałość” oznaczała lat trzynaście –

John stracił oko właśnie w tym wieku, podobnie jak Skryba przed nim. Tak więc jego syn – i córka Isabel – w najlepszym

razie mieli stracić oko i spędzić resztę życia w luksusowej niewoli, w najgorszym – umrzeć. Najpewniej wkrótce. Trzech żywych Skrybów to o dwóch za dużo.

Isabel pocieszała się tym, że zakłęcie poszukujące dało się inicjować tylko raz na dwanaście miesięcy, w rocznicę pierwszej aktywacji, i działało przez dwadzieścia cztery godziny. Ponieważ nie znalazł nowego zagrożenia w ciągu ostatnich kilku lat, Richard uspokoił się i darował sobie czytanie na początku listopada. Szukał, odkąd John pamiętał, a że nie znalazł, zaczął wierzyć, że John jest ostatnim żyjącym Skrybą. Narodziny dziecka zmieniły wszystko. W tym roku Richard planował ponownie uruchomić zakłęcie, a więc skoro John wciąż żył, a zakłęcie było aktywne, to znajdzie małą Esther.

Richard zgodził się zabrać Johna i jego żonę na wycieczkę do Szkocji, żeby kobieta mogła zobaczyć się z rodziną. John powiedział Isabel, że planują wykorzystać tę okazję i spróbować ucieczki. Dodał, że zakłęcie szukające nie zdoła ich namierzyć, jeśli każdego roku drugiego listopada on i jego rodzina będą się przemieszczać przez dwadzieścia cztery godziny. Isabel, która nigdy nie traciła czasu, opracowała własny plan. Nazajutrz po wyjeździe Richarda i Skryby do Szkocji zaaranżowała wyjazd do Nowego Jorku. Miała wrócić na dzień przed ich powrotem i wmówić Richardowi, że jej podróż i ten harmonogram były jego pomysłem.

Przed wyjazdem tyleż dyskretnie, co bezwzględnie podzieliła się z Richardem informacją o planie Johna. Musiała chronić Esther, a do tego trzeba było dezaktywować zakłęcie i... uśmiercić jednookiego Skrybę.

W Vermont wyjaśniła to wszystko Abemu i Cecily. Byli przerażeni. Przedstawiła też swój plan, zabezpieczenie aż do trzynastych urodzin dziewczynki, kiedy nieuchronnie

reaktywowane zaklęcie doprowadziłoby Richarda do Esther. Plan był następujący: wręczyła Abemu i Cecily dwie książki. Jedną z nich były osłony, takie jak te, których używano obecnie w Bibliotece, z tą różnicą, że nie zostały zmienione, więc blokowały wszelkie zaklęcia komunikacji zewnętrznej. Druga książka była połową zaklęcia dwukierunkowego lustra.

Abe i Cecily mieli zaczarować jedno ze swoich lusterek i połączyć je z lustrem Isabel w Bibliotece. Od razu po powrocie do Anglii Isabel wykradła z gabinetu księgę życia Richarda i przekazała ją do Vermont magiczną drogą. Skryba i jego żona właśnie próbowali ucieczki, więc gdy Richard wróci ze Szkocji i nie znajdzie książki, pomyśli, że to oni ją wykradli. W chwili, gdy zaklęcie życia trafi do Vermont, Abe i Cecily ustawią osłony i ukryją siebie oraz książkę na zawsze. W ten sposób, gdy pewnego dnia Richard spróbuje odnaleźć Esther, będą mieli zabezpieczenie, kartę przetargową.

Ten plan wymagał jeszcze jednego, ostatniego posunięcia.

Aby obejść zaklęcie prawdy, którego Richard po zniknięciu książki na pewno użyje do sprawdzenia wszystkich pracowników, Cecily przeczytała Isabel zaklęcie uciszające, żeby nawet pod magicznym przymusem nie mogła powiedzieć o tym, co zrobiła. Isabel z kolei odczytała to samo zaklęcie Cecily i Abemu.

Następnie, związani ciszą, rozeszli się, a Isabel Gil zniknęła na zawsze.

Pod koniec opowieści kobieta ochrypła. Collinsowi udało się nalać Cecily herbaty, Sir Kiwi ułożyła się na jej kolanach, a Joanna wpatrywała się w głęboką rysę na stole – Esther zrobiła ją widelcem, kiedy miała pięć lat, chciała wyryć swoje inicjały.

– Ale dlaczego powiedzieliście nam, że Isabel nie żyje? – zapytała. – Dlaczego pozwoliliście Esther w to wierzyć?

– Z prawnego punktu widzenia taka była prawda – odparła Cecily. – Kiedy wstąpiła do Biblioteki, Isabel porzuciła swoje dawne życie, łącznie z nazwiskiem. Sfałszowała akt zgonu. Nie chcieliśmy, aby Esther kiedykolwiek jej szukała.

– Chcieliście za to, żebyśmy się bały – wytknęła Jo.

Dłoń Cecily zatrzymała się na miękkiej sierści pomeraniana.

– Tak, ale nie bez powodu. Richard jest niezwykle groźnym człowiekiem, o czym sama się przekonałaś.

– Nie wiem, czy istnieje jakikolwiek powód, żeby straszyć dzieci – odparła dziewczyna. Jej umysł już i tak się przegrzewał, usiłując przetworzyć natłok informacji, nie chciała go obciążać wałkowaniem uczuć, więc żal, ból i gniew zepchnęła na razie na dno. Zmierzy się z nimi, kiedy w końcu wypłyną na powierzchnię.

– Jeśli księga Richarda miała być zabezpieczeniem – odezwał się Collins ze swojego miejsca na podłodze – to czemu nie użyliście jej, kiedy Maram powiedziała ci, że zakłęcie poszukujące Skryby znowu działa? Ile lat miała Esther, osiemnaście? Czemu ją odesłaliście, skoro przez cały ten czas książka była u was w domu?

– Pragnęłam to zrobić – wyznała Cecily. – Dlatego właśnie próbowałam spalić osłony. Żeby Richard dowiedział się, że ją mamy, żeby przyszedł, żebyśmy mogli zawrzeć układ i żeby Esther wróciła do domu. Jednak Abe uważał, że to się nie sprawdzi. Kiedy Isabel skontaktowała się z nami i usłyszeliśmy, że zakłęcie szukające zostało reaktywowane, powiedziała również, że książka nie ma znaczenia, ponieważ jest w zasadzie niezniszczalna i nigdy nie wyrządzimy Richardowi krzywdy. Dodała, że przez ten jeden dzień w roku Esther musi się

przemieszczać, tylko to zapewni jej bezpieczeństwo. Pamiętaj jednak, że Isabel i ja byłyśmy przyjaciółkami: wiedziałam, że kochała się w Richardzie, wtedy i później. Uznałam więc, że kłamie o książce, chce go chronić... Myślałam, że twój ojciec jest tchórzem. – Odwróciła się do Joanny. – Zamierzałam zlikwidować osłony niezależnie od Richarda, bez względu na wszystko... bo pragnęłam wydostać cię z tej pułapki, którą na ciebie zastawiliśmy.

Joanna schowała twarz w dłoniach. Nie mogła teraz patrzeć na matkę, pełną poczucia winy, udręczoną i nagle postarzałą w nikłym świetle zatłuszczonej żarówki, jakby ta rozmowa dodała jej dziesięć lat.

– Przepraszam cię, kochanie – wyduсила Cecily ściśniętym głosem. – Nie takiego życia chciałam dla ciebie i dla Esther.

Głośnie drapanie odbiło się echem w korytarzu i kuchni, wszyscy podskoczyli.

– Co to? – spytała Cecily, Sir Kiwi nastawiła uszu, a Collins zaczął wstawać z podłogi.

– Kot – domyśliła się Joanna. – Pewnie głodny. – Odeszła od stołu zadowolona z tej chwili przerwy. – Zaraz wracam.

Oddychając miarowo i próbując trzymać myśli na wodzy, odruchowo otworzyła drzwi. Do domu z podmuchem chłodnego powietrza dostał się...

Kot.

Wkroczył bez zastanowienia, przedfilował między jej nogami i nawet nie podniósł wzroku, jakby robił to setki razy. Patrzyła oniemiała, jak zwierzę idzie w stronę kuchni, i mimo tego wszystkiego, czego właśnie dowiedziała się od matki, uśmiechnęła się lekko. To musiał być znak, prawda? Znak, że wszystko będzie dobrze...

– Hej, kocie! – Usłyszała Collinsa. – Co zrobiłeś z Joanną?

– Jo? – zawołała Cecily.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie czołem, a po chwili ruszyła za kocurkiem. Siedział na podłodze, utrzymując pewien dystans wobec Collinsa, położył uszy po sobie i wpatrywał się w Sir Kiwi, która skamlała podekscytowana i wyrywała się z objęć Cecily.

– Rozumiem w takim razie, że Isabel – odezwała się Jo do matki – to znaczy Maram, chroniła Esther, tak? O to cały czas chodziło?

Cecily trzymała mocno Sir Kiwi i patrzyła na kota.

– Twój ojciec kochał Isabel do szaleństwa – powiedziała. – Chyba nawet po tym, jak się zeszliśmy, wierzył, że jednak się opamięta i wróci do niego i do Esther. A kiedy tak się nie stało... Raczej nigdy jej znowu nie zaufał, nie naprawdę. Jego zdaniem trzymała prawdę o Esther w tajemnicy przed Richardem nie tylko po to, żeby ją chronić, ale także dlatego, że dzięki temu miała nad nim władzę. Córka była kolejną kartą w talii Isabel, którą mogła wyciągnąć w odpowiednim momencie.

– Ale ty jej ufasz – stwierdził Collins, w uszach Joanny zabrzmiało to jak pytanie. – Myślisz, że jest po naszej stronie.

Cecily pokręciła głową.

– Isabel zawsze była wierna wyłącznie jednej sprawie: Bibliotece.

– Lecz to się zmieniło, prawda? – powiedziała niepewnie Joanna i dodała, tym razem mocniej: – Chce dokończyć to, co zaczęła, kiedy dała ci książkę. Chce, żeby Esther już nigdy nic nie zagrażało.

Cecily podniosła wzrok. Twarz miała bladą, mokre oczy przysłoniła powiekami.

– Nie wiem, czego chce Isabel.

Richard się nie mylił, koszmarne sny Nicholasa były wystarczająco koszmarne. Chłopak nie musiał dodawać do nich chwili, w której Esther wyrwała rękę z jego uścisku, ani widoku stężącej twarzy stryja, gdy nacisnął spust. Nie potrzebował wspomnienia tego charakterystycznego trzasku, zderzenia prochu z iglicą i gryzącego zapachu eksplozji. Nie potrzebował nigdy więcej przeżywać tego, co poczuł, gdy Esther poleciała do przodu, gdy jego własne kolana prawie się ugięły, a serce zacisnęło jak pięść, kiedy patrzył, jak dziewczyna upada.

Jak wiele koszmarów ten również nie miał sensu.

Zamiast upaść, ciało Esther leciało do przodu, tak jakby tylko skoczyła. Nicholasowi brzęczało w uszach po wystrzale, coraz głośniej i głośniej, i może to wcale nie był koszmar, tylko dobry sen, bo w powietrzu pojawiły się pszczoły, dorodne, brzęczące, wielkości naboju. Jedna z nich przeleciała tak blisko Nicholasa, że widział jej czarne odnóża oblepione pyłkiem, a ciało Esther zderzyło się z ciałem stryja.

Maram rzuciła zaklęcie na broń Richarda tak samo jak wcześniej na pistolet Collinsa. Pociski stały się zupełnie niegroźne.

Mężczyzna ryknął, gdy mocne, niskie uderzenie dziewczyny odrzuciło go do tyłu, na biurko. Dokumenty wzbity się rozproszone, jego ręce na próżno szukały zaczepienia, a on nie mógł już nic na to poradzić, już upadał, już uderzył o podłogę. Maram odskoczyła od niego, skryła się za biurkiem.

– Nicholasie! – krzyknęła. – Nicholasie, portret! Rama!

Chłopak stał wyczerpany, jego mózg nie nadążał, zmulony brakiem snu, czerwone krwinki były dalekie od regeneracji, dlatego choć Esther nie została postrzelona, jego ciało trzęsło się w szoku, jakby to się jednak stało. Ale nawet chaos ostatnich minut nie zdołał wymazać lat odruchowej reakcji na polecenia Maram – zadziałał instynktownie, bez udziału świadomości w podejmowaniu decyzji.

Skoczył do portretu. Richard odepchnął Esther i próbował się zerwać, jednak ona trzymała go za nogi i ciągnęła. Chciał ją kopnąć, lecz ścisnęła go kurczowo – znów padł na kolana. Nicholas ledwie uchylił się przed jego ręką i już był za biurkiem. Maram stała przed portretem, z jedną dłonią przy płótnie, i ponaglała go wzrokiem.

– Pokrywają go zaklęcia ochronne – wydyszała z przejęciem.
– Nie mogę go dotknąć.

Nicholas chwycił za ramę i pociągnął, ale przymocowany do ściany obraz ani drgnął. Usłyszał, jak Esther jęknęła z bólu, spojrzał przez ramię: Richard zdołał się oswobodzić i właśnie stawał na nogi. Dziewczyna opierała się na rękach i kolanach, może oszołomiona po ciosie – z rozcięcia nad jej okiem płynęła krew. To niedorzeczne, ale nawet w takiej chwili Nicholas nie mógł uwierzyć, że Richard marnuje krew Skryby. Potem usłyszał kliknięcie i poczuł w swojej dłoni zimną stal.

Maram wciskała mu swoją broń.

– Strzelaj! – rozkazała. – Przestrzel kość!

Nicholas, którego przez całe życie chronili uzbrojeni ludzie, widział już najróżniejsze pistolety, ale nigdy nie trzymał żadnego w ręku, a już tym bardziej z żadnego nie strzelał. Nie mógł jednak długo się wahać: Richard stał już za biurkiem i nachylał się do Maram, która była znacznie mniejsza od niego

i w przeciwieństwie do Esther nie miała ani lat treningu, ani siły. Mężczyzna przyciskał ją mocno do swojej piersi, jakby się przytulali, lecz on trzymał jej ręce przy bokach.

– Czemu to robisz? – W jego głosie dało się słyszeć udrękę, ale oczy po raz pierwszy wyglądały tak, jak oczy mężczyzny z portretu: zimne, niezgłębione, płonące. Nie widział pistoletu, który Nicholas opierał o poźółkłą kość udową u podstawy ramy, zaciskając palce na rękojeści.

– Przykro mi – wyjąkała Maram. – Muszę zrobić to, co będzie najlepsze dla...

– Dla kogo? – Richard pchnął ją, uderzyła głową o ścianę. – Dla Nicholasa? Dla tej dziewczyny? Przecież nie dla siebie, bo mogłaś żyć wiecznie ze mną, a jednak wybrałaś inne rozwiązanie. Dlaczego? Dla kogo?

Kobieta uniosła ręce, ale już nie walczyła. Dotykała twarzy Richarda, położyła palce na jego ustach.

– Dla księżek – powiedziała. – Dla magii i jej przyszłości.

Richard podniósł rękę, żeby znów ją uderzyć, wtedy chłopak przycisnął lufę do środka kości udowej, tam, gdzie była najcieńsza. I pociągnął za spust.

Donośny strzał zagłuszył wszelkie inne doznania, rozmył ból odrzutu w dłoni Nicholasa i przemienił Maram, Richarda i Esther w postacię w pantomimie. Bezgłośna mimika i nieme gesty: ręka Richarda spada na bok głowy Maram, kobieta przewraca się pod ciosem, Esther wstaje z podłogi. Nicholas zamrugał mocno, próbując się otrząsnąć, i popatrzył na to, co zrobił.

Poźółkła kość w ramie pękła na pół.

I chociaż w uszach dzwoniło mu od wystrzału, słyszał wycie, wysokie zawrozczenie cierpiącego zwierzęcia. Odwrócił się od

portretu i zobaczył, jak stryj potyka się o Maram, jak jedną ręką opiera się na biurku, jak próbuje się podnieść, skrwawione zęby ma obnażone w bolesnym grymasie. Maram, zgięta w pół, próbuje dojsć do siebie po niedawnym ciosie – i Esther, tuż przy nim, szarpie go za ramię. Miała rozciętą dolną wargę, płonąca twarz i splątane włosy, a jej opanowanie pękło jak kościana rama.

– Nicholas! – wydyszała. – Pospiesz się! Książka!...

Już wiedział, o co jej chodziło. Nie mógł, nie mógł spojrzeć na stryja, który obiema rękami opierał się o biurko, stał ze zwieszoną głową i ledwo trzymał się na nogach. Nicholas wyciągnął książkę z kieszeni marynarki i chwycił jedną połowę, Esther zacisnęła dłonie na drugiej.

Abe i Joanna naprawdę dbali o kolekcję. Nicholas zauważył to od razu w piwnicy – właściwa temperatura przechowywania, odpowiednia wilgotność, szklane gabloty chroniące przed kurzem, skórzane okładki... Wiedział – zarówno z doświadczenia w konserwacji książek, jak i dzięki butom, które nasączał olejem co kilka miesięcy – że zadbana skóra staje się bardzo trwała, że niezwykle trudno rozedrzeć ją gołymi rękami. Nawet okładkę z delikatnej skóry człowieka dało się garbować; odpowiednio pielęgnowana, zachowywała elastyczność, wytrzymałość i odporność na rozdarcia.

A jednak książka Richarda poddała się bez większego oporu, jakby tylko czekała, aż jej kościany odpowiednik rozpadnie się na kawałki, żeby i ona mogła zrobić to samo. Strony wypadły z grzbietu, a skórzana okładka rozdarła się tak łatwo, że Nicholasa i Esther odrzuciło do tyłu. Posypały się kartki. Oto pierwsza strona osunęła się na podłogę, a wraz z nią Richard.

Upadł na kolana i pochylił się, jego włosy przyprószone siwizną stały się popielate, a potem białe jak kość i mocno

przerzedzone. Skóra stawała się piegowata, w końcu przybrała kolor sepii i napięła się na czaszce. W nagłym odruchu współczucia, może miłości, Nicholas odsunął się od Esther i ukląkł obok stryja, choć nie na tyle blisko, żeby go dotknąć. Richard zwrócił twarz w jego stronę.

To był koszmar.

Te znajome rysy, łagodne oczy, te uśmiechnięte usta – wszystko wykrzywiała agonია, a spod niej wyzierało zdumienie tak czyste, że niemal niewinne. Twarz mężczyzny zaczęła się zapadać niczym gnijący bakłażan, skóra starzała się w oczach, marszczyła, obwisała, w końcu napięła się na żuchwie i kościach policzkowych. Oczy zaszyły łzami, potem żółcią i zapadły się w ciemnych dziurach oczodołów; wargi odsłoniły zęby, wciąż skrwawione, dziąsła puchły i wysychały, aż w ustach widać było jedynie długie żółte zęby i wysunięty fioletowy język. Richard, który wydawał z siebie odgłos tak straszliwy, jakby oddychał płucami ze szkła, wyciągnął do chłopaka szponiaste, sękate palce z połamanymi paznokciami; suche ręce wyglądały niczym gałęzie, bo ciało straciło całą wilgoć i przylgnęło do kości.

Aż wreszcie osunął się na ziemię i zastygł, z otwartymi oczami i ustami, wyschnięta mumia w pięknym garniturze.

– Wszystko w porządku? – usłyszał Nicholas słowa Esther. Dziewczyna zwracała się do Maram.

Wykręcona ręka stryja spoczywała kilka centymetrów od kolana Nicholasa, a on nie mógł przestać się w nią wpatrywać. Jak to możliwe, że należała do człowieka, który ledwie kilka sekund wcześniej wciąż żył? Czy to gniew sprawił, że w tej ostatniej chwili Richard wyciągnął do niego rękę? Chciał go uderzyć? A może chodziło o coś innego? Może to ostatnia, bezowocna próba kontaktu?

– Zrozumiałaś – powiedziała Maram do Esther. – Pociski. Miałam nadzieję, że któreś z was zrozumie. Zrozumiałaś wszystko.

– Tak – potwierdziła Esther.

Zapadła cisza. Ręka Richarda rozmywała się przed oczami Nicholasa.

– Zrozumiałaś również – mówiła dalej Maram – to, co nas... naszą... naszą relację?

Gdyby Nicholas nie był w takim szoku, pewnie by się roześmiał: nigdy nie słyszał, żeby Maram tak się zacinała, nigdy nie słyszał takiej niepewności w jej głosie. Ale on nie miał sił, żeby się ruszyć, co dopiero mówić o uśmiechu. To dziecko w nim, które szukało pocieszenia w zawsze życzliwej twarzy stryja, pragnęło chwycić poskręcaną, nieludzką dłoń, znaleźć zakłęcie, które przywróci go do życia. Żeby Richard mógł się wytłumaczyć i powiedzieć, że to wszystko nie tak, a Nicholas mógłby błagać o przebaczenie, a Richard by go udzielił.

– Opowiedz mi o tym sama – poprosiła Esther.

Maram odchrząknęła, odzyskując opanowanie.

– Cóż, jestem... To znaczy, nie uważam, abym miała prawo używać słowa „matka”, biorąc pod uwagę okoliczności, ale tak, to ja cię urodziłam.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna.

Nicholasowi zakręciło się w głowie, pociemniało mu przed oczami, ujrzał przed sobą tunel – i już się przed nim nie bronił. Oparł głowę na kolanach; wydawało mu się, że poczuł, jak opuszki martwych palców Richarda muskają, niemal pieścą jego włosy, i na chwilę poddał się tej iluzji. Ale wtedy żywa dłoń Esther dotknęła jego ramienia, jej ciepło i materialność

odepchnęły złudne wizje i Nicholas pojął, z żalem i triumfem, że to wszystko działa się naprawdę.

Stąd chmury wyglądały inaczej. Wznosiły się i opadały niczym pasmo górskie, doliny purpurowe od niezamarzniętej wody, szczyty płonące bielą i różem w ostatnich rozbłyskach wieczornego słońca. Miejscami pagórki i wzniesienia rozmywały się na krawędziach, unosiły w niebieskie niebo niczym dym; znikало wrażenie stabilnego gruntu, na którym samolot mógłby bezpiecznie wylądować.

Esther dotknęła dłoni Joanny na podłokietniku pomiędzy nimi.

– Jo? – Ton głosu sugerował, że zwraca się do siostry po raz kolejny.

– Mm? – Joanna nadal przyciskała czoło do okna.

– Pytałam, czy chcesz się czegoś napić.

Joanna w końcu się odwróciła. Plamki światła tańczyły przed oczami, a wewnątrz samolotu wydawało się ciasne i ponure w porównaniu z tamtą bezkresną przestrzenią. Patrzyły na nią Esther i stewardesa. Starsza siostra trzymała przed sobą szklanekę z nieprzezroczystym gazowanym płynem.

– Kawy – powiedziała do Esther, a gdy siostra wskazała na stewardesę, zwróciła się do niej. – Poproszę kawę. Z mlekiem.

Kobieta podała jej kubeczek i pchnęła wózek dalej. Joanna wzięła łyk.

– Blee... Obrzydliwa.

– Tak? – Esther dotknęła dołeczka Joanny. – To czemu tak promieniejesz?

Jo odepchnęła jej rękę, wciąż się uśmiechając.

– Dowiedziałam się właśnie, że lubię latać.

– Dowiedziałam się właśnie, że ja też, jak lecę pierwszą klasą.

– Usatysfakcjonowana wyprostowała nogi. – Nie mów o tym Nicholasowi.

Esther nie życzyła sobie, żeby Biblioteka opłacała jej cokolwiek, a już tym bardziej nie luksusowe bilety. Upierała się, że jest to, dosłownie, krwawa forsa. Nicholas jednak w końcu ją przekonał. Kazał jej policzyć zera na różnych wyciągach bankowych, które Maram mu przekazała. Konta zostały przeniesione kilka dni po tym, jak zniszczyli książkę Richarda, kiedy doktor Ebly dawno już nie było.

Zniknęła w ciągu trzydziestu minut. Nicholas w tym czasie wrócił z Esther do Vermont tuż po śmierci stryja – gdzie zrozumiał, że nie powinien zostawiać Maram samej w Bibliotece. Przeraził się, że kobieta zakończy zakłęcie lustra i przerwie połączenie między dwoma domami, przez co zostanie uwięziony w Vermont. A jednak zostawiła zakłęcie nienaruszone. Nicholas bez problemu wrócił przez lustro. Na łóżku w pustym pokoju Maram znalazł beżową kopertę.

W środku, między innymi, był list. Dokładnie tak tajemniczy, jak Jo mogła się spodziewać po matce swojej siostry.

Drodzy Nicholasie i Esther!

Zawsze chciałam jak najlepiej dla Biblioteki. Na swój sposób zawsze chciałam również jak najlepiej dla was. Zrozumiałam już, że zawiodłam na obu polach. Czemu zatem powinnam się poświęcić? Chcę się tego dowiedzieć. Tyle rzeczy można się jeszcze dowiedzieć. O wszystkim.

W kopercie znajdowały się dokumenty niezbędne Nicholasowi jako nowemu faktycznemu szefowi Biblioteki: akt własności domu, informacje o kontaktach, obecnie już na nazwisko Nicholasa, wskazówki, gdzie znaleźć informacje o ubezpieczeniu zdrowotnym pracowników i tak dalej. Chłopak przejrzał kolekcję: Maram zabrała ze sobą kilka książek, w tym czar niewidzialności, zaklęcie pozwalające przechodzić przez ściany i to zmieniające pociski w pszczoły. Mogliby ją namierzyć – gdyby data ważności nie kończyła się wraz z życiem Richarda. Teraz było to niemożliwe. Wiedzieli przecież, jak łatwo umiała zdobyć fałszywy paszport.

– Jeszcze raz dziękuję, że ze mną lecisz – powiedziała Joanna, rozrywając papierową saszetkę i wsypując cukier do słabej kawy. – Biorąc pod uwagę... No wiesz.

Biorąc pod uwagę, że siostra nie potrzebowała samolotu, aby się dostać do Anglii.

– Pewnie, że lecę – odparła Esther. – Nie ma mowy, żebyś podróżowała sama za pierwszym razem.

Od czasu, gdy dwoje Skrybów wróciło do Vermont przez lustro kilka miesięcy temu, i Nicholas, i Esther nieustannie wędrowali między kontynentami, a dawna sypialnia Esther – potem rupieciarnia – stała się przedłużeniem Biblioteki.

„Oddział terenowy”, jak wyraził się niedawno Nicholas, patrząc na książki starannie ustawione na regałach, na biurko, które Collins z Joanną wnieśli po schodach, na nowy osuszacz szumiący w kącie.

Przez ostatnie tygodnie Nicholas w pocie czoła tworzył zaklęcie, które Joanna miała przeczytać, gdy już pokona drogę przez ocean, i które pomogła mu napisać.

Podczas pracy wyskakiwał z lustra i wołał, żeby podeszła i spojrzała na jakieś zdanie. Albo pytał, co ona sądzi o użyciu

mniszka lekarskiego zamiast żywokostu. Kiedy po raz pierwszy poprosił ją o radę, podejrzewała, że próbuje ją w ten sposób zaangażować, bo utknęła po jednej stronie lustra, choć on i Esther jednym krokiem przemierzali Atlantyck.

Ale gdy użyła nowego smartfona i porozmawiała o tym z Collinsem, on dobrze ją rozumiał, bo prawa fizyki na niego też nakładały konkretne ograniczenia – rozwiały się jej obawy.

– Nicholas jest na to za słabo uspołeczniony. Skoro prosi cię o pomoc, to dlatego, że potrzebuje twojej pomocy, a nie dlatego, żeby ci poprawić samopoczucie.

Im częściej dzieliła się z Nicholasem swoją opinią, tym częściej Nicholas o nią prosił, aż w końcu całkowicie przeniósł się z pisaniem zaklęć do Vermont.

Joannę bardzo to cieszyło, zwłaszcza że dzięki temu Esther również częściej siedziała w domu. Wierciła się na krześle, krążyła po pokoju, gdy Nicholas opowiadał o tym, co on albo Joanna zmieniali w szkicu. Anglik wprawdzie uczył Esther, jak pisać magię, lecz od razu przyznał, że tak trudne zaklęcie, jak to, którego właśnie próbowali, nie byłoby najlepsze na początek.

– Jak tylko je skończymy, zaczniemy regularne zajęcia – powiedział, a w jego głosie pojawiła się gorycz. – Zajęcia, które zaprojektowała ekspertka.

Bardzo źle przyjął zniknięcie Maram. O wiele ciężiej niż Esther, choć ona rzadko ujawniała swoje uczucia.

– Pewnie, że niejednego chętnie bym się dowiedziała – stwierdziła Esther. – Ale nie wiem, czy chcę się przymilać do kogoś, kto większość dorosłego życia spędził jako przerażająca przyjaciółka diabła.

– Dla ciebie doktor Przyjaciółka Diabła – spróbował zażartować Skryba, co wypadło raczej słabo.

Cóż, nic dziwnego, że Nicholasowi było znacznie ciężej. Niezależnie od więzów krwi traktował Maram jako rodzinę – jedyną, jaka mu pozostała po Richardzie. A stracił ją tej samej nocy, w której stryj odszedł na zawsze. Próbował ukrywać ból i nie ukrywał gniewu. Zresztą powściągliwość Esther wynikała częściowo z ostatniej rzeczy, jaką znaleźli w kopercie: małego lusterka ręcznego, znaczonego krwią.

– Najwyraźniej planuje być w kontakcie – skomentowała Esther. – Musimy tylko uzbroić się w cierpliwość.

– Cierpliwość nie należy do cnót, które kultywuję – rzekł młody elegant, poprawiając włosy w lusterku.

– Całą uwagę poświęca skromności – skomentował Collins.

Dopiero kilka dni później Esther powiedziała Joannie, że zanim wróciła przez lustro, rozmawiała w cztery oczy z Maram – z Isabel?; nie wiedzieli, jak o niej myśleć. Przez całe życie dręczyły ją pytania i prawie wszystkie wyleciały jej z głowy, gdy Maram popatrzyła wyczekująco, unosząc brew.

– Śmiało – zachęciła. – Pytaj.

– Powieść. – To pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy. – Powieść Alejandry Gil. Dlaczego była dla ciebie taka ważna?

Kobieta wyglądała na zaskoczoną, jakby nie tego się spodziewała.

– Napisała ją moja babcia – oznajmiła i dodała po chwili: – Twoja prababcia. Była pisarką... Przypuszczam, że jako Skryba też na swój sposób nią jesteś. Pisanie masz we krwi, tak jak magię. Ale najbardziej chodziło o tytuł. Kiedy byłam mała, zrobił na mnie wielkie wrażenie. Zawsze myślałam, że jako

palindrom sugeruje, że to same kroki tworzą ścieżkę, a nie odwrotnie. Tworzymy, nawet jeśli myślimy, że podążamy.

Esther odsunęła sweter i odsłoniła kilka pierwszych słów wypisanych na swojej skórze. I widziała chwilę, w której do Maram dociera, co tam jest napisane. Po raz pierwszy na jej twarzy pojawiły się autentyczne emocje, a usta zadrżały.

– Podoba mi się. – Skinęła głową.

– Jak nazywała się księgarnia twoich rodziców? – zapytała Esther.

Maram dotknęła kołnierzyka jedwabnej bluzki. Patrzyła teraz w dal, jakby widziała łódź, która odpływa od brzegu.

– „Los Libros de Luz Azul”.

Esther powtórzyła te słowa w myślach, przetłumaczyła. Książki niebieskiego światła.

– Luz Azul. – Uśmiechnęła się.

Kobieta, której przybrane imię dało się czytać w lustrze, również się uśmiechnęła.

– Nasza rodzina kochała palindromy. Wiesz, stara magia.

– Co się stało z księgarnią? – Dziewczyna odrzuciła dumę i się przyznała: – Szukałam jej.

– Wciąż tam jest, choć nieco odmieniona. Pewnego dnia opowiem ci tę historię.

Esther przyjęła obietnicę.

– Ostatnie pytanie – powiedziała. – Jak na razie.

– Słucham.

– Myślałaś, że o co cię zapytam?

– Och. – Patrzyła teraz z uwagą na twarz córki, może też szukając podobieństw, tak samo jak szukała ich Esther, gdy

ujrzała ją tutaj, w gabinecie. – Myślałam, że zapytasz, czy żałuję tego, co zrobiłam.

Co konkretnie miała na myśli? Czy żałuje, że zostawiła swoją córkę lata temu, czy tego, że ostatecznie zdradziła Bibliotekę, dla której zostawiła dziecko? Łyknęła tę przynętę i zapytała:

– A żałujesz?

Kobieta wyciągnęła rękę, położyła ją na dłoni dziewczyny. To był dziwny kontakt, ale intymny nawet w tej dziwności. Esther zadrżała.

– Jeszcze nie wiem – odparła Maram i wtedy Nicholas wrócił do pokoju.

To Collins odebrał obie siostry z Heathrow. Wielki czarny lexus z przyciemnianymi oknami miał opuszczoną szybę mimo chłodu. Joanna zobaczyła profil kierowcy i z nerwów skręcił jej się żołądek.

Nie mieli okazji porozmawiać od czasu pocałunku na ganku ponad dwa miesiące temu. A raczej: porozmawiać o samym pocałunku. Poruszali wiele innych tematów, robili ustalenia logistyczne i omawiali sprawy osobiste, przez telefon i poprzez wiadomości, raz nawet mieli czat wideo, w którym Joanna nie mogła uruchomić dźwięku. Collins wyjechał kilka dni po powrocie Skrybów przez lustro. Najpierw zwrócił samochód w Bostonie i opowiedział o wszystkim przyjaciołom i siostrze, a potem poleciał do Biblioteki. Musiał przejąć stawianie osłon i otworzyć, z jednej strony, zakłęcie luster. Zawierało krew jego i Joanny, nie musieli dłużej polegać na lustrze Maram i Cecily. Poza tym Nicholas nie miał pojęcia, jak zarządzać ogromną machiną rezydencji i pod jego nieudolnym przywództwem już zaczęły się zgrzyty. W przeciwieństwie do Collinsa innych pracowników Biblioteki zatrudniono mniej lub bardziej

legalnie, dlatego ze zrozumiałym przerażeniem przyjęli wspaniałomyślne obwieszczenie nowego gospodarza, że oto wszyscy są wolni i mogą odejść.

– To nie są twoi słudzy, ty przygłupku – grzmiał Collins. – To twoi opłacani pracownicy, którzy właśnie myślą, że ich zwolniłeś. Poza tym co zamierzałeś zrobić, sam sobie gotować? A może odkurzać żyrandole? Ha!

Collins, nieco skrępowany, zaprosił Joannę, żeby jechała z nim, ale odmówiła. Nie była jeszcze gotowa, nie chciała na razie zostawiać domu i wspomnień o ojcu. Wciąż je czuła jak dłoń na ramieniu, czasem ją pokrzepiały, czasem mocno trzymały w miejscu. Nicholas zdecydował, że on na razie utrzyma osłony w Bibliotece. Joanna nie ustawiła swoich od czasu, kiedy Collins je wykradł, zawinął w plastikową torbę i wepchnął do wilgotnej dziupli. Nie użyła ich, mimo że je oddał. Bez tej ochrony czuła się bardzo niezabezpieczona, jakby nie zamknęła drzwi na noc, ale wciąż myślała o tym, co Collins powiedział o odchyleniu kotary, o wpadającym świetle.

Rzecz jasna Cecily była wniebowzięta. Rozpłakała się, gdy Esther wróciła przez lustro, i nie przestawała płakać przez kilka dni. Z początku dziewczyna zachowała spokój, jak zawsze: na widok Cecily w swojej starej sypialni rzuciła „Cześć, mamó” neutralnym głosem, jakby witała matkę po kilku minutach, a nie latach nieobecności. Dopiero gdy Cecily ją przytuliła, coś w Esther pękło. Straciła resztki opanowania i zaczęła szlochać w ramię matki.

– Moja mała dziewczynka – powtarzała stęskniona kobieta i gładziła jej kręcone włosy. – Już dobrze. Już dobrze. Jesteś w domu.

– Okłamaliście mnie! – szlochała Esther. – Wszyscy mnie okłamali...

– Tak – wymruczała Cecily uspokajająco. – Kłamaliśmy. Ogromnie mi przykro...

– Nigdy więcej mnie nie okłamuj!

– Nie okłamię cię. Nigdy. Obiecuję.

I chociaż Cecily prawie ciągle płakała, była tak szczęśliwa, że ma obie córki w jednym miejscu, że ścisnęła Nicholasa i Collinsa za każdym razem, gdy ich widziała. Cieszyła się nie tylko obecnością Esther, ale także tym, że może zajechać pod dom w każdej chwili, z Gretchen wystawiającą przez okno kudłaty łeb, z pudełkami lazanii, sałatkami, curry i tym wszystkim, czym pragnęła nakarmić córki przez ostatnią dekadę. Kiedy po raz kolejny Esther zamknęła drzwi i położyła się spać, a obudziła się, gdy Cecily głaskała ją po włosach, zaproponowała, żeby wszyscy porozmawiali o granicach – „tych psychologicznych”. Ale jeszcze tego nie zrobili.

Cecily miała zostać w domu przez dwa tygodnie nieobecności Joanny i karmić kota. Kiedy w końcu zdecydował się wejść, zachowywał się tak, jakby mieszkał tu całe życie, i nie było kąta, którego by jeszcze nie spenetrował. Jakiś czas Joanna wykręcała się, że właśnie ze względu na futrzaka nie może odwiedzić Biblioteki, ale nawet ona wiedziała, że to wymówka.

Tak naprawdę się bała.

W sumie nigdy przecież nigdzie nie była i nigdy właściwie nie robiła nic poza opieką nad książkami, nigdy nie znała nikogo poza swoją rodziną. Nigdy też nie pozwoliła, żeby ludzie ją poznali. Nie wiedziała teraz, czy potrafi.

A jednak przyleciała tutaj. Do Anglii. Próbowwała.

Esther też zauważyła lexusa, a ponieważ widok wielkoluda jej nie stresował, to krzyknęła od razu: „Collins!” i pomachała do niego tak, jakby kierowała ruchem. Joanna miała na sobie to, co

zwykle: czarne džinsy i czerwony wełniany kubrak. Pozwoliła tylko, żeby matka podcięła jej włosy. A jednak martwiła się, że będzie wyglądać inaczej niż tamtego wieczoru na ganku. Że będzie wyglądać inaczej w oczach tego mężczyzny.

On nie wyglądał tak samo. Wyglądał lepiej.

Podniósł głowę po okrzyku Esther i otworzył drzwi samochodu, a sekundę później Joanna znalazła się w uścisku tak mocnym, że musiała poklepać osiłka po plecach, żeby ją puścić.

– Collins, daj jej odetchnąć! – zawołała Esther.

– Sorki, sorki. – Odsunął Joannę i trzymał na wyciągnięcie ręki, żeby popatrzeć na nią, ciesząc się jak wariat, zanim przyciągnął ją z powrotem.

Ona też się cieszyła, kryjąc uśmiech w materiale jego czarnej kurtki. Wylał na siebie słodko pachnącą wodę kolońską, od której drapało ją w gardle, choć nie przeszkadzało jej to ani trochę. Zanim ją puścił, miejsce niepokoju zajęło podekscytowanie.

Przytulił też Esther, która sięgała mu do pachy i prawie zniknęła w jego uścisku – widać było wyłącznie jej nogi. Potem zgarnął je obie do samochodu.

– Nie macie bagażu, zgadza się? – spytał, a one pokręciły głowami. Joanna „nadała” swoją walizkę przez lustro, więc wzięła ze sobą jedynie mały skórzany plecak, kupiony lata temu na wyprzedży.

Wiedziała, że ruch tutaj jest lewostronny, ale i tak dziwnie się czuła, gdy usiadła na miejsce, które zazwyczaj jest dla kierowcy, i widziała Collinsa jako szofera po swojej prawej stronie. Nerwowo dotknęła deski rozdzielczej, gdy wyjechał na pas ruchu Heathrow.

– Ładny wóz – odezwała się Esther z tyłu. Siedziała na brzegu środkowego siedzenia, praktycznie pomiędzy kierowcą a siostrą.

– Zapnij pasy – polecił Collins. – Będziemy jechać jakieś półtorej godziny. – Wciąż uśmiechnięty, energicznie włączył kierunkowskaz. – Witamy w naszej Starej Dobrej Anglii. Jak twoja pierwsza podróż samolotem?

– Bardzo przyjemnie – odparła Joanna. – Bez przerwy przynosili przekąski. Masz, wzięłam dla ciebie. – Uśmiechnęła się i wyjęła z plecaka zapakowane w folię brownie.

– Pierwsza klasa to jakieś szaleństwo – mówiła Esther, gdy Collins rozrywał opakowanie zębami i wypluł kawałek folii. – Siedzenia są... – Urwała nagle.

Jo odwróciła się i zobaczyła, że siostra wpatruje się w smartfona z martwą twarzą i kuli się, jak przed ciosem. Spięła się odruchowo.

– Co jest? – rzucił Collins, patrząc to na autostradę, to na Esther w lusterku wstecznym.

– Dzwoniła Pearl – oznajmiła Esther.

Joanna odetchnęła.

– To źle?

– Jeszcze nie wiem.

– Zostawiła wiadomość?

– Nie. – Dziewczyna przyłożyła dłoń do szyi i zamknęła oczy.
– To znaczy, że przeczytała książkę.

Esther przez wiele dni nie mogła się zdecydować, którą z książek wysłać do bazy badawczej, żeby dać Pearl dowód na istnienie magii. Musiała być romantyczna, lecz bez tandety; niesamowita, lecz nie niepokojąca; piękna, ale nie przerażająca.

W końcu zdecydowała się na tę, którą podsunął jej Nicholas: każda roślina w pobliżu czytającego zaklęcie wypuszczała grona złotych owoców, które dzwoniły jak dzwoneczki. Opatrzyła tom szczegółową instrukcją. Pearl miała iść do szklarni, nakłuć palec i czytać do końca. Aż uwierzy.

Joanna wiedziała, że chodziło nie tylko o wiarę w magię.

Telefon w dłoni Esther zaczął dzwonić; wszyscy w samochodzie drgnęli.

– O mój Boże – wychrypiała Esther szara na twarzy. – To Pearl. Połączenie wideo. Co robić?

Collins włączył radio i rzucił do tyłu kabel z konsoli.

– Daj ją na głośnik!

– Odwal się. – Odrzuciła mu kabel, usiadła prosto, poruszyła ramionami i rozpuściła włosy. – Jak wyglądam?

– Magicznie – oceniła Joanna.

Esther przesunęła kciukiem po ekranie smartfona.

– Halo?

Nie pojawił się żaden dźwięk poza szmerem opon na autostradzie. Joanna zaczęła się niepokoić... aż ze słabego głośnika telefonu dobiegł do nich brzęk dzwoneczków. Esther zakryła usta dłonią, jej oczy wypełniły się łzami.

– To kompletne szaleństwo – rozbrzmiał kobiecy głos. – Mam tutaj pomidory, które dzwonią.

– To Australijka? – spytał głośno Collins.

Esther otarła oczy i gapiła się w swój telefon.

– W końcu przestanę – powiedziała. – Och, Boże, Pearl. Tak się cieszę, że cię widzę!

– To nie rekompensuje porzucenia mnie na Antarktyce z amnezją i złamaną ręką – zastrzegła Pearl. – Ale to naprawdę

porządny krok naprzód.

– Jaki będzie następny? – spytała Esther.

– Dwadzieścia cztery godziny osobistych wyjaśnień i zaklęcie, które uczyni ze mnie pianistkę na poziomie koncertowym.

Esther uniosła brew i spojrzała na Joannę, ta pokręciła głową.

– Nie mamy jeszcze czegoś takiego – powiedziała Esther – ale popracuję nad tym.

– Czekał, gdzie jesteś? Masz kogoś obok siebie?

– Jestem w Anglii, w samochodzie ze swoją siostrą.

Collins prychnął urażony, pałaszując brownie.

– Pokaż! – zawołała Pearl.

Esther odwróciła komórkę i Joanna znalazła się twarzą w twarz z ładną, zalaną łzami blondynką w ogrodniczkach. Niepewnie pomachała jej ręką.

– Ooo, wyglądasz jak Esther! – zawołała z zachwytem nieznajoma.

– Dziękuję!

Esther odwróciła telefon z powrotem i powiedziała:

– Wyłączam wideo, dobrze? – Dźwięk dzwonek zniknął. Esther przysunęła telefon do ucha, skuliła się w rogu siedzenia, jakby miało jej to zapewnić więcej prywatności, i wyszeptała: – Tak za tobą tęskniłam...

Collins taktownie włączył radio; ciepła wiolonczela wypełniła samochód. Esther mamrotała coś do Pearl.

– W porządku? – zwrócił się do Joanny. – Jak chcesz, możesz znaleźć stację pop. Zdaje się, że lubisz?

– Myślę, że moje popowe upodobania są trochę przestarzałe – stwierdziła Joanna. – To brzmi przyjemnie.

– Londyn obejrzymy jeszcze w tym tygodniu. – Collins machnął ręką mniej więcej w kierunku miasta. – Nicholas zaplanował wam całą trasę: Tower of London, Muzeum Soane’a, opactwo westminsterskie oraz kilka dziwnych, nawiedzonych miejsc, które jego zdaniem powinny wam przypaść do gustu. I może, no nie wiem, zjedlibyśmy kolację? To znaczy, moglibyśmy wyjść na kolację. To znaczy, pójść gdzieś razem na kolację. Ty i ja. Jeśli będziesz chciała.

– Tak, chętnie. – Skinęła głową. Poczwała, jak musuje w niej śmiech, nie broniła się przed tym i po prostu się roześmiała.

Collins rozluźnił dłonie na kierownicy.

– Nicholas dał mi kartę kredytową i zaproponował, żebym zabrał cię w jakieś naprawdę *fancy* miejsce.

– To nie musi być nic przekombinowanego.

– Nie musi, ale może. Poza tym, po tej stronie wielkiej kałuży „fancy miejsce” oznacza, że ktoś ci się podoba. – Zerknął spod oka. – Ale to pewnie już wiesz ze swoich romansów?

– Tak – potwierdziła. – Ale nie wszystkiego dowiesz się z książek.

Jechali przez pola pobielone śniegiem, gdzieniegdzie pały się rude krowy. W sumie krajobraz nie różnił się tak bardzo od pejzaży Vermont, było tylko znacznie mniej drzew i brakowało gór. Po jakimś czasie Collins zatrzymał samochód na pustej drodze. Jo rozejrzała się zdezorientowana. Zimowe pola ciągnęły się jak okiem sięgnąć, monotonii ziemi i nieba nie naruszał ani jeden dom. Przed nimi biegła hen wiejska droga, znikająca za odległym wzgórzem.

– Gotowa? – zapytał Collins. – Dodamy twoją krew do osłon, jak tylko dotrzemy do domu, żebyś nie musiała znowu przez to

przechodzić.

Już zrozumiała.

– Jesteśmy na miejscu?

– Tak, na granicy osłon. Kilka metrów od podjazdu.

Zmrużyła oczy, patrząc w punkt, który jej pokazywał, ale widziała tylko trawę, śnieg i krzaki. Im bardziej próbowała się skupić, tym mniej mogła dostrzec, jakby ktoś smarował jej oczy wazeliną, a w głowie zaczęło głucho szumieć. Po raz pierwszy znalazła się pod wpływem działania osłon.

– Widzisz dom? – zapytała siostrę, chociaż znała odpowiedź. Esther skinęła głową.

– Przejadę szybko. – Collins skręcił w lewo, w żywopłot.

Joanna przygotowała się na zderzenie, ale nic takiego nie nastąpiło. Poczowała za to ucisk w żołądku i rozsadzające mózg mdłości, jakby głowa zamieniła się miejscem ze stopami. Narządy przemieszczały się pod skórą, serce wędrowało w stronę nerek, płuca się rozłączyły i zsuwały po ramionach. Wszystko było ciemne i mokre, jak gdyby oczy obróciły się w oczodołach. Usłyszała jęk, zwierzęcy odgłos. Wydobywał się z jej gardła, które z trudem mogła uznać za własne. Paliło żółcią, gdy wymiotowała, na próżno próbując się odnaleźć we własnym ciele, gdy świat obracał się i ślizgał wokół niej.

Chaos ustał tak samo nagle, jak się zaczął, i Joanna znów była sobą. Siedziała zgięta wpół, podtrzymywana pasem bezpieczeństwa, głowę miała nad kolanami, ślinę na brodzie i włosy w oczach. Esther trzymała ją za ramię.

– Co to było – wykrztusiła Jo. Przesunęła po ustach grzbietem dłoni, dała sobie odgarnąć włosy z twarzy. Miała nadzieję, że Collins na nią nie patrzy.

– No i po wszystkim. – Esther położyła chłodną dłoń na czole siostry. – Już jesteśmy. W porządku?

Joanna przełknęła ślinę i sprawdziła, jak się teraz czuje. Mdłości ustąpiły.

– Nie chciałabym nigdy więcej tego przeżywać – wymamrotała i odpięła pas; spojrzała przez przednią szybę.

Byli chyba w garażu – pozbawionym okien, przyciemnionym i betonowym. Przy ścianie stał drugi czarny lexus, identyczny jak ten, w którym siedzieli. Collins zdążył wysiąść i właśnie otwierał drzwi od strony pasażera. Podał jej rękę, przyjęła ją, bo czuła się roztrzęsiona.

Przejście z garażu było tak mroczne i zatęchłe, że Joanna ucieszyła się, gdy Collins wreszcie wprowadził je do ogromnego, lśniącego pokoju z białą marmurową podłogą. W oknach ujrzała krajobraz, przez który przejeżdżali – pola i wzgórza, żywopłoty jak ściegi na kołdrze, niebieskie niebo. W oddali widać było nieruchomy, bury staw i starą szklarnię, z rozbitym szkłem i płataniną martwych winorośli.

Stukot małych pazurków zaanonsował Sir Kiwi, a kilka kroków za nią szedł Nicholas – w bardzo niebieskich butach i bardzo wyprasowanych spodniach. Chociaż Joanna widziała go zaledwie wczoraj we własnym domu, tutaj, w wielkiej rezydencji poczuła się nagle onieśmielona. Skrzyżowała ręce na piersi, gdy do nich podszedł. Jego uśmiech zastąpiła nagła niepewność, jakby rezerwa Joanny była zaraźliwa.

– Dzień dobry – przemówił oficjalnie. – Przyjechałaś.

– Przyjechałam – odparła. – Dziękuję za zaproszenie.

Ostrożnie wyciągnął rękę. Wydawało się, że chciał klepnąć dziewczynę po ramieniu, ale zmienił zdanie i mocno ją objął. Po chwili odwzajemniła uścisk, trochę nieporadna i ogromnie

ucieszona. Poza Collinsem nigdy nie przytulał jej nikt spoza rodziny. A już na pewno nikt nie pachniał tak, jak drogi dom towarowy.

– Masz bardzo miękki sweter – wymruczała.

– Wiem. – Uśmiechnął się szeroko. – Nie do wiary, że tu jesteś! Pierwszy raz leciałaś samolotem! Jak było? Chodź, zaprowadzę cię tam, gdzie zaniósłem twoje rzeczy. Esther nalegała, żebyście mieszkały w jednym pokoju, boi się ciemno...

– Nie ciemności, tylko tego wielkiego nawiedzonego domu morderstw, dziękuję ci bar...

– Ale jeśli chcesz mieć własną przestrzeń – ciągnął niezrażony gospodarz – to nie widzę problemu, mów śmiało. Głodne? Coś do picia? Kolacja za godzinę, ale moglibyśmy się napić czegoś w zimowym salonie...

– Nicholas – wtrącił się Collins.

– Co? Lepiej będzie w pokoju śniadaniowym?

– Nie, wyluzuj. Pozwól dziewczynom usiąść na chwilę, zanim je zagadasz na śmierć.

– Jeszcze nigdy nie miałem gości – wyznał chłopak. – Przepraszam, trochę się stresuję. To jest oczywiście sala balowa, tam znajduje się salon zimowy. Kuchnię do tworzenia atramentu mamy po prawej stronie, kuchnię dla personelu dalej w tym korytarzu. Na was czeka apartament na górze, we wschodnim skrzydle.

Joannę rozboleła szyja od rozglądania się i kręcenia głową; nawet sufity prezentowały się niesamowicie: wysokie, rzeźbione, pozłacane. Na lśniących kamiennych podłogach prawie nie było słychać ich kroków, dopiero na krętych schodach odbijały się słabym echem. Pojawił się też inny dźwięk: bezmierne, nasilające się brzęczenie.

Joanna zwolniła, została w tyle i spojrzała w stronę, z której przyszli. Książki w Bibliotece znajdowały się pod nią, czuła je tak wyraźnie, jak własne ręce. Jakby stała nad ogromnym ulem, miodowe wibracje powoli ją opływały, wszystkie zmysły muskał gorący wiatr... Jo zamknęła oczy.

– Przyzwyczajasz się – usłyszała obok głos Collinsa. Stał tuż przy niej i czekał. – Jeśli cię to przytłacza, możesz spać na ostatnim piętrze.

– Nie – odparła szybko, bo nie czuła w tym nic złego, to działało niemal kojąco, niczym dotyk ciepłych palców we włosach. – Ale chcę je zobaczyć.

– Teraz?

Przytaknęła. Nicholas, który czekał w głębi korytarza, wrócił do nich szybko.

– Na dole – powiedział.

Nie musiał tego mówić, nie musiał jej prowadzić przez marmurowy hol i długi korytarz wyłożony błękitnym dywanem, z obrazami olejnymi na ścianie, aż do wielkich metalowych drzwi. Trafiłaby tutaj z zawiązanymi oczami, wystarczyło podążać za oceanem dźwięków. Gdy chłopak otworzył drzwi i zaszumiały tryby, kiedy gestem zaprosił ją do środka, weszła bez wahania.

I znalazła się we śnie. Światła zapalały się, towarzysząc jej krokom. Rozbłysnął kryształowy żyrandol, ukazując ozdobny sufit i zwieńczone łukami ściany, ciężkie kotary, dywan z bogatymi wzorami, ciemne połyskliwe drewno, fotele z aksamitnym obiciem, lśniący brąz. I książki. Książki na każdej ścianie, w strzelistych, przeszklonych szafach. Kręte labirynty regałów. Książki spoglądały na nią z każdej strony, za szklanymi drzwiami, na stojakach, starannie obłożone, wyeksponowane i opisane.

Joanna pomyślała o swojej piwnicy i dumie, z jaką zawsze dbała o ich rodową skromną kolekcję, odkurzając strony, zapamiętując słowa, cały czas wierząc, że ona i Abe są wyjątkowi w swoim przeznaczeniu, wybrani do tej izolacji. Ojciec wiedział o istnieniu Biblioteki, a jednak utrwał w córce te przekonania. Czy chodziło o jej bezpieczeństwo, o to, żeby nie zostawiła kolekcji, czy o jedno i drugie? Tego już się nigdy nie dowie. Esther podeszła do niej i po cichu spytała:

– Myślisz o tacie?

Jo odwróciła się do siostry ze ściśniętym gardłem. Przytaknęła.

– Skąd wiedziałaś?

– Ja też o nim myślę, kiedy tu jestem.

O wielu sprawach Joanna już nigdy nie porozmawia z Abem – o wielu nadal ma szansę pomówić z siostrą. Ta świadomość wciąż wydawała się cudem, nawet po tych paru miesiącach, które upłynęły od czasu powrotu Esther. Tyle rzeczy pozostało niewypowiedziane, tylu rzeczy o sobie nie wiedziały – i tak wiele czasu miały na to, żeby się dowiedzieć. Przytuliła się do ramienia siostry. Mocne i ciepłe, przynosiło oparcie.

– Co z tym wszystkim zrobisz? – zwróciła się do Nicholasa.

– To kwestia, nad którą obecnie dyskutujemy – odparł, na co Esther prychnęła. – To największa skoncentrowana baza wiedzy magicznej na świecie – kontynuował, rzucając dziewczynie ostre spojrzenie – i uważam, że spoczywa na nas odpowiedzialność, aby zapewnić jej właściwą archiwizację i konserwację. Dysponuję mnóstwem pieniędzy, zatrudniam całe zastępy personelu, a dom jest wystarczająco ogromny, żeby pomieścić milion gości...

– Dokładnie dwadzieścia pięć osób – uściślił Collins. – Góra trzydzieści.

– ...dlatego pomyślałem o, no nie wiem, może... szkole?

– Ponieważ szkoły z internatem mają tak szlachetną tradycję – zauważyła Esther. – Wcale nie opiera się na kolonializmie i asymilacji.

– Esther chce, żebyśmy spakowali każdy tom i wysłali go do kraju, z którego on pochodzi – wyjaśnił Nicholas. – Osobiście uważam, że może być trudno dostarczyć cokolwiek do, dajmy na to, Prus, na Cejlon czy do Bengalów. Poza tym nawet jeśli dane miejsce wciąż istnieje na mapie, potrzebujemy konkretnego adresu pocztowego. Po drugiej stronie musi być ktoś, kto przyjmie paczkę.

– Dlatego trzeba nawiązać kontakty z globalnymi społecznościami magicznymi – zauważyła Esther. – Collins jest tego samego zdania, prawda?

– Ja wcale nie powiedziałem, że nie warto nawiązywać kontaktów i podejmować współpracy – zaprotestował Nicholas, gdy Collins i Esther stuknęli się pięściami.

Collins miał rację, pomyślała Joanna. Przyzwyczajają się do brzęczenia Biblioteki, pozwalają, żeby ten dźwięk zadomowił się w jej ciele, przetaczał się przez żyły jak krew. Stawał się częścią niej.

W końcu przeszli do salonu zimowego, a potem zjedli kolację w przestronnej jadalni, podobno nieużywanej od lat. Joanna starała się nie przeproszać ubranego na czarno personelu, który nieustannie wchodził i wychodził, nalewał wino, zabierał talerze, ściszonego tonem skarżył się Collinsowi na problem

z wiecznym płomykiem i kiepski termin następnego wyjazdu do miasta po artykuły spożywcze.

– Ostatnio panuje tu raczej nieformalna atmosfera – usprawiedliwiał się Nicholas, jakby Jo wiedziała cokolwiek o dworskiej etykiecie albo jakby jej na tym zależało. – Collins nie ma jeszcze wprawy w byciu szefem.

– Za to ty – odezwał się wielkolud z Bostonu – jesteś prawdziwym alfą.

Nicholas trzymał Sir Kiwi na kolanach i karmił ją stekiem.

Jedzenie było bardzo dobre, ale Joanna ledwo co tknęła. Myślała o tym, co stanie się po kolacji, gdy przeczyta zaklęcie, które pomogła stworzyć, które miało w sobie krew jej siostry.

Bo przecież właśnie w tym celu tu przyjechała.

Nicholas potrzebował tygodni, aby skomponować zaklęcie, trochę dlatego, że było niezwykle skomplikowane, a trochę dlatego, że musiał się zregenerować, zanim znowu da sobie upuścić krew. Reszta krwi należała do Esther i dlatego zaklęcie sprawiało trudność: po raz pierwszy Nicholas tworzył magię dla dwóch Skrybów. Przysięgał, że potem nie napisze żadnej książki przez co najmniej rok, a z uwagi na stan zdrowia nie powinien pisać nawet tej teraz. Nie chciał jednak czekać i pozostał w tym nieugięty.

Joanna go rozumiała. Zaklęcie miało choć częściowo rekompensować krzywdy, jakie Biblioteka wyrządziła w ciągu ostatnich stuleci. Wiele z nich było tak splątanych, że nikt nie odnalazłby końcówki nici, aby chociaż spróbować rozplątać węzeł. Ale jedno zło z całą pewnością można było naprawić.

Minęły dwa stulecia, odkąd Richard rzucił zaklęcie, które ograniczyło wszystkie magiczne talenty do linii krwi... i mogą minąć lata, zanim się dowiedzą, czy nowe zaklęcie działa. Może

dopiero przy kolejnym pokoleniu zyskają pewność, czy udało im się złamać zaklęcie dziedziczenia.

A może sami utracą własną magię? Collinsowi i Joannie pozostanie tylko pięć zmysłów, krew Esther i Nicholasa okaże się bezsilna i cała ich moc zostanie przeniesiona do innych ciał, innych istnień równie przypadkowo, jak wydarzało się to przez tysiące lat, zanim Richard skupił ją w rodzinach. Zgodzili się podjąć takie ryzyko. Joanna delektowała się szumem Biblioteki, rejestrowała go w pamięci, na wypadek gdyby miała go już nie usłyszeć.

W końcu nadszedł czas.

Zebrali się w pokoju, który do niedawna był gabinetem Richarda, a teraz wyglądał jak pobojuwisko, pełen rozbitego szkła, pochlastanych płócien i wydartych stron; podłogę pokrywały zniszczone książki i artefakty. Collins opowiedział Joannie, jak Nicholas rozbił słoik, w którym znajdowało się jego oko, ale nie wspomniał, co stało się z samym okiem. Jo stała przed pustymi regałami, drżąc na całym ciele.

Przez chwilę pragnęła odłożyć świeżo napisaną książkę i odejść z miejsca, gdzie dokonano tylu strasznych rzeczy. Wsiądzie do jednego z tych wielkich czarnych samochodów, jakoś przejedzie przez osłony, dotrze na lotnisko i polecą do domu, do znajomych gór, nieba, drzew, kota i do ścian, które znała równie dobrze, jak własną twarz.

– Gotowa? – zapytała Esther.

Joanna spojrzała na nią uważnie. Dziesięć lat zrobiło swoje. Siostra nie była już tamtą dziewczyną pamiętaną z dzieciństwa. Leciutkie zmarszczki pojawiły się w kącikach jej oczu, przy ustach, nad wyrazistymi brwiami... i nagle wydały się Jo tak niemożliwie piękne, że musiała odwrócić wzrok. Do niedawna

myślała, że może nigdy nie zobaczy swojej dorosłej siostry. Oglądanie zmian na twarzy Esther było darem.

Nicholas siedział ze skrzyżowanymi nogami na pustym biurku, brodę oparł na dłoni. Collins trzymał małe naczynie ze sproszkowanymi ziołami, gotów podejść na znak. Wszyscy patrzyli na Joannę, czekali na jej kolejny krok.

Wsunęła rękę w dłoń Esther. Siostra pewnym ruchem wbiła czubek srebrnego noża w palec Jo i na skórze pojawiła się czerwona kropelka, drżąca i gotowa popłynąć. W powietrzu rozbrzmiała magia: niekończąca się słodycz rozgrzanego niebieskiego nieba, trzepot tysiąca leciuteńkich skrzydeł, wiatr, który poruszał tym, czym tylko mógł poruszać na tej ziemi – czyli wszystkim.

Joanna otworzyła książkę.

Podziękowania

Witam na stronach z podziękowaniami pisarki, która uwielbia strony z podziękowaniami. Do czytelników, którzy wolą wyrazy wdzięczności krótkie i treściwe, tl;dr brzmi: DZIĘKUJĘ WSZYSTKIM!!! Dla tych z Was, którzy są tacy jak ja, czyli ciekawscy: czytajcie dalej, aby uzyskać odpowiedzi na najbardziej palące pytania! Jak brzmi nazwisko mojej agentki, jak nazywają się moi przyjaciele, które instytucje dały mi pieniądze i czy podziękuję nieczytającemu zwierzęciu (spoiler: podziękuję).

Zacznijmy od tego, że moja agentka nazywa się Claudia Ballard i jest wspaniała. Claudio, ogromnie Ci dziękuję, że wytrwałaś ze mną przez lata szkiców, rozczarowań i całkowitego wyrzeczenia się literackiego realizmu, na który pierwotnie się pisałaś. Dziękuję za czujne redaktorskie oko i niezłomny entuzjazm. Dziękuję również, także z WME, Matildzie Forbes Watson za ekscytujące negocjacje transatlantyckie, Sanjanie Seelam za finezję Zachodniego Wybrzeża, Camille Morgan za niestrudzoną burzę mózgów i Caitlin Mahony za prezentację tej książki szerszej publiczności oraz za entuzjastyczny odzew na wczesnym etapie czytania, który wlał otuchę w moje serce.

W William Morrow dziękuję mojej fenomenalnej redaktorce Jessica Williams za jasną, kreatywną wizję tego, czym ta książka była i czym mogłaby być. Dziękuję również Julii Elliott za czary nad fabułą i jeszcze moim znakomitym brytyjskim redaktorom,

Selinie Walker z Century i Samowi Bradbury'emu z Del Rey – bez was rezydencja Nicholasa ległaby w gruzach.

Dziękuję Melissie Verze z Salt&Sage Books za życzliwą, uważną lekturę, a Ronkwahrhakónha Dube za hojną magię pytań i spostrzeżeń.

Dziękuję Jacoby'emu Smallsowi za spojrzenie na Antarktykę od kuchni.

Dziękuję swojej matce, Gail Mooney, za wychowanie mnie w domu pełnym książek i za wpojenie miłości do języka, podróży, dobrych okazji i jeszcze lepszej zabawy. Dziękuję ojcu, Fredericowi Törzsowi, za bezmiar miłości i abstrakcyjny humor. Dziękuję mojej wesołej, zabawnej i mądrej siostrze Jesse Törzs. Pierwsze opowieści były dla Ciebie i ta opowieść też jest dla Ciebie, podobnie jak każda następna historia do końca życia.

Dziękuję mojej macosze Niki, mojemu ojczymowi Steve'owi i moim przyrodnim siostram: Elli, Sophie i Tessie. Cudownie, że jesteście rodziną.

Serdeczne podziękowania dla Douglasa Capry, którego pożegnalny prezent spłacił moje pożyczki studenckie i dał mi czas na pisanie. Dougie, miałeś doskonały gust, jeśli chodzi o książki, i mogę tylko mieć nadzieję, że ta by Ci się spodobała. Zawsze będziemy za Tobą tęsknić.

Dziękuję moim najwcześniejszym czytelnikom: Lesley Nneka Arimah za dostarczenie impulsu i zachęty do rozpoczęcia tej powieści oraz Abbey Mei Otis za mroźne pisarskie spotkania w mojej prawie dokończonych przyczepie.

Dziękuję klasie Clarion West z 2017 roku, Team Eclipse: Shweta Adhyam, Elly Bangs, David Bruns, Mark Galarrita, Aliza (A.T.) Greenblatt, Iori Kusano, Patrick Lofgren, Robert Minto, Stephanie Malia Morris, Andrea Pawley, Joanne Lim-Pousard, Vina Jie-Min Prasad i Gordon B. White. Jestem Wam

niezmiernie wdzięczna i bardzo z Was dumna. Szczególnie dziękuję Andrei Chapeli, która napisała akapit hiszpańskiego oryginału (Esther tłumaczy go w rozdziale 4) i której zoomowy wykład na temat struktury i punktów widzenia wstrząsnął światem tej powieści. Alexandrze Manglis, Adamowi Shannonowi i Izzy Wasserstein dziękuję za każdy wątek w naszej sieci rozmów. Wasza błyskotliwość, humor, wytrwałość i sympatia miały ogromny pozytywny wpływ na moje życie i pisarstwo.

Dziękuję Sally Franson za głębokie zanurzenie i nierozcieńczoną radość. Dziękuję Nicole Sarze Simpkins, strażniczce naszych mitów i wspomnień. Ericowi Andersenowi za uczynienie domu domem, a Nate'owi White'owi, Gabrieli Farias, doktorowi Aaronowi Mallory'emu i Ashtonowi Kulesie za chronienie mnie przed samotnością nawet w czasie kwarantanny COVID-19 i w samym środku izolacji, gdy pisałam tę powieść.

Dziękuję swojej terapeutce Heather Smith. Wiem, że słuchanie mnie to Twoja praca, ale naprawdę jesteś w tym dobra.

Joannie Newsom za wyruszenie w trasę koncertową jesienią 2019 roku.

Lauren Joslin za kształtowanie mojej wczesnej wyobraźni.

Dziękuję Minnesota State Arts Board, Minnesota Regional Arts Council, Loft, Jerome Foundation, McKnight Foundation, Norwescon i National Endowment for the Arts za wsparcie finansowe na przestrzeni lat. Dziękuję rezydencji na wyspie Norton za odpalenie tej grzęznącej książki po ciężkim lecie 2020 roku oraz za stypendium Lighthouse Works Fellowship, gdzie ukradłam nazwisko Daphne (dzięki, Daphne) i napisałam „koniec” w dźwięku przypluwów.

Dziękuję moim profesorom pisarstwa na University of Montana, a zwłaszcza Debrze Magpie Earling za zachęcanie mnie do wszystkiego wiedźmowskiego. Dziękuję instruktorom z Clarion West. Peterowi Bognanni za wsparcie wtedy, kiedy byłam Twoją studentką, i teraz, gdy jestem koleżanką. Dziękuję też Markowi Mazullo za dobre jedzenie i jeszcze lepsze rozmowy, a także Mattowi Burgessowi, który rozwiązał kiedyś intrygę dzięki temu, że mnie zapytał: „Kto przed kim ma tajemnice?”.

Dziękuję Igorowi, kotu mojej duszy i mojego serca: za estetykę.

I wreszcie dziękuję wszystkim, którzy będą czytać tę książkę, pracować z nią lub pomogą jej w każdy inny sposób po tym, jak już złożę podziękowania. Każdemu z Was winna jestem ogromną wdzięczność.

- [1] Kochana Jo, jeśli chcesz zrozumieć tę pocztówkę w całości, musisz nauczyć się hiszpańskiego.
- [2] Duży buziak od Twojej wędrującej siostry.
- [3] *Trzej muszkietierowie*, tom 2, rozdział 25, *Pierwszy dzień niewoli*.
- [4] General Educational Development (GED) – amerykański egzamin powszechnie uznawany za odpowiednik dyplomu ukończenia szkoły średniej.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz